

Janet Tanner
Wszystko Albo Nic

Rzeczy i czyny są, czym są, a ich konsekwencje będą takie, jakie będą; dlaczego więc pragniemy, by nas oszukiwano?
biskup Butler, 1692 - 1752.

Prolog.

Zdarzenie opisano na pierwszych stronach wszystkich gazet.

Właściciel Vandiny Ginie w Wypadku Samolotowym, krzyczały wielkimi literami nagłówki.

Dinah Marshall Została Wdową.

Młody mężczyzna zobaczył je, kiedy poszedł odebrać pocztę.

Prasę na platformę wiertniczą na wybrzeżu Aberdeen dostarczano helikopterem, który dwa razy dziennie lądował tu po trzydziestominutowym locie.

Mężczyźni pracujący na platformie z utęsknieniem go oczekiwali.

Żyli w tym miejscu w samotności i izolacji od całego świata, a koleżeństwo i przyjaźnie, jakie nawiązywały się między nimi, nie rekompensowały ciągłego niebezpieczeństwa oraz nudy i wyczerpania po prawdziwie ciężkiej pracy.

Czekali na wiadomości z zewnątrz, a ich pragnienia wiedzy nie zaspokajało nawet oglądanie telewizji.

Ale młody mężczyzna nie widział dziennika telewizyjnego poprzedniego wieczoru - w tym czasie znajdował się w kabinie dekompresyjnej - i teraz tytuły z pierwszych stron przykuły jego uwagę.

Wstrząsnął nim dreszcz podniecenia; poczuł, że jego puls przyspiesza, zupełnie jak wtedy, gdy szykuje się do zejścia pod wodę.

Zapłacił za gazetę, po czym wziął ją z lady i wepchnął do kieszeni wiatrówki.

Choć zżerała go ciekawość, nie chciał czytać w tym miejscu, w obecności innych.

Poczeka, aż zostanie sam.

Wrócił do kabiny, pospiesznie wyciągnął gazetę z kieszeni, po czym rozłożył ją na stole i pochylił się nad nią, nie tracąc czasu na zdjęcie kurtki.

W gruncie rzeczy wcale nie chciał jej zdejmować; na platformie zawsze panowało przejmujące zimno, tak że z trudem przypominał sobie, jak to jest, kiedy człowiek nie marznie.

Nagłówek znowu rzucił mu się w oczy.

Automatycznie przeleciał go wzrokiem, następnie szybko przeczytał zamieszczony pod nim tekst.

Van Kendrick, właściciel firmy produkującej luksusowe dodatki odzieżowe, zginął wczoraj w wypadku samolotowym, rozbijając się o wzgórze w Gloucestershire.

Van Kendrick, 54 lata, sam pilotował samolot, w którym znajdował się tylko on.

Nie wiadomo, z jakich przyczyn doszło do wypadku.

Świadkowie mówią, że samolot, który niedawno przeszedł gruntowny przegląd, nagle zanurkował, uderzył o zbocze wzgórza, po czym stanął w płomieniach.

Zobaczyłem go, kiedy pracowałem w polu - powiedział dwudziestopięcioletni rolnik, Melvin Tucker.

- Pobiegłem tam, ale nic nie mogłem już pomóc.

Było tak gorąco, że bałem się podejść bliżej.

Eksperci, po zbadaniu szczątków samolotu orzekli, że Kendrick prawdopodobnie zginął natychmiast, ale nawet gdyby przeżył uderzenie, nie przeżyłby piekielnych ogni pożaru.

Warunki pogodowe podczas lotu były pomyślne, niebo jasne, a prędkość wiatru utrzymywała się w normie.

Przyjaciele rodziny twierdzą, iż przedsiębiorca uskarżał się na bóle w klatce piersiowej, i podejrzewa się, że w czasie lotu dostał ataku serca.

Imperium Vandina, stworzone przez Vana Kendricka i jego żonę, Dinah Marshall, narodziło się przed dwudziestu pięciu laty w małym zakładzie w Somerset.

Talent Dinah Marshall do przewidywania zmian w trendach mody oraz do projektowania wysokiej klasy wyrobów, zaspokajających gusta najbogatszych tego świata, w połączeniu z żyłką Kendricka do robienia interesów, doprowadziły do powstania

fabryki przerastającej tysiącrotnie jej skromne początki, której wytwory znaleźć można w najlepszych domach mody.

To Van Kendrick był twórcą sloganu, który streszcza całą filozofię Vandiny - "Blżej natury" - synonimu jakości, stylu i elegancji.

Pytanie, które dzisiaj ciśnie się na usta - wraz z pytaniem, z jakich przyczyn doszło do wypadku - brzmi: Czy Vandina przetrwa bez swego założyciela?

Naturalnie jest to przedsiębiorstwo jak inne - powiedział naszemu dziennikarzowi rzecznik firmy.

- Dinah zawsze wносиła do niego wyobrażnię i jej pomysły przyświecały każdemu produktowi.

W tej chwili, oczywiście, pogrążona jest w głębokim smutku, ale nie zamierza pozwolić Vandinie zginąć.

Jednak pozostaje faktem, że firma utraciła na zawsze dynamicznego i pomysłowego szefa.

A Dinah, od dwudziestu pięciu lat żona Kendricka, ma przed sobą ciężką batalię do stoczenia.

Państwo Kendrick nie mają dzieci i znani byli z tego, że nigdy się nie rozstawali.

Znakomicie się uzupełniali.

Byli doskonałymi partnerami.

Obecnie, Dinah, postać wspaniała, ale do tej pory pozostająca w cieniu męża, straciła swego idealnego partnera.

Musi sama unieść flagę Vandiny.

Młody mężczyzna wyprostował się, drapiąc się nieco roztrzęsionymi palcami po tygodniowym zaroście.

Jego organizm zwiększył produkcję adrenaliny; docierała do najodleglejszego zakamarka jego ciała.

A więc zginął mężczyzna stojący do tej pory u boku jednej z najbardziej twórczych i oryginalnych projektantek w Anglii.

Dinah Marshall straciła męża, tak często opisywanego jako jej Svengali, i została kompletnie sama.

Albo tak jej i całemu światu się wydawało.

Tylko on wiedział, że jest inaczej.

Z trudem hamując podniecenie, podszedł do niewielkiej półeczki z szufladami, w której trzymał swoje rzeczy.

Wyciągnął kopertę, a z niej wyjął jakiś oficjalny dokument.

Akt urodzenia.

Każdy taki ma, jednak ten był specjalny; nie oryginał, lecz kopia, wystawiona przez Sant Catherines House dzięki ustawie parlamentu, która umożliwiała adoptowanym dzieciom uzyskanie dokumentów, mówiących o ich pochodzeniu.

Mężczyzna uważnie czytał pismo.

Znał je już na pamięć, ale ciągle miał ochotę je oglądać.

Data urodzenia: 2 września 1961.

Płeć: męska.

Imiona: Stephen, John.

Miejsce urodzenia: Watchet, Somerset.

W miejscu, gdzie powinny znaleźć się dane o ojcu, widniała kreska, a po niej słowo "nieznany".

Ale było tam drugie nazwisko, osoby, która zgłosiła dziecko do rejestracji - matki.

Dinah Elizabeth Marshall.

Młody mężczyzna ponownie się wyprostował, lekko się uśmiechając.

Gazety nie wiedziały o tym, że Dinah ma syna.

On to wiedział już od dwóch lat, ale nie powiedział nikomu.

Czekał na odpowiedni moment.

Teraz uznał, że wreszcie nadszedł.

Rozdział pierwszy.

Mike Thompson przeciskał się srebrnym Citroenem ZX przez centrum Bristolu.

Jak zwykle po południu jezdnią sunął nieprzerwany sznur wolno poruszających się pojazdów.

Mike wypatrywał miejsca do zaparkowania.

Przejeżdżając uliczką przy komisariacie policji, zauważył samochód, który właśnie zwalniał miejsce przy taksometrze.

Szybko wykorzystał okazję.

Poszcześciło mu się - po raz pierwszy tego dnia.

Zaparkował tyłem, wyskoczył z samochodu, zatrzasnął drzwi, po czym przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu drobnych do taksometru.

Pospiesznym krokiem ruszył w stronę komisariatu.

Z pochmurnego nieba lał deszcz, zaskakująco o tej porze roku rześisty i zimny.

Gorący czerwiec, pomyślał, zastanawiając się przy okazji, co stało się z latami, które pamiętał z dzieciństwa.

Wtedy słońce zdawało się nieprzerwanie świecić z błękitnego nieba na boisko, na którym co wieczór, po odrobieniu lekcji, on i jego koledzy grali w krykieta aż do chwili, gdy robiło się zbyt ciemno, by zobaczyć piłkę.

Tego roku nie grało się dużo w krykieta.

Wszystkie mecze zaplanowane dla jedenastych klas liceum, w którym pracował jako nauczyciel gimnastyki, zostały odwołane z powodu deszczu.

Podobnie treningi.

Prawie codziennie zmuszony był przesiadywać z uczniami w sali gimnastycznej i organizować im mecze siatkówki i koszykówki, z nikłą nadzieją, że jakoś uda mu się wyczerpać ich niezmordowaną i niszczycielską energię.

Ten dzień nie stanowił wyjątku.

Sześć klas, jedna horda za drugą, rozbuchane, rozwrzeszczane.

Uczniowie bili się i potracali - większość chłopców, uczęszczających do jego szkoły, wiedziała, jaki użytek można zrobić z własnych pięści - a Mike myślał, że zwariuje.

Czy zachowywali się gorzej niż zazwyczaj?

Prawdopodobnie nie.

Tylko że dzisiaj nie miał ochoty się nimi zajmować.

Coś innego chodziło mu po głowie.

Możliwe, że wyczuwali jego dekoncentrację tym swoim niezawodnym instynktem, z jakim wynajdywali najmniejszą szczelinę w zbroi nauczyciela.

W takich wypadkach chłopcom się wydawało, że ujdzie im zachowanie, które normalnie sprowadziłoby gromy na ich głowy.

Oczywiście mylili się.

Mimo osobistych kłopotów Mike nie pozwolił się przechytrzyć.

Postąpił dokładnie tak samo jak zawsze - ostra reprimenda za złe zachowanie i pociągnięcie za ucho najbardziej nieposłusznych.

Któryś z rodziców mógłby go zaciągnąć do sądu i oskarżyć o znęcanie się.

Zdawał sobie z tego sprawę, ale starał się tym nie przejmować, i o dziwo, te dzieciaki z najbardziej zdeprawowanej dzielnicy szanowały go za to.

Ich światem rządziły prawa dżungli.

Rozumiały to i ze swojego nauczyciela gimnastyki, silnego i potężnie zbudowanego byłego gracza rugby, robiły bohatera.

Był kiedyś skrzydłowym w znanym klubie, a na dodatek dwa razy zdobył dla Anglii puchar, dopóki nie doznał poważnej kontuzji kolana, co zakończyło jego świetlaną karierę.

Przeszedł ulicę, omijając jadące wolno samochody, i wbiegł po stopniach do poczekalni komisariatu.

Zaskoczył go tłum interesantów.

Przy biurku stała kobieta w średnim wieku, w chustce na głowie i płaszczu przeciwdeszczowym.

Zgłaszała zaginięcie torebki.

Jej pulchna, wydatna twarz czerwieniała i wykrzywiała się ze zdenerwowania; za nią czekał młody mężczyzna w mundurze strażnika miejskiego i jeszcze dwie dziewczyny, wyglądające na studentki.

Mike ustawił się w kolejce i rozsunął nieco zamek nieprzemakalnej kurtki nałożonej na ciemnoniebieski dres.

Jedna z dziewcząt odwróciła się i popatrzyła na niego.

W jej oczach błysnęło zainteresowanie, gdy stwierdziła, że patrzy na wyrazistą i przystojną twarz pod krótko obciętymi włosami, które na skroniach wyraźnie już siwiały, choć stanowczo przedwcześnie.

Te pierwsze jasne pasma pojawiły się, kiedy Mike miał tylko dwadzieścia dwa lata.

Bardzo go przeraziły.

Mimo że nie był próżny, dostawał skrętów żołądka, bo siwizna przypominała o przemijającym czasie i kończącej się młodości.

- Nie przejmuj się - radziła Judy, jego była żona.

- Mężczyźni, którzy siwieją, nie łysieją.

- Choć raz miała rację.

Nie - nie raz.

Judy zawsze i bezdyskusyjnie miała rację.

To go w niej irytowało najbardziej, nawet rozwścieczało, ale też podziwiał ją za ten dar, choć niechętnie się do tego przyznawał.

W tej chwili jednakże cieszył się, że, jak do tej pory, proroctwo żony nie okazało się tylko czczą gadaniną.

Miał teraz trzydzieści trzy lata i w przeciwieństwie do wielu graczy rugby mógł poszczycić się bujną czupryną.

Dziewczyna wodziła wzrokiem po jego twarzy: po nieregularnej linii podbródka, po krzywiźnie nosa, sponiewieranego w niezliczonych bijatykach, piwnych oczach z zielonymi plamkami, po ustach z wyraźnie zarysowaną dolną wargą.

Czując na sobie taksujące spojrzenie, Mike odwzajemnił się takim samym, na co dziewczyna pospiesznie odwróciła wzrok, zawstydzona własnymi myślami.

Mike zdążył zobaczyć różowy rumieniec wypływający na jej policzki, zanim zakryła się zasłoną włosów, i natychmiast o niej zapomniał.

Pracując w gimnazjum przywykł już do zalotnych spojrzeń dojrzewających Lolit i ich uwodzicielskich starszych sióstr, dziewcząt, które łączyły w sobie świeżość młodości i niepokojącą dojrzałość współczesnych nastolatek.

Ich umizgi tak długo stanowiły część jego życia, że przyjmował je bez większego zastanowienia - ale czuwał, by nie wpaść w pułapkę, czyhającą na każdego niedoświadczonego nauczyciela.

Zresztą dzisiaj jego umysł zaprzątnięty był ważniejszymi sprawami.

Kolejka zmniejszyła się powoli i Mike spojrział na zegarek, mając nadzieję, że odpowiednio ustawił taksometr.

W okolicy komisariatu kręci się z pewnością mnóstwo stójkowych, powracających do bazy po zakończeniu służby, a on nie miał ochoty na przykrości - ani wydatki - za przekroczenie czasu postoju.

Nauczycielska pensja nie była na tyle wysoka, żeby bez żalu płacić mandaty.

Ale w tej chwili najmniej go to martwiło, nie miało najmniejszego znaczenia w porównaniu ze sprawą, z którą tutaj przyszedł.

Pojawił się drugi funkcjonariusz i zajął się dziewczętami.

Mike stanął przy blacie, policjant wyjął formularz, zapisał coś na nim i spojrział wyczekująco.

- Słucham?

Mike odchrząknął, czując się nieco dziwnie.

- Chciałbym zgłosić zaginięcie osoby.

Wyraz twarzy policjanta nie zmienił się.

- Ach tak.

A o kogo chodzi?

- O moją dziewczynę.

- To także zabrzmiało głupio.

Jakby był jakimś szesnastolatkiem, opowiadającym o koleżance, z którą umówił się na randkę.

Ale z drugiej strony jak inaczej przedstawić Ros i ich związek?

Byli ze sobą już dłuższy czas, ale bez ślubu.

Ros nie była jego żoną ani narzeczoną, nawet z nim nie mieszkała.

Nie chciała zrezygnować z niezależności.

Tak jak on miała za sobą nieudane małżeństwo i oboje obawiali się ponownego zaangażowania.

Łączył ich dojrzały związek dwojga niezależnych ludzi i zupełnie dobrze im się wiodło.

Do tej pory...

- Pana dziewczynę?

- Na nieodgadnionej twarzy policjanta pojawiła się kpina, jakby on też wyczuł niestosowność tego określenia.

- W jakim jest wieku?

- W jakim?
- Mike dał się zaskoczyć tym pytaniem.
- Dwadzieścia siedem.

Nie, dwadzieścia osiem.

W zeszłym miesiącu miała urodziny.

- Rozumiem.

A kiedy ostatnio ją pan widział?

- Ponad tydzień temu.

Przed wyjazdem na obóz.

- Przesunął ręką po mokrych włosach, czując, że za chwilę krople wody spadną mu na oczy.

- Może wyjaśnię.

Jestem nauczycielem w gimnazjum St Clemenfs.

Co roku w lecie organizujemy obozy i zazwyczaj daję się namówić na wyjazd w charakterze opiekuna.

Wyjechaliśmy w zeszły piątek.

- Nieciekawa pogoda na wypoczynek - zauważył posterunkowy.

- Dokąd pojechaliście?

- Na wyspę Wight.

Padło niemalże bez przerwy.

Tak czy inaczej widziałem Ros w środę przed wyjazdem...

- byłem zbyt zajęty pakowaniem, żeby spotkać się z nią w czwartek.

Próbowałem do niej dzwonić już po wyjeździe raz czy dwa, ale łączyłem się tylko z jej automatyczną sekretarką.

Nie martwiłem się zbytnio, to zapracowana osoba i często nie ma jej w domu.

Ale po moim powrocie, kiedy nadal nie mogłem się z nią skontaktować, zacząłem się zastanawiać, że coś nie jest w porządku.

W sobotę pojechałem do jej mieszkania, ale jej nie zastałem.

Wyglądało na to, że nie była w domu już od tygodnia.

- Co pan przez to rozumie?

- No, po czym normalnie poznajemy, że ktoś od dłuższego czasu nie pojawił się w mieszkaniu?

Na wycieraczkę leżały gazety i poczta, mleko w lodówce skwaśniało, zwiędły kwiaty wazonie...

wie pan, tego rodzaju rzeczy.

Mam klucz...

Kiedy nie otwierała, wszedłem do środka.

- A więc mieszkanie było zamknięte?

- Tak, naturalnie.

Powiedziałem panu: - jej tam nie było.

- Możliwe, że wyjechała tak jak pan na wakacje.

- Bez poinformowania mnie albo kogokolwiek?

- Dlaczego by nie?

Ma dwadzieścia osiem lat, jak słyszałem.

W tym wieku nie trzeba się nikomu spowiadać.

- No tak, oczywiście!

- potwierdził Mike, zirytowany protekcyjnym tonem policjanta.

- Ale to zupełnie do niej niepodobne, żeby tak po prostu sobie wyjechać.

Ros jest bardzo zorganizowana.

Gdyby planowała wakacje, odwołałaby prenumeratę prasy, wylałaby mleko, żeby nie skisło, i w ogóle zadbałaby, żeby zostawić wszystko w jak największym porządku.

Nienawidzi wracać do domu, w którym rozkłada się jedzenie, a jogurt strzela z pojemników.

Poza tym jest jeszcze jej praca.

Ros jest osobistą asystentką Dinah Marshall.

To bardzo odpowiedzialna posada.

- Dinah Marshall.

- Policjant popatrzył przez zmrużone powieki.

- Chce pan powiedzieć...?

- Tak, tej Dinah Marshall.

Vandina, zna pan?

Posterunkowy pokiwał głową.

Po raz pierwszy wyglądał na zainteresowanego i Mike przez chwilę poczuł przypływ przygnębiającej satysfakcji.

Nawet ten policjant słyszał o Vandinie.

- Ros dostała pracę w Vandinie zaraz po skończeniu studiów i swoje obowiązki asystentki Dinah traktuje bardzo poważnie - wyjaśnił Mike.

- Skontaktowałem się z firmą w poniedziałek po moim powrocie i otrzymałem wiadomość, że Ros jest nieobecna.

Nie wiedzieli, gdzie jest.

W zeszłym tygodniu, we wtorek, zadzwoniła i poinformowała, że nie przyjdzie do pracy.

Powiedziała, że musi nagle wyjechać.

Od tamtej pory nie dała znaku życia.

Na twarzy policjanta znowu pojawił się kpiący uśmiezek, ale nie z powodu rozweselenia, raczej znużenia.

- No, sam pan widzi.

Uznała, że przyda jej się przerwa, i wyjechała.

Nikt jej tego nie może zabronić.

Mike czuł, jak rośnie jego rozdrażnienie.

- W ogóle mnie pan nie słucha, prawda?

To nie jest w stylu Ros.

Ona żyje dla tej swojej pracy, wydaje jej się, że jest niezastąpiona, a ponieważ wiem, jak się poświęca, prawdopodobnie tak jest.

Dwa razy do roku bierze urlop, ale przedtem musi zadbać, żeby wszystko toczyło się gładko w czasie jej nieobecności, mimo to dalej się zamartwia.

Nigdy nie zostawia firmy ot tak sobie, chyba żeby zdarzyła się jakaś straszliwa katastrofa.

Jednak nie podała powodów swojego wyjazdu, nic nie wyjaśniła, nie powiedziała, dokąd się wybiera.

Nic.

Jak mówiłem wcześniej, zadzwoniła do biura we wtorek rano.

Od tego czasu nie odezwała się.

Szczerze mówiąc, bardzo się o nią martwię.

Coś mi tu nie gra, i dlatego przyszedłem do was.

Policjant westchnął.

Nadal nie wydawał się przekonany, ale kiwnął głową z rezygnacją i podniósł blat.

- W porządku.

Pójdziemy do pokoju przesłuchań i spiszę dane.

Mike poszedł za posterunkowym długim korytarzem do niewielkiego pokoiku, w którym stało tylko proste biurko i kilka krzeseł.

Zegar wiszący na ścianie pokazywał dziesięć po piątej, jednak sądząc po poszarzałych promieniach wpadających przez nieduże okienko w suficie, wydawało się, że jest o wiele później.

Policjant przycisnął włącznik na ścianie i pokój zalało ostre, jasne światło.

Sięgnął po formularz i usiadł, wskazując Mikeowi krzesło.

- Nazwisko?

- Rosalie Newman.

Rosalie Patricia Newman.

- Adres zamieszkania?

- Woodbine Cottage, Stoke - sub - Mendip.

Posterunkowy przerwał notowanie.

- Stoke - sub - Mendip to nie nasz rejon.

- Nie rozumiem?

- To rejon należący do innego posterunku.

Nasz zajmuje się centrum miasta.

Powinien pan zwrócić się do swojego rejonowego posterunku.

- Właśnie to robię, do cholery!

Ja nie mieszkam w Stoke - sub - Mendip.

A zresztą, jaka to różnica?

- Nie musi się pan denerwować.

Stwierdziłem tylko, że jeśli ta pani zamieszkuje w rejonie Stoke - sub - Mendip, powinien pan zawiadomić o jej zaginięciu tamtejszy posterunek.

- No, ale jestem już tutaj...

- Ponieważ przyszedł pan do nas, spiszę dane i prześlę je.

Ma pan przy sobie zdjęcie przyjaciółki?

Mike sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął portfel.

Przynajmniej to udało mu się przewidzieć.

Fotografia, którą przyniósł, była najlepsza, jaką mógł znaleźć.

Zdjęcie zrobił profesjonalista na zeszłorocznym przyjęciu w Vandinie w czasie Świąt Bożego Narodzenia.

Popatrzył przez chwilę na odbitkę, na szerokie, niebieskozielone oczy Ros, na śliczną, wyrazistą twarz otoczoną obciętymi na pazia, ciemnokasztanowymi włosami, na delikatną linię odsłoniętych ramion nad szmaragdową suknią wieczorową bez ramiączek.

Twarcz dziewczyny rozjaśniał lekki uśmiech, tajemniczy i bardzo dla niej charakterystyczny.

Patrzyła prosto w obiektyw, trochę wyzywająco.

Mikeowi wydało się, że Ros ze zdjęcia przekomarza się z nim.

Nagłym ruchem popchnął fotografię przez biurko i zobaczył, jak twarz policjanta wykrzywia się z podziwu i zaskoczenia.

- To ona?

- Tak.

To zdjęcie zrobiono jakieś pół roku temu.

Jest dość wierne.

- Hm.

- Policjant obrzucił wzrokiem petenta, lustrując jego wiatrówkę i dres, i Mike wiedział, jakie myśli przebiegły przez umysł posterunkowego: Co taka dziewczyna robi z tym facetem?

Nic dziwnego, że zaginęła!

Z trudem opanowywał irytację, kiedy policjant zadawał mu następne, nie kończące się pytania.

Jakim samochodem jeździła?

Jaką miał rejestrację i czy także zaginał?

Mike potwierdził, po czym nastąpiły nowe pytania.

Co z rodziną Ros?

Czy miała znajomych?

Nazwiska?

Adresy?

Dokąd mogła pojechać?

Czy już kiedyś zniknęła?

Czy miała jakieś kłopoty?

Długi?

Konflikty rodzinne?

Nieporozumienia, a może coś poważniejszego?

Możliwe, że pomiędzy tymi informacjami ukryta jest ta istotna, pomyślał Mike.

Zresztą, czego się spodziewał?

Najpierw wściekał się, że nie traktują go poważnie, teraz znowu denerwuje go, że policjant stosuje zwykłą w takich sprawach procedurę.

Co go napadło?

Wreszcie przesłuchanie dobiegło końca.

Posterunkowy odłożył długopis.

- W porządku.

Oddam tą sprawę do śledztwa.

Ale muszę pana uprzedzić, że jeśli odnajdziemy pannę Newman, nie zagwarantuję panu, że podamy panu miejsce jej pobytu.

- Co pan przez to, do cholery, rozumie?

- wybuchnął Mike.

- Możliwe, że panna Newman nie będzie chciała, żeby wiedział pan, gdzie jest - posępnie wyjaśnił policjant.

- Zdarza się często, że ludzie znikają, ponieważ chcą zerwać z kimś kontakt.

I, oczywiście, mają do tego pełne prawo.

W przypadku osób dorosłych musimy respektować ich wolę.

Nagle Mike poczuł, że ma tego wszystkiego dosyć.

Domyślał się, w jaki sposób rozumował policjant, i w pewnym sensie mu się nie dziwił.

Niezależna, młoda kobieta, rozwódka, która niespodziewanie stwierdziła, że nie wytrzymuje już natłoku pracy, którą prawdopodobnie znużył przyjaciel, postanowiła się urwać, przynajmniej na jakiś czas.

Bardzo możliwe.

A nawet pewnie nic niezwykłego.

Nic takiego, co mogłoby wzbudzić większe zainteresowanie policjanta.

Wyglądał na zmęczonego, a miał przed sobą rutynową sprawę - wypełnienie formularza, poszukiwanie zaginionej, ustalenie jej prawa do prywatności i wreszcie zamknięcie sprawy.

Tylko że oni nie znali Ros tak jak on.

Nie rozumieli, że nie mogłaby wyjechać z własnej nieprzymuszonej woli, bez powodu, bez powiadomienia kogokolwiek.

Mike odsunął krzesło i wstał.

- Dziękuję i przepraszam, że zająłem panu tyle czasu.

Mam nadzieję, że komuś innemu ta sprawa wyda się poważniejsza niż panu.

Poza tym uprzedzam, że sam także będę szukał Ros.

Przeszedł przez długi korytarz.

W poczekalni nadal stała spora grupka interesantów; każdy z nich był przekonany, że jego kłopot jest w tej chwili najważniejszy.

Policjanci starali się uspokoić petentów.

Mike przedarł się przez tłum i wyszedł na ulicę.

Ciągle padało.

Za wycieraczką znalazł mandat w plastikowym opakowaniu.

Zaklął i wyciągnął go.

Tylko tego brakowało.

Bez czytania wcisnął mandat do kieszeni, po czym wsiadł do samochodu.

Oparł się o skórzany podglówek i głęboko odetchnął.

Poczucie frustracji, które owładnęło nim na posterunku, nadal mu dokuczało, więc zamknął oczy i jeszcze raz wrócił w myślach do przesłuchania, zastanawiając się, jak bardzo policja będzie się starała odnaleźć Ros.

Prawdopodobnie skontaktują się z jej matką, która mieszka w Wiltshire, ale Mike wiedział, że spotka ich zawód - rozmawiał już z Dulcie przez telefon, próbując wypytać ją okreśną drogą, żeby jej nie niepokoić, czy nie wie przypadkiem, gdzie podziewa się córka.

Nie miała pojęcia i nawet nie była zaskoczona tym pytaniem.

Ros nie utrzymywała bliskich kontaktów z matką, która wyszła powtórnie za męża, kiedy córka była nastolatką.

Według Ros ojczym nienawidził zarówno jej, jak i jej siostry, Maggie, i żądał od ich matki całkowitego oddania.

Maggie wyszła za Greka i mieszkała na Korfu, więc wątpliwe, żeby wiedziała coś o nieobecności Ros, a ta znowu nie pojechałaby do siostry bez powiadomienia o tym Mikea.

Nie wierzył również, żeby wyjechała w odwiedziny do jakichś przyjaciół, ale na wszelki wypadek podał policjantowi kilka nazwisk i adresów - starych londyńskich znajomych ze studiów oraz najlepszej przyjaciółki, Annie, mieszkającej w Scarborough.

Policja odwiedzi też Vandinę z nadzieją, że Ros powiedziała coś, co mogłoby naprowadzić na jej ślad.

Ale Mike wątpił, że usłyszą coś istotnego.

Ros była bardzo samodzielna i rzadko rozmawiała o swoich sprawach.

Nie wyobrażał sobie jej pogrążonej w ploteczkach z koleżankami, a nawet z samą Dinah, dla której pracowała już sześć lat i była jej bardzo oddana.

To oddanie często napawało go strachem.

Wydawało mu się, że zagraża ich związkowi; chociaż nie był zazdrosny, podejrzewał, że nie on był dla Ros najważniejszy.

Oczywiście, od początku rozumiał, że praca jest dla niej ogromnie istotna.

Jednakże w przypadku Dinah była to już obsesja.

Zaczął się po śmierci męża Dinah, Van Kendricka, który był także głową firmy.

Zginął przed rokiem w katastrofie lotniczej.

Od tego momentu Ros poczuła się odpowiedzialna za Dinah i właśnie to jej bezbrzeżne poświęcenie najbardziej niepokoiło Mikea, kiedy stwierdził, że Ros zaginęła.

Chociaż nie chciał się do tego przyznać, nie wykluczał, że Ros po prostu go zostawiła, tak jak sugerował policjant.

Życie nauczyło go, że kobietom nie zawsze należy ufać, a ostatnio ich kontakty trochę się popsuly.

Zdarzało się, że Ros irytowała się i niecierpliwiła, przekładała spotkania, używając banalnych wymówek.

Coś wisiało w powietrzu, i Mike rzeczywiście obawiał się, że Ros po prostu odeszła.

Ale nie postąpiłaby w ten sposób w stosunku do Dinah.

Chyba że...

Mike wyprostował się gwałtownie, bębniąc palcami po kierownicy, ponieważ nagle przyszło mu do głowy, że może to ostatnie zmiany, jakie zaszły w Vandinie, miały wpływ na raptowną decyzję Ros.

Przypomniał sobie historię, którą mu opowiedziała.

Okazało się, że Dinah miała nieślubne dziecko, syna, którego oddała do adopcji.

Pół roku temu pojawił się u Dinah, po tym, jak odnalazł swój akt urodzenia i odkrył, że Dinah jest jego naturalną matką.

Ta przywitała go z otwartymi ramionami, a fakt, że odzyskała syna, pomógł jej znieść utratę ukochanego i uwielbianego męża.

Czy możliwe, że syn Dinah stał się w oczach Ros konkurentem?

Jednak, nawet biorąc pod uwagę jej ślepe oddanie, Mike nie wyobrażał sobie, żeby taka profesjonalistka jak Ros odeszła bez walki.

Westchnął udęczony.

Mimo wyraźnego sceptycyzmu policjanta wizyta na posterunku nie rozwiała jego obaw.

W gruncie rzeczy powiększyła tylko jego niepokój.

Był stuprocentowo pewny, że policjant mylił się, zakładając lekkodusznie, iż Ros po prostu opuściła przyjaciela.

Przeczuwał, że tak naprawdę za jej nieobecnością kryło się coś złowieszczonego, ale bał się ubrać te podejrzenia w słowa.

Dziwny niepokój, dręczący go mniej lub bardziej od przyjazdu z obozu, kiedy stwierdził, że Ros nie ma, teraz przerodził się w prawdziwy lęk.

Nie był człowiekiem obdarzonym wielką wyobraźnią, ale nie był też głupi.

Zgoda, ktoś z bardziej chwiejnym charakterem niż Ros mógł opuścić dom, przyjaciół i pracę, przytłoczony stresami i kłopotami życia.

Fakt, w ciągu ostatnich tygodni Ros była bardzo zajęta.

Gdyby jednak postanowiła zerwać ich związek, nie wybrałaby takiego sposobu, zostawiając za sobą tyle nie dokończonych spraw.

To nie było w jej stylu.

Rzeczywiście zadzwoniła do Vandiny, ale nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że zrobiła to pod przymusem i że ktoś przetrzymuje ją wbrew jej woli - a może jest nawet gorzej.

Przednia szyba zaparowała od środka.

Mike przetarł ją dłonią - zauważył stójkowego skręcającego za róg.

Irytacja natychmiast przerodziła się w strach.

Czy nie mogą zostawić go w spokoju przynajmniej na kilka minut?

Jednak nie miał już dzisiaj ochoty na jeszcze jedną rozmowę z przedstawicielem prawa.

Włączył silnik i szybko odjechał.

Złe przeczucie podążyło za nim.

W połowie drogi do domu znowu pomyślał o Maggie.

Ciekawe, czy policjanci skontaktują się z nią?

Może do tego dojść, więc powinien ją uprzedzić.

Nie wyobrażał sobie, że Dulcie zada sobie trud poinformowania drugiej córki o sytuacji, a nie ma nic przyjemnego w dowiadywaniu się od policjanta o zaginięciu własnej siostry.

Mike poznał Maggie podczas jednej z jej rzadkich wizyt w kraju, w czasie których zazwyczaj mieszkała u matki w Wiltshire.

Pamiętał, że Ros zapisała w jego notatniku numer siostry, kiedy dzwoniła do niej z jego mieszkania.

- Na wszelki wypadek, gdybym zgubiła swój portfel - wyjaśniła, rysując obok numeru małej wizerunek Greka w stroju narodowym; takie rysunekki były jej nałogiem, nawyki ze szkoły plastycznej.

- Wydaje mi się, że gdybyś zgubiła portfel, miałabyś większe zmartwienia niż numer telefonu siostry - przekomarzał się z nią.

Ros nosiła w nim mnóstwo rzeczy, od kart kredytowych, paszportu, po spis adresów przyjaciół i klientów firmy oraz notes z terminami spotkań.

No tak, teraz zgubił się nie tylko jej portfel, smutno pomyślał Mike.

Razem z nim zniknęła jego właścicielka.

Mocno nacisnął pedał gazu, zręcznie manewrując w coraz mniej intensywnym ruchu ulicznym i w deszczu.

Kiedy tylko dojedzie do domu, natychmiast zadzwoni do Maggie.

Rozdział drugi.

Maggie Veritos popijała zimną kawę, siedząc na patio w domu w Kassiopi na Korfu.

Usłyszała dzwonek telefonu.

Wsunęła stopy w klapki, podniosła się z białego plastikowego krzesła i weszła do pogrążonego w ciemności domu, mrużąc oczy po oślepiającym świetle wieczoru.

Aparat telefoniczny wisiał na przeciwległej ścianie pokoju.

Podniosła słuchawkę i odgarnęła pukiel jasnych włosów.

- Halo.

Tu Maggie Veritos.

Doszły ją tylko jakieś zgrzyty.

- Halo?

- powtórzyła.

Nadal cisza.

Westchnęła.

Nic nowego.

Sieć telefoniczna na Korfu była kiepska.

Żeby nie powiedzieć gorzej.

Najczęściej w ogóle nie dało się uzyskać połączenia, a jeśli nawet, to rozmowa była zagłuszana dziwnymi trzaskami, głos zanikał, aż w końcu telefon głuchł całkowicie.

Teraz jednak działał, oczywiście teoretycznie.

Rok po założeniu stał w kącie nie podłączony.

Stanowił jedynie ozdobę.

Maggie przyjęła ten fakt ze spokojem - nauczyła się, że nie należy popędzać mężczyzn z Korfu.

Mariana może i jest słowem pochodzenia hiszpańskiego, ale dobrze charakteryzowało postawę mieszkańców wyspy.

Prawie już straciła nadzieję, kiedy pewnego dnia pojawili się monterzy, i, ku jej zaskoczeniu, zostali tak długo, aż podłączyli urządzenie.

Obecnie należało tylko znaleźć kogoś, kto poprawiłby kable.

- Halo!

- powiedziała znowu bez większych nadziei, a kiedy trzaski nie ustały, odłożyła słuchawkę i wzruszyła ramionami.

Jeśli ktoś chce się z nią skontaktować, będzie próbował jeszcze raz.

Oczywiście okaże się, że to pomyłka - co często się zdarzało - albo któryś z przyjaciół z zaproszeniem na wieczór.

Albo to Ari dzwoni ze swojego biura w Kerkirze z wiadomością, że znowu przyjedzie później...

Maggie zacisnęła usta.

Ostatnio Ari często dzwonił z informacją, że się spóźni, a ona była przeświadczona, wręcz pewna, że coś kryje się za tymi ciągłymi wykretami i tłumaczeniami.

Przez jakiś czas starała się wybić sobie z głowy te podejrzenia.

Ari był bardzo zajęty - jako architekt pracujący na wyspie, która gwałtownie się rozwijała, miał pełne ręce roboty, a poza tym musiał dbać o przetrwanie swojej firmy i chwycił się każdej propozycji, jaką tylko mu składano.

Zresztą, był przecież typowym Grekiem.

Chociaż jego związki z rodziną wyglądały na bardzo ścisłe, kobiety traktował z nonszalancją.

Maggie dość szybko odkryła, że Ari nie zamierza zmienić się w posłusznego małżonka.

Po męczącej pracy w biurze lubił wpaść na drinka z "chłopakami" - starymi przyjaciółmi lub nowo poznanymi klientami.

Maggie próbowała nie czuć się dotknięta faktem, iż mąż nie spieszy się już do niej, jak było na początku małżeństwa.

Przekonywała samą siebie, że nie powinna narzekać, że jeśli zostawi mu wolność, w końcu Ari do niej wróci.

Ale było to wątpliwe pocieszenie.

Mogła znaleźć przyjaciół wśród Anglików i oczywiście miała też do dyspozycji rodzinę Ariego - jej członkowie byli sobie bardzo bliscy, a wszystkim z żelazną konsekwencją rządziła matka Ariego, głowa rodziny - ale Maggie pragnęła Ariego.

W końcu to dla niego przeniosła się do obcego kraju o innej kulturze.

Jego kochała i z nim chciała przebywać.

Potem okazało się, że Ari spotyka się nie tylko z "chłopakami".

Widywał się też z pewną kobietą.

Nazywała się Melina.

I Maggie nie wiedziała, co zrobić.

Przez jakiś czas stała z opuszczoną głową.

Świadomość, że mąż ma kochankę, ciążyła jej; nawet jeśli o tym nie myślała, ból zawsze tkwił na swoim miejscu i nie chciał odejść.

Może, zastanawiała się czasami, powinna zapytać go o tamtą - wyjawić mu, że zna prawdę.

Gdyby to była Anglia, a Ari był Anglikiem, Maggie z pewnością by tak postąpiła.

Ale mieszkali na Korfu, a Ari nie był Brytyjczykiem; mimo że kształcił się i praktykował w Anglii, pozostał Grekiem w każdym calu.

Od ich pierwszego spotkania minęły już cztery lata, prawie trzy od ślubu i dnia, w którym przywiózł ją na wyspę, a jednak Maggie często wydawało się, że w ogóle go nie zna.

Mimo że w pokoju, nagrzanym podczas słonecznego dnia, panowało przyjemne ciepło, Maggie zadrżała.

Ostrzegano ją oczywiście.

Każdy, kto wiedział cokolwiek na temat mieszanych małżeństw, a nawet ci, którzy nic o nich nie wiedzieli, mówili o trudnościach związanych z różnicami kulturowymi, wskazywali na statystyki, mówiące o niepowodzeniach par starających się je pokonać.

Twierdzili, że będzie straszliwie tęskniła za ojczyzną.

Nie zniesie życia z liczną rodziną męża, jeśli nawet nie pod jednym dachem, to drzwi w drzwi.

Sami bracia, wujkowie, kuzyni, wszyscy podporządkowani matce, do której niezmiennie należy ostatnie słowo w każdej dziedzinie życia, poczynając od wychowania dzieci, a kończąc na spisie tradycyjnych potraw podawanych na wspólnych niedzielnych obiadach.

A jeśli nawet pominąć to wszystko, mąż będzie się różnić od wszystkich mężczyzn, z jakimi do tej pory obcowiała, ponieważ ukształtowała go zupełnie obca jej kultura.

O tak, z całych sił starali się odwieść ją od tego małżeństwa ci ponurzy prorocy.

A najczarniejsze wizje rozwijała przed nią matka.

Rozumiem, kochanie, że wydaje ci się to bardzo romantyczne.

Ari jest niesamowicie przystojny, a Korfu to prześliczna wyspa - przynajmniej te miejsca, które nie są okupowane przez turystów.

Ale w końcu szydło wyjdzie z worka...

Możesz być tego pewna.

Przemawiała do córki tym swoim górnolotnym, podekscytowanym tonem, z trudem kryjąc w dźwięcznym i melodyjnym głosie chęć dominacji.

Była tak pewna swoich racji, że nie mogła po prostu uwierzyć, iż ktoś, a już najmniej któraś z jej córek, może postąpić wbrew jej przekonaniu.

Maggie czasami myślała, że gdyby nie sprzeciw matki, może nie spieszyłaby się tak z poślubieniem Ariego.

Jednakże fakt, że postąpiła inaczej niż jej radzono, stanowił jeden z powodów, dla których niechętnie się przyznawała do poniesionej porażki i unikała wszelkich posunięć, które mogłyby wywołać kryzys.

Wyszła za Ariego i przyjechała na Korfu z postanowieniem, że jej się uda; zawzięta i dumna nie pozwalała sobie nawet na myśl, że ponurzy prorocy mieli rację, a ona popełniła błąd.

Znowu zadrżała.

Weszła do sypialni, prawie w całości zajętej przez olbrzymie łoże, które dzieliła z mężem.

Miało ciemnobrązowy drewniany zagłówek i przykrywała je bawełniana kapa.

Maggie sięgnęła po jedwabną narzutkę i nałożyła ją na kostium kąpielowy, który o tej porze roku praktycznie stanowił jej drugą skórę.

Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze dużej staroświeckiej szafy - wysoka, szczupła dziewczyna, z ciepłą, złotą opalenizną, z włosami miękko spływającymi w naturalnych splotach na niebiesko - szkarłatny szlafroczek.

Dostała go od Ariego na zeszłoroczne urodziny.

Wypatrzyła go w jednym z niezliczonych ekskluzywnych sklepów w Kerkirze, zaopatrujących głównie turystów, i zakochała się w nim.

- Idź i go sobie kup - oświadczył Ari, kiedy mu o tym opowiedziała.

- Ale jest straszliwie drogi...

- Nie martw się tym, to nie ma znaczenia.

Ostatnio mam niezłe zyski, a poza tym rok jest bardzo pomyślny dla oliwek.

Rodzina Ariego posiadała kilka olbrzymich gajów oliwnych i tegoroczny zbiór okazał się wyjątkowo dobry.

Sprzyjała pogoda i drzewka oliwne obrodziły.

Chociaż zbierano z nich owoce co roku, jednak drzewa miały swój rytm i na zmianę dawały obfity i słaby plon.

Wielu właścicieli gai oliwnych miało kłopoty ze znalezieniem ludzi do zbiorów i w końcu zmuszeni byli albo rozłożyć pod drzewami siatki i w nie łapać spadające owoce, albo pozwolić im gnić.

Rodzina Ariego nie martwiła się o siłę roboczą.

Stare kobiety jak zawsze przychodziły na ich pola.

Zostawiały osły w cieniu drzew, by gryzły trawę, a same pracowały, nucąc pieśni.

Nie płacono im należycie, chociaż robota była straszliwie męcząca.

Maggie czuła się nieswojo, że te kobiety tak tyrają za nędzne wynagrodzenie, a rodzina Veritos siedzi sobie wygodnie i staje się coraz bogatsza.

- Nie wydaje mi się, że powinnam tyle wydawać na taki ciuch - zaprotestowała.

- Co się z tobą dzieje?

Powiedziałem, żebyś go sobie kupiła, prawda?

Zresztą niedługo są twoje urodziny.

- Wyciągnął z portfela kilka banknotów i położył je przed nią na stole.

- To powinno wystarczyć.

A za resztę kup sobie perfumy albo coś w tym stylu.

Och Ari, smutno pomyślała Maggie, gładząc jedwabny materiał.

Z pewnością mąż nie był skąpy, cokolwiek o nim mówić.

Jednak nie mogła pozbyć się myśli, że byłoby o wiele przyjemniej, gdyby sam poszedł i kupił jej prezent.

Poza tym dręczyło ją podejrzenie, że cała ta hojność bierze się z wyrzutów sumienia...

Maggie wyjęła papierosa z paczki leżącej na toalecie, zapaliła go, po czym wyszła przed dom.

Zapadał zmierzch, miękki i ciepły.

Dopiła mrożoną kawę, przeszła na koniec patia i usiadła na niskim murku oddzielającym dom od plaży, na której fale, ciemne i tajemniczo purpurowe, przewracały kamyczki.

Na horyzoncie morze łączyło się z niebem, tworząc niewyraźną, niebieskawą mgiełkę.

Maggie wiedziała, że patrzy na brzegi Albanii.

Ciszę przerywało tylko szczekanie psa, gdzieś z plaży, i pierwsze złowieszcze pohukiwania sowy ponad dachem domu w gaju oliwnym.

Właśnie to kochała w Korfu.

Poczucie braku czasu i spokój, wrażenie, że cywilizacja dotarła już bardzo daleko i wreszcie się zatrzymała, osiągając idealną równowagę przed zapadnięciem się w chaos.

Tutaj stare wartości nadal miały znaczenie; zbrodnia, przynajmniej na terenach wiejskich, praktycznie nie istniała, dzieci mogły bez obawy chodzić i bawić się, gdzie tylko chciały.

Dzieci.

Kiedy o nich pomyślała, ostry ból przeszył jej serce.

Jakieś pierwotne pragnienie zawładnęło całym ciałem Maggie.

Czasami tęskniła za dzieckiem tak bardzo, że wydawało się, iż ogarnia ją gorączka, czasami, tak jak teraz, był to słodki smutek zmieszany z pożądaniem spełnienia, które nie wiadomo dlaczego się wymykało.

Możliwe, że gdyby mieli dziecko, ich życie wyglądałoby inaczej.

Możliwe, że Ari wracałby do domu, gdyby czekał na niego syn.

Maggie niecierpliwie zaciągnęła się papierosem.

Na początku małżeństwa często rozmawiali na ten temat, leżąc w olbrzymim łożu podczas długich, leniwych popołudni, kiedy Ari wracał z biura na lunch i na tradycyjną sjęstę.

Bardzo ją dziwił sposób, w jaki dzielił swój dzień pracy na dwie części, przedpołudnia i wieczory, z godzinami popołudniowymi zarezerwowanymi na odpoczynek.

W zimie, z nadejściem pory deszczowej, drogi często stawały się nieprzejezdne i wtedy Ari namawiał ją, by przenieść się do mieszkania w mieście.

Jednak w czasie długich letnich miesięcy, zamiast dwa razy, jak to robili Anglicy dojeżdżający do pracy, czterokrotnie pokonywał drogę między Kassiope a Kerkirą, nic sobie z tego nie robiąc.

W końcu, bądź co bądź, sjęsta w krajach śródziemnomorskich to styl życia.

Maggie lubiła te godziny, kiedy leżeli obok siebie objęci, okryci jedynie świecącymi kropelkami potu.

Ari drzemiąc po olbrzymim posiłku składającym się z ryby albo moussaki lub też potrawy z ośmiornicy, ona przytomna, ponieważ nie nawykła jeszcze do tych poobiednich drzemek.

Kochali się - czyż na początku nie kochali się nieprzerwanie?

- On spał jakiś czas, a potem szeptem rozmawiali o nadziejach, planach i marzeniach, w parne, gorące popołudnia, a cały świat za ocienionym okiennicami pokojem zdawał się zastygać w bezruchu, oprócz fal uderzających o brzeg i wiatru z jego gorącymi podmuchami.

- Kiedy urodzi nam się syn, nazwiemy go Iannou, po jego dziadku.

Rozumiesz to, prawda?

- marzył Ari.

Leżał odsunięty od żony, ale jego dłoń spoczywała na jej brzuchu, jakby nowe życie już w nim rozkwitało.

- Tak, rozumiem.

To taki zwyczaj?

- Od wieków.

Widzisz, my wierzymy.

Starzy ludzie wierzą, że dusza zostaje przy imieniu.

Maggie nie skomentowała wypowiedzi męża.

Wiedziała, że nie należy z niego kpić.

Mieszkańcy Korfu byli ludźmi bardzo religijnymi - w większości ortodoksyjnymi.

Tak czy inaczej pomysł Ariego wydawał jej się wspaniały.

- A więc nasz pierwszy syn będzie nazywał się Iannou, ale ty będziesz mogła mówić do niego Yanny, w skrócie.

Będzie bardzo zdecydowany i inteligentny i zapiszemy go do dobrej szkoły w Anglii.

Chciałabyś, prawda?

Serce kobiety skurczyło się trochę zmrożone uczuciem tęsknoty.

Pomyślała o sobie i o swoim jeszcze nie narodzonym synu, który będzie musiał opuścić Korfu i wszystko, co jest mu znajome, po to, by uzyskać porządne angielskie wykształcenie.

- Tak - potwierdziła.

- Tak mi się wydaje.

Ale dopiero wtedy, kiedy będzie wystarczająco duży.

Będę za nim tęskniła.

- Ależ oczywiście, kochanie.

Najpierw pójdzie do przedszkola, tutaj na miejscu, potem do podstawówki.

A potem...

zobaczymy.

- Ari!

- zawołała, nagle wybuchając śmiechem.

- Rozmawiamy tak, jakby on się już urodził!

Nawet nie jestem jeszcze w ciąży!

- W takim razie musimy to naprawić.

I zaczniemy może...

teraz!

- Przyciągnął żonę do siebie, owiewając ją gorącym bijącym od swego ciała.

W tych dniach kochanie się z nim sprawiało jej prawdziwą przyjemność.

Subtelna angielska wrażliwość połączona ze śródziemnomorską żarliwością.

Jednak, mimo że robili to tak często - Maggie przekomarzała się, że w ciągu pół roku zniszczą łożo, które przetrwało cały wiek - nie zaszła w ciążę.

I to, co początkowo nie wydawało się niczym poważnym, ponieważ i tak miało się wydarzyć, z czasem zaczynało nabierać coraz większego znaczenia.

Maggie nauczyła się żyć pod ostrzałem pytających spojrzeń teściowej.

Przyzwyczała się już do poczucia braku własnej wartości, a zarazem do wielkiej tęsknoty, które to uczucia targały nią jednocześnie, kiedy przyglądała się dzieciom siostry Ariego, bawiącym się na plaży lub też biegającym po dróżce na tyłach czterech domów, tworzących rodzinną enklawę.

Siostra Ariego, Christina, wyszła za mąż w wieku osiemnastu lat, wyposażona w godną prika - posag - drzewa oliwne.

Maggie zdawała sobie sprawę, że w oczach teściowej od początku była kimś gorszym, ponieważ nie wniosła żadnego posagu.

A fakt, że do tej pory nie urodziła dziecka, które by kontynuowało ród Veritos, był czymś jeszcze bardziej haniebnym.

- Może powinniśmy zasięgnąć opinii lekarzy - odważyła się zaproponować po półtorarocznym okresie bezowocnego oczekiwania na dziecko.

Jednak Ari tylko się nachmurzył, zmarszczył ciemne brwi, tak że niemal złączyły się w jedną linię, i ostro popatrzył na nią zwięzonymi oczami.

- A po jakiego diabła?

- No cóż, żeby dowiedzieć się, dlaczego nie zachodzę w ciążę.

- Czyżbyś sugerowała, że ze mną jest coś nie tak?

- Ari, oczywiście, że nie!

Ale to jasne, że najrozsądniej byłoby sprawdzić, czy wszystko jest...

- Nie chcę, żeby jakiś doktorzyna wtrącał się do moich spraw ani też do twoich!

- przerwał jej.

- To jest nasze życie.

- Ale, gdyby to pomogło nam w poczęciu dziecka...

- Nie!

Mężczyźni z rodziny Veritos bez niczyjej pomocy potrafią spłodzić silnych synów.

Nigdy więcej nie poruszaj ze mną tego tematu.

Odwrócił się ze złością, a Maggie z trudem powstrzymywała się, by nie wybuchnąć płaczem.

Gwałtowna reakcja męża przygnębiła ją, ale też zaskoczyła.

Ogarnęło ją poczucie beznadziei i zrozumiała, że przegrała.

W grę wchodziła gwałtowna duma Greka - Ari odebrał jej propozycję jako napaść na jego męskość, choć z pewnością nie taki był jej zamiar.

Ani przez sekundę nie myślała, że jest bezpłodny; jeśli w ogóle, to raczej martwiła się o siebie.

Zawsze miała bolesne i nieregularne okresy, dlatego też zaczęła podejrzewać, że prawdopodobnie przydałaby się jej jakaś kuracja.

Jednakże Ari był tak nieugięty, tak całkowicie przeciwny nawet przedyskutowaniu problemu, że zupełnie nie wiedziała, w jaki sposób przekonać go, by spojrzał na to inaczej.

Wtedy po raz pierwszy dramatycznie odczuła różnicę w sposobie myślenia Greków i Anglików, i zaniepokoiła się.

W ilu jeszcze istotnych dziedzinach życia nie będą umieli znaleźć wspólnego języka?

Na razie jednak nic więcej nie mogła działać.

Może w końcu Ari przyjmie jej propozycję i przynajmniej ona poszuka pomocy lekarza.

Miała nadzieję i modliła się, że nie będzie to konieczne, ale miesiące mijały, a sytuacja nie ulegała zmianie.

I chociaż Ari nie poruszał więcej tego tematu, Maggie czuła, że mąż ogromnie się przejmuje, bo nie może przedstawić matce następnego wnuka, a ojcu chłopca noszącego nazwisko Veritos.

Siedząc teraz na niskim murku, czuła przygnębienie ogarniające ją niczym tuman chmur nisko nadciągających z otwartego morza.

Przybyła na Korfu przepelniona nadziejami, zakochana i przekonana, że ta zaczarowana wyspa, jak ją często nazywano, stanie się jej domem.

Starła się, naprawdę próbowała, ale mimo to wszystko się rozpadało.

I czasami wątpiła, że uda jej się poskładać swe życie na nowo.

Westchnęła, podniosła się i ruszyła w stronę domu.

Gdzieś w głębi czuła ból, który mógł brać się z braku łez, bo Maggie rzadko płakała.

Po co?

Płacz niczego nie rozwiązuje.

W połowie drogi ponownie usłyszała brzęczyk telefonu.

Kiedy siedziała na murku, nie mogła go słyszeć.

Wbiegła do domu z nadzieją, że będzie dzwonił tak długo, aż do niego dotrze.

Podniosła słuchawkę.

- Halo?

Znowu usłyszała zgrzyty, ale ponad nimi doszedł ją męski głos.

Nie należał do Ariego - to był Anglik.

- Czy mówię z Maggie Veritos?

- Tak - potwierdziła.

- Tu Maggie Veritos.

Z kim mam przyjemność?

- Mike Thompson.

- Mike...

- Przez chwilę w jej głowie panowała pustka.

- Przyjaciel Ros?

- Tak.

Martwiłem się, że nie będziesz mnie pamiętała.

Pamiętała bardzo dobrze.

Szczeniara z ciebie, on jest super - stwierdziła, po tym jak siostra przedstawiła ich sobie podczas jej ostatniego pobytu w Anglii.

Ros uśmiechnęła się i odpowiedziała trochę gorzko: - Może już czas, żebym i ja łyknęła nieco szczęścia.

Muszę wynagrodzić sobie Brendana, mojego wiecznie zakochanego eks - męża.

- Maggie nie skomentowała wypowiedzi siostry.

Wyglądało na to, że obie nie miały szczęścia do mężów.

Już wtedy jej stosunki z Arim straszliwie się popsuły.

- Naturalnie, że cię pamiętam - zapewniła.

- Po prostu jestem bardzo zdziwiona, to wszystko.

Skąd dzwonisz?

Przyjechałeś na Korfu?

- Nie, jestem w Anglii.

Maggie poczuła niepokój.

Po jakiego diabła Mike do niej dzwoni, i to z Anglii?

- Czy coś się stało?

- zapytała lekko zdenerwowana.

- Chodzi o mamę?

Zachorowała?

- Nie, nie, nie chodzi o twoją matkę, ale o Ros.

- Ros!

- Palce Maggie mocniej ścisnęły słuchawkę, a ramionami wstrząsnął niewielki dreszcz.

- Przydarzyło jej się coś złego?

- Chciałem sprawdzić, czy przypadkiem nie ma jej u ciebie?

- U mnie?

Nie.

Ale dlaczego?

Nastąpiła krótka przerwa, potem Mike powiedział: - Miałem nadzieję, że pojechała do ciebie.

Trochę się...

no cóż, martwię się o nią.

Wygląda na to, że zaginęła.

Maggie odgarnęła włosy z twarzy.

- Co to znaczy: zaginęła?
- Nie mam pojęcia, gdzie ona jest.
- Chcesz powiedzieć, że cię rzuciła?
- Nie, raczej nie.

Wyjechałem na tydzień na obóz z dziećmi ze szkoły i kiedy wróciłem, nie zastałem Ros.

Jej mieszkanie jest zamknięte, koledzy w Vandinie nie mają pojęcia, gdzie się podziewa, podobnie twoja matka.

Miałem nadzieję, że ty coś wiesz.

- Nie, niestety - zaprzeczyła Maggie.
- Nie kontaktowałam się z nią od kilku tygodni.

Dzwoni do mnie raz na jakiś czas, ale trudno się połączyć z Korfu, a żadna z nas nigdy nie lubiła pisać listów.

Może pojechała w odwiedziny do jakichś znajomych?

Ma ich wielu w Londynie.

- Bardzo prawdopodobne.

Jednak to nie w jej stylu wyjechać bez powiedzenia komukolwiek, dokąd się udaje.

Mnie nie było, to prawda, ale mogła zostawić adres w Vandinie na wypadek, gdyby ktoś jej potrzebował.

Sama wiesz, jaka jest, kiedy w grę wchodzi praca.

- Tak, to jej obsesja.

Praca zawsze była przedmiotem żartów obu sióstr.

Nie rozumiem, jak możesz wysiedzieć w domu przez cały dzień i w dodatku nic nie robić?

- dziwiła się Ros podczas swojej ostatniej bytności na Korfu.
- Ja bym zwariowała!

Słońce, morze, piasek, wszystko wspaniale, ale po tygodniu usychałabym z tęsknoty za swoim telefonem i biurkiem!

- Wyobraża sobie, że jest niezastąpiona, i wcale bym się nie zdziwił, jeśli byłaby to prawda.

- Mike wygłosił to zdanie niby beztrąsko, ale Maggie wyczuła w jego głosie strach, który wyraźnie chciał przed nią ukryć, żeby jej nie zdenerwować.

- No cóż, przykro mi, Maggie, że zawróciłem ci głowę.

Myślałem po prostu, że może ty mi coś wyjaśnisz.

- Niestety, Mike, nie potrafię ci pomóc.

Co teraz zrobisz?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co więcej mogę zrobić, oprócz zastanawiania się, gdzie ona jest.

- Spróbuj skontaktować się z jej przyjaciółmi w Londynie.

- Chyba masz rację.

Chociaż wydaje mi się, że policja też ich sprawdzi.

- Policja!

Jak to policja?

Mike przez chwilę milczał.

Na linii dały się słyszeć złowieszcze trzaski, zapowiedź zerwania połączenia.

W końcu nieco speszonym głosem oświadczył: - Dziś po południu zgłosiłem jej zaginięcie na policji.

- Na policji?

- Tak.

- Na policji!

- powtórzyła Maggie, zaczynając pojmować powagę sytuacji.

- Chcesz powiedzieć...

naprawdę myślisz, że spotkało ją coś złego?

- Mam nadzieję, że tak nie jest.

Jednak wydawało mi się, że lepiej zrobię, zawiadamiając policję, tak na wszelki wypadek.

Posłuchaj, Maggie, przykro mi, jeśli cię przestraszyłem.

Nie miałem takiego zamiaru.

Przypuszczalnie rozwiązanie tej zagadki jest bardzo proste.

- Ale jego głos nie brzmiał przekonująco.

- Powiadomię cię, jak tylko dowiem się czegoś nowego.

- Mike...

- Zgrzyty.

Cisza, a po niej przeciągłe brzęczenie.

- Mike!

- powtórzyła szybko raz jeszcze, ale połączenie zostało przerwane.

Maggie odłożyła słuchawkę i wstała.

Przyciskając palce do ust, pogrążyła się w gorączkowym myśleniu.

Ros zaginęła?

To niedorzeczność - po prostu nie trzyma się kupy.

Ale nie ulega wątpliwości, że Mike był przejęty.

Maggie poznała go na tyle, by stwierdzić, że nie jest osobą ulegającą panice.

Poza tym wszystko, co powiedział, brzmiało rozsądnie.

Ros nie wyjechałaby ot tak sobie.

Nie rzuciłaby wszystkiego bez słowa.

A już z pewnością nie zapomnieliby o zawiadomieniu swoich pracodawców.

Maggie znowu przypomniała sobie ostatnią wizytę Ros na Korfu.

Spędziła tu tylko tydzień, ale i tak przed przyjazdem pracowała po godzinach, żeby, jak powiedziała siostrze, wszystko toczyło się jak należy.

Przez cały czas zżerała ją niepewność, czy przypadkiem coś złego nie dzieje się w firmie, kiedy jej tam nie ma.

Albo nagle jej charakter uległ całkowitej zmianie, albo musiała mieć bardzo ważny powód, żeby zniknąć w ten sposób.

Bardzo istotny powód...

lub zdarzyło się coś strasznego.

Brendan, pomyślała Maggie i zamarła.

Och Boże, czy Brendan mógł mieć z tym coś wspólnego?

Brendan był eks - mężem Ros.

Kiedyś szykowała mu się świetlana przyszłość w mediach.

Przez krótki czas prowadził swój własny program w radio, a nawet pokazywał się w telewizji.

Kiedy zaczął spotykać się z Ros, zrobił na Maggie oszałamiające wrażenie.

Taki czarujący młody chłopak.

Ale przegapił swoją szansę, miał skłonności do lekkiego życia - i do butelki - i zniszczył też małżeństwo z Ros.

Maggie domyślała się, że siostra przechodziła z nim gehennę, chociaż ta starała się najgorsze zachować w tajemnicy.

Kryła męża, udając przed matką i przed nią, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Wymyślała historie o potknięciu się na schodach albo o wpadnięciu na drzwi, żeby wyjaśnić siniaki, które często pojawiały się na jej twarzy i ramionach.

W końcu nie była w stanie znieść więcej i przyznała: Brendan był chorobliwie zazdrosny, miał gwałtowny charakter i pił, a podczas

zamroczenia alkoholowego pozwalał, by jego wyobraźnia brała górę nad rozsądkiem, i często nie potrafił powstrzymać się przed użyciem pięści.

Ros zostawiła go, ale ich kontakt nie urwał się.

Brendan nie przyjął do wiadomości rozstania.

Nachodził Ros, straszył, czekał na nią przed jej mieszkaniem.

Maggie przypomniała sobie pewną okropną noc, kiedy akurat spała u siostry.

Brendan stał pod drzwiami, walił w nie, domagając się, by go wpuściły.

Wywrzaskiwał przeróżne wyzwiska, a nawet potracił swoim samochodem samochód Ros.

W końcu musiały wezwać policję, by go zabrała, po czym, kiedy wreszcie nastąpiła cisza, przesiedziały całą noc rozmawiając i rozmawiając.

Nie było mowy, aby któraś z nich mogła po tych przeżyciach zasnąć.

Nigdy przedtem Maggie nie widziała siostry tak roztrzęsionej.

Nie mogąc dalej ukrywać prawdy, Ros opowiedziała Maggie, jak się rzeczy miały.

- Jestem przerażona - wyznała.

- On jest tak straszliwie zazdrosny, że wygląda to na jakieś opętanie.

Zawsze taki był.

- Nie dałaś mu ku temu żadnych powodów?

- dopytywała się Maggie.

Ros potrząsnęła głową.

- Brendanowi niepotrzebne są żadne powody.

To znaczy nie te realne.

Wszystko tkwi w jego umyśle.

Może być miło, jesteśmy w jakiejś przytulnej restauracyjce, a on nagle zmienia się, bez powodu, bo wydaje mu się, że ktoś mi się przygląda albo stara się mnie poderwać, Każe mi w jednej chwili wychodzić, wracamy do domu, a wtedy najczęściej zrzuca wszystko na mnie, że to niby ja kogoś tam prowokowałam.

Bije mnie, Maggie, i szczerze mówiąc, boję się go jak nikogo na świecie.

- Ale przecież porzuciłaś go - zauważyła siostra.

- Już z nim nie jesteś.

Ros wybuchnęła gorzkim śmiechem.

- Nie jestem pewna, czy Brendan to rozumie.

Kiedys mi powiedział: "Jeżeli nie będziesz moja, nie będziesz należała do nikogo innego".

- To tylko gadanie - pocieszyła ją Maggie.

- Z czasem przeboleje wasze rozejście i zostawi cię w spokoju.

- Tak myślisz?

Nie byłabym tego taka pewna.

- Nigdy naprawdę by cię nie skrzywdził, Ros - z przekonaniem stwierdziła siostra.

- Jeśli cię kocha, nie pozwoli sobie na zrobienie ci czegoś złego.

Sama prawie w to wtedy uwierzyła.

Chociaż nadal w jej uszach rozbrzmiewały odgłosy walenia pięściami w drzwi, trudno było jej wyobrazić sobie, że Brendan mógłby być rzeczywiście niebezpieczny...

takie rzeczy zdarzały się jedynie w zmyślonych historiach drukowanych w gazetach.

Nie w realnym życiu...

Minał jakiś czas.

Brendanowi nie pozostawało nic innego, jak uznać, że musi zostawić Ros w spokoju, i Maggie zupełnie zapomniała o minionych wydarzeniach.

Jednak teraz przeczucie nieszczęścia, czające się dotąd gdzieś w ukryciu, zaczęło narastać wraz ze wspomnieniami.

Czy to możliwe, że Brendan zamieszany jest w zniknięcie Ros?

Och, z pewnością nie!

Minęło już tyle czasu.

Ale co się da powiedzieć o mężczyźnie tak opętanym zazdrością jak Brendan?

Kto wie, co on tam sobie wymyślił, jakie fantazje zaprzętały jego umysł przez cały ten czas?

Skąd wiadomo, że coś nagle nie popchnęło go do działania?

Maggie już dość długo nie rozmawiała szczerze z siostrą.

A jeżeli Brendan zaczął ją na nowo nachodzić, wściekły, że Ros spotyka się z innym mężczyzną?

Może przez cały czas czekał na odpowiednią okazję?

Mike powiedział, że wyjechał na obóz.

Jeżeli Brendan o tym wiedział, mógł wykorzystać nadarzającą się sposobność...

Maggie zdała sobie sprawę, że cała się trzęsie.

Sięgnęła po następnego papierosa, próbując zapalić go drżącymi dłońmi.

Mocno się zaciągnęła.

Rany boskie, Ros, co się z tobą dzieje?

Czy wpadam w panikę bez powodu?

Prawdopodobnie tak.

Pewnie czuję się taka bezradna, bo dzieli nas ogromna odległość.

Ale Mike też był przestraszony.

Słyszała to w jego głosie, zresztą to i tak było oczywiste.

Nigdy by do niej nie zadzwonił, gdyby się naprawdę nie niepokoił.

Nie zgłosiłby też zaginięcia Ros na policji, jeśli by nie uważał, że przydarzyło jej się coś strasznego.

Och, gdybym tylko mogła tam być, pomyślała i prawie natychmiast wiedziała, co chce zrobić.

Chce pojechać do domu i pomóc Mikeowi odszukać Ros.

Przez kilka minut siedziała, rozważając ten pomysł.

Wydawał się pochopny, ale z drugiej strony potrafiła go uzasadnić.

Może przecież zasugerować jakieś miejsce pobytu siostry, o którym Mike nie jest w stanie pomyśleć - kiedyś były sobie bardzo bliskie i nie powinna tego ignorować.

A przynajmniej będzie na miejscu.

Nie potrafiła znieść myśli, że zostanie tutaj i po prostu będzie czekać na dalsze informacje od Mikea.

Energicznym i zdecydowanym ruchem przydusiła papierosa.

Postanowiła od razu rozpocząć pakowanie, a z samego rana sprawdzić rozkład lotów do Anglii.

O tej porze roku samoloty powinny często kursować; z pewnością uda jej się zarezerwować miejsce w jednym z nich.

Ariemu to się na pewno nie spodoba - ale do diabła z nim!

Ros jest jej siostrą, o którą się potwornie boi.

Poza tym Ari zachowuje się tak, jak jemu wygodnie - dlaczego nie miałyby postąpić podobnie?

Rozdział trzeci.

Dinah Marshall popatrzyła na stertę papierów i dokumentów piętrzących się przed nią na biurku i pomyślała, że niczego na świecie nie nienawidzi bardziej niż papierkowej roboty.

Długie, upstrzone słowami sprawozdania wprawiały ją w zakłopotanie.

Jej uwaga niezmiennie umykała do innych spraw, zanim zdołała przeczytać kilka pierwszych paragrafów - komputerowe wydruki zestawień giełdowych, zamówień i rejestry sprzedaży stanowiły dla niej jedynie niezrozumiałą plątaninę liter, zatrwającą dobrze zorganizowaną, ale jednak tylko plątaninę.

Założenia na przyszłość były jeszcze gorsze.

Kombinacja liczb i zestawień, które wydawały się nie mieć znaczenia, za to wywoływać wrażenie, iż jest beznadziejnie niekompetentna - coś w rodzaju szeleszczącego białego - czarnego piekła, z którego nie można się wydostać.

Kłopot nie polegał na tym, że była głupia - zupełnie nie.

Po prostu jej twórczy, błyskotliwy umysł nie działał na takich zasadach.

Dinah potrafiła wyobrazić sobie różne rzeczy, czuła je, tworzyła swoimi zręcznymi palcami.

Podniecał ją zapach skóry i dotyk miękkiego, delikatnego jedwabiu.

Stronice porządnie wydrukowanych kolumn składających się z cyfr powodowały, że chciała uciekać.

Ale nie mogła tego zrobić.

Była uwięziona w swoim nowoczesnym studiu, a Liz Christopher, jej sekretarka, była strażnikiem.

Siedziała przy maszynie do pisania w pokoju obok i czekała na wezwanie szefowej, która po przeczytaniu poczty powinna podyktować jej odpowiedzi, przedyskutować plan na cały dzień i przejrzeć terminarz spotkań.

Dinah westchnęła i przeczesała palcami krótko obcięte, jasne jak srebro włosy.

Nienawidziła też tego biura, nie znosiła jego perfekcyjnego wystroju i błyszczącej lakierem sosnowej boazerii i mebli.

Denerwowały ją krzesła obite miękką niebieską skórą oraz granatowy dywan o długim włosiu, nadający pomieszczeniu luksusowy wygląd.

Drewno powinno móc oddychać, pomyślała, skóra na obiciach winna być nieco wytarta.

A na podłodze, gdzieś tam, powinny leżeć dywaniki, a nie ta, sięgająca od ściany do ściany, praktyczna rzecz.

Bardzo często, przyglądając się pomieszczeniu, całym sercem tęskniła za przytulnym, choć niemodnym, małym studio w zniszczonym budynku, w którym niegdyś pracowali.

Może i nie było zbyt wygodne, bo brakowało miejsca i trudno było odnaleźć przeróżne przedmioty, w zimę marzli, bo ogrzewał ich tylko przenośny piecyk gazowy, ciągnęło spod wypaczonych drzwi i staromodnych okien.

Brakowało tam również tych wszystkich nowoczesnych urządzeń, które mają wywrzeć wrażenie na klientach, ale był to dom!

Dinah szczerze wierzyła, że większość jej najlepszych pomysłów powstała właśnie tam.

Ale oczywiście, to przeświadczenie mogło się wiązać z ogólną atmosferą tamtych dni, bardziej z ekscytującą wizją przyszłości niż z samym otoczeniem.

Zgrzeszyłaby, uskarżając się na warunki w nowym biurze.

Fabrykę wraz z budynkiem biurowym postawiono na przepięknym wiejskim terenie - uzyskanie zgody planistów na budowę było sukcesem samym w sobie a widok rozciągający się za oknami Dinah był spokojny i imponujący; zielone pola z pasącymi się krowami, poprzecinane jedynie rzędami krzewów i kępami drzew, które teraz, w środku lata, obsypały się gęstym listowiem.

Jeżeli chodzi o same budynki, Van wynajął najlepszych architektów i dekoratorów wnętrz, wymagając od nich, by stworzyli obiekt funkcjonalny, ale też artystycznie doskonały.

Jego zdaniem Vandina musiała utrzymać swój międzynarodowy wizerunek, a więc nie bez znaczenia było wrażenie elegancji i bogactwa.

I prawdopodobnie miał rację - prawie na pewno ją miał.

Czy kiedykolwiek Van zawiódł się na swoim instynkcie?

Na nowym miejscu Vandina przeżywała ciągły rozwój, odniosła sukces, który stał się legendą w świecie mody, i Dinah zmuszona była

przyznać, że po raz kolejny Van we właściwy sposób realizował swe pomysły.

Z przyjemnością pozostawiała sprawy organizacyjne mężowi i koncentrowała się na tym, co robiła najlepiej - na obserwacji rynku, nowych kierunków w modzie oraz wymyślaniu własnych trendów.

Ale nie było już przy niej Vana.

Nie mógł więcej zajmować się codziennymi problemami, nie tworzył już mistrzowskich, długoterminowych planów.

Przed rokiem uderzył swoją Cessną w zbocze wzgórza w Gloucestershire, a Dinah nadal pozostawała w żałobie po nim, nadal tęskniła za mężem, jakby wypadek wydarzył się poprzedniego dnia.

Po śmierci Vana myślała, że nastąpił koniec świata.

Czuła się tak, jak gdyby ktoś wyrwał jej serce i na jego miejscu pozostała wielka, bolesna rana, która nie chciała się zagoić.

Na początku wielokrotnie żałowała, że nie znajdowała się u boku męża w samolocie i nie zginęła razem z nim.

Ona i Van byli ze sobą tak długo, że z trudem przypominała sobie czasy, kiedy go nie kochała.

Przyszłość bez niego była zbyt ponura, żeby o niej myśleć.

Śmierć męża była nie tylko dla niej katastrofą.

Pozostawała jeszcze firma - firma, którą Van kontrolował i po mistrzowsku kierował od samych jej początków.

W jaki sposób, do diabła, miała sobie dać radę sama?

- zastanawiała się, kiedy minął pierwszy szok, a ona mogła na dłużej skoncentrować myśli.

Czy Vandina ma szansę przetrwać bez niego?

Potrzeba pracy była na szczęście bardzo mocna - praca stanowiła jedyny środek uśmierzający ból, który targał całym jej jestestwem - poza tym musiała prowadzić firmę przez pamięć dla Vana.

Vandina była ich marzeniem.

Razem ją zbudowali.

Teraz stanie się jego pomnikiem.

Oczywiście Dinah mogła poprosić o radę rozlicznych doradców.

Vandina nie mogła rozrosnąć się do takich rozmiarów bez rzeszy prawników i księgowych, bez sztabu średnich dyrektorów i olbrzymiego działu sprzedaży.

Dinah zasięgnęła porad, po czym wybrała najlepszych i na ich barki złożyła odpowiedzialność za pracę ich działów.

Zaangażowała nową projektantkę, osobę obdarzoną dużą wyobraźnią, Jayne Peters - Browne, żeby przejęła część jej zadań, a sama, po swojemu, starała się zapanować nad sytuacją.

Była to straszna walka i Dinah nienawidziła jej.

Ale mimo to, z pomocą całego zespołu, udawało się utrzymać firmę na powierzchni - albo też tylko jej się tak wydawało.

Ostatnie kilka dni nieco podkopały to przekonanie.

Ros Newman, jej osobista asystentka, poszła na niespodziewany urlop.

Otoczona stosami dokumentów, które właśnie nadeszły do rozpatrzenia, Dinah zaczynała rozumieć, jak ważną rolę odgrywała Ros.

Westchnąwszy, sięgnęła po okulary i założyła je.

Metalowa oprawka nieprzyjemnie wbijała się w nasadę nosa, więc poprawiła ją dłonią o starannie wymodelowanych paznokciach.

Wiedziała, że oprawka nie była najlepiej zaprojektowana.

Nie nadawała się do dłuższego noszenia, ale Dinah podobała się sobie w tych okularach - wyglądała w nich elegancko i profesjonalnie.

W innych sprawiała wrażenie, przynajmniej w swoim przekonaniu, "mamuśki" - a z pewnością nie o to jej chodziło.

Te obawy były zupełnie bezpodstawne, chociaż Dinah zbliżała się do pięćdziesiątki.

Rozjaśnione włosy, ukrywające siwiznę, która zaczęła przeświecać pomiędzy naturalnie srebrzystymi kosmykami, obcięła krótko, w zgrabną fryzurę harmonizującą z twarzą.

Ta znów, prawie pozbawiona zmarszczek, z minimalnym makijażem, charakteryzowała się świeżą cerą.

Dinah stanowiła dowód skuteczności terapii hormonalnej, której była entuzjastką.

Zachowała szczupłą i zgrabną sylwetkę dzięki rygorystycznej diecie oraz ćwiczeniom w klubach i w domowej sali gimnastycznej, chociaż po śmierci Vana nie była w stanie zmusić się do korzystania z niej.

Oczywiście miała doskonały gust co do sposobu ubierania się, choć, o dziwo, wybierała rzeczy dość spokojne.

Lubiła czerń; od śmierci Vana nie zakładała praktycznie niczego w innym kolorze - czarne sukienki, czarne minispódniczki z czarnymi

pończochami, takie same sweterki polo lub wycięte, proste spodnie, oczywiście ciemne, numer za duże czarne marynarki, męskie w stylu.

Teraz miała na sobie kostium szyty na zamówienie, obowiązkowo krótką spódniczkę, żakiet do pasa i dopasowaną, doskonale skrojoną czarną bluzkę z jedwabiu.

Czekało ją dzisiaj ważne spotkanie, więc powinna wyglądać nieco bardziej formalnie.

Ale najpierw musiała przejrzeć te nudne papierzyska leżące na jej biurku.

Przeglądała je jeden po drugim, z ulgą odkładając te, które mogła zwrócić, starając się wyciągnąć jak najwięcej informacji z tych, które w późniejszym czasie wymagać będą od niej profesjonalnej dyskusji z dyrektorami właściwych działów.

Odłożyła na bok komputerowy wydruk nowych wzorów bluzek, które planowała włączyć do najnowszej kolekcji.

Przejrzy je później.

Przynajmniej to będzie przyjemnym zadaniem.

Następnie podniosła wycinek gazety z zaznaczonym fragmentem tekstu.

Natychmiast rozpoznała, z jakiego kobiecego pisma pochodzi, zresztą często pisano w nim też o Vandinie.

Jednak nie tym razem.

Tytuł artykułu brzmiał: "Torby wspaniałości".

Był o firmie Reubens, zupełnie nowej na rynku dodatków ubraniowych.

W momencie, kiedy Dinah uzmysłowiła to sobie, krew w niej zawrzała.

Skończyła artykuł, po czym przeczytała go jeszcze raz, trzęsąc się ze złości.

Następnie sięgnęła do intercomu i nacisnęła brzęczyk przywołujący Liz.

Po chwili obite niebieską skórą drzwi uchyliły się, a zza nich pokazała się sekretarka, trzymająca w ręku notatnik, ołówek i terminarz spotkań.

- Czy już skończyła pani przeglądać korespondencję, pani Marshall?

- Widziałaś to?

- zapytała Dinah, wbijając w papier różowy paznokieć.

Liz Christopher kiwnęła głową.

Była doskonałą sekretarką, ładną, chociaż trochę zbyt okrągłą dziewczyną, której owalna twarz stawała się niemalże piękna, kiedy jej właścicielka uśmiechała się.

Teraz jednak nie było jej do śmiechu.

- Tak, pani Marshall.

Znalazłam ten artykuł w porannej gazecie.

Pomyślałam, że powinna go pani przeczytać.

- Nie mogę uwierzyć własnym oczom!

- zawołała Dinah gwałtownie.

- Jeśli wierzyć temu, co tu napisali, Reubens prezentuje dokładnie taką samą kolekcję torebek.

Chciałam wystawić je na wiosnę.

, - Wiem.

To bardzo dziwne, prawda?

- Gorzej niż dziwne, to katastrofa.

Te torebki miały być nowością.

Pasują do naszego stylu, ale użyto do nich całkowicie innych zestawów materiałów, naturalnych, do tego polerowane uchwyty, dodatki z zamszu i skóry.

Reubens wpadł na coś bardzo podobnego i zdradził szczegóły, zanim my to zdążyliśmy zrobić.

Usunęli nam ziemię spod nóg.

- To tragiczne - zgodziła się Liz.

- Jednak takie przypadki się zdarzają.

Dinah prychnęła ze złości.

To prawda; w ciągłej pogoni za czymś nowym zdarzało się, że dwóch zupełnie niezależnych projektantów wpadało na ten sam pomysł.

Niektórzy uważają, że w grę wchodzi podświadome przekazywanie myśli, tak jakby projektanci podłączali się do tego samego pola twórczego, inni po prostu twierdzą, że takie zbieżności są nieuniknione.

Nie można uniknąć sytuacji, kiedy dwóch albo kilku projektantów czy też firm wprowadza podobne innowacje, a to dlatego, iż usilnie starają się wymyślić coś oryginalnego, a przynajmniej coś, co różni się od trendów obowiązujących już przez jakiś czas.

Twierdzą, że ludzie nie są w stanie wymyślić niczego nowego, a tylko mogą przedstawić to inaczej.

Dinah nie wiedziała, czy podziela którąkolwiek z tych teorii.

Odniesione sukcesy pozwalały jej na odrobinę arogancji, a jako osoba, która kreuje modę, nieraz miała do czynienia z imitatorami.

Ich poczynania nigdy nie zagrażały firmie.

Dzięki jakości wyrobów Vandina była konkurencją na łeb, na szyję.

Fakt, że zawsze jako pierwsi wprowadzali nowości, czynił ich niezniszczalnymi.

Oczywiście istniały sieci sklepów, takie jak na High Street, ale te sprzedawały tanie i niskiej jakości podróbki.

Vandina szukała innych odbiorców.

Jednak Reubens...

to zupełnie co innego.

Reubens pojawił się na scenie przed kilkoma sezonami i wyraźnie zamierzał odebrać Vandinie kawałek rynku.

Kiedy powstawali, Van jeszcze żył, i od razu, dzięki swej sławnej intuicji, wyczuł poważne zagrożenie.

- Ktoś pakuje w nich forszę - prorokował ponuro.

- Nie wiem jeszcze kto.

Z jakiegoś powodu chce pozostać nie znany.

Jasne, że w końcu to się wyda, nie może pozostać anonimowy na zawsze.

Znajdzie się ktoś, kto nie będzie umiał utrzymać języka za zębami.

Ale na razie lepiej na nich uważać, bo inaczej możemy przegrać w tej walce.

Wtedy Dinah puściła krakanie męża mimo uszu.

Nie lubiła zbyt angażować się w politykę firmy.

Przejmowanie się konkurencją, udziałami i tysiącem spraw związanych z prowadzeniem przedsiębiorstwa hamowało jej inwencję twórczą.

Jej zadaniem w tej spółce było wynajdywanie pomysłów, Van zaś zajmował się administracją.

Wiedziała, że dopilnuje, by Reubens nie stał się naprawdę niebezpieczny.

Obecnie wyglądało na to, że Reubens rzeczywiście staje na drodze Vandiny, co potwierdzało słowa Vana - ale nie było go, by zdjąć ten ciężar z jej barków.

Do diabła z Reubensem, który wychodzi z tak podobnym pomysłem.

Całkowicie pokrzyżowali jej plany.

Niech ich szlag trafi, że włożą jej w drogę akurat teraz, kiedy potrzebuje spokoju.

Musi na nowo przemyśleć wiosenną kolekcję.

Ponieważ Reubens ujawnił swoje plany, powinna zmienić swoje, żeby nie oskarżono jej o plagiat.

Tylko że kolekcja stanie się niepełna, chyba że znajdzie coś w zastępstwie, ale przecież już złożyła zamówienie na materiał.

Albo odwoła zamówienie, co z pewnością pociągnie za sobą nieprzyjemne konsekwencje, albo wymyśli jakiś sposób na zużycie materiału przy innym wyrobie.

Cholera, cholera, cholera!

I wszystko to dzieje się właśnie wtedy, gdy Ros, jej najważniejsza asystentka, jest nieobecna.

Nawet bez zmartwienia z Reubensem Dinah miała mnóstwo kłopotów.

Nie potrzebowała zaglądać do kalendarzyka, wiedziała, co tam jest napisane - spotkanie z przedstawicielem związku w celu ustalenia podwyżek, następne z dyrektorem fabryki, w której Vandina złożyła zamówienie na części potrzebne do krótkiej serii biżuterii, a potem lunch z jednym z najpoważniejszych klientów Vandiny.

Tego nie mogła opuścić - dla dobra stosunków osobiście musiała podejmować kupca i dbać, by jego kieliszek w czasie obiadu zawsze był napełniony szampanem - jednak jeśli chodzi o spotkanie z dyrektorem firmy wytwarzającej biżuterię, Ros z powodzeniem dałaby sobie radę sama, tak jak i z przedstawicielem związków zawodowych.

Teoretycznie to Dinah miała się z nim spotkać, ale Ros kierowałaby rozmową, uważając, by szefowa nie wpadła w jakąś pułapkę w trakcie negocjacji ze związkowcem, który w najlepszym układzie okaże się szorstki, a w najgorszym otwarcie agresywny.

Dinah nienawidziła tego typu starć.

Nie widziała niczego ekscytującego w walce o warunki umowy, nie czuła satysfakcji, kiedy udało jej się wywieść w pole rozmówcę po to, by Vandina osiągała jak najwyższe zyski.

Dzięki Bogu, George Pitman, człowiek prosty i mówiący bez ogródek, nie zauważył chyba jeszcze, że po każdej utarczce z nim Dinah cała się trzęsła.

Dopóki żył Van, chronił ją przed różnymi nieprzyjemnościami, po jego śmierci stało się to zadaniem Ros.

Dlaczego wybrała właśnie ten moment na nie planowane wakacje?

Nigdy dotąd nie postępowała w ten sposób, a przecież pracowała w Vandinie już sześć lat, zaczynając jako praktykantka w dziale sprzedaży.

Od samego początku spisywała się znakomicie, a przy tym doksztalała się, i po dyplomie projektantki zdobyła tytuł magistra ekonomii.

Van szybko zwrócił uwagę na jej zdolności, po czym promował ją na odpowiedzialne stanowisko osobistej asystentki szefowej.

Dinah nie mogła sobie przypomnieć, czy choć raz zdarzyło się, by Ros nie było, kiedy jej potrzebowała.

A po śmierci Vana, tak nagłej i szokującej, z pewnością nie podołałaby obowiązkom, gdyby nie asystentka.

Ros była spokojna i pracowita - Dinah ani razu nie widziała jej zagubionej czy zdenerwowanej - a ponadto doskonale dogadywała się z ludźmi.

Otaczała ją aura pewności siebie, co wzbudzało szacunek.

I jeszcze miała dar kojenia zadrażeń.

Ale przede wszystkim można było na niej polegać.

W przeciwieństwie do pozostałych pracowników nigdy nie chorowała, a jeśli wyjeżdżała na urlop, zawsze planowała go na długo naprzód i wyznaczała jego termin na najspokojniejszy okres w Vandinie.

Nie chciała, by podczas jej nieobecności sprawy w biurze zamierały, więc, nie pozostawiając niczego przypadkowi, robiła mnóstwo notatek, przeznaczonych dla osoby, która miała przejąć jej obowiązki, a brała pod uwagę różne scenariusze wydarzeń.

Pod kierownictwem Ros biuro działało nienagannie i dopiero w sytuacjach, kiedy jej brakowało, Dinah uświadamiała sobie, jak dużo zależy od jej asystentki.

A ostatni tydzień to już naprawdę piekło.

Dinah westchnęła.

Mała zmarszczka pojawiła się na jej czole, więc roztarła ją dwoma palcami.

Nie rozumiała, dlaczego Ros wyjechała.

Kiedy Liz przed tygodniem powiadomiła ją, że dziewczyna dzwoniła z wiadomością, że chce wziąć urlop, Dinah po prostu zamurowało - zamurowało, ale i zdenerwowało.

Tak po prawdzie nie przyszło jej nawet do głowy, żeby zastanowić się, co kryje się za tym zupełnie niecodziennym zachowaniem.

Za bardzo zezłościło ją to, że została sama.

Teraz, kiedy minął cały tydzień, a chaos tylko się powiększał, złość jeszcze bardziej się spotęgowała.

Jak Ros mogła jej coś takiego zrobić?

Czy ona nie ma krzty przyzwoitości?

Przecież wiedziała, że trzeba wyszukać dostawców, że nachodzi je ten człowiek ze związków.

To oczywiste, że nie powinna opuszczać pracy tak niespodziewanie i na tak długo.

- Czy Ros się odzywała?

- zapytała sekretarkę.

- Nie.

W ogóle tego nie rozumiem.

To do niej niepodobne.

Zaczynam się poważnie niepokoić.

- No tak, cóż.

Mnie natomiast martwi, jak ja sobie dzisiaj bez niej poradzę.

A na dodatek ta historia z Reubensem!

Bardzo źle!

- Co się takiego złego dzieje?

Liz podskoczyła na dźwięk męskiego głosu, dochodzącego zza jej pleców od strony drzwi.

Twarz Dinah rozjaśniła się w uśmiechu szczerego zadowolenia.

- Steve!

Nie spodziewałam się, że mnie dzisiaj odwiedzisz!

- Wiesz, że ja zawsze potrafię cię zaskoczyć.

- Mężczyzna uśmiechnął się, marszcząc radośnie kąciki oczu.

- Wyglądasz na bardzo zdenerwowaną.

Coś nie w porządku?

- Wszystko.

Nawet nie pytaj.

- Mogę pomóc?

- Chociaż pytanie skierował do Dinah, rzucał ukośne spojrzenia w stronę Liz, tak jakby zwracał się do niej.

Policzki Liz zarumieniły się, do czego zawsze dochodziło, kiedy Steve patrzył na nią takim wzrokiem.

Nie uwierzyłybyś, co to za facet!

- opowiadała koleżance.

- Fantastycznie przystojny, a przy okazji prawdziwy mężczyzna, wiesz, co mam na myśli!

Pracował jako pletwonurek na platformie naftowej na Morzu Północnym.

Trudno znaleźć bardziej męskiego faceta od niego!

- Wejź Steve i pogadaj ze mną przez chwilkę - zaprosiła gościa Dinah.

- Już sama rozmowa z tobą poprawi mi humor.

- Pani Marshall, czy mam przyjść później?

- zapytała Liz podnosząc się.

- Tak.

Czy mogłabyś zrobić nam kawę?

Dziękuję.

Sekretarka wyszła, a Dinah z radością w oczach przyjrzała się młodemu człowiekowi.

Napawała ją dumą jego wysoka, zgrabna sylwetka oraz swobodny, acz gustowny, ubiór - ciemny blezer, koszula w paski, beżowe spodnie i modne mokasyny ręcznej roboty.

Pomyślała sobie, że ten chłopak przerósł jej marzenia.

Jego obecność wpływała na nią kojąco, sam fakt, że on istnieje, był wystarczającym powodem, dla którego warto było żyć.

Ogarnęło ją ciepłe uczucie, bardzo wyjątkowe, równie intensywne jak wtedy, gdy ponownie wkroczył w jej życie.

Jej syn.

Kiedy zmuszona okolicznościami oddawała go do adopcji, nie przypuszczała, że jeszcze go ujrzy.

Często o nim myślała, wyobrażała sobie, jak rośnie, zastanawiała się, jak wygląda, co robi; tęskniła przy tym aż do bólu.

Nic nie mogło wymazać z jej pamięci wspomnienia chwili, kiedy po raz pierwszy wzięła go na ręce; nie zapomniała tego delikatnego, dziecięcego zapachu, dotyk jego maleńkiego ciała budził w jej sercu ogromną miłość, na zawsze wyrył się w jej umyśle widok pomarszczonej twarzyczki z szeroko otwartymi, błękitnymi oczkami.

W każde Święta Bożego Narodzenia wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby synek był przy niej.

Myślała o tym, jak cieszy się z prezentów, i płakała, że nie może dzielić z nim jego radości.

Co roku w samotności na nowo przeżywała dzień jego przyjścia na świat oraz swoją tragedię.

Z nikim jednak nie dzieliła się bólem.

Wiedziała, że Van rozgniewałby się, gdyby poznał jej myśli, - Chciałabym tylko wiedzieć, czy jest mu dobrze - powiedziała raz, a wtedy zobaczyła, jak twarz męża ciemnieje z irytacji.

- Oczywiście, że jest mu dobrze!

A poza tym chcesz czegoś więcej - stwierdził.

- Kiedy tylko sprawdzisz, jak on się ma, zaraz zapragniesz dowiedzieć się o nim wszystkiego.

Nie będziesz umiała powstrzymać ciekawości.

Głęboko w sercu przyznawała mu rację.

Niczego bardziej nie pragnęła niż tego, żeby syn był z nią, chciała go widzieć, słyszeć jego głos, tulić go do siebie.

Nie знаła nazwiska ludzi, którzy go adoptowali.

Zgodnie z umową miała nie wiedzieć, kim będą jego nowi rodzice.

Odebrano jej wszystkie prawa - wszystkie.

Wyglądało na to, że do końca życia będzie tylko o nim marzyła.

Pogodziła się z tym.

Oddała go, i koniec kropka.

Jednak płomyk nadziei nigdy nie zgasł.

Ciągle łudziła się, że pewnego dnia z Bożą pomocą odzyska syna.

I jej ciche modlitwy zostały spełnione.

List od Stevea przyszedł krótko po wypadku Vana.

Dinah pogrążona była w całkowitej rozpacz, zaszokowana brutalnością losu, który odebrał jej ukochanego człowieka, więcej niż męża, więcej niż partnera w interesach.

Trawił ją nieznośny żal i złość na koleje życia, a nawet trochę na samego Vana, który tak bezceremonialnie ją zostawił.

Tego ranka, kiedy jej życie miało ulec zmianie, choć jeszcze o tym nie wiedziała, zatopiona była w bolesnych wspomnieniach.

Płakała rzewnymi łzami z głębi cierpiącego serca.

Miała czerwoną, napuchniętą twarz i przeklinała męża.

Dlaczego nie poszedł do lekarza, żeby dowiedzieć się, skąd biorą się te bóle w piersiach?

Twierdził, że to wynik niezdrowego jedzenia i zbyt dużych ilości wina.

A przede wszystkim, dlaczego zdecydował się lecieć tym samolotem?

Nie musiał tego robić.

Mógł wziąć samolot firmy i zawodowego pilota.

Tylko że Van uwielbiał tę swoją Cessnę.

Latał nią zawsze, kiedy nadarzała się okazja.

Czasami wyglądało na to, że firmowy Lear i wynajęty pilot niepotrzebnie nadwężają budżet Vandiny.

Nie powinien tego robić, łkała Dinah.

Każdy rozsądny człowiek przyznałby, że jest przemęczony i pozwoliłby komuś innemu przejąć część swoich obowiązków i związanych z nimi stresów.

Ale nie Van.

On był wyjątkowy.

On musiał wszystkim kierować.

Zrobił karierę, a ona razem z nim, właśnie dzięki jego wielkiej determinacji; w końcu praca go zabiła.

Kiedy Dinah opanowała spazmy płaczu, zeszła na dół, nadal blada, mimo nałożonego pudru, nadal z zaczerwienionymi i zapuchniętymi oczami.

Wzięła pocztę i przeszła z nią do gabinetu, zmuszając się do przejrzania korespondencji.

Nadeszło mnóstwo listów z kondolencjami.

Czytając je, czuła w sercu tysiące ukłuc.

Wiedziała, że ludzie pisali jej z życzliwości.

Pewnego dnia słowa uznania dla Vana będą dla niej ukojeniem, jednak w tej chwili nie mogła nawet na nie patrzeć, bo przypominały, co straciła.

Na jednym z listów zauważyła znaczek ze stemplem z Aberdeen.

Nie rozpoznawała charakteru pisma, ale pisało mnóstwo osób, o wielu z nich nawet nie słyszała: jacyś znajomi z pracy, koledzy szkolni i zupełnie obcy ludzie, którzy po przeczytaniu o wypadku w gazetach, kierowani sympatią, uznali, że powinni złożyć wdowie wyrazy współczucia.

W większości były to życzliwe listy - tych kilka niemiłych natychmiast wyrzuciła do śmietnika.

Z niewytłumaczalnych powodów Dinah zastanowił list z Aberdeen.

Może to była intuicja?

Nie, to zbyt mocno powiedziane.

Rozerwała kopertę i wyjęła ze środka zapisaną kartkę.

Tani papier, list napisany zwykłym długopisem.

Spojrzała na adres.

Epsilon Rig, Forties Field.

Szyb naftowy?

Który znajomy Vana pracował na szybie naftowym?

Kiedy czytała, nagle jej ręce zaczęły drżeć.

Niemalże upuściła kartkę na podłogę.

Napisał ją młody mężczyzna, który twierdził, że jest jej synem.

Tłumaczył, że jego przybrani rodzice nigdy przed nim nie ukrywali, iż go adoptowali, i kiedy przed rokiem odnalazł swój akt urodzenia, odkrył, że Dinah jest jego naturalną matką.

Wtedy nie chciał podejmować żadnych kroków.

Bał się, że Dinah go odtrąci.

Teraz jednak, po przeczytaniu w gazetach o śmierci Vana, zastanawia się, czy nie mógłby być w czymś pomocny.

Może obiecuje sobie nazbyt wiele, ale tak bardzo pragnie się z nią spotkać.

Cieszyłoby go, gdyby i ona żywiła podobne pragnienie.

Podobne pragnienie?

Nigdy w życiu Dinah nie czuła takiej radości, jak po przeczytaniu tych słów.

Brakowało jej tchu, serce waliło jak młotem.

W jednej sekundzie wpadła w euforię, ale i przeraziła się - bała się spotkania z synem, którego ostatni raz widziała, kiedy miał dwa tygodnie, bała się, że nie będzie umiała zachować się przy nim naturalnie, nie wiedziała, jak on wygląda, obawiała się, że syn zawiedzie jej oczekiwania albo ona rozczaruje jego.

Ale niepotrzebnie się przejmowała, pomyślała, patrząc teraz na Stevea, który uśmiechał się do niej zza zawalonego dokumentami biurka.

Syn spełniał jej najskrytsze marzenia.

Dzięki Bogu, że się znowu pojawił w jej życiu i że nie zniknął, jak mogło się zdarzyć.

Nie przeżyłaby jeszcze jednego rozstania.

- A więc, co cię gnębi?

- zapytał, sadowiąc się wygodnie na krześle obitym niebieską skórą i wyciągając przed siebie nogi.

- Coś nie tak z interesami?

- Jak zawsze - sarknęła Dinah.

- Ale nie rozmawiajmy o nich w tej chwili.

Mężczyzna niby od niechcienia uniósł brwi, nieco zdziwiony.

- Jak wolisz, ale wiesz, że jeśli mogę w czymś pomóc, wystarczy, że powiesz słowo.

Dinah kiwnęła głową.

- Wiem, jednak to ty jesteś najważniejszy, wierz albo nie.

Steve nie wyglądał na przekonanego.

Poznała to po wyrazie jego zdumiewająco niebieskich oczu.

Często zastanawiała się, po kim je odziedziczył.

- To szczerą prawdą - zapewniła, sama głęboko wierząc w swoje słowa.

Nieobecność Ros, umówione spotkania, a nawet kłopot z Reubensem, wszystkie te sprawy blakły w obliczu faktu, że odzyskała syna.

Po blisko trzydziestu latach rozłąki znowu byli razem.

I nic poza tym się nie liczyło.

Rozdział czwarty.

Samolot zatoczył koło nad Somerset, zniżając swój lot i szykując się do lądowania na lotnisku Bristol.

Maggie wyjrzała przez okienko i popatrzyła w dół na szachownicę pól, na małe domki i zabudowania gospodarcze, ciemne plamy drzew oraz błękitne rozlewiska jezior, które składały się na krainę Chew Valley.

Przypomniała sobie, że kotlina Chew została sztucznie nawodniona, by stworzyć rezerwuary wodne zaopatrujące miasto i jego okolicę.

Jedno z jezior powstało w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się wioska z domami, pubem i kościołem.

Ludzie, którzy w niej mieszkali, ciągle jeszcze nie potrafili pogodzić się z jej utratą; w czasie suszy przychodzili na brzeg, schodzili w dół, przechadzali się po błotnistym dnie w poszukiwaniu miejsc, gdzie kiedyś stał kościół, ich domy, i opowiadali o nich przygodnym przechodniom, jeśli tylko chcieli słuchać.

Teraz jednak Maggie nie dostrzegąca, żeby koło ciemnych, tajemniczych tafli jezior było tłoczno, nie licząc kilku rybaków i latającego nad nimi dzikiego ptactwa.

- Widać po pogodzie, że znowu jesteśmy w domu - zauważył siedzący obok mężczyzna.

Miał na sobie letnie ubranie, dobre na słonecznym Korfu, ale nie pasujące do pochmurnej i dżdżystej Anglii.

Kiedy się przysiadł, Maggie zwróciła uwagę na jego czerwone ramiona, z których schodziła skóra - dowód nierozsądnego i zbyt długiego opalania się.

Wiadomo, wczasowicz - oprócz niej wszyscy pasażerowie wracali z wypoczynku.

Miała szczęście, że tak szybko udało jej się dostać miejsce w samolocie.

Dla Ariego było to szaleństwo.

- Nie możesz tak po prostu wyjechać do Anglii!

- stwierdził poprzedniego wieczora, kiedy wreszcie wrócił do domu i zastał ją pakującą bagaże.

- To wariactwo.

- Muszę jechać - upierała się.

- Naprawdę martwię się o Ros.

Poza tym nic mnie tu nie zatrzymuje.

Nikt nawet nie zauważy mojej nieobecności.

- A moja matka?

- zapytał, udając, że nie wie, o co jej chodzi.

- W następnym tygodniu ma odbyć się wielki rodzinny zjazd i dobrze wiesz, że zależy jej, byśmy stawili się w komplecie.

A zresztą, czy nie musisz pomóc jej w praniu dywanów?

Pranie ogromnych dywanów było na Korfu corocznym obrzędkiem.

W tym kraju nikt nie słyszał o specjalnych szamponach, więc prało się je ręcznie, szczotkami, po czym suszyło w słońcu.

Zajęcie to wymagało co najmniej dwóch osób.

Propozycja, żeby Maggie odłożyła wyjazd ze względu na czyszczenie dywanów, podziałała na nią jak czerwona płachta na byka.

- Wydaje mi się, że odszukanie mojej siostry jest nieco ważniejszą sprawą niż pranie dywanów!

- odparła ze złością.

- Można się tym zająć później albo twoja siostra będzie musiała mnie zastąpić.

Ari zacisnął usta.

- Zachowujesz się jak dziecko.

Wiesz, że moja siostra ma mnóstwo pracy przy trójce małych dzieci.

Tak czy inaczej nie podoba mi się, że podejmujesz takie decyzje bez poradzenia się mnie.

- Gdybyś tu był, z pewnością bym to zrobiła.

Ale ciebie nigdy tu nie ma.

Gdzie byłeś do tej pory?

- Przecież sama dobrze wiesz, gdzie: ciężko pracowałem, żeby zarobić na jedzenie i ubranie.

W tym momencie Maggie straciła kontrolę nad nerwami.

Siedząc teraz w samolocie i wyglądając przez okno na zielone pola, przypomniała sobie przystojną twarz męża, patrzącego na nią z niezadowoleniem, a w uszach, mimo świstu, związanego ze zmianą ciśnienia przy lądowaniu, usłyszała swój gniewny głos.

- Z pewnością nie pracowałeś do tak późnej godziny.

Uważasz, że jestem naiwna, Ari?

Mąż popatrzył na nią, mrużąc oczy.

- O co ci chodzi?

- Właśnie powiedziałam.

Nie wierzę, że siedziałeś tak długo w biurze.

Spotkałeś się z tą kobietą, Meliną Skripero, twoją sekretarką, czy kim tam ona dla ciebie jest.

Przez chwilę wydawało jej się, że Ari ją uderzy.

Na widok wykrzywionej z wściekłości twarzy poczuła lodowaty strach.

Jednak mąż nie był mężczyzną brutalnym.

Mimo swego śródziemnomorskiego temperamentu, nigdy nie tknął jej nawet palcem i nie uczynił tego także teraz.

Po sekundzie jego złość minęła, zaczął się bronić.

- No i co z tego?

Maggie zamurowało.

- Nawet nie zaprzeczasz?

- A po co?

- Wzruszył ramionami i odwrócił się od niej.

- Widocznie kazałaś mnie śledzić.

- To nieprawda!

Po prostu, nie jestem głupia.

Widziałam, jak ta kobieta patrzyła na mnie, kiedy przyszedłam do twojego biura.

Prychała jak kotka przy misce z mlekiem.

Zauważyłam też, jak patrzy na ciebie.

Poza tym twoje ubrania pachniały jej perfumami.

- Nic mi do tej pory nie mówiłaś!

- Sama nie chciałam w to wierzyć!

Miałam nadzieję, że jeśli zachowam milczenie, cała ta sprawa wreszcie się urwie...

- Jej głos załamał się, łzy czały się pod powiekami.

O tak, od tygodni domyślała się, że mąż ją zdradza.

Miała na to mnóstwo dowodów, które zbierała podświadomie, aż w końcu otrzymała pełny obraz sytuacji.

Jednak słysząc potwierdzenie podejrzeń z jego ust, doznała szoku.

Zrobił to tak lekceważąco, jakby przyznawał się, że nie umył po sobie wanny, a nie, że spotyka się z inną kobietą.

- Jak mogłeś tak postąpić?

- zapytała żałośnie.

- Jak mogłeś, Ari?

Co się z nami stało?

Wzruszył ramionami.

- Nic się nie stało.

Nadal jesteś moją żoną.

Jestem tu, prawda?

- Tak, ale nie ze względu na mnie.

Wracasz tu, ponieważ to jest twój dom, dom rodzinny.

Dla ciebie liczy się jedynie, co myśli o tobie rodzina.

Mówiła z goryczą i złościło ją to.

Nie zamierzała wciągać jego rodziny w ich kłótnię.

Czasami jednak nie potrafiła opanować nienawiści.

Chorobliwie nie znosiła bliskich związków między nimi, a zarazem było jej przykro, ponieważ czuła się wyobcowana.

Miała wrażenie, że złapała się w sieć pajęczą.

Zgodnie z tradycją nie pracowała, godziła się na wszystko i wszystkim okazywała szacunek, a mimo to zawsze była gorzej traktowaną angielską dziewczyną, biedną jak mysz kościelna, która co prawda złapała męża, ale nie miała do niego żadnych praw.

W lepszych czasach próbowała rozmawiać z Arim o swoich uczuciach, ale nigdy nie udało jej się do niego dotrzeć, nie potrafiła jasno wytłumaczyć, o co jej chodzi.

Bronił się przed takimi rozmowami - nie chciał, a może nie mógł jej zrozumieć.

- Dlaczego zawsze musisz mówić o mojej rodzinie?

- oburzył się.

- Ponieważ tylko na niej ci naprawdę zależy.

Kiedy twoja matka potrzebuje czegoś od ciebie, robisz to w mgnieniu oka.

Traktuje cię tak, jakbyś ciągle był małym chłopcem.

- Dostyc!

- przerwał jej z furją.

- Problem polega na tym, że cały czas nie pojmujesz zasad życia na Korfu.

Zaczynam się martwić, że nigdy ich nie zrozumiesz.

- I z tego powodu masz romans z Meliną Skripero?

- Kto powiedział, że mam z nią romans?

Chodzimy czasami po pracy na drinka albo coś zjeść.

Lubię ją, nie będę tego ukrywał.

Lubię jej towarzystwo.

Czy to takie dziwne?

Przynajmniej mnie rozumie.

Nie męczy mnie ciągłymi narzekaniami na moją matkę, ojca i siostrę.

Wie, co to jest szacunek.

Może jeślibyś się bardziej postarała, z większą przyjemnością wracałbym do domu po pracy.

- Jesteś nieuczciwy, Ari!

- zaprotestowała.

Wiesz, że się starałam.

Czy do ciebie nie dociera, że wszystko tutaj straszliwie różni się od życia, do jakiego jestem przyzwyczajona?

- Wiem jedno.

W Anglii rodzina nie ma większego znaczenia.

Właśnie dlatego macie takie kłopoty z młodzieżą.

Chuliganią, bo nie zaszczepiono im poczucia dumy rodzinnej.

Ich rodzice nie wstydzą się za nich.

A dlaczego?

Ponieważ wcale im nie zależy na własnych dzieciach.

Idą do pracy, pozwalają, by dzieciaki wracały ze szkoły do pustych mieszkań, puszczają je samopas na ulice.

U nas zawsze jest ktoś, kto pilnuje dzieci, służy pomocą, kiedy coś złego im się przytrafi, skarci, jeśli są nieposłuszne.

Rodzina...

- Czy zdajesz sobie sprawę, że twoje słowa brzmią straszliwie pompatycznie?

A przy okazji jesteś hipokrytą.

Roztkliwiasz się nad rodzinnymi związkami, a przecież nasza kłótnia wzięła się z tego, że sprzeciwiasz się, bym pojechała sprawdzić, czy coś złego nie spotkało mojej siostry.

Kiedy mówisz, że rodzina jest ważna, myślisz tylko i wyłącznie o swojej rodzinie.

Moja może iść do diabła!

Zauważyła niezdecydowanie na twarzy męża, więc ciągnęła: - Hipokryzją jest też utrzymywanie intymnych związków z inną kobietą za plecami żony!

Ari przewrócił oczami z irytacji.

- Mówiłem ci, że nic mnie z nią nie łączy.

Źle to sobie wyobrażasz.

Nie wierzysz mi?

- Nie - potwierdziła.

- Nie wierzę!

Rozłożył ręce w geście typowym dla południowców.

- W takim razie rozumiesz mnie mniej, niż przypuszczałem.

Maggie...

posłuchaj.

Lubię kobiety.

Lubię Melinę.

Ale to ty jesteś moją żoną.

Pewnego dnia to my będziemy kontynuatorami tradycji.

My będziemy rodziną dla naszych dzieci i dzieci naszych dzieci.

Zmiana jego tonu, nagła świadomość, że, owszem, wierzy mu, a ponad wszystko, nawiązanie do dzieci, na które mimo ciągłych niepowodzeń, wciąż miał nadzieję, spowodowało, że Maggie nagle poczuła, że opuszcza ją złość.

Łzy napłynęły jej do oczu, więc odwróciła się plecami do męża.

- Tak cię to przygnębia?

- zapytał bardziej wyrozumiale.

- Tak bardzo denerwuje cię tradycja rodzinna?

Potrząsnęła głową.

- Nie, oczywiście, że nie.

Ari...

czy naprawdę nie masz romansu z Meliną?

- Już mówiłem.

Ile razy chcesz, żebym to powtarzał?

- Ale...

myślałam...

Podszedł i objął ją.

Wydało jej się, że wyczuwa zapach perfum, których używa Melina, mocny i zmysłowy, ale postanowiła to zignorować.

Kochała go i chciała mu wierzyć.

Musiała mu zaufać.

Zwłaszcza teraz, kiedy zamierzała wyjechać.

- Chodźmy do łóżka - wyszeptał jej do ucha.

Poczuła ukłucie w żołądku.

Zawsze do tego dochodziło, pomimo frustracji i żalu, pomimo kłótni, które kończyły się tak nagle, jak wybuchały, zupełnie jak sztorm na morzu latem; niezmiennie pociągał ją swoim zwierzęcym magnetyzmem.

Poszłaby za nim na koniec świata - już to przecież zrobiła!

- i nie zawahałaby się, gdyby musiała uczynić to raz jeszcze.

Poczuła miękkość w nogach, jej ciało, wymęczone huśtawką nerwów, natychmiast, niemalże bez udziału świadomości odpowiedziało na zmysłowe dotknięcie męża.

Odwróciła się do niego.

Ściągnął z niej jedwabny szlafroczek, a ona przytuliła się nagim ciałem do jego miękkiej bawełnianej koszuli.

Ustami otworzył jej usta, przyciągnął jej biodra do swoich.

W tym momencie, kiedy prowadził ją do sypialni, rozbierał z kostiumu, układał wygodnie na olbrzymim, starym łożu, trapiące ją zmartwienia i smutki straciły swoje znaczenie.

Kochała się z mężem z całym oddaniem, jakby tym aktem chciała wymazać istniejące między nimi różnice.

Ale pierwszą rzeczą, na którą spojrzała, kiedy skończyli, była jej spakowana do połowy walizka, stojąca na staromodnej szafce z rzeźbionego drewna, i sukienki wiszące na drzwiach szafy, czekające na złożenie.

Powróciła do rzeczywistości.

- Ari, nadal chcę jechać do Anglii - powiedziała z nutką strachu w głosie.

Wyczuła, że mąż, leżący obok niej, zeszywniał, ale powiedział tylko: - Tak, tak, już dawno nie byłeś w domu.

- Nie chodzi tylko o to.

Nie wyjeżdżałabym tak nagle, gdyby chodziło o zwykłe odwiedziny.

Rozumiesz mnie.

Muszę się dowiedzieć, co przytrafiło się Ros, sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

- Nie uważasz, że to jest zadanie policji?

- Ale to moja siostra.

Jesteśmy tak do siebie podobne.

Ari, proszę, postaraj się mnie zrozumieć.

Ponieważ nie odezwał się, mówiła dalej: - A kiedy wrócę, zaczniemy wszystko od nowa.

Pamiętasz, jak kiedyś było wspaniale?

Znowu może tak być, wiem o tym, tylko musimy o to zadbać.

Zasnęli przytuleni do siebie.

W środku nocy Maggie obudziła się, jeszcze bardziej wtuliła w męża i z uczuciem ulgi i odzyskanego sensu życia ponownie zapadła w sen.

Rano Ari wstał, kiedy ona jeszcze głęboko spała, spotkała go przy śniadaniu, które jadł na werandzie; jak zawsze przygotował sobie owocowe muesli i gęsty jogurt.

Wystarczyło jedno spojrzenie i Maggie wiedziała, że znowu się od niej oddalił.

- Przypuszczam, że nic cię nie powstrzyma przed wyjazdem do Anglii?

- zapytał, mieszając cukier w mocnej, aromatycznej kawie.

Mógłbyś powiedzieć, że mnie kochasz i że nie chcesz, żebym cię opuszczała, pomyślała.

Mógłbyś przyrzec, że nie będziesz spotykał się wieczorami z Meliną i że bez względu na to, jak to wygląda na zewnątrz, jestem dla ciebie ważniejsza niż twoja matka i cała reszta rodziny.

Jednak nic takiego nie powiedziała na głos, bojąc się śmieszności.

- Muszę wyjechać.

Myślałam, że rozumiałeś.

- Tak.

No cóż, jeśli taką podjąłeś decyzję, muszę się jej podporządkować.

- Mówił chłodno; nie liczyło się wczorajsze kochanie, jakby w ogóle go nie było.

- Na jak długo wyjeżdżasz?

- Nie wiem...

to zależy.

Podejrzewam, że tak długo, aż Ros się odnajdzie.

- Nie spiesz się z powrotem z mojego powodu.
Przez kilka następnych tygodni będę bardzo zajęty.
Dostałem poważne zlecenie, kompleks hotelowy w Kavos.
Możliwe, że w czasie twojej nieobecności zamieszkać w naszym apartamencie w Kerkirze.

Zaoszczędzi mi to mnóstwo czasu.

Oraz będzie to wygodne dla Meliny, pomyślała natychmiast, ale nie skomentowała słów męża.

Nie chciała przed wyjazdem wracać do tego tematu, nie chciała, by Ari zauważył, że ona nadal nie wie, czy ma wierzyć, że z Meliną łączy ją jedynie kontakty zawodowe.

Jednak całując go na pożegnanie, a nawet teraz w samolocie, zbliżającym się do lotniska w Bristolu, nadal męczyły ją myśli o nim i tamtej kobiecie.

Może i nie nawiązali do tej pory prawdziwego romansu.

Nie wiedziała jednak, co stanie się po jej wyjeździe, kiedy Ari zostanie sam.

Gdyby została na Korfu, możliwe, że mąż, wiedząc, że go podejrzuje, zastanowiłby się nad swoim postępowaniem.

Oczywiście, jeżeli zależało mu na niej i ich małżeństwie.

Pod jej nieobecność łatwo mu będzie, o wiele łatwiej, zwrócić się do pięknej Meliny o ciemnych oczach i oliwkowej skórze, inteligentnej Meliny, która doskonale mówiła po angielsku, nieco gorzej po niemiecku, bogatej Meliny, którą ojciec z pewnością wyposażył we wspaniałą posag z plantacji drzewek oliwnych i która rozumiała Ariego, ponieważ urodziła się na Korfu.

Samolot dość szybko zniżył lot i Maggie poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

Musiałam przyjechać, pomyślała.

Musiałam postawić na swoim, by przekonać się, co się dzieje z Ros.

Poza tym, jeśli nie mogę zaufać mężowi i zostawić go samego na kilka tygodni, jaki w ogóle sens ma to małżeństwo?

Samolot dotknął ziemi, zaczął hamować.

Jestem w domu, ucieszyła się Maggie, nie zdając sobie sprawy, że ta radość zdradziła jej najskrytsze uczucia, bo przecież po trzyletnim mieszkaniu na wyspie Korfu, właśnie ją powinna nazywać swoim domem.

Mike Thompson czekał w hali przylotów, tuż za stanowiskami odprawy celnej.

Maggie zadzwoniła do niego z rana z pytaniem, czy mógłby po nią wyjść na lotnisko.

Oczywiście zgodził się.

- Mój samolot ma lądować o osiemnastej trzydzieści twojego czasu - zawiadomiła go.

- Rozumiem, że może to być dla ciebie kłopot, więc nie krępuj się, jeśli nie możesz po mnie wyjść.

Pomyślałam sobie jednak, że zatrzymam się w domu Ros, a ty pewnie masz do niego klucze.

- Tak, naturalnie - potwierdził.

- Maggie, posłuchaj, nie myślałem, że przejmiesz się tą sprawą do tego stopnia i że postanowisz przyjechać do Anglii.

- Uważam, że powinnam to zrobić - odparła.

- Masz jakieś wiadomości o Ros?

- Nie, żadnych.

- Jak zwykle połączenie zaczynało się pogarszać.

- Będę na lotnisku - rzucił pośpiesznie.

- Jesteś pewien, że w niczym ci to nie przeszkodzi?

- Nie przejmuj się i do zobaczenia.

A teraz stał w poczekalni i obserwował pasażerów, którzy właśnie przylecieli z Korfu.

Po opaleniznie i letnich ubiorach domyślił się, że to wczasowicze.

Pchali przed sobą wózki bagażowe, obładowane walizkami i torbami z zakupami ze sklepów bezcłowych.

Nigdzie nie widział Maggie.

Zastanawiał się, czy ją pozna, ale doszedł do wniosku, że raczej tak.

Choć spotkał ją tylko raz, dobrze ją zapamiętał - była podobna do Ros, tylko młodsza i jakby delikatniejsza.

Tłum podróżnych przerzedził się i Mike zaczął podejrzewać, że Maggie zmieniła zdanie i nie przyleciała.

Albo może nie znalazła wolnego miejsca w samolocie.

Ale przecież zadzwoniłaby do niego i powiadomiła o zmianie planów.

Odwrócił się, przyglądając się samochodom podjeżdżającym i odjeżdżającym przed wejścia do budynku lotniska.

Ponownie spojrzął na salę i wtedy zobaczył ją, odchodzącą od stanowiska celnika, wysoką, o jasnokasztanowych włosach sięgających ramion, w granatowych spodniach, bluzeczce z nadrukiem firmowym, który zdradzał jej z pewnością niemałą cenę, i w białej lnianej marynarce.

Zobaczyła go w tej samej chwili i uśmiechnęła się serdecznie, ale też jakby przepaszająco, przy czym kąciki jej ust uniosły się.

- Mike!

Przepraszam, że tak długo zamarudziłam przy odprawie.

Jako ostatnia otrzymałam swoją walizkę, a potem celnicy zdecydowali, że mnie sprawdzą.

Nie wyglądam na wczasowiczkę, to pewne, ale nie myślałam, że mogą mnie wziąć za przemytniczkę narkotyków!

- Rzeczywiście to dziwne.

- Uśmiechnął się, myśląc przy tym o znudzonych oficerach celnych, którzy z przyjemnością urozmaicili sobie rutynową pracę dziesięciominutową rozmową z atrakcyjną kobietą.

- Muszę przyznać, że zacząłem się denerwować.

Chciałem już wracać.

- Dzięki Bogu, że tego nie zrobiłeś.

Naprawdę bardzo to miłe, że zechciałeś po mnie wyjść.

Czy na pewno nie sprawiłam ci zbyt dużego kłopotu?

- Na pewno.

To ja wpędziłem cię w kłopoty.

Miałem właśnie powiedzieć, że nie chciałbym, byś przyjechała tu na próżno, ale szczerze mówiąc wolałbym, żeby właśnie tak się okazało.

- Naprawdę sądzisz, że Ros spotkało coś złego?

- Mam nadzieję, że nie, jednak martwię się, że niestety coś jest nie tak.

Posłuchaj, pójdę teraz i przyprowadzę samochód.

Nie możemy rozmawiać w tym miejscu.

- Gdzie zaparkowałeś?

- Niedaleko stąd.

- W takim razie przejdę się z tobą.

Z chęcią rozprostuję nogi.

Wyjął jej z ręki walizkę, ze zdziwieniem stwierdzając, że jest bardzo lekka.

Kiedy Ros gdzieś wyjeżdżała, zabierała ze sobą całą szafę.

Przeszli przez wahadłowe drzwi.

Nie padało, ale powietrze było wilgotne i było dość zimno jak na czerwiec.

Maggie zadrżała.

- Po Korfu wydaje mi się, że przyjechałam na biegun północny!

Powinam wziąć ze sobą więcej ciepłych ubrań.

Ale chyba będę mogła pożyczyć coś od Ros.

Kiedy doszli do parkingu, Mike otworzył bagażnik Citroena i włożył do niego walizkę Maggie.

W samochodzie Mike włączył ogrzewanie.

- Szybko się nagrzej.

Jednak masz rację, ta pogoda jest dziwna jak na lato.

- Zatrzymał się, by zapłacić za parking, po czym ruszył w stronę wyjazdu z lotniska.

- Chcesz zamieszkać w domku Ros?

- Tak.

Wydaje mi się, że to zupełnie rozsądne.

- Zawieźć cię tam od razu, czy może zatrzymamy się, żeby coś zjeść?

- Nie, nie, jadłam w samolocie.

- Ale przynajmniej musisz kupić mleko i chleb.

- To dobry pomysł.

- Wyjechali na główną drogę.

- A więc - zaczęła Maggie, ciągle rozcierając ramiona, żeby się rozgrzać - o co chodzi, Mike?

Mike miękko zmienił bieg i samochód nabrał prędkości.

- Sam chciałbym wiedzieć.

Szczerze mówiąc, nie powiem ci więcej ponad to, co usłyszałaś ode mnie przez telefon.

Kiedy wyjeżdżałam na obóz, Ros tu była, wszystko toczyło się normalnie.

Kiedy wróciłem, nie zastałem jej.

Nie zostawiła żadnej wiadomości, nie dzwoniła, nic.

Ani jednego słówka.

- Czy rozmawiała z kimś?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Dzwoniłem po wszystkich znajomych, którzy przyszli mi do głowy.

Bez skutku, ale oczywiście mogłem kogoś przeoczyć.

Ros nosi swój notatnik z telefonami w torebce, a tę zabiera zawsze ze sobą, więc nie mogłem sprawdzić, czy o kimś nie zapomniałem.

Może ty coś wymyślisz.

- Spróbuję - z powątpiewaniem odparła Maggie.

- Ale pamiętaj, że spędziłam na Korfu trzy lata.

Znałam, oczywiście, jej przyjaciół, ale z pewnością w czasie mojej nieobecności zawarła nowe znajomości.

Poza tym starzy koledzy mogli się przeprowadzić, pożenić i tak dalej.

Chociaż wydaje mi się, że mogę udzielić policji kilka cennych informacji.

Mike prychnął z dezaprobatą, naciskając hamulec, bo wchodzili w dość ostry zakręt na wąskiej uliczce.

- Policja wcale nie spieszy się z pomocą.

Uważają, że Ros po prostu odeszła i że nie powinni interesować się jej miejscem pobytu, zresztą mnie radzili to samo.

- To znaczy, że nic w tej sprawie nie zrobią?

Powiedzieli, że rozpoczną dochodzenie, ale odnoszę wrażenie, że nie stanie się to tak od razu.

Policjant, z którym rozmawiałem, napomykał coś o tym, że to nie ich rejon, i chyba pomyślał sobie, że chodzi tu o jakiś nieszczęśliwy romans, że Ros odeszła ode mnie i nie chce, żebym wiedział dokąd.

- Ale to nie to, prawda?

- zapytała Maggie.

Mike zmarszczywszy brwi, popatrzył w jej stronę.

- Nie podejrzewam, a ty?

- Też nie.

Ros nie jest taka.

Ona walczy do końca.

A poza tym...

- Zamilkła, nie chcąc na głos wyjawiać myśli, która przyszła jej do głowy.

Mike nie wyglądał na mężczyznę, od którego kobiety uciekają.

Taki profil, orli nos, mocną szczękę, orzechowe oczy, szerokie, zmysłowe usta, silną, atletyczną sylwetkę i ujmujący uśmiech mają faceci, w których można zakochać się na zabój.

Oczywiście pod tą urzekającą przykrywką mógł się kryć obrzydliwy snob, ale nawet gdyby, to Maggie z własnego doświadczenia wiedziała, że nie zmieniliby to tak diametralnie sytuacji.

Kobiety nie odchodzą od niesamowicie przystojnych mężczyzn, bez względu na to jak bardzo są nieznośni.

Natomiast zostawiają normalnych, miłych facetów, takich, którzy kupują im kwiaty i czekoladki i w ogóle starają się przychylić im nieba.

Niesprawiedliwe, jednak prawdziwe, ponadto Ros szalała za Mikeem.

Twierdziła, że od lat nie była taka szczęśliwa.

Niemożliwe więc, że nagle przestała go kochać aż do tego stopnia, że postanowiła się przed nim ukrywać, zresztą takie postępowanie nie leżało w jej naturze.

Nie ukrywali się nawet przed Brendanem, a przecież nikt by jej za to nie winił, została z nim i starała się rozwiązać sytuację, mimo jego zazdrości i gwałtowności.

Nie uciekła wtedy i teraz też nie, choć najwygodniej byłoby uznać, że policja ma rację.

- W zasadzie trudno im się dziwić - ciągnął Mike.

Miałem kolegę policjanta, który opowiadał mi, że najczęściej ludzie giną właśnie po rodzinnych kłótniach...

nie chodzi tylko o zakochane pary, ale też rodziców i dzieci, małżonków.

Podejrzewam, że ten biedny, przemęczony posterunkowy nieraz musiał wysłuchiwać podobnych opowieści.

- Miejmy nadzieję, że bardziej się przejmą, kiedy ja się do nich zwrócę - rzuciła Maggie.

- Jutro do nich zadzwonię i przy okazji sprawdzę, czy czegoś się dowiedzieli.

- Pewnie niczego, bo inaczej skontaktowaliby się ze mną.

- Zobaczymy.

O, popatrz, tam jest sklep.

Myślisz, że mają mleko?

- Bardzo prawdopodobne.
- Mike zatrzymał się na podjeździe.

Maggie weszła do sklepiku i ze zdziwieniem stwierdziła, że jest bardzo dobrze zaopatrzony, od warzyw po kwiaty, a nawet artykuły gospodarstwa domowego.

Kiedy mieszkała w Anglii, w takich budkach można było dostać batoniki czekoladowe, papierosy oraz płyn do rozmrażania szyb samochodowych i nic więcej.

Wzięła karton mleka, bochenek chleba, ciastka, paczkę kawy, zapłaciła i wróciła do czekającego na nią Mikea.

Była przekonana, że Ros ma w domu kawę, ale mimo wszystko wolała nie ryzykować.

Nie wyobrażała sobie, że wstanie jutro rano i nie będzie mogła się napić.

Do domku Ros położonego na obrzeżach Stoke - sub - Mendip zostało im tylko kilka kilometrów.

Kiedy skręcili w uliczkę bezpośrednio do niego prowadzącą, Maggie zobaczyła na poboczu bujne po ostatnich deszczach zielone krzewy, chwasty, kwiaty głogu zwieszające się gdzieś nad jezdnią, a przez ogrodzenia dostrzegła łąki z pasącymi się krowami oraz jasnożółte pola rzepakowe.

Idylla, pomyślała.

Nic dziwnego, że siostra uwielbiała tę okolicę i nie chciała się przeprowadzić, choć było to dość opuszczone miejsce, zwłaszcza dla kobiety mieszkającej samotnie.

Przy ulicy stały tylko dwa domy, drugi z nich należał do Ros.

Wyglądał jak z obrazka w książce dla dzieci.

Niegdyś mieszkali w nim robotnicy wynajmujący się do pracy na polach.

Był niewielki, miał niski dach.

W pewnym momencie dobudowano do niego dodatkowe pomieszczenie, co zakłóciło nieco proporcje.

Jedną ścianę porastał bluszcz, którego czerwono cętkowane liście nadawały ciepły odcień szaremu murowi.

Niewielki ganek otaczały pnącza kapryfolium.

Kiedy Mike zatrzymał się na żwirowym poboczu przy bramie, Maggie zauważyła, że niewielki ogródek jest zaniedbany.

Przekwitłe pąki róż, aż się prosiły, żeby je przyciąć; krzewy i inne roślinki nikły w wysokiej, nie skoszonej trawie, zarośniętej koniczyną i mleciami.

Ros nie miała czasu na zajmowanie się ogródkiem, chociaż twierdziła, że to uwielbia.

Wynajęła człowieka, który raz w tygodniu przychodził na kilka godzin robić tu porządki.

Teraz jednak wyglądało na to, że długo go nie było.

Maggie zastanawiała się, z jakiego powodu?

Może jest chory albo wyjechał na wczasy - o tej porze roku ogród bardzo szybko dziczeje.

Mike wyjął z bagażnika walizkę i zaniósł pod drzwi.

Kiedy Maggie wdychała powietrze wypełnione ciężkim zapachem kapryfolium, szukał między innymi kluczami klucza do domu.

Po otwarciu drzwi uderzył w nich zaduch mieszkania nie wietrzonego już ponad tydzień.

W tej chwili Maggie z całą mocą poczuła nieobecność siostry.

Ostatnim razem, kiedy ją odwiedziła, w domu panowały zupełnie inne zapachy.

Ros doskonale gotowała i kiedy tylko miała czas, wymyślała najprzeróżniejsze potrawy, a w jej kuchni mieszały się aromaty suszących się główek czosnku, świeżych ziół, winnych sosów i dopiero co zaparzonej kawy.

Zimą miała zwyczaj zapalania wonnych świec, latem dom przepełniała woń frezji i róż.

Teraz wszystkie kwiaty były zwiędnięte, ich płatki smutno wały się wokół wazonów.

Mike postawił walizkę w korytarzu i poszedł do kuchni, gdzie Maggie wypakowywała zakupy na jeden z czyściutkich blatów kuchennych.

Miseczka i filiżanka stały do góry dnem na suszarce do naczyń, a w całej kuchni panował idealny porządek.

- Nie wygląda na to, żeby wyjeżdżała w pośpiechu - zauważyła Maggie z zastanowieniem.

- To prawda, ale znasz Ros.

Nawet przed wyjściem do pracy znajduje czas, żeby odstawić wszystko na miejsce.

Zresztą trochę tu posprzątałem.

Wyrzuciłem mleko, bo skwaśniało, i kilka zgniłych owoców.

Wstrzymałem prenumeratę gazet, wyjąłem ze skrzynki listy, ale pewnie znowu zebrało się ich tam sporo.

- Posortuję je później.

- Otworzyła okno, by wpuścić do środka świeże powietrze, wylała z czajnika starą wodę, po czym napełniła go świeżą.

- Napijemy się kawy.

A może musisz już jechać?

- Nie spieszy mi się.

- Zawsze we wtorkowe popołudnia grał w squasha, ale dzisiejsze zajęcia odwołał.

- Najistotniejsze teraz to dowiedzieć się, co się stało z Ros.

- Zamilkł na chwilę, przyglądając się, jak Maggie przygotowuje kawę.

- Nie uważasz, że może przesadzam?

Po dziecinnemu zagryzła usta i wydawała mu się teraz całkowicie bezbronna.

- Chciałabym tak uważać.

Nie widziałam samochodu Ros.

Pojechała pewnie samochodem.

A co z jej ubraniami?

Sprawdziłeś, czy zabrała jakieś ze sobą?

- Nie.

- Więc zrobmy to, zanim woda się zagotuje.

Musisz mi pomóc.

Długo jej nie widziałam i nie rozpoznam, czego brakuje.

- Nie ma jej płaszcza.

Zwykle wisi za drzwiami.

Ale to nam nic nie mówi.

Ostatnio tyle padało, że praktycznie nigdzie się bez niego nie ruszała.

Nie wiem jednak, czy więcej będę mógł ci pomóc.

Ros ma mnóstwo ubrań.

Maggie uśmiechnęła się lekko.

Mike był typowym mężczyzną, zupełnie nie interesującym się sprawami mody.

Wyobraziła sobie, jak to siostra, taka elegancka i bardzo wyczulona na punkcie ubioru, stara się jak najlepiej wyglądać, nie zdając sobie sprawy, że Mike nie ma zielonego pojęcia, co na siebie włożyła - wie tylko, że jak zwykle wygląda znakomicie.

Jednak Maggie postanowiła, że zmusi go, by odświeżył sobie pamięć.

Pierwsza zaczęła się wspinać po stromych i wąskich schodach.

Sypialnia Ros znajdowała się po prawej stronie korytarza.

Porządnie zasłane łóżko przykrywała fioletowo różowa narzuta, obok, na ośmiokątnym stoliku nocnym, leżała otwarta książka, a na niej okulary Ros, których używała do czytania.

Maggie poczuła skurcz żołądka.

Wiedziała, że Ros nie mogła się bez nich obejść - czy możliwe, żeby świadomie je zostawiła?

Oczywiście mogła mieć zapasową parę - jedną do czytania w łóżku, drugą w torebce, dla pewności, że zawsze ma je przy sobie...

Tak, to pasowało do profesjonalnej, zorganizowanej Ros.

Maggie rozejrzała się po sypialni, czując się jak intruz.

Na toaletce pokrytej cienką warstwą kurzu zauważyła małą rodzinę porcelanowych zwierzątek; pamiętała je jeszcze z dzieciństwa, i natychmiast ogarnęła ją nostalgia.

Obok stała butelka ulubionych perfum Ros, Coco, w oryginalnym opakowaniu, żeby chronić je przed słońcem.

Ponownie Maggie zaczęła się zastanawiać, czy siostra wyjechałaby na dłużej bez perfum.

Ale z musu mogła przelać je do mniejszego naczynka i nosić przy sobie w torebce.

Poza tym na toaletce nie zauważyła pudełeczek z kremami, pudru i cieni do powiek.

- Nigdzie nie widzę jej zestawu do malowania stwierdziła z nadzieją w głosie.

- Wydaje mi się, że trzyma te rzeczy w łazience zauważył Mike.

Maggie uświadomiła sobie w tej chwili, że on będąc blisko z Ros z pewnością dokładnie poznał jej zwyczaje.

Na pewno często spał w tym łóżku.

- Sprawdzę, czy tam są.

Po chwili był z powrotem w pokoju.

- Są, a przynajmniej mnie się tak wydaje.

Maggie poszła do łazienki.

Z bijącym sercem popatrzyła na półkę wiszącą nad umywalką, na której stały słoiczki z kremem nawilżającym, kremem na noc, tonikiem oczyszczającym, podkładem do makijażu i pudełeczko z pudrem.

Niedobry znak, ale o niczym to jeszcze nie świadczyło.

Ros mogła mieć zapasowy komplet kosmetyków.

To by do niej pasowało.

- Gdzie trzyma ubrania?

- zapytała.

W sypialni zauważyła niewielką szafę, pięknie rzeźbioną, ale bardziej dekoracyjną niż funkcjonalną.

- W pokoju gościnnym.

- Zaprowadził ją na koniec korytarza, do pokoju, który zajmowała, kiedy odwiedzała siostrę.

- Ros zamieniła go w garderobę kilka miesięcy temu.

Jak mówiłem, ma raczej dużo ubrań.

Kiedy otworzył drzwi, Maggie przekonała się, że Mike wcale nie przesadził.

Całe pomieszczenie zawieszono było ubraniami - rząd za rzędem, na wieszakach, w plastikowych torbach.

Na końcu znajdowała się półka na buty.

Przeglądanie ich zajmie im całą noc.

Pocieszenie stanowił fakt, że Ros utrzymywała tu porządek.

Letnie ciuchy wisiały z przodu, najbliżej drzwi, palta i kostiumy zimowe z tyłu.

- Co nosiła ostatnio?

- zapytała.

Mike wzruszył bezradnie ramionami.

- No...

chyba sukienki.

Czasami spodnie.

Ma też parę białych dżinsów - dodał nagle olśniony.

Maggie westchnęła, przeczesując ubrania.

Kilka lnianych kostiumów, parę prostych, ale eleganckich sukienek, luźny kostium z szerokimi spodniami, jedwabna marynarka i takie same spodnie...

Nie umiała stwierdzić, czy Ros, wybierając się na wakacje, wybrałaby właśnie te rzeczy.

Zauważyła tylko kilka pustych wieszaków - to mogło mieć jakieś znaczenie.

Nie było śladu po białych dżinsach.

Może miała je na sobie w dzień wyjazdu...

dokądkolwiek się wybrała.

Podzieliła się z Mikeem spostrzeżeniami, a on kiwnął głową.

- Ros nosi do tych spodni coś takiego zielonego - przypomniał sobie.

- Coś zielonego?

- Bluzkę.

Nie widzę jej tutaj.

Ale to...

- Wskazał na szerokie spodnie.

- Często je zakłada.

Wydaje mi się, że te z pewnością by ze sobą zabrała.

I lubi też tę długą kremową koszulę.

Jednak nie dam sobie ręki uciąć.

- Rozumiem.

Trudno cokolwiek powiedzieć.

- Nagle przypomniała sobie o jeszcze jednej rzeczy.

- Walizki!

Trzeba sprawdzić, czy są w domu.

- Nie mam pojęcia.

Trzyma je na poddaszu.

Maggie ogarnęło uczucie całkowitego zniechęcenia.

W tej chwili nie była wcale przekonana, czy chce wiedzieć, czy walizki Ros znajdują się na swoim miejscu.

Jeżeli tak, potwierdziłyby się ich najgorsze przypuszczenia.

Bała się, że nie da sobie rady z przyjęciem tego faktu.

- Zejdźmy na dół i najpierw napijmy się kawy - zaproponowała.

- Woda pewnie się już zagotowała.

Zeszli do kuchni.

Zapadał zmrok.

Przykry zapach stęchlizny zdążył się już nieco ulotnić, jednak w półmroku dom wyglądał na jeszcze bardziej opuszczony.

Dziwne, pomyślała.

Byli tu we dwoje, ona i Mike, a mimo to, ponieważ nie było z nimi właścicielki, wrażenie pustki utrzymywało się.

Zakłopotana włączyła światło, z ulgą myśląc, że przynajmniej tu w Anglii, nie musi się przejmować, iż zwabi ono komary.

- Nie podoba mi się to, Mike - oznajmiła, zalewając kawę wrzątkiem i otwierając karton z mlekiem.

Mike bez trudu odnalazł w szafce cukierniczkę i posłodził kawę, którą mu podała.

- Mnie też nie - przyznał cicho.

- Teraz widzisz, dlaczego tak się przejąłem.

- Policja musi coś z tym zrobić.

Jeśli zrobimy listę wszystkich podejrzanych faktów...

Uderzył pięścią w blat, aż kubki podskoczyły do góry, i wylała się z nich kawa.

- Do cholery, to nie my powinniśmy to robić!

Dlaczego nam nie wierzą?

Przecież ją znamy, rany boskie!

Wiemy, że nie wyjechałaby bez mówienia o tym komukolwiek.

Jutro rano pójde na komisariat i jeszcze raz z nimi porozmawiam.

Potrząsnę nimi, żeby się ruszyli.

Pomyśl, a jeśli, mówię tylko jeśli, coś się jej stało.

Może ktoś ją porwał.

Zdaję sobie sprawę, że brzmi to obrzydliwie melodramatycznie, jednak takie rzeczy się zdarzają.

A jeśli tak, to policja musi jak najszybciej zacząć działać.

- Masz rację - zgodziła się Maggie.

- Są rzeczy, których my nie potrafimy zrobić i które zajęłyby nam za dużo czasu.

I jak sam mówisz, szybkość działania może być najistotniejsza, jeśli rzeczywiście ją porwano...

Przerwała.

Była przestraszona, wyobraźnia podsuwała jej najgorsze scenariusze, jednak słowo "porwana" w powiązaniu z Ros brzmiało dziwnie, jak jakaś historia z pierwszych stron gazet.

Poza tym...

Z całą świadomością zdawała sobie sprawę, że zarówno ona, jak i Mike mówią o porwaniu, ponieważ nie chcą myśleć, że Ros spotkało coś jeszcze straszniejszego.

Tak czy inaczej obydwójce w głębi duszy kryli ten strach, chociaż nie mówili tego głośno.

Jeśli Ros zaginęła i stało się to nie z jej woli, istniały tylko dwa wytłumaczenia - jedno, o którym teraz rozmawiali, drugie, które bali się wyartykułować.

- Martwi mnie fakt, że jeśli Ros została porwana, to powinniśmy już coś o tym usłyszeć, a nic się nie dzieje - stwierdził Mike po chwili milczenia.

- Jakieś żądania albo coś w tym stylu...

- Jeśli przetrzymują ją dla pieniędzy.

- A z jakiego innego powodu...?

- Zamilkł nagle, bo w myśli sam odpowiedział sobie na pytanie.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

- Maggie już wyciągnęła paczkę papierosów z torby.

Łyknął kawy.

- Mnie nie.

Ros by to przeszkadzało.

Nienawidzi zapachu dymu w domu.

- Trudno.

- Zapaliła z wyrzutami sumienia, ale koniecznie musiała poczuć między palcami bibułkę papierosa i zaciągnąć się, by uspokoić jej nerwy.

Miała zamiar zerwać z tym nałogiem, ale teraz...

och, nie, nie teraz.

- Ty nie palisz?

- Nie.

Nigdy nie paliłem.

Sport i papierosy nie idą ze sobą w parze.

Maggie wróciła myślami do zniknięcia siostry.

- Nie wiesz, czy ostatnio widywała się z Brendanem?

- zapytała.

- Jej byłym mężem?

Nie sądzę.

Ale Ros wie, że uważam, że powinna go unikać, więc mogła mi nie powiedzieć o ich spotkaniach.

Ale dlaczego pytasz?

Myślisz, że on ma coś z tym wspólnego?

Westchnęła.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

Jednak nie możemy tego wykluczyć.

W swoim czasie Brendan napędził Ros porządnego stracha.

- Tak?

- Mike wyglądał na szczerze zdziwionego.

- Oczywiście.

Nie opowiadała ci o tym?

- Nie.

- Ciekawe dlaczego?

Może bała się, co zrobisz, kiedy dowiesz się, jak on ją traktował.

- A jak ją traktował?

- Bardzo źle.

Był przesadnie zazdrosny i miał niebywale bogatą wyobraźnię.

Pił, a potem rozstawiał ją po kątach.

Twarz Mikea pociemniała.

- Rzeczywiście, gdybym wcześniej o tym wiedział, nie odpowiadałbym za swoje czyny, jeślibym się na niego natknął.

Myślisz, że Brendan maczał w tym palce?

- Nie wiem.

Wiem tylko, że Ros się go bała.

- Maggie zawahała się, nie chcąc dodawać, że siostra mówiła jak to jej Brendan groził, że nikt inny nie będzie miał Ros, jeśli on nie może jej mieć.

- Wydaje mi się, że gdyby miał zrobić coś głupiego, zrobiłby to zaraz po zerwaniu, a nie teraz, po tak długim czasie.

Tylko że nic nie jest pewne, kiedy w grę wchodzi ktoś tak nieobliczalny jak on - ciągnęła.

- Nie wiecie mu się też zawodowo, prawda?

Mike wzruszył ramionami.

- Mówiłem ci już, że rzadko o nim rozmawiamy, ale, tak czy inaczej, nie słyhać go w radio.

- Spróbuję spotkać się z nim jutro i wyciągnąć z niego jakieś informacje - postanowiła.

Mike spojrział na nią z przejęciem.

- Myślisz, że to rozsądne?

Jeśli jest agresywny, to może być niebezpieczny.

- Nic mi nie robi.

- Ale jeżeli przetrzymuje Ros...

- Jeśli tak, wygada się.

A jeśli nie, nie wydaje mi się, że muszę się go obawiać.

Zresztą potrafię o siebie zadbać.

- Mówisz zupełnie jak Ros - zauważył z goryczą w głosie.

- Gdybym miał wskazać dziewczynę, która daje sobie sama radę, byłaby to Ros, a jednak coś się jej przydarzyło.

Maggie, nie powinnaś ryzykować.

Maggie wzdrygnęła się.

- Zimno, prawda?

- stwierdziła, odbiegając od tematu.

Ale wiedziała, że dreszcze przeszywają ją z powodu niepokoju o siostrę, a nie z chłodu.

- Nie martw się, będę ostrożna - zapewniła.

- Musimy brać pod uwagę każdą ewentualność.

Jeśli znajdziemy coś podejrzanego i zgłosimy to na policję, szybciej do nich dotrze, że sytuacja jest poważna.

- Jutro pracuję, ale wieczorem mogę pójść z tobą na spotkanie z Brendanem - zaproponował Mike.

Zamilkł i zaczął pić kawę.

Po chwili zastanowienia odezwał się: - Łamałem sobie głowę, żeby przypomnieć sobie wszystko, co ostatnio mówiła Ros, a co może dać nam jakieś wskazówki.

Jedyna rzecz wyglądająca na istotną dotyczy Vandiny.

- Masz na myśli jej pracę?

- Nie do końca.

Powiedziała coś takiego: "W Vandinie dzieje się coś dziwnego.

Nie rozumiem tego".

Ale ta rozmowa się urwała, chyba coś się wydarzyło, a potem nic na ten temat nie wspominała.

Jednak zastanawia mnie, czy nie chciała powiedzieć czegoś, co teraz miałyby znaczenie.

Może dobrze by było pogadać z jej kolegami z pracy.

Może oni wpadną na jakiś pomysł.

- Tak, myślałam o tym - stwierdziła Maggie.

- Ros mogła rozmawiać z którymś z nich o swoich planach.

Zaprzyjaźniła się tam z kimś?

Z kimś, komu mogłaby zaufać?

- Zdaje się, że Ros nie zawiera bliższych kontaktów z nikim.

Jest zbyt samodzielna.

Pracuje głównie z Dinah Marshall.

Już sam ten fakt oddala ją od innych.

- W takim razie spotkam się z Dinah Marshall.

- To może nie być takie proste.

Z tego, co wiem, niełatwo się do niej dostać.

- Mnie przyjmie - stwierdziła Maggie stanowczo.

- No cóż, nie wydaje mi się, że dziś uda nam się dużo więcej zdziałać.

Powinam się chyba przespać, między Korfu a Anglią są dwie godziny różnicy, a chciałabym mieć jutro świeży umysł.

- To ja jadę.

- Mike wypił kawę do końca i podniósł się, sięgając po wiatrówkę, którą rozwiesił na oparciu krzesła.

Ubrany sprawiał wrażenie, jakby zajmował całą kuchnię - potężny mężczyzna o trochę niedbałym wyglądzie.

- Jesteś pewna, że chcesz tu zostać sama na noc?

- Dam sobie radę.

Chciałabym myśleć to samo o Ros.

Och, Mike, gdzie ona się, do diabła, podziewa?

A jeśli nie spotkało jej nic złego, dlaczego nie daje znaku życia, nie zadzwoni do ciebie, do mnie, do kogokolwiek?

Mike potrzęsnał bezradnie głową.

- Nie wiem.

Możemy tylko mieć nadzieję, że załamała się pod nawałem obowiązków i postanowiła wyjechać, żeby się od nich oderwać.

- Tak, też tak myślę.

Tak czy inaczej z samego rana zaczną dochodzić prawdy.

Jak się spotkamy?

- Zadzwonię do ciebie po szkole.

Może pojedziemy razem coś zjeść.

Tu w okolicy mają kilka porządnych pubów, które serwują doskonale jedzenie.

Maggie kiwnęła głową.

- Dobrze, a więc czekam na twój telefon.

Przyglądała się, jak idzie ścieżką, a potem wyjeżdża Citroenem z parkingu.

Kiedy auto zniknęło jej z oczu, wróciła do domu.

Wydawał się teraz straszliwie pusty.

Ponownie naszły ją złe przeczucia; ze zdwojoną mocą uświadomiła sobie, jak jest samotna.

Powiedziała Mikeowi, że da sobie radę.
i oczywiście tak będzie.

Jednak wolałaby, żeby tu z nią został, wypełniając kuchnię podnoszącą na duchu obecnością.

Ros ma szczęście, że spotkała takiego mężczyznę.

Dlaczego więc, jeśli nie przydarzyło jej się coś złego, wyjechała, nie powiadamiając go, dokąd jedzie?

Jutro to wyjaśnię, przyrzekła sobie Maggie.

Jutro spotkam się z Brendanem i pójdę do Vandiny...

Oczywiście, będzie potrzebowała jakiegoś środka lokomocji.

Z samego rana zadzwoni do wypożyczalni i wynajmie samochód.

Teraz nie pozostawało jej nic innego, jak położyć się do łóżka i, jak sobie przyrzekała, nadrobić zaległości we śnie.

Zamknęła drzwi na zasuwę, zgasiła światła i poszła na górę.

Przechodząc obok walizki stojącej w korytarzu, przypomniała sobie, że zapomnieli z Mikeem poszukać na poddaszu walizek Ros.

Wahała się, czy może nie odłożyć tego do rana, ale w końcu stwierdziła, że jeśli nie pójdzie się przekonać, nie będzie mogła zasnąć.

Wejście na poddasze znajdowało się na środku sufitu.

Maggie przyniosła krzesło, wspięła się na nie i odczepiła rozsuwaną drabinę.

Pomieszczenie nad jej głową pogrążone było w całkowitej ciemności.

Poszukała wzrokiem włącznika światła, ale go nie zauważyła.

Zeszła na dół po latarkę, którą znalazła w jednej z kuchennych szafek.

Była duża i dawała szeroki strumień światła.

Ponownie wspięła się na drabinę, z nadzieją w sercu, że jednak nie znajdzie walizek siostry.

Jeśli nie ma ich na poddaszu ani nigdzie indziej w domu, w takim razie wyjazd Ros był zaplanowany.

Z czasem wyjaśni się, dlaczego wyjechała.

Ze względu na problemy osobiste, kłopoty w pracy czy może ze względów zdrowotnych...

żadna z tych przyczyn nie była na tyle skomplikowana, żeby nie można jej było w przyszłości wyjaśnić.

Ale jeśli walizki stoją na swoim miejscu...

Maggie przełknęła ślinę, zbliżając się do czubka drabiny.

Poświeciła latarką w głąb pomieszczenia.

Po lewej stronie, w zasięgu ręki, stała walizka Ros.

Maggie skierowała na nią strumień światła, nie wierząc, że jednak tu jest.

Bez wątpienia patrzyła na walizkę ze świńskiej skóry, z inicjałami Ros.

Rozdział Piąty.

Maggie obudziła się wraz ze wschodem słońca.

Chociaż długo nie mogła zasnąć, obudziła się tak wcześnie, ponieważ jej zegar biologiczny jeszcze się nie przestawił.

Przez chwilę zastanawiała się, gdzie jest.

Potem, przyglądając się fiołkowo różowym zasłonom, gotyckiemu oknu, przez które przeświecało poranne słońce, oraz nieznanym blado zielonym ścianom, przypomniała sobie.

Leżała w łóżku Ros, w jej sypialni.

Łóżko gościnne nie było posłane, a ona nie miała już siły, żeby szukać czystej zmiany pościeli.

Teraz jednak czuła się trochę nieswojo.

"Kto spał w moim łóżku", przypomniała sobie słowa rozzłoszczonej mamy niedźwiedzicy z przedstawienia, które oglądała w dzieciństwie.

To bezsensowne wspomnienie wyrwało Maggie z nocnego koszmaru.

Podciągnęła się do góry i oparła na poduszkach, zastanawiając się, co w tej chwili robi Ari.

Na Korfu było wpół do ósmej.

Z pewnością je na patio śniadanie, a może nawet już je skończył i szykuje się do wyjazdu do biura w Kerkirze.

To przy założeniu, że poprzedniego wieczoru wrócił do domu, ale może tego nie zrobił.

Może został w mieście, w apartamencie...

A jeśli tak, to czy towarzyszyła mu Melina?

Ogarnęło ją znajome uczucie bezsilnej zazdrości, więc szybko zrzuciła z siebie kołdrę i wstała.

Nie ma sensu tracić teraz czasu na zamartwianie się Arim.

Na rozwiązywanie małżeńskich problemów przyjdzie pora, kiedy odnajdą Ros.

Podeszła do okna i rozsunęła zasłony na całą szerokość.

Ogród, bujny i zielony po deszczach, teraz skąpany w złotych promieniach porannego słońca, wyglądał dziko i naturalnie, mała część Anglii, za którą tak bardzo tęskniła.

Oczywiście na Korfu też było mnóstwo zieleni - gdyby była sucha i zakurzona jak na Krecie albo na innych greckich wyspach, Maggie chyba tego nie zniosła.

Ale na Korfu zielen gajów oliwnych i wysokich cyprysów, rosnących pod niemal zawsze szafirowym niebem, była intensywniejsza, lecz i tak różniła się od tej tutaj, aż pękającej od kropel rosy.

Ptaki też wyglądały inaczej.

Maggie przyzwyczała się do krążących po niebie jerzyków, jaskółek, które często wiły sobie gniazdo przy suficie ich balkonu, oraz pliszek, które uwielbiały kapać się w kałużach patio.

Wiedziała, że zimą przylatują drozdy i kosy, ale rzadko je widywała; teraz, stojąc w oknie, przysłuchiwała się porannemu chórowi i przyglądała się parze kosów, poszukujących w wysokiej trawie robaków.

Z nastroszonymi łebkami i wyprężonymi ciałkami tuptały po ziemi, łowiąc dźwięki niedostępne dla ludzkiego ucha, które zwiastowałyby nadejście ich śniadania.

Wszystko było tak piękne, tak spokojne, tak typowo angielskie, że aż trudno było sobie wyobrazić, iż w tym idealnym świecie może czegoś brakować.

Przez krótki moment Maggie wydawało się, że zaginięcie Ros to tylko zły sen.

Jednak jej obecność w domu siostry przeczyła temu.

Szlafrok Ros wisiał za drzwiami.

Maggie nałożyła go na za duży na nią podkoszulek, w którym spała.

Ari nienawidził, kiedy zakładała do łóżka takie rzeczy.

Chciał, żeby ubierała się w podniecające jedwabne koszule obszyte koronkami.

Ale po upalnych nocach na Korfu Maggie przypuszczała, że zmarznie, a poza tym było jej wygodniej w podkoszulku, o wiele bardziej niż w sięgających do samej ziemi koszulach na cienutkich ramiączkach.

Jeśli spała samotnie, to przynajmniej chciała się czuć swobodnie.

Pozwoliła sobie na ten niewielki, egoistyczny luksus, ale kiedy przyszło jej do głowy, że być może w przyszłości będzie miała więcej

okazji, by w ten sposób uprzyjemnić sobie życie, szybko odsunęła od siebie te myśli.

Przezesłała włosy, umyła twarz zimną wodą nad umywalką znajdującą się w sypialni, po czym zeszła na dół, zabierając po drodze stertę korespondencji z żelaznego koszyczka.

Czekając, aż zagotuje się woda, przejrzała listy - kilka z nich oferowało gwarantowane premie w zamian za wykupienie polisy, reklamówki dwóch domów wysyłkowych oraz klubu sprzedającego płyty kompaktowe i kasety magnetofonowe, ofertę darmowego filmu, w zamian za każdy, który da się do wywołania właśnie tej firmie.

Maggie wyrzuciła prawie wszystkie do kosza na śmieci, ze złością myśląc, ile drzew trzeba było ściąć, żeby wyprodukować papier, na którym drukowano takie bzdury.

Zostawiła tylko dwie koperty, które mogły zawierać coś interesującego.

Pierwsza - nadawcą był bank Ros - zawiodła jej nadzieje; po prostu następna reklamówka, tylko bardziej wyrafinowana - propozycja sprzedaży usług finansowych.

Ale kiedy Maggie przedarła ją na pół i dorzuciła do reszty listów w koszu, przyszło jej do głowy, że może dowie się czegoś o Ros w jej banku, na przykład, czy przez ostatni tydzień podejmowała z konta pieniądze.

Następna koperta była zaadresowana odręcznie.

Maggie zawahała się, zanim ją otworzyła.

Kiedy jednak zdecydowała się na ten krok, odkryła, że koperta zawierała notkę od dentysty Ros, który ustalał jej półroczną kontrolę na 19 lipca, na szesnastą trzydzieści.

Czy Ros będzie mogła się stawić?

A więc listy nie rzuciły nowego światła na całą sprawę.

A co z telefoniczną sekretarką?

Może tam znajdzie coś ciekawego?

Wskaźnik pokazywał dziewięć nagranych rozmów; Maggie przewinęła kasetę i włączyła przycisk odtwarzania.

Znowu spotkał ją zawód.

Trzy nagrania były od Mikea, dwa od ich matki, jedno od tapicera, który zawiadamił, że Ros może już odebrać krzesło, które oddała do obicia, i jedno urwane, kiedy dzwoniący rozłączył się, słysząc automatyczną sekretarkę.

Jedno nagranie pochodziło od starej znajomej Ros, mieszkającej w Scarborough, proszącej o kontakt - to oznaczało, że Ros nie jest u niej - następne z firmy Ros.

- Ros, tu Liz.

Myślałam, że już wróciłaś.

Jesteś potrzebna do załatwienia kilku spraw, z którymi tylko ty dasz sobie radę, a Dinah naprawdę się denerwuje.

Aha, mam nowe informacje, wiesz na jaki temat.

Wydaje mi się, że to interesujące.

Proszę, zadzwoń, kiedy tylko się pojawisz.

Cześć.

Maggie przewinęła taśmę i ponownie wysłuchała nagrania.

Wynikało z niego, że nieobecność Ros źle wpływała na sprawy firmy, a poza tym, że nikt nie spodziewał się jej wyjazdu ani nie domyślał się, kiedy wróci.

Ta tajemnicza wzmianka o czymś, o czym nie należało rozmawiać przez telefon, była intrygująca.

Maggie przypomniała sobie, jak Mike wspominał, że Ros napomykała o jakichś dziwnych rzeczach dziejących się w Vandinie.

Czy istnieje tu jakiś związek?

Przy telefonie leżał notatnik i ołówek.

Maggie sięgnęła po nie i zapisała dużymi literami: "Liz - Vandina".

Przynajmniej wiedziała teraz, z kim może się skontaktować w Vandinie oprócz niedostępnej Dinah Marshall.

Przejdzie się do firmy Ros, porozmawia z tą Liz i dowie się od niej, co miała na myśli.

Woda w czajniku zagotowała się.

Czując przyływ energii, Maggie przygotowała sobie grzanekę i kawę.

Kiedy skończyła, nadal jeszcze było zbyt wcześnie, by do kogokolwiek zadzwonić, więc postanowiła wykorzystać ten czas na przeszukanie domu.

Wyglądało to na myszkowanie, ale czyż nie w tym celu się tu zjawiała?

Rozpoczęła od przejrzania listów, które Mike odebrał w ciągu tygodnia.

Po przeczytaniu zostawiła je równo ułożone na blacie kuchennym.

Następnie przeszła się po domu, by nabrać pojęcia, jak żyje jej siostra.

Oczywiście, Mike mógłby jej o tym opowiedzieć, ale czuła, że najlepiej będzie, kiedy sama się zorientuje.

Spróbuj popatrzeć na wszystko oczami Ros, a zresztą Mike nie o wszystkim musi wiedzieć.

Jest chłopakiem Ros, ale Maggie podejrzewała, że po fatalnym małżeństwie z Brendanem, siostra nie potrafi już zaufać komuś całkowicie, poza tym z natury jest nieco skryta.

Bardzo prawdopodobne, że nie opowiadała Mikeowi o niektórych rzeczach, na przykład o agresywności Brendana.

Przechodząc z pokoju do pokoju, z każdym krokiem traciła optymizm.

Chociaż Mike wyrzucił z lodówki wszystkie zepsute produkty, o niektórych zapomniał - zostawił filety rybne, które przed tygodniem straciły ważność, kawałek pieczonego kurczaka zawinięty w folię.

Odwinęła go i aż musiała odwrócić głowę, tak śmierdział.

W małej pralni stał kosz z ubraniami przygotowanymi do wyprasowania, kosz na brudną bieliznę w łazience też był wypełniony.

Wszystko wskazywało na to, że Ros nie miała zamiaru wyjeżdżać na dłużej, a z drugiej strony nie można było wywnioskować, dokąd się udała albo co się z nią stało.

Niedobrze.

Skończywszy oględziny domu, Maggie wróciła do kuchni i sprawdziła, która jest godzina.

Parę minut po dziewiątej.

Powinna najpierw zadzwonić do matki, ale nie bardzo miała na to ochotę.

Nie uśmiechało jej się tłumaczyć, że Ros zaginęła, i to o wiele wyraźniej, niż zrobił to Mike, kiedy dzwonił do niej na Korfu i starał się powiadomić ją o nieszczęściu, ale tak, żeby jej nie zdenerwować.

Obawiała się też pytań, które niezawodnie padną - o Ariego i Korfu oraz dlaczego zostawiła jego i dom i popędziła do Anglii.

Ale nie mogła tego uniknąć.

Westchnęła, podniosła słuchawkę i wykręciła numer matki.

Przez dłuższy czas nikt się nie zgłaszał, więc postanowiła się rozłączyć, kiedy nagle usłyszała w słuchawce męski głos.

- Halo.

Tu pułkownik Ashby.

Maggie zamarła.

Jedyną osobą, z którą nie chciała rozmawiać bardziej niż z matką, był właśnie pułkownik.

Śmieszny człowiek, pomyślała.

Dlaczego ciągle mówi o sobie pułkownik?

Nie jest już nim od co najmniej dwudziestu lat.

- Harry?

Mówi Maggie - odezwała się.

- Czy mogę rozmawiać z mamą?

- Nie bardzo wiem, gdzie jest.

Chyba zwariuję, pomyślała.

- To znaczy, że nie ma jej w domu?

- zapytała głośno.

- Gdzieś tu się krząta, pewnie w ogrodzie.

Mówiła coś o przycinaniu róż.

- Czy mógłbyś ją zawołać?

- Spróbuję, spróbuję - odpowiedział zrzędlwym głosem.

On wzbrania się przed zrobieniem czegokolwiek - ze złością stwierdziła pewnego razu Ros.

- Nadal chciałby mieć ordynansa, a w zamian ma mamę.

Maggie czekała, powtarzając w myśli to, co zamierzała powiedzieć.

Kiedy jednak zdyszana matka odezwała się swoim srebrzystym głosem, pieczołowicie ułożone słowa natychmiast wyleciały jej z głowy.

- Margaret, to ty?

- Tak, mamo.

- Dobry Boże, co za niespodzianka!

Jak dobrze cię słyszeć!

Jakbyś dzwoniła obok z pokoju, a nie z Korfu.

- Bo nie dzwonię - stwierdziła.

- Nie dzwonisz?

- Nie dzwonię z Korfu.

Jestem w Stoke - sub - Mendip.

- Stoke, z Rosalie?

- Ja...

no, niezupełnie z Rosalie...

- Margaret!

- W głosie Dulcie Ashby zabrzmiał teatralny ton, znamionujący zbliżający się szok.

- Nie porzuciłaś chyba Ariego?

Maggie poczuła, że cała się spina.

Dlaczego zawsze, kiedy rozmawiała z matką, tak się działo?

Ale niestety niezmiennie miała takie objawy, już od lat.

Matka nie potrafiła uspokajająco wpłynąć na córkę.

Przeciwnie, Maggie miała wrażenie, że jej ciało pręży się jak struna, która za chwilę strzeli, żeby zwinąć się w obęcz.

- Nie, mammo, nie porzuciłam Ariego.

- W takim razie, co ty robisz w Anglii?

Nic nie mówiłaś, że przyjeżdżasz.

Dlaczego mnie nie powiadomiłaś?

Kiedy przyjechałaś?

- Wczoraj wieczorem.

Sama nie przypuszczałam, że przyjadę.

- To znaczy ni stąd, ni zowąd przyszła ci ochota na wakacje w Anglii, tak?

- Mamo.

- Maggie starała się przejąć kontrolę nad rozmową.

- Zdaje się, że kilka dni temu dzwonił do ciebie Mike, czy tak?

- Mike?

Masz na myśli Michaela?

Michaela Ros?

- Oczywiście.

- Tak, dzwonił.

Chciał wiedzieć, czy jej nie widziałam.

Tak jakby często to się zdarzało!

Wydaje mi się, że widuję się z Ros jeszcze rzadziej niż z tobą.

- Posłuchaj, mammo.

Mike nie chciał cię denerwować, ale wygląda na to, że nikt nie wie, gdzie jest Ros.

Do mnie też zadzwonił, myśląc, że może wyjechała na Korfu.

Oczywiście nie było jej u nas, więc postanowiłam przyjechać i zbadać, co się z nią stało.

- Ale po co?

- Ponieważ wygląda na to, że zaginęła, mammo.

- Och, mój Boże, tylko nie to samo znowu!

Dlaczego mężczyźni tak szybko wpadają w panikę?

Wczoraj była u mnie policja.

Podobno Mike zgłosił im zaginięcie Ros.

Kompletna bzdura!

- Była u ciebie policja?

- Tak.

Umundurowany posterunkowy pojawił się tu w najmniej odpowiednim momencie, kiedy akurat jedliśmy z Harrym obiad.

Powiedziałam mu, że nie mam pojęcia, gdzie jest Ros.

A niby skąd miałabym to wiedzieć?

Wy, dziewczynki, nigdy mi się nie opowiadałyście.

Przecież w końcu jestem tylko waszą matką!

Powiedziałam też, że robicie szum z niczego.

Ros jest dorosła, ma własne życie.

Niekoniecznie zawsze podoba mi się, co ona robi, ale cóż.

Teraz wszyscy się rozwodzą.

Nie mają do siebie cierpliwości.

Chyba dlatego, że zbyt pochopnie się pobierają.

Maggie wyczuła, że zbliża się kłótnia.

Zawrzała w środku, jednak nie chciała teraz wdawać się w rozmowę akurat na ten temat.

- To znaczy, że nie widziałas się z Ros ani się z nią nie kontaktowałaś?

- Nie.

Ale to nie jest nic niesamowitego.

A jeśli chodzi o Mikea Thompsona, nie ma powodu, żeby Ros tłumaczyła mu się z każdego swojego kroku.

Przecież nie jest jej mężem, prawda?

- Mammo...

- Margaret, posłuchaj, nie bardzo mam teraz czas na rozmowę.

Za chwilę przychodzą panie na spotkanie kółka pomocy starszym ludziom, a potem czeka mnie tysiące następnych zajęć.

Kiedy zadzwoniłaś, przycinałam róże, ale te biedactwa zupełnie zniszczył deszcz.

Poza tym jest tak zimno!

Pąki nie chcą się rozwinąć, a nawet jeśli się rozwiną, kwiaty są całe podziurawione i wyglądają na zwiędnięte.

Kiedy nas odwiedzisz?

Mam nadzieję, że dojdzie do tego w czasie twojej wizyty w Anglii?

- Oczywiście, mam - z irytacją potwierdziła Maggie.

- Zadzwonię jeszcze raz, kiedy nie będziesz taka zajęta.

- Bardzo proszę.

Może dzisiaj po obiedzie.

BBC 2 nadaje wtedy ulubiony program Harryego, coś o polityce.

Między nami mówiąc, jest strasznie nudny.

Będziemy miały okazję spokojnie porozmawiać.

I na Boga, Maggie, przestań denerwować się o Ros.

Jestem pewna, że wszystko z nią w porządku.

- Tak, mam.

No to do usłyszenia.

Maggie odłożyła słuchawkę i przez chwilę stała beczynn timer, czując się jak wyżęta ścierka.

Przynajmniej matka nie martwi się o Ros.

Zresztą, jak mogła przypuszczać, że matka czymkolwiek się przejmie?

Ma mózdek nie większy od fasoli, pomyślała złośliwie.

Że też biedny tata potrafił z nią wytrzymać.

Nic dziwnego, że umarł tak młodo.

Bez wątpienia przekonał się w końcu, że ta piękna kobieta, w której się zakochał, nie ma żadnego wnętrza poza urzekającym ciałem i niezmiernie czarującymi manierami, dzięki którym robiła z rozsądnych mężczyzn głupców.

Ona jest jak deser "pieczona Alaska" - stwierdziła raz Ros.

- Wygląda smakowicie, ale po ugryzieniu okazuje się, że w środku nie ma nic oprócz roztopionych lodów.

Maggie, która zawsze podziwiała lapidarny humor siostry, zaśmiała się z żartu, ponieważ naprawdę był celny, chociaż nie do końca była przekonana, czy wypada drwić w ten sposób z własnej matki.

Chyba nie, mimo że doskonale wiedziała, co Ros chciała wyrazić.

Dzięki Bogu, że jesteśmy podobne do taty!

- powiedziała przy innej okazji, i z tym zdaniem Maggie zgadzała się całym sercem.

Obydwie uwielbiały ojca.

Maggie miała nadzieję, że zawsze będzie taka jak on.

Czasami śniły się jej koszmary, że w jej charakterze pojawia się jedna z denerwujących cech matki...

Ale przynajmniej w rozmowie z nią dowiedziałam się jednej rzeczy, pomyślała, idąc do kuchni, żeby zrobić sobie drugą filiżankę kawy.

Policja mimo wszystko prowadzi śledztwo.

Poszli zobaczyć się z Dulcie - tylko czy po tym, jak powiedziała im, że jej zdaniem nie ma się czym martwić, będą dalej je prowadzić?

Popijając kawę, palcami szukała paczki papierosów.

Naprawdę nie powinna...

jest zbyt wcześnie...

jednak okoliczności były wyjątkowe.

Zerwę z paleniem po powrocie do domu, postanowiła, i już ze spokojniejszym sumieniem wyjęła papierosa.

Miała rację, tłumacząc sobie, że jest jeszcze za wcześnie na palenie.

Papieros smakował jak kawałek pieczonej gumy, ale Maggie, zastanawiając się nad swoimi dalszymi krokami, zaciągała się nim dalej.

Musi najpierw zamówić samochód.

Bez środka transportu nie zdziała wiele.

To przypomniało jej, że nigdzie nie zauważyła samochodu Ros - fakt ten podnosił ją trochę na duchu.

Czy policja rozproszyla jego numer po komisariatach?

Czy będą go szukali?

Jednak nie bardzo wierzyła w taką możliwość, zresztą, kto zwracałby uwagę na zwykłego Golfa GT?

Byłoby łatwiej, gdyby Ros lubowała się w luksusowych samochodach, ale ona wybierała auta szybkie, pewne i - ze względu na możliwości parkowania - małe.

Funkcjonalne, jak większość przedmiotów ją otaczających.

Maggie westchnęła.

Może powinna wzorować się na siostrze i zacząć działać metodycznie?

Przyciągnęła do siebie jeden z listów, który przeczytała tego ranka, poszukała w szufladzie ołówka, po czym spisała plan działania.

1.

Wynająć samochód.

2.

Zadzwonić po taksówkę, albo złapać ją na mieście.

3.

Spotkanie z Brendanem.

4.

Wizyta w Vandinie.

5.

Przekazać informacje policji i trochę ich pogonić.

6.

Rozmowa z Mikeem.

7.

Jeszcze raz zadzwonić do mamy.

Zaciągnęła się papierosem, zaszokowana liczbą zadań, jakie czekają ją tego dnia.

Na Korfu jedynym obowiązkiem byłoby pomóc teściowej wyprać dywany, po czym resztę dnia mogłaby przeznaczyć na opalanie się, pływanie, czytanie i każde inne zajęcie, jakie przyszłoby jej do głowy, a na które miałyby ochotę.

Rzeczywiście musi się zorganizować, tak jak czyni to Ros.

Zrobiła się taka leniwa, że bez planowania nic nie uda jej się dokonać.

W tym momencie uderzyła ją groteskowość sytuacji.

Zaginęła Ros, zawsze taka zorganizowana, podczas gdy ona, wiecznie roztrzepana Maggie, nigdy nie mająca większych ambicji oprócz poślubienia mężczyzny, którego kochała, znalazła się w tym miejscu, próbując racjonalnie rozwiązać zagadkę, która całkowicie przerastała jej możliwości!

Rozdział szósty.

O godzinie jedenastej Brendan Newman ciągle jeszcze leżał w łóżku.

Rzadko kiedy zwlekał się z niego przed południem, a ten dzień nie był żadnym wyjątkiem.

Do czego miał się spieszyć?

Przecież nie pracował.

Co wcale nie znaczy, że kiedy pracował, też z radością zrywał się bladym świtem.

Był osobą - często podkreślał to z dumą - która potrafi nie kłaść się spać do późnych godzin nocnych.

Tak naprawdę wpadał w obroty dopiero po pierwszym drinku, za to kiedy inni chodzili już na rzesach, on, Brendan, nadal czuł się świeżo, ciągle popijał z butelki i dyskutował, jeśli tylko złapał słuchacza.

Dawniej nie miał z tym problemu.

Jego nazwisko znało wiele osób, a praca w radio nadawała mu status gwiazdy.

Ale nawet teraz, chociaż coraz częściej ludzie nie wiedzą, z kim mają do czynienia, potrafi przyciągnąć uwagę publiczności.

Nieważne, czy to w klubie czy na jakimś party.

W czasach, kiedy był w formie, potrafił mówić niemal w sposób magiczny, zdania płynęły z jego ust jak potok, łączyły się w całość zarówno wtedy, gdy mówił o sprawach poważnych, jak i wtedy gdy żartował.

Udawało mu się uchodzić za eksperta niemal w każdej dziedzinie, o której akurat była mowa.

Często przesadzał, ale nikomu to nie przeszkadzało.

Dzięki swojemu irlandzkiemu pochodzeniu był wspaniałym gawędziarzem.

"Jasne, że ucałowałem Blarney Stone.

Cóż innego może zrobić prawdziwy syn Irlandii"?

- opowiadał, przesadzając z akcentem, jakby opuścił County Cork dopiero przed tygodniem, chociaż naprawdę zdarzyło się to, kiedy miał pięć lat.

Początkowo dyrekcja lokalnej stacji radiowej, w której pracował, z niechęcią odnosiła się do pomysłu, żeby spikerem został ktoś z tak odmiennym akcentem.

Do tej pory wybierali prezenterów, mających gardłową wymowę niektórych głosek - następna moda po wszechobecnym akcencie oksfordzkim, propagowanym przez BBC.

Jednak Brendan wkręcił się do stacji, tak jak i do serc i domów słuchaczy.

Bez wątpienia zaszedłby wysoko, gdyby miał tyle samodyscypliny co wdzięku.

Najpierw prowadził małe wstawki między programami, następnie dostał własny program, zdobył wielbicieli, zaczęły się nim interesować większe stacje.

Ale Brendan był próżny, a na dodatek prowadził rozwiązłe życie.

Zamiast chodzić wcześniej spać, by następnego dnia czuć się świeżo, wolał przesiadywać po knajpach, gdzie otaczał go podziw, ludzie stawiali drinki i słuchali jego niewyczerpanych historyjek.

Dość szybko taki styl życia dał mu się we znaki.

Zmęczony i z kacem nie przygotowywał się do programów.

Nie pojawiał się na nagraniach, gubił kasety, arogancko odpowiadał słuchaczom, którzy dzwonili do jego codziennego kwizu.

Kilka razy w ogóle nie pojawił się w studiu, a pewnego dnia, kiedy pracujący z nim kierownik produkcji i reporter poszli do jego kawalerki, z której korzystał w czasie tygodnia pracy, chcąc sprawdzić, co się z nim dzieje, zastali go pogrążonego w głębokim śnie, ale nie w łóżku, tylko w wannie!

- Co ty tu robisz, do cholery?

- wrzeszczał producent, rozwścieczony, ponieważ był przekonany, że Brendan umarł na skutek szoku termicznego albo z przedawkowania narkotyków.

- Śpię!

A co myślałeś?

- odciął się.

Nie mógł się nawet podnieść, bo miał zdrtwiałe nogi i potężny ból głowy.

- Ale dlaczego w wannie, na Boga?

- Blżej do klopa, jeśli zachciałoby mi się sikać albo rzygać.

Kierownik produkcji zaczął pojmować, że Brendan potrafi być tak samo odrażający, jak bywa urzekający.

- Nie pamiętasz, że pracujesz w radio i za piętnaście minut masz wejść na antenę?

- krzyczał.

- Nie martw się, będę tam.

- No jasne!

Nie wygląda mi na to.

Jeszcze zacząłbyś wygadywać jakieś głupoty.

Bruce cię zastąpi.

- Bruce Stapleton?

Ten mały, nudny wypierdek?

- Ale przynajmniej jest na miejscu!

Jest miły, uprzejmy i ludzie go lubią.

Przypomina im ich synów.

- Przestań, bo zaraz się porzygam!

- Tak, porzygasz się, ale nie przeze mnie, tylko przez alkohol, który wychlałeś.

I przysięgam ci, że jeśli nie skończysz z tym i nie zaczniesz traktować pracy poważnie, wylecisz ze stacji tak szybko, że będzie ci się wydawało, że fruwasz.

- Nie zrobisz mi tego.

Jestem Brendan Newman, pamiętasz?

- Koleś, nic mnie nie obchodzi, jak się nazywasz.

Nie ujdzie ci na sucho takie prowadzenie się, i najwyższy czas, żebyś zaczął w to wierzyć.

Brendan obrzucił go najwymyślniejszymi wyzwiskami ze swojego słownika.

Nawet w stanie, w jakim się wtedy znajdował, potrafił wyrzeć wrażenie.

Ale nie na kierowniku produkcji ani też na członkach zarządu, który zebrał się, by przedyskutować jego postawę.

Żałowali Brendana.

Miał przed sobą świetlaną przyszłość, bez wątplenia posiadał talent.

Jednak jego postępowanie szybko prowadziło go do zguby.

Uznali, że należy go zwolnić, bez względu na skutki dla radiostacji.

Brendan w chwilach trzeźwości wyklócał się, straszył i odgrażał, że pozwie ich do sądu za bezpodstawne zwolnienie.

Niestety, znalazł się na bruku, w dodatku z taką reputacją, która nie rokowała rychłego znalezienia następnej pracy.

W okresie sukcesów odnoszonych w rozrywce uzyskał kartę związku artystów Equity, której teraz używał.

Początkowo, ponieważ jego nazwisko nadal jeszcze coś znaczyło, udawało mu się dostać jakieś zajęcia, głównie podkładał głos pod reklamówki, raz zagrał króla w pantomimie produkowanej przez Old King Colea.

Jednak wieść o jego niesolidności zataczała coraz szersze kręgi, a ludzie o nim zapominali, więc nawet to źródło pracy zaczęło wysychać i Brendan znalazł się w sytuacji, o jakiej zawsze marzył - miał wreszcie mnóstwo czasu i mógł robić, co tylko chciał.

Jeśli spędził całą noc na picu i gadaniu, nie musiał następnego ranka zwlekać się z łóżka, golić zarostu na coraz bardziej czerwonej twarzy, po czym stawiać się w pracy.

Mimo to nie czuł się szczęśliwy.

Ponura strona jego natury, ukryta do tej pory pod maską jowialności, poczęła przebijać się na powierzchnię.

Obarczał wszystkich dookoła winą za swój upadek i brak pieniędzy na luksusowe życie, do jakiego się przyzwyczył.

Chadzał i jadał w drogich restauracjach, wakacje spędzał w kosztownych, zagranicznych kurortach, jeździł sportowymi samochodami.

Obwinał stację radiową, obwinał niestałych słuchaczy, obwinał los.

Ale największe pretensje żywił do Ros.

- Nienawidzę tej dziwki - mawiał po pijaku.

- Kiedy ją spotkałem, była niczym.

Dałem jej wszystko.

Tylko Pan Bóg wie, jak bardzo ją kochałem.

Wyniosłem na piedestał i czciłem, jak bóstwo.

A ona tak mi się odwdzięczyła!

- Co takiego zrobiła?

- pytali ludzie, którzy nie znali Brendana.

Jego starzy znajomi wiedzieli, że lepiej nie zgłębiać tego tematu.

- Okłamała mnie, oszukała i wykpiła.

Zrobiła ze mnie kompletnego głupca.

Dla niej zrobiłbym wszystko.

Wykorzystała mnie, a kiedy nic nie zostało, zostawiła mnie.

Nienawidzę jej za to, ale też ciągle ją Kocham.

Czasami myślę, że powinienem ją zabić, wtedy nikt inny nie będzie jej miał.

To jedyny sposób, żebym uzyskał spokój, bo myśl, że jest teraz z innym mężczyzną, doprowadza mnie do szału.

Ci, którzy słuchali go po raz pierwszy, dochodzili do wniosku, że jest postacią tragiczną, mężczyzną ze złamanym sercem, zniszczonym życiem, zakochanym w zdradliwej kobiecie.

Starzy przyjaciele natomiast, chociaż nadal lubili jego towarzystwo, patrzyli na wszystko sceptycznie.

Brendan stracił Ros tylko i wyłącznie z własnej winy, tak jak sam przyczynił się do zniszczenia swojej kariery i życia.

Tego ranka obudził się nieco wcześniej niż zwykle.

Z ciężkiego, pijackiego snu obudziły go promienie słońca.

Kiedy otworzył oczy, poczuł w nich ukłucie tysiąca igieł, w głowie mu waliło.

Zamknął szybko powieki i zaklął.

Dlaczego to cholerne słońce musi świecić właśnie dzisiaj, kiedy on czuje się tak okropnie?

Cały ostatni tydzień był pochmurny i Brendan miał nadzieję, że następny też taki będzie.

A jednak roz pogodziło się i teraz ostre promienie raniły jego wzrok nawet przez zamknięte powieki.

Dlaczego wieczorem nie zaciągnął zasłon?

Nie pamiętał nawet, jak się rozebrał, choć wyglądało na to, że to zrobił, ponieważ leżał w łóżku tylko w bieliźnie.

Śmieszne, pomyślał, że robi się różne rzeczy, a potem się ich nie pamięta.

Ostatnio zdarzało się to coraz częściej.

Całe zdarzenia po prostu wymykały mu się z pamięci.

Oczywiście nieraz urywał mu się film, kiedy przesadził z piciem.

Nie mógł przypomnieć sobie, co robił poprzedniego wieczoru.

Jednak obecne stany różniły się od tamtych, były bardziej denerwujące, ponieważ sięgały dalej.

Często nie mógł znaleźć różnych przedmiotów - książki, portfela, zegarka - szukał ich godzinami, wściekając się coraz bardziej, po czym odnajdował zgubę w miejscu, w którym tylko on mógł ją położyć.

Albo zaczynał coś mówić, a po chwili zapominał, o czym to miało być.

Dla Brendana, człowieka, który uwielbiał wdawać się w dyskusje, była to prawdziwa tragedia.

Potrafił wykaraskać się jakoś, kiedy stracił wątek, ale mimo wszystko czuł się nieprzyjemnie.

Zapominał o umówionych spotkaniach, zapominał, że dzwoniли do niego znajomi, zapominał, gdzie był danego dnia.

Całą winę kładł na beczynność, na brak pracy.

Czas coś z tym zrobić, czas podnieść się z tego szamba, do którego wpędzili mnie tacy i owacy, i pokazać im, że nie tak łatwo jest pobić Brendana Newmana.

Na krótki czas to postanowienie przyspieszyło jego obroty.

Kiedy miał pomysł, potrafił realizować go tak entuzjastycznie jak inni - a nawet bardziej.

Nikt nie wątpił w jego zapał - jednak brakowało mu cierpliwości oraz samodyscypliny.

Tego ranka daleki był od entuzjazmu.

Wraz z pulsowaniem krwi w skroniach czuł też ogarniające go przygnębienie.

Chciał jedynie zasłonić kotary i oddzielić się od tego cholernego słońca.

Wstał i potknął się na porzuconym w nieładzie bucie.

Zaklął.

Zaciągnął ciężkie zasłony i poszedł do łazienki.

Tu także dochodziły promienie słoneczne, przedzierające się przez żaluzje i odbijające się w lustrze.

Starając się nie otwierać powiek zbyt szeroko, poszukał w szafce z lekarskimi tabletkami Alka - Seltzer.

Kilka przedmiotów spadło na podłogę - opakowanie z plastrami, zestaw do czyszczenia szkieł kontaktowych - ale nie chciało mu się ich podnosić.

Bał się, że jeśli się pochyli, głowa mu z pewnością pęknie.

Rozerwał opakowanie, wyjął dwie tabletki, które rozpuścił w wodzie, w kubku do mycia zębów.

Boże, dlaczego one tak głośno stukają?

Dlaczego nie można wychodzić z kaca w ciszy?

Napił się musującego płynu i poczuł, że robi mu się niedobrze.

Kiedy podniósł głowę, zobaczył własne odbicie w lustrze wiszącym nad umywalką i jego depresja jeszcze się pogłębiła.

Niegdyś był mężczyzną przystojnym.

Obecnie twarz, która nie tak dawno miała wyraźne rysy i sprawiała wrażenie chłopięcej, była napuchnięta i poorana, skóra obwisła i szerniała.

Oczy, zaczerwienione i tępo patrzące, ginęły w zagłębieniach tłuszczu; pod brodą z ciemnym zarostem zaczynał się rysować drugi podbródek.

Przynajmniej nie wypadały mu włosy, ale niechlujnie opadały na czoło, a ich sztuczna czerń - farbował je, odkąd zaczęły mu siwieć skronie - podkreślała biały jak mąka odcień cery.

Przyglądał się swojemu odbiciu z obrzydzeniem.

Czy ktokolwiek uwierzyłby, że to ta sama twarz, która uśmiechała się ze zdjęć reklamowych?

Tylko że nikt nie musiał teraz na niego patrzeć.

Wróci do łóżka i prześpi się godzinę, aż tabletki zaczną działać.

Półspiąc przeleżał dwadzieścia minut, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Zaklął, zakopując się głębiej pod kołdrą, z nadzieją, że gość odejdzie sobie spod drzwi.

Jednak ten ktoś nie dał za wygraną, tylko nacisnął na dzwonek i tak trzymał.

Brendan odrzucił kołdrę i podszedł do domofonu.

- Kto tam?

- Maggie Veritos.

Brendan, muszę z tobą porozmawiać.

Zawładnęła nim straszliwa złość.

Maggie, siostra Ros.

Ta dziwka.

Namawiała Ros, żeby go rzuciła, był tego pewien.

Jednak obok złości poczuł coś jeszcze - zimne ukłucie, które zwiastowało chyba strach.

Strach?

Dlaczego miał się bać siostry Ros?

To tylko kobieta, a poza tym wszystko się już skończyło.

A może nie - może o czymś zapomniał?

- Brendan?

Proszę, wpuść mnie.

- Usłyszał w jej głosie determinację.

Nie wierzył, że Maggie spokojnie sobie pójdzie.

- W porządku.

Otwieram.

- Nacisnął guzik, słysząc, jak odblokowuje się zamek na dole.

Wrócił do pokoju, założył czerwony jedwabny szlafrok, po czym otworzył drzwi wejściowe.

Maggie właśnie wbiegała po schodach.

Ponownie ogarnęło go uczucie nienawiści, ale też zdziwienia.

Pamiętał ją jako nastolatkę z czasów, kiedy zaczął spotykać się z Ros, wysoką, trochę wyzwoloną dziewczynę w niebieskich dżinsach i zawsze za dużych koszulkach sportowych.

Mimo że widział, jak doroślała, w umyśle pozostało właśnie to wyobrażenie, a po jej wyjeździe na Korfu, kiedy w ogóle przestał ją widywać, ten obrazek pozostał mu w pamięci.

W tej chwili zdał sobie sprawę, że ona i Ros bardzo są do siebie podobne.

Podobne sylwetki, jednakowe oczy o niebiesko - zielonym odcieniu - jak morze, kiedy pada na nie pierwszy promień porannego słońca, stwierdził raz w przypiływie romantyzmu - nawet zarys twarzy był taki sam.

Maggie miała długie włosy, takie jak Ros, zanim nie ścięła ich krótko, sądząc, że takie bardziej pasują do wizerunku kobiety pracującej w branży zajmującej się modą.

Gdzieś w okolicy splotu słonecznego Brendan poczuł nagłe ukłucie, które przypominało o czymś bardzo przyjemnym.

To było tak, jakby patrzył w przeszłość, na Ros z jego pamięci, spieszącą do niego.

Zawładnęła nim przemożna tęsknota za tamtymi czasami, które już nie powrócą, za szczęściem, które mu się wymknęło.

Jak on ją kochał - kochał ją tak ognście, że sam się wypalił od środka.

Ale ona odrzuciła go.

Dziewczyna, którą uwielbiał i cenił, zniknęła - a może nigdy nie istniała - a na jej miejscu pojawiła się osoba będąca parodią jego ukochanej, zimna, wyrachowana, ambitna kobieta, która go oszukała, zawiódła jego zaufanie.

Tej Ros nienawidził tak straszliwie, że zakrawało to na paranoję, tej Ros...

Jego umysł zatrzymał się w tym miejscu, nie potrafił odnaleźć dalszego ciągu myśli.

Jednak Brendan wiedział, co miało nastąpić.

W głębi jego duszy nieprzerwanie czało się pragnienie, które niejednokrotnie wychodziło na powierzchnię, dorwać się do tej fałszywej piękności i zniszczyć ją.

"Jej złote włosy zmienione w rdzę Ona, piękna i młoda, stała się prochem".

Nie pamiętał, gdzie po raz pierwszy przeczytał ten urywek, ale stał się dla niego jak litania, wymawiana w chwilach, gdy ślepa namiętność zamęczała duszę.

Ros miała ciemne włosy, a nie złote, ale nie miało to znaczenia.

Chodziło raczej o wrażenie, jakie wzbudzały w nim słowa wiersza, tak jakby samo ich wypowiedzianie pozwalało mu kierować losem Ros, odsuwało ją od innych mężczyzn.

Jeśli nie mógł jej mieć on, nikt inny też jej nie będzie posiadał.

Powtarzał to zdanie wielokrotnie, ale nie zawsze jego marzenia zatrzymywały się w tym miejscu.

Czasami wyobrażał sobie, że kładzie ręce na szyi Ros i ją dusi.

Nawet mu się to śniło.

Ostatnio coraz częściej, a zeszłej nocy sen był tak rzeczywisty, że przez cały następny dzień miał przeczucie, że Ros nie żyje i że to on ją zabił.

Nawet się przestraszył.

Oszalałem, powtarzał sobie.

Naprawdę oszalałem!

Niedługo wpakują mnie do domu wariatów.

Mimo to ciągle dręczyło go poczucie winy, któremu towarzyszyło coś na kształt euforii.

Dlatego też teraz, kiedy zobaczył Maggie idącą w jego stronę, przez chwilę pomyślał, że widzi przed sobą ducha.

Ale duch miał żywe ciało i dyszał ciężko po wyczerpującym biegu po schodach.

Ubrany był w luźny, jasnoniebieski sweterek z bawełny i szyte na miarę spodnie w tym samym kolorze, których nigdy przedtem nie widział.

Złapał się za framugę, czując zawrót głowy.

- Cześć, Brendan.

- To nie był głos Ros.

Brakowało w nim tego pośpiechu, który pojawił się w jej głosie, od kiedy zaczęła swoją karierę w Vandinie.

- Maggie - wychrypiał.

Odchrząknął, co od razu wywołało łomotanie pod czaszką.

Przywarł do drzwi, bojąc się poruszyć.

- Nie zaprosisz mnie do środka?

- zdziwiła się Maggie.

Nagle poczuł, że musi się bronić.

Strach powrócił, chociaż nie wiedział dlaczego.

- Czego chcesz?

- Porozmawiać z tobą.

O Ros.

- To znaczy?

- Brendan, wolałabym nie rozmawiać na klatce schodowej.

Dlaczego nie chcesz mnie wpuścić do środka?

- Dopiero co wstałem z łóżka.

- Jest już wpół do dwunastej.

Trudno to nazwać bladym świtem.

- Och, w porządku, wchodź, jeśli musisz.

Ale streszczaj się i znikaj, bo czuję się fatalnie.

- Nie wyglądasz najlepiej - rzuciła zgryźliwie, choć jej głos drżał nieco przy tych słowach.

Jest zdenerwowana, pomyślał zaskoczony.

Ale dlaczego?

Zamknął drzwi za gościem i przeszedł do zaniedbanej kuchni.

Zauważył, że wzrok Maggie przebiega po stercie brudnych naczyń, pełnych popielniczkach i porozrzucanych ubraniach, i prawie wybuchnął śmiechem.

Jeśli była podobna do Ros nie tylko z wyglądu, to musiał odrażać ją ten widok - Ros była fanatyczką czystości i porządku.

Podniósł pogniecione pisma, pustą foliową torbę po chlebie, jakąś starą skarpetkę i wszystko rzucił w kąć za siebie, następnie usiadł.

Gdyby tego nie zrobił, przewróciłby się.

Maggie stała.

Zasłonił oczy, żeby na nią nie patrzeć.

- Brendan - zaczęła.

- Czy wiesz, że Ros zaginęła?

Pytanie natknęło się na gęstą mgłę, która tego ranka zalegała jego umysł.

Bacznie spojrział na dziewczynę, jakby zaskoczyły go jej słowa, i w tym momencie ostra szpila wbiła mu się w skronie, ale nie był zaskoczony.

Wiedział.

Zdumiało go jedynie, że mówi to Maggie.

- Tak - potwierdził.

- Była tu policja.

Powiedziałem im, że nie mam pojęcia, gdzie ona jest.

- Kiedy to było?

- zapytała Maggie.

- Och, nie pamiętam, wczoraj albo przedwczoraj.

Co za różnica?

I dlaczego mnie pytają, gdzie jest Ros?

Przecież jestem tylko jej byłym mężem.

Nie zwierza mi się ze swoich planów.

- W jego głosie zabrzmiało rozgoryczenie i żal dla samego siebie.

- Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

- dociekała Maggie.

- Miesiące temu.

Chyba przed gwiazdką.

Nie, poczekaj, skłamałem, spotkałem ją kilka tygodni temu w barze w Clifton.

Ale nie rozmawialiśmy ze sobą.

Była tam z kimś.

- Z kim?

- Z mężczyzną, oczywiście.

- Wstał, postawił czajnik na gaz i zaczął szukać pojemnika z kawą, starając się nie myśleć o Ros z innym mężczyzną.

Naturalnie wiedział, że miała kogoś - czyż nie było tak zawsze?

Ros zachowywała się jak królowa pszczoł, prowokowała mężczyzn, a potem z nich kpiła.

Nauczył się z tym żyć.

Jednak, kiedy zobaczył ją w towarzystwie innego, wszystko się w nim poskręcało.

- Domyślam się, że to był Mike?

- zapytała Maggie.

- Mike?

Masz na myśli tego gównianego nauczyciela wuefu?

- rzucił zgryźliwie.

- Nie, to nie był on.

- To w takim razie, kto?

- Skąd mam to, do diabła, wiedzieć?

- Tak naprawdę nie mógł sobie przypomnieć, ale nie zamierzał się do tego przyznać.

Ros z jakimś facetem.

To było najistotniejsze.

Nieważne, kto to był.

Gdyby dostał go w swoje ręce, zatłukłby go, tak jak i Ros.

Ale wtedy w barze był z nim Keith Buchanan, jego szkolny kolega i stary przyjaciel.

Zagadywał go tak długo, aż Ros i jej towarzysz wyszli.

Nie doszło więc do konfrontacji, przynajmniej tamtego wieczora.

Otworzył szafkę, chcąc wyjąć kubek do kawy, ale była pusta.

Wziął więc jeden z brudnych, stojących na parapecie okna, fusy wyrzucił do zlewu, po czym obmył naczynie zimną wodą.

- Napijesz się?

- zapytał.

- Chcesz mnie poczęstować kawą?

- No przecież mówię.

- Nie wygląda na to, żebyś miał ochotę bawić się w gościnność.

- Bo nie mam.

Ale skoro woda się już gotuje...

Tylko że nie ma już czystych kubków.

- Zauważyłam.

Mogę pozmywać.

- Ruszyła przez kuchnię, zbierając po drodze wszystkie brudne naczynia i odstawiając je na suszarkę zlewozmywaka.

- Jest ciepła woda?

- Powinna być, jeśli spłynie.

Ale nie musisz tego robić.

Przeżyję bez twojej pomocy.

- To też zauważyłam - sucho rzuciła Maggie, szukając płynu do zmywania.

W końcu znalazła starą butelkę przylepioną do blatu.

- Jeśli mam napić się kawy, muszę mieć czyste naczynie.

- Proszę bardzo.

- Nalał wrzątku do swojego kubka.

- Pewnie też sama sobie nasypiesz?

- Tak, wolałabym.

Przy okazji pozmywam resztę naczyń.

Są gdzieś jeszcze inne?

Szkoda marnować ciepłą wodę.

- Zostaw to...

- zaczął Brendan, ale za późno.

Maggie zniknęła już za drzwiami.

Rozmieszał cukier i napił się ciemnego płynu.

Oparzył sobie język, a kiedy kawa dotarła do żołądka, znowu poczuł, że mu niedobrze.

Odstawił kubek i ruszył w stronę łazienki, ale nudności minęły.

Zobaczył Maggie wychodzącą z sypialni.

- Co ty tam, do cholery, robisz?

- zdenerwował się.

- Zbieram brudne naczynia.

- Tam nie znajdziesz - rzucił ze złością, wściekły, że ta dziewczyna czuje się jak u siebie w domu.

Maggie zabrzączała mu przed nosem kubkiem i szklaneczką do whisky.

- Mylisz się.

Znalazłam je pod łóżkiem.

Plus trzy w korytarzu.

Brendan, jak ty możesz tak żyć?

To mieszkanie przypomina chlew.

No tak, pomyślał z sarkazmem.

Tak jak przypuszczałem - cała Ros.

- Czy chciałaś czegoś jeszcze?

- zapytał.

W tej chwili marzył tylko o tym, żeby pozbyć się jej z mieszkania i wrócić do łóżka.

- Nie, jeśli nie wiesz, gdzie jest Ros - odpowiedziała.

- Powiedziałem ci już, że nie mam pojęcia.

- I nie odwiedzała cię ostatnio?

- Nie było jej tu już od wieków, do cholery.

Powtarzam, że widuję ją tylko na mieście.

Nie lubi przebywać ze mną sam na sam.

Nie pytaj dlaczego.

Kiedy byłem jej mężem, odpowiadało jej moje towarzystwo, ale wszystko się zmieniło, Maggie.

Zmieniło.

- Wybuchnął nagłym śmiechem.

- Myślę, że ona się mnie boi.

- Rozumiem.

- Maggie stała plecami do Brendana, który powtórnie zauważył jej podobieństwo do tamtej Ros, dziewczyny, z którą się ożenił.

Wyciągnął rękę, niemalże dotykając końców jej włosów, które miękkimi splotami opadały na ramiona.

Szybko cofnął dłoń i w tym momencie dziewczyna, odstawiając naczynia na suszarkę, odwróciła się do niego.

- W takim razie, Brendan, pójdę już.

Miałam nadzieję, że mi pomożesz, ale widać, że nie bardzo jesteś w stanie.

- Nie wypijesz kawy?

- zapytał.

- Chyba jednak nie.

Powiadomisz mnie, jeśli Ros skontaktuje się z tobą, dobrze?

- Nie zrobi tego.

Nie ze mną - stwierdził.

Maggie kiwnęła głową i ruszyła do drzwi.

Poszedł za nią, by pomóc jej otworzyć zamek.

Stał przez chwilę, przyglądając się, jak schodzi po schodach.

Potem zamknął drzwi i ciężko się o nie oparł.

Dzięki Bogu, że już sobie poszła.

Uczucie ulgi było tak ogromne, że zakręciło mu się w głowie.

Ale po co tu przyszła?

Czy naprawdę myślała, że będzie wiedział, co stało się z Ros?

A może przyszła na przeszpiegi?

Jego umęczony i rozkojarzony umysł nie potrafił przetrwać tych informacji.

Poczłapał do sypialni, nie zdejmując szlafroka rzucił się na łóżko, i naciągnął kołdrę na głowę.

Po opuszczeniu budynku Maggie skierowała się na parking, na którym zostawiła wypożyczone Metro.

Roztrzęsionymi rękami wyjęła kluczyki z kieszeni, wsiadła do samochodu i zapaliła silnik.

Ruszyła nieco zbyt szybko, uderzając kołami w krawężnik.

Zawróciła na ulicy, po której obu stronach stały imponujące wiktoriańskie budowle.

Zwolniła dopiero wtedy, kiedy dojechała do skrzyżowania, i skręciła w stronę miasta.

Była zdenerwowana, kotłowało jej się w głowie.

Musiała przyznać, że obawiała się wizyty u Brendana.

Chociaż zapewniała Mikea, że umie o siebie zadbać, zdawała sobie sprawę, iż wcale nie postępowała rozsądnie - Brendan zawsze był niebezpieczny, i rozumiejąc to, wiedziała, że się naraża.

Jednak musiała zaryzykować, jeśli chciała się dowiedzieć, co spotkało Ros.

I opłacało się.

Wyszła od niego nie tknięta i chociaż nie znalazła Ros, a Brendan zarzekał się, że nic o niej nie wie, to przekonała się, że kłamał.

Nie raz, ale dwa razy zapytała go, czy spotkał ostatnio Ros, a on zaprzeczył, wyraźnie stwierdzając, że była u niego przed gwiazdką.

Maggie miała dowody na to, że kłamał.

Udając, że zbiera brudne naczynia, przeszła się po mieszkaniu i w łazience znalazła wiele mówiący przedmiot.

Na podłodze, pomiędzy innymi rzeczami, leżała chustka, którą rozpoznałaby wszędzie.

Była jedwabna, z zielono - niebieskim wzorem i złotym obrzeżem.

Maggie zwolniła nieco i wyciągnęła apaszkę z kieszeni, gdzie ją niepostrzeżenie schowała.

Osobiście kupiła ją dla Ros w jednym z eleganckich sklepów w Kerkirze.

Zastanawiała się wtedy, czy taki podarunek spodoba się komuś, kto pracuje w firmie zaopatrującej cały świat w najmodniejsze dodatki ubraniowe, ale w końcu uznała, że Ros lubi greckie motywy i może nawet pokaże apaszkę projektantom firmy.

Posłała ją siostrze przed miesiącem w prezencie urodzinowym.

Jej obecność w mieszkaniu Brendana przeczyła jego słowom.

Mój Boże, Ros, co on ci zrobił?

Maggie czuła, jak jej żołądek skręca się ze strachu.

Zauważywszy budkę telefoniczną, Maggie zatrzymała się, zamierzając zadzwonić do Mikea do szkoły.

Akurat miał przerwę obiadową, więc wiedziała, że nie przerwie mu zajęć, jednak sekretarka nie mogła go odnaleźć i kiedy wreszcie podszedł do aparatu, Maggie zużyła prawie wszystkie drobne.

- Mike, dzięki Bogu!

- Cała trzęsa się z podniecenia, słuchawka kleiła się do spoczonej dłoni.

- Maggie!

Stało się coś złego?

- Sama nie wiem.

- Starą się mówić normalnie.

- Właśnie wyszłam od Brendana.

- Co mówił?

- Och, twierdzi, że nie spotkał Ros od miesiący.

Ale, Mike, on kłamie.

Znalazłam apaszkę Ros, była tam w jego mieszkaniu.

- Apaszkę?

Jaką apaszkę?

- Tę, którą przysłałam jej na urodziny w zeszłym miesiącu.

Ros była u Brendana, i to niedawno.

Jadę teraz na policję, żeby im o tym opowiedzieć, chciałam tylko, żebyś ty pierwszy o tym usłyszał.

Poza tym nie wiem, do którego komisariatu mam się zgłosić.

Kto zajmuje się tą sprawą?

- Miejscowy posterunek.

Ale szczerze mówiąc, Maggie, nie wydaje mi się, że będą zainteresowani.

- Jak to, nie będą zainteresowani?

Światelko w aparacie zaczęło ponownie błyskać.

Maggie wrzuciła ostatnią dziesięciopensówkę.

- Dzwonili dzisiaj do mnie.

Znaleźli samochód Ros.

- Gdzie?

- Właśnie w tym rzecz.

Stał zaparkowany przed stacją kolejową Bristol Tempie Meads.

Obsługa parkingu twierdzi, że auto stoi tam od ponad tygodnia, a policja jest przekonana, że Ros po prostu wyjechała.

- Ale przecież nie zrobiła tego!

- Spróbuj ich o tym przekonać.

Jeśli zostawiła samochód przy głównej stacji, należy się domyślić, że pojechała dokądś pociągiem.

- Tak, ale...

- Opowiedz im o apaszce, ale mnie się wydaje, że stracisz tylko czas.

- Więc co zrobimy?

- zapytała z rozpaczą.

- Byłaś już w Vandinie?

- Jeszcze nie.

- Wydaje mi się, że powinnaś tam jechać.

Cały czas męczy mnie to, co mówiła Ros, że dzieje się tam coś dziwnego.

Może ma to jakiś związek z jej zniknięciem.

A ktoś taki jak Dinah Marshall może udzielić nam cennych informacji.

- Ale ta apaszka...

- Może to błędny trop.

Znalazłaś jakieś inne ślady obecności Ros w mieszkaniu Brendana?

- Nie, jednak...

- W takim razie lepiej zostawić go w spokoju.

Wydaje mi się, że podeszłaś do tego trochę zbyt emocjonalnie.

Maggie, jedź zobaczyć się z Dinah i wybadaj teren.

Porozmawiamy wieczorem.

- Ale...

Rozmowa urwała się.

Przez kilka sekund Maggie wpatrywała się w telefon, jakby istniała możliwość, że aparat za pomocą czarów znowu połączy ją z Mikeem.

W końcu odwiesiła słuchawkę i wróciła do samochodu.

Czuła się teraz bardziej spokojna.

Sama rozmowa z nim polepszyła jej nastrój, a poza tym, może miał rację.

Prawdopodobnie przesadziła.

Fakt, że Brendan kłamał, nie oznaczał wcale, że starał się ukryć przed nią coś złego.

Możliwe, że po prostu z jakichś tam powodów nie chciał, by wiedziała, że Ros go odwiedziła.

Mimo wszystko nie osiągnęła pełnego spokoju.

Dobrze, że Mike był taki sensowny i opanowany.

Ale nie znał Brendana tak dobrze jak ona.

Poza tym wbił sobie do głowy, że zaginięcie Ros ma jakiś związek z jej pracą.

Może się nie myli?

Może coś ją tak przygnębiło, że postanowiła wyjechać na kilka dni?

Znaleziono jej samochód, przy stacji kolejowej, co by wskazywało, że sama tam dojechała, a następnie wsiadła do pociągu.

A co do walizki - bardzo prawdopodobne, że kupiła sobie nową albo spakowała się w podręczną torbę, a potem została dłużej, niż zamierzała, nie mogąc zdecydować się na powrót i na stawienie czoła...

temu, co ją trapiło.

Cokolwiek by to było, dlaczego nie zwierzyła się Mikeowi?

To prawda, że go nie było, kiedy wyjeżdżała, ale wcześniej wspominała, że dzieje się coś dziwnego - dlaczego więcej nie wróciła do tego tematu?

Mike był osobą, z którą rozmawiało się z łatwością, prostolinijny, szczery, z dużą dozą rozsądku - całkowite przeciwieństwo wybuchowego i niecierpliwego męża Maggie, który nie przejmował się niczym, co nie dotyczyło bezpośrednio jego samego.

A już na pewno, bez względu na powód wyjazdu, Ros powinna do tej pory się z nim skontaktować - chyba że nie może.

Maggie zdała sobie sprawę, że znowu drży.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, starając się powstrzymać potęgający się strach.

Postanowiła udać się teraz do Vandiny, zebrać na miejscu jak najwięcej informacji i dopiero potem pójść na policję i pokazać apaszkę Ros.

Włączyła się do ruchu, próbując się przebić na prawy pas, by ponownie wyjechać z miasta.

Rozdział siódmy.

Maggie zaparkowała samochód na rozległym parkingu przed Vandiną.

Powietrze wypełniała woń krzewów różanych porastających trawniki.

Zamknęła wypożyczone Metro, po czym ruszyła w stronę głównego wejścia.

Recepcjonistka, siedząca przy politurowanym drewnianym biurku, popatrzyła na nią i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry.

Czym mogę służyć?

- Chciałabym zobaczyć się z Dinah Marshall - oznajmiła Maggie.

Uśmiech na ustach recepcjonistki nieco zeszywniał.

- Czy jest pani umówiona?

- Nie, ale miałam nadzieję, że pani Marshall zechce mnie przyjąć.

Nazywam się Maggie Veritos.

Jestem siostrą Ros Newman.

- A tak, rozumiem.

- Wyraźnie niczego nie rozumiała, jednak wzmianka o Ros miała dla niej znaczenie.

- Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że pani Marshall jest w tej chwili nieosiągalna.

Wyjechała na spotkanie i do tej pory nie wróciła.

Zresztą po powrocie także będzie zajęta.

Może porozmawiałaby pani z jej sekretarką?

Maggie zawahała się.

Nie o to jej chodziło, jeśli jednak nie może zobaczyć się z Dinah Marshall, trzeba przystać na tę propozycję.

- No dobrze...

- zgodziła się niepewnie.

Recepcjonistka podniosła słuchawkę szarego telefonu i wykręciła numer.

- Liz, jest tu u mnie w recepcji pani Maggie Veritos, siostra Ros Newman.

Chciała widzieć się z Dinah Marshall, ale zaproponowałam, że może ty się panią zajmiesz.

Liz - kobieta, która zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce Ros.

Dobrze się składa, ucieszyła się Maggie.

- Dziękuję, Liz.

- Recepcjonistka odłożyła słuchawkę i powtórnie uśmiechnęła się do Maggie.

Albo była życzliwa z natury, albo dobrze ją tu przeszkolono.

- Proszę udać się na górę, skrócić w lewo i to będą trzecie drzwi po prawej stronie.

Maggie poszła zgodnie ze wskazówkami, czując, jak stopy aż do kostek zanurzają się w luksusowym, grubym ciemnoniebieskim dywanie.

Kiedy znalazła się na szczycie schodów, otworzyły się drzwi z lewej strony, z których wyszła ładna, choć nieco przysadzista dziewczyna, ubrana w elegancką granatową sukienkę.

- Pani jest z pewnością siostrą Ros.

Widać wyraźne podobieństwo.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteśmy aż tak do siebie podobne - stwierdziła Maggie.

- No może nie aż tak, jednak widać, że jesteście siostrami.

Proszę wejść.

Wprowadziła ją do kwadratowego pokoju.

Tu także podłogę okrywał niebieski dywan.

Wnękowe szafy z sosnowymi drzwiczkami zajmowały większą powierzchnię ścian, powyżej wisiały oprawione w ramki najsłynniejsze zdjęcia reklamowe Vandiny oraz kilka szkiców.

Dziewczyna usiadła na obrotowym krześle, Maggie wskazała krzesło wyściełane niebieską skórą.

- Proszę usiąść.

Nazywam się Liz Christopher.

- Maggie Veritos.

- Miło mi panią poznać.

Co mogę dla pani zrobić?

- Chodzi o Ros.

Wygląda na to, że nikt nie wie, gdzie się podziewa.

Pomyślałam sobie, że może pani udzieli mi jakichś informacji.

Liz potrząsnęła głową o ciemnych włosach otaczających okrągłą, ładną twarzyczkę.

- Przykro mi, ale nic nie wiem.

Nie ma jej tutaj.

Dzwoniła do nas i powiedziała, że musi nagle wyjechać.

- Nie tłumaczyła dokąd?

- Nie.

- Na pewno?

- Tak.

Rozmawiałam z nią osobiście.

W ogóle nic nie tłumaczyła.

Maggie zagryzła wargę.

Liz musiała być ostatnią osobą, z którą rozmawiała Ros przed wyjazdem.

- Jak brzmiał jej głos?

- zapytała.

- To znaczy, była może przygnębiona?

Kobieta zastanowiła się.

- Chyba nie przygnębiona, ale lekko zdenerwowana.

Z tym że ostatnio często była zestresowana.

- Czy domyśla się pani, z jakiego powodu?

- Nie jestem pewna.

Miała chyba jakieś kłopoty.

- Jakiego rodzaju kłopoty?

Widzi pani, pytam o to dlatego, że powiedziała swojemu przyjacielowi, Mikeowi Thompsonowi, że coś dziwnego dzieje się w pracy, jednak nie wytłumaczyła, o co chodzi.

Może pani wie coś na ten temat.

- Ach, rozumiem.

- Pulchne policzki Liz nieco się zaróżowiły.

- Nie jestem przekonana, czy powinnam o tym mówić...
to naprawdę bardzo dziwne.

- Urwała nagle, ponieważ otworzyły się drzwi do gabinetu obok.

Pojawił się w nich mężczyzna, wysoki, jasnowłosy i zaskakująco przystojny, ubrany w pasiastą koszulę i drelichowe spodnie.

Wydawał się wypełniać sobą cały pokój.

Rumieniec na policzkach sekretarki wyraźnie się pogłębił i widać było, że jest zakłopotana.

- Co jest dziwne, Liz?

- zapytał mężczyzna.

Maggie zauważyła, że w jego głosie pobrzmiwa nutka podejrzliwości.

Nie czekając na odpowiedź nieznajomy przerzucił wzrok na interesantkę, przyglądając się jej niebieskimi oczami i obdarzając ją uśmiechem zwalającym z nóg.

- Przepraszam, że się wtrącam.

Jestem Steve Lomax, syn Dinah Marshall.

Maggie zdziwiła się.

Nie wiedziała, że Dinah ma syna.

Oczywiście wcale nie musiała tego wiedzieć, jednak nie przypomniała sobie, by Ros kiedykolwiek o nim wspominała.

- Maggie Veritos, siostra Ros Newman.

- Tak, domyśliłem się.

- Jego głos i zachowanie wydawały się uprzejme, ale w oczach tliła się jakaś ostrzegawcza iskierka.

- Dobrze zrozumiałem, że szuka pani siostry?

- Niezupełnie.

Wiem, że nie ma jej tutaj, ale próbuję ustalić, gdzie może teraz być.

Bardzo się o nią martwię.

- Przepraszam, ale nie do końca rozumiem.

Dlaczego się pani o nią martwi?

Następny niedowiarzek, pomyślała Maggie z niechęcią.

Na głos powiedziała: - Nikt nie ma pojęcia, gdzie ona jest.

Miałam nadzieję, że może tutaj spotkam kogoś, kto udzieli mi jakichś informacji.

Oczy Stevea nieznacznie się zwięzły.

- To znaczy kogo?

- Kogokolwiek.

Kogoś, z kim Ros mogła rozmawiać, komu mogła się zwierzyć.

- Już tłumaczyłam pani, że zupełnie nic nie wiemy - wtrąciła się Liz.

- Rozmawiałam z Ros przez telefon, ale niczego mi nie tłumaczyła.

- Nadal miała zaczerwienione policzki i wyglądała na skrepowaną.

Maggie uznała, że sekretarka nie powie jej już tego, co zamierzała wyjawiać, dopóki w pokoju nie pojawił się Steve Lomax.

- Myślałam, że Ros poinformowała pańską matkę o swoich planach - rzuciła Maggie.

- Z tego, co wiem, są ze sobą blisko.

Mężczyzna lekko wykrzywił kąciki ust.

- Ma pani rację.

Jako osobista asystentka, Ros jest prawą ręką matki, a ona nie należy do najoperatynniejszych osób na świecie.

Ros doskonale ją w tym wyręczała.

Jednakże nie wydaje mi się, by Dinah wiedziała coś więcej niż pozostali w firmie.

Szczerze mówiąc, jest trochę zła na Ros, że zostawiła ją na lodzie, przynajmniej tak do tego podchodzi.

Maggie kiwnęła głową.

- Mimo wszystko bardzo chciałabym z nią porozmawiać.

Może usłyszała coś...

czy mogę się umówić?

- Ma ogromnie zajęty terminarz...

- zaczęła Liz.

- Nie zajmę dużo czasu.

Jeśli rzeczywiście potrzebuje Ros, to odnalezienie jej leży także w jej interesie.

- No cóż, obawiam się, że dzisiaj to już niemożliwe.

Jutro...

- Mam lepszy pomysł - przerwał jej Steve.

- Jutro wieczorem wydajemy małe przyjęcie.

Proszę nas odwiedzić i na miejscu porozmawia pani z matką.

- Prywatne przyjęcie?

Och nie, dziękuję, ale nie wypada, żebym się narzucała.

- Ależ nic podobnego.

Na przyjęciu będzie tylko moja matka, Don Kennedy, jej księgowy, nowa projektantka, Jayne Peters - Browne, z mężem i ja.

Wszyscy od Vandiny oprócz Drewa Peters - Brownea.

Możliwe że któraś z tych osób rzuci jakieś światło na nurtującą panią kwestię.

- Jego uśmiech najbardziej zarozumiałą kobietę przemieniłby w galaretkę pożądania.

- Ros miała być szóstym gościem.

Skoro jest nieobecna, byłoby wspaniale, gdyby pani ją zastąpiła.

Jestem przekonany, że Dinah się ze mną zgodzi.

Nagle zaszeleściły papiery i Maggie popatrzyła w stronę Liz.

Sekretarka pochylała się nad biurkiem, szukając czegoś między dokumentami, wyraźnie zawiedziona.

Może ona też chciałaby otrzymać zaproszenie na przyjęcie zamiast Ros, pomyślała Maggie.

- Więc jak, umowa stoi?

- Steve patrzył na nią niemalże wyzywająco.

- Chyba że jest już pani umówiona...

Szybko podjęła decyzję.

- Nie, nie jestem.

Dziękuję bardzo, z przyjemnością przyjmuję pańskie zaproszenie.

- Wspaniale.

Ma pani samochód, czy przysłać po panią?

Chyba nawet tak by było lepiej.

Pozwoli to pani na wypicie drinka bez martwienia się o drogę powrotną.

Gdzie się pani zatrzymała?

Maggie lekko zmarszczyła brwi, dziwiąc się, skąd Steve wie, że ona gdzieś się "zatrzymała".

Możliwe oczywiście, że Ros opowiadała o siostrze, która mieszka na Korfu.

Zapewne tak.

- W domu Ros - powiedziała.

- Wie pan, gdzie to jest?

- Tak.

Przyślę po panią samochód około siódmej.

A teraz proszę mi wybaczyć, ale staram się właśnie przebrnąć przez dokumentację matki.

Normalnie zajmowała się tym Ros.

Aha, Liz, bardzo proszę, żebyś za pięć minut przyszła do mnie z notatnikiem, dobrze?

Chciałbym podyktować ci kilka listów.

Odprawa była uprzejma, ale stanowcza.

Ten młody człowiek dokładnie wie, czego chce, i bez skrupułów do tego dąży, uznała Maggie w myśli.

- Jeszcze raz dziękuję za zaproszenie, panie Lomax - odezwała się.

Mężczyzna odwrócił się w drzwiach, objął ją chłodnym wzrokiem i powiedział: - Cała przyjemność po mojej stronie.

I proszę mówić mi Steve.

- Czy wie pani, jak stąd się wydostać?

- zapytała Liz.

- Może odprowadzę panią.

- Nie ma potrzeby.

Dziękuję, z pewnością trafię do wyjścia.

- Ależ to żaden kłopot.

Zaskoczona Maggie zeszła razem z sekretarką po schodach, przez główne wyjście, aż na parking.

Dopiero tutaj stało się jasne, że kobieta miała jej jeszcze coś do powiedzenia.

- Pani Veritos, pytała mnie pani, czy wiem, czym martwiła się ostatnio Ros.

- Zawahała się.

- Nie mogłam mówić, kiedy byliśmy na górze, ponieważ obok w pokoju słuchał nas Steve, a poza tym w ogóle nie wiem, czy powinnam zabierać głos w tej sprawie.

Ale ponieważ jest pani siostrą Ros, wydaje mi się, że mogę pani zaufać...

może pomoże to pani ją odnaleźć...

Chociaż szczerze mówiąc, nie widzę, żeby to, co chcę powiedzieć, miało jakiś związek z jej zniknięciem.

- O co chodzi?

- zapytała Maggie.

- Cóż...

- Liz rozejrzała się, jakby sprawdzała, czy nikt ich nie podsłuchuje, potem dokończyła: - Ros podejrzewała, że mamy w Vandinie wtyczkę.

- Wtyczkę?

- Szpiega sprawdzającego nasze faktury i kontakty dla jakiejś innej firmy, a nawet kopiującego nowe projekty i pomysły.

Ta osoba przesyła je do swojego zleceniodawcy.

Zdaję sobie sprawę, że brzmi to trochę przesadnie, coś w rodzaju Jamesa Bonda, jednak takie rzeczy się zdarzają.

Wszyscy konkurują ze sobą, a zwłaszcza w przemyśle związanym z modą.

Musimy nieustannie zabiegać o nowe pomysły.

Rozumie pani, ten, kto wyczuje nadchodzącą modę i pierwszy ją włączy do swojej kolekcji, zwycięża.

Vandina od bardzo dawna nie daje się prześcignąć, więc niemalże nieuniknione jest, że od czasu do czasu dochodzi do takiego szpiegostwa.

Ros uważa, że właśnie teraz mamy z nim do czynienia, a ja myślę, że ona ma rację.

Dzisiaj jedna z konkurencyjnych firm, Reubens, przedstawiła na łamach prasy swoją kolekcję torebek na sezon wiosenny, które tak naprawdę są wierną kopią projektu wymyślonego przez Dinah.

Oczywiście, można to wziąć za zbieg okoliczności, jednak obawiam się, że tak nie jest.

Uważam, że Ros nie myli się sądząc, że pracuje z nami ktoś, kto ma wgląd w sekrety firmy, i ten ktoś przekazuje je innej firmie, prawdopodobnie Reubensowi.

Zatrzymała się, zaczerwieniona i zdyszana, a Maggie patrzyła na nią całkowicie osłupiała.

- Boże drogi!

To okropne!

Ale jaki to może mieć związek ze zniknięciem Ros?

Liz potrząsnęła głową.

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

Odpowiadam tylko na pani pytanie, czym ostatnio martwiła się pani siostra.

Być może jest to jeden z powodów.

No tak, muszę uciekać.

Steve chciał mi coś podyktować i wolałabym, żeby nie wiedział, że rozmawiałam z panią na ten temat.

To bardzo drażliwa sprawa.

- Zamilkła, a jej policzki znowu przybrały ciemniejszą barwę.

- Pani Veritos, bardzo proszę nie wspominać o naszej rozmowie pani Marshall, kiedy spotka ją pani jutro wieczorem.

Wiem na pewno, że Ros nie chciała, żeby szefowa dowiedziała się o szpiegu, dopóki nie odkryje, kim on jest.

Dinah strasznie przeżywa podobne sprawy - Ros pragnie ją przed tym chronić.

- No, ale i tak w końcu się dowie.

- W końcu tak.

I tak już odkryła, że Reubens podebrał jej pomysł.

Ponieważ pokazali kolekcję w gazetach, musiałam zwrócić jej na to uwagę.

Takie przypadki mają straszliwe konsekwencje.

Będziemy musieli przerobić wiosenną kolekcję, jednak wolałabym, żeby szefowa nie dowiedziała się najgorszego, aż do powrotu Ros, która sama ją o tym powiadomi.

- Nerwowo zerkała przez ramię.

- Przykro mi, ale muszę już iść.

I jeszcze raz proszę, żeby potraktowała pani wszystko, co powiedziałam, jako całkowicie poufne.

Zanim Maggie zdążyła zadać jej następne pytanie, dziewczyna biegiem ruszyła przez parking.

Maggie stała przez chwilę, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszała.

Jeżeli rzeczywiście w Vandinie pracował szpieg, to może Ros pojechała gdzieś, żeby to wyjaśnić.

Ale dlaczego nie wraca tak długo?

W sumie niczego to nie tłumaczyło, a raczej zmuszało do postawienia następnych pytań.

Nie zmniejszyło to też niepokoju o siostrę, który towarzyszył Maggie od kiedy dowiedziała się, że zniknęła.

Och, Ros, gdzie ty się, do diabła, podziewasz?

A jeśli nic ci się nie stało, to dlaczego nie dajesz znaku życia?

Maggie nie potrafiła znaleźć satysfakcjonującej odpowiedzi na to pytanie.

O wydarzeniach w Vandinie powiedziała Mikeowi przy kolacji, którą jedli tego wieczoru w wiejskim pubie - za takimi miejscami Maggie ciągle tęskniła, mimo piękna tawern, do których chadzała na Korfu.

Oczywiście miło jest posilać się przy stole nakrytym świeżym białym obrusem, patrząc na morze, słuchając szumu fal, przyglądać

się zachodzącemu słońcu, którego olbrzymia świetlistoczerwona kula w sekundę zniknęła za horyzontem, pozostawiając szkarłatny cień na granatowej wodzie.

Przyjemnie przysłuchiwać się dźwiękom gitary, jedząc świeże owoce morza, oglądać występ właściciela tawerny, tańczącego tradycyjny grecki taniec w towarzystwie małych chłopców, jego synów.

Jednak tamta atmosfera nie wyparła z niej tęsknoty za typowymi, zadymionymi angielskimi pubami.

"Haywain" stanowiło spełnienie jej marzeń.

Gołe drewniane stoły otaczały centralnie ustawione kamienne palenisko, które mimo lata było rozpalone.

Ściany udekorowano końskimi uprzężami, a na jednej z półek stała kolekcja dziwacznych naczyń.

Z bogatego jadłospisu oraz z wywieszki reklamującej przysmak dnia Maggie wybrała stek i zapiekanekę z pasztetu, najbardziej angielskie dania, kiedy jednak pojawiły się przed nią na stole, parujące i gorące, stwierdziła, że nie ma apetytu.

Od momentu opuszczenia Vandiny czuła rosnące zdenerwowanie, więc teraz wspaniała zapach steku i sosu spowodował u niej zawroty głowy.

Mike nie miał zwyczaju tracić apetytu przez zmartwienia.

Zamówił te same dania co Maggie i po chwili obydwaj plus dodatkowa porcja frytek - prawdziwych, a nie French fries, jak stwierdził z satysfakcją - zniknęły z talerzy.

- A teraz opowiedz mi, co działo się w Vandinie - poprosił, pociągając porządny łyk piwa z wysokiej szklanki.

Maggie streściła swoją wizytę.

Przyrzekła Liz, że zachowa wszystko w tajemnicy, ale nie przed Mikeem.

- No cóż - powiedział, kiedy skończyła.

- Wygląda to na bardzo fascynującą sprawę, jednak nie widzę, dokąd nas prowadzi.

Zwłaszcza że Liz nie zdradziła ci, kogo można podejrzewać o szpiegostwo.

- Zgadza się, tym bardziej że nie mogę porozmawiać o tym z Dinah.

Czego mogę się dowiedzieć podczas jutrzejszego przyjęcia, jeśli nie mam prawa poruszać tego tematu.

- Bawiła się widelcem z nadzianym na niego kawałkiem mięsa.

- Całe popołudnie spędziłam dzwoniąc po różnych ludziach, wszystkich starych znajomych Ros, ale te rozmowy też nic mi nie wyjaśniły.

Mam uczucie, jakbym znalazła się w ciemnej uliczce, Mike.

Naprawdę nie wiem, co powinnam dalej robić.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Podobnie jak ja.

Czułem się tak, zanim zadzwoniłem do ciebie, całkowicie bezradny.

Kiedy okazało się, że przyjeżdżasz, wróciła mi nadzieja, ale chyba bezpodstawnie.

- Przykro mi.

- Maggie definitywnie zrezygnowała z jedzenia, odkładając na bok nóż i widelec.

- Musimy jakoś przekonać policję, że sprawa jest poważna.

Cały czas odnoszę wrażenie, że dzieje się coś bardzo złego, jednak nie wiem, jak działać.

Co mówili na temat jej samochodu?

- Już ci mówiłem: stał zaparkowany przed stacją.

Uznali, że Ros wyjechała dokądś pociągiem, i przypuszczam, że się nie mylą.

Samochód był zamknięty i poprawnie zaparkowany.

Kto inny by go tam zostawił, jeśli nie ona?

I po co miałyby go tam pozostawić, jeśli nie wsiadła do pociągu?

- Czy policja go przejrzała?

- dopytywała się Maggie.

- Przejrzała?

- Przeszukała w środku?

- Wątpię.

Nic takiego nie mówili.

Wydaje mi się, że potrzebowaliby więcej dowodów na to, że Ros przytrafiło się coś złego, żeby włamać się do jej auta.

Ale co mogliby w nim znaleźć?

- Nie mam pojęcia.

W samochodzie zostają najróżniejsze przedmioty.

Zastanawiam się, czy Ros ma zapasowe kluczyki?

Jeśli tak, i jeśli je znajdę, sama przeszukam samochód.

- Dobry pomysł.

Jednak jakoś nie wyobrażam sobie, żeby Ros mogła coś zostawić w samochodzie.

Maggie nie odezwała się.

Oczywiście, miał rację.

Siostra pilnowała swoich rzeczy.

Była osobą zdyscyplinowaną.

Ale właśnie w tym leżał pies pogrzebany - zbyt wiele rzeczy nie pasowało do jej normalnego zachowania.

Maggie powstrzymała się przed wypowiedzeniem myśli, która nie dawała jej spokoju; wolała nie dodawać, że tak naprawdę chciała sprawdzić, czy w samochodzie nie znajdzie jakichś dowodów na to, że ktoś towarzyszył Ros - może Brendan?

- Wypijesz jeszcze jednego drinka?

- zapytał Mike.

Potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję.

- W takim razie chyba już pójdziemy?

- A ty nie chcesz się jeszcze napić?

Jeśli tak, to proszę bardzo, nie przejmuj się mną.

- Lepiej nie.

Nie chcę, żeby złapała mnie policja.

- Możemy wrócić do domu i napić się kawy.

- Dobry pomysł.

Mam już dosyć tego rozgardiaszu.

Ruchem głowy wskazał na stojący w rogu automat do gry.

Na początku Maggie nawet nie zwróciła na niego uwagi, ale w trakcie posiłku do automatu podeszła grupa chłopców.

Irytowały ją elektroniczne dźwięki i brzęk monet wysypujących się od czasu do czasu na żelazną podpórkę.

Zastanawiała się, dlaczego miły pub, serwujący dobre jedzenie, musi zarabiać też na takich urządzeniach.

- Przypuszczam, że mają z tego dochód - rzucił Mike, jakby czytał w jej myślach.

Zapadł wieczór.

Kiedy szli do samochodu, Maggie założyła kamizelkę - dużą, luźną - ale wcale nie chroniła jej przed chłodem, więc drżała pod podmuchami bryzy.

- Zimno?

- zapytał Mike.

- Nic nie szkodzi, po prostu mój organizm przechodzi lekki szok po upałach na Korfu.

- To chyba normalne.

- Otworzył przed nią drzwi od strony pasażera.

- Wiesz, Maggie, chyba nie zdążyłem ci odpowiednio podziękować.

Rzuciłaś wszystko i natychmiast tu przyjechałaś.

- Nie musisz mi dziękować - oznajmiła, zapinając pasy.

- W końcu Ros jest moją siostrą.

Też się o nią martwię.

- Co powiedział twój mąż na taki nagły wyjazd?

- Nie był szczególnie szczęśliwy - przyznała, świadomie przedstawiając reakcję Ariego w nieco łagodniejszym świetle.

- Ale nie sprawiło mu to wielkiej różnicy, może wręcz ułatwiło mu życie.

Przypuszczam, że zamieszka w mieście, więc nie będzie musiał codziennie dwukrotnie pokonywać trasy z Kassioپی do Kerkiry, jak to robi latem.

Mamy w Kerkirze apartament.

- Czym dokładnie on się zajmuje?

- Jest architektem.

A Korfu się rozwija.

Każdy, kto tylko posiada wystarczający kawałek ziemi, chce na wyspie postawić hotel albo bloki mieszkalne.

Niespodziewanie zrozumieli, że turystyka przynosi zyski.

To wiele łatwiejsze źródło zarobków niż uprawianie oliwek.

Większość ciekawych, małych tawern i kawiarenek powstała dlatego, że ci, którzy mieszkają przy głównej drodze albo przy wybrzeżu, zorientowali się, że wystarczy otworzyć drzwi domów, wywiesić reklamę, a goście ściągają do nich tłumnie.

Jeszcze niedawno wielu z tych ludzi żyło w skrajnej biedzie.

Teraz, nagle, dostała im się w ręce maszynka drukująca pieniądze, a mają ich tyle, że nie bardzo wiedzą, co z nimi począć.

Są prości, bardzo rodzinni i religijni.

Mam nadzieję, że zachodnia kultura nie zmieni ich za bardzo.

- Chyba ich lubisz?

- To prawda.

W większości są ludźmi o dobrych sercach.

Na przykład ich więzi rodzinne...

są takie mocne.

Ponieważ rodzina jest duża, zawsze znajdzie się ktoś, kto ma czas zająć się dziećmi, które wyrastają w atmosferze ogromnego szacunku dla rodziny.

Boją się postępować źle, ponieważ przyniosłoby to niesławę całej rodzinie.

- Takie wychowanie bardzo przydałoby się niektórym z moich uczniów - sucho stwierdził Mike.

- Rzeczywiście, dzięki temu dzieci wyrastają na porządnych ludzi.

Uwierz mi, matka na Korfu to bardzo ważna osoba.

- Po twoim rozdrażnionym tonie domyślam się, że miałaś z taką do czynienia.

- Można tak powiedzieć.

Och, podejrzewam, że ktoś, kto się tam wychował, patrzy na wszystko inaczej.

Niestety, ja urodziłam się w Anglii.

- Więc jak do tego doszło, że wyszłaś za mąż za Greka?

- zapytał, zwalniając przed skrzyżowaniem.

- Spotkałam go, kiedy był tu na studiach.

- Ty też studiowałaś?

- Och nie, nie ja.

- Roześmiała się.

- To Ros jest tą mądrzejszą w naszej rodzinie.

Byłam sekretarką, maszynistką.

Ari zjawiał się w firmie, w której przechodziłam szkolenie.

Zamilkła, przypominając sobie tamto spotkanie.

Ari wydawał się jej wtedy tak straszliwie romantyczny, zupełnie inny niż reszta mężczyzn, których znała.

Kiedy zaproponował jej randkę, była zachwycona.

Połączyła ich namiętna i żarliwa miłość i nim się obejrzała, Ari zaproponował małżeństwo.

Zgodziła się niemalże bez wahania - tak bała się, że go straci, kiedy on wróci na Korfu, że nie przemyślała swojej decyzji i jej ewentualnych konsekwencji.

- Zdaje się, że straciłam dla niego głowę - oświadczyła gorzko.

- Żałujesz?

- Mike popatrzył na nią z boku, po czym szybko dodał: -
Przepraszam, nie powinienem pytać.

Nie chciałem być wścibski.

- Nic nie szkodzi.

- Zagryzła wargi.

- Szczerze mówiąc, trochę tak.

Ale takie jest życie, prawda?

Nic nigdy nie toczy się tak, jakbyśmy sobie życzyli.

Dojechali do domu.

Mike zaparkował na podjeździe, ale nie zgasił silnika.

Nie wejdiesz na kawę?

- zapytała.

- Pomyślałem sobie, że może chcesz odpocząć.

Rzeczywiście chciała, ale nagle przestraszyła się, że ją zostawi, że zostanie sam na sam ze swoim niepokojem i otaczającą ją pustką.

Zdała sobie sprawę, że podświadomie miała nadzieję, że zobaczy światła w oknach domku i samochód Ros na podjeździe.

Cała ta sprawa wydawała się tak straszliwie nierzeczywista.

Ros nie mogła tak po prostu zniknąć.

A jednak...

- Proszę, wejdź na kawę - zaproponowała.

- Dobrze, jeśli nalegasz.

- Wyłączył silnik i odwrócił się do niej z uśmiechem na twarzy.

Niespodziewanie poczuła ukłucie w żołądku, ogarnęło ją dziwne uczucie.

Przeraziły ją te wyraźne oznaki fizycznego przyciągania.

Zawstydziała się.

- Na automatycznej sekretarce mogą być jakieś nowe wiadomości - rzuciła bez związku.

Były, ale tylko od jej matki.

- Margaret, jesteś tam?

Och, kochanie, jak ja nienawidzę tych urządzeń!

Córeczko, nie zadzwoniłaś do mnie.

Czekałam na telefon od ciebie cały wieczór.

Przyjedź do nas jutro.

Może na obiad?

Harry będzie grał w golfa, więc pogadamy sobie spokojnie.

Przełącz się dla Ros, jeśli ją spotkasz.

Może i ona by przyszła.

Wspaniale będzie znowu być razem, jak za dawnych czasów.

No to do zobaczenia, kochanie.

- O Boże!

- wybuchnęła Maggie.

- Ona nie może albo nie chce zrozumieć, że Ros zaginęła.

- Prawdopodobnie obie te rzeczy naraz.

Nie ma potrzeby martwić jej, dopóki nie przekonamy się na pewno, że jest o co.

Maggie parsknęła śmiechem.

- Widać, że nie znasz mojej matki.

Ona niczym się nie martwi, chyba że uznać za martwienie się gderanie na temat Harryego.

Rzeczywistość jest dla niej zbyt wyczerpująca.

Weszła do kuchni w ślad za Mikeem.

Chwilowy przypływ emocji, który zawładnął nią w samochodzie, ulotnił się.

- A więc nie masz zamiaru do niej oddzwonić?

- zapytał.

- Nie dzisiaj.

Prawdopodobnie przygotowuje teraz Harryemu kakao.

Zadzwoń rano.

- Sięgając po czajnik zbliżyła się do Mikea i znowu wróciło uczucie z samochodu - wrażenie jakby go dotknęła, chociaż między nimi nie doszło do fizycznego kontaktu.

- Kakao to dobry pomysł - stwierdził, nie zdając sobie wyraźnie sprawy, co się z nią dzieje.

- Nie piłem od lat.

Przypomina mi zimowe wieczory i rozpalony kominek, przed którym siedziałem czyściutki po kąpieli, gotowy do pójścia do łóżka.

- Domyślam się, że mówisz o czasach, kiedy byłeś dzieckiem?

- Niestety, tak.

W mieszkaniu mam tylko grzejniki.

Kominki przeminęły razem z kakao.

Przypuszczam, że Ros go nie ma.

- Zaczął przeszukiwać szafki, przestawiając naczynia, i po chwili krzyknął z tryumfem: - Mam.

To musi być kakao, chociaż nigdy nie widziałem, żeby je piła.

- Prawdopodobnie używa je do gotowania.

Chcesz się napić?

- Dlaczego nie, jeśli masz mleko.

- Idź do pokoju i usiądź.

Zaraz ci je przyniosę.

Mały pokój gościnnie Ros był bardzo przytulny - miękkie, wyściełane perkalem krzesła, trzcinowy stolik przykryty obrusem i udrapowane zasłony.

Mike wygodnie usadowił się na jednym z krzesel, opierając nogi na pufie.

Widać było, że czuje się tu jak w domu.

I dlaczego by nie, pomyślała Maggie.

Prawdopodobnie spędził tu mnóstwo czasu.

Postawiła kubki na stole i poszła zaciągnąć zasłony.

- A więc - zaczęła, specjalnie sprowadzając rozmowę na temat zniknięcia Ros - jaki będzie nasz następny krok?

- Nie mam pojęcia.

- Napił się kakao z żaroodpornego kubka.

- Pyszne!

- Tak jak mówiłam, rozejrzę się za zapasowymi kluczami i pomyślę, z kim jeszcze Ros mogła utrzymywać kontakty.

Przejrzę jej osobiste papiery i rzeczy.

Nie chcę tego robić, ale...

- Przysiadła na krześle oddalonym od siedzenia Mikea, starając się utrzymać między nimi jak największą odległość.

- W ciągu jednego dnia sprawdziłaś wszystko, co sobie zaplanowałaś, i wygląda na to, że nic to nie dało.

- Niezupełnie tak.

Przynajmniej dowiedziałam się, co miała na myśli, mówiąc, że coś dziwnego dzieje się w Vandinie.

- Zawahała się, bojąc się ująć w słowa myśl, która kołatała jej się po głowie.

- Mike, nie myślisz chyba, że podejrzewała kogoś o szpiegostwo, i właśnie dlatego spotkało ją coś złego?

- Nie rozumiem.

- No wiesz, to duża firma.

W grę wchodzi zapewne poważne pieniądze.

Jeśli Ros odkryła, kto jest szpiegiem, mogła narazić się...

mogli ją skrzywdzić, żeby nie wyjawiała prawdy.

Mike prychnął.

- Wyciągasz bardzo daleko idące wnioski.

Jeśli w ogóle ktoś przetrzymuje Ros, opowiadałbym się za jakimś szaleńcem.

- Na przykład Brendan?

- Zobaczyła jego zdziwione spojrzenie, więc dokończyła pospiesznie: - On mi się ciągle nie podoba, Mike.

Okłamał mnie.

Jestem tego pewna.

Apaszka, którą u niego znalazłam, jest tego dowodem.

Poza tym cały czas mam przeświadczenie, że coś jest nie tak.

Nie wydaje ci się, że on mógł...

- Zaczynam myśleć, że to policja ma rację, a nie my.

- Kakao rozgrzało Mikea; mówił rozleniwionym głosem.

- Zaczynam wierzyć, że Ros wyjechała dokądś z własnej nieprzymuszonej woli.

Pomyśl o Vandinie.

Jeżeli kogoś podejrzewała, mogła wyjechać w związku z jakimś dochodzeniem, a ponieważ cała sprawa jest poufna, nikomu nie zdradziła, dokąd się wybiera i po co.

- Ale nie ma jej już więcej niż tydzień.

- To w sumie nie tak długo.

- A dlaczego nie dzwoni do ciebie, żeby powiedzieć, gdzie jest?

- Możliwe, że już się nie liczę.

Maggie popatrzyła na niego ostro.

Czy dobrze wyczuła w jego głosie tę nutę - nutę rezygnacji?

Może nawet rozżalenia?

Nie była pewna, ale nagle przypomniała sobie, że Brendan mówił, że widział Ros w Clifton w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, ale to nie był Mike.

Wtedy wydawało jej się, że Brendan stara się odwrócić jej uwagę od siebie, teraz przyszło jej do głowy, że może mówił prawdę.

Czy Ros spotykała się z kimś jeszcze?

Z kimś, o kim ona, Maggie, nic nie wiedziała?

Może wyjechała właśnie z tym mężczyzną?

Tylko że to nie trzymało się kupy.

Głos Mikea przerwał jej rozmyślenia.

- Mam przecucie - powiedział - że Ros pojawi się tu lada moment.

I wcale nie będzie zadowolona, kiedy dowie się, że zgłosiliśmy jej zaginięcie na policji.

Maggie westchnęła i potrząsnęła głową.

Chciałaby być tego pewna.

Kiedy Mike poszedł, postanowiła położyć się spać, znowu w pokoju Ros.

Ale mimo że miała obolałe ciało, a oczy ją paliły ze zmęczenia, sen nie nadchodził.

Wbrew temu, co powiedział Mike, nadal bardzo martwiła się o siostrę.

Uznał za bezpodstawny jej strach przed Brendanem, ale nie znał go tak dobrze jak ona, nie wiedział, do czego może doprowadzić chorobliwa zazdrość.

A Ros była u niego w mieszkaniu - apaszka jest tego świadectwem.

Jeśli chodzi o Vandinę, to następna podejrzana historia.

Jeszcze jedna kwestia oprócz bezpieczeństwa siostry nie pozwalała Maggie zasnąć.

Starła się o niej nie myśleć, jednak gdzieś w głębi myśl o tym, że Mike pociąga ją fizycznie, ciągle była obecna.

Podejrzewała, że to rezultat dwóch kieliszków wina, które wypija, nic prawie nie jedząc.

Jednak uczucie było takie mocne, tak niespodziewane, tak ekscytujące!

Niemalże zapomniała, że można coś takiego przeżywać - szczęśliwie udało jej się ukryć te emocje.

Mimo to pociągało ją ich ciepło; chociaż uważała, że postępuje nierozsądnie, właśnie wspominając je, zapadła w sen, a gdzieś w głębi umysłu czaiło się miłe przecucie.

Następnego dnia obudziła się ze straszliwą migreną.

Od czasu do czasu miewała takie ataki.

Wydawało jej się wtedy, że ktoś przeszywa jej skronie rozgrzanym żelazem, co wywołuje łomotanie w całej czaszce, migotanie przed oczami i nudności.

Niekiedy taki stan utrzymywał się przez kilka dni, jeśli miała szczęście, mijał w ciągu godziny.

Maggie ciężko stęknęła.

Och, Boże, jak nienawidziła takich dni, a teraz miała jeszcze tyle rzeczy do zrobienia.

Musi je odłożyć, wszystkie; nie mogłaby teraz prowadzić samochodu - ledwo co była w stanie myśleć - a nawet, gdyby wzięła się do działania, z pewnością cały czas męczyłyby ją nudności.

Jedynie, co jej teraz pozostaje, to zażyć tabletki, zakopać się po głowę w łóżku i czekać, aż migrena minie, a przynajmniej uspokoi się na tyle, że będzie mogła pójść na wieczorne przyjęcie do Dinah.

Z największym wysiłkiem zwlokła nogi na podłogę.

Kiedy się wyprostowała, żelazna obręcz na jej czole zacisnęła się, a rytmiczne uderzenia pod czaszką stały się mocniejsze.

Ledwo co dotarła do łazienki, gdzie miała tabletki - dzięki Bogu, że pamiętała, żeby je ze sobą zabrać.

Potem przypomniała sobie, że matka czeka na telefon.

No cóż, nic na to nie poradzi, ale w tej chwili po prostu nie zniósłaby rozmowy z Dulcie.

Poczekwała, aż pigułki rozpuszczą się w szklance, przełknęła płyn, po czym wróciła do łóżka.

Rozdział ósmy.

Kochanie - wyszeptała zgrabna jak posąg rudowłosa, zmysłowo ocierając się o ciało mężczyzny.

- Nie istnieje nic wspanialszego na świecie niż miłość w środku dnia.

Nie uważasz?

Steve Lomax przeciągnął dłonią po jej piersiach, pełnych i sterczących, nawet kiedy leżała na plecach, po brzuchu, ciągle jeszcze nieco spoconym po kontakcie z drugim ciałem i wysiłku sprzed kilku minut.

- Najbardziej lubię to robić z samego rana.

Kobieta roześmiała się miękko.

- Obawiam się, że ranki zupełnie nie wchodzą w grę, jeśli chodzi o mnie.

Muszę budzić się u boku męża.

Inaczej mógłby poczuć się przygnębiony.

- Założę się, że tak.

Szczęśliwiec z niego!

- Steve wiedział, że chociaż jego towarzyszka i jej mąż kładą się razem do łóżka, nie kochają się - a nawet jeśli, to nie zamierzał być zazdrosny.

Lubił uprawiać miłość z rana, ale zupełnie zadowalały go te popołudniowe spotkania w pokoju hotelowym, poprzedzone wyśmienitym obiadem i kilkoma kieliszkami Courvoisiera.

Dobre jedzenie, dobry alkohol i piękne kobiety - to najwspanialsza z możliwych kombinacja.

Po latach ciężkiej pracy na odwiercie na Morzu Północnym przypominało to niebo.

Zresztą budzenie się ciągle u boku tej samej kobiety pachniało monotonią, a nie o to mu chodziło, przynajmniej nie w tej chwili, a prawdopodobnie nigdy.

Chciał być niezależny.

Zwłaszcza że po świecie chodzą takie kobiety jak Jayne Peters - Browne.

Przekręcił lekko głowę i popatrzył na nią, na jej zmierzwione włosy i trochę starty makijaż, ale nie wyglądała niechlujnie, tak jak to

bywa z większością kobiet, które po stosunku sprawiają wrażenie wymiętych, są zaczerwienione, mają rozmazane oczy, a szminka z ich ust znika, za to on znajduje jej ślady na swoim ciele.

Czasami zastanawiał się, jak doszło do tego, że w ogóle chodzi z nimi do łóżka.

Ale nie z Jayne - przynajmniej jeszcze nie.

Patrząc na nią, zawsze nabierał ochoty na powtórny stosunek.

Może i Dinah odkryła w niej doskonałą projektantkę; on odnalazł za to wspaniałą kochankę!

Ponownie ogarnęło go pożądanie, więc przyciągnął ją do siebie.

Jayne wspięła się, usiadła na nim okrakiem, aż sapnęła z rozkoszy.

Obejmowała kolanami jego wąskie biodra, kiedy wchodził w nią głęboko.

- Mała wiedźma!

- wymamrotał, kiedy poruszała się nad nim rytmicznie.

Nie odpowiedziała, tylko rozchyliła kształtne karminowe usta w nienasyconym uśmiechu, po czym pochyliła się i zaczęła całować i gryźć jego wargi ze zmysłowością, która podniecała go jeszcze bardziej niż ruchy jej ciała.

Zamknął oczy, pograżając się w rozkoszy, na poły przyjemnej, na poły wręcz bolesnej.

To dopiero życie!

Za nic nie wróciłby do lodowatej i zabójczej samotni, jaką był szymbark, nawet gdyby nie istniało już żadne inne miejsce na ziemi.

Dzięki Bogu - i oczywiście dzięki Dinah - nie musiał tego robić.

Jayne Peters - Browne popatrzyła na przystojną, wykrzywioną rozkoszą twarz i ogarnęło ją poczucie własnej mocy i zwycięstwa.

Tym razem nie była podniecona; nie wierzyła w wielokrotny orgazm, takie bajki wypisywali tylko w "Cosmopolitan", ale nie robiło jej to różnicy.

Dostała już dzisiaj porcję swojego szczęścia - Steve okazał się wspaniałym kochankiem (choć nie tak dobrym, jak to sobie sam wyobrażał - który mężczyzna taki jest)?

- ale to...

to było chyba jeszcze fajniejsze.

W tej chwili, zamiast pozostawać na łasce własnej żądy, kontrolowała sytuację, a to doprowadzało ją do niesamowitego uniesienia.

Jayne, od kiedy tylko pamiętała, pragnęła władzy, jednak jak dotąd jej nie posiadała.

Naprawdę nazywała się po prostu Jane Sweeney, była jedynaczką, jej ojciec pracował w kopalni w Nottingham i był jednym z tamtejszych dyrektorów.

Właśnie z powodu jego pozycji żyła w izolacji.

Dla innych dzieci, mieszkających w pobliżu jej domu, należącego do zarządu kopalni, była "córką szefa", który wyzyskiwał ich ojców, przyjmował i zwalniał z pracy.

Dlatego też nie bawiły się z nią, a poza tym kłuło je w oczy, że mieszka w takim dużym i pięknym domu.

Jednak kiedy rodzice Jane, starający się żyć zgodnie ze statusem społecznym, jaki swoim zdaniem reprezentowali, posłali ją do szkoły prywatnej, tam też nie pasowała.

Wbrew pozorom nie mieli dużo pieniędzy - ojciec zarabiał stosunkowo niewiele, a czynsz za szkołę jej i dwóch braci znacznie uszczuplał budżet domowy - więc nigdy nie starczało na wydatki ekstra.

Większość szkolnych koleżanek nie musiała łamać sobie głowy podobnymi problemami.

Jane nie umiała jeździć konno, podczas gdy Pony Club stanowił ośrodek życia towarzyskiego.

Mówiła ze złym akcentem.

W jej rodzinie zachowało się wiele przyzwyczajęń, charakterystycznych dla klasy pracującej, z której zresztą się wywodzili - ojciec początkowo był prostym górnikiem, dopiero po skończeniu studiów dochrpał się stanowiska dyrektora.

Najgorsza ze wszystkiego była otyłość Jane.

Choć może to się wydawać niesprawiedliwe nadwaga w oczach dzieciaków stanowi najgorsze przestępstwo, jakiego w tym wieku można się dopuścić.

Grubasy tak różnią się od kolegów, że natychmiast stają się obiektem obraźliwych i bezdusznych żartów oraz kpin.

Są nieporadne fizycznie i głupio wyglądają w najmodniejszych nawet ciuchach - jeśli uda im się kupić je w odpowiednim rozmiarze.

Jane nie tylko była pulchna, ale i, jak na swój wiek, bardzo wysoka.

Jej bracia ciągle byli głodni, więc matka wymyślała najróżniejsze "zapychacze" - kluski ze skwarkami, puddingi ociekające marmoladą lub melasą, jabłeczniki, w których więcej było ciasta niż owoców.

W wieku jedenastu lat Jane miała sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, a ważyła sześćdziesiąt pięć kilogramów; kiedy skończyła trzynaście lat miała już wyraźnie ukształtowany biust, urosła ośmiu centymetrów i jeszcze przytyła.

Co gorsza, matka, chcąc zaoszczędzić, sama szyła dla córki ubrania.

Biorąc pod uwagę rozmiary Jane, było to może i wygodne, jednak pani Sweeney nie bardzo znała się na modzie młodzieżowej, więc tworzyła koszmarki.

Jane wyglądała jak straszdyło i tak też się czuła.

Wstydząc się swojego wzrostu, garbiła się, bez sukcesu też starała się ukryć zbyt duże dłonie i stopy, o które często się potykała.

Jane miała jedno marzenie - że pewnego dnia z tego brzydkiego kaczątka wyłoni się przepiękny łabędź.

Nie tylko stanie się piękna, ale i bogata.

I już nikt nigdy nie będzie się z niej śmiał, czyjej krytykował.

Kiedy miała piętnaście lat, w szkole pojawiła się nowa nauczycielka plastyki.

Nazywała się Makim i różniła się od wszystkich innych nauczycieli, a tak naprawdę od wszystkich ludzi, których do tej pory Jane poznała.

Panna Makim hołdowała modzie hipisowskiej z jej najburzliwszego okresu lat sześćdziesiątych.

Związywała długie włosy w węzeł na karku i prawie w ogóle się nie malowała.

Nosiła bluzki z gazy i długie indyjskie spódnice oraz chodaki na drewnianych podeszwach, którymi głośno stukiała, przechodząc po szkolnych korytarzach.

Jako artystka wierzyła w wolność ekspresji, jako nauczycielka zupełnie nie zwracała uwagi na dyscyplinę, jako kobieta całym sercem opowiadała się za ciepłymi kontaktami z bliźnimi i za hasłem "kochajmy się, a nie walczmy".

Panna Makim natychmiast zorientowała się, że Jane ma ogromny talent - co umknęło innym nauczycielom, ponieważ trudno było kojarzyć coś pięknego z osobą Jane - który nie rozwijany prawdopodobnie po prostu by zgasł.

Zachęcała Jane do pracy i kiedy jej zdolności zaczęły rozkwitać, panna Makim postanowiła pomóc wstydlivej i zagubionej dziewczynie także w innych dziedzinach życia.

- Musisz w siebie uwierzyć - tłumaczyła.

- Możesz innym dać bardzo wiele.

Każdy może.

- Tylko że wszyscy mnie ignorują, bo jestem gruba - skarżyła się dziewczyna.

- Bzdura.

Ważne jest, jaka jesteś w środku.

- Jakoś nikt nie ma ochoty się nad tym zastanawiać.

- Może dlatego, że ty sama sprawiasz wrażenie, jakby nie było nad czym.

Ludzie oceniają nas tak, jak im się przedstawiamy, wiesz.

A ty jesteś bardzo zamknięta.

Ale jeśli uważasz, że twoja tusza stanowi przeszkodę, przecież nie musisz być gruba.

- Muszę - upierała się Jane.

- Moja mama twierdzi, że mam grubą budowę kości.

- Tak, ale oprócz kości masz dużo tłuszczu - otwarcie zauważyła nauczycielka.

Znajdowały się w kuchni domku panny Makim.

Pod jej okiem Jane wprawiała się w szkicowaniu, przygotowując się do egzaminu z rysunku, do którego - zdaniem nauczycielki powinna przystąpić.

Ćwiczyły do południa, a teraz nadszedł czas na posiłek.

- Co byś zjadła?

- zapytała panna Makim.

Nauczycielka z niedowierzaniem przysłuchiwała się odpowiedzi Jane.

- Aż tyle!

Boże drogi!

Zamiast bekonu na grzankach powinnaś na śniadanie jeść muesli albo jakieś owoce.

Nie można też używać tyle cukru i mąki.

- A co pani jada?

- zaciekawiała się uczennica, z zazdrością spoglądając na smukłą sylwetkę panny Makim.

- Jestem wegetarianką, więc jem nasiona różnych roślin, świeże owoce i warzywa.

- Nasiona?

- zdziwiła się Jane.

- Grochu i inne.

- Gotowane?

- Głównie suszone.

W żywności z puszek znajduje się dużo cukru - pouczała panna Makim.

- Posłuchaj, mam w lodówce placek z kukurydzy.

Dodamy do niego pyszną, chrupiącą sałatę i zjemy to na obiad, a potem powiesz mi, jak ci smakowało.

Jane stwierdziła, że i owszem, smakowało jej, jednak nie była pewna, czy chciałaby zawsze jeść tylko takie rzeczy - zresztą matka chyba by się na to nie zgodziła.

- Musisz zmienić swój jadłospis, a stracisz na wadze - oświadczyła panna Makim.

- Oczywiście, przede wszystkim musisz przestać zajadać się ciasteczkami i czekoladą.

Jane zaczerwieniła się.

- Kiedy schudniesz, będziesz mogła nosić dzinsy, jak reszta twoich kolegów, i będziesz się dobrze czuła.

A jeśli mocniej nad sobą popracujesz, to będziesz wyglądała po prostu rewelacyjnie.

Z twoim wzrostem mogłabyś być modelką.

Pozytywne nastawienie nauczycielki natchnęło Jane entuzjazmem.

Poszła do domu zdecydowana, że musi schudnąć.

Jednak czekała ją ciernista droga.

Ciągle była głodna, musiała odmawiać sobie słodyczy i chipsów, chociaż straszną miała na nie ochotę, ale najgorsze, że musiała też walczyć z matką.

- Przestań wydziwiać i zapomnij o tym odchudzaniu - denerwowała się Mary Sweeney, stawiając przed córką na stole talerz z frytkami i smażoną rybą, ociekającą tłuszczem.

- Zemdlejesz, jeśli będziesz chodziła z pustym żołądkiem.

- Ale ja chcę schudnąć!

- Po co?

Teraz też dobrze wyglądasz.

Te chude dziewczyniska wyglądają tak, jakby przez całe życie nie miały nic porządnego w ustach.

Jane wzdychała z bezsilności i kiedy matka się odwracała, przekładała swoją porcję na talerze braci, po czym szła do swojego pokoju, gdzie wyciągała dietetyczne ciasteczka, które kupiła za kieszonkowe.

Nie wiadomo, czy udałoby jej się wytrwać przy ostrej diecie, gdyby nie miała żadnych bodźców.

A jednak pojawił się taki.

Jane się zakochała.

Chłopak nazywał się Graham Toohey.

Jego ojciec był nowym dyrektorem w innej kopalni.

Graham miał jasne włosy, szesnaście lat i był przystojny, a także przyjaźnił się z bratem Jane, Martinem, swoim rówieśnikiem.

Chłopcy bez przerwy przebywali ze sobą.

Razem chodzili pływać, do kina i do pubu (o czym rodzice nie mieli pojęcia).

Jane była przekonana, że spotykali się tam z dziewczętami i serce pękało jej z zazdrości.

Jej doświadczenia z chłopcami nie przedstawiały się imponująco.

Na dyskotekach stała zazwyczaj w jakimś ciemnym kącie, zapomniana, ponieważ nikt nie prosił jej do tańca, a ona sama nie miała odwagi, żeby wyjść na parkiet.

Nikt się z nią nie umawiał.

Nie całowała się jeszcze z żadnym chłopcem, choć w czasie Świąt Bożego Narodzenia nieraz stawała pod jemiolą w nadziei, że może jednak znajdzie się chętny.

Nigdy nie dostała kartki walentynkowej i myślała sobie, że jeśli nawet takowa pojawiłaby się na wycieraczkę jej domu, to tylko jako żart.

Z zazdrością przysłuchiwała się opowieściom koleżanek o ich miłosnych podbojach.

Najciekawsze fragmenty tych historii nie były jej jednak dostępne, ponieważ dziewczęta opowiadały je tylko ścisłemu gronu koleżanek, do którego nigdy nie należała.

Teraz jednak ogarnęła ją wściekła determinacja.

Doprowadzi jakoś do tego, że Graham Toohey będzie jej chłopcem.

Początkowo schodziła mu z drogi, nie chcąc zepsuć wrażenia, dopóki nie będzie gotowa.

Kiedy stwierdziła, że nieco schudła, o czym przekonała się nie dzięki wadze, bo matka nie godziła się na jej kupno, ale po ubraniach, które zaczęły na niej wisieć, Jane zebrała się na odwagę i, zgodnie z radą panny Makim, postanowiła kupić sobie parę dzinsów.

W sklepowej przymierzalni ledwo co udało jej się ukryć za niskimi, wahadłowymi drzwiami.

Jednak kupiła wtedy nie tylko spodnie, ale i bluzkę z gazy, podobną do tych, jakie nosiła nauczycielka plastyki, i która mogła luźno opadać na dzinsy, zakrywając pozostałe jeszcze wypukłości.

Następnie odwiedziła Boots i Chemists i kupiła czarny ołówek do oczu, bladą szminkę oraz parę olbrzymich, okrągłych kolczyków.

Po przyjsciu do domu założyła na siebie nowo nabyte rzeczy i paradowała w nich przed lustrem.

Nie tak źle - ale jeszcze nie tak, jak być powinno.

Nie mając wprawy, pomalowała sobie oczy tak, że wyglądała, jakby nie spała od tygodnia, poza tym miała niemiodnie obcięte włosy.

Powinnam przefarbować się na rudo, pomyślała.

Wtedy Graham na pewno mnie zauważy.

W sklepie kosmetycznym na rogu ulicy, przy której mieszkała, kupiła farbę o nazwie "głęboki kasztan".

Całe popołudnie spędziła w łazience, czekając, aż jej naturalne ciemno blond włosy nabiorą koloru, oraz próbując wyczyścić farbę spod paznokci.

Kiedy spłukała włosy, okazało się, że mają dziwaczny odcień, ale podobał jej się, bo podkreślał bladość policzków i zielono - niebieskie oczy.

Zmieniła sposób czesania grzywki, zamiast jak zawsze na bok, tym razem przedziałek zostawiła pośrodku.

Wreszcie jej twarz nabrała interesującego wyglądu, chociaż nadal jeszcze wydawała się zbyt okrągła.

Podniecona własną śmiałością, założyła nowe dzinsy i bluzkę, po czym zeszła na dół.

Matka wpadła w furję.

Stwierdziła, że Jane wygląda jak kokota, co nie było prawdą - przypominała kobiety z obrazów Botticellego, dojrzałe i zmysłowe - i zażądała, by córka natychmiast przywróciła swoim włosom naturalny kolor.

Jane odmówiła, kłamiąc, że położyła na nie niezmywalną farbę - tak naprawdę, zgodnie z instrukcją z pudełka, miała zejść po sześciokrotnym myciu głowy.

Ojciec natomiast uśmiechnął się w sposób, który prawie oznaczał aprobatę, i powiedział: - Mnie się podoba.

Jane odwzajemniła mu się uśmiechem, za co została nagrodzona mrugnięciem oka.

Graham i Martin jeździli gdzieś na rowerach.

Z bijącym sercem wyszła do ogrodu i tam postanowiła czekać na ich powrót.

Trzymała w rękach "Cosmopolitan", magazyn, który kupiła w mieście, a który ukrywała przed matką, żeby ta nie zobaczyła sugestywnych tytułów z okładki: "Jak dobrze wyposażony jest twój mężczyzna"?

, "Czy można utyc od spermy"?

oraz "Jak znajdziesz swój punkt G"?

Jane wątpiła, czy matka wie, co to jest punkt G - sama tego nie wiedziała, dopóki nie przeczytała artykułu - jednak pozostałe tytuły nie były tak zagadkowe, za to nieco szokujące.

Jane nie mogła się doczekać, kiedy przeczyta resztę artykułów, a poza tym chciała, by chłopcy zobaczyli ją z tym magazynem w ręku - pasował do jej nowego wyglądu.

Kiedy usłyszała skrzyknięcie furtki, miała ochotę zerwać się z trawnika i uciec.

Jednak, zebrawszy się na odwagę, przybrała pozę modelki, opierając podbródek na dłoni.

Przy okazji bluzeczka opięła jędrne piersi, ale Jane nie zdawała sobie z tego sprawy.

Graham oparł się na kierownicy roweru i zagwizdał.

- Cześć, piękna!

Potem już zawsze mówił do niej "piękna", co niezmiennie wzbudzało w niej dreszcze.

- Jaka "piękna"?

To moja siostra!

- rzucił Martin, dodając obcesowo: - Co ty, do cholery, zrobiłaś z włosami?

Jane zignorowała jego bezczelną uwagę.

Wstała i podeszła do chłopców.

Szła, kołysząc biodrami.

- Nie mówiłeś, że masz taką siostrę!

- skarcił kolegę Graham.

- To tylko Jane...

i zrobiła sobie coś dziwnego z włosami.

- Mnie nie wydają się dziwne - oświadczył Graham.

Jak na szesnastolatka potrafił prawić komplementy, a w jego oczach tlił się zupełnie dorosły blask męskości.

- Wyglądają ładnie.

- Dziękuję - skromnie odezwała się Jane.

- Nie bądź takim przymilniaczkiem - zdenerwował się Martin.

Popchnął rower w stronę domu, ale Graham nie ruszył za nim.

- Co robisz jutro wieczorem?

- zapytał Jane.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, czując mocne uderzenia serca.

- W klubie jest dyskoteka.

Chcesz iść?

- Może.

- Doskonale - ucieszył się.

- Spotkamy się tam.

Jane najpierw wpadła w euforię, potem przeraziła się, a następnie zaczęła się bać.

Co ona na siebie założy?

Wszystkie pieniądze wydała na dzinsy i bluzkę, a przecież za żadne skarby nie założyłaby starych sukienek.

Następnego ranka wsiadła na rower i popedałowała do panny Makim.

Był środek wakacji.

Jane bała się, że nauczycielka gdzieś wyjechała, ale znalazła ją w ogrodzie, zajętą szkicowaniem kota, który spał pod płaczącą wierzbą.

- Jane!

- zawołała na jej widok.

- Wielkie nieba, prawie cię nie poznałam.

- Ufarbowałam włosy - wyjaśniła dziewczyna z satysfakcją.

- Nie tylko!

Mój Boże, wygląda na to, że dieta dokonała cudu.

Co cię do mnie sprowadza?

Jane zwierzyła się nauczycielce.

- Wiem, że to głupio, ale czy mogłaby pani pożyczyć mi spódnicę i taką bluzkę z gazy - poprosiła na koniec.

Panna Makim uśmiechnęła się.

- Myślę, że mogę zrobić dla ciebie o wiele więcej.

Wejdziesz, to przymierzysz kilka ciuszków.

W ciągu kilku minut zawartość szafy nauczycielki znalazła się na łóżku.

Jane wybrała luźną kremową sukienkę z gazy.

- Wyglądasz szalowo - oceniła panna Makim, zadowolona, bo czuła, że przemiana Jane jest także jej zasługą.

- Jak nazywa się ten szczęśliwiec?

- Graham.

- Aha.

Tylko bądź ostrożna, Jane.

Podejrzewam, że Graham nie będzie mógł ci się oprzeć, a nie chciałabym, żebyś znalazła się w sytuacji, na którą nie jesteś jeszcze przygotowana.

- Panno Makim!

- wstydliwie zaprotestowała dziewczyna, uwaga nauczycielki wydała jej się w gruncie rzeczy śmieszna.

Czytała "Cosmopolitan" przez całą noc i teraz gotowa była na każdą sytuację.

Graham szaleńczo się jej podobał, poza tym doświadczała na własnej skórze rzeczy, o których dopiero co czytała w magazynie.

Jak motyl wykluwający się z kokonu, Jane niecierpliwie czekała na rozpoczęcie prawdziwego życia, tak samo jak jej wrażliwa osobowość, która, do tej pory ukryta pod warstwami tłuszczu, wreszcie miała okazję się ujawnić.

Jednak w trakcie wieczoru do niczego nie doszło.

Graham większość czasu spędził z innymi chłopcami.

Ale odprowadził ją do domu, objął w pasie i zapytał, czy nie miałyby ochoty następnego dnia przejść się z nim na spacer.

- Och, tak!

- zgodziła się, tak podekscytowana, że ledwie mogła oddychać.

Przyjechał na rowerze i oparł go o ścianę garażu.

Martin, zdenerwowany takim rozwojem wypadków, obraził się na niego, ale Graham nie zwracał na to uwagi.

Przeszli przez wieś, minęli kopalnię, gdzie pracował jej ojciec, aż weszli na pole, które z jednej strony graniczyło z hałdami żużlu, z drugiej z rzeką.

Graham objął Jane i zaczął ją całować.

Z ochotą mu się poddała.

Nigdy przedtem się nie całowała, ale podobało jej się to.

W dodatku nie było to takie trudne.

Po pięciu minutach miała wrażenie, że niczego innego nie robiła od początku życia.

Dziwiło ją jednak zachowanie chłopca.

Nie wstydził się ani nie był niezręczny, jak określiłaby to jej matka, mimo to dotykał ją tak jakoś nieporadnie, chociaż po jego oddechu poznawała, że jest podniecony.

W pewnym momencie przyszło jej do głowy, że nie tylko ona jest nowicjuską.

Poczuła zadowolenie.

Kiedy wsunął rękę pod jej bluzkę, nie powstrzymała go.

Nie bała się, wręcz odwrotnie, czuła, że to ona posiada władzę.

I wykorzystała ją, kiedy spróbował odpiąć suwak jej dzinsów.

Stanowczo odciągnęła jego dłoń i przesunęła na swoje plecy, prowokacyjnie się do niego przytulając.

- Jane!

- Westchnął, przesuwał rękę z powrotem do suwaka spodni.

- Tylko dotknę!

I po chwili zgodziła się.

Jednak postanowiła, że tym razem na nic więcej mu nie pozwoli.

Wydawało jej się, że to jeszcze zdecydowanie za wcześnie.

Zresztą połowa przyjemności kryła się właśnie w takim wydzielaniu, w jego błaganiu o więcej.

Ten przystojny, starszy od niej chłopiec, jak ryba dał się złapać na przynętę.

Najbardziej podniecało ją to, że trzyma na wodzy jego rozedrgane emocje.

Przy każdym następnym spotkaniu pozwalała mu posunąć się nieco dalej.

Kiedy uznała, że nie może dłużej go zwodzić, bo miarka się przebierze, zaproponowała, żeby kupił paczkę prezerwatyw.

Nie zdawała sobie sprawy, że jej zachowanie wygląda na wykalkulowane, ani też nie przejmowała się faktem, że nie ma jeszcze nawet szesnastu lat.

Wiedziała jedno, była w tym dobra.

Pierwszy raz okazał się klęską, jednak nie z jej winy, więc nie przejęła się tym, a przeciwnie zdobyła jeszcze większą pewność siebie.

Niezdarne ruchy Grahama, jego zaróżowione wstydem policzki i pośpiech, z jakim doprowadził stosunek do końca, przekonały ją o niezbitej przewadze kobiet.

Nigdy w życiu nie obawiała się mężczyzn i teraz też tego nie czuła.

W domu stery trzymała matka, kobieta; w szkole czuła się ośmieszana i nie chciana przez swoje koleżanki.

Mężczyźni byli inni.

W ich towarzystwie czuła się jak królowa, dawała albo zabraniała, zależnie od jej zachcianki.

- Spotkamy się jutro?

- pytał Graham.

A ona, odgrywając swoją rolę, pewnym siebie głosem, odpowiadała: - Och nie, jutro nie.

Będę zajęta.

Ale w kinie grają film, który chciałabym zobaczyć.

Zabierzesz mnie na niego w sobotę?

- Tak, jeśli chcesz...

- Graham był wyraźnie zawiedziony.

Jane uśmiechała się do siebie w duchu.

- Nie powinniśmy robić tego za często, prawda?

Musimy zachować to na specjalne okazje.

Chłopakowi nie pozostawało nic innego, jak się z nią zgodzić.

Pod koniec lata ich młodzińczy romans, jak każdy taki, skończył się.

Jednak Jane zmieniła się już na zawsze.

Mimo ciągłych narzekań matki nie przefarbowała włosów i zostawiła ich rudy kolor, ale postanowiła, że nie będzie się więcej odchudzała.

Zauważyła, że podoba się chłopcom taka, jaka jest.

Miała powodzenie, częściowo dzięki wyglądowi, częściowo dzięki swojej reputacji.

Koleżanki ze szkoły też zaczęły traktować ją inaczej.

Podlizywały się, łączyły za nią z nadzieją, że i one zdobędą powodzenie wśród chłopców.

Sukces towarzyski sprawił, że Jane stała się pewniejsza i zaczęła odnosić sukcesy - także w innych dziedzinach.

Z najlepszymi wynikami przeszła przez wszystkie stopnie kursu projektowania.

Pnać się w górę, trafiała do najlepszych domów mody, ale nigdzie na długo nie zagrzała miejsca.

Miała mnóstwo energii, chciała zajść jeszcze dalej, nie bała się stawiać czoła nowym wyzwaniom, była typem zdobywcy.

Zmieniła imię z Jane na Jayne i wyszła za mąż za Drewa Peters - Brownea.

Poznała go w szkole plastycznej i od razu zainteresowała się nim, głównie dlatego, że pochodził z prawie arystokratycznej rodziny.

Związek z nim dawał jej status, o którym zawsze marzyła.

Ich małżeństwo nie należało do typowych.

Drew był biseksualistą, jednak w sumie bardziej interesowali go mężczyźni niż kobiety.

Co do stylu życia, to zawsze - wtedy, kiedy grał na keyboardzie w zespole rockowym, i obecnie, gdy zajmował się malowaniem - pociągały go kosztowne rozrywki: dobra whisky i markowe, wieloletnie wina, wyborowe restauracje oraz zagraniczne wakacje, nie wspominając raczenia się nielegalnymi używkami.

Ojciec Drew, choć zamożny, odmówił utrzymywania syna, który jego zdaniem prowadził rozpustny tryb życia, i Jayne musiała płacić za zachcianki męża, którego dochody z malowania przedstawiały się bardzo lichy.

Taka sytuacja zupełnie jej odpowiadała, ponieważ od kiedy mąż zmienił orientację seksualną na męczyzn, nie miała już nad nim przewagi seksualnej, pozostała jej jedynie przewaga finansowa.

Możliwość pracy w Vandinie pojawiła się, kiedy po śmierci Vana Dinah stwierdziła, że potrzebuje asystentki projektantki.

Jayne przyjęła posadę z wielką ochotą nie tylko dlatego, że firma była jedną z najbardziej znanych w świecie mody.

Przeniosła się wraz z mężem do domku w pobliżu firmy; okolica wspaniale odpowiadała pracy Drew.

Wszystko układało się znakomicie.

Steve był rodzinikiem w cieście.

Postanowiła, że musi go mieć już przy pierwszym spotkaniu - tak jak zdarzyło się to już kiedyś, gdy zapołowała na Grahama Tooheya i doprowadziła do tego z tą samą stanowczością.

Oczywiście Steve uważał, że to on był inspiratorem ich związku, ale Jayne to nie przeszkadzało.

Pozwoliła mu zachować złudzenia, by zaspokoić jego męską dumę.

Okazało się jednak, że był trudniejszą zdobyczą niż wszyscy dotychczasowi jej mężczyźni.

Po pierwsze był synem Dinah.

Dodawało to sprawie pikanterii.

Ale poza tym, wyczuwała w nim coś...

tak, to chyba odpowiednie słowo, coś niebezpiecznego.

Spojrzała na przystojną twarz, dotknęła mocnych ramion kochanka, przycisnęła okrągłe biodra do jego, wąskich i mocnych, i uśmiechnęła się.

Wcale nieźle, jak na tłąstą dziewczynkę, pomyślała.

Zupełnie nieźle.

A to dopiero początek.

Rozdział dziewiąty.

Do popołudnia migrena zelżała.

Maggie czuła, że jej powieki są ciężkie, tak jak po zażyciu narkotyków albo po zbyt długim śnie, ale przynajmniej ostry ból, jakby ktoś przewiercał jej czaszkę młotem pneumatycznym, osłabł, a kiedy odważyła się podnieść, stwierdziła, że ciało przestało się wreszcie trząść i nie jest jej już niedobrze.

Ciężko stąpając, poszła po szlafrok Ros, modląc się, żeby ta migrena okazała się krótkotrwała.

Pomimo stanu, w którym pragnęła jedynie własnej śmierci, Maggie nienawidziła marnować czasu, tym bardziej teraz, kiedy musiała kontynuować poszukiwania siostry.

Zeszła na dół, obawiając się, że chodzenie przywróci ból i zamroczenie, jednak nie czuła się gorzej, więc przygotowała sobie mocną herbatę (z doświadczenia wiedziała, że przy migrenie nie należy pić kawy), dolewając do niej trochę mleka.

Połknęła następne dwie tabletki - jej "blokowacze", jak je nazywała - i skubnęła kawałek suchej grzanki.

Jak na razie, zupełnie nieźle.

Kiedy jadła, zadzwonił telefon.

Brzęczyk przeszył jej głowę, ale odebrała telefon natychmiast.

- Margaret, czy to ty, czy znowu ta przeklęta maszyna?

Matka.

Maggie poczuła, jak jej serce zapada się.

- To ja.

- Gdzie ty się podziewasz?

Miałaś wpaść do nas na obiad.

- Mamo, nie mówiłam, że przyjdę do was dzisiaj.

Chciałam zadzwonić, ale złapała mnie migrena...

- Och, naprawdę!

- W głosie Dulcie zabrzmiała nagana i Maggie przypomniała sobie, że matka zawsze niecierpliwiła się, wysłuchując o chorobach innych.

Już jako dzieci, Ros i Maggie nauczyły się, że nie należy liczyć na współczucie z jej strony; świnkę, różyczkę, szkarlatynę traktowała jak krzyż pański, irytowała się, kiedy dziewczynki się przeziębiały.

Czy musisz tak kaszleć?

- złościła się.

- Spróbuj to opanować, doprowadzasz mnie do szału!

- Co do bólów głowy nękających Maggie, twierdziła, że mają podłoże psychosomatyczne.

- Ona tego nie rozumie - stwierdziła raz Ros.

- Przez całe życie nie przechorowała nawet jednego dnia.

- To była prawda.

Pomimo delikatnego wyglądu Dulcie cieszyła się końskim zdrowiem.

- Nie wiem, dlaczego dostajesz tych bólów głowy!

- powiedziała teraz z niechęcią.

- Powinnaś pójść do lekarza i coś z tym zrobić.

- Przykro mi.

- Maggie zbyt podle się czuła, żeby sprzeczać się z matką.

- No cóż, dopóki ty też nie znikniesz - zaczęła, nawiązując do nieobecności Ros i dając do zrozumienia, że tak jak i migrena Maggie jest to tylko pretekst do zdenerwowania jej.

- Kiedy nas odwiedzisz?

- Nie wiem - odpowiedziała Maggie, czując, że jej cierpliwość jest już na wyczerpaniu.

- Teraz muszę przede wszystkim dowiedzieć się, co się stało z Ros.

Zadzwonię do ciebie, przyrzekam.

- Odłożyła słuchawkę i prawie natychmiast ogarnęło ją poczucie winy.

Dlaczego pozwoliła, żeby matka ją zdenerwowała?

Zawsze to samo - nie kontrolowana irytacja, a za nią wyrzuty sumienia.

Czy inne dzieci także żywią względem rodziców takie mieszane uczucia?

Na pewno nie Ari.

Uwielbiał swoją matkę i bez skrepowania jej to okazywał.

Przechodząc przez hol, postanowiła zajrzeć do skrzynki na listy, ale była pusta.

Wróciła do kuchni, wypła herbatę, po czym zrobiła sobie następną.

Ból głowy wyraźnie przechodził, co poprawiło jej humor.

Pomyślała, że może nawet będzie w stanie coś przegryźć - może jakąś zupę z puszki albo gotowaną fasolkę.

Otworzyła szafkę kuchenną, by sprawdzić, co ma do wyboru, i prawie natychmiast zauważyła kluczyki wiszące na haczyku, na wysokości jej wzroku.

Zapasowe kluczyki do samochodu Ros.

Zamierzała ich poszukać, a tu same wpadają jej w ręce.

Postanowiła zapomnieć w tej chwili o jedzeniu i z miejsca pojechać do Bristolu, przeszukać auto Ros.

Wzięła gorącą kąpiel, która jeszcze bardziej ją orzeźwiła; kiedy wychodziła z domku, chociaż nadal na zwolnionych obrotach, czuła się wiele lepiej.

Ostry ból zmienił się w jednostajne, ale już nie tak dokuczliwe dudnienie.

W czasie jazdy przyłapała się na tym, że myśli o Mikeu i o tym, jak na nią wczoraj działał; teraz miała wrażenie, że był to tylko sen, który ledwo co pamięta.

Przejeżdżając przez zatłoczone ulice Bristolu, musiała skoncentrować się na drodze, żeby się nie zgubić.

Nie jeździła tędy już całe wieki.

Na moście Bath natknęła się na roboty drogowe, przez co potworzyły się korki.

Musiała dojechać na miejsce okrężnymi drogami, ale w końcu dotarła do stacji i zaparkowała na parkingu.

Znalezienie samochodu Ros nie zajęło jej dużo czasu, stał niedaleko od miejsca, w którym się zatrzymała.

Tak jak przewidywała, we wnętrzu auta panował nieskazitelny porządek i czystość.

Na tylnym siedzeniu leżała składana parasolka i jedwabna apaszka (jak Ros lubiła takie apaszki), opakowanie chusteczek i ściereczka do szyb, mapa oraz portfel z książeczką przeglądów samochodu.

I to wszystko.

Maggie wśliznęła się na siedzenie kierowcy i zaczęła lustrować deskę rozdzielczą, pokrytą warstewką kurzu.

Walczyła z rozczarowaniem.

Wiadomo, Ros wyrzuciła stąd najmniejszy śmieć.

Samochód Maggie stanowiłby doskonale źródło informacji, choć nikomu nieprzydatnych, jednak z łatwością można by się zorientować, co robiła przez ostatnie tygodnie - listy z zakupami, puste pudełka po papierosach, papierki po cukierkach i zużyte chusteczki higieniczne.

Zajrzała do popielniczki.

Oczywiście nie było tam niedopałków po papierosach, bo Ros nie paliła.

Tylko zgnieciony bilet parkingowy z datą sprzed dwóch tygodni, z wybitą opłatą za czterogodzinny postój i ze stemplem Bath, pobliskiego miasteczka.

I nic więcej.

Maggie oparła się o fotel, a dłonie położyła na kierownicy.

Dlaczego zaparkowałaś w tym miejscu, Ros?

Dokąd jechałaś?

I dlaczego nie wróciłaś?

Nie możesz dać jakiegoś znaku?

Gdziekolwiek jesteś.

Nie wiesz, że się o ciebie martwię?

Nagle zamarła.

Nieświadomie wyciągnęła nogi przed siebie, ale nie natknęła się na pedały.

Poczuła, jak całe ciało pokrywa jej gęsia skórka.

Wyprostowała się, ponownie wysuwając przed siebie nogi.

Dosięgnęła palcami sprzęgła i hamulca, mimo to jej pierwsze instynktowne podejrzenie znalazło potwierdzenie.

Nie mogłaby prowadzić samochodu z tak oddalonym fotelem i z pewnością nie potrafiła tego Ros, która była od niej trochę niższa.

Policja doszła do wniosku, że fakt, iż auto Ros stoi zaparkowane przed stacją, wskazuje na to, że pojechała dokądś pociągiem i że zrobiła to z własnej nieprzymuszonej woli.

Jednak usytuowanie fotela dowodziło niezaprzeczalnie jednej rzeczy.

Ktoś przyjechał tutaj tym samochodem i zostawił go na parkingu, ale z pewnością nie była to Ros.

Kiedy tylko Maggie uporządkowała myśli, popatrzyła na zegarek.

Na skutek szoku spowodowanego niespodziewanym odkryciem znowu poczuła pulsowanie w głowie; w tej chwili mogła myśleć jedynie o tym, że powinna skontaktować się z Mikeem.

Była piętnasta 24 - zbyt późno, żeby zadzwonić do szkolnego sekretariatu.

Z tego, co wiedziała o szkolnych administracjach, wnioskuje, że prawdopodobnie przestają pracować wraz z ostatnim dzwonkiem.

Czy Mike wyszedł już z pracy?

Pewnie nie ma już lekcji, ale może prowadzić jakieś dodatkowe zajęcia albo odpoczywać w pokoju nauczycielskim.

Gnana gorączkowym pośpiechem, Maggie zamknęła samochód Ros, pobiegła do swojego i wyjechała na zatłoczone ulice.

Przy moście Bath panował jeszcze gorszy korek niż wcześniej.

Wyprostowana i spięta, wypatrywała dziury, w którą mogłaby się wcisnąć.

Wiedziała mniej więcej, gdzie znajduje się szkoła Mikea; niestety, nie знаła jego domowego adresu.

Jeżeli opuści szkołę, zanim ona tam dotrze, nie będzie się mogła z nim skontaktować i tego dnia już z nim nie porozmawia, ponieważ wieczorem szła na przyjęcie do Dinah Marshall.

Za mostem ruch uliczny zelżał.

Maggie jechała tak szybko, jak tylko mogła, przy okazji szukając drogi.

Zgubiła się; te ulice wszystkie wyglądały jednakowo - rzędy podobnych domów, takie same witryny małych sklepików, kilka bloków - nigdy nie znajdzie drogi, nawet jeśli maksymalnie się skoncentruje.

Zauważyła jakieś kobiety pchające przed sobą koszyki z zakupami.

Zatrzymała się przy krawężniku i opuściła szybę.

Jej dłonie trzęsły się tak bardzo, że z trudem obracała gałkę.

Ulżyło jej, kiedy kobiety powiedziały, że wiedzą, o którą szkołę jej chodzi, i że znajdzie ją zaraz za rogiem.

Pojechała zgodnie z ich wskazówkami i po chwili stanęła przed bramą z dużą tablicą na szczycie.

W głębi rozciągał się brudnoszary budynek oraz - aż niemożliwe! - boisko, na którym właśnie odbywał się mecz krykieta.

Jakoś dziwnie, że ta gra toczyła się właśnie w tym miejscu, w środku miasta, jakby ktoś przeniósł tu całą połąć polany, nie bardzo dopasowaną do otoczenia, a rozchichotane dziewczęta w minispódniczkach, przyglądające się w słońcu grającym, zupełnie nie przypominały Maggie widzów, jacy zazwyczaj towarzyszą grze w krykieta.

Miała tylko nadzieję, że Mike jako nauczyciel wuefu także tu jest.

Zaparkowała na poboczu i ruszyła w stronę boiska, zastanawiając się, co zrobi, jeśli okaże się, że Mike sędziuje w tym meczu.

Mecz krykieta może się ciągnąć godzinami, a nie wypadało, żeby go przerywała.

Jednak kiedy podeszła bliżej, pod ścianą budynku rozpoznała znajomą sylwetkę Mikea, ubranego w dres.

Zajęty obserwowaniem rozgrywki, zauważył ją dopiero, kiedy stanęła obok.

- Maggie, co ty tutaj robisz?

- Mike, dzięki Bogu!

Muszę z tobą porozmawiać.

- Dlaczego?

Czy coś się stało?

Szybko, wyrzucając z siebie słowa, opowiedziała mu o najnowszym odkryciu.

- Mike, Ros nie była ostatnią osobą, która prowadziła jej samochód.

Nie dosięgnęłyby do pedałów.

Ktokolwiek zaparkował go pod stacją, nie była to moja siostra.

- Jesteś pewna, że siedzenie nie przesunęło się do tyłu, kiedy przeszukiwałaś wóz?

- Twarz Mikea zastygła.

- Nie wydaje mi się.

Zwróciłabym na to uwagę.

Mike, myślę, że powinniśmy powiedzieć o tym policji.

- Jeszcze tego nie zrobiłaś?

- Nie.

Chciałam przede wszystkim porozmawiać z tobą.

Nie uważasz, że jest to niezbity dowód?

No wiesz, wprawdzie nie znalazłam w samochodzie niczego, co sugerowałoby, kto go prowadził, ale oni mogliby go dokładnie przeszukać.

Poza tym już sam fakt, że stoi zaparkowany pod stacją, wydaje się podejrzany.

- Dlaczego podejrzany?

- Ktoś stara się nas przekonać, że Ros zostawiła tam auto i odjechała pociągiem.

Mike, boję się.

- Spokojnie.

- Położył dłoń na jej ramieniu.

Z trudem powstrzymała się, by nie przytulić się do niego.

- Nie jestem spokojna.

Coraz bardziej jestem przekonana, że przytrafiło się coś strasznego.

Brendan...

- Uważasz, że on się za tym kryje?

- No cóż, tak sądzę.

Myślę, że jest zdolny do wszystkiego, i wiem, że Ros się go bała.

Brendan jest wysoki, więc położenie fotela odpowiadałoby mu.

Oprócz tego jest jeszcze ta apaszka, którą znalazłam w jego mieszkaniu.

I jeszcze jedna rzecz, o której ci nie mówiłam.

Brendan powiedział mi, że kilka tygodni temu widział Ros w Clifton w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

Poczuła, że uścisk palców na jej ramieniu trochę się wzmocnił.

- Z mężczyzną?

- Tak powiedział, chociaż nie do końca mu wierzę.

Mógł w ten sposób starać się odwrócić podejrzenia od siebie.

Mike, naprawdę myślę, że należy pójść na policję i poinformować ich o naszych najnowszych wnioskach.

Uważam...

Słyszając burzę okrzyków dochodzących z boiska obydwójce odwrócili się w tamtą stronę.

Jeden z zawodników został usunięty z gry i teraz wściekły wracał do budynku.

- Posłuchaj, Maggie, nie mogę w tej chwili z tobą rozmawiać - tłumaczył się Mike.

- Pozostaw wszystko mnie.

Zadzwoń na policję.

I jeśli będziesz chciała, skontaktuj się ze mną po powrocie od Dinah Marshall.

- Nie mam twojego numeru telefonu.

- Nie?

Och, no racja...

- Maggie wyjęła z torebki notes i długopis.

Mike zapisał jej swój telefon.

- Więc, czekam na kontakt, tak?

Uściskał jej dłoń, odwrócił się, a ona nagle poczuła, że ma ochotę błagać go, by poświęcił jej trochę więcej czasu, tak jakby sama jego obecność pomagała przewyciężyć koszmar.

Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się śmiesznie, że jest tak samo bezradny jak ona i że nic się nie zmieni, jeśli bez przerwy będą wałkowali temat Ros - tyle tylko, że w takich chwilach czuła się odrobinę pewniej, gdy ktoś dzielił z nią strach.

A może nie chodziło tylko o to?

Po dokonaniu odkrycia w samochodzie Ros, myślała jedynie o tym, żeby spotkać się z Mikeem.

Mogła sama iść na policję, ale nie zrobiła tego - jak wiatr spieszyła do niego.

Dlaczego?

Może chciała z nim porozmawiać nie tylko ze względu na targający ją strach?

Może zwyczajnie pragnęła go zobaczyć?

Ta myśl wstrząsnęła nią do głębi, wzbudziła poczucie winy oraz przerażenie.

Przewiesiła torebkę przez ramię, odwróciła się i ruszyła z powrotem do samochodu.

Mike sprawdził wynik, przeprowadził krótką rozmowę z trenerem gości, po czym wrócił do oglądania meczu.

Jednak nie mógł się na nim skupić.

W umyśle cały czas kotłowały mu się informacje, które przekazała mu Maggie.

Najbardziej podejrzany wydawał mu się fakt, że fotel samochodu Ros był odsunięty.

Zgadzał się z Maggie, że to dziwne, bo sam wiedział, iż Ros ustawiała siedzenie bardzo blisko kierownicy.

Kiedy kilka razy zdarzyło mu się prowadzić jej wóz, musiał odsuwać się i to na znaczną odległość, by pomieścić swoje długie nogi.

A w takim razie, jeśli to nie Ros zaparkowała samochód przed stacją kolejową, to kto to zrobił?

Maggie podejrzewała Brendana, ale jakoś nie leżała mu ta wersja.

Jego pozbawiony wyobraźni, logiczny umysł sprzeciwiał się twierdzeniu, że Brendan po tak długim czasie separacji nagle postanowił zemścić się na byłej żonie.

Jednak była jeszcze apaszka Ros; jeśli rzeczywiście to ta sama, którą Maggie przesłała siostrze na urodziny, wynikałoby z tego, że Brendan kłamał, mówiąc, że nie widział Ros od Świąt Bożego Narodzenia.

Ale nie do końca skłamał, bo przecież przyznał, że widział ją w Clifton z jakimś mężczyzną.

Mike poczuł, jak napinają mu się mięśnie.

Czy to następne kłamstwo czy też prawda?

Jak wspomniała Maggie, Brendan mógł próbować odwrócić od siebie uwagę.

Mimo że ta wiadomość wprawiała go w złość i przygnębienie, raczej wierzył w słowa Brendana.

Na kilka tygodni przed jego wyjazdem na obóz Ros zachowywała się jakoś dziwnie.

Odnosił wrażenie, że nieco się od niego odsunęła, że nie mówiła mu o wszystkim.

Nie chciał się wtedy nad tym zastanawiać i teraz też sprawiało mu to ból, jednak nie mógł z czystym sercem odrzucić podejrzania, iż Ros miała kogoś jeszcze.

Chociaż od dłuższego czasu w głębi jego umysłu czaiła się podobna myśl, w tej chwili uderzyła go z niespodziewaną siłą, uderzyła w jego najczulszy punkt, w męską dumę, a przy okazji otworzyły się stare rany, nie związane z Ros, a z Judy, pierwszą żoną, która porzuciła go dla innego.

Wiele lat ból rozstania czekał, by nim zawładnąć.

Kochał Judy prostą miłością człowieka ufego i nieskomplikowanego.

Wierzył żonie, był jej wierny i nigdy nawet przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że ona nie musi żywić dla niego takich samych uczuć.

Ślepiec, ślepiec, ślepiec.

Tony Finlay był jego najlepszym przyjacielem.

W czasach szkolnych byli nierozłączni, a nawet kiedy życie rzuciło ich w różnych kierunkach, utrzymywali ze sobą bliski kontakt.

Tonyemu także bezgranicznie ufał.

A mimo to, za jego plecami, tych dwoje ludzi miało romans.

Aż pewnego dnia niemalże bez tłumaczenia się, Judy oświadczyła, że zostawia go i odchodzi z Tonym.

Zraniła zarówno jego serce, jak i dumę; przez jakiś czas, załamany i rozgoryczony, myślał, że już nigdy z nikim się nie zwiąże.

Zmienił pracę, wynajął kawalerkę, rozpoczął nowe życie.

A potem spotkał Ros.

Ros była zupełnie inna niż Judy.

W sytuacjach, w których Judy zachowywała się ciepło i z dowcipem, Ros postępowała ostro i z powagą.

Judy nie miała wielkich ambicji i uwielbiała domowe pielesze, natomiast Ros była uosobieniem kobiety sukcesu, całkowicie związanej ze swoją pracą.

Jej niezależność fascynowała go - czuł w jej postępowaniu szczerłość, której brakowało w jego małżeństwie.

Przyciągały ich do siebie odmienne cechy charakteru - Ros lubiała spotykać się z ludźmi, on wolał spokojne życie.

Ros bez przerwy nad czymś pracowała, on mógł siedzieć beczynnie, rozmyślając jedynie o ostatnim meczu rugby.

Mimo to, o dziwo, doskonale się dogadywali, bez zbędnych wysiłków uzupełniając osobowość drugiego, i powoli stawali się sobie coraz bliżsi.

Gdyby zaczął się nad tym zastanawiać, musiałby nazwać to miłością, choć w niczym nie przypominało to uczucia, jakie żywił do Judy.

Bardzo szybko zostali kochankami i praktycznie nie rozstawali się, a jednak nie chcieli, by ich związek przybrał bardziej formalny charakter.

Oboje mieli za sobą nieudane małżeństwa, obydwójce niechętnie myśleli o ponownym zaangażowaniu się.

Lubili swoje towarzystwo, ale cenili też niezależność, która między innymi sprowadzała się do tego, że nadal mieszkali oddzielnie.

W tej chwili jednak, nieco zaskoczony, Mike uzmysłowił sobie, że choć nie chciał się w pełni angażować, to liczył na wierność.

Zazdrość, niepostrzeżenie wkradająca się do jego serca, pozwoliła mu przez moment zrozumieć Brendana.

Zastanawiał się, czy Ros oszukiwała go, tak jak robiła to Judy?

Czy w tej chwili była z innym mężczyzną?

A może jego niemiłe doświadczenia sprawiały, że przesadzał - przecież Ros nigdy nie dała mu wyraźnych podstaw do podejrzeń - jednak informacje przekazane przez Maggie przywołały minione cierpienia i wzbudzały w nim niepewność co do motywów postępowania jej siostry.

Maggie uważała, że sądząc po ustawieniu fotela, samochód prowadził ktoś wysoki.

To nie Ros podjechała pod stację, ale ktoś inny.

Zostawił tam auto, by zmylić ich czujność.

Mike z niechęcią pomyślał o innym wytłumaczeniu, a mianowicie, że towarzysz Ros mógł wyjechać razem z nią.

Brendan twierdzi, że widział Ros w Clifton w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

Może tego samego, z którym jechała samochodem.

Kiedy tylko Maggie przekazała mu te rewelacje, powiązał je ze sobą.

Właśnie dlatego nie chciał, żeby szła z nowymi dowodami na policję.

Spodziewał się, że dojdą natychmiast do tych samych wniosków, a wtedy on wyszedłby na jeszcze większego głupca.

Jeśli Ros porzuciła go, nie chciał, żeby ktoś, a już najmniej policja, dowiedział się, jak bardzo mu jej brak.

Przeklął pod nosem, próbując skoncentrować się na meczu.

Rozdział dziesiąty.

Drew Peters - Browne był w swoim studio przerobionym ze strychu, mieszczącym się na tyłach stodoły, którą wraz z Jayne zaadaptowali na dom.

Malował przez cały dzień i przed godziną stwierdził, że ma dość.

Wyczyścił pędzle, pochował farby - bardzo dbał o narzędzia pracy - następnie włączył kasetę z muzyką heavy metal, otworzył butelkę ciepłego piwa, zrobił sobie skręta z konopi indyjskich i rzucił się na zniszczoną kanapę.

To najlepsza część dnia.

Mógł się zrelaksować, czując satysfakcję płynącą z przeświadczenia, że udało mu się tym razem zrobić więcej niż zazwyczaj, dodatkowo podniecony muzyką i narkotykiem.

Oczywiście zdarzały się gorsze dni.

Czasami praca szła mu tak opornie, że w depresji dochodził do wniosku, iż już nigdy nie namaluje niczego, co nie będzie kupą gówna.

W takich momentach muzyka i używki odnosiły wręcz odwrotny skutek, przypominając mu, że dni jego chwały minęły, a przyszłość rysowała mu się w ponurych kolorach powolnej degeneracji.

Ale nie dzisiaj.

Dzisiaj mu się udało i czuł się z tego powodu wyśmienicie.

Wygodnie ułożył się na kanapie, wymizerowany, w koszuli w kratę i pochlapanych farbą sztruksowych spodniach, z włosami związanymi z tyłu głowy w chudy koński ogon, i rozmyślał o nadchodzącym wieczorze.

Może przejdzie się do wsi i spędzi godzinę w pubie.

Lubił popijać w towarzystwie miejscowych, którzy nazywali go artystą i uważali za nieco ekscentryczną osobę.

Albo pojedzie do miasta i odwiedzi przyjaciół, Cliffa i Davida.

Był świadkiem na ich ślubie.

Przyjechał do nich ze Stanów młody chłopak i Drew bardzo chciał go spotkać.

Rozpatrywał w myśli, na co ma większą ochotę, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że nie jest sam.

- Jayne, kochanie, przeraziłaś mnie na śmierć!

- krzyknął.
- Gdybyś nie puszczał tej muzyki tak głośno, usłyszałbyś, że cię wołałam.

- Może nie chciałem słyszeć - rzucił lekko rozdrażniony.

- Jestem tego pewna.

Tak czy inaczej, czas, żebyś zaczął się przygotowywać.

- Przygotowywać do czego?

- Do przyjęcia u Dinah Marshall.

- O, cholera!

- Tylko nie mów mi, że zapomniałeś!

- Właśnie, że tak.

Zupełnie mi to wyleciało z głowy.

Czy musimy iść?

- Tak, Drew, musimy.

- O cholera - powtórzył.

- To najbardziej nudna zgraja pryków.

Kiedyś im to powiem.

Powinni ożywić te swoje głupie przyjęcia.

Jayne podeszła do kanapy, wyjęła z ręki męża puszkę po piwie i stanęła nad nim z groźną miną.

- Drew, w tej chwili się uspokój.

Idziesz ze mną na przyjęcie do Dinah i będziesz się tam poprawnie zachowywał.

Dzięki tym prykom, jak ich nazywasz, możesz prowadzić życie, do jakiego się przyzwyczaiłeś, i nie zapominaj o tym.

Jeśli będziemy dobrze rozgrywali nasze karty, nigdy niczego nam nie zabraknie.

- Oni obrażają moją artystyczną duszę.

- Czy nie marzyłeś zawsze o domku we Francji albo pałacyku we Włoszech?

Coś ci powiem, z tego twojego malowania nie zarobisz nawet na rozwalającą się szopę!

Tak, kochanie, wiem, że jesteś dobry, ale artystów docenia się dopiero po śmierci, a to dla nas stanowczo za późno.

Więc bądź grzecznym chłopczykiem, weź prysznic, ubierz się ładnie i na kilka następnych godzin głęboko ukryj swoją niechęć do tych starych pryków.

W porządku?

Drew westchnął.

- Pewnie nie mam wyboru.

- Nie, kochanie, nie masz.

- W drzwiach odwróciła się jeszcze i uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Poza tym, jeśli tylko dasz im szansę, mogą okazać się bardziej zabawni, niż ci się wydaje.

- O kogo dokładnie ci chodzi?

Jayne wykrzywiła usta, przypominając sobie popołudniowe spotkanie.

- Nieważne, kochanie.

To bez znaczenia, prawda?

- Prawda - zgodził się szczerze.

Dalej nie rozumiem, Steve, dlaczego zaprosiłeś siostrę Ros - oświadczyła Dinah Marshall.

- Myślałem, że ci to wytłumaczyłem - rzucił lekko.

- Chciała porozmawiać z tobą o Ros.

Ma nadzieję, że może ty wiesz, gdzie jest jej siostra.

- Nie mam pojęcia.

Wiem tyle samo, co wszyscy.

- Zawahała się, a na jej czole pojawiła się niewielka zmarszczka.

- Czy siostra Ros rzeczywiście się o nią martwi?

Chyba nie uważa, że Ros spotkało coś złego?

- Co mogłoby ją spotkać?

- Nie wiem.

Ale to do niej niepodobne, tak się ulotnić.

Muszę przyznać, że sama zaczynam się nieco denerwować...

- Milczała przez jakąś chwilę, po czym dodała: - Mimo wszystko, nie rozumiem, po co ona ma tu przyjść.

Nikogo nie zna.

A jeśli będziemy chcieli porozmawiać o interesach?

Przy niej nie będziemy mogli.

- Wydawało mi się, że doskonale potrafisz zabawiać gości, a poza tym nie znosisz omawiać interesów w trakcie towarzyskich spotkań.

Tak czy inaczej, Jayne przyjdzie razem ze swoim mężem, a on też nikogo nie zna.

Dinah poprawiła róże w wazonie i popryskala goździki, które tworzyły centrum bukietu.

- Niezupełnie.

Jayne jest fanatyczką, jeśli chodzi o modę, i całkowicie oddaną Vandinie.

Musi rozmawiać o tym z Drew.

Przez usta Stevea przemknął nikły uśmiech.

Nie mógł się doczekać wieczoru.

Fakt, że będzie siedział przy jednym stole z mężem kochanki, podnosił mu poziom adrenaliny we krwi.

I będzie tu też siostra Ros.

- Za bardzo się przejmujesz, Dinah - rzucił beztrosko.

- Zrobię ci drinka.

Dżin z tonikiem?

Stała odwrócona do niego plecami, pospiesznie oceniając nakrycie stołu, sprawdzając, czy Joannę, dziewczyna ze wsi, którą wynajmowała do gotowania i przygotowywania przyjęć, zrobiła to jak należy.

Joannę skończyła szkołę kelnerską, ale czasami zapominała o istotnych szczegółach.

Tym razem wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

Dinah poprawiła ciężkie, srebrne sztuce, przesunęła o kilka milimetrów na prawo kryształową szklaneczkę i wygładziła zmarszczkę na lnianej serwecie.

Wyprostowała się i z wdzięcznością odebrała z rąk syna szklaneczkę z alkoholem.

Prawdopodobnie miał rację.

Niepotrzebnie się tak zamartwiała, jednak nie umiała się powstrzymać.

Taką miała naturę - dlatego właśnie Van był dla niej taki dobry; on martwił się za nią.

Teraz stopniowo przejmował tę rolę Steve.

Spojrzała na niego znad szklaneczki, czując, jak jej serce wypełnia się miłością.

Och, jak dobrze jest mieć obok siebie mężczyznę, na którym można polegać, a jeśli na dodatek ten mężczyzna jest synem, którego nigdy miała nie zobaczyć, to całkowity szczyt szczęścia.

Steve jeszcze nie do końca orientował się w sprawach firmy, Zresztą nic dziwnego.

Ten świat całkowicie różnił się od tego, w którym żył dotychczas.

Platforma naftowa i przemysł odzieżowy - nie ma dwóch bardziej odległych sfer.

Ale już teraz bardzo dużo nauczył się o prowadzeniu Vandiny i Dinah była przekonana, że zdoła nauczyć się jeszcze wiele więcej.

Będzie wspaniale, kiedy pozbędzie się części obowiązków i znajdzie czas na ukochane zajęcia - projektowanie i planowanie; przekaże papierkową robotę i zmartwienia związane z akwizycją i dostawcami osobie zaufanej, nie tylko dlatego, że jest to osoba znająca się na rzeczy, ale i członek rodziny.

Wreszcie wróci do szkicowników, próbek materiałów i tekstów reklamowych.

Jakie to doskonałe uczucie, móc nadzorować wdrażanie nowego pomysłu od początku do samego końca, zamiast oddawać go Jayne, chociaż ona jest bardzo kompetentnym pracownikiem.

Będzie miała czas na obmyślanie pomysłów, na tworzenie w ciągu dnia, a nie nocą, jak to się często obecnie zdarzało.

- Poprosiłam Dona, żeby przyszedł nieco wcześniej - odezwała się.

- Muszę porozmawiać z nim na temat finansów.

Don Kennedy pracował w Vandinie jako księgowy i dyrektor finansowy.

Nie było go przez kilka ostatnich dni - przyleciał do Bristolu dopiero tego popołudnia.

- Finanse!

- z naganą wykrzyknął Steve.

- Czy nie można poczekać z tym do jutra?

- Zapomniałeś, że jutro jadę do Londynu?

Zresztą naprawdę nie mogę tego odkładać.

To bardzo pilne.

Muszę ustalić nowy plan, żeby wyrównać straty, jakie powstały przez tę historię z Reubensem.

Steve upił łyk whisky.

- Tak jak mówiłem, za bardzo się przejmujesz.

Nie rozumiem, o co robisz tyle szumu.

Vandina ma tak wysoką pozycję, że z pewnością nie musi obawiać się jakiegoś nowicjusza.

Masz w garści cały luksusowy rynek.

- Tylko dlatego, że nasze produkty są oryginalne.

Oczywiście liczy się też jakość, ale sama w sobie jeszcze nic nie znaczy.

Nasi klienci oczekują, że będziemy ich zaskakiwać, chociaż lubią uważać, że to oni ustanawiają modę.

Chcą, byśmy byli prekursorami, a nie, żebyśmy naśladowali innych.

- Nikogo nie naśladujecie.

- Spróbuj wyjaśnić to handlowcom i wszystkim kupującym, kiedy Reubens przedstawił już swoją kolekcję.

Wiem, że to niesprawiedliwe, ale w interesach rzadko kto kieruje się uczciwością.

Z czasem to zrozumiesz, Steve.

To może być twarda szkoła.

Popatrzył na nią.

Miała podkrążone oczy - pewnie nie spała pół nocy - mimo to dla świata była zawsze tą wspaniałą, odnoszącą sukcesy Dinah - ilu ludzi domyślało się, że za tą maską kryje się całe morze niepewności?

- Jak więc zamierzasz to rozwiązać?

- zapytał, lekko się uśmiechając.

- O tym właśnie chcę porozmawiać z Donem.

- Jakby na zawołanie przed dom zajechał samochód, opony zazgrzytały na żwirze i Dinah wyjrzała przez okno.

- O, już jest.

Pójdziemy do gabinetu.

Steve, bardzo proszę, zajmij się gośćmi, jeśli pojawią się, zanim skończymy.

- Oczywiście.

- Odstawiając drinka, uśmiechnął się do matki.

- Nie martw się, Dinah, jestem tu.

Możesz na mnie polegać.

- Więc o co chodzi, Dinah?

Co się takiego stało, że nie mogłaś poczekać z tym jeszcze kilka dni?

- dopytywał się Don Kennedy.

Don, elegancki, skromny mężczyzna, o niezbyt pociągającym wyglądem, był opoką kierownictwa Vandiny niemalże od samego powstania firmy i nigdy nie pchał się na czoło.

Miał twarz trudną do zapamiętania, spokojną i pospolitą, jego włosy były koloru siana, ciągle zaczesywał je na powiększającą się łysinę na czubku głowy.

Ale niebieskie oczy miały miły wyraz, a policzki były zaróżowione, tak że można było sądzić, że w młodości wyglądał jak srebrzysty cherubinek.

Dinah pospiesznie wprowadziła go do gabinetu, który niegdyś należał do Vana, a teraz przemienił się w jego muzeum.

Wszystko, co znajdowało się w tym pokoju - oryginalne rysunki z "Puncha" zdobiące ściany, meble w kolorze tabakowego brązu i leśnej zieleni, okazałych rozmiarów, zabytkowe krzesło obrotowe - zostało wybrane przez Vana; na wyłożonym skórą biurku stał ciężki, stary kałamarz, a obok leżał srebrny nóż do papieru, jakby czekały na powrót właściciela.

Od jego śmierci nikt nie palił w tym pomieszczeniu cygar, a jednak wydawało się, że w powietrzu nadal unosi się ich słodki aromat.

Poza tym jak i za życia, tak i teraz, Van dominował tu, przyglądając się wszystkiemu z naturalnych rozmiarów portretu, wiszącego nad wiktoriańskim kominkiem.

Don Kennedy spojrział na portret, jak zawsze, kiedy wchodził do tego pokoju, milcząco witając się z człowiekiem, z którym pracował ponad dwadzieścia lat, i pomyślał, jak to możliwe, że za pomocą zwykłych pędzli i farb malarzowi udało się tak wiernie uchwycić podobieństwo, gdyż osobowość portretowanego emanowała z obrazu i nadal oddziaływała na otoczenie, jak za życia.

Czy ja go lubię?

- zastanawiał się Don od czasu do czasu.

Był na tyle uczciwy, że przyznawał, iż uczucie, które żywi do szefa, wiele ma wspólnego z sympatią.

Podziw, owszem.

Od chwili, w której Don poznał Vana, zrozumiał, że ma przed sobą mężczyznę, który wie, czego chce, i z pewnością to osiągnie.

Ten człowiek miał upór i wyobraźnię.

Jego iloraz inteligencji nie mieścił się na skali, chociaż Van przestał się uczyć w wieku lat piętnastu, nie zdobywszy żadnego wykształcenia czy zawodu.

Wymagał podziwu i otrzymywał go.

Szacunek?

Prawdopodobnie też, ale już mniejszy.

Van potrafił być bezlitosny; Don nieraz widział go w akcji i wiedział, że szef nie ma skrupułów, jeśli wytyczył sobie jakiś cel - i nie był wierny żonie.

Ale z drugiej strony, czy nie jest to typowe zachowanie dla przemysłowca, który, by przetrwać w dżungli interesów, nie może pozwolić sobie na współczucie, który potrzebuje asysty młodych i pięknych kobiet, by podbudować własne ego.

Don zdawał sobie sprawę, że najzarliwszym uczuciem, jakie żywił w stosunku do szefa, była zazdrość.

Zazdrość o pozycję, którą sobie wypracował, zazdrość o fortunę, której się dorobił, ale przede wszystkim zazdrość o to, że Van ma Dinah.

Don kochał ją tak długo, jak długo się znali.

Może, rozmyślał, kiedy nachodził go melancholijny nastrój, gdyby Van nie miał tak mocnej osobowości, a on sam mógłby nieco więcej zaoferować, może zdobyłby się na próbę odbicia mu Dinah.

Jednak brakowało mu śmiałości nawet na zrobienie pierwszego kroku.

Czasami, rozzłoszczony niewiernością Vana w stosunku do kobiety, którą on traktował jak boginię, miał ochotę wyjawic swoje uczucia, namówić ją, aby opuściła męża i odeszła z nim, ale rozumiał, że mamił się płónnymi nadziejami.

Dinah idealizowała męża; we władzy Vana nad żoną było coś prawie mistycznego.

Jego śmierć wcale nie przerwała zauroczenia.

Don wiedział, że choć Van już nie żył, Dinah nadal myślała o sobie jako o jego żonie.

Gdyby ktoś starał się do niej zbliżyć, uznałaby takie zachowanie za obrazę pamięci nieżyjącego męża.

Spojrzał na nią teraz, stojącą pod imponującym portretem, szczupłą, nadal piękną kobietę, elegancką, ubraną w skromną czarną

sukienkę, od której odcinały się jasne włosy i która podkreślała jasność cery.

Don rozumiał, że nic nie może zrobić, oprócz tego, co robił zawsze - być przy niej, kiedy tylko go potrzebuje.

Zadzwoiła niecałą godzinę po jego powrocie do domu, jednak nie zawahał się, kiedy go wezwała.

Jakaś sprawa trapiła Dinah, chciała z nim porozmawiać, więc z największą przyjemnością stawiał się u niej.

- I cóż?

- rozpoczął w miarę obojętnym tonem, jaki zawsze przybierał, starając się ukryć uczucia.

- Co takiego poważnego wydarzyło się podczas mojej nieobecności?

Przed wejściem do gabinetu Dinah naląła sobie następną porcję dżinu, a Donowi zaserwowała spory kieliszek z jego ulubionym wytrawnym sherry; nigdy nie pił wódek, nie służyły mu.

Dinah upiła łyk alkoholu, przyglądając się uważnie rozmówcy.

- Reubens.

- Reubens - powtórzył.

- Nasz najnowszy konkurent.

- Tak - potwierdził.

- Słyszałem o nich.

Co przeszkrobali?

Opowiedziała mu.

- Ich kolekcja wygląda niemalże dokładnie tak, jak zaplanowana przeze mnie - kończyła.

- Nie wiadomo, jak to się stało, ale jest to fakt.

Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza.

Nie mogę promować nowej linii, tak jak zamierzałam.

W branży ukrzyżowaliby mnie.

A co gorsza, mogliby mnie zupełnie zignorować.

Musimy coś zrobić, i to szybko.

Don potrząsnął głową.

- Dinah, nie umiem ci pomóc.

Nie mam głowy do pomysłów, chociaż bardzo bym chciał.

- Wiem o tym, Don - rzuciła niecierpliwie.

- Pomysły to moja działka, i wymyśliłam coś.

Ale muszę to z tobą omówić.

Muszę dostać kosztorys oraz twoją zgodę na złożenie kilku dość poważnych zamówień u naszych najlepszych dostawców.

Przez twarz mężczyzny przebiegł lekki uśmiech.

- Czy Vandina kiedykolwiek korzysta z usług złych dostawców?

- Masz rację, nie.

Jednak tym razem chodzi o wielkość zamówień.

Don obrócił kieliszek z sherry w palcach, miękkich, gładkich, o doskonale utrzymanych paznokciach, palcach, należących do człowieka, który nawet jednej godziny w swoim życiu nie przepracował fizycznie.

- Dobrze.

Co to za pomysł?

- Walizki.

- Dinah mówiła, prawie wstrzymując oddech, z wyraźnym podekscytowaniem, które ogarniało ją zawsze, kiedy wpadała w twórczy nastrój.

- Chcę zrobić kolekcję walizek.

Dużych, średnich i małych, aktówki, torby lotnicze i podręczne.

Niektóre oczywiście wykonane będą ze świńskiej skóry.

Vandina z zasady opiera się na skórze, każdy o tym wie, ale chcę też użyć materiałów, które zamierzałam wykorzystać w wiosennej kolekcji, chociażby wzmocniona juta.

W ten sposób nadal pozostają przy torebkach.

Klienci będą mogli je kupować, jednak nacisk pójdzie na kolekcję waliz, w której torebki będą tylko ogniwnem łańcuszka.

Aha, i nie będzie to kolekcja pomyślana jedynie dla kobiet.

Mężczyźni kupują mnóstwo walizek, ale potrzebują też toreb podręcznych, zwłaszcza w czasie podróży.

Zaproponuję przynajmniej jedną kolekcję na tyle męską, że spodoba się nawet panom typu macho, a będzie ona o wiele praktyczniejsza niż te wszystkie torby na dokumenty i aktówki.

Będą miały łatwo dostępne kieszenie na dokumenty podróżne, wyściełaną kieszeń, do której można będzie schować okulary, nie martwiąc się o ich bezpieczeństwo podczas odprawy celnej, oraz specjalną kosmetyczkę na szczoteczki do zębów i tym podobne.

I oczywiście na maszynkę do golenia.

- Zamilkła, by głębiej odetchnąć, upiła dzinu.

- No i co o tym myślisz?

- Myślę, że nieźle się napracowałam!

Kiedy to wszystko wydumałaś?

- Ostatniej nocy.

- Tak po prostu?

- Przyznaję, że nie spałam wiele - oświadczyła trochę nadęsanym głosem.

- Ale i tak by mi się to nie udało, ponieważ za bardzo martwię się tą sprawą z Reubensem.

Położyłam się o zwykłej porze, ale myśli biegały mi po głowie jak oszalałe.

Zastanawiałam się, jak rozwiązać ten diabelski problem.

W końcu wstałam z łóżka, przyszłam tu, do biura, i zrobiłam sobie mocnego drinka.

Z czystym sercem mogę podziękować wytwórni Glendfiddich za natchnienie.

- Podeszła do antycznego biurka i wyciągnęła z szuflady teczkę.

- Tu są wstępne szkice...

- Rzuciła mu kilka arkuszy A3, na których widać było zręczną rękę doświadczonego rysownika.

Tak to widzę, charakterystyczny kształt, charakterystyczne i niespotykane materiały i, oczywiście, logo Vandiny.

No, Don, powiedz coś.

Don Kennedy, jak zwykle w takich momentach, przeczesał dłonią włosy ułożone na łysiejącym czubku głowy.

Powtarzał ten gest zawsze, kiedy był zdenerwowany.

Entuzjazm Dinah wzbudzał jego wzruszenie, niewątpliwie całym sercem zależało mu na pomyślności firmy, jednakże talent tej kobiety przerażał go.

Z zasady starał się postępować ostrożnie, co pomagało mu utrzymać finanse Vandiny na równym poziomie, i choć doskonale rozumiał, że nie istniałyby żadne finanse bez twórczych wizji Dinah, to każdy jej nowy pomysł, każda nowa propozycja budziła w nim lęk.

W dawnych czasach odpowiadał tylko za przypilnowanie, by Dinah miała pieniądze na realizowanie swoich koncepcji.

Van pilnował reszty spraw oraz stopował bardziej ekstrawaganckie zamierzenia żony.

Don nie miał pojęcia, czy i jak często zdarzało się to szefowi - nie zwierzali się z tego nikomu.

Obecnie to Don został arbitrem, a nie czuł się kompetentny do wyrażania swojego zdania w dziedzinie, na której się nie znał.

- To nie będzie tanie - ocenił.

- Nie mamy jeszcze planu finansowego na ten rok.

- Ale przecież stać nas na zakupy.

To chyba oczywiste!

Nie jesteśmy fabryczką jakichś szmatek.

Mówimy o Vandinie, na Boga!

- To prawda, ale nie możemy mieć na półrocze złych wyników.

- Don, robię to wszystko z myślą o naszej reputacji.

Jeśli ją stracimy, będziesz musiał zacząć martwić się nie tylko o plan półroczny, ale także całoroczny.

Ten pomysł wypali.

Wiem to!

- Omawiałś go jeszcze z kimś?

- Ty jesteś pierwszy.

Nie mówiłam o nim nawet Steveowi.

Najpierw chciałam uzyskać twoją zgodę z finansowego punktu widzenia.

Teraz, kiedy już ją mam, zacznę wszystko rozkręcać.

- Dinah, nie powiedziałem, że całkowicie się z tobą zgadzam.

- Ale zgodzisz się.

Na pewno!

- Wydaje mi się, że powinnaś porozmawiać z kimś, kto lepiej niż ja zna rynek.

- Zrobię to, przyrzekam.

Wprawdzie nie jutro, bo jak wiesz, jadę do Londynu, ale w następnych dniach wrzucę te szkice na komputer.

Chcę sprawdzić zużycie materiałów.

Ale jestem przekonana, że to będzie hit.

Chyba w rezultacie powinnam podziękować Reubensowi, bo zmusił mnie do przemyślenia tematu!

Don pokręcił głową.

Dobrze widzieć Dinah tryskającą energią, jednak zawodowa ostrożność przeszkadzała mu w poddaniu się jej entuzjazmowi.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, Dinah, ale to się dopiero okaże.

Twarz kobiety lekko przygasła.

- Mógłbyś wykazać trochę więcej zapału!
- Powtarzam ci, Dinah, nie znam się na rynku.
- Ale pomysł ci się podoba?
- Nie wiem.

Chciałbym wiedzieć, ale szczerze mówię, że nie mam pojęcia.

Martwię się tylko o to, żebyśmy nie zostali z magazynami przepełnionymi drogim towarem, którego nie możemy sprzedać.

Poza tym nie zachwyca mnie koncepcja torebek dla mężczyzn.

I natychmiast pożałował tych słów.

Pięknie ukształtowane brwi Dinah złączyły się, mała kryza pojawiła się na jej czole, usta opadły, tak że przez chwilę wyglądało, iż zaraz się rozpłacze.

Don widywał ją już taką.

Potrafiła błyskawicznie przeskoczyć z nieziemskiego uniesienia do całkowitego zniechęcenia, które miała jakby wrodzone.

Dla pracowników i przedstawicieli związków mogła uchodzić za osobę bardzo pewną siebie; ci, którzy znali ją bliżej, wiedzieli, że jest odwrotnie.

W sytuacjach, kiedy ktoś krytykował jej pomysły, kurczyła się jak przekłuty balon.

Brakowało jej wiary w siebie, i było to widoczne.

W tej chwili, pomyślał, ogarnięty czułością, przypomina dziecko, które desperacko szuka akceptacji.

Z całego serca pragnął ją wesprzeć, ale nie mógł.

Co dobrego wynikłoby z faktu, że przyznałby, iż jej pomysł jest wyśmienity, kiedy nie wiedział, czy tak jest naprawdę?

W duchu przeklinał siebie za to, że ją zawiódł.

Van znalazłby odpowiedź.

Van powiedziałby tak albo nie i ze swoim niesamowitym instynktem do udanych przedsięwzięć z pewnością dokonałby właściwego wyboru.

Przygaszony Don rozpaczał w duchu, że nie jest w stanie zastąpić Vana ani w firmie, ani w sercu Dinah.

Ponownie spojrzął na władczy portret, jakby szukał odpowiedzi.

Jednak wyraz tych płonących witalnością i energią oczu nic mu nie mówił.

Van nie zamierzał przesłać mu wiadomości zza grobu.

Rozdział jedenasty.

Samochód, który Steve posłał po Maggie - Mercedes z szoferem - przyjechał równo o siódmej.

Maggie czekała, całkowicie gotowa, przechadzając się nerwowo, paląc papierosa, niepokojąc się, jak potoczy się wieczór.

Zupełnie nie miała ochoty na to przyjęcie, na nieznanym ludzi, którzy mogą się do niej odnieść z niechęcią, poza tym nie wiedziała, w co się ubrać.

Nie miała pojęcia, jaki styl panuje na przyjęciach u Dinah.

Ostatecznie zdecydowała się na długą marynarkę, obcisłe, proste spodnie w spokojnym kolorze i kremowy stanik z jedwabiu.

Miała nadzieję, że nie prezentuje się zbyt oficjalnie ani też zbyt swobodnie.

Jednak nadal czuła się niepewnie, gorąco żałując, że przyjęła to niespodziewane zaproszenie Stevea.

W normalnych okolicznościach nawet nie śniłoby jej się to, ale te okoliczności nie były normalne, i czuła, że musi wykorzystać każdą sposobność, by zebrać jak najwięcej informacji, które dałyby jej jakieś wskazówki co do miejsca pobytu Ros.

Mówiąc szczerze, coraz bardziej utwierdzała się w przeświadczeniu, że zniknięcie siostry nie ma nic wspólnego z jej miejscem pracy ani z "dziwnymi" sprawami dziejącymi się w Vandinie, lecz raczej jest związane z Brendanem.

Kiedy Mercedes skręcał na drogę, prowadzącą do Luscombe Manor, wiejskiej posiadłości Dinah, Maggie rozglądała się z zainteresowaniem.

Widziała ogrodzone siatką pastwiska, a między nimi zielone pola, skromny, ale przyjemnie wyglądający domek i wreszcie szeroki okrągły podjazd przed głównym domem.

Budowla nie miała jakiegoś konkretnego kształtu - przypominała ogromny wiejski dom - ale miała świeżo wykończoną kamienną fasadę, a poza tym różniła się od wiejskiego domu niewymuszoną elegancją.

Gdy kierowca wysiadł z samochodu i obszedł go, by pomóc Maggie wysiąść, frontowe drzwi otworzyły się i stanął w nich Steve.

Był w białej koszuli i jasnych spodniach.

Maggie ucieszyła się, że utrafiła ze swoim strojem.

- Maggie, miło, że przyjechałaś.

- Witał ją bez skrepowania, serdecznie.

Słabo wyczuwalny amerykański akcent, na który już wcześniej zwróciła uwagę, dodawał jego słowom uroku.

- Proszę, wejdz.

Wszyscy już są.

Wprowadził ją do holu, którego podłoga wyłożona kamiennymi płytami ponownie wywołała u niej skojarzenia z wiejskim domem.

Ale na tym wszelkie podobieństwa się kończyły, ponieważ reszta umeblowania korytarza składała się z antycznego ciężkiego wieszaka oraz serwantki z polerowanego mahoni.

Na niej stał wazon z maciejką, a na podłodze drugi, z ogromną kompozycją z suszonych kwiatów.

Obok zauważyła parę zielonych kaloszy oraz komplet kijów do golfa, opartych o drzwi, a także stojak z dwoma wielkimi parasolami w pasy i kilkoma czarnymi, męskimi.

Przedmioty te nadawały miejscu domowego charakteru i Maggie poczuła się trochę bardziej swojsko.

Spodziewała się przepychu, ale widocznie Dinah i jej syn naprawdę w tym domu po prostu mieszkali.

Zza zamkniętych drzwi po prawej dochodziły głosy, jednak Steve poprowadził Maggie dalej, do przytulnego pokoju gościnnego.

Tu także zaskoczyło ją skromne wnętrze, ale z drugiej strony uznała, że nie ma w tym nic dziwnego.

W końcu Vandina posługiwała się sloganem "Bliżej natury", a to jest dom jego pomysłodawczyni.

Mimo to zdawało jej się, że znajdzie tu przepych, chętnie opisywany przez znane magazyny poświęcone wystrojowi wnętrz, a nie ten perkalowy pokój wykończony wikliną i sosną, z miękkimi sofami i krzesłami, na których zachęcająco pięły się poduszeczki.

Na jednym z nich, niedbale rozparty, siedział jakiś mężczyzna.

Długie nogi w jasnoczerwonych spodniach wyciągnął daleko przed siebie.

Maggie pomyślała, że jest młody, lecz po chwili, nieco zaskoczona, stwierdziła, że pomyliła się.

Zwiodły ją długie włosy spięte z tyłu głowy oraz jaskrawa odzież.

Po przyjrzeniu się zobaczyła na nieco zaczerwienionej twarzy mężczyzny wyraźne bruzdy, biegnące od nosa do kącików ust, głęboko podkrążone oczy oraz niemalże niebieskie punkty pod skórą, gdzie kości wypychały policzki.

Trochę zmieszana pospiesznie przeniosła wzrok na drugą obecną w pokoju osobę - imponującą rudowłosą kobietę, ubraną w szokująco różowy strój.

Kiedy Maggie weszła do środka, nieznajoma odeszła od półki z książkami, których tytuły przeglądała prawie mechanicznie, i nieco oziębło uśmiechnęła się do nowego gościa.

- Maggie, przedstawiam ci Jayne i Drewa - odezwał się Steve.

- Jayne pracuje w Vandinie jako projektantka, a Drew jest...

- Zawodowym nierobem - przerwał mu mężczyzna o czerwonej twarzy.

Mówił nonszalancko, zadziwiająco poprawną angielszczyzną.

Na pewno szkoła prywatna, oszacowała Maggie, Marlborough albo Clifton Collage, może nawet Eton lub Rugby.

- Drew się wygłupia - szybko skomentował Steve.

- Jest w rzeczywistości doskonałym artystą.

Drew, Jayne, poznajcie Maggie, siostrę Ros.

Czyjej się wydawało, czy w istocie wyczuła zmianę nastrojów?

Nie, to śmieszne, na pewno jej się zdawało.

Przecież musieli wiedzieć, że jest zaproszona?

Jednak Jayne jakby zeszywniała, w jej zielonych oczach pojawił się ostry błysk, a karminowe usta wykrzywiły się lekko, ale niekoniecznie w uśmiechu.

- Siostra Ros!

To dopiero!

- Przeszła kilka kroków, stukając wysokimi obcasami.

Obróciła szklaneczkę z alkoholem w palcach o szkarłatnych paznokciach, tak jakoś zmysłowo.

- Maggie mieszka na Korfu - dodał Steve.

- Okolice Geralda Durrella - leniwie zaznaczył Drew.

- Nie do końca.

Mieszkam w pobliżu Kassiope.

- To i tak blisko.

- Maggie, czego się napijesz?

- zapytał Steve.

- Dżin z tonikiem?

Sherry?

Wino?

Czy coś innego?

Maggie popatrzyła na baterię butelek ustawionych na sosnowym stoliczku.

- Poproszę o Campari.

- Oczywiście.

Z lodem i wodą sodową?

- Tak.

- I z pomarańczą?

- Wspaniale.

Wie, jak robić drinki, pomyślała.

Wielu ludzi psuje Campari, dodając do niego cytrynę zamiast pomarańczy.

Przyglądała się, jak zręcznie przygotowuje drinka, zupełnie jak zawodowy barman, choć czuł na sobie wzrok Jayne.

- A więc, co sprowadza panią do Anglii?

- zainteresował się Drew.

- Gdybym mieszkał na Korfu, nie ruszałbym się stamtąd.

Maggie zawahała się.

Musiała dowiedzieć się czegoś o Ros, ale rozpoczynanie rozmowy na ten temat zaraz na samym początku wydawało jej się nie na miejscu.

Steve, niosąc drinka, jakby wyczuł jej wahanie, więc odpowiedział za nią.

- Maggie przyjechała odwiedzić Ros.

Problem polega na tym, że ona gdzieś się zapodziała.

- Podał Maggie drinka, wymieniając z nią niemal konspiracyjne spojrzenie.

Odebrała szklaneczkę, z przyjemnością zanurzyła wargi w lekko goryczkowym napoju o doskonale zachowanych proporcjach.

- A to kłopot - skomentowała Jayne jedwabistym głosem.

- To prawda.

- Maggie znowu się zawahała.

Nie wiedziała, czy już wypada jej zaczynać rozmowę o siostrze.

Jednak za drzwiami odezwał się głos, co znów wyrwało ją z opresji.

- Dzień dobry wszystkim.

Przykro mi, że nie mogłam was przywitać.

Maggie odwróciła się i ujrzała szczupłą kobietę o srebrzystych włosach, ubraną na czarno.

U jej boku stał mężczyzna o różowej twarzy, wzrostu swojej towarzyszki, przerzedzone włosy miał starannie zaczesane na świecącej różowej łysinie.

Strój obojga był bardziej elegancki niż reszty gości, chociaż prosta czarna sukienka gospodyni nadawałaby się na każdą okoliczność, a ciemny garnitur mężczyzny nie różnił się pewnie od tych, które zakładał do pracy.

- Dinah!

Zastanawialiśmy się, gdzie jesteś!

- odezwała się Jayne, całując ją raczej w teatralnym stylu w oba policzki.

- Musiałam omówić z Donem pewną sprawę.

Nie chciałam was nudzić.

- Nic z tych rzeczy.

Spytaj się Drewa, że jem, piję i śpię, myśląc o pracy.

A więc, o co chodzi?

- Nie, Jayne, nie teraz.

- Ale później tak - dodał Don Kennedy.

Stoi za plecami Dinah jak królewski giermek, pomyślała Maggie przelotnie.

- Dinah wpadła na nowy pomysł i testowała go na mnie - wyjaśnił.

Ale ja nie jestem ekspertem w tej dziedzinie.

Ty, Jayne, masz o wiele lepsze kwalifikacje.

- Jaki pomysł?

- Coś na przewycięzenie kłopotów z Reubensem - wyjaśniła gospodyni.

Ale jestem pewna, że Maggie nie spodoba się nasza rozmowa o interesach.

Maggie, prawda?

Jestem Dinah.

Mówiła uprzejmym tonem, ale Maggie wyczuła w jej zachowaniu pewną sztywność.

- Cieszę się, że mogę panią poznać.

Mam tylko nadzieję, że nie narzucam się.

- Ależ w żadnym wypadku.

Każdy gość zaproszony przez Stevea jest tu bardziej niż mile widziany.

Mimo tych słów Maggie nadal miała wrażenie, że kobieta traktuje ją z dystansem, poza tym uznała ją za gościa syna, a nie siostrę Ros.

- Czy mogę przedstawić pani Donalda Kennedyego?

- ciągnęła Dinah, wskazując na mężczyznę u jej boku.

- Don zajmuje się finansami Vandiny, ale jest też jednym z moich najstarszych przyjaciół.

- Na twoim miejscu, Don, nie zniósłbym, gdyby ktoś przedstawiał mnie w ten sposób - rzucił Steve.

- Och, nie przeszkadza mi to.

Bo niby dlaczego miałyby przeszkadzać.

- Wydaje mi się, że taktowniej brzmiałoby najdroższy przyjaciel.

Najstarszy przywodzi na myśl starcze zdziecinnienie.

Don nieznacznie poczerwieniał.

Nie ma poczucia humoru, pomyślała Maggie.

Usłyszała złośliwy chichot Drewa i poczuła do niego niechęć.

To był człowiek, który cieszył się z zakłopotania innych.

- Może pójdziemy teraz coś zjeść - zaproponowała gospodyni.

Poprowadziła ich przez korytarz do jadalni o wystroju przypominającym styl bawialni, z meblami z trzciny, nie tak wyszukanymi i eleganckimi, jak się tego spodziewała Maggie.

Zasłony, nadal rozsunięte i odsłaniające wiejski krajobraz za oknem, zrobione były z perkalu w spłowiałych odcieniach błękitu i zieleni, ten sam materiał pokrywał sofę i poduszki na krzesłach.

Na szklanym blacie stołu stały jaskrawe naczynia o prostych kształtach, karafki z winem i z wodą i koszyk z włoskimi bułeczkami.

- Maggie, usiądziesz obok mnie - zaproponował Steve, odsuwając dla niej krzesło.

- To raczej dziwne, prawda?

- wolno wycedził Drew, siadając po jej prawej ręce.

- Na tym miejscu zazwyczaj siada Ros.

Dzisiaj, zamiast niej, mamy przyjemność posilać się w towarzystwie jej siostry.

Nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy.

Przerwał ją Steve: - To bardzo czarujące towarzystwo.

Maggie przypadkowo uniosła wzrok i zobaczyła na twarzy Jayne, która siedziała na wprost niej, bezgraniczną niechęć.

Czy skierowana była do niej, czy raczej wywołała ją wzmianka o Ros?

Nie powinnam była tu przychodzić, doszła do wniosku Maggie, kiedy ładna, ale niezbyt przyjemna dziewczyna podawała im gazpacho.

Należało stanowczo zażądać widzenia się z Dinah w biurze i utrzymać całą sprawę poszukiwań na oficjalnym gruncie.

Tutaj nic się nie dowie o zaginięciu Ros.

Wyglądało na to, że niepotrzebnie straci czas.

Niepokój trawił ją przez cały czas w trakcie kolacji.

Kiedy podano deser - smakowity mus morelowy z grubą warstwą kremu i malutkimi, chrupiącymi bezami - zaczęła się zastanawiać, czy za poczuciem zakłopotania nie kryło się coś więcej niż tylko fakt, że nikogo tu nie zna.

Reszta towarzystwa także nie wyglądała na rozluźnioną.

Atmosfera wydawała się niemalże sztuczna, tym bardziej że były tu osoby pracujące ze sobą i prawdopodobnie zaprzyjaźnione.

Drew trzymał się na uboczu, potwierdzając pierwsze wrażenie, jakie wywarł na Maggie.

Był typem obserwatora, który robi sobie żarty kosztem innych.

Don Kennedy nie odzywał się wiele, jakby o czymś myślał.

Dinah, choć prowadziła ożywioną rozmowę, wyglądała na spiętą.

Steve natomiast...

Ponieważ siedział obok niej, zrozumiałe, że zwracał się głównie do niej i kiedy rozmowa schodziła na tematy, o których mało wiedziała, jako dobry gospodarz starał się włączyć ją do konwersacji.

Jednak Maggie instynktownie czuła, że robi to nie tylko z czystej gościnności.

Nie umknęły jej szybkie spojrzenia, które rzucał w stronę Jayne, i zastanawiała się, czy nie poświęca jej tak wiele uwagi właśnie ze względu na tamtą kobietę.

Podjęcie potwierdzały reakcje Jayne; zauważyła umizgi Stevea i wyraźnie nie przypadło jej to do gustu.

Wybuchala często zbyt głośnym śmiechem, jednak twarz miała spięta, a oczy rzucały żelazne błyski, kiedy jej wzrok spoczywał na Maggie.

Czy chodziło jedynie o to, że lubiła znajdować się w centrum zainteresowania, czy jeszcze o coś?

Trudno było wyrobić sobie zdanie o takiej kobiecie jak Jayne.

Kiedy skończyli, Dinah poprosiła dziewczynę o różanych policzkach, żeby podała im kawę do bawialni.

Wychodząc odciągnęła Maggie na bok.

- Pewnie myślisz, że jestem bardzo nieuprzejma - powiedziała z uśmiechem, który znacznie odmłodził jej twarz.

- Prawie nie miałam czasu, żeby z tobą porozmawiać.

Maggie lekko się zaczerwieniła, zastanawiając się, czy Dinah czyta jej w myślach.

- Ma pani też innych gości - rzuciła pośpiesznie.

- A Steve wspaniale dotrzymywał mi towarzystwa.

- Tak.

- Uśmiech znowu załśnił na ustach Dinah.

- Zauważyłam.

Ale syn mówił, że chciałaś porozmawiać o Ros.

Nie wiem, czy umiem ci pomóc, mimo to zrobię co w mojej mocy.

Jak rozumiem, martwisz się o nią?

- I to bardzo.

Nikt nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie ona jest.

Myślałam, że może pani coś mówiła.

- Niestety, nie.

- Nie wspominała nic o swoich planach?

- Nic.

Szczerze mówiąc, jestem zdziwiona jej zachowaniem.

Od śmierci męża jest moją podporą.

Takie postępowanie zupełnie nie jest w jej stylu, zwłaszcza że przecież zdaje sobie sprawę, jak wiele pracy mamy teraz w firmie.

Nie mieści mi się w głowie, że wyjechała bez słowa, nie informując nas nawet o terminie powrotu.

Dinah wyglądała na szczerze zdziwioną i niepokój Maggie tym bardziej pogłębił się.

Podczas kolacji prawie zapomniała o tym, że Ros mogło spotkać coś złego.

W tej chwili Maggie znowu poczuła niemiły ucisk w żołądku.

- Czy to możliwe, że wyjechała...
z kimś?

- zapytała.

- To znaczy, wiem, że ma przyjaciela, Mikea Thompsona, ale zastanawiam się, czy spotyka się z kimś jeszcze, jakiś romans, może z jakimś żonatym mężczyzną albo...

no nie wiem.

- Nie - rzuciła Dinah.

Jej odpowiedź była krótka i bardzo stanowcza, nawet zbyt szybka i stanowcza.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Więc w Vandinie nie krążyły żadne tego typu plotki?

- nalegała Maggie.

- Ja żadnych nie słyszałam.

Nie, jestem pewna.

- Rozumiem.

- Maggie zawahała się.

- Jest jeszcze jedna sprawa.

Ros wspominała, że w firmie dzieje się coś dziwnego.

Nie wie pani, co mogła mieć na myśli?

Dinah zmarszczyła brwi.

- Coś dziwnego?

Co chce pani przez to powiedzieć, na Boga?

- Nie wiem.

- Maggie znowu się zawahała; przyrzekła Liz, że nie powie Dinah o podejrzeniach Ros, ale trudno!

Bardzo ładnie, że pracownicy Dinah pragną oszczędzić jej zmartwień, jednak dla niej najważniejsze jest dowiedzieć się, co spotkało Ros.

- Nie wiem dokładnie, co siostra miała na myśli - wytłumaczyła.

- Ale wydaje mi się, że podejrzewała, że do firmy wkradł się szpieg przemysłowy.

Dinah zareagowała natychmiast.

Pobladła i złapała się za gardło.

- Och, mój Boże.

- Przykro mi - stwierdziła Maggie.

- Nie zamierzałam pani przerazić, jednak ta informacja wydawała mi się istotna.

Dinah nerwowo przesuwiała złoty łańcuszek wiszący na jej szyi.

- Nie jestem tak całkowicie zaskoczona, raczej potwierdziły się moje podejrzenia, choć miałam nadzieję, że są nieprawdziwe.

Maggie poczuła mrowienie, które z ramion przebiegło aż do opuszków palców.

- To znaczy, że Ros mogła mieć rację?

- Niestety, chyba tak.

Doszło do pewnego zbiegu okoliczności, inna firma podała do prasy informacje dotyczące wiosennej kolekcji bardzo przypominającej tę, którą ja zaprojektowałam.

Dlatego też podejrzewałam jakiś przeciek.

Próbowałam przetłumaczyć sobie, że to tylko zbieg okoliczności, mózgi projektantów podłączyły się do tej samej fali, to się zdarza.

Ale jeśli Ros mówiła o wtyczce...

Kiedy do tego doszła?

- Dokładnie nie wiem.

- Ale przed jej wyjazdem...

- Tak.

- I zanim my zorientowaliśmy się, że Reubens kopiuje nasze wzory.

O Boże, to straszne!

Pomyśleć, że w Vandinie jest ktoś, kto pracuje dla Reubensa...

- Dinah zaczynała mówić piskliwym głosem.

Jest na krawędzi hysterii, pomyślała Maggie.

Jednak nie mogła się teraz zatrzymać, zwłaszcza że obie doszły do wniosku, iż Ros prawdopodobnie miała rację.

- Proszę posłuchać, to może zabrzmieć melodramatycznie - zaczęła - ale, czy możliwe, że oni są niebezpieczni?

- Niebezpieczni?

Szpiegostwo to bardzo poważna sprawa.

On...

albo ona, może doprowadzić do upadku firmy.

- Nie myślałam o firmie.

Chodzi mi o przemoc, fizyczną przemoc.

Założmy, że Ros odkryła, kto jest szpiegiem.

Może oni...?

Nie dokończyła pytania, bo w drzwiach pojawił się Steve.

- Dinah, kawa już prawie wystygła...

- Przerwał, zauważywszy ich pobladłe i napięte twarze.

- Co tu się dzieje?

- Steve, Ros podejrzewała podobno, że w Vandinie jest szpieg.

Szpieg przemysłowy, rozumiesz?

Mężczyzna uniósł brwi.

- Całkowicie logiczny wniosek biorąc pod uwagę tę sprawę z Reubensem.

- Ja do takiego nie doszłam.

- Bo nie chciałaś.

- Oczywiście, że nie chciałam!

Nie mogę znieść myśli, że ktoś, kto z nami pracuje i komu ufamy, robi coś tak ohydneho...

- Nie załamuj się, Dinah.

- Objął matkę.

- Nie dzisiaj.

Nie teraz, kiedy w salonie czekają na ciebie goście.

Porozmawiamy o tym jutro.

- Ale...

- Jutro.

- Spojrzał na Maggie.

- Chodźcie napić się kawy.

Ciągle obejmując Dinah, wprowadził je do pokoju.

Goście nie byli zajęci rozmową, przypuszczalnie słuchali, co się dzieje.

- Dinah, dobrze się czujesz?

- Don podniósł się, widząc, że jest zmartwiona.

- Niezupełnie, Don.

Zdaje się, że ktoś w Vandinie pracuje dla Reubensa.

Ten ktoś przekazał im plany wiosennej kolekcji.

Nastąpiła krótka cisza, przzerwana jedynie chichotem Drewa.

- Dinah!

- odezwał się Steve z naganą w głosie, ale matka zignorowała go.

- Jestem bardzo zmartwiona.

Nie wiem, co robić.

- Powiedziałem jej, że dzisiaj nic już na to nie poradzimy - wtrącił się Steve.

- Jutro weźmiemy się za dochodzenie.

Sam się tym zajmę.

Nie przejmuj się, Dinah.

Jeśli to prawda, dojdziemy do samego sedna.

- A na razie dobrze ukryj swoje nowe szkice - poradził Don.

- Co to za szkice, Dinah?

- zapytała Jayne z ostrym wyrazem oczu.

- Dinah wymyśliła coś w zastępstwie kolekcji, którą skopiował Reubens, cały zestaw walizek, w którym torebki będą tylko jednym z ogniów.

- Pragnąc pocieszyć gospodynię, Don wyraźnie zapomniał o swoich wątpliwościach.

- Jeśli jednak rzeczywiście w firmie jest szpieg, lepiej przez jakiś czas nie wspominać nikomu o nowych planach.

Nie możemy pozwolić, żeby te też nam ukradli.

- Nie odważą się - z przekonaniem stwierdził Steve.

- Walizki to zbyt duża inwestycja jak dla nich.

- Skąd to wiesz?

- Popytałem trochę.

Oni nic nie mają i chcą wejść na rynek po naszych plecach.

Jednak wątpię, czy posiadają takie moce jak my, przynajmniej teraz.

Drew ponownie zachichotał.

Wyglądało na to, że cała sprawa niezwykle go bawiła.

Jayne uciszyła go wściekłym spojrzeniem.

- Jak chcesz odkryć, kto jest szpiegiem?

- zapytał Don.

- Musimy szybko się upewnić, czy nasze plany są bezpieczne.

- Są na to sposoby.

- Steve nie dał się wciągnąć w szczegółowe rozważania.

Podał filiżankę kawy najpierw Maggie, następnie Dinah.

- Po pierwsze należy sprawdzić wiarygodność wszystkich pracowników, którzy niedawno się u nas zatrudnili.

Wszystkich, którzy mają dostęp do szkiców.

Jeśli to nie da żadnych wyników, zastawię pułapkę.

- Zupełnie jak w filmach z Jamesem Bondem - zakpił Drew.

- Co to będzie za pułapka, Steve?
- Myślę, że szczegóły zachowam dla siebie.
- To znaczy, że nie masz jeszcze pojęcia, jak to przeprowadzić.
A tak przy okazji, stary, kto sprawdzi twoją wiarygodność?
Ty też niedawno pojawiłeś się na scenie, no nie?

- Drew, to nie jest temat do żartów!

- zdenerwował się Don.

Steve jedynie wspaniałomyślnie wzruszył ramionami.

- Masz całkowitą rację, Drew.

Mnie też należy sprawdzić.

Choć trudno wyobrazić sobie, żeby zależało mi na oszukiwaniu firmy własnej matki.

Jeśli nadal masz wątpliwości, powiem ci, że możliwości nawiązania kontaktów ze światem mody, kiedy pracuje się na platformie wiertniczej, są raczej zerowe.

- Twoja uwaga, Drew, była bardzo nie na miejscu - odezwała się Dinah.

Powstrzymywała łzy.

- Zresztą cała ta sprawa jest obrzydliwa.

Pracownicy Vandiny są dla mnie jak rodzina.

Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, że ktoś zrobił coś tak ohydneho.

- Mnie się to wydaje oczywiste - rzuciła Jayne.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę.

Przysiadła na jednym z miękkich krzeseł, z gracją krzyżując przed sobą długie nogi.

Uśmiechała się, wodząc po twarzach, jakby napawała się ciekawością obecnych.

- Kto?

- ostro zapytała Dinah.

Jayne odstawiła pustą filiżankę po kawie na niski trzcinowy stolik, po czym leniwie się wyprostowała.

- Oczywiście Ros.

Zapadła cisza pełna zaskoczenia.

Potem, jak echo, Dinah powtórzyła: - Ros!

- Ros.

Nie uważacie, że jest najlepszą kandydatką na szpiega?

Znała wszystkie tajemnice, miała odpowiednie kontakty, i zniknęła!

Maggie zaczęła trząść się z zaskoczenia i wściekłości.

- Jak może pani coś takiego sugerować!

- wybuchnęła.

- To Ros jako pierwsza nabrała podejrzeń, że w Vandinie jest szpieg!

- Wiemy to tylko z pani ust.

- I sekretarki Dinah.

Proszę ją zapytać, jeśli mi nie wierzycie.

- A więc Liz też jest w to wmieszana.

- Jayne zmrużyła oczy.

- Ale z drugiej strony, może Ros starała się o alibi.

Zdawała sobie sprawę, że szpiegostwo wyjdzie na jaw, kiedy Reubens przedstawi swoją kolekcję.

Nie mogła lepiej się ubezpieczyć, niż jako pierwsza powiadomić o podejrzeniach.

Dinah była coraz bardziej załamana.

- Nie wierzę, żeby Ros...

Jayne wzruszyła ramionami.

- Nieważne, Dinah, w co chcesz wierzyć.

I powtarzam: - gdzie jest teraz Ros?

- Zaginęła!

- zawołała Maggie.

- Dokładnie.

A pani jest tutaj.

Dlaczego?

Przyszła pani przejąć jej obowiązki?

Maggie popatrzyła na jej atrakcyjną twarz, nie potrafiąc znaleźć słów na te jadowite sugestie.

Steve wtrącił się pospiesznie.

- Wydaje mi się, że cała sprawa za bardzo wymyka nam się spod kontroli.

Proponuję zmienić temat.

Te spekulacje zaprowadzą nas w tej chwili donikąd.

Jak powiedziałem, od jutra zaczynam śledztwo, ale dopóki go nie zakończymy, myślę, że ta rozmowa powinna pozostać między nami.

A teraz, co powiecie państwo na grę w szarady?

- Jaki wspaniały pomysł!

- wymamrotał Drew.

Bawiła go ta scena; tak przypuszczalnie bawili się starożytni Rzymianie, oglądając śmiertelne potyczki gladiatorów na arenie.

Reszta towarzystwa jednak nie miała ochoty na żadne gry.

- Na mnie nie liczcie - rzucił Don stanowczo.

Dinah, ciągle bawiąc się łańcuszkiem na szyi, w ogóle się nie odezwała.

- Myślę, że powinnam już wracać - powiedziała Maggie.

Nadal targała nią wściekłość, poza tym ponownie zaczął dokuczać jej ból głowy.

- Czy mogę zadzwonić po taksówkę?

Dinah, stojąc w bezruchu, zdawała się nie słyszeć niczego, ale Steve uśmiechnął się czarująco, jakby nic się nie stało.

- Nic z tych rzeczy.

Zwolniłem już Richardsa, ale sam panią odwiozę.

Jest pani moim gościem.

Wyprowadził Maggie do holu, lekko obejmując ją w talii, i ostatnią rzeczą, którą zarejestrowała wychodząc, był wzrok Jayne, teraz już otwarcie wrogi.

Proszę zbytnio nie brać sobie do serca zachowania Jayne - powiedział Steve, kiedy wsiadali do jego Jaguara.

- Ona uwielbia robić zamieszanie.

- Zauważyłam - rzuciła Maggie.

- Jednak nie powinna była mówić takich rzeczy.

Mężczyzna zakręcił na podjeździe i spojrzał na pasażerkę.

- Dlaczego powiedziała pani matce o szpiegu w firmie?

- Przypadkowo.

Przypuszczalnie źle zrobiłam i bardzo mi przykro, jeśli ją zaniepokoiłam...

- Gdyby bliżej znała pani Dinah, wiedziałaby pani, że niezbyt radzi sobie z rzeczywistością.

- Woli zamykać się w świecie marzeń, w którym "Bliżej natury" znaczy luksus.

Maggie nie skomentowała jego wypowiedzi.

Nie miała ochoty wdawać się w dyskusję na temat kłopotów, które nie pozwalają Dinah na zajęcie się jedynie pracą twórczą.

- W tym momencie najbardziej interesuje mnie to, co stało się z Ros - stwierdziła.

- Jest moją siostrą i bardzo się o nią martwię.

- Proszę mi wybaczyć.

- Wyciągnął papierosa z paczki leżącej w schowku i przypalił go zapalniczką samochodową.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie rozumiem, dlaczego uważa pani, że coś się jej stało.

- Jest wiele powodów.

- Na przykład?

- Och, nie chciałabym wszystkich tu teraz wymieniać.

- A co, pani zdaniem, jej się przytrafiło?

Nie, proszę nie odpowiadać.

To oczywiste.

Uważa pani, że została zamordowana.

Maggie zadrżała na dźwięk tych strasznych słów.

- Proszę posłuchać - Zaczął pogodnie Steve.

- Wiem, że obraziły panią słowa Jayne, i zgadzam się, że nie była taktowna, jednak muszę przyznać, że jej sugestia bardziej mnie przekonuje niż pani podejrzenia.

- Pan też!

- wybuchnęła Maggie.

- Dobrze, już dobrze - uspokajał ją.

- Tylko proszę popatrzeć na sprawę logicznie.

Fakty się zgadzają.

- I pewnie, tak jak Jayne, uważa pan, że znalazłam się tu, by ją zastąpić?

Zaciągnął się papierosem, otworzył okno i wyrzucił niedopałek.

- Nie, wcale tak nie uważam.

Myślę, że jest pani bardzo miłą, bardzo prostolinijną osobą, i nawet jeśli pani chciała, nie potrafiłaby pani oszukiwać.

- Ale sugeruje pan, że Ros by to potrafiła.

- Niczego nie sugeruję.

Ale, Maggie, niech pani spyta samą siebie, jak dobrze zna pani własną siostrę?

No tak, naturalnie razem się wychowywałyście.

Jednak była pani za granicą przez...

jak długo?

Trzy lata?

Cztery?

Dużo mogło się zmienić przez ten okres.

Ludzie się zmieniają, ich cele i wartości, prawie wszystko, co ich dotyczy.

Możliwe, że Ros, którą pani знаła, nie mogłaby zrobić nic podobnego, ale możliwe też, że tamta Ros już nie istnieje.

Dojeżdżali właśnie do domu.

- Przykro mi, jeśli ten wieczór nie wypadł tak, jak by się pani tego mogła spodziewać.

- Wysiadł i obszedł wóz, by otworzyć przed Maggie drzwi.

- Wiem, że jest pani zmartwiona i naprawdę chciałbym pomóc.

Jeśli tylko czegoś się dowiem, natychmiast dam znać.

Pomógł jej wysiąść i zatrzymał dłoń na ramieniu Maggie.

- Powinniśmy być w kontakcie.

Dziwne brzmienie jego głosu - jakby umyślnie obojętne - oraz mocny uścisk jego palców, spoczywających ciągle na jej ramieniu, wzbudziły w dziewczynie lekki niepokój.

Mimo że od trzech lat była mężatką, potrafiła rozpoznać, że jest podrywana.

Steve adorował ją przez cały wieczór, w bardzo wyrafinowany sposób, niemalże niewyczuwalnie, ale jednak.

Dinah też zwróciła na to uwagę, jak również ta zdzirowata, zarozumiała Jayne.

Tego typu komplikacje były Maggie teraz zupełnie nie na rękę, ale...

Steve stanowił jej jedyny kontakt z Vandiną.

Jeżeli zniknięcie Ros miało jakiś związek z jej pracą, może należało trzymać się tego mężczyzny i od niego dostawać informacje.

Zmusiła się do uśmiechu.

- To miłe z pana strony.

- Wspaniale.

Chciałbym mieć okazję zrekompensować pani ten niezbyt przyjemny wieczór.

Czy mogę do pani zadzwonić?

- Proszę bardzo - zgodziła się.

Otwierając drzwi, usłyszała, że zegar na wieży kościelnej wybija jedenastą.

Jego uderzenia czystym dźwiękiem niosły się przez dolinę w nieruchomym, wieczornym powietrzu.

Mike, przypomniała sobie.

Muszę go powiadomić o tym, co się wydarzyło.

Powiedział, żebym dzwoniła o każdej porze, a jedenasta to jeszcze wcześniej.

Sięgnęła po telefon i wykręciła numer, który jej podał, z niecierpliwością czekając, aż się odezwie.

Jednak słyszała tylko głuchy odgłos równomiernie odzywającego się brzęczyka.

Nie odkładała słuchawki, czując rosnące zniecierpliwienie i samotność.

Dopiero kiedy została automatycznie rozłączona i usłyszała ciągły ton, zdała sobie sprawę, jak bardzo pragnęła porozmawiać z Mikeem.

Ta świadomość przestraszyła ją nieco.

Z niechęcią musiała przyznać, że to pragnienie nie brało się jedynie z potrzeby podzielenia się wiadomościami o wypadkach tego wieczoru.

A może jednak chodziło tylko o to.

Coś za często o nim myślała.

Kiedy wszyscy goście wyszli, Dinah naląła sobie dużą porcję Glenfiddich, dodała do whisky kostki lodu, po czym przeszła do gabinetu.

W chwilach zmartwień lub załamania zawsze ciągnęło ją do tego pokoju, który tak bardzo przypominał jej Vana.

Kiedy żył, był jej podporą i siłą; teraz, gdy nie było go już przy niej, pomagało jej przebywanie w miejscach, które nosiły ślady jego obecności.

Nadal czuć go było w tym pokoju.

Jego osobowość przesiąknęła nawet ściany.

Dinah miała wrażenie, że mąż jest blisko, tak blisko, że wystarczyło sięgnąć, by go dotknąć, tak blisko, że mogła wtulić się w jego ramiona, jak to często robiła.

W ciszy pomieszczenia słyszała jego głos, wibrujący i mocny, wzbudzający zaufanie, ponieważ brzmiała w nim niczym nie zmacona wiara w siebie.

Czy Van kiedykolwiek czegoś się bał?

Czy kiedykolwiek wątpił w słuszność swoich decyzji albo w zdolność pokonywania przeszkód, jakie mogły stanąć na jego drodze?

Jeśli tak, to nie pokazywał tego po sobie.

Potrafił dać sobie radę z każdym problemem.

I oczywiście potrafiłby rozwiązać ten kłopot.

Upiła whisky z nadzieją, że ognista ciecz ukoji jej nerwy, jednak kiedy alkohol dotarł do żołądka, Dinah poczuła nudności.

Nienawidziła sytuacji konfliktowych i niepewności, nienawidziła zdrady, świadomości, że któryś z pracowników zachował się bardziej niż nielojalnie.

Bolało ją to do głębi duszy, podważało kruchą wiarę w siebie.

Cierpiała nawet fizycznie i wiedziała, że nawałnica myśli nie pozwoli jej zasnąć.

Nie chciała uwierzyć, że ktoś, kogo zna i komu ufa, mógł ją oszukać; nawet mając dowody przed oczami, starała się nie przyjmować ich do wiadomości, jakby dzięki temu cała sprawa mogła przestać istnieć.

Jednakże wszystko wskazywało na to, że w firmie rzeczywiście pracuje ktoś, kto wykonuje zlecenia jej rywala, Reubensa.

W gruncie rzeczy nie była to sytuacja nie spotykana w branży; ta część mózgu Dinah, która potrafiła jeszcze myśleć logicznie, zdawała sobie z tego sprawę.

Jednak sama świadomość nie pomagała.

Ponieważ Dinah traktowała firmę jak przedłużenie siebie, zdrada zraniła ją osobiście.

Jej słabą stroną, jako szefowej wielkiej firmy, było to, że nie potrafiła bez emocji prowadzić interesów, podejmować decyzji, walczyć o swoje miejsce na rynku.

Z tym doskonale radził sobie Van; odłączył ją od tych spraw, chronił przed zmartwieniami, dając jej czas na skoncentrowanie się na tworzeniu - chociaż bywało, że odrzucał jej pomysły.

Wiedziała, że Vandina nie mogłaby istnieć bez niego, i zastanawiała się, czy ona, Dinah nie jest wytworem zmarłego męża.

Och, Van, tak strasznie za tobą tęsknię!

Dla ciebie staram się prowadzić tę firmę, ale nie wiem, czy podołam.

Przynajmniej nie była zupełnie sama.

Przynajmniej teraz miała Stevea.

Na myśl o synu i pod wpływem whisky, która wreszcie zaczęła działać, poczuła ogarniające ją ciepło.

Dzięki Bogu za Stevea!

Nie był jeszcze gotowy do przejęcia władzy, nie wiedział wystarczająco dużo o prowadzeniu firmy, ale już teraz wyczuwała w nim tę samą żelazną stanowczość, która była głównym atutem Vana, i w pewnym sensie cieszyło ją i ekscytowało, że dała życie człowiekowi tak podobnemu do męża.

Już wkrótce, powtarzała sobie w duchu, już wkrótce na jego barki przeniosę moje zmartwienia, tak jak to było z Vanem.

Rozgrzana krew coraz szybciej krążyła po ciele.

Upiła whisky, ściskając szklaneczkę już mniej roztrzęsionymi dłońmi.

Miała wrażenie, że w jej umyśle wizerunki obu mężczyzn zlewają się, Steve staje się Vanem, Van Steveem.

Popatrzyła na portret, wiszący nad kominkiem, portret władczego Vana w pełnej chwale.

- Gdybyś tylko go znał - odezwała się miękko, po czym, prawie sekundę po wypowiedzeniu tych słów, pożałowała ich, czując niezrozumiałą winę, jakby dopuściła się świętokradztwa.

Van nie chciał poznać Stevea.

To on zdecydował, że musi go oddać.

Przez długie lata, choć bardzo rozpaczała nad stratą syna, nigdy nie podważała decyzji męża i nie chciała robić tego nawet po jego śmierci.

Przyzwyczajenie tkwiło głęboko w niej.

- Przepraszam, Van, nie chciałam tego powiedzieć.

Miałeś rację.

Zawsze miałeś rację.

Oczy męża patrzyły na nią z obrazu - te głęboko osadzone oczy, tak ciemnoniebieskie, że wydawały się prawie czarne, hipnotyzowały ją i Dinah wiedziała, że jej ból i wyrzuty sumienia nie liczą się.

Gdyby miała jeszcze raz rozpocząć swoje życie, postąpiłaby tak samo.

Dinah.

Dinah Spotkała Vana, kiedy miała zaledwie dwadzieścia lat.

Była bez grosza przy duszy - i w ciąży.

Dinah rzadko wspominała tamte ponure dni - jakby przeżył je ktoś inny, a nie ona.

Kiedy jednak wracała do nich, z zatrważającą jasnością przypominała sobie, jak się wtedy czuła - bezradna, złapana w pułapkę, porzucona i samotna.

Może nie byłoby tak źle, gdyby nie prowadziła tak samotnego życia i nie była tak straszliwie niedoświadczona.

Zaczynały się właśnie szalone lata sześćdziesiąte, jak je potem wesoło ludzie nazwali.

Jednak na początku zwyczaje poprzedniej epoki kładły się na nową czarnym cieniem, oddanie się mężczyźnie przed ślubem nadal uważano za puszczanie się, a samotna matka mogła liczyć jedynie na obelgi i potępienie.

Matka Dinah, Ruth, głęboko zakorzeniła w córce te wartości; sama była przecież córką pastora kościoła nonkonformistycznego.

Ojciec Dinah zmarł na zapalenie otrzewnej, kiedy miała siedem lat - kara boska, usłyszała pewnego razu z ust babki - i wraz z matką opuściły swój dom i przeniosły się do zniszczonej plebanii, w której mieszkali dziadkowie.

Dinah nie lubiła tego miejsca.

Ze ścian wyłożonych posępną boazerią wydobywał się zapach pleśni, nad przytłaczającymi wiktoriańskimi kominkami wisiały pociemniałe dębowe półki, na których stało mnóstwo porcelanowych ozdób, a mdła różowa tapeta wypłowiwała od starości i wilgoci.

Cały parter wyłożony był kamienną posadzką, oprócz bawialni, gdzie wokół wytartego dywanu wyzierały deski pomalowanej na czarno podłogi.

Na piętrze leżała wykładzina z linoleum i gdzieś tam małe chodniczki.

W źle oświetlonym domu mało było luster - lustra pobudzają próżność - i żadnych obrazów, z jednym jedynym wyjątkiem: ogromny portret przedstawiający Johna Bunyana, wykonany w ołówku, przytłaczał pokój dzienny.

Dziadek mawiał, że oczy z portretu śledzą go, gdziekolwiek się udaje, i Dinah wierzyła, że to prawda.

Kiedy chciała się dopuścić jakiegoś oszustwa, nerwowo obracała się przez ramię i napotykała niewzruszone spojrzenie Johna Bunyana.

I jak można się było spodziewać, życie na plebanii toczyło się wokół religii - nie tej radosnej, beztroskiej, którą wyznawała jej najlepsza przyjaciółka, Mary, należąca do kościoła rzymskokatolickiego, tej religii, którą dziadek nie uznający tej przyjaźni, skazywał na wieczne potępienie w piekle - a surowej i srogiej wierze w surowego i srogięgo Boga.

Rzadko kiedy na plebanii rozbrzmiewał śmiech - dziadek miał zawsze wyraz twarzy człowieka, który nosi na swych barkach cierpienia całej ludzkości, babcia dreptała za nim jak wynędzniała, posłuszna myszka, a matka po śmierci ojca zupełnie przygasła.

Kiedy Dinah zaśmiała się, wydawało jej się, że popełnia świętokradztwo, zaraz zresztą patrzyła przez ramię na obraz, by sprawdzić, czy John Bunyan to zauważył.

Tak działo się przez cały tydzień.

A w niedzielę było jeszcze gorzej.

W niedziele chodzili do kościoła.

Rano, a potem jeszcze wieczorem.

Dinah straszliwie się nudziła, gdy ubrana w najlepszą sukienkę musiała siedzieć w pierwszym rzędzie, a po mszy wszystkie starsze panie, wierne parafianki, podchodziły do niej, by ją poklepać i wychwalać pod niebiosami.

Zabawiała się słuchaniem mocnego mezzosopranu pani Thomas, która śpiewała z uniesieniem i przetrzymywała ostatnie tony trochę dłużej niż reszta chóru, albo liczyła, ile razy kichnął stary pan Henry, a nawet przyglądała się dziadkowi, który w promieniach padającego na niego słońca wygłaszał kazanie z ambony tuż nad jej głową.

Godziny między mszami i po nich były jeszcze gorsze.

Nie mogła robić niczego, co nie związane było z podziwianiem Boga i kontemplacją wiary.

Nie wolno jej było czytać niczego oprócz Biblii lub opowieści biblijnych, nie pozwalano jej szyc ani dziergać.

Nie było mowy o grze w karty; dziadek potępiał tę rozrywkę w ogóle, twierdząc, że wymyślił ją szatan, i raz, kiedy przyłapał Dinah na układaniu pasjansa, zabrał jej talię i wrzucił do ogromnego wiktoriańskiego kominka, by spłonęła w ogniu.

Dinah ze łzami w oczach przyglądała się, jak karty brązowieją i kurczą się, aż w końcu strawił je ogień.

Wyobrażała sobie, że w ten sposób ona sama spłonie w płomieniach piekielnych, jeśli nadal będzie obrażała Pana Boga.

Radio włączano w tym domu tylko po to, by wysłuchać prognozy pogody oraz pieśni religijnych, a potem dziadek czytał na głos urywki z oprawionej w skórę rodzinnej Biblii, którą trzymał w szafce stojącej koło kominka.

Kiedy Dinah trochę podrosła, postanowiła przeciwstawić się niedzielnemu reżimowi.

Mary w ten święty dzień chodziła do kawiarni i pewnego razu Dinah odważyła się pójść razem z przyjaciółką; w domu powiedziała, że wybiera się na spacer.

Trudno było mówić o prawdziwej zabawie, bo całe popołudnie - choć piła gorącą, parującą kawę z ekspresu, słuchała muzyki, płynącej z szafy grającej i rozmawiała z chłopcami ubranymi w skórzane kurtki, otaczającymi szafę - myślała o karze, jaka spotka ją za samowolne wyjście.

Wydawało jej się, że wstąpiła na drogę potępienia, nienawidziła dziadka, który doprowadził do tego, że czuła się w tym miejscu jak odmieniec, i nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że postępuje źle.

Kiedy wróciła do domu, natknęła się na dziadka, czekającego na nią z chłodną furią w oczach.

- Gdzie byłaś?

- zapytał.

- Na spacerze - wyszeptała jękając się.

Mężczyzna wyprostował plecy.

Był wysoki, o szerokich ramionach; w najlepszym niedzielnym garniturze, z posępną twarzą i gęstymi, srebrnymi włosami wyglądał imponująco.

- Jak śmiesz mnie okłamywać!

- Głos, który potrafił wypełnić cały kościół, odbił się echem od wyłożonego kamieniami holu.

- Czy nie wiesz, że to grzech?

Zapytam jeszcze raz: gdzie byłaś?

- Z Mary.

- Mary.

Mówisz o Mary OSullivan?

- Wypowiedział to z takim obrzydzeniem, jakby mówił "Lukrecja Borgia".

Kiwnęła głową, bojąc się spojrzeć mu w oczy.

- I gdzie byłeś z Mary OSullivan?

- My...

poszliśmy na kawę.

- Dokąd na kawę?

Nie mogła odpowiedzieć.

Zaschło jej w ustach.

Dziadek złapał ją za ramię i potrząsnął.

- Byłyście w kawiarni, tak?

Tak?!

Patrzyła w dół.

Widziała tylko jego wyglansowane buty.

- Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię!

- rozkazał.

- Ty i ta latawica poszłyście do tego grzesznego miejsca, i to w święty dzień.

Wstyd mi za ciebie, Dinah.

Wstydzę się i jestem zawiedziony.

Mam nadzieję, że rozumiesz, iż popełniłaś grzech?

- Ale...

- słabo protestowała.

- Nie zrobiłam nic złego.

- Przypuszczam, że słuchałaś muzyki?

Tej tak zwanej pop - music?

- Tak, ale...

- W niedzielę!

Do czego ci ona potrzebna?

To śmiecie.

Oni namawiają młodych do robienia złych rzeczy, do myślenia o złych rzeczach.

Ale żeby w niedzielę!

- Zamilkł, bo gardło zatykało mu oburzenie.

- To miejsce powinno być zamknięte w święte dni.

Gdyby to ode mnie zależało, w ogóle bym je zlikwidował, ale podejrzewam, że niektórzy nie pozwoliliby na to.

Ale ty, Dinah.

Nigdy więcej tam nie pójdziesz.

Ani w niedzielę, ani w żaden inny dzień tygodnia.

A teraz zetrzyj szminkę z ust, idź do swojego pokoju i zostań tam, dopóki nie pójdziemy do kościoła.

Zrozumiałaś?

Kiwnęła głową i uciekła, roztrzęsiona, zawstydzona, skonfundowana.

W głębi serca wiedziała, że nie zrobiła niczego złego, ale niełatwo było jej przełamać nawyk posłuszeństwa wobec dziadka.

Przykazanie mówi, że trzeba czcić ojca i matkę swoją.

Tu na plebanii dotyczyło to także dziadka i babki.

Dinah nie nauczyła się jeszcze z nimi walczyć.

Ale skąd on wiedział?

Skąd wiedział, że nie była na spacerze?

Zadawała sobie to pytanie, a w jej głowie dźwięczał głos dziadka: - Pamiętaj, że kiedyś przyjdzie ci zapłacić za grzechy.

Twarz dziewczyny płonęła wstydem.

Minęło dużo czasu, nim ponownie zdobyła się na sprzeciw.

Musisz mu powiedzieć - nalegała Mary.

- Musisz mu powiedzieć, że masz chłopca.

Masz szesnaście lat i jest rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty siódmy.

On nie może trzymać cię pod kluczem jak jakąś wiktoriańską dziewczinę.

- Nie mogę mu powiedzieć!

Zabiłby mnie!

- W takim razie, nie zdziw się, kiedy Dave Hicks cię rzuci.

Zrobi to, Dinah, uwierz mi.

Nie wystarczą mu te krótkie spotkania w przerwie obiadowej.

Rzuci cię i będzie to tylko twoja wina, bo nie potrafisz przeciwstawić się temu staremu potworowi.

- On nie jest potworem - sprzeciwiła się Dinah czując, że honor nakazuje jej bronić dziadka.

- On to robi dla mojego dobra.

- Bzdura!

On po prostu uwielbia tobą rządzić.

To go rajcuje.

- Nie, nieprawda.

Jest dobrym człowiekiem.

Musi taki być, jest przecież kaznodzieją.

- Cha!

Klecha!

Nie jest prawdziwym księdzem.

Dinah nie odezwała się.

Nienawidziła klócić się z Mary na temat religii.

Nie robiły tego często - religia nie interesowała ich zbyt - kiedy jednak podejmowały temat, ujawniał się między nimi tak głęboki rozdzźwięk, że przyjaźń wisiała w takich momentach na włosku.

Pewnego razu Mary do tego stopnia wyprowadziła Dinah z równowagi, że powiedziała przyjaciółce, co jej dziadek myśli o katolikach, którzy - jego zdaniem - chodzą do spowiedzi tylko po to, by dalej robić to, na co mają ochotę; wyrażą skruchę, zmówią kilka zdrowasiek, po czym dalej robią to samo co przed spowiedzią.

Mary wpadła we wściekłość i przez kilka dni nie odzywały się do siebie.

Nie chcąc znów sprzeczać się z przyjaciółką, Dinah puściła mimo uszu obelgi pod adresem dziadka.

- To nie ma sensu.

Nie pozwoli mi spotykać się z Daveem.

Jestem o tym przekonana - stwierdziła, wracając do ważniejszej sprawy.

- Więc mów, że wychodzisz ze mną.

Nie dowiedzą się, że jest inaczej.

- Nie liczyłabym na to - rzuciła Dinah, przypominając sobie incydent z kawiarnią.

- Czasami wydaje mi się, że on ma jakieś czarodziejskie właściwości.

Może Bóg rzeczywiście jest po jego stronie.

- Zadrzała.

- Raczej szatan - odparowała Mary.

- A co z twoją matką?

Czy ona nie ma nic do powiedzenia?

- Niewiele.

Po powrocie na łono rodziny Ruth wróciła też do zwyczajów z czasów dzieciństwa, kiedy to ojciec całkowicie nad nią dominował.

Dinah zbyt często słyszała, "rób to, co mówi dziadek", by ludzi się nadzieją, że matka się za nią ujmie.

Kiedy była mała, myślała, że dorośli trzymają swoją stronę, bo boją się stracić autorytet w oczach dziecka.

Podzielali te same poglądy i kierowali się tymi samymi wartościami.

Teraz zaczynała rozumieć, że Ruth zwyczajnie bała się ojca.

Tak czy inaczej, Dinah nie potrafiła wyobrazić sobie sytuacji, w której matka przyznałaby, że dziadek w czymś się pomylił.

Nigdy nie powiedziałyby mu tego we własnym interesie, a już zupełnie niemożliwe, by stanęła przeciw niemu w obronie córki.

Dave Hicks chodził z Dinah do jednej klasy.

Podobał jej się; od kiedy sięgała pamięcią, przeszywał ją dreszcz emocji, gdy na nią patrzył, a już rozpływała się ze szczęścia, kiedy się do niej uśmiechnął.

Pragnęła, by on też się nią zainteresował, a z drugiej strony ze strachem myślała o chwili, w której zaproponowałby jej spotkanie, ponieważ albo musiałaby mu odmówić, albo narazić się na awantury w domu.

Teraz, kiedy rzeczywiście doszło do takiej sytuacji, zupełnie nie wiedziała, co robić.

Do tej pory wymyślała różne powody, dla których nie może umówić się z nim po południu, i cieszyła się jak oszalała, że widuje go przynajmniej w szkole.

Było ciepło i słonecznie, pogoda w sam raz na snucie romantycznych marzeń.

Codziennie Dave odprowadzał ją kawałek drogi do domu, niósł jej teczkę, ale nigdy nie odważył się wziąć za rękę ani tym bardziej objąć.

Przejeżdżającym w samochodach nauczycielom z pewnością by się to nie spodobało.

Pocałował ją - w cieniu, przy parkingu dla rowerów - i było wspaniale.

Nawet strach, że zostaną przyłapani, nie pomniejszył drżącego podniecenia, romantycznej aury, prawdziwego, zatykającego szczęścia, które ją przepęłniało.

Zawsze potem zapach rozgrzanego asfaltu, dotyk szorstkiego batystu pod palcami, nawet widok drobinek kurzu wirujących w promieniach słońca, przywoływał w pamięci tę cudowną chwilę,

kiedy chłopak niepewnie trzymał ją w objęciach, a jego usta, niezdarne i niedoświadczone, napierały na jej wargi.

Wtedy nie było żadnych problemów.

Pragnęła jedynie przytulić się do niego jeszcze bardziej i całować, całować, całować.

Ale choć w gorącym uścisku zapomniała o problemach, to dalej istniały.

Jej wystarczało to, co robią, ale nie jemu.

Chciał mieć dziewczynę, z którą mógłby wychodzić wieczorami, przynajmniej czasem.

Zaczynał się niecierpliwić.

I Dinah z bólem serca zdawała sobie sprawę, że Mary ma rację.

Jeśli czegoś nie zrobi, Dave ją porzuci i znajdzie sobie inną dziewczynę, taką, której nie ograniczają surowe zakazy narzucone przez apodyktycznego starca.

Dinah zagryzła usta, czując, że znalazła się w pułapce.

Nie widziała drogi ucieczki.

Teraz - lub nigdy.

Dwa dni później, właśnie kiedy wychodziła ze stołówki, natknęła się na panią Derby, nauczycielkę, której wszyscy się bali.

Pani Derby miała jastrzębią twarz i stalowoszare włosy, skrócone w fale.

Nosiła tweedowe kostiumy, wygodne obuwie i mieszkała wraz z drugą nauczycielką w domku oddalonym o milę od plebanii.

Nikommu nigdy nie przyszło do głowy podejrzewać, że te dwie panie są dla siebie kimś więcej niż dwiema starymi pannami, dotrzymującymi sobie towarzystwa.

Uczniowie naprawdę się jej bali.

Chłopcy, nawet ci najbardziej zadziorni, woleli dzień w dzień słuchać reprimendy samego dyrektora szkoły, niż narazić się pani Derby.

Kiedy mówiła, "poczekaj przed moim gabinetem", nawet najtwardsi trzęśli się ze strachu, ich serca zmieniały się w galarete.

Wychodzący ze stołówki uczniowie zauważywszy ją stojącą przy wejściu z posepnym obliczem, milkli i po cichu przemykali obok niej.

Kiedy jednak Dinah starała się pójść w ich ślady, pani Derby poprosiła ją na bok.

- Czy twoja matka wie, że masz chłopca?

Dinah rzuciła jej niepewne, przepelnione strachem spojrzenie.

- Kilkakrotnie przejeżdżałam obok was samochodem - ciągnęła pani Derby.

- On nie mieszka w twojej okolicy, prawda?

- Prawda, proszę pani.

- Więc wnioskuję z tego, że zbacza z drogi, żeby odprowadzić cię do domu.

- Tak, proszę pani.

- Pytam raz jeszcze: czy matka wie o tym?

- Nie, proszę pani.

- Tak też podejrzewałam.

Jestem pewna, iż zgodziłaby się ze mną, że taka znajomość może źle wpłynąć na twoją naukę.

Jesteś w piątej klasie, powinnaś skoncentrować się na przygotowaniach do egzaminów, a nie szwendać się z chłopakami.

- Ale, pani Derby...

- Nie zamierzam z tobą dyskutować, Dinah.

Uważam, że twoja matka powinna się dowiedzieć, co się dzieje.

Porozmawiam z nią.

- Proszę pani, proszę...

- To wszystko, Dinah.

Idź już, bo tamujesz przejście.

Aha, tak przy okazji, najwyższy czas, żebyś podcięła włosy.

Spadają ci na kołnierzyk i wyglądają bardzo niechlujnie.

I nie myśl sobie, że wystarczy związać je w jakiś tam koński ogon.

Przez nie przekrzywiają się wam na głowach berety.

Proszę zgłosić się do mnie w przyszłym tygodniu, żebym sprawdziła, czy wykonałaś moje polecenie.

Odmaszerowała, powiewając rąbkiem nieskazitelnie czarnej, nie poplamionej kredą, jak u niektórych nauczycielek, sukni.

Tego samego wieczoru, wróciwszy do domu, z miejsca zorientowała się, że panna Derby spełniła swoją groźbę.

Nie uległo wątpliwości, co oznacza zmarszczona twarz matki.

Kiedy Dinah poszła do swojego pokoju, by się przebrać, matka weszła za nią, zamykając za sobą drzwi.

- Dinah, rozmawiałam przez telefon z panną Derby.

Powiedziała, że spotykasz się z jakimś chłopcem.

Czy to prawda?

Serce dziewczyny zaczęło bić pospiesznie.

- No...

coś w tym rodzaju...

- To znaczy, że to prawda!

Przekonywałam pannę Derby, że musiała się pomylić.

Jak możesz tak kłamać i ukrywać się?

- Nie zrobiłam nic złego!

On tylko odprowadza mnie...

- Odetchnęła głęboko.

- Ale poprosił mnie, żebym poszła z nim do kina.

- Mam nadzieję, że odmówiłaś!

- Mamo, proszę!

Chodzi ze mną do klasy i jest bardzo miły...

- Na Boga, Dinah, wydawało mi się, że jesteś rozsądniejsza.

Zawracać sobie głowę chłopcami w twoim wieku.

Zgadzam się z panną Derby, że w tej chwili powinnaś skoncentrować się na nauce.

Będziesz miała mnóstwo czasu na głupoty po zdaniu egzaminów.

- To nie przeszkodzi w moich egzaminach.

Moglibyśmy pójść do kina w piątek albo w sobotę.

Przez resztę tygodnia będę cały czas pracowała...

- Zdekoncentrujesz się.

Będiesz myślała o tym chłopcu zamiast o lekcjach.

Poza tym nie chodzi tylko o naukę.

Jesteś za młoda, żeby umawiać się z chłopcami.

Nie wiesz, jaki on jest.

- Powiedziałam ci, że jest bardzo porządny!

- Może tylko tak wyglądać - posepnie zauważyła Ruth.

- Problem polega na tym, że wszyscy mężczyźni są do siebie podobni, młodzi czy starzy myślą tylko o jednym.

A zwłaszcza młodzi.

- O co ci chodzi?

- No cóż.

- Ruth poczerwieniała na twarzy, jej głos drżał z zakłopotania.

Tak samo wyglądała wtedy, kiedy wyjaśniła Dinah, co to jest menstruacja, powiedziała, że w ten naturalny sposób organizm pozbywa się nadwyżki krwi.

Dinah zastanawiała się, dlaczego rozmowa o tej naturalnej czynności jej ciała, z pewnością niezbyt przyjemnej, wprawiała matkę w takie zmieszanie.

Oczywiście, później poznała prawdę i trochę pogardzała matką za to, że ją okłamała.

- A więc - odezwała się Ruth - oni chcą robić pewne rzeczy.

Rzeczy, które nie są przyjemne, na przykład dotykać cię w miejsca, w które nie powinni.

Z pewnością nie wiesz, o czym mówię, jednak zapewniam cię, że niestety to prawda.

Dinah poczuła, że i jej policzki oblewają się rumieńcem.

Wiedziała, o co matce chodzi - do niedawna dziewczynki nie mogły zostać w klasie same po lekcjach, bo chłopcy zbierali się w grupę, napadali na nie i wsadzali ręce pod spódnicę.

Takie ekscesy ustały, dzięki Bogu, kiedy pewnego razu jedna z nauczycielek usłyszała krzyki, weszła do klasy i złapała ich na gorącym uczynku.

Chłopcy musieli zgłosić się u dyrektora szkoły, a biedną dziewczynę wysłano do panny Derby, która oskarżyła ją o prowokowanie kolegów.

O tak, Dinah wiedziała, że chłopcy chcą je dotykać, ale nie mogła wyobrazić sobie, żeby Dave potraktował ją w taki sposób.

Ich łączyło coś specjalnego, nie brudnego i ohydneho.

- Dave by się tak nie zachował - powiedziała.

- On nie jest taki.

Ruth roześmiała się smutno.

- Jest, Dinah, i ty byłabyś bezwolna w jego rękach.

Nie życzę sobie, żebyś wychodziła z chłopcami, dopóki nie osiągniesz odpowiedniego wieku, i koniec.

Przyrzeknij mi, że mnie posłuchasz i już więcej nie będziemy o tym rozmawiały.

- Ale, mammo...

- Mów ciszej, Dinah.

Nie chcę, żeby dziadek dowiedział się o tym.

Bardzo by się zezłościł, gdyby usłyszał, że tak się zachowujesz.

Zadzwoń jutro do panny Derby i poproszę ją, żeby dała mi znać, jeśli zobaczy cię rozmawiającą z tym chłopcem.

Więc wybij go sobie z głowy.

Czy jasno się wyraziłam?

Dziewczyna żałośnie pokiwała głową.

Nawet nie przyszło jej na myśl, że może się sprzeciwić.

Nie leżało to w jej charakterze.

Po wyjściu matki położyła się na łóżku i rozplakała się.

Przez całą noc prawie nie zmrużyła oka, zastanawiając się, co powie Daveowi, jeśli w jakiś sposób uda jej się z nim porozmawiać.

Jednak następnego dnia w szkole Dave zachowywał się jakoś dziwnie.

Wyglądało na to, że stara się jej unikać, nie patrzył na nią, a po każdej lekcji odwracał się od niej i głośno się śmiejąc, rozrabiał z kolegami.

Przez cały dzień nie chciała w to uwierzyć, ale kiedy po skończonych lekcjach wyszedł nie czekając na nią, nie mogła się dłużej oszukiwać.

Nie powie mu, że nie może się z nim już więcej spotykać.

Sam rozwiązał problem.

- Powiedziałam ci, pamiętasz, że znudzi mu się takie chodzenie - przypomniała Mary.

- Ostrzegałam cię.

W tej chwili Dinah niemalże nienawidziła przyjaciółki.

Była taka odważna i pewna siebie, i miała wszystko, czego ona nie mogła mieć.

Tydzień później Dave chodził już z Wendy Turnbull, która nosiła obcisłe bluzki, chichotała i stroiła miny, kiedy chłopcy na nią gwizdali.

Możliwe, że matka miała rację, pomyślała Dinah.

Może Dave właśnie tego chciał.

W ten sposób umarły jej marzenia.

Od dzieciństwa Dinah miała zdolności do rysunku.

Jej prace były bardzo dokładne, z mnóstwem szczegółów, choć najbardziej lubiła kopiować rysunki innych.

Jako pięciolatka przerysowywała postaci ze swojej książeczki z bajkami, jako dziesięciolatka starała się kopiować obrazki z Biblii - "I oto stoję u drzwi i pukam" oraz "Świątą Rodzinę".

W wieku czternastu lat udało jej się z detalami przerysować portret Johna Bunyana, a Ruth ustawiła jej pracę na półeczce i chwaliła się nią przed każdym gościem.

Nauczyciel plastyki, pan Robinson, szybko zorientował się, że Dinah ma talent.

Zachęcał ją do pracy, ale poradził, żeby przestała kopiować rysunki innych i wymyślała własne.

- Musisz starać się być oryginalna, Dinah.

Te kopie są doskonałe i mogłyby ci wystarczyć, jeśli zamierzasz na zawsze pozostać przy przerysowywaniu prac innych, ale zdaje mi się, że coś innego chodzi ci po głowie.

Musisz nauczyć się rysować z natury.

Zacznij od namalowania wazy z owocami albo dzbanka z kwiatami.

Może wydać ci się to nudne w porównaniu z tym, co robiłaś do tej pory, ale to dobre ćwiczenia.

Dinah poszła za jego radą.

Na stole jadalnym stał wazon z kwiatami, więc usiadła przy nim ze szkicownikiem i spróbowała go narysować.

Ponieważ jednak zwracała uwagę na najmniejsze szczegóły, jej praca posuwała się bardzo powoli i płatki opadły, zanim skończyła.

To samo zdarzyło się przy misie z owocami.

Ktoś zjadł jabłko, pomarańcza się zeschła, a ona nadal próbowała odtworzyć fakturę skórki.

- To nie ma sensu!

- jęczała, pokazując nie dokończony rysunek panu Robinsonowi.

- Po prostu nie umiem tego narysować.

- Oczywiście, że umiesz!

- upierał się nauczyciel, chociaż nie powiedział jej o rzeczy, która dla niego była oczywista - posiadając wrodzony talent - umiała zobaczyć różnicę między dobrym rysunkiem a złym i stawiała sobie zbyt duże wymagania.

Poza tym wiedział, że dziewczyna nie jest pewna siebie.

Właśnie dlatego tak lubiła kopiować obrazy znanych artystów - nie musiała wtedy ukazywać własnej duszy, własnej wyobraźni i narażać na ocenę.

- Może powinnaś rysować coś, co nie zmieni kształtu, dopóki nie skończysz pracy - radził, podwijając rękawy zrobionego na drutach, obszernego swetra.

- Chciałbym, żebyś zebrała przedmioty o różnych fakturach, które w jakiś sposób mają ze sobą związek i ustawiła je w interesującą kompozycję.

- Jakie przedmioty?

- Cokolwiek wymyślisz.

Wykorzystaj wyobraźnię.

Dinah zrobiła to.

Tego wieczoru wzięła pantofle matki na wysokim obcasie, które ta kupiła kiedyś bez większego zastanowienia, a teraz rzadko zakładała, boa, skórzany pasek z dużą, świecąca sprzączką, delikatną apaszkę oraz stary filcowy kapelusz dziadka.

Z pokoju gościnnego wyniosła mały stolik i ustawiła go pod oknem w swoim pokoju, gdzie padało dużo światła.

Następnie sprawdziła, czy ma odpowiednie ołówki, od bardzo miękkich do twardych, naostrzyła je i wzięła się do pracy.

Dinah często wspominała ten rysunek i wiedziała, że od niego zaczęła się jej miłość do różnych materiałów.

Do skrupulatnego przedstawienia najmniejszego włosa w piórze, do uchwycenia każdego włókna z kapelusza, do cieniowania tak, by sprzączka u paska wyglądała, jakby się świeciła!

Najwięcej problemów miała z butami; bardzo cierpliwie przerysowywała zamszowe uszy, wygięte od długiego leżenia na dnie szafy pod innym, bardziej przydatnym obuwiem.

Z trudem uchwyciła kolor wysokich obcasów, które świeciły inaczej niż metalowa sprzączka.

Kiedy skończyła, czuła się prawie wyczerpana, ale też dumna.

Włożyła rysunek między okładki, żeby się nie pogniótł, i zaniósła panu Robinsonowi.

Nie zasypał jej pochwałami - nie miał takiego zwyczaju - ale zdawał sobie sprawę, że praca jest bardzo dobra.

Dał spragnionej pochwał dziewczynie do zrozumienia, że jest pod wrażeniem.

- Wiesz co, Dinah, powinniśmy pomyśleć o tym, byś dostała się do szkoły plastycznej - oświadczył.

Serce dziewczyny zamarło.

Była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co powiedzieć.

Szkoła plastyczna - kiedy wszystkie jej koleżanki wybierały się na kurs dla sekretarek albo do szkół pedagogicznych!

Myślała, że śni.

Kiedy minęła euforia, serce jej zalało znane i przykre uczucie.

Dobrze wiedziała, co dziadek, a nawet matka, powiedzą o takich planach.

Odrzucają je tak stanowczo, jak odrzucili pomysł wyjścia w niedzielę do kawiarni i spotkań z chłopcami.

- Nie będę mogła - powiedziała cicho.

- Dinah, możesz!

Masz prawdziwy talent.

Naturalnie będziesz musiała ciężko popracować, ale przecież nie boisz się pracy, prawda?

- Nie, to nie o to...

- Zawahała się, czując, że za chwilę powie coś nielojalnego.

- Chodzi o moją rodzinę.

Nie pozwolą mi.

- Dlaczego?

- Po prostu.

- W takim razie, może powinienem zamienić z nimi słówko - orzekł pan Robinson.

Ekscytował go pomysł doprowadzenia Dinah do szkoły plastycznej; po latach zajmowania się znudzonymi uczniami, którzy traktowali jego zajęcia jak przerywnik między prawdziwymi lekcjami, ta dziewczyna, z jej wspaniałym darem, sprawiała mu niewymowną radość.

Nie chciał, by zmarnowała talent, i nie chciał stracić szansy, tej jedynej szansy zobaczenia choć jednego swojego ucznia osiagającego sukces.

- Dinah, poproś matkę, żeby do mnie przyszła.

- Dobrze - zgodziła się.

- Ale nie wierzę, żeby to coś zmieniło.

Tak jak przypuszczała, Ruth zganiała jej pomysł, a dziadek rzucał gromy na szkoły artystyczne i szerzącą się w nich rozpustę.

- Łęgowsko zła!

- oświadczył.

- Skąd taki pomysł przyszedł ci do głowy?

I co taka szkoła może ci dać?

- Pan Robinson mówi, że mogłabym potem zająć się najróżniejszymi rzeczami.

Mogłabym nawet zostać nauczycielką plastyki, tak jak on.

- Jeśli chcesz uczyć, jest mnóstwo innych przedmiotów.

Na przykład angielski.

Zawsze go lubiałaś.

Albo religia.

- Nie chcę uczyć religii.

Chcę się zająć plastyką.

Och, mamó, idź i porozmawiaj o tym z panem Robinsonem.

- Dinah, nie ma o czym rozmawiać.

Ta dyskusja jest zresztą czysto akademicka.

I tak nie dostałabyś się do tej szkoły.

Zniechęcona, choć zupełnie nie zaskoczona, Dinah zdała relację panu Robinsonowi i zobaczyła w jego oczach upór i determinację.

- W porządku, Dinah.

Zostaw to mnie - powiedział tylko.

Tydzień później na plebanię zadzwoniła panna Derby.

- Pani Marshall, chciałabym porozmawiać z panią na temat Dinah.

- Och, nie!

- jęknęła Ruth.

- Znowu prowadzi się z tym chłopcem.

- Nie, nic z tych rzeczy.

Chodzi o przyszłość Dinah.

Kiedy mogłaby pani do mnie przyjść?

Czy odpowiada pani jutrzejsze popołudnie?

- Och...

tak, panno Derby, naturalnie!

- powiedziała Ruth, która bała się nauczycielki prawie tak samo jak jej córka.

Dinah doszła do wniosku, że zdarzył się cud, iż właśnie znienawidzona przez nią panna Derby przekonała matkę.

Tak naprawdę podziękowania należały się panu Robinsonowi.

Zdawał sobie sprawę, że groźna nauczycielka ma większy autorytet niż on, więc zdecydował się iść do niej ze swoim problemem.

Panna Derby, którą pociągały jego wdzięki bardziej niż skłonna była przyznać, zgodziła się, że prestiż szkoły wzrośnie, jeśli jedna z uczennic osiągnie sukces w tak trudnej dziedzinie.

Z właściwą sobie werwą i stanowczością natychmiast rozmówiła się z matką Dinah.

- Ona uważa, że powinnaś spróbować dostać się do jakiejś dobrej szkoły plastycznej - przekazała Ruth córce, kładąc nacisk na słowie "dobrej", jakby to był decydujący czynnik.

- Twierdzi, że byłaby to zbrodnia, gdybyśmy pozwolili zmarnować twój talent.

Więc przyznałam jej rację, jeśli naprawdę tego chcesz.

- Och tak!

- wykrzyknęła Dinah, nie wierząc we własne szczęście.

Kiedy Ruth powiadomiła domowników o swojej decyzji, na plebanii zapanowała napięta atmosfera.

Dziadek nadal twardo sprzeciwiał się temu pomysłowi - a nie był przyzwyczajony, by ktoś nie wypełniał jego poleceń.

Kiedy jednak jego protest nie został uwzględniony, wpadł w jeszcze większą furję, przestał się odzywać, ale nawet jego milczenie było wymowne.

Chodził po plebanii jak olbrzymia chmura gradowa zasłaniająca słońce.

Ignorował zarówno Dinah, jak i jej matkę; kiedy musiał się odezwać, warczał niezadowolony.

Mona, babka Dinah, była bardziej zastraszona niż mysz pod miotłą, przemykała obok nich z wyrazem oczu, który mówił, że w każdej chwili może wybuchnąć płaczem, i starała się, jak tylko potrafiła, przekonać córkę, by zmieniła zdanie.

- Twój ojciec jest bardzo zmartwiony.

Nie powinnaś mu się sprzeciwiać po tym wszystkim, co dla ciebie zrobił.

- Mamo, panna Derby mówi, że to dla dobra Dinah.

- Twój ojciec twierdzi, że te miejsca są...

okropne.

Pełne grzeszników.

Nie może znieść myśli, że Dinah tam się znajdzie.

Ja także nie.

Zamartwi się tym na śmierć, Ruth.

Nie widzisz, jak źle wygląda?

Doprowadzi go to do zawału serca i jak się będziesz czuła wiedząc, że ty i Dinah jesteście temu winne?

Jednak, o dziwo, Ruth nie dała się odwieść od swojego postanowienia.

Raz w życiu została zmuszona do wybierania między dwoma autorytetami i z jakichś powodów, znanych tylko jej, zdecydowała się postawić na pannę Derby.

Dinah dostała się na kurs podstawowy w szkole plastycznej znajdującej się w innym hrabstwie.

Znaleziono jej pokój u wdowy w średnim wieku, zamieszkującej w domu położonym przystanek od szkoły - Ruth nalegała, żeby córka zamieszkała z kimś, kto odpowiednio się nią zaopiekuje.

Na początku roku dziadek, nadal chmurny i niezadowolony, zawiózł wnuczkę na stację swoim starym Morrisem Oxford.

- Mam nadzieję - powiedział, kiedy Dinah wypakowywała zniszczone walizki, torby i nowiutką teczkę - że nie będziesz tego żałowała, moja panno.

- Och, dziadku, proszę!

Ciesz się razem ze mną!

- błagała go, ale on odwrócił się od niej.

We wrześnie słońcu zmarszczki na jego jastrzębiej twarzy wydawały się głębsze, bardziej wyraźne niż zazwyczaj; usta, twardo zaciśnięte, nie chciały się uśmiechnąć.

- Wierzę, że masz na tyle rozsądku, że nie przyniesiesz nam wstydu - dokończył.

Pierwszy rok minął bez większych wydarzeń.

Z dala od ponurej atmosfery plebanii Dinah zaczęła rozkwitać.

Zmieniła ubiór z prostych i skromnych sukienek na luźne i wygodne dżinsy i sweterki, choć zawsze w sobotę, kiedy jechała do domu, zakładała spódnice na tyle długie, by nie obrazić dziadka.

Niewielkie kieszonkowe, które dostawała, przeznaczała na kupno płyt Elvisa Presleya i Billyego Furyego, których słuchała na staroświeckim adapterze, zakupionym na wyprzedaży staroci.

Zapuşciła włosy i nosiła je rozpuszczone.

A pewnego razu, zdobywszy się na odwagę, położyła na nie farbę, chcąc sprawdzić, jak będzie wyglądała z ciemnymi włosami.

Nie podobało jej się, więc następny tydzień spędziła na myciu głowy raz po raz, aż farba zesła.

Pozwalała sobie w pewnym stopniu na niezależność, zaczynając od tego, że poprosiła, by pani Meadows podawała jej na śniadanie muesli, zamiast bekonu z pomidorami albo jajek sadzonych na grzance, co matka zawarła w umowie.

Od czasu do czasu wychodziła ze znajomymi do kawiarni lub do kina, a raz czy dwa wybrała się nawet na zabawę taneczną, jednak z pewnością nie opętało jej szaleństwo życia towarzyskiego, jak przewidywał dziadek.

Surowe wychowanie powstrzymywało ją przed paleniem, piciem alkoholu czy zażywaniem narkotyków, co stanowiło część życia akademickiego - zresztą po prostu nie miała czasu na zabawy.

Nauka okazała się o wiele trudniejsza, niż mogła się spodziewać; miała tyle pracy, że aby skończyć jakiś projekt, musiała często wysiadywać do późna w nocy.

Tak więc podkrążone oczy zawdzięczała ciężkiej pracy, a nie wesołemu życiu.

Zajęcia były zróżnicowane i Dinah przekonała się, że najbardziej odpowiadają jej te, które wymagały twórczej samodzielności.

Największą przyjemność sprawiło jej zaprojektowanie i wykonanie torby na przyrządy, które wykorzystywała na zajęciach - zrobiła ją z juty i skrawków skóry.

Praca została pokazana reszcie studentów jako bardzo oryginalna - a wykonany przez Dinah samochódzik z drewna przekazano jako dar dla pobliskiego szpitala dziecięcego.

Do końca roku musiała wybrać dziedzinę, w której zamierzała się specjalizować.

Była niezdecydowana aż do balu przebierańców.

Zrobiła sobie wtedy indiański strój z zamszowych skór, który bardzo się spodobał.

Lubiła pracę z materiałami jeszcze bardziej niż rysowanie.

Dinah zapisała się na kurs, dający jej po trzech latach dyplom projektantki mody.

Została przyjęta.

Choć kurs przygotowawczy był trudny, projektowanie mody okazało się jeszcze trudniejsze.

Dinah musiała wykonywać mnóstwo projektów, a ponieważ materiały dużo kosztowały, pracowała na pół etatu jako kelnerka.

Pani Meadows zaczęła się uskarżać na pory, w których wracała do domu, i na zużycie prądu, bo dziewczyna pracowała po nocach.

Dinah zaczęła czytać tablicę ogłoszeń na uczelni, szukając odpowiedniego dla niej lokum.

W końcu znalazła to, czego szukała.

Grupa pięciu studentów wynajęła mieszkanie w dużym domu w pobliżu szkoły i potrzebowała jeszcze jednego lokatora do zapłacenia całego czynszu.

Dinah poszła się z nimi spotkać.

Czuła się nieco skrępowana, ale dwóch chłopców i trzy dziewczyny zachowywali się przyjaźnie, jeśli nawet nie wylewnie, a mieszkanie okazało się przestronne i przyjemne, choć szokująco zaniedbane, z brudnymi talerzami i garnkami, piętzącymi się w zlewozmywaku, mnóstwem kubków po kawie i pełnych popielniczek na podłodze.

Dinah знаła dziewczynę, z którą miała dzielić pokój - nazywała się Lynne Beckett i była na drugim roku.

Jednak szybko przekonała się, że taki układ nie w pełni jej odpowiada.

Podeksytowana perspektywą wolności, nie wzięła pod uwagę praktycznych stron życia w nowym miejscu - brak własnego pokoju, choćby najmniejszego, w którym mogłaby zostawić swoje prace, wiedząc, że nikt ich nie zniszczy, wieczny brak ciepłej wody i łazienki, do której z rana w ogóle nie można się było dostać.

Pięć osób, które ciągle wypijały jej mleko i sok pomarańczowy, zostawiały po sobie nie umyte naczynia i brudne ubrania.

Dinah z natury lubiła czystość, denerwował ją nieporządek, jednak ile razy sprzątnęła kuchnię, następnego dnia zastawała ją w takim samym stanie rozkładu, i w końcu zdała sobie sprawę, że albo przyzwyczai się do bałaganu, albo zostanie pełnoetatową sprzątaczką.

W mieszkaniu bez przerwy panował harmider, muzyka grała na cały regulator, trzaskały drzwi, ludzie rozmawiali i głośno się śmiali.

Kiedy kładła się wcześniej spać, zawsze budziła ją Lynne, która wpadała do pokoju, waliła się z hukiem na łóżko albo zapalała światło.

Dinah zaczęła tęsknić za poprzednią stacją, ale było już za późno, żeby tam wrócić.

Pani Meadows wzięła sobie nowego lokatora, porządnego młodego urzędnika bankowego, a poza tym nowe miejsce miało jedną, istotną zaletę.

Nazywał się Neil Meredith i był studentem trzeciego roku grafiki.

Wysoki, szczupły, z kręconymi, kasztanowatymi włosami sięgającymi ramion, i nikłym zarostem na brodzie.

Miał także ciepłe piwne oczy, ocienione długimi czarnymi rzęsami.

Dinah fascynował jego akcent z hrabstwa Durham.

Neil miał dziewczynę, Angie, ze swojego roku, która była zadziwiająco do niego podobna.

Przypominali bliźnięta w tych swoich wytartych džinsach, podkoszulkach i adidasach, z włosami tej samej długości, prawie jednego koloru.

Angie spędzała dużo czasu w ich mieszkaniu i Dinah nie mogła powstrzymać się, by jej nie zazdrościć, zwłaszcza kiedy z Neilem znikali w jego pokoju i zamykali za sobą drzwi.

Jednak Dinah zauważyła, że pod nieobecność Angie Neil poświęca jej sporo uwagi.

Nic specjalnego, krótki uśmiech, który sprawiał, że czuła skurcz w żołądku, lub niewinne pytania o jej zajęcia.

To wystarczyło, by ogarniało ją podekscytowanie, tak jakby zaraz miało wydarzyć się coś wspaniałego.

Pewnego wieczoru, kiedy w mieszkaniu nie było nikogo oprócz nich, Neil wszedł do bawialni, potrząsając butelką.

- Napijesz się?

Dinah oglądała właśnie magazyny w poszukiwaniu materiału na podszewkę.

Podniosła wzrok, zarumieniona z zaskoczenia.

- Co to jest?

- Wino.

Zwykły sikacz, ale i tak robi swoje.

Dinah zaczesła palcami włosy za uszy, czując, że czerwieni się jeszcze bardziej.

- Dzięki, ale ja nie piję.

- Nie pijesz?

- Był szczerze zdziwiony.

- Nie.

Jak do tej pory nigdy.

- Zamilkła, nie chcąc tłumaczyć, że została wychowana w surowym zakazie używania alkoholu, i nieco zawstydzona swym brakiem doświadczeń.

- Och, przypominam sobie.

Jesteś ortodoksyjną metodystką - powiedział, grożąc jej palcem.

- Skąd to wiesz?

Uśmiechnął się.

- Zawsze dowiaduję się takich rzeczy.

No tak, jeśli nie chcesz, nie będę cię zmuszał.

Ale nie wiesz, co tracisz.

Dinah zagryzła usta.

Nie chciała, żeby wziął ją za nudziarę, a poza wszystkim, co złego się stanie?

Już teraz jej styl życia nie pasował do wielu przykazań, które jej zaszczerpiono.

Przypomniała sobie rozmowę - w gruncie rzeczy sprzeczkę - którą przeprowadziła z Mary na temat, jak je nazywał dziadek bardzo poważnym tonem, mocnych napojów.

- Dlaczego on tak z tym walczy?

- zapytała Mary przekomarzając się.

- Naprawdę tego nie rozumiem.

- Mówi, że prowadzą na drogę zguby.

- To idiotyczne!

Jeśli alkohol jest taki zły, dlaczego Jezus zamienił wodę w wino na przyjęciu weselnym?

I przy komunii też pije się wino.

- My nie.

Nie wino.

- Nie?

Naprawdę?

- Tak!

- Nic dziwnego, że mój ojciec mówi, że wy, metodyści, jesteście jacyś dziwni!

On twierdzi, że niepicie wina jest obrażą Boga, stawianiem się wyżej od Chrystusa.

Wtedy Dinah czuła się zaszokowana, jednak w tej chwili, przypomniawszy sobie tę rozmowę, doszła do wniosku, że Mary miała rację.

- No...

- zaczęła z wahaniem.

- Może napiłabym się troszeczkę.

Tylko żeby sprawdzić, czy będzie mi smakowało...

- Nie chcę cię namawiać.

- Nadal stał przy niej uśmiechając się i trzymając butelkę na wyciągnięcie ręki.

Przez krótki moment Dinah zastanawiała się, czy tak właśnie wyglądał szatan, kuszący Jezusa na pustyni obietnicą królestwa, i wydało jej się, że słyszy donośny głos dziadka: "Odejdź ode mnie, szatanie"!

Ale chwila refleksji minęła i Dinah podjęła decyzję.

- Przecież nic w tym nie ma złego, prawda?

Tylko nie za dużo.

Neil nalał trochę wina do kubka i podał jej.

Upiła łyk przypuszczając, że nie spodoba jej się smak wina, przekonała się jednak, że nie jest najgorsze.

Zanim się zorientowała, kubek był pusty.

Wyciągnęła go w stronę chłopaka.

- Mogę prosić o jeszcze trochę?

Roześmiał się.

- Dałaś się złapać, Dinah!

Proszę bardzo, jeśli chcesz, tylko nie mów potem, że cię upiłem!

Tym razem piła wolniej czując, że głowa zaczyna jakby płynąć, ale cieszyła się rozgrzewającym ciepłem, które mogło pochodzić od wina albo od Neila, uśmiechającego się i patrzącego na nią uważnie ciemnymi oczyma.

Wypili resztę butelki rozmawiając i kiedy nadszedł czas, żeby się położyć, projekt Dinah nadal nie był skończony, ale czuła się wspaniale.

Rozpierało ją szczęście.

Może mimo wszystko miała jakieś szansę u Neila.

Jednak następnego dnia Angie znowu pojawiła się i Dinah musiała zapomnieć o swoich marzeniach i żyć dalej własnym życiem.

W mieszkaniu nie było telefonu.

Aparat miejski znajdował się na dole w holu.

Kiedy dzwonił, odbierała go ta osoba, która akurat znajdowała się w pobliżu.

Pewnego wiosennego dnia zabręczał o siódmej rano.

Dzwonił i dzwonił, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Dinah, która wstała wcześniej, by skończyć projekt, była przekonana, że słyszy odległe brzęczenie, ale mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze, więc nie rozpoznała, co to za dźwięk.

Godzinę później rozległ się dzwonek u drzwi.

Kilka osób kręciło się już po mieszkaniu, starając się rozbudzić i zacząć nowy dzień.

Drzwi otworzył Henry, student sztuk pięknych, i po chwili zapukał do pokoju Dinah.

- Dinah, jesteś tam?

Ktoś do ciebie.

To policja.

- Policja!

- powtórzyła zaskoczona.

Inspektor był całkiem młody i raczej przystojny.

- Dinah Marshall?

- Tak.

- Czy mogę wejść?

Zerknęła przez ramię.

W pokoju panował niesamowity bałagan, Lynne siedziała na podłodze i jadła jogurt, ubrana jedynie w koszulkę z Myszka Mickey, a inny student sztuk pięknych przechadzał się po mieszkaniu owinięty tylko wypłowiałym ręcznikiem.

- No, niezupełnie...

O co chodzi?

- Mam dla pani wiadomość.

Z domu.

Starali się z panią połączyć, ale nie udało im się.

Dinah poczuła, jak kolana się pod nią uginają.

- Czy coś się stało?

- No cóż...

tak.

Na pewno nie możemy wejść do środka?

Dinah złapała się za framugę.

- To dziadek, prawda?

Miał atak serca.

Babcia zawsze powtarzała, że do tego dojdzie.

Czy on...

nie żyje?

Policjant patrzył na nią ze zmartwioną miną.

- Nie, chodzi o pani matkę.

Przed chwilą Dinah miała miękkie nogi, teraz osłabło całe jej ciało.

Z twarzy odpłynęła krew.

Przestraszyła się, że zaraz zemdleje.

- Mama!

Nie!

Pan się myli!

- Niestety, chyba nie.

Przekazano mi informację, że pani matka bardzo się rozchorowała i jest w szpitalu.

Pani rodzina prosi, żeby natychmiast przyjechała pani do domu.

- Gdzie ona jest?

W jakim szpitalu?

Co jej się stało?

- Przykro mi, ale nie znam szczegółów - oświadczył policjant.

- Najlepiej, jeśli zadzwoni pani do domu i sama się dowie.

- Tak...

tak...

zrobię to.

Dziękuję...

Zamknęła drzwi.

Koledzy patrzyli na nią, starając się ukryć ciekawość.

Zignorowała ich, szukając w portmonetce drobnych na telefon.

Nie znalazła.

- Czy ktoś ma szylinga albo sześciopensówkę?

Henry poszedł do swojego pokoju, po czym wrócił, trzymając w dłoni garść monet.

Pobiegła na dół.

Telefon dzwonił nieprzerwanie.

Dinah wyobrażała sobie, jak jego dźwięk roznosi się po plebanii.

W końcu odebrała pani Miller, która dwa razy w tygodniu przychodziła sprzątać.

- Czy to ty, Dinah?

Och, kochanie, tyle się tu zdarzyło!

Starali się z tobą skontaktować...

- Co się stało, pani Miller?

- Twoja matka.

Oj, kochanieńka, to okropne!

Wstała o wpół do szóstej, żeby pójść do łazienki, i zasłała.

Twoja babka nie spała i usłyszała, jak się przewróciła.

Znalazła ją leżącą w drzwiach.

Podejrzewam, że źle się poczuła, i dlatego poszła do łazienki.

Boże, Boże, co za straszny wypadek!

- Ale co jej jest?

- Nie wiem.

Zabrali ją do szpitala, do miejskiego, oczywiście karetką.

Twoja babka i dziadek pojechali z nią.

Myślę, że zrobią jej tam jakieś testy, i wtedy dowiemy się więcej...

- Dobrze, pani Miller.

Przyjeżdżam do domu.

Nie...

pojadę prosto do szpitala.

Proszę powtórzyć to dziadkowi, jeśli zadzwoni albo pojawi się w domu.

- Oczywiście, Dinah.

Och, kochana, tak mi przykro...

- To nie pani wina, pani Miller - rzuciła Dinah, tak jakby najważniejsze teraz było pocieszenie sprzątaczkii.

- Poza tym lekarze potrafią dokonać cudu.

Najważniejsze, że mama żyje.

Kiedy Dinah dotarła do szpitala, matka już nie żyła.

Dziadkowie nadal byli w szpitalu, w specjalnym pokoju przeznaczonym dla rodzin chorych, którzy odeszli.

Powiedzieli wnuczce, że matka zamknęła oczy dziesięć minut przed jej przyjazdem i że towarzyszyli jej do samego końca.

Mona była przygnębiona, ciągle wycierała oczy wymiętą chusteczką, ale dziadek miał na twarzy wyraz tryumfu.

W jego zachowaniu, pomyślała Dinah otumaniona szokiem, jeszcze nie do końca rozumiejąca, co zaszło, jest coś obrzydliwego i teatralnego.

Twarz przybrała ten sam uroczysty wyraz, który widywała tysiące razy, kiedy odprawiał mszę za zmarłych, jego oczy lśniły uniesieniem.

- Twoja matka odeszła - zaintonował.

- Odeszła tam, gdzie ból i grzech nie mogą jej dosięgnąć, gdzie nie może zranić jej bezmyślność tych, których kochała.

Ile czasu minęło od waszego ostatniego spotkania, Dinah?

Za dużo.

A teraz jest już za późno.

Nie chciałaś odwiedzać jej, kiedy żyła, a teraz już jej nie ma.

Dinah popatrzyła na niego z przerażeniem.

- Dziadku, o czym ty mówisz?

- Twoja matka straszliwie za tobą tęskniła.

Lekarze mówią, że umarła na skutek wylewu krwi do mózgu, ale ja wiem, że pękło jej serce.

Dinah ciężko odetchnęła, zakryła dłonią usta, w oczach zebrały się łzy.

- Ależ, pastorze, nie można tak mówić - wtrąciła się pielęgniarka, która wprowadziła Dinah do pokoju.

Była wyraźnie wstrząśnięta i zła.

Objęła Dinah ramieniem.

- Czy chciałabyś zobaczyć matkę, kochanie?

Chodź ze mną.

Mona ruszyła za nimi, ale pielęgniarka zatrzymała ją ruchem ręki.

- Ja z nią pójdę.

- W korytarzu uścisnęła ramię dziewczyny.

- Nie zwracaj uwagi na to, co mówi twój dziadek.

Jest załamany.

W takim stanie ludziom wymykają się różne rzeczy.

Dinah kiwnęła głową, ale jej oczy nadal pełne były łez, a uczucie żalu i winy dusiło ją.

To prawda, że nie przyjeżdżała do domu tak często jak kiedyś.

Jej życie kręciło się teraz wokół nauki.

Ale nie chodziło tylko o to.

Po jej wyprowadzce od pani Meadows na plebanii zapanował ten sam ponury nastrój, któremu towarzyszyły te same posepne przestrogi, co wtedy, gdy powiedziała, że chce pójść do szkoły plastycznej.

Dinah nie miała zamiaru powtórnie znosić tej atmosfery, więc unikała odwiedzin.

Kiedy urwały się jej cotygodniowe podróże, poczuła się tak, jakby z jej barków zdjęto wielki ciężar; po raz pierwszy w życiu zaczynała uświadamiać sobie, co znaczy prawdziwa wolność.

Ale teraz ta wolność się na niej mściła.

Jak mogła pozwolić sobie na taki egoizm?

Dopuszciała, by matka znalazła się na obrzeżach jej życia, a w tej chwili za późno, by to naprawić.

Ruth leżała w oddzielnym pomieszczeniu.

Wyglądała bardzo spokojnie, jakby spała, a jej skóra nie nabrała jeszcze woskowego odcienia śmierci.

Dinah, która po raz pierwszy widziała zmarłego, oparła się o framugę, bojąc się wejść do środka.

- Chodź, kochanie, ona nic nie może ci zrobić.

- Głos pielęgniarki brzmiał stanowczo, ale i pocieszająco; Dinah, która rzadko spotykała się z ciepłem i współczuciem, miała wrażenie, że uprzejmość siostry doprowadzi ją do łez.

Kobieta objęła ją i delikatnie popychając, wprowadziła do pokoju i położyła jej rękę na jeszcze ciepłej dłoni matki.

- Widzisz, jaka jest spokojna.

Jest piękna.

Nie cierpiała, zapewniam cię.

Chcesz zostać z nią przez chwilę sama?

Wyjdę na minutkę, ale będę obok, jeśli byś mnie potrzebowała.

Czujesz się już lepiej?

Dinah kiwnęła głową.

Stała przy łóżku, patrząc na matkę.

Teraz, kiedy było już za późno, zapragnęła powiedzieć jej tyle rzeczy.

Zrozumiała, że tak naprawdę nigdy ze sobą nie rozmawiały.

Zupełnie nie przypominała sobie czasów poprzedzających śmierć ojca.

Jej życie zaczęło się od momentu przeprowadzki na plebanie.

Tam rządził dziadek, który nie dopuścił, by między matką i córką zawiązały się przyjacielskie stosunki.

Gdyby tylko mogło być inaczej, pomyślała Dinah.

Uklękła przy łóżku, podniosła bezwładną dłoń umarłej i przytuliła do swojego mokrego policzka.

- Przepraszam, mamó - wyszeptała.

Co, to znaczy, że wracasz dzisiaj do szkoły?

Dopiero co pochowaliśmy twoją matkę.

To się nie godzi!

Pogrzeb, który zaczął się kilka minut po trzeciej, dobiegł już końca, ale ci z wiernych, którzy z racji uprzywilejowania zostali zaproszeni na plebanie, nadal stali w saloniku, popijając herbatę, zajadając się kanapkami z tuńczykiem i ogórkiem, rozmawiając przyciszonymi głosami o straszliwej tragedii, która przytrafiła się ich uwielbianemu księdzu i jego rodzinie.

- Przykro mi, dziadku, ale wyjeżdżam.

Zamówiłam taksówkę, która zawiezie mnie na stację.

- Odwołaj ją!

Goście chcą ci złożyć kondolencje.

- Nie będę z nimi rozmawiała.

- Chcą ostatni raz wyrazić swój szacunek dla twojej matki.

Powinnaś do nich wyjść.

- Nie, nic nie powinnam.

Nie przyszli tutaj ze względu na mnie, ale ze względu na ciebie.

Ty z nimi rozmawiaj.

Ja wracam do szkoły.

- Dinah!

- Twarz staruszka zmieniła się nie do poznania.

Po raz pierwszy wnuczka odważyła się z nim dyskutować.

- Nie będę tolerował takiego zachowania!

Dziewczyna popatrzyła na niego z nienawiścią, która podświadomie już dawno zaczęła drażnić jej duszę.

Po wyprowadzeniu się z plebanii udało jej się wreszcie spojrzeć na niego z innej perspektywy; teraz, po pięciu dniach spędzonych z dziadkiem pod jednym dachem, marzyła jedynie o tym, by jak najszybciej się stąd ulotnić.

Nie zaznała tu pocieszenia, najmniejszego ciepła czy współczucia, tylko ponury smutek oraz oskarżenia.

Żal po stracie matki dodał jej odwagi, choć nie podejrzewała, że w ogóle ją ma.

- Dziadku, czy tego chcesz czy nie, wyjeżdżam zaraz do szkoły.

Przez chwilę myślała, że ją uderzy.

Jego twarz pociemniała od gniewu.

Raptem po całym ciele przebiegł mu dreszcz, zbladł i wyprężył się jak struna.

- Niech Bóg ci wybaczy, Dinah - rzucił oschle.

Był środek dnia, kiedy Dinah wróciła do wynajętego mieszkania.

Cała buńczuczność zupełnie ją już opuściła, żal i stres kilku ostatnich dni, sam pogrzeb wreszcie, zaczęły zbierać żniwo, tak że czuła się zupełnie wyzuta z sił.

Weszła do mieszkania przypuszczając, że jest puste, rzuciła torbę na podłogę obok sofy, po czym poszła do kuchni, by zrobić sobie kawę, której rzeczywiście w tym momencie bardzo potrzebowała.

- Jak było?

- Usłyszała dochodzący od drzwi głos i podskoczyła.

Odwróciła się.

To był Neil.

Stał oparty o framugę.

- A czego byś się spodziewał?

- Okropnie?

- Naprawdę mi przykro, Dinah.

Nie wiem nawet, co ci powiedzieć.

Koledzy wiedzieli, że jej matka umarła.

Poinformowała ich o tym telefonicznie i zawiadomiła, że wróci dopiero po pogrzebie.

- Co tu jest do powiedzenia.

Co robisz w domu o tej porze?

- Postanowiłem opuścić wykład i popracować trochę w samotności.

Malował, widziała - miał jasne smugi po farbach na wypłowiałych dżinsach.

Zagwizdał czajnik.

- Chcesz kawy?

- zapytała.

- Nie.

Wiesz co, mam lepszy pomysł.

Napijmy się czegoś porządnego.

- Wina?

W środku dnia?

- Nie wina, wódki.

Co to ma do rzeczy, jaka jest pora dnia?

To ci pomoże.

Chodź.

Dinah wsypała kawę z powrotem do słoiczka i wytarła ściereczką kubki.

Neil był w swoim pokoju.

- Będziemy ich potrzebowali?

- spytała wskazując na kubki.

- Nie, wyobraź sobie, że mam tu kieliszki, dzięki uprzejmości

Whitea Harta.

- Roześmiał się, sięgając za łóżko po szkło i butelkę.

- Chcesz je umyć, czy uwierzysz, że nie mam żadnej zaraźliwej choroby?

- Wierzę ci.

- Myśl, że będzie piła z kieliszków, których on używał, wydała jej się dziwnie podniecająca.

- Ale nie jestem pewna, czy powinnam pić wódkę.

Jest smaczna?

- Spróbuj i sama się przekonaj.

- Nalał sporą ilość, dodał soku z pomarańczy, po czym podał jej kieliszek.

- Tylko nie pij tego tak jak wina.

To mocny alkohol, uderza do głowy.

Usiadła na brzegu łóżka, popijając drinka i czując, jak rozgrzewa jej zmęczone ciało.

Neil usadowił się na jedynym w pokoju krześle.

- Nie spodziewaliśmy się ciebie dzisiaj - stwierdził.

- Nie tak zaraz po pogrzebie.

- Nic mnie tam nie trzymało.

- A co z dziadkami?

- Hm.

- Roześmiała się krótko, z goryczą.

- Źle z nimi żyjesz?

- zapytał.

- Można tak powiedzieć.

Dziadek chce, żeby wszystko toczyło się tak, jak on sobie tego życzy.

Nie znosi, kiedy ktoś mu się sprzeciwia.

Nie może mi wybaczyć, że opuściłam dom.

A babcia...

to dziwne.

Zamieszkałam z nią, kiedy miałam siedem lat, a jednak mam wrażenie, że w ogóle jej nie znam.

Jest taka cicha, nigdy nie wyraża swoich opinii, po prostu zachowuje się jak cień dziadka.

Tak jakby w ogóle nie istniała.

- Więc nie będziesz teraz często jeździła do domu.

- Myślę, że nigdy tam już nie pojedę...

- Łza pociekła jej po nosie.

Zakryła ręką usta, starając się powstrzymać płacz.

- Przepraszam...

przepraszam...

- Hej, nie rozklejaj się!

Dinah, uspokój się!

- Wstał z krzesła i usiadł obok niej, wyjmując jej z rąk szklaneczkę i stawiając ją na podłodze.

- Potrzebujesz chusteczki?

- Nie, dziękuję, mam swoją.

- Sięgnęła pod rękaw i wyciągnęła zmiętą chusteczkę.

Nie przestawała płakać i kiedy Neil ją objął, oparła na nim twarz i łkała mu w zgięcie łokcia.

Przytulał ją delikatnie, kołysał, a po chwili zaczął całować po włosach, po czole.

Dinah zdała sobie z tego sprawę, dopiero kiedy minął pierwszy paroksyzm płaczu.

Uniosła nieco głowę, a on całował jej nos i policzki.

Nie poruszała się, czując, jak w jej wnętrzu zaczyna krążyć coś ciepłego i słodkiego.

Całował jej oczy, zlizując delikatnie słoną wilgotność łez.

W tej chwili bliskość tego chłopca była dla niej nie tylko czysto fizyczna, choć pociągał ją od miesięcy.

Jego współczujący dotyk znaczył, że nie jest już sama.

Dinah, której przez całe życie brakowało prawdziwego uczucia, odpowiedziała na ciepło obejmujących ją ramion z zapalem dziecka szukającego piersi matki.

Przycisnęła się mocno i kiedy jego usta dotarły do jej warg, oddała mu pocałunek z namiętnością, która zupełnie go zaskoczyła.

Rozpiął jej bawełnianą bluzeczkę, wsuwając pod nią palce, a ona nie protestowała.

Wręcz odwrotnie, kiedy dotarł do piersi, odnalazł sutek i zaczął go pieścić, przytuliła się do niego jeszcze bardziej.

Popchnął ją miękko na łóżko i położył się obok.

Odwróciła się, przywierając do niego całym ciałem.

Miała podwiniętą spódnicę.

Spodziewając się oporu, podciągnął ją powyżej bioder, ale zamiast oburzenia zobaczył na jej twarzy zniecierpliwienie spowodowane tym, że ich ciała musiały rozdzielić się nawet na tę krótką chwilę.

Przycisnęła się do niego ponownie, najmocniej jak mogła, obejmując go nagimi udami.

Neil poczuł, że zalewa go pot.

Zamierzał jedynie pocieszyć tę dziewczynę; lubił ją i nawet trochę z nią flirtował, ale nie miał na myśli niczego poważnego - zresztą chodził na stałe z Angie.

Ale żaden mężczyzna z krwi i kości nie zostawiłby kobiety, która tuliłaby się do niego, tak jak robiła to teraz Dinah.

Naprawdę wyglądało na to, że pragnie się z nim przespać.

Wsadził w nią palec, głęboko.

Skrzywiła się i już wiedział na pewno, że się nie mylił - była dziewicą.

Odsunął się.

Nie potrzebował takich komplikacji.

Ale ona przyciągnęła go do siebie, drżąca, niemalże łkająca.

- Proszę, nie zostawiaj mnie, nie zostawiaj!

Nie potrafił się oprzeć.

Zapomniał o ostrożności, zapomniał o Angie, zawładnęło nim pożądanie.

Szybko było po wszystkim - za szybko - i natychmiast pojawiło się poczucie winy.

- Boże, Din, przepraszam!

Nie chciałem...

Ale ona nadal tuliła się do niego, nadal łkała.

- Och, powiedz, że mnie kochasz, proszę, powiedz!

- Dinah!

- Wyplątał się z jej objęć.

- Rany boskie!

- Popatrzył na nią, leżącą na łóżku; wyraz twarzy zapowiadał następny atak płaczu.

- Dinah, posłuchaj, powiedziałem, że cię przepraszam.

Ale ty...

naprawdę sama się o to prosiłaś.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się, z ust wyrwał się urywany szloch, usiadła, pospiesznie porządkując ubranie, jakby to miało coś zmienić.

- Dinah!

- Wyciągnął do niej rękę.

Odsunęła się gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie!

- Ale...

- Nie dotykaj mnie, rozumiesz?

Wzruszył ramionami i odwrócił się.

- Jak chcesz.

Włożyła buty i pobiegła do holu po bagaż.

Wpadła do swojego pokoju, zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie, ledwo trzymając się na nogach i patrząc przed siebie otępiałym wzrokiem.

Co ona zrobiła?

Co ją opętało?

Czy to wódka?

Nic dziwnego, że dziadek mówił, iż prowadzi do wiecznego potępienia!

A może po prostu desperacko potrzebowała kogoś, kto by ją kochał, kto by ją pocieszył?

Wiedziała tylko, że rzuciła się na Neila jak jakaś dziwka i teraz nie wyobrażała sobie, żeby kiedykolwiek mogła spojrzeć mu w oczy - i innym.

Pogrążona w rozpacz i wstydzie zsunęła się na podłogę, zwinęła się tam w kłębek, patrząc przed siebie bezmyślnie.

Kiedy godzinę później Lynne wchodziła do pokoju, Dinah nadal leżała w tym samym miejscu.

- Och, moja biedaczko!

- zawołała koleżanka, przedtem tłumacząc Dinah, że musi się ruszyć, bo tarasuje wejście.

- Było aż tak okropnie?

Dziewczyna bez słowa kiwnęła głową.

- Pogrzeby są straszliwe, wiem, zwłaszcza pogrzeb kogoś bliskiego.

Chodź, zrobię ci herbaty.

A może napiłabyś się czegoś mocniejszego?

Wydaje mi się, że Neil ma wódkę.

Jestem pewna, że w takich okolicznościach...

- Nie!

- rzuciła pośpiesznie Dinah.

- Poproszę herbatę!

Nie zamierzała powiedzieć Lynne, że piła już wódkę, a już z pewnością nie zdradzi nikomu - chyba że zrobi to Neil - do czego między nimi doszło.

Jedyne, czego chciała w tej chwili, to zapomnieć.

I mogła się tylko modlić, żeby Neil chciał tego samego.

Pewnego czerwcowego poranka, jak codziennie, Dinah wyszła do szkoły, kiedy jednak doszła do budynku, trzech pięter bezdusznego betonu, wiedziała, że tym razem nie zniesie siedzenia tam.

Przeszła przez parking, minęła niskie budynki, w których mieli zajęcia studenci kursu podstawowego, i znalazła się na rozległym trawniku schodzącym do strumienia.

Poranek był prześliczny, błękitne niebo bez jednej chmurki i zieleń jeszcze nie zanieczyszczona letnim kurzem, świeża i soczysta.

Łagodna bryza poruszała okwieconymi gałęziami, zwieszającymi się nad dróżką, którą szła.

Ptaki przelatywały i przysiadły na odpoczynek w krzakach i choć było jeszcze wcześnie, pszczoły bzyząc fruwały z kwiatu na kwiat.

Jednak Dinah nie zwracała na to wszystko uwagi.

Była zbyt zamyślona, zamknięta w swoim świecie, od kiedy zaświtała jej w głowie straszliwa myśl, że może być w ciąży.

Chociaż nękały ją ciągłe nudności, zrzucała je na karb złego samopoczucia, ale mimo że odczuwała ból w dole brzucha, okres nie pojawił się w odpowiednim czasie.

Pomyślała, że miesiączka opóźnia się także z powodu depresji - wiadomo, że emocje mają wpływ na regularność cyklu miesiączkowego, i im więcej się o tym myśli, tym bardziej okres się opóźnia.

Jednak gdzieś w głębi duszy przez cały czas czuła, że przyczyna jest inna.

Po trzech tygodniach dostała lekkiego krwawienia, które trwało pół dnia, wraz z mocnymi skurczami żołądka.

Ucieszyła się, ponieważ myślała, że to dowód, iż wszystko z nią w porządku.

Kiedy jednak krwawienie nagle ustało, zaczęła się martwić na nowo.

Dlaczego męczy ją ten tępy i uporczywy ból?

Dlaczego ciągle jest jej niedobrze?

Dlaczego powiększał się jej biust?

Nigdy nie miała takich ciemnych brodawek, pokrytych małymi, białymi bąbelkami.

Z dnia na dzień ogarniał ją coraz większy lęk, dręczył ją nawet we śnie, przez co budziła się w nocy cała roztrzęsiona, ze spłakaną twarzą.

Nikomui nie mówiła o swoich podejrzeniach - uważała za najważniejsze utrzymanie ich w tajemnicy.

Od tamtego dnia Neil prawie w ogóle się do niej nie odzywał, co ją bolało, ale wcale nie dziwiło.

Rozumiała, że czuł się zażenowany, i całą winą obarczała siebie.

Nie chciała, by dowiedział się, że w trakcie ich krótkiego zbliżenia zaszła w ciążę; nie pozwalała jej na to duma.

Musiała jednak coś postanowić.

Nie mogła bez przerwy udawać, że nic się z nią nie dzieje.

W tej chwili nie było jeszcze widać - zachowała szczupłą sylwetkę, choć utyli nieco w pasie - ale przecież nie uda jej się kryć z tym bez końca.

Przechadzała się nad rzeką, starając się uspokoić i ustalić jakiś plan.

Jeśli zostanie w collegeu, nie tylko Neil zorientuje się, że jest w ciąży, ale w ogóle wszyscy.

Ogarnęło ją przerażenie na samą myśl o tym, aż zaczęła się trząść.

Musi zwolnić się na rok i wyjechać, zdecydowała.

Ale co zrobi po urodzeniu dziecka?

Oczywistą odpowiedzią była adopcja, jednak to rozwiązanie napawało ją obrzydzeniem.

Poczuła skurcz żołądka, jakby chciała chronić znajdujące się w jej łonie dziecko.

Nagle uświadomiła sobie, że nigdy się nie zgodzi na rozstanie z nim.

Gdybym wyjechała stąd natychmiast, gdzieś, gdzie nikt mnie nie zna, może mogłabym sama wychowywać dziecko, rozważała.

Musiałyby oczywiście pójść do pracy.

Wprawdzie nie o takiej karierze życiowej marzyła, ale przynajmniej miałyby nadzieję.

Przez chwilę czuła się nawet radośnie, jakby czekała ją wielka przygoda, ale zaraz ogarnął ją lęk przed ogromem planów, jakie tworzyła.

W całym tym zamieszaniu jedna myśl nie przyszła jej do głowy nawet przez sekundę, a mianowicie, żeby pojechać do domu.

Nie chciała dać dziadkowi satysfakcji.

Postanowiła, że z tej katastrofy wyjdzie sama.

Christian Van Kendrick junior albo Van, jak lubił się przedstawiać, nie był zadowolony.

Nie należało do jego obowiązków przyjmowanie i ocenianie chętnych do pracy w fabryce obuwia ojca - przynajmniej on uważał, że nie jest to jego zadanie.

Ojciec jednakże, Christian senior, myślał inaczej.

- Muszę wyjść - oświadczył.

- Mam spotkanie z dyrektorem banku.

Możesz sam przyjąć interesantów.

Zgłosiły się tylko trzy osoby.

Wiesz, jakiego człowieka szukamy - kogoś stałego i odpowiedzialnego, rzetelnego pracownika, który nie idzie na chorobowe co tydzień, bo przesadził z piciem w sobotni wieczór.

Najlepszy będzie chyba mężczyzna, który niedawno się ożenił.

Takiemu potrzebne są pieniądze i chętnie zostanie po godzinach, żeby dorobić.

- Niech ich przyjmie Jim Prater - zasugerował Van.

Jim Prater był prawą ręką szefa.

Pracował w fabryce od wielu lat - od czasu, kiedy Christian Van Kendrick przeprowadził się do Anglii z Holandii, tuż przed ostatnią wojną, i otworzył małą fabryczkę obuwia roboczego.

Zdaniem Vana Jim najlepiej nadawał się do przeprowadzenia rozmowy wstępnej - w końcu to on będzie pracował z człowiekiem, którego wybierze, i jeśli po dwudziestu pięciu latach nie potrafi rozpoznać dobrego pracownika, to niesłusznie zajmuje swoje stanowisko.

Ale stary nie chciał o niczym słyszeć.

- Christian, proszę o to ciebie.

Zdobędziesz doświadczenie.

Kiedyś ja odejdę, a ty zajmiesz moje miejsce.

Pierwsza rozmowa ma się odbyć o trzeciej, a tu są życiorysy...

Van ze złością zacisnął usta.

Wiedział, że nie ma sensu się sprzeczać - i tak w końcu ojciec postawi na swoim.

Był najbardziej upartym człowiekiem na świecie; czasami Van przypominał sobie legendę o holenderskim chłopcu, który ocalił miasto przed zatopieniem, wtykając palec w dziurę w tamie.

Wyobrażał sobie, że tym chłopcem mógłby być ojciec - on też stałby godzinami przy zaporze, z palcem w dziurze, gdyby tylko tak postanowił.

Możliwe, że upór stanowi narodową cechę wszystkich Holendrów.

Van podniósł kartki spięte metalowym klipse, które rzucił mu na biurko ojciec, po czym wyszedł z biura, trzaskając drzwiami.

Kiedy przechodził przez halę produkcyjną, Jim Prater podniósł na niego wzrok i złożył mu kpiący salut.

Van uklonił się uprzejmie - nie było sensu przekrzykiwać huku maszyn, a zresztą nie miał nic do powiedzenia.

Wszedł do swojego biura, włączył światło - pojedynczą żarówkę w białej plastikowej oprawie, zawieszoną nad biurkiem - i opuścił żaluzje na oknie wychodzącym na park maszynowy.

To biuro wyglądało identycznie jak biuro ojca, tylko w tamtym nie było zasłon ani żaluzji, ale Van nie znosił wrażenia, że siedzi w akwariu jak złota rybka, więc kazał je zainstalować.

Przekręcone ukośnie pozwalały obserwować pracowników, samemu nie będąc widzianym.

Westchnął, uświadamiając sobie prawdę, której zawsze unikał, a która nieustannie tkwiła gdzieś w głębi jego umysłu.

Nienawidził fabryki, nie znosił jej przyziemności, przeświadczenia, że Kendricks jest małym rodzinnym przedsięwzięciem, które nigdy się nie rozwinie - nie miało na to szans - w większą inwestycję.

Najbardziej jednak irytowało go przecucie, że fabryka opłotła go mackami, tak nieugiętymi jak upór ojca, i nigdy stąd nie ucieknie.

Van nie miał wątpliwości, że Christian senior przeznaczył fabrykę dla niego.

Zanim jeszcze Van nauczył się chodzić, ojciec oprowadzał go w wózku po maszynowni, a kiedy chłopiec był starszy, trzymając go za rękę, by się przypadkiem nie skaleczył, pokazywał mu krajalnię, szwalnię, tłumacząc, co się tam dzieje.

Wówczas Van uwielbiał hałaśliwy szum i zapach skóry, uwielbiał słuchać opowiadania o tym, jak ojciec przybył do Anglii z Amsterdamu, zakochał się w matce, ożenił się z nią, po czym odkupił małą, upadającą fabryczkę, której pierwszy właściciel zbankrutował.

- Śmiali się, że Holender robi buty - mawiał.

- Im się wydawało, że my chodzimy tylko w drewnianych chodakach.

Ale im pokazałem.

O tak, pokazałem im.

Młody Van słuchał tych historii i nigdy go nie nudziły.

Jednak później jego entuzjazm zaczął słabnąć.

Nie jest łatwo, rozumował, zachwycać się w nieskończoność obuwem roboczym, które na dodatek jest niewyobrażalnie brzydkie.

Ale sprzedawało się dobrze - i właśnie na tym polegała pułapka.

Tysiące mężczyzn nosiło do pracy tanie, wygodne, choć nieładne buty i Kendricks posiadało część rynku, zwłaszcza że zdobyli sobie reputację producentów tanich, ale za to z wysoką jakością.

Fabryka nie przynosiła kokosów, ale nie miała też strat; choć Kendrickowie nie byli w żadnym wypadku ludźmi bogatymi, wiodło im się dobrze.

Van miał w tej chwili trzydzieści lat i zdawał sobie sprawę, że dużo zawdzięcza firmie ojca - pogodne dzieciństwo, wykształcenie, odpowiedni poziom życia, do którego przywykł - ale mimo wszystko nie znaczyło to, że musi lubić fabrykę lub też funkcję, którą w niej pełnił.

Ojcu może wystarczały niewygórowane ambicje; Van miał większe.

Irytowała go duma ojca, a doprowadzało do rozpaczki przekonanie Christiana seniora, że syn przejmie interes i będzie go prowadził w ten sam sposób.

Nie chodziło o czas poświęcany fabryce - Van nie obawiał się ciężkiej pracy.

Jednak pragnął osiągnąć coś więcej, nie chciał oddawać temu miejscu całego swojego życia.

Wielokrotnie w ciągu ostatnich lat starał się przekonać ojca, żeby pozwolił mu rozwinąć fabrykę, ale staruszek reagował ze zwykłym sobie uporem.

- To porządna firma - twierdził.

- Nie powinna się zmieniać.

Lepiej, kiedy sami ją prowadzimy.

Znam wszystkich swoich pracowników.

Byłem świadkiem, jak rosły ich dzieci.

Zwyczaj wyprawiania przyjęcia bożonarodzeniowego dla dzieci pracowników, na którym Christian przebrany za świętego Mikołaja rozdawał pomarańcze, jabłka i niedrogie prezenty, zawieszane na olbrzymiej choince, oraz coroczne wycieczki do Weymouth, na które Kendricks wypożyczało dwa autokary, na stałe wpisały się do kalendarza fabryki.

- Ale my musimy się rozwijać - nastawał Van.

- Czasy się zmieniają i musimy im dotrzymać kroku.

Obecnie liczą się tylko rzeczy dużego formatu.

Niedługo nie będzie miejsca dla małych przedsiębiorców.

Jeśli nie zmodernizujemy fabryki, nie wprowadzimy nowej linii produkcyjnej, inni zepchną nas na boczny tor.

- Nie zgodzę się na te nowoczesne metody.

Jakość jest naszym znakiem firmowym.

- Trzeba zrezygnować z jakości.

- Prawie trzydzieści lat prowadzę tę fabrykę i dobrze mi się wiedzie.

- Jednak powinniśmy wprowadzić nową linię - stwierdził Van, zmieniając taktykę.

- Jeśli zapotrzebowanie na obuwie robocze się zmniejszy, skończymy się.

- Bzdura!

Robotnicy zawsze będą używali naszych butów.

- Ale już nie w takich ilościach.

- Van powoli tracił cierpliwość.

- Nie ma sensu zachowywać się jak dinozaur.

Nie widzisz, że czasy się zmieniają?

Ludzie nie muszą już kilometrami dochodzić do pracy, mają samochody.

A w fabrykach zastępują ich maszyny.

Za dwadzieścia lat zaczną się bardziej interesować tym, co założyć po pracy, a nie do pracy.

Musimy się na to przygotować.

- Kendricks znane jest z obuwia roboczego.

W tej części świata Kendricks to jest obuwie robocze.

I nie zmienił zdania, bez względu na to jak rozsądne argumenty podsuwał mu syn.

Czasami, pod wpływem krańcowej frustracji z powodu nieugiętego stanowiska ojca, Van rozważał ewentualność opuszczenia fabryki i utworzenia własnej, ale nie posiadał odpowiedniego kapitału, a bez wsparcia rodziny nie dostałby pożyczki z banku.

Poza tym nie miał pojęcia, co mógłby produkować oprócz butów ochronnych, bo tylko na tym się znał.

Pomimo rodzącego się zgorzknienia, Van nie potrafił zdobyć się na ten krok.

Gdyby otworzył konkurencyjną fabrykę, złamałby ojcu serce.

Poza tym nowa firma nie byłaby dochodowa - rynek na obuwie robocze kurczył się.

Walka na tym małym skrawku doprowadziłaby niezawodnie do upadku i ojca, i syna.

Van doszedł do wniosku, że nie pozostaje mu nic innego, jak trzymać się ojca i starać się przekonać go do zmiany zdania.

Jeśli mu się nie uda, będzie musiał czekać do czasu, aż ojciec przejdzie na emeryturę i sam przejmie ster rządów.

Wtedy zamieni swoje idee w czyny.

Staruszek zapewne nie popuści nawet po odejściu, ale Van już teraz zdecydował, że kiedy władza znajdzie się w jego rękach, będzie robił to, co uzna za stosowne.

Tylko żeby nie okazało się, że jest za późno - żeby Kendricks nadal jeszcze istniało i mogło służyć jako odpowiednia baza do rozwoju.

Dla człowieka z temperamentem Vana takie oczekiwanie nie było łatwe.

Ojciec miał już sześćdziesiątkę na karku, ale nie wyglądał na znużonego pracą.

Nadal wstawał o świcie, szedł dwie i pół mili do fabryki, jak zawsze przez trzydzieści lat, nawet w deszcz; zachował swój paternalistyczny sposób bycia, z przyjemnością lustrował z okna swojego małego biura robotników obrabiających jego ukochane buty.

Przechadzając się zaś po fabryce na bieżąco kontrolował jakość, zagadywał przy tym o zdrowie rodziny pracownika.

I nadal wydawał instrukcje, które dla Vana brzmiały jak rozkazy, choć ojciec oddał mu stanowisko dyrektora.

Van westchnął, sięgnął po paczkę papierosów i zapalił jednego.

Następnie wziął życiorysy kandydatów i je przejrzał.

Dwaj mężczyźni i jedna kobieta - a dokładniej dziewczyna, studentka.

Niezbyt odpowiednia kandydatka - gdyby to on prowadził fabrykę, nie zawracałby sobie głowy takimi zgłoszeniami, ale ojciec miał zasadę wysłuchiwać każdego, kto złożył podanie o przyjęcie.

- Podjęli trud, żeby się do nas zgłosić, więc przynajmniej z nimi porozmawiajmy - mawiał.

Tak jakby miało im to poprawić humor, kiedy zostaną odrzuceni, myślał z przekąsem Van.

Zerknął na zegarek.

Pierwsza osoba zgłosi się za pół godziny.

Zdąży w tym czasie przejrzeć część korespondencji.

Zadzwoił po sekretarkę, którą dzielił z ojcem.

- Jean, mogłabyś przyjść, podyktuję ci kilka listów.

Następnie przesunął zyciorysy na skraj biurka, by zrobić miejsce na pilniejsze dokumenty.

Dinah zjawiała się na dziesięć minut przed czasem.

Zawsze pamiętała o punktualności, ponieważ wpajano ją jej od dzieciństwa.

Usiadła w wąskim przejściu naprzeciwko pokoju sekretarki; ręce w ciemnych i długich bawełnianych rękawiczkach trzymała na kolanach, udając spokój, ale była spięta.

Przez okno widziała sekretarkę, która bez przerwy stuknęła coś na maszynie, a przez odrapane ciemnobrązowe drzwi dochodził ją nieustający szum, przygnębiająco monotony hałas.

To, co do tej pory zobaczyła, wcale jej się nie podobało; fabryka wyglądała odpychająco i nienowocześnie, zupełnie nie pasowała do wizji przyszłości, jaką sobie wymarzyła, ale czy miała jakiś wybór?

Potrzebowała pracy, a ta miałaby pewne zalety.

Płaca, choć niewygórowana, wystarczyłaby na utrzymanie do czasu urodzenia dziecka, a siedzenie przy maszynie jest lepsze niż stanie w sklepie albo czekanie na zamówienie przy stoliku kawiarnianym, jednym słowem na nogach przez cały dzień.

Dinah umiała szyc.

Zawsze była dobra w posługiwaniu się igłą, a nie wyobrażała sobie, żeby szycie butów tak bardzo różniło się od szycia odzieży.

Otworzyły się drzwi prowadzące na teren fabryki i wyszedł z nich średnio zbudowany mężczyzna ubrany w sportową marynarkę z taniego tweedu i źle skrojone spodnie.

Dinah popatrzyła na niego wyczekująco, ale przeszedł obok niej i wyszedł na zewnątrz.

Jeszcze jeden kandydat do pracy?

Poczuła skurcz serca.

Może Kendricks poszukiwało mężczyzn?

Mijały minuty.

Dinah spojrzała na sekretarkę, nadal walącą z furją w klawisze maszyny, ale dziewczyna zachowywała się tak, jakby zupełnie zapomniała o jej obecności.

Znowu otworzyły się drzwi i pojawił się w nich następny mężczyzna, trochę postawniejszy, z ciemnymi, prostymi włosami i oczami tak ciemnoniebieskimi, że wydawały się prawie czarne.

Miał na sobie koszulę - nieskazitelnie białą, do tego krawat w szaroniebieskie pasy i szare spodnie, które z pewnością były częścią drogiego garnituru.

Przy nadgarstkach połyskiwały złote spinki.

Od mężczyzny biła pewność siebie i siła.

Dinah wstała, poprawiła dopasowaną czarną spódniczkę, która zaczynała być zbyt obcisła w pasie.

- Panna Marshall?

- Głos mężczyzny pasował do jego wyglądu, niski i stanowczy, z lekkim akcentem z West Country.

Dinah kiwnęła twierdząco głową.

Granatowe oczy chłodno ją otaksowały.

Wydawało jej się, że nieznajomy przenika jej wnętrze i odgaduje sekrety, które należały tylko do niej.

Uświadomiła sobie, że się czerwieni.

- Nazywam się Van Kendrick.

- Oczy mężczyzny spoczęły na jej twarzy, usta z pełną, raczej zmysłową dolną wargą ułożyły się w zimny uśmiech.

- Przykro mi, że musiała pani czekać.

Proszę pójść za mną.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego chce pani dla nas pracować, panno Marshall - oświadczył Van Kendrick.

- Szycie butów to nie najlepsze zajęcie dla kogoś z takimi kwalifikacjami.

Dinah przełknęła ślinę ze zdenerwowania.

Była przygotowana na to pytanie.

- Nie stać mnie na pozostanie w collegeu.

Niedawno umarła moja matka.

- Rozumiem.

- Spojrzał na nią i ponownie zobaczył bezradność za maską pewności siebie, co od razu rzuciło mu się w oczy i zrozumiał - lub mu się przynajmniej wydawało, że zrozumiał.

Ta dziewczyna miała zranioną duszę, była przepełniona żalem, jej bezpieczne życie nagle się zawaliło.

Jest bardzo młoda, pomyślał, i bardzo atrakcyjna.

Van pozostał kawalerem, ale znał wiele dziewcząt.

Pociągał je wyglądem, pieniędzmi i osobowością - mieszanką charyzmy i szorstkości, które, choć jeszcze nie w pełni wykształcone, drzemały w nim jednak od urodzenia.

Ale żadna ze znanych mu kobiet, nawet te najpiękniejsze, nie zrobiły na nim takiego wrażenia, jak siedząca przed biurkiem dziewczyna.

Patrzył na nią i czuł, że chce ją pocieszyć, chce zobaczyć, jak ta twarz o delikatnych kościach policzkowych rozjaśnia się w uśmiechu.

Jednak zaraz odsunął od siebie tę myśl, uważając ją za nierozsądną, no bo w interesach na sentymenty nie ma miejsca.

- Nie jestem przekonany, czy to zajęcie jest dla pani odpowiednie - stwierdził.

- To ciężka praca i może być monotonna.

Szczerze mówiąc podejrzewam, że wkrótce znudziłaby się pani na śmierć, a mnie nie stać na ciągle przyjmowanie i szkolenie nowych pracowników.

Dziewczyna zmieniła się na twarzy; wyprostowała się na krześle, zbijając w kulę parę ciemnych rękawiczek.

- Nie zawiodę pana.

Naprawdę potrzebuję tej pracy.

Przyglądał się jej uważnie.

- Jestem pewny, że znajdzie pani inną, bardziej odpowiednią do pani kwalifikacji.

Co właściwie pani studiowała?

- Projektowanie mody.

Jestem bardzo zainteresowana butami.

Pierwszy, nikły płomyk podniecenia zaczął się jarzyć w jego sercu.

Próbował go zignorować.

- Nie nazwałbym obuwia, które produkujemy, butami.

Nie jest to to, o czym pani myśli.

Znajdujemy się lata świetlne od kanonów obecnej mody.

- Ale robicie je ze skóry, prawda?

Uwielbiam pracować w naturalnych materiałach.

Zrobiłam projekt butów i dodatków do nich.

Och, wiem, co chce pan powiedzieć o waszych butach.

Nie są zbyt interesujące...

- Zamilkła, zagryzając usta w momencie, gdy uświadomiła sobie, co właśnie powiedziała, ale po chwili mówiła dalej: - Chodzi o to, że nauczę się techniki robienia butów i może w przyszłości...

- Znowu przerwała.

Van domyślił się, że dziewczyna mimowolnie przyznała się do tego, że nie zamierza na długo się związać z fabryką, i czuje się teraz zażenowana.

Uśmiechnął się podniecony, bo plan sam zaczął układać mu się w głowie.

Chciał po odejściu ojca otworzyć w Kendricks nową linię produkcyjną.

Może ma przed sobą kogoś, kto pozwoli mu urzeczywistnić te zamierzenia.

Pomyślał o dwóch kandydatach, których zdążył już tego popołudnia przyjąć - porządni, pozbawieni wyobraźni mężczyźni, którzy niedawno pozakładali rodziny, dokładnie tacy pracownicy, o jakich myślał ojciec.

Obydwaj się nadawali, obydwaj prawdopodobnie okazaliby się odpowiedzialni i pracowici.

Ponownie popatrzył na dziewczynę, na jej urzekającą twarz, pełną zapału, młodą i żywą, i wydało mu się, że widzi w niej ukryte zdolności twórcze.

Ojciec wybrałby jednego z mężczyzn, tego był pewien, tylko że nie on przeprowadzał rozmowę kwalifikacyjną.

Wybór należał do niego - i dokonanie go sprawi mu niewymowną radość!

- Wspaniale - powiedział.

- Ma pani tę pracę, panno Marshall.

Kiedy może pani zacząć?

Natychmiast otrzymał nagrodę w postaci uroczego uśmiechu, o którym wiedział, że się pojawi, wystarczyło go tylko wywołać.

- Mogę zacząć od poniedziałku - poinformowała.

- I dziękuję panu, panie Kendrick.

Bardzo dziękuję.

Pewnego dnia, po tygodniu pracy w fabryce, Dinah została wezwana do szefa.

Natychmiast poczuła szybsze bicie serca i mdłe ćmienie w żołądku.

Nie był zadowolony z jej pracy.

Zamierzał ją wylać.

I co ona wtedy zrobi?

Van przeglądał jakieś dokumenty w segregatorze, stojącym na jednej z zakurzonych półek.

- Chciał mnie pan widzieć?

- spytała z wahaniem.

- Dinah.

Tak.

- Popatrzył na nią ciemnoniebieskimi oczami i z miejsca Dinah poczuła, że się czerwieni.

- Jak pani idzie?

- Dobrze.

- Czy nie jest za ciężko?

- Nie...

jest w porządku.

Skłamała.

W ogóle nie lubiła tej pracy; była nudna, tak jak przepowiadał, a twarda skóra, którą trudno się obrabiało, ciągle raniła jej dłonie.

- Dobrze, Dinah.

Chciałem z tobą porozmawiać.

Proszę, usiądź.

Nerwowo zajęła to samo krzesło, na którym siedziała podczas pierwszego spotkania.

Van, zamiast usiąść naprzeciwko, obszedł biurko i przysiadł na jego brzegu z założonymi rękami i wysuniętymi przed siebie nogami.

- Mówiłaś mi, że na studiach najbardziej interesowało cię projektowanie butów?

- Tak.

- To także było kłamstwo.

Owszem, zrobiła projekt butów, ale tylko dlatego, że takie miała zadanie.

Oszukała Vana, myśląc, że skłoni go tym do przyjęcia jej do pracy.

- Zastanawiałem się, czy zechcesz wykorzystać swoje talenty dla mnie.

Zawsze chciałem produkować coś bardziej interesującego od obuwia roboczego, ale nie do końca wiem, jak to zrobić.

Pomyślałem sobie, że może masz jakieś pomysły, którymi mogłabyś się ze mną podzielić.

Dinah była tak zaskoczona, że w jej umyśle zapanowała całkowita pustka.

- Jakiego rodzaju pomysły?

- No cóż, z pewnością nie jesteśmy przygotowani do produkowania modnego obuwia.

Nasze maszyny nastawione są na ciężki materiał, a robotnicy nie mają wymaganego doświadczenia.

Nie, my potrzebujemy czegoś, co wykorzysta zasoby i oprzyrządowanie oferowane przez Kendricks, ale co będzie trafiało do innej części rynku - na przykład ubrania.

Nie wiem.

Tu właśnie widzę pole do popisu dla ciebie.

- Tak...

ja...

- Proszę posłuchać - przerwał jej.

- Niech pani nie myśli, że oczekuję jakichś czarodziejskich sztuczek.

Ale proszę to przemyśleć.

Porozmawiamy o tym za jakiś czas, przy drinku albo przy obiedzie.

Zauważył jej zdziwione spojrzenie i uśmiechnął się.

Wiedział, że dla większości jego pracowników obiad oznaczał popołudniowy posiłek; może Dinah tak właśnie rozumiała jego propozycję.

- Myślę o wieczornym obiedzie, kolacji - wyjaśnił.

Na policzki dziewczyny wypląnęły jaskrawe kolory.

- Och, zrozumiałam pana.

Jadam jednak u kobiety, u której wynajmuję mieszkanie.

- Z pewnością nie obrazi się, jeśli da jej pani jeden dzień wytchnienia - rzucił żartobliwie.

Dinah wahała się.

Obawiała się, że pani Brooks, niestety, się obrazi.

Obrażała się o wszystko, doszukując się zniewag tam, gdzie ich z pewnością nie było, domyślając się krytyki w słowach, które przypadkowo nie zawierały wyraźnej pochwały.

Na dodatek jej kuchnia pozostawiała wiele do życzenia - gulasze bez smaku, sosy z grudami, wszystko bardzo tłuste.

Dinah, ostatnio i tak nękana bez ustanku nudnosciami, tęskniła za smaczną i pożywną kuchnią pani Meadows, a nawet za oszczędnymi, ale urozmaiconymi posiłkami na plebanii, tak więc obiad w restauracji czy choćby barze, na co nie mogła sobie pozwolić, stanowił bardzo kuszącą propozycję.

Jej wahanie nie brało się głównie z obawy o niezadowolenie gospodyni, a raczej o siebie i emocje, jakie budził w niej Van za każdym razem, kiedy spoglądał na nią swoimi ciemnoniebieskimi oczami, a nawet kiedy tylko przechodził obok jej stanowiska pracy.

Nie musiała go widzieć, by zdawać sobie sprawę, że jest; jego obecność była tak namacalna, jakby wyciągnął rękę i jej dotknął, a wtedy ogarniało ją przerażenie, bała się, że Van może wyczuć pierwsze, nieporadne ruchy dziecka w jej łonie.

To szaleństwo, zdawała sobie z tego sprawę.

Nikt przedtem nie działał na nią w ten sposób - ani Dave Hicks, ani z pewnością Neil.

Chociaż wtedy wydawało jej się, że jest zakochana, było to zwykłe młodzieńcze zauroczenie.

Ale to...

to przypominało bardziej uwielbienie, jakie żywi się dla gwiazdy filmowej czy piosenkarza, głębokie i nieziszczalne.

Van nigdy nie zwróci na nią uwagi, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach.

Był od niej o wiele starszy i choć dowiedziała się, że nie jest żonaty, to ktoś w jego wieku i tak atrakcyjny jak on musi mieć dziewczynę albo narzeczoną.

Pochodził też z zupełnie innego świata - wyrafinowany, bogaty właściciel firmy.

Poza tym i tak nie spojrzałby na nią więcej, gdyby dowiedział się, że jest w ciąży, teraz już w trzecim miesiącu.

Jej marzenia nie mogły się urzeczywistnić.

I pewnie dlatego właśnie wywierał na niej tak mocne wrażenie.

Jednak gdzieś w głębi duszy przewrotna myśl mówiła jej, że oto jest mężczyzna przeznaczony dla niej, mężczyzna, którego pewnego dnia pokocha - i kochać będzie do końca życia.

Tego dnia, kiedy zaprosił ją na kolację, uwierzyła, że zrobił to rzeczywiście dlatego, że chciał omówić z nią sprawy przyszłości fabryki, i choć zachwyciła ją ta propozycja, bała się ją przyjąć, nie wiedząc, czy zdoła ukryć swoje uczucia.

Van, jak to on, nie dał jej szansy na przyjęcie czy odrzucenie zaproszenia.

Po prostu mówił dalej, jakby już wszystko zostało ustalone.

- Wolę omawiać moje plany poza fabryką - oświadczył.

- Nie chcę, by na razie ktoś dowiedział się, co mi chodzi po głowie.

Proszę, by zachowała pani naszą rozmowę w tajemnicy.

Są takie momenty w prowadzeniu interesów, kiedy należy działać dyskretnie.

Kiwnęła głową.

- Nic nikomu nie powiem.

I tak mało rozmawiam z innymi.

- Dobrze.

- On też zauważył, że dziewczyna niewiele przestaje z resztą załogi.

- Więc co?

Może jutro?

- Och, nie wiem, czy zdołam wymyślić coś do jutra...

- Proszę się nie martwić.

Coś wymyślimy.

Czy mogę po panią przyjechać?

Około wpół do ósmej?

- Wolałabym gdzieś się z panem umówić - stwierdziła z wahaniem.

Nie chciała, by pani Brooks widziała ją odjeżdżającą dużym, luksusowym samochodem, poza tym wstydziła się ponurego domu, w którym mieszkała.

- Będę czekała na pana na placu przy Pomniku Żołnierza.

Uśmiechnął się.

- Dobrze.

Kiedy wychodziła z biura, nadal się uśmiechał.

Tej nocy prawie nie spała.

Nie było to nic nowego - od tamtego pamiętnego dnia, kiedy stwierdziła, że jest w ciąży, spędziła wiele bezsennych nocy.

Ale to było coś innego.

Zamiast wiercić się i przewracać z boku na bok, zamęczając się problemami, leżała całkowicie rozbudzona, zastanawiając się nad wyzywającym zadaniem, które postawił jej Van.

Nad ranem miała już ze dwa pomysły, nad którymi przemyślała w pracy, podczas gdy jej zręczne ręce przesuwają sztywną skórę pod igłą maszyny.

Nazajutrz widziała Vana raz czy dwa razy, ale prawie nie zwrócił na nią uwagi, przesyłając jej ten sam rutynowy ukłon co reszcie załogi.

Zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie zmienił zdania i nie zostawi jej na lodzie.

Kiedy jednak dotarła do pomnika dokładnie o siódmej trzydzięci, już tam był, a jego niebieski Jaguar miał włączony silnik.

- Znam takie małe bistro - powiedział, kiedy siadała obok niego.

- Pomyślałem, że możemy się tam wybrać.

Dinah kiwnęła głową, z ulgą przyjmując fakt, że nie zabiera jej do jakiegoś bardziej wykwintnego miejsca.

Była zmartwiona, że nie ma w co się ubrać; nigdy nie miała bogatej garderoby, a niektóre rzeczy już na nią nie pasowały.

Ostatecznie wybrała prostą, luźną niebieską sukienkę, z wysoko wszytym pasem i wycięciem w łódkę, która podkreślała linię ramion, oraz z haftem angielskim na karczku.

Van miał na sobie ciemny garnitur z dopasowanym w kolorze, spokojnym krawatem i Dinah zastanawiała się ze strachem, czy przypadkiem nie zmieni planów, kiedy zobaczy jej strój.

Jej obawy rozwiały się, kiedy dotarli do bistro - małej restauracyjki, którą można by nieopatrznie pomylić ze zwykłym domkiem mieszkalnym - lecz Van podał swoje nazwisko mówiąc, że zrobił rezerwację.

Zaprowadzono ich do stolika na tyłach sali, skąd roztaczał się widok na barwny ogród.

Przywitał ich zapach czosnku.

Dinah natychmiast poczuła głód, więc pochrupywała stojące na stole paluszki, zanim podano pierwsze danie - grzyby we wspaniałym śmietankowym sosie doprawianym czosnkiem.

- Oczywiście napije się pani wina - spytał, przeglądając listę alkoholi.

Pomna na to, jak alkohol na nią działa, Dinah odmówiła potrząśnięciem głowy.

- Mogę prosić o wodę?

- Naturalnie.

- Zamówił butelkę Chablis i wodę, ale kiedy kelner przyniósł wino, wstawione w srebrną wazę wypełnioną lodem, Van sprawdził jego smak i spojrzał na nią pytająco.

- Dlaczego nie napije się pani jednego kieliszeczka?

To bardzo dobre wino.

Dinah zawahała się.

Nie chciała wyjść na osobę całkowicie bez ogłady.

- Dobrze.

Może jeden.

Jednak po kilku łykach zostawiła wino.

Po pierwsze rzeczywiście obawiała się, że uderzy jej do głowy, po drugie nie smakowało jej.

Wolała Sauterenes, które piła z Neilem.

- No więc - zaczął Van - miała pani czas pomyśleć o tym, o czym wczoraj rozmawialiśmy?

Wycierał talerz ze śmietankowego sosu kawałkiem chleba; Dinah zaskoczona zachowaniem, które dziadek nazwałby krańcowo niegrzecznym, nie mogła zmusić się, by zrobić to samo.

- Owszem - przyznała.

- Mam kilka pomysłów, ale nie wiem, czy się panu spodobają.

- Proszę spróbować.

- Powiedział pan, że ma to być coś ściśle związanego z obecnym profilem firmy, więc może buty sportowe.

Turystyczne czy do wspinaczki.

Nie wiem, na czym polega ich specyfika, tego musiałabym się dowiedzieć.

Przy obuwiu przeznaczonym do wędrowania najważniejsza byłaby wygoda.

Ale musiałyby być też duże, miękkie i użyteczne, tak jak obuwie, które produkujecie obecnie.

- Uhm, proszę mówić dalej.

- Są jeszcze buty do jazdy konnej.

Ten sport staje się naprawdę popularny, zwłaszcza wśród dziewcząt.

Tam, skąd pochodzę, na koniach jeździli tylko farmerzy i ludzie z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi, ale odkąd przyjechałam tutaj, zauważyłam kucyki na skwerkach i kilka reklam zachęcających do nauki jazdy w szkółkach jeździeckich.

Myślę...

- Skąd pani pochodzi?

- przerwał jej.

- Gloucestershire.

I ostatnim razem, kiedy byłam w domu, zwróciłam uwagę, że tam dzieje się to samo.

Stajnie wynajmujące konie, dzieci jeżdżące...

- Z okolic Gloucestershire?

Dinah zmrużyła oczy; Van zauważył, że coś się w niej zamyka.

Z jakiegoś powodu nie chciała mówić o swoim pochodzeniu, ale jej niechęć pobudzała tylko jego ciekawość.

- Skąd z Gloucestershire?

- naciskał.

- Ze Staverley.

Ale wydawało mi się, że rozmawialiśmy o moich pomysłach, a nie o tym, skąd pochodzę.

Lekki uśmiech przebiegł mu po ustach.

A więc ta posłuszna i zawstydzona dziewczyna potrafi też kąsać.

- Oczywiście, proszę mówić.

- Naturalnie, buty do jazdy konnej to coś zupełnie innego.

Robi się je z dużych kawałków skóry, więc może to być kosztowna inwestycja.

Nie uda się wykorzystać skóry z wadami, jak to robicie obecnie.

Poza tym skóra musiałaby być bardziej miękka, lepiej wyprawiona.

Kiwał głową, zafascynowany jej przemyśleniami i obszerną wiedzą na temat robienia butów, którą zdążyła już zebrać.

Pomimo to nie podobał mu się pomysł wytwarzania butów do jazdy konnej i powiedział jej to.

- Problem polega na tym, że będą musiały być horrendalnie drogie.

Ma pani rację, że potrzebowalibyśmy do nich większych kawałków skóry i lepszego gatunku, a taka nie jest tania.

Ludzie mogą nie chcieć zapłacić takiej ceny.

Wiele dzieci, które widzę na koniach, ma na nogach zwykłe kalosze, co jest zresztą bardzo rozsądne.

Kalosze są bardzo użyteczne i są tanie, zwłaszcza że trzeba je zmieniać co sezon, bo urosła stopa dziecka.

Dinah posmutniała, czując się niemal winna.

- Musiałbym przed wejściem w taką inwestycję gruntownie przebadać rynek - ciągnął.

- Choć można by jakoś obejść skórę.

Robią już bardzo dobre podróbki.

Pomyślę nad tym.

Jakieś inne pomysły?

- Tylko jeden.

Zastanawiałam się nad resztkami skóry...

jak je nazywacie, pozostałościami produkcyjnymi.

Irytuje mnie to, że się je wyrzuca.

Wymyśliłam sposób ich wykorzystania.

- Tak?

Jaki?

- Sandały.

Pokręcił głową.

- Nie wytwarzamy normalnego obuwia konfekcyjnego.

To już zupełnie odbiega od profilu Kendricks.

- Sandały dla mężczyzn.

- Te kawałki nie wystarczą.

Opuściła na stół widelec i nóż.

Oczy ponownie zapłonęły jej zapałem.

- Nie myślę o zwykłych sandałach.

Mam na myśli coś w rodzaju rzemiennych kłapek dla młodych mężczyzn.

Starają się ubierać swobodnie, inaczej niż ich ojcowie.

Zakładają dzinsy i luźne koszulki, nawet jakieś wisiorki.

Potrzebują tylko obuwia, które pasowałoby do reszty.

Poza tym takie sandały nadają się dla obu płci.

Dziewczyny też mogłyby je nosić.

Jeśli użyć resztek, produkcja byłaby naprawdę tania i gdyby się nie sprzedały, dużo by pan nie stracił.

Ale uważam, że mogłyby się okazać bombą sezonu.

Van poczuł mrowienie w karku.

Ta niedoświadczona, niewyrafinowana dziewczyna miała w sobie coś.

Wyczuł to już wtedy, kiedy weszła po raz pierwszy do jego biura, teraz był tego pewien.

Co to jest, dokładnie nie potrafił teraz określić, ale możliwe, że chodzi o umiejętność patrzenia w przyszłość, zdolność przewidywania mody i ustanawiania jej.

W spokojnym, mało ekscytującym świecie produkcji obuwia roboczego rzadko miewał możliwość poznać, a jeszcze rzadziej pracować z kimś, kto posiada ten niespotykany dar, ale w tej chwili miał kogoś takiego przed sobą.

Oczywiście ona może się mylić, zresztą on także, ale jakoś nie wydawało mu się to prawdopodobne.

Podszedł kelner, by uzupełnić kieliszki.

Van podniósł swój; Dinah, choć nie wypijała prawie nic ze swojego, zrobiła to samo.

Christian junior nawet w tej chwili, uśmiechając się zachęcająco do towarzyski, czuł, że jego wrodzona ostrożność oraz chęć kierowania wszystkim bierze w nim górę.

Nie pokazuj jej, jak bardzo spodobał ci się jej pomysł.

Jak długo Dinah będzie myślała, że tylko on docenia jej talent i zdolności, pozostanie pod jego wpływem.

Inaczej może ją stracić.

A w tym momencie, z wielu powodów, Van bardzo nie chciał, by coś takiego się zdarzyło.

Dinah była szczęśliwa.

Może szczęśliwsza niż kiedykolwiek w całym swoim życiu.

Mały i ciemny pokoik, który wynajęła i który od początku bardzo ją przygnębiał, wydawał jej się teraz niemalże przytulny; z kilimkiem jej roboty, leżącym na stole, z dużym, siedzącym na poduszce, pluszowym niedźwiedziem, którego dostała w prezencie od Vana, był miejscem, w którym mogła snuć marzenia.

Zgryźliwa natura pani Brooks nie irytowała jej, a monotonia pracy nie miała już znaczenia.

Dinah nie pozwalała sobie myśleć o przyszłości dalej niż do następnego spotkania z Vanem i po krótkim czasie ten zwyczaj okazał się wygodny.

Fizycznie czuła się o wiele lepiej; męczące nudności, które nie opuszczały jej przez pierwsze miesiące ciąży, zupełnie ustały i Dinah przebywała w świecie marzeń, do którego rzadko zaglądała rzeczywistość.

Van był dla niej całym światem.

Miała na jego punkcie obsesję, myślała o nim bezustannie od momentu, kiedy się budziła, aż do pójścia spać.

Odwiedzał ją też w snach.

Kochała jego twarz, jej ostre rysy i te niewymownie ciemne oczy, uwielbiała brzmienie jego głosu z lekkim akcentem, uwielbiała szerokie ramiona, masywną budowę ciała, ponieważ były manifestacją jego osobowości, mocy i zdecydowania, stalowej woli, którą zaczynała dopiero zauważać, ale która stawała się dla niej coraz bardziej namacalna.

I oczywiście nie kochała tylko Vana - choć i tego by wystarczyło.

Kochała także to, co dla niej robił, otwierając przed nią świat, o którym prawie nie miała pojęcia, że istnieje.

Zapraszał ją jeszcze kilkakrotnie - czasami na drinka, częściej na coś do zjedzenia i zawsze do zupełnie innych miejsc niż te, które poznała jako biedna studentka.

Odwiedzali restauracje, gdzie ceny w karcie zawsze zawierały dużo zer na końcu, a rachunki, kiedy czasami udało jej się dostrzec ich wysokość, zapierały dech w piersiach.

Za każdym razem podawano wino i choć nadal piła bardzo mało, przyzwyczała się już do wytrawnego smaku, jaki zostawiało na języku.

Uwielbiała te wyjścia, lubiła czuć się jak dziecko wpuszczone do wspaniałego świata dorosłych, lubiła być obsługiwana przez kelnerów, którzy odbierali jej palto, odsuwali przed nią krzesło, rozkładali serwetkę na kolanach i jeśli nawet z ukrytym zdziwieniem patrzyli na tanie sukienki, ona i tak tego nie zauważała.

Ale możliwe, że wcale nie przyglądali jej się ze zdziwieniem - nie śmieliby.

Za bardzo szanowali Vana, który wzbudzał respekt nawet w miejscach, w których pojawiał się po raz pierwszy.

Jakiegokolwiek krytyczne myśli na temat jego towarzyszek przychodziły im do głowy, skrywali je głęboko.

Ich spotkania za każdym razem wyglądały tak samo.

Na początku dyskutowali o interesach, o nowych pomysłach Dinah, potem rozmowa stawała się mniej oficjalna.

Czasami Van starał się namówić ją, by powiedziała coś o sobie, wypytując delikatnie o przeszłość.

Ale Dinah nie chciała mówić o sobie.

Nie chciała o sobie myśleć - przynajmniej nie o tej prawdziwej Dinah.

Pragnęła dalej żyć w swoim urojonym świecie, grając w nim rolę jak aktorka udająca kogoś zupełnie innego, aż niemalże nie tylko uwierzyła, ale i stała się zupełnie nową osobą, pozbawioną kłopotów, bez ponurej przeszłości czy niepewnej przyszłości.

Udzielala wymijających odpowiedzi, a kiedy ją przyciskał, wymyślała niewielkie kłamstewka, które dodawały uroku jej wymarzonemu, nowemu życiu.

Kiedy spytał o dom rodzinny, opisała mu dom, w którym mieszkała jako małe dziecko, nie wspominając nic o plebanii.

Na pytanie o krewnych odpowiedziała, że nie ma rodziny, a później, po chwili zastanowienia, wymyśliła kuzynów w Nowej Zelandii, bo tak jej się podobało.

Zazwyczaj jednak udawało jej się skierować rozmowę na Vana.

O dziwo, nie było to trudne; zawsze lubił mówić o sobie, a Dinah okazała się uważnym i oddanym słuchaczem.

Opowiedział jej historię, jak to jego ojciec stworzył fabrykę, jak trzyma się przestarzałych metod, mówił o swoich próbach zmodernizowania firmy.

- Nie chce zmienić najmniejszej rzeczy - zwierzał się Dinah.

- Nawet nazwano mnie jego imieniem.

Chciał mieć pewność, że i po jego śmierci fabryką będzie kierował Christian Van Kendrick.

- Wydaje mi się, że to raczej miłe - osądziła Dinah.

- Miłe?

Wszyscy w rodzinie mówili do mnie "mały Christian"!

Nienawidziłem tego.

Wydawało mi się, że nie mam własnej osobowości.

Dinah była zaszokowana.

Nie mogła uwierzyć, że ten mały, łysiejący mężczyzna, którego znała jako pana Van Kendricka, mógł dominować nad kimkolwiek, a już najmniej nad dynamicznym Vanem.

- Jak doszło do tego, że zmieniłeś imię?
- zaciekała się.
- Och, w szkole zwracaliśmy się do siebie po nazwisku i moi koledzy szybko skrócili moje do Van.

Rodzice nadal mówią do mnie Christian.

Czasami nawet "mały Christian".

Dinah roześmiała się.

Zdaniem Vana miała najbardziej zaraźliwy śmiech, jaki kiedykolwiek słyszał, taki miły chichot, jakby bąbelki szampana podchodziły jej do nosa.

- I jak myślisz, kiedy przestaną cię tak nazywać?

- Może wtedy, kiedy w końcu przejmę zarządzanie fabryką.

Może nigdy.

Po kolacji Van odwoził ją do domu.

Przestała przejmować się, że zobaczy odrapany domek, w którym mieszkała - i tak przecież mógł poznać jej adres z danych w aktach.

Co do pani Brooks, nie obchodziło jej już, czy zobaczy wytworny samochód i jak to sobie wytłumaczy.

Pani Brooks należała do świata rzeczywistego, który przynajmniej na jakiś czas Dinah postanowiła zignorować.

Czasami, kiedy zatrzymywał się przy krawężniku, zastanawiała się, czy pocałuje ją na pożegnanie.

Bardzo tego pragnęła.

Siedząc obok, drżąc z emocji, niemalże czuła, jak jej ciało do niego lgnie, wyobrażała sobie, jak to będzie, kiedy ją obejmie, przyciągnie do siebie.

Ale Van nie zdradzał chęci uczynienia niczego podobnego.

W rzeczywistości rzadko kiedy wyłączał silnik.

Kończył rozmowę, po czym pochylał się i otwierał przed nią drzwi.

Za każdym razem, kiedy to robił, Dinah przez mgnienie sekundy miała nadzieję, że ją pocałuje, a gdy uświadamiała sobie, że jednak nie, czuła nie tylko zawód, ale także zawstydzenie, bo być może Van domyślał się, co jej chodzi po głowie.

- Dziękuję - żegnała się pospiesznie, gramoląc się z samochodu i unikając kontaktu z jego ramieniem.

- Dziękuję za wspaniały wieczór.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiadał, warkot silnika zmieniał się ze spokojnego w głośny, jednak całkowicie kontrolowany, co w jakiś sposób kojarzyło jej się z samym Vanem.

Potem odjeżdżał.

Dinah zostawała na chodniku i zanim znalazła klucze, patrzyła w ciemność, która go połknęła, i rozkoszowała się własnym uniesieniem.

Oczywiście nie powinna się spodziewać czegokolwiek po tym związku.

Ale z całego serca pragnęła, by trwał wiecznie.

Van czekał na coś, czego nie umiał do końca sprecyzować.

Jakiś znak albo po prostu przyływ intuicji, która powiedziałaaby mu, że nadszedł odpowiedni moment.

Sam nie rozumiał swojej opieszałości, niechęci do uczynienia następnego kroku, a potem jeszcze następnego, aż jego związek z Dinah w sposób nieunikniony przemienił się w prawdziwy romans.

Nigdy wcześniej nie przeżywał nic podobnego.

Kiedy pragnął kobiety - a było takich wiele - postępował z nią szybko i zdecydowanie.

Rzadko dostawał kosza, a jeśli nawet, nie przejmował się tym; wzruszał ramionami, uważając, że to kobieta poniosła większą stratę niż on, i ruszał ku dalszym podbojom.

Jednak tym razem wszystko wyglądało inaczej.

Tym razem nie chciał ryzykować.

Zbytnią gwałtownością może ją stracić.

A tego obawiał się najbardziej.

Tylko dlaczego?

Czy chodziło o jej zdolności, które pomogłyby mu zmienić profil fabryki i które tak go ekscytowały, że nie chciał ryzykować?

Początkowo był pewien, że właśnie na tym to polega.

To dzięki swoim talentom ta dziewczyna stała się dla niego taka atrakcyjna.

Zapomniał albo prawie zapomniał, że pociągała go już przedtem, nim dowiedział się, że jest kimś więcej niż zwykłą dziewczyną, która przerwała naukę.

Od początku fascynowały go jej niewinność i bezbronność, otoczone aurą czegoś jeszcze, pewną głębią i tajemniczością, których nie potrafił rozszyfrować.

Kiedy zerwał ze swym zwyczajem i podniósł żaluzje w biurze, by móc przyglądać się jej, jak pracuje, zrozumiał, że jego zainteresowanie tą dziewczyną miało poważniejsze podłoże niż tylko jej zdolności artystyczne.

Sprawiło mu przyjemność obserwowanie, jak siedzi przy maszynie, ze złotą główką nachyloną pod takim kątem, że ujawniały się delikatne linie szyi.

Zdał sobie sprawę, że pragnie jej dotknąć, przesunąć palcami po łuku ramion, aż do piersi; a kiedy się uśmiechała, tym wspaniałym, promiennym uśmiechem, który zmieniał zazwyczaj poważne rysy jej twarzy i sprawiał, że stawała się piękna, czuł, że jej uśmiech dociera do głębi jego duszy, chwyta za serce i wzbudza dawno zapomniane uczucia.

Kiedy spotykali się po pracy, cieszył go nie tylko entuzjazm, z jakim mówiła o swoich pomysłach, którym wyraźnie poświęcała dużo czasu, lecz również jej umiejętność cieszenia się chwilą.

Domyślił się, że zupełnie nie zna świata, do którego ją wprowadzał, i sprawiało mu przyjemność obserwowanie zachwytu, z jakim go poznawała.

Będzie tak samo, myślał, kiedy w końcu będą się kochali.

Będzie niedoświadczona, może nawet jest dziewicą, ale on z chęcią nauczy ją wszystkiego.

Ta perspektywa wydawała mu się o wiele bardziej podniecająca niż kontakty z seksualnie doświadczonymi kobietami, z którymi miał do tej pory do czynienia.

Przy swoich ogromnych potrzebach erotycznych doceniał zdolności swych kochanek, ale wspomnienie ich nie wzbudzało w nim takiej rozkoszy, jak myśl o kochaniu się z Dinah.

Kiedy tylko pozwalał sobie na fantazjowanie, natychmiast miał erekcję.

Do tej pory nie zrobił w stronę Dinah najmniejszego kroku i podziwiał własne opanowanie.

Nadal spotykał się z innymi kobietami - nawet z dwiema naraz, królową piękności, którą poznał, kiedy sędziował ostatniemu konkursowi "Nowoczesna Venus", i żoną współwłaściciela firmy adwokackiej, której był klientem.

Obydwie były nienasycone seksualnie, ale żadna nie była w stanie zaspokoić go na tyle, by przestał pożądać Dinah.

Wydawało mu się, że właśnie z tego powodu nie pozwala sobie na dotknięcie tej dziewczyny.

Tym bardziej go do niej ciągnęło.

Prześpi się z nią i czar prysnie.

I nadal nie mógł się zmusić do zrobienia pierwszego kroku, choć zupełnie nie rozumiał, co go powstrzymuje.

Kiedy byli sami, wielokrotnie odnosił wrażenie, że ona chce, by jej dotknął; to pożądanie wisiało w powietrzu i było niemal namacalne.

Ale było w tej dziewczynie też coś, co mówiło, że potrzebuje czasu.

Była wyraźnie prostolinijna, a jednak Van odnosił dziwne wrażenie, że w ogóle jej nie zna, że kryje przed nim bardzo istotną część siebie.

Wychwytywał to czasami w jej spojrzeniu; rozmawiał z nią przy stoliku w restauracji, przyglądał się i cieszył jej rozświetloną twarzą, po czym, gdy pytał o coś związanego z jej życiem, nagle zapadała kurtyna.

Przez chwilę widział w oczach nie zwykle zmęczenie, ale strach, ostry i wyraźny, jakby patrzyła na coś, czego on nie mógł zobaczyć, i wzbraniała się przed tą wizją.

Potem raptownie twarz Dinah się zmieniała i znowu gościł na niej uśmiech, ale nie ten wspaniały i słodki, pochodzący z głębi duszy, lecz szybki i nerwowy, który stanowił część mechanizmu obronnego.

Odpowiadała mu, ale odpowiedzi były jakieś nierealne, jakby była aktorką odgrywającą rolę, a nie kobietą zawierającą mu tajemnice swojego życia.

Co ona ukrywa?

Dlaczego nie chce powiedzieć mu o sobie prawdy?

I skąd bierze się pomiędzy nimi ściana, która nie pozwala mu na zbliżenie się, choć ona najwyraźniej ma na to ochotę?

Dinah była zagadką, ale postanowił, że pewnego dnia ją rozwiąże.

Wystarczy tylko czekać na odpowiedni moment i miejsce.

Potem, był tego pewien - jego cierpliwość zostanie sownie nagrodzona.

W tym samym czasie, kiedy zakochiwał się w Dinah, przemyślał podsunięte przez nią pomysły i pod koniec sierpnia gotów był przedstawić co najmniej dwa z nich ojcu.

Uznał, że buty do konnej jazdy muszą poczekać - należy dokonać rozeznania na rynku i wyszukać odpowiednie materiały - ale przedyskutował sprawę butów sportowych z szefem produkcji i razem zrobili prototyp, który, jak im się zdawało, miał wszelkie niezbędne zalety, to znaczy był wygodny i trwały.

Kwestia marketingu mogła stwarzać problemy, ale rozwiązała ją sama Dinah.

Po co rozprowadzać je przez pośredników, powiedziała.

Lepiej zamieścić ogłoszenie w popularnych gazetach o sprzedaży wysyłkowej.

Narysowała szkic buta i wymyśliła slogan "Lekką stopą przez kraj".

Van doszedł do wniosku, że jeśli buty nie będą odstraszały ceną, mogą znaleźć klientelę.

Z sandałami sprawa była prostsza.

Ponieważ nie miały w zasadzie jakiegoś zdecydowanego kształtu, nie trzeba było zamawiać nowego kopyta szewskiego, wystarczyło tylko dodać do skórzanej podeszwy rzemienie.

Jednak Van uważał, że jeśli pokaże ojcu wzorcową parę, zamiast tylko szkicu, szybciej przekona dziwaka.

Najidealniejszym okresem na eksperymenty wydawał się ostatni tydzień lipca; wtedy, jak co roku, Kendricks zamykało się na dwa tygodnie w związku z przerwą wakacyjną.

- Czy wyjeżdżasz na wakacje?

- spytał Dinah, gdzieś w środku lipca.

Natychmiast zobaczył w jej oczach strach.

Potrząsnęła głową.

- Nie.

Nie mam żadnych planów.

- Ja też nie.

- Nie była to cała prawda.

Zarezerwował sobie miejsce na promie do Francji, którą zamierzał zwiedzić.

Jednak wakacje - każde wakacje - traktował jak niepotrzebną stratę czasu.

Po kilku dniach nudził się jak mops i denerwował, że nie może zająć się pracą.

A w tym roku szczególnie nie uśmiechało mu się wyjeżdżać i stracić z oczu Dinah.

- Posłuchaj, wymyśliłem coś.

Fabryka zamyka się na dwa tygodnie, a moi rodzice wyjeżdżają do Włoch.

Jeżdżą tam co roku.

Nadarza się wspaniała okazja do zaprojektowania i sandałów, i butów turystycznych.

Chciałbym je zrobić, kiedy nikt nie zagłąda mi przez ramię.

Oczy Dinah ponownie zabłysły.

- Moje sandały?

Te, które wymyśliłam?

Uśmiechnął się widząc jej dziecięcą radość.

- Tak.

Oczywiście.

Czy zechcesz poświęcić na to swoje wakacje?

Kiedy staruszek wróci do domu, pokażę mu ukończony wyrób i spróbuję namówić go na produkcję.

Tak naprawdę to zamierzam zrobić więcej niż tylko namawiać go, zamierzam się uprzeć przy tym pomysle.

Fabryka jest moją przyszłością i nadszedł czas, żebym i ja miał coś tutaj do powiedzenia.

Więc jak, zgadzasz się?

- Oczywiście!

Postanowił wykorzystać okazję, by dowiedzieć się czegoś więcej o Dinah.

- Nikt nie będzie czekał na ciebie w domu?

- spytał.

- Nikt.

Myślałam, że spędzę kilka dni z Mary, ale nic pewnego nie zostało ustalone.

Van natychmiast nastawił uszu.

Po raz pierwszy Dinah wspomniała kogoś ze swojej przeszłości.

- Mary?

- Mary OSullivan.

Stara koleżanka ze szkoły.

Teraz nazywa się Mary Colbourne, mężatka, ma synka, ale ja ciągle myślę o niej jak o Mary OSullivan.

Czy to radość spowodowana wiadomością, że jej projekty będą zrealizowane, sprawiła, iż stała się mniej ostrożna?

Van kuł żelazo, póki gorące.

- Chodziłaś z nią do szkoły w Gloucestershire?

- Tak.

Była moją przyjaciółką.

Cały czas utrzymujemy ze sobą kontakt.

- Jest w twoim wieku i ma już męża i dziecko?

- Ona jest katoliczką - odpowiedziała Dinah, jakby to wszystko tłumaczyło, ale Van zauważył powracający na jej czoło cień i zastanawiał się nad jego przyczyną.

Czy Mary odbiła Dinah chłopca i za niego wyszła?

Tylko że gdyby to była prawda, nie kontaktowałyby się.

Jednak w przeszłości Dinah coś się kryło, coś, czego nie chciała zdradzić i w jakiś sposób wiązało to się z małżeństwem i dziećmi.

Gdyby nie była taka młoda i tak wyraźnie niedoświadczona, można by myśleć, że sama była już mężatką.

Jednak jej naiwność przeczyła temu podejrzeniu, podobnie jak studia plastyczne - a Van wierzył, że opowiadając o nich Dinah nie okłamywała go.

- Więc co mam zrobić?

- spytała, i okazja minęła.

- Zostań na miejscu w czasie przerwy wakacyjnej.

- Dobrze - zgodziła się.

- Och, Van, jak się cieszę!

Obydwoje się cieszyli.

Sprawiło im wielką frajdę wkradanie się do fabryki, gdzie stały milczące maszyny, a kłęby kurzu tańczyły w promieniach słońca, przedzierających się przez nie zasłonięte okna.

Van zjawiał się po nią o wpół do dziesiątej w pierwszy poniedziałek wakacji.

Ojciec poprzedniego dnia wyjechał do Włoch, więc teraz mógł zaparkować swojego Jaguara na miejscu oznaczonym tabliczką z jego nazwiskiem.

Choć widziała to tylko Dinah, i tak sprawiło mu to przyjemność, jakby już teraz był właścicielem firmy.

Wybrał z pęku jeden klucz i otworzył bramę fabryki.

Na czas przerwy wszystkie urządzenia zostały wyłączone - nawet zawór wody.

Van obszedł pomieszczenia, przekręcając włączniki i odkręcając kurki.

Dinah napełniła czajnik wodą, by zrobić kawę, z którą następnie udali się do maszynowni.

Nie chcieli marnować czasu.

Pracowali nieprzerwanie przez trzy dni.

Pierwsze próbki im nie wyszły - sandały wyglądały niechlujnie, buty poraniłyby stopy wędrowca po kilku pierwszych kilometrach.

Zmodyfikowali szkic, po czym ponawiali próby.

Było lepiej, o wiele lepiej.

Sandały nabrały stylowego i oryginalnego wyglądu.

Dinah upierała się, że można je sprzedawać także kobietom.

Van, który zrobił buty na swój rozmiar, założył je i poszedł przespacerować się w nich najpierw dookoła hali, potem po parkingu i uznał, że są prawie doskonałe.

- Wiesz, co sobie myślę?

- powiedział do Dinah.

Potrząsnęła głową, poprawiając rzemienie na sandałach.

- Myślę, że powinniśmy wypróbować te buty na trasie.

Szkocja, Lakę District, gdzie chcesz.

W końcu są wakacje.

Zobaczył, że jej policzki raptownie zalewają się rumieńcem, i pomyślał, że nie jest zachwycona tym pomysłem.

Wreszcie Dinah odezwała się cichym i przygaszonym głosem.

- To znaczy, że jednak wyjeżdżasz?

Zdał sobie sprawę, że źle go zrozumiała, a jej rumieniec wziął się z konsternacji.

- Nie sam - oświadczył.

- Ty też.

Dokąd chciałabyś pojechać?

Wtedy znowu go zobaczył, ten sam uśmiech szczęścia, który zmieniał jej twarz w taki sam sposób, jak przy ich pierwszym spotkaniu, kiedy przyjmował ją do pracy.

Szczęście, zaskoczenie i cień niedowierzania.

- Ja?

- Tak, ty.

Dlaczego by nie?

Zasłużyłaś sobie.

Uśmiech nagle znikł.

- Ale mnie nie stać na wyjazd.

- Czy ktoś prosił cię, żebyś płaciła?

No już, dokąd chcesz pojechać?

- Exmoor - powiedziała.

- The Doony Valley.

Chciałabym zobaczyć kościół, w którym zastrzelono Lornę.

Roześmiał się.

- To tylko legenda!

- Możliwe.

Jednak chcę go zobaczyć.

W tym momencie zabrałby ją do każdego miejsca na kuli ziemskiej, które by wybrała.

- Zgoda - powiedział.

- A więc Exmoor.

Kiedy będziesz gotowa?

- W każdej chwili.

- W takim razie - rzucił pospiesznie bojąc się, że zmieni zdanie - wyjedziemy dzisiaj wieczorem.

Zadzwoił z biura, żeby zarezerwować pokoje w hotelu w Minehead, potem odwiózł ją do domu, dając jej godzinę na spakowanie, i równo po godzinie wrócił po nią.

- Wydaje mi się, że pani Brooks jest oburzona - stwierdziła z chichotem, kiedy kładł w bagażniku jej zniszczoną walizkę obok swojej małej skórzanej torby z wygrawerowanym monogramem.

- Ona uważa, że jestem kobietą lekką.

I będziesz, jeśli nadarzy się okazja, pomyślał Van dość obcesowo.

Na głos powiedział: - Nie zwracaj na nią uwagi.

To prosta, wścibska baba.

Dinah znowu zachichotała.

- Tak - potwierdziła radośnie - to prawda.

Van pomyślał, że jeszcze nie widział jej tak rozluźnionej.

Tak jakby w ciągu ostatnich kilku dni to, co męczyło tę dziewczynę, zostało zepchnięte w przeszłość.

Czuł, że rośnie w nim nadzieja.

Możliwe, że w nowym otoczeniu odkryje wreszcie tajemnicę Dinah i zacieśni ich związek.

Hotel położony był na North Hill, gdzie dzikie i piękne powierzchnie Exmoor wdzierały się do miasta, a szeroka błękitna zatoka rozciągała się tuż u jego podnóża.

Był już późny wieczór, kiedy dotarli na miejsce; zjedli kolację w hotelowej restauracji ze śnieżnobiałymi obrusami, ciężkimi, starymi srebrami, błyszczącym kryształowym szkłem.

Przysłądali się zachodowi słońca, czerwonej kuli wolno znikającej w morzu.

Van nie próbował nic tego wieczoru.

Uznał, że Dinah powinna do końca się rozluźnić, zanurzyć się w czarodziejskiej atmosferze wakacyjnej, w romantycznym otoczeniu.

Następnego ranka zjedli śniadanie w tej samej wielkiej sali.

Dinah jadła i piła z zapalem - nadziewane owoce, bekon, pomidory i jajecznicę, grzanki z marmoladą i kawę.

Van, przyzwyczajony do Dinah dłubiącej widelcem w talerzu, był całkowicie oszołomiony jej apetytem.

Zauważył, że ostatnio przytyła - nic dziwnego, jeżeli codziennie rano tyle w siebie pakuje!

Po śniadaniu wyjechali do Exmoor.

Dinah z rozkoszą przyglądała się zmieniającemu się krajobrazowi - głębokim, zalesionym dolinom ze strumieniami przecinającymi je pośrodku, szerokim połaciom wrzosowisk, zielonym i szkarłatnozłotym, tam gdzie wrzos i jałowce rosły w rozległych kępach pomiędzy niską trawą.

Van miękł patrząc na nią, na nowo doświadczając tego samego pragnienia zrobienia jej przyjemności, które zawładnęło nim przy ich pierwszym spotkaniu w biurze.

W końcu zatrzymali się i Van założył zrobione przez nich buty.

- Chwila prawdy!

Dinah roześmiała się.

- Sprawdź się, jestem pewna, że tak będzie!

- Mam nadzieję, bo jeśli nie, to niczyje inne tylko moje stopy będą miały odciski!

Nie było żadnych odcisków, ale otarł sobie kostkę.

Przysiadł na kamieniu, ściągnął buty i przyjrzał się podeszwie.

- Czy to wina moich nóg czy butów?

Dinah kucnęła na kępce trawy przed nim, wzięła but i wygięła część otaczającą kostkę.

- To z pewnością wina butów.

Nieważne, jak dziwnie ukształtowane masz stopy...

- Dziękuję!

- ...buty muszą być wygodne.

Dla ciebie, dla każdego.

Może gdybyśmy dodali wkładkę stąd...

dotąd...

- Kiedy to zrobimy?

- Jak tylko wrócimy do fabryki.

- A co ze mną?

Jak teraz wrócę do samochodu?

Dinah uśmiechnęła się chytrze.

- No cóż, możesz iść na bosaka!

Albo szybko wyłożę czymś buty.

Spróbuję.

Pozwól...

Wepchnęła mu but na nogę.

Skrzywił się.

- Aj!

- Chwileczkę.

- Poszukała w torebce czystej chusteczki i przyłożyła ją do kostki.

Kiedy dotknęła palcami jego skóry, znowu jęknął, ale nie z powodu bólu, lecz z nagłej przyjemności płynącej z jej dotyku.

Spojrzała na niego z przestraszeniem, myśląc, że go uraziła.

Na widok jasnych, zakłopotanych oczu dziewczyny Vana oblała fala pożądania.

Wyciągnął dłoń i dotknął jej włosów, czując ich jedwabistość.

Nie poruszyła się, nie zdjęła ręki z jego stopy.

Pochylił się, nie spuszczać z niej wzroku, i delikatnie ją do siebie przyciągnął.

Nigdy tak bardzo nie pragnął żadnej kobiety, ale instynkt podpowiadał mu, że nawet w tej chwili musi postępować ostrożnie.

Kiedy jego twarz zbliżała się do niej, przeszył ją dreszcz, ale był lekki jak wiatr szepczący w zaroślach.

W tej chwili przestała istnieć cała bolesna przeszłość i niepewność przyszłych dni.

Był tylko Van.

Dotyk jego ręki był dla niej uspokojeniem i oczyszczeniem, całe jej życie znalazło się w objęciach jego ramion.

Był jedynym człowiekiem, który się dla niej liczył, poszłaby za nim do samego piekła, poświęciłaby dla niego wszystko, żeby tylko patrzył na nią w ten sposób, tulił ją, kochał.

Dinah czuła, że jej dusza ulatuje, by spotkać się z jego duszą.

I gdy tak się działo, gdzieś w głębi niej coś szeptało, że już nigdy nie powtórzy się chwila, w której są całkiem sami, oddzieleni nie tylko od świata, ale także od swoich obaw i ambicji, strachu i marzeń, sami we wszechświecie, który stworzyli swoją miłością i otoczyli galaktykami gwiazd.

Dotknął ustami jej ust i nagle nie tylko dusza, ale całe ciało Dinah wyrwało się do niego.

Silne, zmysłowe usta miażdżyły ją z nieziemską czułością.

Puściła jego stopę i znalazła się pomiędzy jego kolanami, ściskając dłońmi mocne ramiona, jak łabędzica.

Objął ją w pasie, a ona przytuliła się mocniej.

Po długich minutach odsunął ją od siebie delikatnie i popatrzył jej w oczy.

- Czy wiesz, jak długo czekałem, żeby to zrobić?

Potrząsnęła głową.

Miała spuchnięte usta, rozświetlone oczy.

- Chyba wymyśliłem te wakacje tylko po to, by znaleźć się z tobą sam na sam.

Czy wiesz?

Znowu potrząsnęła głową.

Nie potrafiła znaleźć słów.

Pocałował ją, rozkoszując się odpowiedzią jej ust, która wyrażała wszystko to, czego nie chciała powiedzieć na głos.

Potem wstał.

- Wrócimy do hotelu?

Natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi, i poczuła się tak, jakby ktoś oblał ją kubłem lodowatej wody.

Zwyczaj rozkoszowania się każdym momentem bez patrzenia w przyszłość mścił się teraz na niej; pochłonięta romantyczną atmosferą,

po prostu nie chciała myśleć o naturalnym w takich sytuacjach rozwoju wypadków.

W jednej chwili zalała ją fala paniki, nie dlatego, że nie chciała się kochać z Vanem - chciała, och, jak bardzo - ale dlatego, że on odkryje, w jakim jest stanie.

Nadal zachowała szczupłą sylwetkę, mięśnie brzucha były mocne, dziecko umiejscowione wysoko, więc wybrzuszenie znajdowało się niemalże na poziomie pasa.

Jednak piersi powiększyły się i obrzękły, brodawki ściemniały.

Gdyby je zobaczył, natychmiast by się domyślił...

- Dinah?

Zalało ją uczucie miłości i zrozumiała, że jeśli pozwoli przeminąć tej chwili, to już nigdy się nie powtórzy.

- Tak - odezwała się.

- Wracajmy.

Przyciągnął ją i znowu pocałował.

W otaczającej ich ciszy słyszała brzęczenie pszczoł i granie świerszczy, wszystkie dźwięki natury.

Do końca życia staną się dla niej synonimem niczym nie zmaconego szczęścia.

- Dzięki Bogu, że mogę już zdjąć te przeklęte buty!

- powiedział, kiedy dotarli do samochodu.

Usiadł za kierownicą, zepchnął je z nóg i z przyjemnością włożył wygodne obuwie.

- Nikt o zdrowych zmysłach nie kupiłby takich butów, zapewniam cię.

Dinah roześmiała się promiennie.

- Czy wiesz, że krytykujesz mój projekt?

- Poprawimy go.

Poproszę Jima Pratera, by nad nim popracował.

- Ale ja...

- Nie martw się tym.

Ty zajmuj się pomysłami, wykonanie zostaw rzemieślnikom.

Nieco rozkazujący ton Vana sprawił, że na chwilę jej dobry humor przygasł, jednak kiedy tylko wziął ją za rękę, natychmiast zapomniiała o przykrym uczuciu.

W hotelu panował błogi spokój.

Kilku gości w holu siedziało przy popołudniowej herbacie z ciasteczkami.

Van odebrał z recepcji klucze.

Dinah czekała na niego na schodach.

Objął ją w pasie.

- Twój pokój czy mój?

Ponury cień rzeczywistości znowu przesunął się przed jej oczami.

Odsunęła go od siebie.

- Twój.

Chciała znaleźć się w jego pokoju.

Chciała widzieć dokoła siebie rzeczy Vana, które stwarzały jej poczucie bezpieczeństwa w jego świecie.

Jej pokój zapełniały tanie ubrania, zniszczona walizka, zupełnie nie pasująca do luksusowej szafki, na której stała.

Jej pokój stanowił obraz jej przeszłości i zapowiedź przyszłości.

Za bardzo przypominał rzeczywistość.

Otworzył drzwi, wprowadził ją do środka, a ona nie czuła wcale strachu, wydawało jej się, że postępuje właściwie.

Choć minęły dopiero dwie godziny od chwili, gdy ją pocałował, okres zalotów mieli już za sobą, dzięki tym wszystkim wieczorom, podczas których nieprzerwanie rozmawiali i nic więcej.

Rozejrzała się.

Zachodzące słońce wdzierało się przez częściowo zaciągnięte zasłony, oświetlając pokój, który sprawiał wrażenie dziwnie bezosobowego.

Widać, że były tu już pokojówki - łóżko było zasłane - ale widać było Vana, który drobiazgowo pilnował porządku.

Powiesił swoje ubrania w szafie, żeby nie rzucały się w oczy.

Garderoba Dinah była porozrzucana po całym pokoju.

Na toalecie leżała tylko jego szczotka do włosów i para spinek do mankietów, a obok hotelowy informator i dzbanek oraz filiżanki i szklanki.

Van zamknął drzwi, odłożył klucze na toaletkę obok szczotki do włosów, po czym objął Dinah.

Natychmiast spłynęło na nią pożądanie, blokując myśli.

Pocałował ją i zaczął rozpinać bluzkę i w tym momencie powrócił strach, teraz już zwielokrotniony.

- Czy nie mógłbyś zasłonić zasłon...
proszę?

- wyszeptała.

Popatrzył na nią z miłością i pożądaniem w oczach.

Była takim dzieckiem, taka wstydliva.

Nauczy ją, jak cieszyć się z miłości, czerpać przyjemność z widoku ich nagich ciał, czerpać natchnienie z każdej chwili zbliżenia.

Ale to musi potrwać.

Na razie zachowa się tak, jak ona tego chce.

Podszedł do zasłon i zaciągnął je do końca.

Były z grubego, ciężkiego materiału i nie przepuszczały światła.

Wrócił do Dinah; stała, zasłaniając się ramionami, jakby się broniła.

Na moment ogarnęło go zwątpienie.

- Dinah...

czy jesteś pewna?

Kiwnęła głową.

Słyszał jej oddech, płytki i nierówny.

Kiedy zbliżył się do niej i włożył rękę pod bluzkę, by rozpiąć zatrzask stanika, przytuliła się do niego, tak żeby nie mógł zobaczyć jej ciała, i znowu zaczął się zastanawiać.

Nawet w takiej chwili kryła się przed nim, chowając to najintymniejsze miejsce, do którego nie mógł dotrzeć.

Jednak za bardzo jej pragnął, żeby się martwić.

Krępowała się, to wszystko, niedoświadczona i zapewne nieco zakłopotana.

- Kochanie, rozluźnij się!

- powiedział, a czułe słowa z łatwością płynęły mu z ust, choć nie przypominał sobie, by mówił podobnie do innych kobiet.

- Nie zrobię ci krzywdy.

Po prostu daj się porwać uczuciu.

Miała na sobie prostą białą spódniczkę z angielskimi haftami.

Kiedy odpiął guzik w pasie, opadła na podłogę.

Pod spodem nosiła kolorową haleczkę uszytą z usztywnianej podszewki; ją także z łatwością zdjął.

Ułożyła się wokół jej stóp w ładny pagórek.

Wziął Dinah na ręce i zaniósł do łóżka.

W przyćmionym świetle widział wygięcia jej ciała, trochę bardziej zaokrąglone, niż się spodziewał.

Szybko się rozebrał, potem ukląkł obok, pieszcząc jej ciało i całując, aż zobaczył, że zaczyna odpowiadać.

Jednak nawet teraz Dinah wydawała się dziwnie pasywna.

Van znał kobiety, które mają umiejętności kurtyzan, bez zmieszania pokazują, czego pragną, które nawet potrafią przejąć inicjatywę.

Dinah zachowywała się zupełnie inaczej.

Chociaż czuł, że jej ciało drży z podniecenia, leżała prawie nieruchomo, czekając na jego działanie, i zdał sobie sprawę, że mu się to podoba, że bardziej go podnieca możliwość całkowitej dominacji niż świadomość, że ktoś nim kieruje, nieważne jak zręcznie.

Leżał obok niej, obróciwszy ją do siebie, tak że znaleźli się twarzą w twarz.

Pocałował ją znowu, delikatnie wkładając palce do środka, na co ona odpowiedziała cichym jęknięciem i wygięciem ciała.

Przez chwilę rytmicznie ją masował, aż poznał po jej ruchach i przyspieszonym oddechu, że wznosi się po spirali podniecenia, które prowadzi do orgazmu.

Dopiero teraz w nią wszedł.

Przyścięnięta do poduszek, Dinah poczuła, że przenosi się do innego wymiaru.

Niewymowna słodycz, rosnące pożądanie, krótki ból, całkowity zachwyt z tego, że jest w niej, porusza się w niej, posiadał ją...

- Błagam...

och, błagam!

- szeptała, ale nie wiedziała, po co tak prosiła, bo miała wszystko, czego mogła pragnąć, i było to wspaniałe...

cudowne!

Potem: - Nie przestawaj!

Nigdy nie przestawaj!

- I wiedziała, że mówi to, bo chce, by ten czar trwał wiecznie, by ich ciała, umysły i dusze razem wirowały do gwiazd.

- Chodź ze mną - mruczał Van, podkładając pod nią dłonie i unosząc ją tak, że byli jeszcze bardziej złączeni.

I nagle słodycz dosięgła punktu szczytowego, tak ostrego, że Dinah nie mogła niemal go znieść i znowu wiedziała, że tej chwili nigdy w życiu nie zapomni.

Później, schodząc do ciepłej, różanej doliny rozkoszy, objęła szerokie plecy Vana, tuląc go do siebie, jak długo tylko mogła.

Dopiero, kiedy odsunął się od niej, pozwoliła, dopuściła do siebie myśl, że to już po wszystkim.

- Och, Van, kocham cię - wyszeptała.

Uścisnął ją lekko, ale nie odezwał się, przekręcając się na swoją część łóżka i biorąc ją ze sobą.

Poczuła się senna; choć wieczór dopiero się zbliżał, oczy jej się zamykały.

Po kilku minutach zasnęła w objęciach Vana, zrelaksowanego po spazmie miłości.

Coś było nie tak.

Van wiedział, że tak jest, ale nie umiał tego określić.

Uczucie ogarnęło go zaraz po pierwszym uniesieniu.

Kiedy się obudzili, Dinah przytuliła się do niego, jakby nie mogła być od niego oddzielona nawet na chwilę.

Zaproponował, żeby wzięła kąpiel, więc zrobiła to, ale zamknęła za sobą drzwi, a kiedy wyszła po kąpieli, jej policzki zaróżowiły się od ciepłej wody; wyglądała na nieco mniej pewną.

- Chodź tu - powiedział i choć natychmiast znalazła się przy nim, Van wyczuł, że znowu się od niego oddaliła.

Stracił cierpliwość; nie rozumiał tego jej wycofywania się, sztywności każdej partii jej ciała, kiedy ją trzymał.

Jednak kiedy odezwał się trochę oziębło: - Powinniśmy chyba ubrać się już do kolacji - ona przywarła do niego, z zaciśniętymi powiekami i wykrzywionymi ustami, które mówiły, że zaraz się rozplacze.

Przy kolacji było podobnie; jadła mało i była zamyślona.

Nie chciała puddingu; podszedł do stołu zastawionego imponującymi deserami, by coś wybrać, a kiedy wrócił do stolika, zobaczył na jej twarzy nieskończony smutek.

Tak jakby cień, który ciągle czai się za jej ramieniem, wrócił, tym razem jednak ciemniejszy i bardziej przerażający niż wcześniej.

Napełnił jej szklanę, sądząc, że może to ją zrelaksuje, ale wypić niedużo, tylko umoczyć usta w dobrym francuskim winie, które sam wybrał.

Następnie poszli się przejść, aż do brzegu morza, a jej smutek szedł z nimi.

Niecierpliwość Vana wzrastała.

Czy tak zachowują się dziewice, kiedy tracą cnotę z ukochanym - zakłopotane, wątpliwe, cierpiące po jej stracie?

W zasadzie miał do czynienia jedynie z doświadczonymi kobietami i nie pamiętał, żeby kiedykolwiek spotkał się u nich z taką reakcją, ale pomyślał, że Dinah rzeczywiście jest niedoświadczona.

Będzie musiał cierpliwie ją uczyć i tłumaczyć, że nie powinna w ten sposób odbierać zbliżenia.

Tej nocy nie próbował już się z nią kochać, ale następnego dnia przy śniadaniu, przypomniała mu wyszlifowany kryształ, tak jaśniała.

Wiedział jednak, że chmura nadal wisi za tą promienną fasadą.

Nie odeszła, po prostu się schowała.

Zawiózł ją do Porlock.

Usiedli przy grobli, przyglądając się sieciom rybackim w zatoce, potem poszli dalej, w górę polnej drogi, wrócili na wrzosowiska, w poszukiwaniu wsi, w których zmurszałe domy chowają się za ogródkami, jaskrawymi od kwiatów lata - malw, ostróżek, floksów i lwich paszczy.

Zatrzymali się w pubie i kiedy mieli już wracać, Dinah powiedziała, że bardzo chciałyby zobaczyć Dooney Valley.

Zaparkowali na poboczu, spoglądając w dół na kościółek, w którym umarła Lorna.

Van zauważył, że jej oczy wypełnione są łzami.

W tym momencie poirytowanie ustąpiło miejsca czułości.

Objął ją, odwracając jej twarz do siebie.

- O co chodzi, kochanie?

Co się stało?

Potrząsnęła głową.

- Nic.

- A jednak, nikt nie płacze bez powodu.

- Och, myślę, że to po prostu to miejsce.

- Ale sama chciałaś tu przyjechać.

- Tak, tylko to takie smutne!

Miłość, prawda?

- Czasami tak, ale przecież nie trzeba płakać.

Siedziała milcząc i przyglądając się dolinie.

- Nie płaczesz z powodu Lorny Doone i Johna Ridda, prawda?

- spytał.

- Cały dzień zachowujesz się jakoś dziwnie.

Czy to przez to, co zdarzyło się wczoraj?

Bo jeśli tak, to nie ma po co płakać.

Przecież chciałaś, żeby to się stało.

- Och, tak!

- W jej głosie zabrzmiał szczery zapal.

- Ja też.

Oboje pragnęliśmy tego od dawna.

Więc o co chodzi?

Nie martwisz się chyba, że zaszłaś w ciążę?

Jeśli tak, zapomnij o tym.

Przysięgam ci, że do tego nie doszło.

Usłyszał, jak lka.

Potem powiedziała ponuro: - Nie chodzi mi o to.

- W takim razie o co?

Łzy zbierały się jej w oczach, a on poczuł nagły przyływ zazdrości.

- Czy jest ktoś inny?

Ktoś, o kim nie możesz zapomnieć?

- Nie.

Nie!

Och, proszę przestań mnie wypytywać!

Nic się złego nie stało.

Czuję się dobrze.

Jestem pewnie tylko zmęczona, nie spałam wiele w nocy.

Nic więcej nie chciała powiedzieć.

Wrócili do samochodu i odjechali.

Wyczuwał, że stopniowo jej humor się poprawia, choć ciągle przypominał wymuszoną radość, którą okazywała rano, tak jakby postanowiła, że wszystkie strapienia musi głęboko schować.

Tej nocy znowu się kochali, tym razem w jej pokoju, i choć powtórnie upierała się, żeby światła były zgaszone, kochała się tak samo gorączkowo jak w ciągu dnia.

Kiedy skończyli, położyli się obok siebie, on z ręką na jej lekko zaokrąglonym brzuchu.

Zdziwił się, kiedy przesunęła ją wyżej.

- Chcesz, żebym wyszedł?

- spytał, choć była to ostatnia rzecz, której pragnął.

Przytuliła się do niego.

- Nie, proszę, zostań!

W nocy, w nagłym przebłysku, zdał sobie sprawę, że chce się z nią ożenić.

Obudził się i czuł ją obok siebie, słyszał jej regularny oddech, dotknął jej ciepłego i miękkiego ciała.

Poruszyła się nieznacznie, mrużąc jakieś słowa, których nie mógł zrozumieć i, jak rażony prądem, uzmysłowił sobie nagle, że nigdy nie chce jej opuścić.

Ta myśl zaskoczyła go.

Nigdy dotąd nawet nie przyszło mu do głowy, by wejść z którąś ze swoich partnerek w stały związek.

Zbyt cenił sobie wolność.

Uważał siebie za typowego wiecznego kawalera, poślubionego jedynie ambicji, że pewnego dnia zdobędzie wszystko, czego pragnie.

W jego planach nie było miejsca dla żony.

Tylko że nie miał jeszcze do czynienia z taką kobietą jak Dinah.

Nigdy do tej pory nie był zakochany.

Świadomość, że teraz wszystko uległo zmianie, przeraziła go nieco.

Ale nawet gdy tłumaczył sobie, że oczarowanie minie i wtedy wróci do swoich starych planów, wiedział, że wcale tego nie pragnie.

Miłość do Dinah czyniła go bezbronnym, a on tego nie lubił.

Ożeni się z nią, uczyni swoją własnością i wtedy znowu będzie panował zarówno nad nią, jak i nad samym sobą.

To pragnienie nie opierało się jedynie na egoizmie.

On także chciał się jej oddać, uczynić ją szczęśliwą, nauczyć ją zaufania i odegnać na zawsze strapienia, które wprowadzały mrok do jej życia.

Pragnął dzielić się z nią nie tylko miłością, ale i sukcesami, ba nawet pracą.

Był zaskoczony tym odkryciem - ktoś tak niewinny i dziecinny jak Dinah poruszył jego serce, podczas gdy bardziej wyrafinowane kobiety nie zdołały tego osiągnąć.

A z drugiej strony wcale nie było to zaskakujące, a wręcz naturalne; naiwność Dinah wypełniała wyrwę w jego duszy, przy niej czuł się silny i wszechwładny, a poza tym fascynowała go jej tajemniczość, stanowiła dla niego wyzwanie.

Został im jeden dzień, jeden dzień przed powrotem do rzeczywistości, do fabryki i codziennego życia.

Nie mógł znieść myśli, że ona znowu usiądzie przy maszynie razem z innymi pracownikami, podczas gdy on chciał ją mieć przy sobie; wiedział, że będzie przeżywał męczarnie, przyglądając się jej z okna swojego biura, zwykłej pracownicy zatrudnionej w fabryce jego ojca.

Och, jak oburzyłyby się jego przyjaciółki, gdyby dowiedziały się, że zostały pokonane przez to niewinne dziewczę!

Ale jak dumny będzie on!

Już teraz jest piękna, a kiedy ją ubierze, będzie błyszcząca.

Nauczy ją wszystkiego, co trzeba, by dobrze czuła się w jego świecie.

Jutro poprosi ją o rękę, zdecydował.

I choć tak dziwnie reagowała, mimo wątpliwości, które w nim wzbudzała, ani przez sekundę nie przyszło mu do głowy, że Dinah może odmówić.

Zabrał ją do Tarr Steps, w samym sercu Exmoor, a w drodze powrotnej znowu odwiedzili Dooney Valley.

Van nie był romantykiem, ale wiedząc, jakie uczucie dziewczyna żywi do tego miejsca, uznał, że najbardziej pasuje do zadania jej pytania, które przez cały czas zajmowało jego myśli.

- Lorna nie zdążyła dotrzeć do ołtarza - powiedział, trzymając ją za rękę.

- Czy nie chciałabyś zrobić tego za nią?

Spojrzała na niego zdziwiona.

Zdał sobie sprawę, że go nie zrozumiała.

- Czy chciałabyś wziąć ślub w tym kościele?

Roześmiała się lekko.

- Czy ja...?

Nie wiem.

Co za śmieszne pytanie!

- Nie chciałem, żeby zabrzmiało śmiesznie.

Nie wiem nawet, czy ten kościół nadal jest otwarty.

Ale jeśli tak, to czy chciałabyś w nim wziąć ślub...
ze mną?

Nadal wyglądała na zdziwioną, jakby zaczynała rozumieć, ale bała się, że może się myli.

- Na Boga!

- wybuchnął.

- Dinah, proszę cię o rękę!

- Och!

- W jej oczach znowu pojawił się ten sam wyraz, choć próbując go ukryć, natychmiast odwróciła wzrok.

Zabolało go to, jakby go uderzyła.

Kochał się z nią, a jej smutki nieustannie im towarzyszyły.

Poprosił ją o rękę i to też niczego nie zmieniło.

Cóż on może zrobić, by je odegnać?

Choć w jego sercu szalała burza, odezwał się oschle, głosem bez wyrazu: - Rozumiem przez to, że się nie zgadzasz?

Odwróciła się.

Przypominała mu gazelę gotową do ucieczki.

- Och, Van, niczego w świecie nie pragnę bardziej niż wyjść za ciebie.

Tylko że...

Zawahała się, jej wzrok odpłynął gdzieś daleko.

Potem opuściła powieki i potrząsnęła głową.

- Nic.

Czy nigdy nie wyjawisz mi prawdy?

Chciał ją złapać, wytrząsnąć z niej to, ale wiedział, że nie może tak postąpić.

Pewnego dnia, z własnej woli, mu powie.

Do tego czasu musi uzbroić się w cierpliwość.

- A więc wyjdiesz za mnie?

Ukryła twarz w jego ramieniu.

- Och, Van, tak bardzo cię kocham!

Nie była to do końca ta odpowiedź, której oczekiwał, ale, zdaje się, na tyle tylko mógł w tej chwili liczyć.

Następnego dnia wyruszyli w drogę powrotną.

Dinah zachowywała się bardzo spokojnie, ale też ogromnie czule.

Przez cały czas trzymała rękę na jego udzie, a głowę oparła mu na ramieniu.

Nie rozmawiali już o małżeństwie.

Postanowił dać jej czas na przyzwyczajenie się do tej myśli, zresztą sam chyba musiał się z nią oswoić.

Jego pospieszna decyzja wywołała w nim różnorakie emocje; nie żałował jej, o nie, jednak potrzebował czasu na całkowite uświadomienie sobie jej ogromnego znaczenia.

W czasie podróży zatrzymali się na posiłek w wiejskim pubie, i bardzo mu się podobało, że traktowano ich tam jak parę.

W Over Stowey odwiózł Dinah pod niewielki domek, w którym wynajmowała pokój.

- Dziękuję - powiedziała dziwnie oficjalnym tonem.

- Dziękuję - odpowiedział - za najszcześniejsze dni mojego życia.

- W pracy...

czy my...?

- Powiemy komuś?

Powiemy, kiedy tylko będziesz na to gotowa.

- A buty?

Sądysz, że coś z tego będzie?

Prychnął.

W tej chwili najmniej miał ochotę myśleć o butach.

- Jestem tego pewien.

Podstawowy projekt jest dobry, a eksperci rozpracują szczegóły.

- Uhm.

- Kiwnęła głową.

Wydawało mu się, że jest zadowolona.

- Pomóc ci wnieść bagaże?

- Och, nie, lepiej nie.

Pani Brooks to dziwaczna osoba.

- Pani Brooks będzie musiała się do mnie przyzwycząić, przynajmniej na jakiś czas.

- Tak - powiedziała zamyślona.

- Przypuszczam, że masz rację, ale jeszcze nie dzisiaj.

Ustawił jej walizki na stopniach schodków, potem objął ją i pocałował lekko.

- Dobranoc, kochanie.
- Dobranoc.
- Zabrzmiało to prawie jak łkanie.

Nagle zarzuciła mu ręce na szyję, chowając twarz na jego piersi. Zakłopotany zeszywniał.

Był za stary i zbyt dobrze wychowany na takie publiczne okazywanie emocji.

Ale zanim zdążył uwolnić się z objęć, odsunęła się od niego, podniosła walizkę i odwróciła się.

Klucz tkwił już w drzwiach, więc nie musiała go szukać.

Van domyślił się, że płacze.

- Dinah...

- zaczął.

- Dobranoc, Van - powtórzyła i przez chwilę dziwił się, dlaczego wydało mu się, że powiedziała, żegnaj.

Potem drzwi się za nią zamknęły i nie pozostało mu nic innego, jak wrócić do samochodu i odjechać.

Następnego dnia Dinah nie pojawiła się w pracy.

Van przyjechał wcześniej - zawsze tak robił, ale tego dnia miał więcej powodów niż zazwyczaj, by jak najszybciej znaleźć się w fabryce; chciał z miejsca przekazać buty do poprawek i pragnął zobaczyć Dinah.

Jednak jej miejsce było puste, a karta wejściowa, nie ruszona, leżała w swojej przegródce.

Zdziwił się, ale przesadnie nie przestraszył.

Pomyślał, że prawdopodobnie nie czuje się dobrze i wzięła wolny dzień, jednak męczyło go niemiłe przeczucie, że za jej nieobecnością kryje się coś więcej.

Tłumaczył sobie, że pani Brooks nie ma telefonu, jeśli więc Dinah źle się czuje, nie ma siły pójść do budki na końcu ulicy, żeby powiadomić go o chorobie.

Mimo to instynktownie wyczuwał, że stało się coś złego.

Całkowicie zapomniał o planowanej rozmowie z ojcem na temat obuwia.

O jedenastej powiedział sekretarce, że wychodzi, wziął swój samochód i pojechał na Wellington Street.

Pogoda się pogorszyła.

Mżyło i szare kamienne domy, stykające się niemal z jezdnią, bez kawałka ogródka, sprawiały ponure, odstręczające wrażenie.

Dwie kobiety objuczone plastikowymi torbami z zakupami stanęły, by z ciekawością przyjrzeć się Jaguarowi parkującemu przed domkiem pani Brooks.

Taki samochód należał w tych okolicach do rzadkości.

Van nacisnął dzwonek.

Przez długi czas nikt się nie pojawiał, aż w końcu usłyszał szuranie kapci po linoleum.

Otworzyła pani Brooks, która najwyraźniej została oderwana od prania.

Włosy, w mokrych strąkach, zwisały dokoła chudej twarzy, rękawy sfilcowanego sweterka podwinięte miała powyżej łokci, a czerwone i mokre ręce wycierała w brzeg spódnicy.

- Tak?

- rzuciła oschle.

- Przepraszam, że przeszkadzam, pani Brooks.

Chciałem zobaczyć się z Dinah.

Kobieta wciągnęła nosem powietrze, wycierając twarz wierzchem dłoni.

- Ha!

To nie będzie takie łatwe.

- Czy ona się źle czuje?

- Ona wyjechała.

- Wyjechała?

- Przeczuwał to, ale mimo to wiadomość zaszokowała go.

- Dokąd wyjechała?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Skąd mam wiedzieć?

Mogę tylko panu powiedzieć, że z samego rana spakowała się i wyszła.

Dobrze, że każę sobie płacić z góry.

- To znaczy, że...

ona nie wróci?

- To właśnie powiedziałam, nie?

- Popatrzyła na Vana podejrzliwie.

- Czy pan coś o tym wie?

Kim pan w ogóle jest?

- Jestem jej pracodawcą - wyjaśnił.

- Czy zostawiła jakiś adres?

- Nie.

Zapytałam ją, co mam zrobić, jeśli przyjdzie do niej jakiś list.

Powiedziała, że nie przyjdzie.

No cóż, jeśliby jakiś przyszedł, po prostu odeślę go z powrotem z napisem "wyjechała".

Nie musi mnie to obchodzić, jeżeli jej samej na tym nie zależy.

- Czy mógłbym zobaczyć jej pokój?

- poprosił Van.

Kobieta wyglądała na oburzoną.

- A po co?

- Może czegoś zapomniała.

- Nie zapomniała.

- Chciałbym sam się o tym przekonać.

- Mówił rozkazującym tonem i pani Brooks poddała się.

- Już zdjęłam jej pościel - zauważyła.

- Właśnie ją piorę.

Zgodnie z jej słowami wszystkie rzeczy należące do Dinah zniknęły.

Bez nich, z nagim materacem na łóżku, pokój wydawał się ponury, aż trudno było uwierzyć, że Dinah mieszkała tu tak długo.

Przejrzał szuflady wyłożone wypłowiałymi gazetami, otworzył szafę, która okazała się pusta, nie licząc drucianych wieszaków.

- Sam pan widzi.

- Panna Brooks przyglądała się jego poczynaniom, z twarzą, na której malowała się satysfakcja zmieszana z bolesnym oburzeniem.

Van pomyślał, że kobieta jest zirytowana nagłym wyjazdem lokatorki i zadowolona, że przekonał się, iż miała rację.

Z bólem serca zrozumiał, że nie ma sensu dalej jej o cokolwiek wypytywać.

- Czy panna Marshall nie jest pani nic winna?

Zapłacę za nią.

- Mówiłam panu, że biorę czynsz z góry.

Ale teraz mogę mieć trudności ze znalezieniem nowego lokatora

- dodała pospiesznie.

Van zacisnął usta z obrzydzenia.

- Rzeczywiście, może pani mieć kłopoty - powiedział tylko.

Van siedział za kierownicą Jaguara i wpatrywał się w przestrzeń przed sobą.

Nie zwracał już uwagi na brzydką ulicę i ciekawskich przechodniów.

Nadal był w szoku, a w jego umyśle wirowały pytania.

Dokąd wyjechała - i dlaczego?

Przypomniawszy sobie też pewne fakty z poprzedniego dnia - Dinah ze łzami w oczach, Dinah tuląca się do niego, Dinah odchodząca od niego bez oglądania się za siebie.

Teraz był pewien, że się nie przesłyszał i że rzeczywiście powiedziała, żegnaj.

Zapewne już wczoraj dobrze ją zrozumiał, tylko nie chciał tego zaakceptować.

Ale dlaczego?

Dlaczego?

Bo się kochali?

Bo poprosił ją o rękę?

Jeśli tego nie chciała, mogła po prostu odmówić.

A może uznała, że po wszystkim, co się zdarzyło, nie powinna już z nim pracować?

Tak, to chyba to.

Nie chciała zranić go otwartą odmową, a bała się z nim ponownie spotkać.

Przecież w końcu nie powiedziała, że za niego wyjdzie.

Zdenerwowało go to wtedy, tak jak i teraz.

Ale przecież powiedziała, że go kocha, i on jej wierzył.

Więc dlaczego się spakowała i wyjechała bez słowa!?

To wszystko nie miało sensu, ale instynkt podpowiadał mu, że ma to jakiś związek z jej tajemnicą i cieniem, który ich ciągle dzielił.

Co też ona ukrywała?

Jakiś tajemny smutek?

Coś, czego się wstydziła - może swego pochodzenia?

Cokolwiek by to było, nie wyobrażał sobie, że to coś strasznego.

Znając Dinah i jej niewinność, domyślał się, że prawdopodobnie przesadzała, wyolbrzymiała problem, aż stał się nieproporcjonalnie poważny.

Odnajdzie ją, wydobędzie z niej tę tajemnicę i przekona, że nic nie jest ważniejsze od ich miłości.

Ruszył, automatycznie kierując się w stronę fabryki.

Już w tej chwili strata Dinah sprawiała mu niewyobrażalny ból, pustka rosła, sięgała każdego zakamarka ciała.

Ale mimo wstrząsu i cierpienia nie wątpił, że ją odnajdzie i naprawi to, co psuło ich związek.

Potrzebował jej i fizycznie, i emocjonalnie, a także jako katalizatora swoich marzeń.

Bez Dinah, z jej talentem, nie mógłby zrealizować swoich ambitnych zamiarów.

Razem wyprowadzą Kendricks na szerokie wody.

Tak to sobie planował - tak się stanie.

Jej zniknięcie teraz było tylko chwilowe.

Van, dynamiczny i stanowczy, nie dopuściłby, by przyszłość ułożyła się inaczej, niż on ją widział.

Mary Colbourne, panięskie nazwisko OSullivan, ułożyła swojego maleńkiego synka do poobiedniej drzemki, po czym wróciła do domu.

W zagraconej, ale przytulnej kuchni Dinah skończyła właśnie wycierać naczynia po obiedzie.

Wyciskając wilgotną ściereczkę, wyglądała apatycznie przez okno na małe słoneczne podwórko, gdzie wielokwiatowa fasola i różowe geranium odbijały się jaskrawymi plamami od szarości budynku.

W jego cieniu stał wózek osłonięty siatką.

Mary ze smutkiem popatrzyła na przyjaciółkę i potrząsnęła głową.

Dinah ugiwała się pod ciężarem zmartwień, i było to widać.

Miała bladą i zmizerniałą twarz, oczy spuchnięte, a pod taną bawełnianą bluzeczką w kwiaty, tego samego koloru co geranium, wyraźnie zaznaczało się już zgrubienie w pasie.

- Dinah, musimy porozmawiać - oświadczyła Mary.

- Musimy zdecydować, co masz robić.

Prawie przed tygodniem Dinah pojawiła się na stopniach domku Mary i jedno spojrzenie na nią wystarczyło, by domyślić się, że stało się coś strasznego.

Dinah potwierdziła przypuszczenie - porzuciła pracę i pokój, który wynajmowała, i nie miała się gdzie zatrzymać.

Czy Mary może ją do siebie przyjąć, dopóki nie uporządkuje swoich spraw?

Przyjaciółka zgodziła się.

Ma pokój gościnny i Dinah może w nim zostać, jak długo będzie potrzebowała, powiedziała.

Była przekonana, że Bob, jej mąż, nie będzie miał nic przeciwko temu - wiedział, jak jest samotna w domu z dzieckiem, podczas gdy on pracuje do późna jako tynkarz i bierze nadgodziny, żeby zarobić na czynsz.

Ale mimo wszystko Mary zdziwiła się.

Ostatni raz rozmawiała z Dinah, kiedy przyjaciółka przerwała studia plastyczne i znalazła pracę w fabryce obuwia - bardzo dziwne zajęcie dla kogoś z takimi zdolnościami.

Teraz wyglądało na to, że i to już należy do przeszłości.

A dziewczyna naprawdę była załamana - i jak dla Mary - podejrzanie pulchna.

Dinah, pod ostrzałem pytań, szybko przyznała się, że jest w ciąży - z wyraźnie odznaczającym się brzuchem nie było sensu temu zaprzeczać.

Jednak wszelkie szczegóły dotyczące swego stanu zostawiła dla siebie.

- Nie chcę o tym mówić - stwierdziła i Mary zostawiła sprawy swojemu biegowi, nie chcąc jeszcze bardziej przygnębiać przyjaciółki naciskaniem na nią.

Ale minął tydzień i nie mogła już dłużej czekać.

Bob zaczął zadawać pytania - a zresztą, dla własnego dobra Dinah musi uznać fakt, że jest w ciąży.

- Din, musimy pogadać - powtórzyła, ale Dinah nie przestawała się gapić w okno.

Mary zdała sobie sprawę, że przyjaciółka wpatruje się w wózek ze śpiącym w nim małym Patrickiem.

Westchnęła.

- Wstawię wodę na herbatę - powiedziała stanowczo.

- Potem, czy tego chcesz czy nie, porozmawiamy.

- Och, Mary, ja nie chcę!

Lepiej porozmawiajmy o starych czasach...

- Dinah, może umknęło to twojej uwagi, ale spodziewasz się dziecka.

Ignorując ten fakt, niczego nie załatwisz.

Byłaś u lekarza?

Dinah potrząsnęła głową.

- Musisz iść do lekarza.

Może być z tobą coś nie tak i z dzieckiem też.

Dinah wpatrywała się błędnym wzrokiem w przestrzeń.

- Czy sądzisz, że jest już za późno na usunięcie?

- Dinah!

- Mary była zszokowana.

- Nie wolno ci nawet myśleć o czymś takim!

To nielegalne, niemoralne i prawdopodobnie niebezpieczne.

Poza tym każdy głupiec zauważyłby, że jest już stanowczo za późno.

W którym jesteś miesiącu?

- W piątym.

- Za późno.

- Szkoda, że nie pomyślałam o tym wcześniej.

- Dinah, natychmiast przestań mówić o skrobance!

To grzech nawet myśleć o zabijaniu.

A to właśnie byś zrobiła.

Zabiłabyś dziecko, swoje dziecko, takie dziecko jak mój mały Patrick.

- Dobrze, dobrze, nie mów już o tym!

Jest za późno, sama powiedziałaś.

Muszę je urodzić.

- Dinah.

- Mary wyjęła z jej rąk ściereczkę i posadziła dziewczynę na krześle.

- Jestem twoją przyjaciółką.

Zawsze się przyjaźniłyśmy, prawda?

Nie opowiesz mi?

Dinah wzdrygnęła się.

- Nie ma o czym mówić.

Upiłam się i pozwoliłam, żeby się zdarzyło.

To wszystko.

- A co z ojcem dziecka?

Czy wie, że jesteś w ciąży?

- Nie, nie chcę, żeby wiedział.

- A dziadkowie?

Dinah roześmiała się ponuro.

- Im z pewnością nic nie powiem.

Wyobrazasz sobie chyba, jaka byłaby ich reakcja.

Zresztą nie chcę widzieć dziadka do końca mojego życia.

- Co nie potrwa długo, jeśli dalej będziesz tak postępowała - stwierdziła Mary oschle.

- Musiałaś przynajmniej myśleć o przyszłości.

- Raczej nie.

Wyjechałam ze szkoły, zanim ktokolwiek się zorientował i znalazłam pracę, która zajęła mnie na tyle, że nie musiałam zastanawiać się nad tym, co zrobię później.

Ale...

- Tak?

- Wydaje mi się, że po prostu zapomniałam, że jestem w ciąży.

- Dlaczego, Dinah?

Dlaczego?

Nastąpiła długa cisza.

Potem powiedziała: - Ponieważ spotkałam kogoś.

- Kogo?

- Nazywa się Van.

Van Kendrick.

Jest właścicielem fabryki, w której pracowałam, a raczej, jego ojciec jest właścicielem.

On jest naprawdę kimś niezwykłym.

Kocham go, Mary.

Starłam się zapomnieć, co mi się przytrafiło, wmówić sobie, że to tylko zły sen.

Tak dobrze było odsunąć przeszłość gdzieś głęboko i udawać, że jestem normalną dziewczyną jak inne i że może moglibyśmy...

- Jej oczy zaczęły wypełniać się łzami.

Mary postawiła kubki na stole kuchennym i usiadła naprzeciwko przyjaciółki.

- Ale on nie zwracał na ciebie uwagi.

Dinah podniosła na nią wzrok.

- Och tak, zwracał.

Naprawdę mnie polubił.

Właśnie o to chodzi.

Było wspaniale.

Poprosił, żebym pomogła mu przy pewnych projektach dla fabryki.

Łatwo zapomniałam wtedy o dziecku.

Byłam taka zajęta.

Zrobiliśmy buty sportowe, tylko on i ja, kiedy w fabryce nikt nie pracował z powodu urlopów.

A potem wyjechaliśmy razem.

- O, najświętsza Panienko!

- wybuchnęła Mary.

- Nie powiesz, że z nim też!

- Tak.

- Dinah, nie potrafisz uczyć się na własnych błędach!

I pomyśleć, że miałam cię za taką niewinną i porządną!

- Och, Mary, nie napadaj na mnie!

Mary westchnęła.

- Dobrze.

Opowiadaj.

Pewnie potem, jak cię wykorzystał, nie chciał cię więcej znać.

Oczy Dinah rozszerzyły się ze zdumienia.

Wyglądała na wstrząśniętą.

- Och, nie, mylisz się.

Poprosił mnie o rękę.

- Co?

- Chciał, żebym wzięła z nim ślub.

Mary machnęła niecierpliwie ręką.

- Więc co złego się stało?

Dlaczego tu jesteś?

- Przecież nie mogłam się zgodzić.

Nie w moim stanie.

I nie mogłam też powiedzieć mu prawdy.

- Dlaczego nie?

- Nie zniosłabym tego.

On myśli...

myślał...

że byłam dziewczyną.

Nie mogłam powiedzieć mu, że jestem w ciąży.

- Kochał się z tobą.

Musiał się zorientować!

- Zmusiłam go, by zgasił światło.

Mary, nie chcę, żeby się dowiedział.

To by wszystko zepsuło.

- Mnie się wydaje, że już teraz tak jest!

- Nie wszystko.

Nie to, co między nami zaistniało.

Przynajmniej zapamięta mnie taką, jaką myślał, że jestem.

Gdyby znał prawdę...

och, Mary, nie rozumiesz?

Znienawidziłby mnie, a ja bym tego nie przeżyła.

- Przypuszczam, że doznałby szoku, ale jeśli cię kocha...

- Nie.

Nie chcę obarczać go dzieckiem kogoś innego.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, bo chyba już podjęłaś decyzję.

- Tak - oświadczyła Dinah.

- Podjęłam.

Kiedy poprosił mnie o rękę, wiedziałam, że muszę przerwać ten związek.

Musiałam powiedzieć mu prawdę albo uciec.

I nie mogłam mu powiedzieć.

- Więc uciekłaś.

Jaki to ma sens?

- Nie wiem!

Nie wiem!

- Dinah, zgódź się, żebym do niego napisała.

Wszystko mu wyjaśnię.

- Nie!

- Jeżeli on cię kocha...

a ty jego...

- Nie!

Gdybyś do niego napisała, nigdy bym ci tego nie wybaczyła.

- W porządku - zgodziła się Mary zmęczonym głosem.

- Ale musimy coś zaplanować, Dinah.

Nie możesz zostać tu na zawsze.

- Ale mówiłaś...

- Wiem, co mówiłam, ale myślałam o wakacjach, a nie o tym, że wprowadzisz się na stałe.

Musisz iść do lekarza, do opieki społecznej.

Musisz ustalić, co zrobisz, kiedy dziecko się urodzi.

Zamierzasz je zatrzymać?

- Tak sądzę...

- Myślę, że istnieją miejsca, w których możesz zatrzymać się na jakiś czas, póki dziecko będzie malutkie.

Domy dla matki z dzieckiem.

Dinah!

Czy ty mnie słuchasz?

Ale Dinah odeszła daleko.

Mary westchnęła.

Bardzo lubiła koleżankę i chciała jej pomóc.

Ale ona wymagała od niej więcej, niż mogła jej dać.

- Skontaktuję się z opieką społeczną, ale potem sama musisz sobie radzić - oświadczyła kategorycznie.

Jednak w duchu przemyśliwała, jak się dowiedzieć, gdzie Dinah pracowała, postąpić wbrew jej życzeniu i skontaktować się z Vanem Kendrickiem.

W końcu coś należy z tym zrobić.

Dwa dni później, kiedy Mary prała pieluchy, rozległo się pukanie do drzwi.

Bob był w pracy - jak zawsze - a Dinah poszła kupić warzywa i chleb.

Przynajmniej Mary miała kogoś do pomocy; choć lubiła prace domowe, opieka nad dzieckiem przysparzała mnóstwa problemów.

Starając nadażyć między porami karmienia, kąpieli i praniem pieluch, na które to czynności nigdy nie starczało czasu, Mary zastanawiała się, jak na Boga, Dinah da sobie z tym radę sama.

Teraz westchnęła zirytowana, że ktoś jej przeszkadza.

Wytarła ręce w kuchenną ściereczkę, po czym podeszła do drzwi.

Pomyślała ze złością, że jeżeli są to Świadkowie Jehowy, to przegna ich jak nic.

Ale mężczyzna stojący na schodkach nie przypominał wyznawcy Jehowy.

Był wysoki i przystojny, dobrze ubrany.

Mary popatrzyła na niego z pytaniem w oczach.

- Tak?

- Mary Colbourne?

Zdziwiona pokiwała głową.

- Wspaniale.

To znaczy, że dobrze trafiłem.

Czy mogłaby mi pani pomóc?

Szukam Dinah Marshall.

O ile mi wiadomo, przyjaźnicie się panie.

Może pani wie, gdzie ona się teraz znajduje?

Aha, nazywam się Kendrick, Van Kendrick.

Mary osłupiała - tak naprawdę nie do końca uwierzyła w opowieść Dinah.

Wydawało jej się niemożliwe, żeby pracodawca Dinah, człowiek bogaty, poprosił przyjaciółkę o rękę, a poza tym Mary dobrze знаła Dinah i wiedziała, że ma bogatą wyobraźnię, którą uruchamiała, kiedy rzeczywistość stawała się zbyt brutalna.

Wiedziała, że Dinah jej nie okłamuje ani siebie, ale potrafi tak naciągnąć prawdę, by łatwiej ją było przełknąć.

Zachowywała się tak, ponieważ niemal patologicznie potrzebowała akceptacji i ciepła.

Według Mary za taki stan rzeczy najbardziej odpowiedzialni byli dziadkowie Dinah, jednak, jako osoba rzeczowa i mocno stojąca na nogach, nie rozumiała, jak uciekanie w krainę marzeń może pomóc w przewyciężaniu kłopotów, zwłaszcza że wcześniej czy później dadzą one o sobie znać w stopniu jeszcze bardziej bolesnym.

Może rzeczywiście właściciel fabryki zabiegał o Dinah, myślała, może naprawdę chciał, żeby pomogła mu swoimi pomysłami, a może Dinah wymyśliła sobie to wszystko.

Tak czy inaczej, Mary uważała, że propozycja małżeństwa raczej należała do pobożnych życzeń przyjaciółki, a fakt, że nie zgodziła się na skontaktowanie się z nim, tylko jej podejrzenia potwierdzał.

Ostatnią rzeczą, której się spodziewała, było pojawienie się tego mężczyzny u jej drzwi, w poszukiwaniu Dinah.

Wytarła wilgotne dłonie w fartuch, przyglądając się przybyłemu sprytnymi niebieskimi oczami, typowymi dla Irlandki.

- Pan Kendrick, tak?

Dinah wspominała o panu.

Zauważyła lekkie drgnięcie mięśni na jego twarzy.

- Więc nie wie pani, gdzie ona jest?

- Owszem, wiem.

- Opuściła głowę na bok jak ptak.

- Dlaczego chce się pan z nią spotkać?

Wyraz zaskoczenia przemknął po przystojnej twarzy, a zaraz za nim pojawiło się zniecierpliwienie.

- Cóż to za pytanie?

Mary nie spuściła z tonu.

- Całkiem proste, powiedziałabym.

Proszę posłuchać, panie Kendrick, Dinah jest moją bliską przyjaciółką.

Zależy mi na niej.

Przechodzi teraz ciężki okres w życiu i nie chcę, by ktokolwiek ją denerwował.

- Nazywam się Van Kendrick - trochę pompatycznie zaznaczył mężczyzna.

- Christian Van Kendrick.

Zapewniam panią, że jestem ostatnią osobą, której zależałoby na denerwowaniu Dinah.

Wręcz odwrotnie.

Więc, jeśli mogłaby mi pani po prostu powiedzieć, gdzie ją znajdę...

Mary spojrzała na niego twardo.

Nie bardzo jej się podobał.

Owszem, przystojny.

Owszem, wywiera silne wrażenie.

Ma kupę forsy, sądząc po Jaguarze, zaparkowanym przed furtką.

Ale zarazem jest arogancki i zarozumiały.

Wyczuwała, że jest przyzwyczajony stawiać na swoim, a jeśli ktoś mu się przeciwstawia, potrafi być bardzo nieprzyjemny.

Jednak co mogła zrobić?

Nie zamierzała go okłamywać, a poza tym Dinah potrzebowała każdej pomocnej dłoni.

- Niech pan wejdzie, panie Kendrick - zaprosiła.

Poszedł za nią do małego pokoju.

- Proszę usiąść.

- Dziękuję, ale wolę stać.

- Jak pan sobie życzy.

- Mary stanęła w drzwiach, założyła rękę na rękę, starając się patrzeć gościowi prosto w oczy.

Nie było to takie proste; ona, krótkonoga Irlandka, on potężny, o wiele od niej wyższy.

Mimo wszystko wytrzymała jego wzrok, na jej twarzy pojawił się gniewny wyraz, który doprowadziłby jej męża Boba do padnięcia na kolana.

- Czy pan jest ojcem dziecka?

- zapytała.

Zobaczyła, że jego twarz zmieniła się.

Gdyby podejrzewał cokolwiek na temat stanu Dinah, w tym momencie wszystko by się ujawniło.

Zauważyła, że jest zaskoczony, opadła z niego maska arogancji, która stanowiła jego broń.

Stał się nagle bezbronny.

Wyraźnie o niczym nie miał pojęcia.

- Czy to znaczy, że Dinah ma dziecko?

- Jeszcze nie.

Ale się go spodziewa.

Myślę, że na początku grudnia, choć ona sama nie była nawet u lekarza.

Z rozmów z nią wnioskuję, że ostatnie pięć miesięcy udawała, że nic się nie zdarzyło.

Ale przecież ona musi iść do lekarza - i to natychmiast.

Poza tym musi postanowić coś o swojej przyszłości.

Chowanie głowy w piasek nic nie rozwiąże.

- Zamilkła, po czym dodała: - Chciałam się z panem skontaktować.

Dinah zabroniła mi.

Nie chciała, żeby pan się dowiedział.

A przy okazji, jak mnie pan odnalazł?

- Dinah wyjechała, nie powiadamiając nikogo, dokąd.

Przypomniałem sobie wszystko, co mi o sobie mówiła.

Wiedziałem, z jakiej części kraju pochodzi, z jakiego miasta, i znałem pani nazwisko.

Opowiadała mi o pani.

Pomyślałem, że najlepiej zrobię, gdy odszukam właśnie panią.

- Jego twarz stwardniała.

- Kto jest ojcem dziecka?
- Kolega ze studiów.
- Powiedziała mi, że przerwała naukę z powodu śmierci matki.
- Och, to też jest prawda.
- Mary nagle zaczęła bronić przyjaciółki.
- Jej matka rzeczywiście umarła.
- Ale porzuciła szkołę nie tylko z tego powodu.

Ten młody człowiek ją zostawił, jak się domyślam?

- Nic mu nie powiedziała.

Ta przygoda była bardzo przypadkowa.

- Dinah w ogóle nie lubi mówić o sobie.

Gdzie ona teraz jest?

- Poszła do sklepu.
- To znaczy, że mieszka u pani?
- Tak, od jakiegoś czasu.

Może pan poczekać, niedługo wróci.

Van zawahał się, potem niecierpliwie potrząsnął głową.

- Nie, nie będę czekał.

I chyba lepiej będzie, jeśli nie powie jej pani o mojej wizycie.

Szedł w stronę drzwi.

Mary uderzyła falą gniewu.

Świnia!

Teraz, kiedy poznał tajemnicę Dinah, uciekał, jak najszybciej potrafił.

Dinah miała rację, przypuszczając, że prawda go wystraszy.

- Proszę się nie martwić - stwierdziła zimno.

Ja jej tego nie powiem.

Nie chcę powiększać jej cierpienia.

Ponieważ, niech Bóg ją ma w swojej opiece, jest na tyle nierozsądna, że na dodatek pana kocha.

Mówiłam jej, że powinna powiedzieć panu prawdę.

Powiedziałam, że jeśli ją pan kocha, stanie pan u jej boku, bez względu na to, czyje jest to dziecko.

Teraz widzę, że jednak ona miała rację.

Och, bez obawy, nie złamię jej serca i nie powiem, że słusznie pana oceniła, panie Van Kendrick.

Wyprowadziła go na zewnątrz, modląc się w duchu, by elegancki Jaguar zniknął sprzed jej domu, zanim wróci Dinah.

Płonąc z wściekłości i obrzydzenia, wróciła do kuchni i całą energię włożyła w pranie pieluch.

Van był wstrząśnięty.

Wsiadł do samochodu i odjechał - szybko i bez zwracania uwagi na przepisy ruchu drogowego.

Kilkakrotnie inni kierowcy trąbili na niego, więc zatrzymywał się, wyłączał silnik, kładł ręce i głowę na kierownicy.

A więc odnalazł Dinah - a zarazem odkrył jej sekret.

Już wiedział, co oznaczał cień otulający każde jej spojrzenie - i diabelnie tej wiedzy żałował.

Dinah była dla niego tym, czego pragnął, była czysta, słodka, niewinna, dziecinna.

Teraz okazało się, że wcale taka nie jest.

Nosiła w sobie dziecko innego mężczyzny i było tak przez cały czas ich znajomości.

Oklamała go.

Dla niego świat dosłownie przewrócił się do góry nogami.

Wyjął papierosa i zapalił go od samochodowej zapalniczki.

Dym zostawił kwaśny osad na języku.

Spodziewał się wszystkiego, ale nie tego właśnie.

Kiedy zbierał informacje o Dinah i szukał jej po całym kraju, nawet przez sekundę nie przemknęło mu przez myśl, że powodem jej ucieczki mogła być ciąża.

A przecież to było w sumie oczywiste.

Nie mógł uwierzyć, że był tak naiwny i nie pomyślał o tym wcześniej, że był tak mało spostrzegawczy i, choć się z nią kochał, niczego nie zauważył.

Ale teraz już wie i wcale nie jest mu dobrze.

Bolała go świadomość, że jego madonna została zbezczeszczona, że przed nim był inny mężczyzna, a przede wszystkim, że ten mężczyzna dał Dinah coś, czego on nigdy jej nie da - dziecko.

Van miał dziewiętnaście lat, kiedy zachorował na świnkę.

Koledzy uważali to za doskonały dowcip - kpili sobie z jego spuchniętej twarzy i szyi, a on wtórował im w żartach.

Jednak niedługo.

Lekarz ostrzegł go o możliwości poważnych powikłań wewnętrznych, a późniejsze testy wykazały, że obawy nie były bezpodstawne.

Van stał się bezpłodny.

Wtedy nie przejął się zbyt mocno tą wiadomością.

Kiedy dowiedział się, że nic nie można zrobić, wzruszył ramionami i postanowił popatrzeć na sytuację z innej strony - mógł teraz używać do woli, nie obawiając się o następstwa!

Jednak wraz z latami pojawiła się pewna pustka, rodząca się ze świadomości, że nie będzie ojcem.

Ominie go radość przekazania potomstwu rodzinnego interesu, tak jak zamierzał to uczynić ojciec.

Wszystkie osiągnięcia muszą zmieścić się w jego życiu i ich owoce będą dla niego, nie dla potomków.

Silny charakter i prostolinijność kazały Vanowi przyjąć tę filozofię.

Nie miał czasu ani ochoty na popadanie w rozpacz z powodu czegoś, czego i tak nie da się zmienić.

A jednak reagował niewytłumaczalną gwałtownością, kiedy coś przypominało mu, że on, inaczej niż reszta ludzi, nie spełni swojej powinności, bo nie jest zdolny do prokreacji.

Budziło to w nim złość, złość, której nie kierował przeciwko sobie albo chorobie, która obrabowała go z płodności, złość tym bardziej frustrująca i destrukcyjna, że nie miała swojego celu.

Podzęgała i gotowała mu krew, skręcała żołądek, czaiła się tuż pod skórą.

Nie będzie ojcem.

Ale Dinah - jego Dinah - znalazła kogoś, kto jej je dał.

Spała z nie znanym mu mężczyzną, który posiadał coś, czego on, Van, nie ma i przez cały czas ich znajomości to obce ziarno w niej rosło.

Van zgniótł niedopałek papierosa.

W tej chwili, na skutek szoku, nadal jeszcze był nieco otumaniony, ale wiedział, że kiedy oszołomienie minie, pozostanie tylko ból, cierpienie za cierpieniem.

A jednak, mimo wstrząsu i odrazy, pragnął Dinah, nawet bardziej, jeśli to możliwe, niż przedtem.

Kochał ją, potrzebował jej z desperacją, o którą nigdy by siebie nie podejrzewał.

Potrzebował jej jako mężczyzna, sercem i ciałem.

Ale także potrzebował jej, by osiągnąć sukces zawodowy.

Ta kombinacja była nieodparta; wiedział, że nie ma sensu przeciwko niej walczyć, nie ma po co rozważać za i przeciw.

Kierował nimi los, i Dinah jest jego przeznaczeniem, czy mu się to podoba czy nie, a on, Van, należy do niej.

Byli sobie przeznaczeni na dobre i na złe.

Musiał z tej sytuacji wyciągnąć co najlepsze.

Opuścił boczną szybę i wziął kilka głębokich oddechów.

Powietrze wypełniała słodycz lata - pachniało tymiankiem i rozgrzaną, wyschniętą trawą.

Wdychając ten zapach, wiedział, że ta mieszanka na zawsze przypominać mu będzie tę chwilę.

Nie zamykając okna, zapalił silnik.

Potem zawrócił i pojechał w kierunku domu Mary.

Dinah była na piętrze, w małej sypialni, której użyczyła jej Mary.

Przez ostatnie kilka dni czuła się strasznie zmęczona i osłabiona.

Postanowiła pójść do siebie i położyć się na pół godziny, może trochę poczytać.

Ale nie mogła skoncentrować się na książce, nie mogła skoncentrować się na niczym.

Litery zbijały się w jedną niezrozumiałą gmatwaninę, a myśli uciekały, aż wydawało jej się, że zwariuje.

Co ma zrobić?

Mary słusznie mówi, że powinna coś postanowić, i nie wolno jej wymagać od przyjaciółki, że zrobi to za nią - miała własne życie i problemy.

Możliwe, że w ogóle źle zrobiła, pojawiając się u niej, ale w tamtym momencie nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

Musiała uciec od Vana i nie znalazła innego miejsca, innego człowieka, do którego mogła pójść.

Bała się w tej chwili stawić rzeczywistości czoło.

Kiedy opuszczała college także się bała, ale wierzyła w przyszłość.

Teraz czuła się straszliwie zagubiona.

I jeszcze na dodatek to zmęczenie.

Czy wszystkie kobiety w ciąży tak się czują?

Jeśli tak, to jak dają sobie radę te, które mają już dzieci i muszą się nimi opiekować?

A może to tylko ona, może coś jest z nią nie w porządku?

Nadal nie była u lekarza.
Nikła nadzieja zaświtała jej w głowie.
Może poroni?
To by wszystko rozwiązało.
Byłaby znowu wolna, a jej życie wróciłoby do stanu sprzed ciąży.

Nie.
Nic już nie byłoby takie same.
Łzy napłynęły jej do oczu.
Dlaczego nie spotkała Vana wcześniej?
To nielogiczne, rzecz jasna.
Gdyby nie zaszła w ciążę, nigdy by go nie spotkała - nadal studiowałaby.

Zresztą szkoda energii na takie rozważania.
Musi się wziąć w garść, pójść do ginekologa i do pomocy społecznej, zdecydować, gdzie urodzi dziecko, gdzie zamieszka po porodzie i jak zarobi na utrzymanie.

Ale najzwyczajniej nie wiedziała, od czego zacząć, i brakowało jej silnej woli.

Podniosła się z łóżka i podeszła do okna.
Uklękła na kolanach, opierając łokcie na parapecie, wpatrzona w upalne, zakurzone, sierpniowe popołudnie.

Czuła nieprzyjemny ucisk na żołądku; niesamowicie, że tak długo udawało się jej ukrywać brzuch - od przyjazdu do Mary strasznie urósł, ale może jej się tak wydawało, bo nie starała się już go ukrywać.

Usłyszała nadjeżdżający samochód i obojętnie spojrzała na ulicę.
Jaguar taki jak ma Van.
Nagły i bolesny ścisk serca, zaraz nad miejscem, gdzie od czasu do czasu wyczuwała lekkie ruchy dziecka.

Samochód zatrzymał się pod domem.
Dinah wstrzymała oddech.
Otworzyły się drzwi i z samochodu wysiadł mężczyzna.
Van!

Dobry Boże ten samochód nie tylko wygląda jak samochód Vana - to jest jego wóz!

Zerwała się na nogi w panice.
Nie może jej zobaczyć w tym stanie - nie zniosłaby tego!

Ta okropna, bawełniana bluzka, wybrzusząca się w talii.

Włosy...

och, Boże, wystarczy tylko popatrzeć na tę plątaninę!

A w ogóle, czy ona chce się z nim spotkać?

Czy nie powinna ukryć się, zamknąć drzwi na klucz, udać, że śpi, cokolwiek, cokolwiek, żeby tylko odjechał.

Ogarnęła ją panika, poczuła, że choć zbiera w niej gorącą falą, dłonie pozostały zimne jak lód, nogi trzęsą się, słabe i bezużyteczne.

Muszę usiąść!

Ale nagle łóżko wydało jej się strasznie oddalone.

Zrobiła krok w jego kierunku.

Pokój zawirował.

Następny krok; poruszała się, jakby brodziła w głębokiej wodzie.

Nogi zaplątały się i Dinah upadła na podłogę.

Usłyszała głos Mary.

- Dinah!

Dinah!

- ale dochodził z bardzo daleka.

Zaraz za nim jeszcze jeden głos, jego głos, i nie wiadomo skąd wiedziała, że podtrzymująca ją dłoń, to dłoń Vana.

Zamrugła, mgła w oczach nieco się przeczodziła.

Otworzyła je szeroko i on był, twarz, którą kochała, była przy niej.

Och Van, Van...

Mary trzymała przy jej ustach szklanekę.

Brandy.

Zapach alkoholu wywołał w niej mdłości.

- Nie...

- Odepchnęła szklanekę.

- Może wody - zaproponował Van.

Nalał wody z karafki, którą zawsze trzymała przy łóżku, ponieważ często budziło ją w nocy pragnienie.

Tego rana zapomniała opróżnić naczynie i mimo że woda była ciepła, to jednak orzeźwiła ją trochę, choć Dinah nadal ciężko opierała się o ramię Vana.

- Co ty tutaj robisz?

- zapytała niepewnie.

Otarł jej policzek z kropel wody.

- Przyjechałem zabrać cię do domu - powiedział.

Po trzech tygodniach, po uzyskaniu specjalnego pozwolenia, pobrali się w urzędzie stanu cywilnego.

Taki ślub nie wzbudzał tyle zamieszania co kościelny, a zresztą Dinah i tak nie weszłaby do kościoła.

Jej dziadek, który nadal sprawował nad nią prawną opiekę, ponieważ nie miała jeszcze skończonych dwudziestu jeden lat, nie przystał na ich małżeństwo, więc musieli ubiegać się o pozwolenie na ślub bez jego zgody.

Nie zjawił się też na ceremonii.

Uczestniczyli w niej jedynie rodzice Vana oraz Mary i Bob z małym Patrickiem.

Dinah wyglądała prześlicznie w sukience w stylu lat dwudziestych z kremowego jedwabiu, który zgrabnie krył jej powiększoną talię.

Choć nadal była blada, na jej twarzy malowało się szczęście.

Rodzice Vana wyglądali na mniej zadowolonych.

Lubili Dinah, ale dwudziestoletnia, ciężarna robotnica z fabryki nie wydawała im się najlepszą partią dla syna.

Christian senior przeprowadził z nim ostrą rozmowę na ten temat, kiedy Van oświadczył, iż chce zamieszkać z żoną w domu rodziców do czasu znalezienia własnego.

Ostatecznie Van wynajął wygodny domek w okolicy fabryki, nie przestając szukać czegoś na stałe.

Tego dnia jednak rodzice Vana odłożyli na bok wątpliwości i jakoś udało im się wykrzesać uśmiech do fotografii pamiątkowej.

Matka Vana, patrząc na rozświetloną twarz Dinah, zastanawiała się, czy przypadkiem nie martwi się niepotrzebnie.

Dziewczyna jest piękna i słodka, a syn wygląda na człowieka, który osiągnął to, czego pragnął.

Całując synową w policzek, modliła się w duchu, by Van nigdy nie zmienił zdania.

Dinah była w ósmym miesiącu ciąży, kiedy Van definitywnie uświadomił sobie, że nie zaakceptuje dziecka innego mężczyzny.

Wtedy w sierpniu, kiedy wrócił do domu Mary, myślał tylko o Dinah, a kiedy zobaczył ją leżącą na podłodze małej sypialenki, zrozumiał, że chce się z nią ożenić bez względu na okoliczności.

Chce zabrać ją ze sobą do domu i opiekować się nią.

Dziecko, którego się spodziewała, wydawało mu się czymś nierealnym, a w ferworze przygotowań do ślubu i w trakcie poszukiwań mieszkania nie miał czasu w ogóle o nim myśleć.

Jednak ciąża Dinah stawała się coraz wyraźniejsza i jego opory znowu się odezwały, początkowo przytłumione, z czasem rosnące, aż stały się niemal obsesją.

Gdyby potrafił analizować przeszłość, zrozumiałby, że nie dał sobie czasu na przystosowanie się do nowej sytuacji.

Ale Van nie był człowiekiem, który ogląda się za siebie i kieruje się w swoich poczynaniach rozważą.

Działał szybko, czasami pochopnie.

Van, człowiek czynu, zdumiewające, ale nie miał bogatej wyobraźni; działał instynktownie, niekiedy ślepo walczył o coś, nie bacząc na rezultaty.

Ta gwałtowna strona jego charakteru często pozwalała mu osiągnąć spektakularny sukces, ale też równie często prowadziła do porażki.

Zbliżał się czas narodzin dziecka Dinah i Van uświadomił sobie, że jest to też pora jego porażki.

Widok jej obrzękłego ciała był dla niego jak pchnięcia nożem.

Wydawało mu się, że nie polubiłby tego dziecka, nawet gdyby było ono jego własne; rzeczywistość była o wiele gorsza, bo przypominała mu stale, że przed nim istniał inny mężczyzna.

Dinah chciała opowiedzieć mu całą historię, ale on nie chciał niczego wiedzieć.

I taka była prawda, nie chciał, ale i tak go to męczyło.

Irytowało go, że Dinah jest taka duża, że ciągle skarży się, że niewygodnie jej na krześle, w samochodzie, w łóżku.

Była nieustannie zmęczona.

Bał się ją obejmować i bał się dotyku jej wielkiego brzucha na swoim ciele.

Nie znosił patrzeć na nią, kiedy była naga.

Przypominał sobie, jak w czasie wspólnych wakacji nalegała, by kochać się po ciemku, a on przyrzekł sobie, że nauczy ją uprawiać seks i cieszyć się widokiem ich ciał - co za ironia!

Teraz to on pragnął, żeby jej ciało było szczelnie zakryte.

Pewnego razu wszedł do jej pokoju akurat w momencie, gdy zakładała koszulę nocną.

Widok jej nabrzmiałego biustu i wyduętego brzucha wydał mu się groteskowy w połączeniu z jej nadal szczupłymi i kształtnymi nogami.

- Rany boskie, Dinah!

- warknął.

- Czy naprawdę musisz?

Zauważył w jej oczach ból, ale pozostał niewzruszony.

Za bardzo pochłaniały go własne emocje.

Tego wieczoru spał w swoim pokoju.

Od tamtego dnia Dinah uważała, by w czasie przebierania się nawet na chwilę nie odkryć ciała, przynajmniej w jego obecności.

Jednak nawet jej skromność go denerwowała.

Zaczął coraz dłużej zostawać w fabryce, ale praca nie dawała mu satysfakcji.

Ojciec dość obojętnie przyjął projekty jego i Dinah.

Zgodził się na wyprodukowanie kilku próbnych par obuwia sportowego, ale kategorycznie odmówił produkcji sandałów.

- Zupełnie nie pasują do naszego profilu - oświadczył.

- Nie zamierzam iść tą drogą.

Gdyby Van nie był w tak podłym nastroju, mógłby uznać, że odniósł połowiczny sukces i zostawiłby sandały na później.

Jednak w tym momencie czuł się znowu sfrustrowany.

- Musimy się rozwinąć i sandały doskonale się do tego nadają.

Nie są kosztowne, ponieważ wykorzystamy do ich produkcji resztki.

- Ale zajmą czas pracownikom, którzy nie będą mogli poświęcić się pracy, do której zostali przyuczeni.

A co z podeszwami?

Nie uda się ich wykroić z resztek.

Christian, nie odpowiada mi twój pomysł.

- Ojczy, potrzebujemy czegoś nowego, jeśli chcemy się rozwinąć.

- Rozwinąć?

Kto tego chce?

Nam wystarczy to, co mamy.

Porządny, mały biznes.

- Taka mała konserwa.

- Co proszę?

Jeśli tak to widzisz, Christianie, proponuję, byś odszedł i stworzył coś swojego.

Nikt nie będzie mi mówił, jak mam kierować własnym przedsiębiorstwem, a już z pewnością nie mój syn, który korzystał z owoców mojej pracy od urodzenia.

Van westchnął.

- Przepraszam.

- No myślę!

Zrobiłeś mi przykrość, Christianie.

Pewnego dnia twoje dziecko może powiedzieć coś podobnego i wtedy zrozumiesz, jakie to uczucie.

Nie jest przyjemne, kiedy syn krytykuje cię i mówi ci, co powinieneś robić.

Van wykrzywił twarz.

Chciał powiedzieć, że nigdy nie będzie miał syna.

To nie jego dziecko nosi Dinah.

Nie odezwał się jednak: wiedział, że rodzice nie uwierzyli w orzeczenie lekarzy, którzy uznali go za bezpłodnego.

Całkiem naturalnie doszli do wniosku, że to dziecko jest jego, a on był zbyt dumny, by prostować.

Słowa ojca uprzytomniły mu brutalnie, że dziecko nie jest jego i że on go nie chce.

Nie zniósłby jego widoku przez resztę życia, nie chciał mieszkać z nim pod jednym dachem - z tym nie chcianym intruzem.

Byłby strasznym ojcem, kierującym całą swoją niechęć przeciwko własnemu gniazdu rodzinnemu.

Nie chciał opiekować się dzieckiem innego mężczyzny i z pewnością nie zamierzał przekazać mu dorobku swojej pracy.

Nienawidził tego dziecka już teraz i nie zmieni się to, kiedy pojawi się ono na świecie, domagając się miłości, opieki i pieniędzy.

Być może, z czasem znienawidziłby także Dinah za to, że wprowadziła je do jego życia.

Nie liczyło się, że wiedział o jego istnieniu przed ślubem.

Nie mógł, nie chciał akceptować tej sytuacji dłużej, niż wymagały tego okoliczności.

Przemyślał wszystko i podjął decyzję.

A kiedy on podejmował decyzję, to, przynajmniej dla niego, była nieodwołalna.

Nie mogę tego zrobić!

- krzyknęła Dinah.

Pobladła z przerażenia i zaskoczenia.

- Van, ty nie mówisz tego poważnie!

Nie mogę oddać swojego dziecka do adopcji!

- A ja nie mogę go zatrzymać - powiedział po prostu.

- Próbowałem się z tym pogodzić i nie potrafię.

Przykro mi, ale takie są fakty.

Przynajmniej jestem szczery.

Lepiej teraz spojrzeć prawdzie w oczy, niż zniszczyć naszą przyszłość.

- Moja nie zostanie zniszczona, to moje dziecko!

- Ale nie moje.

I z pewnością jego obecność zrujnuje nasze małżeństwo.

- Van, ja nie mogę tego zrobić!

Nie mogę!

- Dinah - starał się ją przekonać.

- Musisz zrozumieć, jak ja się czuję.

Wydawało mi się, że przez ostatnie kilka tygodni wyraźnie to było widać, a dzieje się coraz gorzej.

Jakie życie czeka twoje dziecko z ojczymem, który będzie je nienawidził?

Jeśli zostanie zaadoptowane, znajdzie dwoje ludzi, którzy obdarzą je miłością.

Jestem pewien, że to rozumiesz.

- Ja jestem pewna, że postradałeś zmysły!

Nie chcę więcej o tym rozmawiać!

- Dinah...

- Nie odzywaj się!

Zamilknij!

- Łzy spływały jej po policzkach.

Van poczuł przyływ miłości, ale na widok jej brzucha ponownie jego serce stwardniało.

- Dobrze, Dinah, rób jak chcesz.

Tylko pamiętaj, że ja nie chcę tego dziecka.

Nie będę go wychowywał jak własne.

Jeśli upierasz się, by je zatrzymać, nasze małżeństwo możesz uznać za skończone.

Cofnęła się, jakby ją uderzył.

Dłońmi zakryła usta.

- Van...

- Mówię poważnie.

Wybór należy do ciebie.

Ja albo dziecko.

Nie możesz mieć nas dwojga.

- Myślałam, że mnie kochasz!

- Kocham.

- Jego głos zmiękł.

- Bardzo.

Mamy przed sobą wspaniałe życie, ty i ja.

Jesteśmy jak dwie połówki całości, nie tylko w małżeństwie, ale i w pracy.

Dowiedliśmy tego przy robieniu projektu.

Ty masz talent i wyobraźnię, ja zdolność do prowadzenia interesów i odpowiednie fundusze.

Moglibyśmy razem zacząć wspólnie zupełnie coś nowego, oderwać się od fabryki ojca i otworzyć przedsiębiorstwo, które prowadzilibyśmy według naszego uznania.

I mielibyśmy siebie.

Czy nie wydaje ci się to lepsze, niż gdybyś samotnie musiała opiekować się dzieckiem?

Co to za życie dla ciebie albo dla niego?

- Nie wierzę w to, co słyszę...

W głosie Vana na nowo pojawiły się ostre tony.

- Ale słyszysz, kochanie.

Przykro mi, ale ja już się zdecydowałem.

Dinah poczuła, że jest jej słabo.

Nauczyła się już, że kiedy Van na coś się zdecydował, żadne argumenty lub prośby nie są w stanie zmienić jego postanowienia.

Wcześniej, pomyślała, mogłabym go przekonać, ale nie teraz, z tym opuchniętym i tak brzydkim ciałem, że sama z trudem na nie patrzę.

Ale nawet wtedy nie miałaby pewności, że wygrała.

Van był nieprzejeđnany, dzielił wszystko na białe i czarne, nie dostrzegając odcieni szarości.

Zdecydowanie sprzeciwiał się dziecku i wiedziała, że żadna siła na świecie tego nie zmieni.

Po trosze go rozumiała.

Przecież od początku wiedziała, że nie będzie w stanie zaakceptować tej sytuacji.

Właśnie dlatego uciekła.

Jednak Van odnalazł ją i przez chwilę odważyła się wierzyć, że być może się myliła.

Nie, pierwsza wersja była słuszna.

Van pragnął jej, nie dziecka.

I dokładnie to zamierzał dostać, nic mniej, nic więcej.

Roztrzęsioną dłonią dotknęła twarzy.

- Wszystko bardzo pięknie, ale co powiesz ludziom?

Wszyscy wiedzą, że jestem w ciąży, twoja rodzina, znajomi, pracownicy z fabryki, wszyscy!

I oni myślą, że dziecko jest twoje.

Jak powiesz im, że oddałeś je do adopcji?

- Myślałem o tym.

- Ostentacyjnie odwrócił się, żeby otworzyć okno, ale Dinah domyśliła się, że chce uniknąć jej wzroku.

- Pójdziesz do prywatnej kliniki.

Zapłacę, żeby zachowali milczenie.

Załatwię tam sprawę adopcji, zapewniam cię, że znajdą doskonałych opiekunów.

A wszystkim znajomym powiemy po prostu, że ono zmarło przy porodzie.

Głęboko zaczerpnęła powietrza i w tej samej chwili dziecko poruszyło się gwałtownie.

- To się zdarza, prawda?

- ciągnął.

- Niemowlęta czasem rodzą się martwe albo umierają po kilku dniach.

Nikt nie będzie cię wypytywał.

Nie będą chcieli sprawiać ci przykrości.

Uda się, Dinah.

Musi się udać.

Wtedy będziemy mogli spokojnie żyć dalej.

To był koszmar; czuła się tak, jakby omotały ją macki jakiegoś wielkiego potwora morskiego, który zżerał ją żywcem.

Myślała już, że jest bezpieczna, a tu nagle to nieludzkie ultimatum!

Tylko czy rzeczywiście miała poczucie bezpieczeństwa?

Początkowo chyba tak, jednak ostatnio...

nie.

Wyczuwała niechęć Vana i знаła jej powody.

Świadomość ta była dla niej udręką.

Nie mogła prosić o tak wiele żadnego mężczyzny, a zwłaszcza Vana.

Pod maską całkowitej pewności siebie, kryła się jakaś rana, ale ona nie wiedziała jaka.

Choć jego sprzeciw bolał ją, nadal najbardziej liczyły się dla niej jego uczucia, bardziej niż dziecko, niż ona sama, niż cokolwiek na świecie.

Ubóstwiała go, uwielbiała.

Był jej życiem: jej przeszłością, teraźniejszością i przyszłością.

Nie mogła nawet myśleć, że go straci - to niewyobrażalne.

Jeśli chce go zatrzymać, musi oddać dziecko.

Zrobi to.

Wybór, choć bolesny, został dokonany.

O dziwo, nie obwiniła go.

Van był taki, jaki był - gdyby było inaczej, zapewne by go nie kochała.

I jak sam powiedział, przynajmniej szczerze przedstawił jej swoje uczucia.

Lepsze to, niż widzieć jego rosnącą nienawiść do dziecka.

Lepsze niż małżeństwo, które rozpada się pod ciężarem stresów.

Nie, nie winiła Vana - winiła samą siebie.

To ona była niedoskonała, jej brak odpowiedzialności leżał u korzeni całego nieszczęścia.

Nie miała prawa oczekiwać, że Van pozbiera za nią jej życie w całość.

Choć on przecież zamierzał to zrobić.

Niekoniecznie w ten sposób, jak ona by tego chciała, jednak starał się wprowadzić pewien porządek w chaos jej egzystencji.

Jeśli pozwoli mu na pokierowanie swoimi sprawami, ciężar zostanie zdjęty z jej barków.

Van się nią zaopiekuje.

Mimo bólu Dinah rozumiała, że właśnie to jest dla niej najważniejsze.

To było piękne dziecko.

Widziała je tylko raz, ale nie mogła o nim zapomnieć.

Miało ogromne niebieskie oczy, którymi popatrzyło na nią przez chwilę, zanim zamknęło je z zadowoleniem, okrągłutki nosek, miękkie, wydęte usteczka, i zwichrzone czarne włoski, które porastały owalną nieco główkę.

Patrzyła na nie zdumiona, podniosła malutką rączkę z paznokciami jak perełki i pogłaskała ją.

Potem przycisnęła dziecko do piersi, wdychając jego zapach, zauroczona delikatnością małego ciała.

Owładnięta czułością, pragnęła zapłakać nad tym cudem.

Z całego serca chciała zatrzymać to dzieciątko.

Ale było za późno.

Wszystko zostało już przygotowane - nie było odwrotu.

Kiedy odbierali jej niemowlę, nie protestowała.

Jak człowiek otepiały psychicznie, czuła spokój, ale jej oczy wypełniały łzy.

Ledwo co widziała maleństwo.

Powiedziano jej, że rodzice zastępczy czekają na Stephena, jak go nazwała.

Są nim zachwyceni.

Ale poza tym nie wiedziała nic więcej.

Całkowita tajemnica.

Dziecko odeszło, a ona nie wiedziała do kogo, wiedziała jedynie, że ci ludzie bardzo je pragnęli i pokochali.

Ta wiedza przynosiła ukojenie, a równoczesny ostry ból przypominał, że jest to wyrok na całe życie.

Kiedy wróciła do sił, Van zabrał ją do domu i tam zmuszona była wysłuchiwać słów współczucia ludzi, którzy myśleli, że jej dziecko urodziło się martwe.

Czasami musiała ze sobą walczyć, by nie krzyknąć: - Ono wcale nie jest martwe, wcale!

Z drugiej strony nie miała trudnego zadania, bo przecież rzeczywiście cierpiała i rodzina Vana oraz znajomi szanowali jej milczenie i łzy i nie zmuszali do mówienia, kiedy nie chciała się odzywać.

Długo myślała, że ból nigdy jej nie opuści.

Tęskniła za dzieckiem; puste, przesywające uczucie straty pulsowało w jej pełnych piersiach mimo zastrzyków, mających zatrzymać laktację i wywołać zwijanie się macicy.

Wyciągała w powietrze ramiona, jakby chciała przytulić dziecko, potem obejmowała samą siebie, łkając z żalu.

Nocami leżała z szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w ciemność, owładnięta tęsknotą i pragnieniem zobaczenia go, przynajmniej jeszcze jeden raz.

Szukała słów, którymi mogłaby błagać Vana, by zmienił swoją decyzję - czy nie zgodziłby się, by dziecko wróciło do domu, a on przyjął je jak swoje?

Ale te prośby nigdy nie zostały wypowiedziane.

Za późno.

Nie mogła już odzyskać syna.

A nawet gdyby Van się zgodził, i tak nie byłoby to możliwe.

Nie cierpiała już tak potwornie, a straszliwe ataki przygnębienia nachodziły ją coraz, rzadziej - choć nigdy do końca jej nie opuściły.

Inne rzeczy wypełniły jej życie.

Van znalazł dla nich dom na wsi, który kazał odnowić, a Dinah zajęła się jego urzędzeniem.

Mieli raczej ograniczone fundusze - pensja Vana była dość skromna - ale Dinah i tak dysponowała większymi sumami niż kiedykolwiek w swoim życiu, popuściła więc wodze wyobraźni.

Czarny smutek ogarnął ją tylko wtedy, gdy doszło do urządzania najmniejszego pokoju; miał być pokojem dziecięcym.

Usiadła na środku pustej podłogi i wsłuchując się w uderzenia gałęzi starej jabłoni w okno, płakała za dzieckiem, które nie będzie tu dorastało, nigdy nie pozna tego domu ani jej miłości.

Przez pewien czas po urządzeniu domu i wprowadzeniu się do niego Dinah błąkała się po nim jak zagubiona dusza.

Jednak nie trwało to długo.

Christian senior nadal sprzeciwiał się pomysłowi produkcji sandałów, na co Van reagował coraz większym zniecierpliwieniem.

- Trzeba zapomnieć o staruszkach, czas byśmy sami się rozwinęli!
- mówił do żony.
- Rozwinąć się?

Jak?

- Jeśli ojciec nie chce produkować nowych rzeczy, zrobimy to my, tutaj.

- Gdzie tutaj?
- zdumiała się Dinah.

W głębi duszy poczuła ożywienie.

Van ze swoim dynamizmem i pozytywnym spojrzeniem w przyszłość działał na nią elektryzująco, pobudzał ukryte pragnienie, by urzeczywistnić pomysły, drżące na dnie jej twórczego umysłu.

- Moglibyśmy zrobić warsztat w starej szopie.

Dach jest solidny.

Gdybym zainstalował światło, kilka stanowisk pracy i maszyny, nic nie stałoby na przeszkodzie, by zacząć, nawet na małą skalę.

- Myślisz o sandałach?
- Tak, i o wszystkim, co tylko wymyślisz.

Jakieś dodatki, ale nie buty.

Nie chciałbym nadepnąć staruszkowi na odcisk.

Dinah zachichotała.

- Jeśli nosi buty ochronne firmy Kendricks, nic by nie poczuł.

Van zmarszczył brwi.

Humor nie należał do najmocniejszych stron jego charakteru.

- Wiem, że zrobił wszystko, żeby jego obuwie nie miało nic wspólnego z modą, ale mimo to nie chciałbym sprawić mu przykrości.

Pomyśl o czymś interesującym.

- Dobrze - zgodziła się, znowu czując, że ogarnia ją podniecenie.

Przyrzekła sobie, że kiedy tylko znajdzie się sama, pozwoli sobie na prawie zapomniany luksus przywołania do życia wyobraźni.

- Grzeczna dziewczynka.

Chodź do mnie.

Wyciągnął do niej rękę.

Podeszła i oparła głowę na jego piersiach.

Tak się cieszyła, że znowu wszystko układa się tak jak dawniej.

Wydawało się, że Van całkowicie zapomniał o Stephenie; nigdy o nim nie wspominał.

Dinah kilka razy powiedziała coś na temat dziecka, ale wtedy twarz Vana natychmiast ciemniała.

- Już po wszystkim - mówił.

- Najlepiej jest zapomnieć.

Dinah wiedziała, że ona nie zapomni tak łatwo, a poczucie jego utraty sprawiało, że desperacko szukała miłości i akceptacji u męża.

Wyglądało na to, że niechęć, którą do niej żywił, kiedy była w ciąży, zupełnie się ulotniła.

Teraz często się kochali, a Van uczył ją, jak czerpać radość z każdej formy fizycznego kontaktu.

Chętnie poddawała się jego naukom, jednak już raz ją odrzucił i bała się, że może zrobić to ponownie.

Zastanawiała się, czyjego niechęć wynikała z faktu, że dziecko nie było jego, czy może chodziło o jej zdeformowane ciało.

A jeśli zareaguje tak samo, kiedy nadejdzie czas na powiększenie ich rodziny?

Nie zniosłaby ponownego oddalenia - zresztą Van nic nie wspominał o dziecku.

Dinah modliła się, żeby nie zająć w ciążę.

Jak do tej pory jej modły zostały wysłuchane.

Jednak niepewność zatruwała jej duszę.

Swój niepokój Dinah mogła sobie tylko tłumaczyć lękiem o utratę męża.

Byli sobie bliscy i bardzo w sobie zakochani, ale jakaś jego część pozostawała dla niej niedostępna - być może na zawsze.

Kiedy poprosił ją, by wymyśliła, co mogą produkować w jego małym przedsiębiorstwie, Dinah podeszła do propozycji nie tylko jak do ekscytującego wyzwania, ale także jak do doskonałej okazji, aby zaimponować mu swoimi talentami i pokazać, że nie jest tylko głupią dziewczyną, która potrafi jedynie wpędzić się w kłopoty.

Wymyśliła sandały i buty sportowe, bo musiała trzymać się istniejącego profilu produkcji i pamiętać o upodobaniach Christiana seniora.

Obuwie turystyczne zdało egzamin i zupełnie nieźle rozchodziło się na rynku, ale było to jednak tylko obuwie, a znowu buty do konnej jazdy w ogóle nie ujrzały światła dziennego.

Jeśli chodzi o "sandały biblijne" to, choć była zadowolona z tego pomysłu, nie o takich projektach marzyła.

Van sugerował, żeby zajęła się dodatkami, i otworzył się przed nią nowy świat.

Podeszła do propozycji męża z entuzjazmem - szerokie pole do popisu.

Oczywiście musiała wziąć pod uwagę wszystkie ograniczenia.

Nie mogła wymyślić czegoś bardzo skomplikowanego ani złożonego - po prostu nie mieli z Vanem wystarczającej liczby odpowiednich maszyn ani miejsca na nie.

Na razie postawią w szopie jeden stół do krojenia i ze dwie maszyny specjalistyczne.

Tym Dinah nie przejmowała się.

Zawsze podobała się jej klasyczna prostota przedmiotów, a nigdy do tej pory nie miała okazji, żeby zaprezentować swoje preferencje - jakość powiązaną ze spokojną oryginalnością.

Zacząła więc myśleć, nie zapominając o tym, że cokolwiek zaproponuje, będą to musieli z Vanem wykonać własnoręcznie.

Oczywistym punktem wyjścia, ze względu na doświadczenia Vana, była skóra; do niej dodała swoje ulubione materiały naturalne.

Przeglądając niezliczone magazyny, robiąc notatki, szkicując wzory toreb i pasków - bo to właśnie przychodziło jej do głowy w najbardziej niespodziewanych momentach, w kąpieli, przy przygotowywaniu posiłków, czasami nawet w łóżku - zapominała o dziecku, początkowo na chwilę, potem na godziny, wreszcie na całe dni.

Najpierw niechętnie i ze wstydem pokazywała Vanowi swoje szkice i z bólem przypominała sobie, jak ochoczo kiedyś dzieliła się z nim pomysłami.

Teraz miała opory, jakby bała się, że jej projekty i ona sama zostaną odrzucone, podobnie jak Stephen.

Ale też sytuacja była o wiele poważniejsza.

Na jej pomysłach opierała się ich przyszłość; w głębi serca wiedziała jednak, że chodzi o coś innego.

Kiedyś nie zdawała sobie sprawy, jak bezlitosny potrafi być Van.

Teraz już się o tym przekonała i nie potrafiła zapomnieć.

Reakcja męża, kiedy pokazała mu szkice, potwierdziła jej obawy.

W najlepszym razie można było powiedzieć, że nie odpowiadały mu jej propozycje, w najgorszym, że w ogóle ich nie akceptuje.

- Nie są dość oryginalne.

- Ależ są!

- Ale nie na tyle, by zwracały na siebie uwagę.

Takich pasków jest mnóstwo w sklepach.

- Ja nigdy ich nie widziałam!

- Jedź do Portugalii albo na którąś z greckich wysp.

Czasami nawet są dobrej jakości.

Dinah z całych sił zmusiła się, żeby nie czuć do męża urazy.

Odeszła i ponowiła próby, zaprzęgając swoją wyobraźnię do pracy.

Reakcja Vana okazała się jeszcze mniej zachęcająca.

- O Boże, Dinah, co ty mi tu pokazujesz?

- Mówiłeś o oryginalności - broniła się.

- Tak, ale to tutaj to całkowita przesada.

Gdzie ty znajdziesz nabywcę na coś takiego?

Chyba na Carnaby Street.

Kto wyszedłby z taką torebką na ulicę?

I pamiętaj, że zamierzamy robić coś porządnego.

Zgadzam się, że pleciona skóra jest ciekawa, ale...

Nasze wyroby mają być proste, ale też ekskluzywne.

To ma być wizytówka naszej firmy.

Od samego początku musimy wpaść w oko klientom.

Rozumiesz?

Dinah kiwnęła głową.

Zrozumiała.

Ale powoli traciła wiarę w to, że potrafi sprostać jego wymaganiom.

Całymi dniami poszukiwała pomysłów i nic nie przychodziło jej do głowy.

- Płakała, chodziła jak otumaniona, biła się pięściami po czole.

Miała wrażenie, że traci zmysły albo przechodzi załamanie nerwowe, albo obie rzeczy naraz.

Wychodziła na spacer, z nadzieją, że świeże powietrze przepędzi wate spowijającą jej umysł, ale na próżno.

To na nic, po prostu nie potrafię!

- myślała.

Och, Boże, pomóż mi wpaść na coś wspaniałego, żebym pokazała Vanowi, co potrafię!

Kiedy później przypominała sobie ten moment, pamiętała go w najdrobniejszych szczegółach, ponieważ chyba właśnie od niego wszystko się zaczęło.

Ogarnęło ją poczucie bezsilności, gdy nagle spojrzała na trawę i zobaczyła węża, z gracją wijącego się między niskimi źdźbłami.

Mignął jej przed oczyma i zniknął, ale jej wyobraźnia zatrzymała jego obraz - znaki na skórze gada, jego płynny ruch.

Zagryzła wargi; to był tylko przeblysłk, który jeszcze nie przybrał kształtu, po prostu wybuchł w jej umyśle gwałtownie i Dinah bała się, że go straci.

Po raz pierwszy od tygodni wyszła bez ołówka i szkicownika.

Pospieszyła do domu, w jej głowie kłębiły się myśli.

Gdy Van wrócił z fabryki o szóstej wieczorem, zastał tylne drzwi, i wszystkie inne, szeroko otwarte, oprócz tych prowadzących do najmniejszej sypialni, którą żona przeznaczyła na swoją pracownię.

- Dinah, czy wszystko w porządku?

- zawołał z przestraczem.

Siedziała na środku pokoju, otoczona wyrwanymi ze szkicownika kartkami.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się, tym wspaniałym, żywym uśmiechem, który rozjaśniał mu serce.

- Wydaje mi się, że to mam - powiedziała, a on po jej tonie domyślił się, że prawdopodobnie ma rację.

Mimo to zachował czujność.

- Mów.

- Chodź i sam zobacz!

- Pociągnęła go, by usiadł obok.

- Widzisz tego małego węża polnego?

To nasz znak firmowy.

Prawda, że jest prześliczny?

Pojawi się na klamerce, a jego ogon będzie końcem paska.

Może też dekorować torebki.

Wiem, że nie chcesz produkować butów, ale w razie czego moglibyśmy umieścić go na obcasach - o,tak - a jeśli kiedykolwiek stać nas będzie na wydrukowanie własnego materiału na jedwabne apaszki, wplotłabym go we wzór.

No i co, jak ci się to widzi?

Nie uważasz, że jestem wspaniała?

Musiał się uśmiechnąć.

Pomysł rzeczywiście był pierwszorzędny.

Dokładnie o czymś takim myślał.

Jednak nie chciał, by Dinah poniosła duma.

- Doskonała robota - oświadczył powściągliwie.

- Tak, wydaje mi się, że możemy tego użyć.

Van zdecydował, że firma nazywać się będzie od ich imion - Vandina.

Ich logo został wąż polny, a sloganem "Bliżej natury".

Sam to wymyślił, a Dinah przyjęła jego propozycje z entuzjazmem, jakiego u niej nie podejrzewał.

Produkowali paski w szopie, którą przerobił na warsztat.

Na początku zatrudnili jednego pracownika.

Fred Lockyear przyszedł do pracy w Kendricks po demobilizacji w roku 1945.

Został tam do samej emerytury, miał wtedy sześćdziesiąt pięć lat.

Był pracownikiem solidnym i odpowiedzialnym, choć nieco pozbawionym wyobraźni.

Z wielką chęcią przystał na propozycję Vana, by kilka godzin w tygodniu pracował u niego.

- Szczerze mówiąc, nudzę się w domu jak mops - zwierzył się.

- Moja stara uskarża się, że się jej płacze pod nogami.

Poza tym dobrze byłoby zarobić kilka funciaków, żeby dorobić do jej pensji.

Mimo podeszłego wieku ręce nie odmówiły mu posłuszeństwa i jak niegdyś potrafił doskonale pokroić i zszyć skórę, natomiast Dinah zajęła się emblematem węża, o którym Fred mówił, że to takie tam poskręcane dziwadło.

Wejściem na rynek zajął się sam Van.

Nie było mowy, żeby ruszyć z masową produkcją, zresztą nie istniała taka potrzeba.

Ich atutem była jakość oraz to, że każdy pasek wykonany jest ręcznie, a jeden niepodobny do drugiego.

Van udał się prosto do dużych londyńskich sklepów, Harrodsa i Nicholasa and Swana and Edgara, po czym wrócił do domu z notatnikiem pełnym zamówień.

Fred i Dinah pędzili z robotą.

Po tygodniu domy towarowe ponowiły zamówienia, pytając o inne wyroby Vandiny.

Wietrząc sukces, Van kazał Dinah przejrzeć wszystkie wcześniejsze projekty, a Fred przyprowadził ze sobą córkę, Mandy - ona także pracowała w Kendricks aż do momentu, gdy wyszła za męża i założyła rodzinę, a teraz wdzięczna była za kilka godzin pracy w tygodniu - oraz kuzynkę, w podobnej sytuacji, która wcześniej szyła rękawiczki.

- Czuję się tak, jakby to była firma Lockyearów!

- zwierzyła się Dinah Vanowi, ale w gruncie rzeczy nie przeszkadzało jej to.

Lockyearowie byli dobrymi pracownikami, a poza tym poprzednia praca kuzynki Freda podsunęła Dinah następny pomysł - dlaczego nie rękawiczki?

Z pomocą przysadzistej, wesołej kobiety o imieniu Marian, zaprojektowała rękawiczki z emblematem węża, wyszytym na nadgarstku.

Produkcja wymagała innego oprzyrządowania.

Van odwiedził dyrektora banku i zaciągnął kredyt, po czym ruszyli z rękawiczkami pełną parą.

Znowu odnieśli sukces.

Ponieważ technologia ich szycia wymagała pracy ręcznej, którą można było wykonywać w domu, Marian zasugerowała, by zatrudnić kilka jej koleżanek.

Teraz, oprócz projektowania i wyszywania "poskręcanych dziwadła", Dinah przygotowywała pracę dla chałupniczek, sprawdzała wykonanie i prowadziła magazyn.

Zwyczajnie nie starczało jej dnia - wstawiała o świcie i rzadko kładła się przed północą.

Nie przeszkadzała jej jednak ta ciężka praca - dzięki niej nie myślała o Stephenie - tylko czasami uświadamiała sobie, że jest odciągana od projektowania i planowania czynności, które wykonywała najlepiej.

Uważała Vandinę za coś w rodzaju potwora, Frankensteina, który sztucznie przywołany do życia, przejął stery i zawładnął jej ciałem i duszą.

Christian senior także zaczął się dziwnie zachowywać.

Jak wszyscy inni, był przekonany, że dziecko syna urodziło się martwe i ich amatorskie przedsięwzięcie ma na celu zająć Dinah i oderwać jej myśli od tragicznych wspomnień.

Jednak Vandina rosła i dobrze prosperowała.

Van sam zajmował się marketingiem i księgowością i ojciec zaczął patrzeć na wszystko mniej życzliwie.

- Ostatnio zbyt dużo czasu przeznaczasz na duperele - oświadczył ostro.

- Prawie w ogóle nie ma cię w biurze.

Wygląda na to, że myślisz tylko o fatalaszkach, które wymyśla Dinah.

- Te fatalaszki, jak byłeś uprzejmy je nazwać, rzeczywiście bardzo dobrze się sprzedają.

Starszy mężczyzna sarknął.

- Słomiany ogień.

Zacznij lepiej zastanawiać się, po której stronie kromki chleba jest masło.

- Właśnie to robię.

Patrzę w przyszłość i nie wierzę, że należy ona do obuwia roboczego.

- Dzięki niemu masz miesięczną pensję.

- I jak długo to potrwa?

Powtarzam ci od lat: warunki pracy się zmieniają.

Ale ty mnie nie słuchasz.

Jesteś zaślepiony.

Nie zgadzasz się na przeprowadzenie w fabryce najmniejszych modyfikacji, więc wziąłem sprawy we własne ręce.

- A ja za to płacę, dając ci pensję!

- Christian zaczął się denerwować.

Choć nie chciał się do tego przyznać, po raz pierwszy zaświtało mu w głowie, że być może syn ma rację; zamówienia na buty zmniejszyły się, nie w sposób drastyczny - jeszcze nie - jednak z pewnością rejestr zamówień nie był już tak wypełniony, a maszyny od dawna nie pracowały na pełnych obrotach.

Christian martwił się tym, ale natura nie pozwalała mu nawet teraz, w obliczu faktów, przyznać się do pomyłki.

Zamiast tego reagował w charakterystyczny dla siebie sposób - jeszcze bardziej upierał się przy swoim stanowisku.

- Jeśli o mnie chodzi, masz dwie możliwości - wychrypiał.
- Albo poświęcisz się całkowicie fabryce, albo odchodzisz.

Van był zaszokowany.

Nie spodziewał się, że dojdzie do takiej sytuacji.

Ale potrafił być tak uparty jak ojciec i równie mocno przekonany o słuszności tego, co robi.

- Bardzo dobrze - odpowiedział spokojnie.
- Jeśli tego sobie życzysz.
- Do cholery, Christian, wcale sobie tego nie życzę!

Doskonale o tym wiesz.

Zbudowałem tę fabrykę z niczego.

Kiedy przejdę na emeryturę, chciałbym, żebyś ty ją poprowadził.

- Więc daj mi wolną rękę.
- Van Kendricks produkuje obuwie robocze.

Z tego jesteśmy znani.

- Poprawka: ty jesteś z tego znany.

Ja zamierzam dać się poznać jako producent modnych dodatków wysokiej jakości, które zaprojektuje Dinah.

Cierpliwość staruszka wreszcie się wyczerpała.

- Więc idź w cholerę i działaj sam.
- Dobrze - chłodno odpowiedział syn.

- Tylko nie przychodź do mnie, kiedy bank upomni się o swoje należności, a ty nie będziesz w stanie zapewnić rodzinie dachu nad głową.

Nie będę cię spłacał i chcę, byś o tym pamiętał.

I nie myśl sobie, że moim kosztem i za moje pieniądze będziesz realizował te swoje szalone pomysły.

Zwalniam cię!

- Doskonale - oświadczył Van.
- Tylko pamiętaj, że to ty podjąłeś tę decyzję, nie ja.

Prosto od ojca udał się do swojego biura i opróżnił biurko.

Czuł niesmak, ale był zadowolony; wreszcie stał się wolny.

Za długo czekał na swoją kolej.

Za długo zmuszany był pracować w cieniu ojca, a w głębi ducha wiedział, że taki układ nigdy nie ulegnie zmianie.

Staruszek nie pozwoliłby mu samemu kierować fabryką.

Nawet jeśli by pojawiał się w niej rzadziej i oficjalnie przekazał mu władzę, i tak to on by nią zarządzał.

Van poczuł prawdziwą wolność.

Był podniecony.

Od tej pory jest panem siebie.

Oczywiście sprawy nie układały się tak bezproblemowo i gładko, jak opowiadał ojcu.

Fabryczka z kilkoma pracownikami, usytuowana w szopie, to jedna strona medalu - przekształcenie jej w dochodowe przedsięwzięcie, które pozwoliłoby żyć na poziomie, do jakiego z Dinah przywykli, druga.

Musiała się rozwijać, i to szybko, zwiększając produkcję i obrót.

Ale też rozwój musiał zmierzać w odpowiednim kierunku.

Vandina nie była nastawiona na masową produkcję, lecz na ekskluzywne, krótkie serie.

Dniami i nocami Van ustalał strategię.

Szukał większego pomieszczenia i badał możliwości powiększenia rynku zbytu.

Kwestia miejsca rozwiązała się szybciej, niż przypuszczał - lokalna firma wytwarzająca części elektryczne została zlikwidowana i Vanowi udało się wynegocjować korzystne warunki wydzierżawienia fabryki i budynków magazynowych.

Naturalnie pomieszczenia wymagały przystosowania i wyposażenia ich w nowe maszyny, a Van, by zebrać odpowiednie finanse, musiał opracować szczegółowy plan działalności, zwiększenia obrotów oraz zysku.

W pewnym sensie była to kwestia typu, "co było pierwsze, jajko czy kura", jednak wyzwanie podniecało go.

Zostawił Dinah i sam ruszył na podbój najlepszych brytyjskich sklepów, z torbą Gladstona zawierającą próbki w jednej ręce, z notatnikiem na zamówienia w drugiej.

Po trzech tygodniach był z powrotem.

Zaopatrzeniowcy wszystkich większych sklepów zachwycali się "Bliżej natury".

Zdobył znaczące zamówienia w Nowym Jorku; bostończycy, urzeczeni oryginalnością, byli oczarowani.

Sieć butików, która posiadała swoje stoiska w największych i najelegantszych centrach sprzedaży na Dalekim Wschodzie, także złożyła duże zamówienie - goście luksusowej Peninsula w

Hongkongu, turyści zwiedzający Singapur i Filipiny, wszyscy będą mogli kupić paski, rękawiczki i portfele Vandiny.

Van postanowił też zamieścić reklamę w jakimś znanym magazynie - uznał, że bardziej opłaca się zapłacić horrendalną cenę za jedno ogłoszenie w "Vogueu", niż kupić tuzin w tańszych, mniej prestiżowych pismach.

Zresztą ta inwestycja opłaciła się - ogłoszenie wzbudziło zainteresowanie redakcji i doszło do rozmowy na temat nowej, bardziej angielskiej i bardziej oryginalnej reklamy Vandiny.

Nadszedł czas na pracę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Należało zebrać fundusze, odpowiednio wyposażyć nową fabrykę, zatrudnić załogę, złożyć zamówienia na materiały.

Van kwitł, mimo nawału zajęć był naładowany energią i zupełnie wystarczały mu cztery godziny snu.

Dinah jednak nie miała tej wytrzymałości.

Brak snu sprawił, że stała się rozdrażniona; ciągły niepokój o to, czy w ogóle ich przedsięwzięcie się powiedzie, nie mówiąc już o tym, czy odniesie sukces, doprowadzały ją czasami do załamania nerwowego.

Schudła ze zmartwień i z braku czasu na porządne posiłki.

Nie wspominała Vanowi o swoim stanie, ponieważ nie chciała go martwić.

Przeżywali wzloty i upadki, czasami wyglądało na to, że nic nie obroni ich przed katastrofą, ale jakoś udało im się przetrwać.

Dzięki wyobraźni, prawdziwie ciężkiej pracy i odrobinie szczęścia Vandina nie tyle wkroczyła na rynek mody, ale dosłownie na nim eksplodowała.

Ludzie ze śmietanki towarzyskiej przechwalali się, że jako pierwsi ją odkryli; każdy przedmiot noszący maleńki wizerunek węży nie tylko dowodził, że jego właściciel może pozwolić sobie na zakupy w najlepszych sklepach świata, ale także czynił z niego kreatora mody.

Pod koniec pierwszego roku, gdy wyglądało na to, że odnieśli zwycięstwo, organizm Dinah definitywnie odmówił posłuszeństwa.

Napięcie, zarówno psychiczne, jak i fizyczne, doprowadziło ją do nerwowego załamania.

Lekarze zalecili jej librium i całkowity odpoczynek.

Van wysłał żonę na długie wakacje na południe Francji, ale dopilnował, by zabrała ze sobą szkicownik.

Wyjazd okazał się dla niej zbawienny - dla rozwoju Vandiny także.

Usadowiona na balkonie swojego apartamentu, w cieniu, owiewana lekką bryzą, która przewracała kartki szkicownika, Dinah tworzyła nowe projekty, które pozwoliłyby rozszerzyć ofertę Vandiny - torebki i portmonetki, niewielkie oprawiane w skórę ramki do zdjęć, z motywem wijącego się węża, a nawet wzory na apaszki, traktowane jako dodatek do torebek, na które potrzebny był specjalnie dla nich drukowany materiał.

Wróciła do domu prawie zdrowa, choć nadal zażywała librium.

Podczas jej nieobecności Van nie próżnował - załoga liczyła obecnie trzydzieści osób zatrudnionych na pełnych etatach, nie licząc chałupników, kierownika sprzedaży, księgowego oraz kontrolera jakości.

Jednak Van nie popuścił cugli.

Nadal sam podejmował najważniejsze decyzje, bardziej słuchając własnego instynktu niż rad innych.

Upierał się, że musi być obecny przy rozwiązywaniu poważniejszych problemów.

Posiadł wreszcie władzę, o której zawsze marzył, i wykorzystywał ją tak samo despotycznie, jak jego ojciec.

Vandina była całym jego życiem.

Nie zamierzał dzielić się nią z kimkolwiek, nawet z Dinah, choć firma powstała dzięki jej inspiracji.

Byli małżeństwem od pięciu lat, Vandina odnosiła stałe sukcesy, a w Dinah zaczął odzywać się instynkt macierzyński.

Zbliżały się święta; sklepy były pełne zabawek i podnieconych dzieci, prześcigających się w kolejce do świętego Mikołaja.

Atmosfera nerwowej, rodzinnej radości obudziła w niej ostrą, przejmującą tęsknotę za Stephenem.

Zastanawiała się, gdzie jest.

Zapragnęła kupić mu prezenty i zobaczyć, jak jego twarz jaśnieje przy ich rozpakowywaniu.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że te marzenia nigdy się nie ziszczą.

W jej sercu pojawiło się nowe pragnienie - zejść ponownie w ciążę, tym razem z Vanem.

Ani praca, ani odnoszone sukcesy nie zabiły w niej rozpaczliwego głodu dziecka.

Miała nadzieję, że tym razem wszystko ułoży się inaczej.

Drugie dziecko nie zastąpi w sercu Stephena - ale przynajmniej zazna radości oglądania, jak jej dziecko rośnie, przynajmniej pojawi się ktoś, kto zapełni wyrwę w jej sercu.

Istniał też jeszcze jeden powód, dla którego pragnęła dziecka.

Ostatnio Van zaczął wracać do domu coraz później, a ona coraz częściej spędzała wieczory w samotności.

Choć wiedziała, że jej mąż jest typem człowieka zakochanego w pracy, dziwiło ją, że potrafi poświęcać jej cały swój czas.

Nie krytykowała go ani też nie zadawała pytań - Van tego nie znosił.

Jednak wyobrażała sobie, że gdyby w domu czekał na niego syn lub córka, w końcu zrozumiałby, że istnieje coś jeszcze oprócz czterech ścian fabryki.

Pewnego grudniowego wieczoru, kiedy wrócił z pracy stosunkowo wcześnie, Dinah wspomniała coś na temat dziecka.

Zjedli obiad i odpoczywali przed kominkiem okazałych rozmiarów, w którym płonęły drewniane bale, a ogniste skry padały raz po raz na kamienną posadzkę wokół paleniska.

Dinah zwinęła się na jednym z obitych perkalem krzesel; oparła brodę na dłoni i spojrzała prosto na męża, wyciągniętego na drugim krześle.

Postawił drinka na małym stolczku stojącym obok, w dłoni trzymał cygaro.

- Van, myślałam o tym, że finansowo jesteśmy już nieźle zabezpieczeni.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- To prawda, nie znajdujemy się na pograniczu ubóstwa.

- No właśnie, wiecie nam się całkiem dobrze.

- Interes się kręci.

W końcu jeśli chcemy spłacić długi, nie ma innego wyjścia.

Ale dlaczego tak nagle zainteresowałaś się finansami?

Czy martwisz się, że za dużo wydałaś na bożonarodzeniowe prezenty?

Potrząsnęła głową, a na jej policzki wystąpił nieznaczny rumieniec.

- Nie, nie, nie w tym rzecz.

Po prostu zastanawiałam się...

nie uważasz, że moglibyśmy już zacząć myśleć o dziecku?

Zobaczyła, jak mąż zmienia się na twarzy, oczy mu się zwięzają, głębokie linie wyraźnie żłobią czoło.

Jej serce zamarło.

- Van, błagam, nie rób takiej miny!

Nie chciałbyś mieć syna albo córki?

Ja bardzo.

Chciałabym, żebyśmy się stali prawdziwą rodziną.

Nigdy nie rozmawiamy na ten temat, ale ja...

- Nie - oświadczył.

Jego głos brzmiał twardo i stanowczo.

- Co znaczy to: nie?

- zapytała zdumiona.

- Przecież chcemy mieć rodzinę, prawda?

Dlaczego więc nie teraz?

Van przygasił cygaro w odłamku skały, stylizowanej na popielniczkę.

- Niespecjalnie zależy mi na zakładaniu rodziny ani teraz, ani w przyszłości.

Dzieci są tylko zawadą.

- Nigdy przedtem tego nie mówiłeś!

- Nie przepadam za dziećmi.

Zazwyczaj są rozpieszczone i wysysają z rodziców ostatnią krew, nie dając nic w zamian.

- Ależ od dzieci nie należy oczekiwać wdzięczności.

Radość bierze się z faktu, iż istnieją...

- Nie dla mnie.

Nie potrzebujemy dzieci.

Mamy siebie i naszą firmę, i to powinno nam wystarczyć.

Chcesz jeszcze jednego drinka?

Wypił do końca swojego i wstał, żeby nalać sobie następnego, dając tym do zrozumienia, że definitywnie zakończył rozmowę.

Spojrzała na niego, ogłupiała z żalości.

- Ale ja chcę mieć dziecko!

- prawie krzyknęła.
- Nic na to nie poradzę!

Odwrócił się i popatrzył na nią, zastanawiając się, czy powiedzieć jej prawdę - czy wyjawić, że nie ma żadnego wyboru.

Jednak nie potrafił się na to zdobyć.

Bezpłodność stanowiła jego tajemnicę i nie chciał dzielić jej z nikim, a zwłaszcza z Dinah, która przecież udowodniła już, że jest w stanie urodzić dziecko.

Zresztą to, co powiedział, było szczere.

Nie chciał dzieci.

Już nie.

Tak długo żył z przeświadczeniem, że nigdy nie zostanie ojcem, iż nie tylko pogodził się z tym faktem, ale także odpowiednio go sobie zracjonalizował.

Niczego mu nie brakowało, więc po cóż mu teraz jakiś nowy kłopot.

- Czy to, czego ja pragnę, zupełnie się nie liczy?

- zapytała Dinah.

Brak racji zmanifestował wybuchem złości.

- Wydawało mi się, że masz wszystko, czego mogłabyś pragnąć - oświadczył brutalnie.

- Masz ładny dom, pieniądze, które możesz wydawać bez ograniczeń, i wyraźnie nie obawiasz się ich używać.

Masz okazję wykorzystać swój talent i na dodatek jesteś doceniana.

Każdy młody projektant, mając nawet większy talent od ciebie, oddałby wszystko za taką sytuację jak twoja.

Dałem ci swoje nazwisko, Dinah, a ty pytasz, czy liczy się to, czego ty pragniesz!

Takie podejście można określić jednym słowem: niewdzięczność.

- Jesteś niesprawiedliwy!

- odparowała z zarumienionymi policzkami.

- Mówisz tak, jakbym w żadnym stopniu nie przyczyniła się do sukcesu firmy.

- Zgadnam się, że pomysł był twój, ale beze mnie nie potrafiłabyś wprowadzić go w życie.

Ja wynająłem rzemieślników, którzy pomogli urzeczywistnić twoje projekty, ja wyłożyłem pieniądze, wreszcie ja zająłem się reklamowaniem ciebie.

Beze mnie, Dinah, byłabyś niczym.

Niejestem pewien, czy w ogóle cokolwiek byś wymyśliła, gdyby nie moje ponaglanie cię.

Zresztą nawet gdybyś stworzyła jakieś projekty, i tak pozostałyby na desce kreślarskiej.

To jasne, że dzięki mnie stałaś się kimś, i lepiej, żebyś o tym nie zapominała.

Odwróciła się, kryjąc przed mężem łzy poniżenia.

Wiedziała, że powinna bronić swojego stanowiska, ale nie mogła.

Nie chciała z nim walczyć.

Pragnęła jedynie - zawsze tylko tego pragnęła - jego akceptacji i miłości.

Van stanowił cały jej świat.

Jeśli nie chciał dziecka, więcej nie powróci do tego tematu.

Podbiegła do niego, przytuliła się, niemal jak dziecko, błagając o przebaczenie.

Miała wrażenie, jakby znowu była małą, zamkniętą w sobie dziewczynką, przerażoną wszytkowidzącymi oczami Johna Bunyana i jego nowym wcieleniem, jej dziadkiem.

Kiedy działo się coś złego, Dinah odnosiła irracjonalne wrażenie, że po części to ona jest temu winna.

- Van, wybacz mi, wybacz!

Objął ją i po chwili poczuła, że się rozluźnił.

- Już dobrze - powiedział.

- Uspokój się, Dinah.

- Van, kocham cię.

Masz rację, nie potrzebujemy nikogo, bo mamy siebie.

- Tak.

Ale nie mówił prawdy.

Van znalazł sobie pierwszą kochankę, kiedy Dinah pojechała leczyć się z załamania nerwowego na południe Francji.

Romans nie trwał długo; dostał to, czego potrzebował, po czym odprawił kochankę, sekretarkę z Vandiny.

Zwolnił ją też z pracy.

Ale romans obudził w nim stare zamięłowanie; nagle przekonał się, że nie wystarcza mu współżycie z żoną.

Monogamia zupełnie mu nie odpowiadała.

W jego życiu miało pojawić się wiele kobiet, z którymi zazwyczaj umawiał się tylko na jedną noc, choć zdarzyło się też kilka dłuższych przygód, ale wszystkie zrywał bezlitośnie, kiedy tylko się znudził.

Jedna lub dwie znajomości sprawiły mu nieco kłopotów, jednak zawsze znajdował sposób, by pozbyć się nie chcianych kochanek.

Zdumiewało go, że Dinah niczego się nie domyśla, a może po prostu nie chciała się domyślić.

Jej niewiedza była dla niej zbawieniem.

Nigdy więc zdrady Vana nie stały się powodem małżeńskich kłótni.

Vandina stale odnosiła sukcesy.

Była małym imperium produkującym przedmioty poszukiwane na całym świecie przez najbogatszych ludzi, natomiast Kendricks, fabryka obuwia roboczego, stale się kurczyła, aż wreszcie nie pozostało nic innego, jak tylko ją zamknąć.

- Może rzeczywiście w tym, co mówiłeś, było ziarnko prawdy - wyznał synowi Christian senior tydzień przed śmiercią.

Prawie przyznał, że się mylił i że to syn miał rację.

Van uzyskał licencję pilota.

Przyda się w interesach, powiedział, ale kiedy kupił sobie Cessnę, latał nią często także dla przyjemności.

Dinah trochę spokojniej podchodziła do życia.

Praca nadal sprawiała jej radość; dodatkowo zainteresowała się operą i baletem.

Nauczyła się jeździć na nartach i na zimowe wakacje wyjeżdżała do Gstaad i Sant Moritz, lato natomiast spędzała zazwyczaj w Ardeche, w miejscowości, w której kiedyś wyleczyła się z załamania nerwowego.

Miała to już za sobą i nigdy więcej nie musiała zażywać librium.

Nigdy więcej też nie wspomniała Vanowi o swojej tęsknocie za dzieckiem ani też za Stephenem, choć ciągle o nim myślała.

Van był jej życiem.

Tak naprawdę pragnęła tylko jego.

Nikt nie dostaje od losu wszystkiego, czego chce.

Zgodnie ze słowami Vana, miała więcej szczęścia niż inni - więcej, niż miała prawo się spodziewać.

A potem przyszła śmierć Vana i bezpieczny świat Dinah rozpadł się.

Jednak dobry los uśmiechnął się do niej ponownie.

Całkowicie nieoczekiwanie Stephen pojawił się, a jego obecność, przynajmniej częściowo, zapełniła wyrwę w sercu Dinah, powstałą po stracie męża.

Wydawało jej się, że Van nadal z nią jest.

W chwilach niepokoju lub złego samopoczucia mogła pójść do jego gabinetu, gdzie wyraźnie czuła jego obecność, namacalną i władczą, jak zawsze.

Nawet po swojej śmierci Van zawsze będzie u jej boku.

A teraz miała jeszcze Stephena.

Rozdział dwunasty.

Tego wieczoru, kiedy Maggie była na przyjęciu u Dinah, Mike złożył wizytę Brendanowi.

Bardzo poruszyło go to, co mu opowiedziała; usytuowanie siedzenia kierowcy w samochodzie Ros stanowiło prawie niepodważalny dowód na to, że to nie ona zaparkowała przed stacją kolejową.

Powiązał to z informacją Brendana, który twierdził, że widział Ros w barze w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

Oczywiście mógł kłamać; wiedział przecież, że Maggie podejrzewa, iż ma on coś wspólnego ze zniknięciem jej siostry.

Gdyby rzeczywiście porwał Ros, a następnie wyrządził jej jakąś krzywdę, będzie się starał, naturalnie, rzucić podejrzenie na kogoś innego.

Tak czy inaczej, Mike uznał, że nadszedł czas na spotkanie z byłym mężem Ros.

Po zajęciach w szkole wrócił do domu i na chybcika przygotował sobie coś do jedzenia - wołowinę z puszki, przywiedłą już sałatę oraz ziemniaki w mundurkach ugotowane w kuchence mikrofalowej; wszystko przepłukał puszką piwa.

Jadł zerkając na telewizor; trafił na koniec lokalnych wiadomości, ale nie było w nich nic interesującego - zwolnienia w miejscowej fabryce, dzieci przebrane w kostiumy z zeszłego stulecia na jakiejś akademii, stara kobieta błyskająca bezzębnym uśmiechem, lekko otumaniona, przyjmująca kwiaty, ponieważ osiągnęła szacowny wiek stu pięciu lat.

Obrazy przewijały się przed oczami Mikea.

Właśnie zamierzał wyłączyć telewizor, kiedy podano wiadomości w skrócie.

Czyjeś zwłoki znaleziono w lesie.

Zesztywniał.

W jednej sekundzie jego nerwy napięły się.

Ros, pomyślał jednocześnie z głosem spikera.

Następnie, w niecałą sekundę później, usłyszał szczegóły - były to zwłoki mężczyzny, którego wprawdzie jeszcze nie zidentyfikowano, ale policja podejrzewa, że to jakiś włóczęga.

Mike natychmiast odczuł niewymowną ulgę, jednak niepokój pozostał.

"Czyjeś zwłoki znaleziono w lesie".

Odłożył widelec i nóż, po czym odsunął od siebie talerz.

Nie był już głodny.

Zabrał talerz z resztkami do kuchni i wyrzucił jedzenie do kosza.

Potem poszedł na górę, wziął prysznic i przebrał się.

Brendan, ty sukinsynu, zamierzam cię odwiedzić.

Mam do ciebie kilka pytań i radziłbym ci na nie odpowiedzieć.

Nigdy przedtem nie był u niego w mieszkaniu, ale dzięki opisowi Ros znalazł je bez trudu.

Nacisnął dzwonek przy plastikowej plakietce z nazwiskiem.

Minęło trochę czasu, zanim usłyszał brzęczyk, myślał już nawet, że Brendana nie ma, ale doszło go zwięźle: - Kto tam?

- Mike Thompson.

Chcę z tobą zamienić kilka słów, Newman.

- Cholerny Mike Thompson.

Ja z całą pewnością nie mam ochoty na rozmowę z tobą.

- Chodzi o Ros.

- Mam to w nosie, o kogo chodzi.

Wychodzę i już jestem spóźniony.

- Zajmę ci tylko chwilkę.

Ale Brendan odszedł od domofonu.

Mike ponownie przycisnął dzwonek i nie puszczał go.

Po minucie w aparacie coś trzasnęło i doszedł go rozwścieczony głos mężczyzny: - Odpierdol się, Thompson.

Zostaw mnie w spokoju.

- Dopiero jak ze mną porozmawiasz.

- Nie gadam z gnojkami.

- To się okaże - groźnie rzucił Mike.

Trudno go było zdenerwować, ale teraz nerwy miał napięte.

Zostanie tu przez całą noc, jeśli będzie trzeba.

Tamten dokądś się wybierał, więc prawdopodobnie nie będzie musiał tu tak długo sterczeć.

Wrócił do Citroena, stojącego na parkingu na tyłach budynku, wsiadł do środka i czekał.

Po jakichś dziesięciu minutach w drzwiach pojawił się eks - małżonek Ros.

Mike od razu go rozpoznał, choć mocno przytył.

Wyglądał na mniej zmordowanego niż wtedy, kiedy odwiedziła go Maggie.

Kruczoczarne włosy ułożył w modną fryzurę.

Na czarną koszulę założył białą kurtkę.

Okulary przeciwsłoneczne zakrywały wiecznie zaczerwienione oczy.

Mike wysiadł z samochodu i ruszył w stronę mężczyzny.

- Brendan, stary, przecież powiedziałem, że na ciebie zaczekam.

- A ja powiedziałem, że nie mam ci nic do powiedzenia.

- Skierował się w stronę swojego BMW, które niegdyś symbolizowało odnoszone przez właściciela sukcesy, obecnie sprawiało wrażenie mocno zaniedbanego; wgniecenie na jednym boku zaczynało rdzewieć.

Mike poszedł za Brendanem.

- Staram się dowiedzieć, co się stało Ros.

Wiesz, że zaginęła?

Irlandczyk roześmiał się nieprzyjemnie.

- Zostawiła cię, co?

Tak jak zrobiła to ze mną?

Owszem, słyszałem.

Mike z trudem powstrzymywał się, by go nie uderzyć.

- Nie chcesz się dowiedzieć, czy nie spotkało jej coś złego?

W końcu była kiedyś twoją żoną.

- Możliwe, że ktoś powinien jej o tym przypomnieć.

- Brendan przerzucał garść kluczy w poszukiwaniu tego do samochodu.

Mike zastanawiał się, jak bez użycia siły zmusić go do mówienia.

- Martwię się o nią, Newman.

Może ty nie, ale ja tak.

- Do kurwy nędzy, czy nie jest to dla ciebie oczywiste, że spieprzyła z jakimś fagasem?

Mike znowu musiał zapanować nad pięściami.

- Z czego wyciągasz taki wniosek?

- To jasne.

Kiedy kobieta odchodzi, zawsze jest w to wmieszany inny mężczyzna.

Zwłaszcza jeśli chodzi o naszą słodką Rosalie.

Nigdy długo nie potrafiła przytrzymać majteczek na tyłku.

Nie przekonałeś się o tym do tej pory?

Ale może nie znasz jej tak dobrze jak ja.

Twoje szczęście.

Mike ostatkiem sił powstrzymywał się, by nie uderzyć Irlandczyka.

- Powiedziałeś Maggie, że widziałeś Ros w Clifton z jakimś mężczyzną - rzucił przez zaciśnięte zęby.

- Maggie?

- Siostrze Ros.

- Aaa, tej Maggie.

- Kim był ten mężczyzna?

- Skąd, do diabła, mam wiedzieć?

- Jak, w takim razie, wyglądał?

- Nie pamiętam.

Nic specjalnego.

Dobrze zbudowany, ale to jasne, prawda?

Ros nie zawracałaby sobie głowy jakimś kurczaczkiem.

- I widziałeś go tylko wtedy?

- Tak, nie spotkałem go nigdy przedtem.

Zadowolony?

- Nie.

Jaki miał kolor włosów, ciemne, jasne, rude?

- Posłuchaj, Thompson, nie dociera do twojej zakutej pały, że nie pamiętam?

To był biały mężczyzna, około trzydziestki, dobrze ubrany, przystojny.

To wszystko.

- W porządku - stwierdził Mike.

- Nie pamiętasz.

Proponuję, żebyś zaczął sobie coś przypominać.

Ponieważ, jeśli nie odnajdę Ros, nie będzie to dla ciebie najlepszy okres w życiu.

- Co, do cholery, ja mam z tym wspólnego?

- Jeśli Ros nie odeszła z jakimś mężczyzną, jeśli spotkało ją coś złego, ty jesteś głównym podejrzanym.

Wystarczająco często ją straszyleś.

Panicznie się ciebie bała, Maggie to potwierdzi.

Poza tym kłamiesz, że ostatnio widziałeś ją tylko raz.

- O czym ty mówisz?

- Maggie posłała Ros apaszkę jako prezent urodzinowy.

Jak obaj wiemy, urodziny Ros są w maju.

Maggie znalazła tę apaszkę w twoim mieszkaniu.

Dlatego nie mów mi, że widziałeś Ros tylko ten jeden raz w Clifton.

Nastąpiła chwila ciszy.

Brendan zaprzestał poszukiwania kluczyka do samochodu.

- Mówiłem szczerą prawdę - oświadczył w końcu, jednak Mike zauważył na jego czole zbierające się kropelki potu.

- Skąd więc ta apaszka w twoim mieszkaniu?

Irlandczyk wyciągnął chustkę do nosa, duży kwadrat niebieskiego materiału, którym przetarł czoło, przy okazji przekrzywiając okulary na nosie.

Mikeowi wydało się, że jego rozmówca jest całkowicie skonsternowany.

- Zostawiła ją wtedy w tym barze - wyrzucił z siebie.

- Coś podobnego.

- Apaszka wisiała na oparciu krzesła.

Wziąłem ją, żeby kiedyś jej zwrócić.

- Ale tego nie zrobiłeś.

- Ponieważ się z nią nie spotkałem.

Jezu, co to ma znaczyć?

Mike szybkim ruchem ręki przygwoździł go do samochodu.

Brendan wyglądał na silnego mężczyznę, jednak Mike, zaprawiony w sporcie, był silniejszy.

- Powiem ci, Newman.

Jeżeli Ros nie pojawi się wkrótce, i to cała i zdrowa, pójde na policję i opowiem o apaszcze.

Więc lepiej będzie, jeśli trochę uściślisz swoją opowieść.

Szybko przypomnij sobie, kim był mężczyzna, z którym ją widziałeś.

Jasno się wyrażam?

- Zejdź ze mnie, Thompson!

- Pot strumieniami ściekał po jego pobladłej twarzy.

Mike odniósł wrażenie, że Irlandczyk się boi - i nie chodziło tylko o fizyczną przemoc, która mu w tej chwili zagrażała.

Strach w jego głosie świadczył o czymś poważniejszym.

Coś ukrywał, Mike był tego pewien, ale nie wiedział, jak ma to z niego wyciągnąć.

Na parking wjeżdżał samochód.

Mike rozluźnił uścisk.

Brendan wyrwał się, poprawił marynarkę, patrząc nieufnie na przeciwnika.

- Zrób to jeszcze raz, a oskarżę cię o pobicie.

- Jeśli coś złego spotkało Ros, to ty zostaniesz oskarżony, i to o coś o wiele poważniejszego.

Brendan otworzył drzwiczki samochodu i wsiadł do środka.

- Zapomnij o niej, Thompson.

Ta dziwka nie jest tego warta.

- Włączył silnik, wrzucił bieg i odjechał.

Mike patrzył za nim, bezsilny z wściekłości.

Zastanawiał się, czy zdobędzie się na odwagę, by włamać się do jego mieszkania.

Może znalazłby tam jakieś inne dowody obecności Ros.

Drzwi wejściowe stały otworem, zostawione tak przez innych mieszkańców bloku.

Może zamierzali zaraz wychodzić.

Rozglądając się, wszedł na klatkę, a następnie zaczął wspinać się po schodach.

Drzwi do mieszkania były, niestety, zamknięte.

Nie mógł wejść do środka.

Zaklął.

Może rzeczywiście najlepiej zrobi, udając się ponownie na policję.

Czy uzyskają nakaz rewizji mieszkania?

Jakoś w to wątpił.

Nie wyglądali na bardzo zainteresowanych sprawą.

Jeżeli ktokolwiek miał odkryć, co się przytrafiło Ros, musiał to być on - i Maggie.

Przez chwilę stał nieruchomo, pogrążony w głębokiej zadumie.

Może powinien zabierać ze sobą fotografię Ros i wszystkim pokazywać.

Ktoś mógłby sobie ją przypomnieć - na przykład obsługa stacji na Temple Meads, kasjer albo konduktor w pociągu.

Ros należała do kobiet, na które zwraca się uwagę.

Ta myśl go uderzyła.

Mężczyźni zauważali Ros i, jeśli wierzyć Brendanowi, Ros zauważała mężczyzn.

Przynajmniej w tej kwestii jej były mąż chyba nie kłamał.

Mike wcale nie poczuł się w związku z tym lepiej.

Możliwe, że znowu odezwał się syndrom Judy.

Ros zostawiła go i odeszła z jakimś nie znanym mu mężczyzną.

Z trudem odgonił od siebie to podejrzenie.

Najwygodniej byłoby unieść się dumą i nic nie robić.

Ale jeśli rzeczywiście coś się stało, jego bezczynność z pewnością jej nie pomoże.

Wrócił do domu, odszukał dość wierną fotografię Ros, po czym udał się na stację kolejową.

Jednak niczego się nie dowiedział.

Nikt nie przypominał sobie dziewczyny podobnej do niej.

Oczywiście pozostawała jeszcze druga zmiana, która nie miała w tej chwili dyżuru.

Jeśli Mike chce zostawić zdjęcie, to...

Mike nie chciał.

Postanowił najpierw zrobić odbitki, a potem wrócić na stację.

W drugiej kolejności udał się na przegląd barów i restauracji w Clifton.

Zadawał tam te same pytania, co na dworcu.

Odnosił tu nieco większy sukces, ponieważ kilka kelnerek i kilku barmanów rozpoznało Ros, jednak nikt nie mógł sobie przypomnieć, kiedy i z kim była ostatnio w lokalu.

Ostatecznie, zawiedziony i zły, poszedł napić się czegoś do Channings.

Do domu wrócił, kiedy już zapadał zmrok.

Zwrócił uwagę, że zapomniał przed wyjściem włączyć automatyczną sekretarkę.

Nie wiedział teraz, czy ktokolwiek dzwonił podczas jego nieobecności.

No cóż - trudno.

Wypił szklankę mleka, po czym poszedł do łóżka.

Pierwszą myślą Maggie po obudzeniu się następnego dnia było, oczywiście nie licząc stałego niepokoju o Ros i własne małżeństwo, że nie może już dłużej odkładać wizyty u matki.

Mimo wad była jednak matką, a im dłużej Maggie będzie odwlekała wizytę, tym gorszy będzie jej przebieg.

Dulcie zdąży wpaść w takie rozgoryczenie, że rozmowa z nią stanie się nie do wytrzymania.

Zresztą Maggie liczyła na to, że matka, mimo wszystko, ma jakieś informacje, choć sama sobie z tego nie zdaje sprawy.

Ros mogła coś jej powiedzieć, a ona nie przywiązała do tego wagi - Dulcie nie potrafiła kojarzyć faktów ani koncentrować się.

Maggie zadzwoniła do niej, zapowiadając, że przyjedzie do domu na obiad.

Matka zboliałym głosem zgodziła się.

- No to do zobaczenia, Margaret.

Mam nadzieję, że nic nie zmusi cię do zmiany planów.

- Przyjadę, mam - cierpliwie zapewniła Maggie.

- Zazwyczaj staram się dotrzymywać słowa.

- Naprawdę, kochanie?

W takim razie musiałaś się bardzo zmienić.

Może jesteś odpowiedzialna w stosunku do swoich znajomych, bo jeśli chodzi o rodzinę, to sprawy zawsze miały się nieco inaczej.

- Mam, będę u was za kilka godzin - ponuro zapewniła Maggie.

Zjadła śniadanie, wzięła prysznic i ubrała się.

Pogoda znowu się pogorszyła; było zimno i wilgotno, silna bryza przyginała i tak zmarnowane róże w małym ogródku Ros.

Maggie wsiadła do samochodu i skierowała się na Wiltshire z nadzieją, że znajdzie drogę.

Nigdy nie miała dobrej orientacji, ale wiedziała, że jeśli się spóźni, nic nie pomoże tłumaczenie, że się zgubiła.

Dulcie nazywała dom, w którym mieszkała wraz z pułkownikiem, małą wiejską chatką, jednak w porównaniu z domkiem Ros, ta nazwa była bardzo myląca.

W rzeczywistości Ashbysowie zajmowali okazałych rozmiarów wiejski dom, otoczony rozległym ogrodem, któremu Dulcie poświęcała większość swojego czasu i zainteresowań.

Umykał jej jakoś fakt, że lwią część ciężkiej roboty wykonywał wynajęty ogrodnik; zawsze mówiła "moje róże" i "mój groszek",

jakby osobiście dbała o nie, podczas gdy Maggie nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała matkę pielącą czy grabiącą grządki.

Natomiast najczęściej widywała ją, jak przechadza się z wiklinowym koszykiem na ramieniu po ogrodzie, planując, krytykując i podziwiając.

- Cieszę się, że właśnie w tym miejscu posadziłam rododendrony - mawiała; albo: - Moje floksy pozostawiają w tym roku dużo do życzenia.

Na jesieni podzielę je i zrobię dodatkową rabatkę.

Pułkownik zazwyczaj tylko chrząkał.

Jego zdaniem ogrodem powinien zajmować się wyłącznie wynajęty ogrodnik, a żona winna jemu poświęcić całą uwagę.

Tego dnia, z powodu nie sprzyjającej pogody, Dulcie nie było w ogrodzie.

Maggie zostawiła samochód na podjeździe i poszła do tylnego wejścia, otoczonego werandą.

Nacisnęła dzwonek, po czym pchnęła drzwi.

- Mamo, to ja!

Dulcie pojawiła się na werandzie.

W jasnych spodniach i szytej na zamówienie koszuli wyglądała, zdaniem Maggie, śmiesznie młodo.

Jedynie starannie ułożone włosy i siateczka zmarszczek wokół nosa i ust zdradzały fakt, że matka nigdy więcej nie będzie świętowała sześćdziesiątki.

Ucałowała córkę, po czym odsunawszy ją na pewną odległość, lekko zmarszczyła brwi.

- Kochanie, co ci się stało?

Tak bardzo schudłaś.

Czy ty nic nie jesz?

Maggie zdusiła westchnienie.

Przy każdym spotkaniu matka robiła tę samą uwagę.

- Mamo, od dziesięciu lat ważę tyle samo.

- Hmm, nic mi o tym nie wiadomo.

Ale przecież tak rzadko cię widuję.

- Bardzo dobrze wyglądasz, mamó - zauważyła córka, próbując zmienić temat.

- Tak?

Chyba umiem o sobie zadbać.

Mimo że zamęcza mnie artretyzm, a plecy bolą nieprzerwanie.

Maggie wiedziała o jej kłopotach z kręgosłupem - zawsze wykorzystywała chorobę, gdy chciała się od czegoś wymigać.

Jednak artretyzm to całkowita nowość.

- Nie wiedziałam, że masz artretyzm.

- O tak, kochanie!

W rękach.

Wyciągnęła dłonie, by córka je obejrzała.

Maggie nie zauważyła śladów choroby - delikatne nadgarstki i szczupłe palce o starannie wymanikiurowanych paznokciach wydawały jej się nie zmienione.

- Czasami nie mam siły utrzymać noża i widelca - wymamrotała płacząco Dulcie.

- Ale staram się nie skarżyć.

Harry beszta mnie, kiedy to robię.

Ale nie będziemy rozmawiały o moich małych przypadłościach.

Chodźmy do pokoju, kochanie.

Nastawiłam już kawę.

Weszły do saloniku, niewielkiego, ale eleganckiego, jak zawsze starannie utrzymanego.

Poduszki leżały równo na kanapie, książki o ogrodnictwie na stoliku.

Harry siedział przy oknie; na małym stoliku obok stała filiżanka z kawą.

Czytał gazetę, którą starannie złożył, kiedy kobiety pojawiły się w drzwiach.

Przywitał się gestem, który wyraźnie miał pokazać, że czyni to niechętnie.

Następnie włożył gazetę do specjalnego stojaka.

- Margaret!

Wiesz, że twoja matka spodziewała się ciebie wczoraj.

- Nie mówiłam, że będę tu wczoraj - zaprotestowała dziewczyna.

- Poza tym miałam atak migreny.

- Och, kochanie, ty też na to cierpisz?

- zdziwiła się Dulcie.

- Kiedyś straszliwie mnie męczyły, przypuszczam, że sobie przypominasz.

Musiałam leżeć w zaciemnionym pokoju czasami przez cały tydzień.

Na szczęście ostatnio nie zdarzają mi się tak często.

Myślę, że kiedy osiągniesz mój wiek, zupełnie się ich pozbędziesz, Maggie.

Zresztą nie wydaje mi się, żeby twoje migreny były tak poważne jak niegdyś moje.

- Nie, mam, też mi się tak nie wydaje - zgodziła się Maggie.

Dulcie naląła kawę do delikatnych porcelanowych filiżanek, po czym posunęła jedną z nich córce, która przysiadła w niewygodnej pozycji na wyściełanym brokacie krzesła.

- A więc, co słyhać u Ariego?

- zapytała matka uprzejmie, choć w jej głosie pobrzmiwała niechęć.

- Ma się dobrze.

Zapracowany jak zawsze.

- Maggie nie zamierzała poruszać z matką tematów dotyczących jej małżeństwa.

Doskonale wiedziała, że Dulcie, udając współczucie, w duchu byłaby zachwycona.

- A jego rodzina?

- Także.

- Nie wiedzą, jacy są szczęśliwi - westchnęła Dulcie.

- To musi być wspaniale, żyć tak blisko z całą rodziną.

- Och, mam, dobrze wiesz, że nie zniosłabyś, gdybyśmy z Ros pętały ci się wiecznie pod nogami.

- Kochanie, jak możesz tak mówić!

Byłabym zachwycona, gdybyście dopuściły mnie przynajmniej do części waszego życia.

Rozumiem, że w twoim przypadku jest to niemożliwe, ale Rosalie...

Mieszka tak blisko, a mimo to widuję ją tak rzadko.

Serce Maggie podeszło do gardła.

Przyszło jej do głowy, że być może już nigdy nie zobaczą Ros.

- Mam, martwię się o Ros - odezwała się.

Harry chrząknął niecierpliwie, a Dulcie westchnęła.

- Ciągle to powtarzasz.

Muszę przyznać, że nie rozumiem, skąd to całe zamieszanie.

Rosalie chodzi swoimi ścieżkami.

Zawsze tak postępowała.

- Nie do tego stopnia.

Nawet Mike nie wie, gdzie ona jest.

Starsza pani wymownie wydeła usta.

- Mówisz o tym nauczycielu gimnastyki.

Podejrzewam, że Rosalie znalazła sobie kogoś odpowiedniejszego.

Zawsze uważałam, że on nie jest w jej stylu.

Nawet Brendan, choć okazał się taki okropny, miał w sobie coś więcej.

Bądź co bądź był sławny.

Ale nauczyciel gimnastyki w tej straszliwej szkole...

- Czy wspominała ci o kimś jeszcze?

- zapytała Maggie.

- Dobry Boże, nie!

- Dulcie wytwornie popijała kawę.

- Choć mówiła czasami o jakimś mężczyźnie z pracy.

Nawet dość często.

Ale to było dawno temu.

- Jakim mężczyźnie z pracy?

- Tym najważniejszym, Van jakiś tam.

Miał chyba zagraniczne nazwisko, ale, zdaje się, że on już nie żyje.

Szkoda, to była dobra partia dla Ros.

- Jeśli masz na myśli Vana Kendricka, to on miał żonę.

- Naprawdę?

No cóż, zdaje się, że w dzisiejszych czasach młodzi ludzie nie zwracają uwagi na takie przeszkody.

- Był jej szefem - wyjaśniła Maggie.

- To wszystko.

- Jeśli tak twierdzisz, kochanie.

Osobiście sędzę, że kryło się za tym coś więcej.

- Mamo, wiesz przecież, jak Ros angażuje się w pracę przypominała córka z irytacją.

- Nic dziwnego, że w rozmowie padało nazwisko jej szefa.

Dulcie wzruszyła ramionami.

- Cóż, skoro on nie żyje, cała rozmowa staje się czysto akademicka.

Poza tym masz słuszość mówiąc, że Ros za bardzo angażuje się w pracę.

Nie wiem, po kim to odziedziczyła!

To pewne, że nie po tobie, że złością pomyślała Maggie.

- Nie wiesz, czy Ros ostatnio widziała się z Brendanem?

- zapytała, zmieniając temat.

- Nic o tym nie słyszałam.

Właśnie kilka dni temu mówiłam, że wcale nie słyhać go w radiu.

Nie wiesz, co się stało?

- Zdaje się, że zwolnili go z pracy, mammo.

- Leniwa kreatura - wtrącił pułkownik.

- Co powiedziałaś, kochanie?

- Kilka tygodni temu w czasie obiadu w klubie rotariańskim rozmawialiśmy o nim.

Stary Forsythe mówił, że Brendan zgłosił się do niego z prośbą o pracę.

Naturalnie nie dostał jej.

Z taką reputacją wszyscy obchodzą go z daleka jak dotkniętego zarazą.

Alan Forsythe, klubowy kolega pułkownika, był szefem lokalnej stacji radiowej.

- Nie mówiłeś mi o tym!

- zauważyła Dulcie z urazą.

- Nie chciałem cię przygnębić, staruszko.

Pomyślałem sobie, że lepiej nie powtarzać tego, co się o nim opowiada.

- To znaczy?

- Och, że zupełnie się stoczył.

Forsythe uważa, że chyba zwariował, prawdopodobnie od picia.

Mówi, że zachowywał się dziwacznie, jak szaleniec.

Nie pamiętał nawet, jak się nazywa, przynajmniej tak twierdzi Forsythe.

- Och, to z pewnością nieprawda.

- No cóż, wiesz, co mam na myśli.

W wojsku miałem kolegów, którzy pili za dużo.

- Zupełnie się zmarnowali.

Alkohol uszkadza komórki mózgowe.

Potem przyjdzie czas na wątrobę, zapamiętajcie moje słowa.

Umrze na marskość wątroby, zanim dożyje czterdziestki.

- Och, kochanie, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie!

Może rzeczywiście dobrze się stało, że Rosalie już z nim nie jest.

- Na pewno.

- Ale nie traktował jej źle - pocieszała się Dulcie.

Milczała przez chwilę, usilnie próbując połączyć przeszłość z informacjami, jakie przed chwilą przedostały się do jej mózgu, którego tak rzadko używała.

- Nie myślisz chyba, że on zrobił coś Rosalie?

- zapytała z niepokojem.

- Nie wiem, mam - odpowiedziała Maggie.

- Ale uważam, że byłby do tego zdolny.

- Och, mój Boże!

Może powinniśmy zawiadomić policję?

- Już to zrobiliśmy, nie pamiętasz?

- No tak, rzeczywiście byli tu.

Ale czy oni wiedzą o Brendanie?

Harry, może powinienesz do nich zadzwonić i powiedzieć, co to za człowiek.

Gdybyś wspomniał, co opowiadał o Brendanie Alan Forsythe, z pewnością ich to zastanowi.

- Alan powiedział tylko, że Brendan nie nadaje się już na prezentera radiowego.

Nie jest to przestępstwo, niestety - wytłumaczył pułkownik rozdrażnionym głosem.

- Nie przejmuj się tak, kochanie.

A ty, Margaret, jak możesz w ten sposób straszyć matkę?

- Ale jeśli Rosalie...

- Harry ma rację, mam - zgodziła się Maggie.

- Nie powiesz policji nic nowego.

Są przekonani, że Ros wyjechała z własnej woli.

Ty sama tak myślałaś.

Nie ma sensu, żebyś się zamartwiała.

Jej zniknięcie można wytłumaczyć na tysiące sposobów.

Dulcie ponownie na kilka sekund pogрузyła się w zadumie, ale już po chwili jej twarz się rozjaśniła.

- Masz rację.

Przestańmy o tym myśleć i porozmawiajmy o czymś innym.

Tak rzadko się widzimy, że szkoda psuć nasze spotkanie smutnymi rozważaniami!

Jej zdolność koncentracji wyczerpała się i z właściwą sobie umiejętnością wymazywania z umysłu kłopotliwych tematów przeszła do spraw codziennych, przyjemnych, głównie jej osobiście dotyczących.

Ani razu do końca wizyty nie wspomniano już Ros.

W drodze powrotnej do Bristolu Maggie starała przekonać samą siebie, że jej matka słusznie postanowiła się nie martwić.

Najprawdopodobniej istniało bardzo racjonalne wytłumaczenie zniknięcia Ros, którego ona i Mike nie chcieli uznać, ponieważ im nie pasowało.

Strasznie było myśleć, że stało się jej coś złego, ale przynajmniej nie zakłócało to obrazu takiej Ros, jaką kochali.

Jeśli uciekła z jakimś mężczyzną albo, jak sugerowała Jayne, była szpiegiem i przekazywała informacje innej firmie, burząc pokładane w niej zaufanie, stawiała się natychmiast zupełnie inną osobą, kimś, kogo Maggie wcale nie znała.

Jednakże Dulcie patrzyła na sprawę całkowicie inaczej.

Ona potrafiła zaakceptować każdą postać Ros, w najprostszy sposób tłumacząc jej postępowanie.

Podjechawszy pod dom siostry, Maggie zaparkowała samochód i zamyśliła się nad tym, co powinna teraz zrobić.

Zaczęło ogarniać ją poczucie całkowitej bezradności i niemocy.

Skontaktowała się już z wszystkimi, którzy mogli pomóc, i nic z tego nie wynikło.

I nadal nie wiedziała, gdzie jest siostra.

W skrzynce na listy znalazła urzędową kopertę; zabrała i rozdarła po drodze.

Nie miała już oporów, że czyta korespondencję siostry - jeśli okaże się, że nic się jej nie stało i będzie zła na nią za ingerencję w jej prywatność, trudno.

Teraz Maggie musiała się dowiedzieć wszystkiego, co dotyczyło życia Ross, jeśli chciała wpaść na jakiś trop.

W kopercie znajdował się wyciąg z banku i Maggie zastanowiła się, czy jednak nie posuwa się za daleko, wsadzając nos w finanse Ros.

Mimo wszystko zabrała się do jego studiowania i stwierdziła, że konto siostry wygląda dość imponująco.

Oprócz stałych wpływów z pensji znajdowały się tam dodatkowe dywidendy z hipoteki, premie z ubezpieczenia oraz odsetki.

Nagle coś jej zaświtało i jeszcze raz przebiegła wzrokiem kolumnę wypłat.

Wyciąg dotyczył ostatnich dwóch miesięcy i pokazywał, że w zeszłym miesiącu Ross co tydzień podejmowała tę samą sumę w gotówce.

Jednak na początku tego miesiąca nie wyciągała pieniędzy z konta.

Maggie odszukała datę ostatniej operacji - dwa dni przed jej zniknięciem.

Potem nie było już nic.

Przelewy z ostatnich dni dotyczyły stałych zleceń plus kilku czeków, które Ros z pewnością podpisała przed swoim zaginięciem.

Maggie poczuła, że robi jej się niedobrze ze strachu.

Jeśli Ros wyjechała, z pewnością potrzebowała pieniędzy.

Ostatnia jej wypłata nie była duża - pięćdziesiąt funtów, które podejmowała prawdopodobnie co tydzień.

Maggie nie natknęła się na jakieś nowe чеки, nic, co wskazywałoby, że siostra płaciła za rachunki w hotelach czy restauracjach albo za bilet kolejowy.

Naturalnie, jeśli wyjechała z kimś, ten ktoś mógł ponosić koszty.

Jednak Ros bardzo dbała o swoją niezależność - lubiła płacić za siebie sama.

Mogła jednak używać kart kredytowych, tylko że wyciąg bankowy na to nie wskazywał.

Zresztą w każdej sytuacji musi potrzebować gotówki na mniejsze, codzienne zakupy.

Złe przeczucia pogłębiły się.

Maggie spojrzała na zegarek.

Mike powinien już być w domu - chyba że ma jeszcze jeden mecz krykieta.

Przeszła do holu, ale zanim podniosła słuchawkę, telefon sam zaczął dzwonić.

Telepatia, pomyślała.

Mike dzwoni do mnie.

Odebrała telefon.

- Słucham?

- Maggie?

Tu Steve Lomax.

Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, kto to jest Steve Lomax.

- Steve.

Cześć.

- Trudno jej było ukryć rozczarowanie.

- Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się dziś wieczór na drinka.

- Dziś wieczór?

- Szybko analizowała sytuację.

Miała nadzieję, że spotka się dzisiaj z Mikeem, ale Steve stanowił jej kontakt z Vandiną.

Jeśli Brendan nie miał nic wspólnego ze zniknięciem Ros, pozostawała jeszcze jej praca.

- Może jesteś już umówiona?

- dopytywał się uprzejmie.

- Nie...

nie, nie mam żadnych planów na wieczór.

- W takim razie mam nadzieję, że dasz się namówić na spędzenie go w moim towarzystwie?

- Owszem, chętnie.

- Wspaniale!

Mogę po ciebie przyjechać?

Powiedzmy koło ósmej?

- Dobrze.

Odłożyła słuchawkę, ale zaraz znowu ją podniosła i wykręciła numer Mikea.

Zgłosiła się automatyczna sekretarka.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała.

- Wychodzę o ósmej, ale jeśli wrócisz do domu wcześniej, postaraj się do mnie zadzwonić.

Odłożyła słuchawkę i dopiero w tym momencie zauważyła, że cała drży.

No więc - o co chodzi, kochanie?

Steve Lomax odłożył słuchawkę i obrócił się w swoim oprawionym w niebieską skórę fotelu obrotowym, by popatrzeć na Jayne Peters - Browne, stojącą w drzwiach jego biura.

Przybrała wyzywającą pozę - jedna ręka uniesiona, oparta o framugę, tak że kremowa bluzka z jedwabiu opinała się na obfitym biuście, biodro prowokująco wysunięte do przodu.

Jednak zamiast jak zawsze poczuć pożądanie, Stevea ogarnęła irytacja.

Jako kochanka Jayne była niezastąpiona; nie przypominał sobie, czy spotkał już w życiu kobietę, która miała tyle do zaoferowania.

Podobało mu się jej nienasycenie; fakt, że przed niczym się nie cofała, tylko go bardziej pobudzała.

Kochanie się z nią przypominało spotkanie z wulkanem.

Było stymulujące, przynosiło satysfakcję i czasami sprawiało wrażenie niebezpiecznego.

Jednak to, że wpuścił ją do swojego łóżka, nie znaczyło, że może wtrącać się w jego sprawy.

Nie miała do niego żadnych praw - i z pewnością nie powinna wchodzić bez zaproszenia do jego biura i podsłuchiwać jego rozmowę telefoniczną.

- Potrzebujesz czegoś?

- zapytał zimno.

Przez chwilę wyglądała na lekko zakłopotaną.

Potem wyraz jej twarzy stwardniał, zielone oczy rzuciły ostrzejsze błyski, kąciki pełnych ust opadły...

- Owszem.

Chciałam się dowiedzieć, jak Dinah zamierza pokonać kłopoty z Reubensem.

Steve odchylił się na oparcie fotela i popatrzył na nią przez zmrużone powieki.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Znowu zauważył, że na jego oschłe pytanie zareagowała zmieszaniem; Jayne zaczyna się ujawniać, pomyślał.

Stawała się podatna na ciosy, ponieważ zaangażowała się uczuciowo.

Jednak bardzo szybko doszła do siebie, a on ze zdziwieniem pomyślał, że być może tylko mu się wydawało, że wprowadził ją w zakłopotanie.

- Kochanie, jesteś dzisiaj w bardzo złym nastroju.

Co się stało?

- spytała.

- Jeśli nie zauważyłaś, przypominam ci, że do mojego biura prowadzą drzwi.

Byłbym wdzięczny, gdybyś pukała w nie, tak jak wszyscy inni pracownicy.

- Ale ja nie jestem jak wszyscy inni pracownicy!

- krzyknęła, nie ukrywając już gniewu.

- W czasie pracy jak najbardziej.

- Nie zgadzam się.

Pomijając nasze prywatne kontakty...

choć szczerze mówiąc, sama nie wiem, dlaczego niby należy je pomijać, chciałam ci przypomnieć, że w tej firmie jestem główną projektantką.

Nie wydaje mi się, żebym musiała umawiać się na spotkanie z tobą.

- Mówmy poważnie, Jayne.

Proszę tylko, byś nie wpadała tu, kiedy rozmawiam przez telefon.

Mam przecież prawo do prywatności.

Oczy kobiety rozgorzały.

Steve miał pewność, że usłyszała z rozmowy wystarczająco wiele, by domyślić się, że umawiał się na spotkanie z kobietą.

Przez chwilę wydawało mu się, że Jayne go o to zapyta, i wiedział, jak on na to zareaguje.

- W porządku, panie Lomax - odezwała się kpiąco.

- Życzy pan sobie, żebym wyszła i weszła powtórnie, tak byśmy mogli przeprowadzić naszą rozmowę w sposób bardziej oficjalny?

Przekręcił się w fotelu w stronę biurka.

Zaczął odczuwać pożądanie.

Jayne była naprawdę ogromnie atrakcyjna, kiedy się złościła, ale nie zamierzał jej tego okazywać.

Wiedział, że kobiety trzeba trzymać krótko, wtedy kochają.

Wierzył w to z całej duszy.

- Nie ma takiej potrzeby, ale nie chciałbym, żeby to się powtórzyło.

Wejdz i usiądź.

A teraz, co chciałaś wiedzieć?

- Pytałam o plany Dinah.

Nie mogę pracować, nie znając jej zamierzeń.

- Obawiam się, że ci nie pomogę.

Musisz porozmawiać z Dinah.

- Jest dzisiaj w Londynie.

Muszę natychmiast dowiedzieć się, co planuje.

Jeśli to ma być coś zupełnie nowego na wiosenny sezon, nie mamy czasu do stracenia.

- Nie wydaje mi się, żeby jeden dzień robił jakąś różnicę - spokojnie zauważył Steve.

- Zresztą sędzę, że plany Dinah nie dotyczą twojej pracy.

Z tego co wiem - a przyznaję, że w sumie wiem tyle samo, co ty, bo, jak wszyscy zostałem zaskoczony wczoraj wieczorem - no więc z tego, co wiem, Dinah sama zajmie się projektem.

- Ale Don Kennedy wyraźnie powiedział, że chce, bym to ja się nim zajęła!

- To niezupełnie jest to, co powiedział.

Zasugerował, że jego zdaniem twoja opinia byłaby bardzo pożyteczna.

Ale Don nie ma prawa wtrącać się do projektów.

Jest człowiekiem od finansów, uczciwym i prostym.

Ostatnie słowo i tak należy do Dinah.

- To śmieszne!

- prychnęła Jayne.

- Zostałam tu zatrudniona na stanowisko głównej projektantki.

Mam prawo poznać nowe plany!

Steve z trudem nad sobą panował.

Przez moment wyobrażał sobie, że rzuca Jayne z szeroko rozpostartymi nogami na biurko między dokumenty i się z nią kocha.

Jednak dzięki żelaznej kontroli nerwów nawet przez mgnienie nie dał jej poznać, jakie myśli krążą mu po, głowie.

- Zdaje się, Jayne, że muszę ci przypomnieć, że Vandina należy do mojej matki.

To ona wymyśliła tę firmę i ona wykreowała pierwsze projekty.

Zbudowała tę fabrykę z niczego i jeśli chce teraz sama zająć się nowym projektem, to bez względu na umowę, jaką zawarłaś, nie możesz jej przed tym powstrzymać, ani ty, ani nikt inny.

Poza tym nic nie upoważnia cię do wtrącania się w jej plany.

- Wydawało mi się, że Dinah nie miała do tej pory czasu zajmować się projektowaniem, i właśnie z tego powodu ja byłam jej potrzebna.

Nie może wszystkiego robić sama, a przecież musi zajmować się prowadzeniem firmy...

- Staram się przejąć część jej obowiązków i pozostawić jej jak najwięcej czasu na to, co robi najlepiej, na tworzenie.

- Czy mam rozumieć, że twoje słowa kryją jakiś podtekst?

- zdenerwowała się Jayne.

- Czyżby moja praca stała pod znakiem zapytania?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Ja o tym nie decyduję.

Ale jeśli nie podobają ci się nasze warunki...

cóż, wiesz, co możesz zrobić, prawda?

- Nie wierzę w to, co słyszę!

Uśmiechnął się; bawiła go ta sytuacja.

- Och, wcale się o ciebie nie martwię.

Nie pozostaniesz bez pracy długo.

Przyznaję, że jesteś dobra w tym, co robisz.

Inne firmy ustawią się po ciebie w kolejce.

A Reubens znajdzie się prawdopodobnie na szczycie tej listy.

Zauważył, że po tych słowach Jayne aż się zaczerwieniła od targającej nią furii.

Zdaje się, że posunął się za daleko; jeśli serio potraktuje jego słowa i odejdzie, Dinah nie będzie zadowolona.

Ale był więcej niż pewien, że Jayne nie zrezygnuje z pracy w Vandinie.

Za dużo ją tu trzymało.

- Dobrze - rzucił już innym tonem, w końcu pokazał już swoją władzę.

- Powtórzę Dinah, że chcesz uczestniczyć w pracach nad nowym projektem, choć jestem pewien, że i tak zamierzała przedyskutować go z tobą.

Jutro będzie w biurze razem z projektami.

Chyba wiesz, że nie lubi rozstawać się ze swoimi pracami nawet na moment.

Jayne nie odezwała się.

Widział, że nadal jest obrażona.

- A co do nas...

daj mi godzinkę na przejrzenie tych dokumentów, a potem tu przyjdź...

jeśli chcesz - zaproponował.

- Pokój konferencyjny jest pusty, a klucz tkwi w drzwiach.

Chyba nie kochaliśmy się tam jeszcze?

Ruszyła do wyjścia.

Przy drzwiach odwróciła się.

- Steve, odpierdol się!

- powiedziała.

Ale wróciła do niego po godzinie, jak się tego zresztą spodziewał.

Poszli do pokoju konferencyjnego i zamknęli za sobą drzwi na klucz.

Zasłonili żaluzje, by nikt z zewnątrz nie mógł ich podejrzeć.

Potem kochali się na ciemnoniebieskim dywanie, nie raz, ale dwa razy, a niedawna kłótnia dodawała smaku.

- Doskonałe zakończenie dnia pracy - stwierdził Steve po pierwszym razie.

Jayne siedziała i zapinała jedwabną bluzkę.

- Jakiej pracy?

- Przeglądania kartotek.

Próby odnalezienia szpiega.

- I udało ci się?

- Jeszcze nie, ale już wkrótce...

już wkrótce.

- Nadal uważam, że najbardziej podejrzana jest Ros.

- Tak?

No, nie jestem tego taki pewien.

Następnie, wciąż nie nasycony, wyciągnął do niej rękę.

Rozdział trzynasty.

Kiedy zadzwonił telefon, Maggie brała prysznic i początkowo nie usłyszała dzwonka, zagłuszanego przez szum płynącej wody.

Kiedy zakręciła kurek i przekonała się, że to rzeczywiście telefon, złapała ręcznik i, ociekając wodą, pospieszyła na dół, przestraszona, że ten ktoś, kto dzwoni, może się rozmyślić i rozłączyć.

- Halo?

- Maggie?

Tu Mike.

Odebrałem twoją wiadomość.

- Mike.

- Jego głos sprawił jej ulgę, aż zrobiło jej się słabo.

- Dzięki Bogu!

Już zaczynałam się martwić, że ty też zaginałeś!

Dzwoniłam do ciebie wczoraj wieczorem, ale cię nie zastałam.

- To prawda.

- Nie powiedział, gdzie był, a ona nie pytała.

- Jak się udało przyjęcie?

- Całkiem nieźle.

Jeśli chodzi ci o to, czy czegoś się dowiedziałam, to niestety nie.

Jednak potwierdziła się hipoteza o szpiegu w Vandinie i wyobraź sobie, że Ros jest główną podejrzaną.

- Co przez to rozumiesz, do diabła?

- Tak samo ja zareagowałam - przynajmniej na początku.

Ale potem zaczęłam się zastanawiać.

W Vandinie doszło do przecieku - konkurencyjna firma wypuściła wiosenną kolekcję, która żywcem przypomina projekty Vandiny.

Tamta firma przedstawiła swoją kolekcję w tym tygodniu i oczywiście nie wygląda to najlepiej dla Ros.

Oni uważają, że zniknęła w najbardziej odpowiednim momencie.

- Maggie, chyba nie sugerujesz, że Ros...

- Ja nie, oni to zasugerowali, ale pomyślałam sobie, że powinniśmy przynajmniej wziąć taką ewentualność pod uwagę.

Zdarzyło się coś jeszcze, coś bardzo niepokojącego.

- Opowiedziała mu o wyciągu bankowym.

- Przecież, gdziekolwiek Ros jest, musi potrzebować pieniędzy - tłumaczyła.

- Też tak sędzę - zgodził się ponuro.

- Tak się boję!

Męczy mnie koszmarne przeczucie, że stało się coś naprawdę strasznego.

- Miała nadzieję, modliła się, by Mike zaprotestował, by powiedział jej, że przesadza, ale nie zrobił tego.

- Skontaktuję się z policją - postanowił.

Był najwyraźniej tak samo przestraszony jak Maggie.

- A potem przyjeżdżam do ciebie.

- Och, Mike, przykro mi, ale jestem umówiona i wychodzę.

- Naprawdę bardzo chciała go zobaczyć, jednak nie wypadało jej teraz zmieniać planów.

- W takim razie jutro?

To sobota i przynajmniej nie mam żadnych meczów ani innych zajęć.

Zdaje się, że wszystkie drużyny boją się grać z moimi chłopcami - są tacy ostrzy!

W niedzielę będę już zajęty, więc zostaje tylko jutrzejszy dzień.

- Wspaniale.

Teraz muszę się już szykować, bo jestem w lesie, a za chwilę przyjeżdża po mnie Steve.

Nastąpiła krótka cisza, potem Mike powiedział: - Steve?

- Steve Lomax.

Syn szefowej Ros.

- Tak, tak - rzucił Mike oschle.

- Wiem, o jakiego Stevea chodzi.

No cóż, Maggie, uważaj na siebie.

- Dobrze.

- Kiedy jednak odłożyła słuchawkę, zaczęła się zastanawiać, dlaczego wydawało jej się, że Mike jest zły, i co takiego nieprzyjemnego wiedział na temat Stevea, że ją przed nim ostrzegał.

Pod koniec wieczoru Maggie doszła do wniosku, że bez względu na pobudki, jakie nim kierowały, Mike miał słuszość - ona także nie bardzo polubiła Stevea.

Owszem, zachowywał się czarująco, może nawet za bardzo.

Traktował ją szarmancko i z galanterią - prawdziwy dżentelmen.

Był inteligentny i potrafił prowadzić interesującą rozmowę.

Maggie zauważyła też, że jest zarozumiały, a poza tym kryje się w nim coś, czego nie potrafiła nazwać, ale kojarzyło jej się to z zagrożeniem.

Pod pewnym względem dodawało mu to uroku i Maggie domyślała się, że dla wielu kobiet Steve musi być mężczyzną bardzo pociągającym.

Jego niepokojący urok brał się prawdopodobnie ze stylu życia, jaki dotychczas prowadził.

Opowiedział jej, że pracował jako pływacz na platformie na Morzu Północnym.

Niewiele wiedziała o takiej pracy, ale domyślała się, że musi być niebezpieczna.

Steve z pewnością nie oczekiwał tam w luksusy, jak to miało obecnie miejsce.

Przyjrzała mu się siedząc naprzeciwko niego w wiejskim pubie, do którego ją zabrał.

Miał na sobie doskonale skrojoną koszulę, która na pewno pochodziła od Turnbulla and Assera, niedbale rozpiętą pod szyją, by ujawnić wiszący na szyi ciężki i gruby łańcuch ze złota, twarzową fryzurę, wysmienicie wymodelowaną, okulary Rayban wetknięte do górnej kieszonki.

Maggie przyszło do głowy, że ten mężczyzna musiał niegdyś przypominać nie oszlifowany diament, który teraz poddany został obróbce i właśnie to ją od niego odstręczało.

Był za bardzo uprzejmy i zarazem za męski.

Na nią to nie działało.

O wiele bardziej odpowiadała jej nieokrzesa męskość kogoś takiego jak na przykład Mike, który bez wątpienia zakładał na siebie to, co akurat miał pod ręką, a do lusterka zaglądał raz dziennie, z rana, żeby się ogolić i uczesać.

- Jakież wieści o Ros?

- zapytał Steve, częstując ją Camelem.

Potrząsnęła głową zarówno w odpowiedzi na pytanie, jak i na papierosa.

Wolała swoje Silk Cuty.

- Nie.

W Vandinie też nic nie słyhać?

- Nie.

Chciałem jeszcze raz przeprosić za to, co powiedziała wczoraj Jayne.

Ona lubi dramatyczne sytuacje.

- Owszem, trochę się zdenerwowałam - przyznała.

- Jednak znam swoją siostrę na tyle dobrze, że nie muszę przejmować się takimi szalonymi oskarżeniami.

- Ktoś w Vandinie przekazuje informacje konkurencji.

To poważna sprawa.

- Ale nie zrobiła tego Ros - stanowczo stwierdziła Maggie.

- Powiem więcej, zastanawiałam się nad tym, czy przypadkiem Ros nie odkryła szpiega i dlatego nie zaginęła.

Jej towarzysz zmrużył oczy za smugą szarego dymu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Szpiegostwo to poważna sprawa.

Każdego rodzaju szpiegostwo.

Rozumiem, że nie chodzi tu o szpiegostwo na skalę międzynarodową.

Jednak Vandina jest dużą firmą i gra idzie o niemałe pieniądze.

Zdaję sobie sprawę, że może to zabrzmieć melodramatycznie, ale jeśli Ros doszła do tego, kto bawi się w tak niebezpieczną grę, i postraszyła sprawców, coś ją mogło za to...

spotkać.

Linia ust Stevea uniosła się nieznacznie, był najwyraźniej zaskoczony, a nawet niemal rozbawiony.

- Ale co?

- Nie wiem.

Coś poważnego.

Roześmiał się już otwarcie.

- Naoglądałaś się filmów szpiegowskich.

Maggie strzepnęła popiół z papierosa, nerwowo obracając nim na brzegu popielniczki.

- Może myślę się co do wagi szpiegostwa przemysłowego.

Mimo to naprawdę sędzę, że Ros przytrafiło się coś okropnego.

Wolałabym tak myśleć, jednak poszlaki są poważne.

- Jakie poszlaki?

Powiedziała mu o wszystkim, także o wyciągu bankowym.

Te wiadomości zebrane do kupy tworzyły ponury i przygnębiający obraz.

- Tak - odezwał się Steve, kiedy skończyła.

- Zaczynam pojmować, dlaczego się tak martwisz.

Posłuchaj, jeśli tylko będę mógł w czymś pomóc...

Jego ręka prześliznęła się po stole, by przykryć jej dłoń; Maggie trochę zawstydzona odsunęła ją.

- I jeszcze coś.

Jej były mąż, Brendan, twierdzi, że widział ją w Clifton w barze z jakimś mężczyzną, a nie był to Mike, jej obecny chłopak.

Nie domyślasz się przypadkiem, kto to mógł być?

Potrząsnął głową.

- Jeśli chodzi ci o to, czy znam kogoś jeszcze, kto liczy się w życiu Ros, odpowiedź brzmi, nie mam pojęcia, choć to była niczego sobie dziewczyna.

Czy ten Brendan opisał ci tamtego mężczyznę?

- Niezupełnie.

Biały, około trzydziestki.

To wszystko, co sobie przypomniał.

- Hm.

Ten opis odpowiada całej masie facetów.

Maggie westchnęła.

- Wiem.

To beznadziejne.

- Jeszcze drinka?

- Owszem, poproszę.

Obserwowała go, jak idzie do baru, zauważyła, że barmanka natychmiast zwróciła uwagę na tego opalonego, przystojnego blondyna, widziała, jak swobodnie z nią rozmawia, i jeszcze bardziej pożałowała, że zgodziła się na to spotkanie.

Niczego się nie dowiedziała, a Steve krępował ją, choć nie potrafiła wytłumaczyć dlaczego.

Możliwe, że po trzech latach małżeństwa zapomniała, jak to jest przebywać sam na sam w towarzystwie wolnego mężczyzny.

Nie wiedziała, co dalej robić, więc postanowiła urwać się jak najszybciej.

Steve wrócił z drinkami i rozmowa potoczyła się dalej, ale nie mówili już o Ros.

Opowiadał jej anegdotki z pracy na platformie naftowej.

Opowiadania były zabawne, a we wszystkich wychodził na bohatera.

W trakcie rozmowy przysunął swoje krzesło bliżej Maggie.

- Powinnam już wracać - powiedziała.

- Naprawdę?

Minęła dopiero dziesiąta.

- To prawda, ale spodziewam się telefonu.

Od męża - dodała.

Skłamała, ale nagle przyszło jej do głowy, że może powinna zadzwonić do Ariego.

Miała nadzieję, że on to zrobi - przynajmniej udowodniłby, że o niej myśli.

- Ach, więc jesteś mężatką?

- Steve wyglądał na zaskoczonego.

- Tak, nie zauważyłaś obrączki?

- Owszem, ale nie myślałem, że coś oznacza.

Niektórzy noszą obrączki z przyzwyczajenia, choć ich małżeństwo prawie nie istnieje.

- Moje tak - zapewniła.

- Przyjechałam dowiedzieć się, co się dzieje z Ros.

Mąż nie mógł mi towarzyszyć z powodu swoich zajęć zawodowych.

- Rozumiem.

- Jego zachowanie uległo nagle zmianie i kiedy się rozstawali, nie zaproponował następnego spotkania.

Maggie znowu pomyślała o telefonie do Ariego.

Była już jednak prawie jedenasta.

Biorąc pod uwagę różnicę czasu, na Korfu była pierwsza.

Jeśli Ari jest w domu, prawdopodobnie śpi.

Jeśli go nie ma...

Maggie doszła do wniosku, że woli nie wiedzieć, czy mąż jest w domu, czy go nie ma.

Zrobiła sobie filiżankę kakao i usiadła na chwilę.

Potem poszła spać.

W nocy obudziła się.

Zerwał się wiatr; o okno równomiernie uderzała gałąź drzewa, ale Maggie wydawało się, że to nie ten dźwięk ją obudził.

To coś w jej głowie, szalony pościg za myślą, której nie była w stanie uchwycić.

Odwróciła się na plecy, starając się uzmysłowić sobie, co ją męczy.

Nagle zrozumiała...

i wcale jej to nie ucieszyło.

W ciemności niemal słyszała głos Stevea, z tym jego amerykańskim akcentem: "...jeśli chodzi o to, czy znam kogoś jeszcze, kto liczy się w życiu Ros, odpowiedź brzmi, nie mam pojęcia, choć to była niczego sobie dziewczyna"...

Była niczego sobie dziewczyna, nie jest.

Czy to znaczy, że Steve uważa, że Ros nie żyje?

Gałąź ponownie pacnęła w okno, wiatr poruszał roślinami w ogrodzie.

Sądząc po dźwiękach, można było pomyśleć, że ktoś chodzi na zewnątrz.

Maggie zadrżała i naciągnęła kołdrę pod samą brodę.

Nigdy w życiu nie czuła się tak samotna.

Mike zjawiał się zaraz po dziesiątej.

Maggie nie spała od wczesnego rana, niepokojona tym rodzajem energii, która nie znajdując ujścia, zaczyna męczyć.

Była blada ze zdenerwowania i braku snu, miała podkrążone oczy, co podkreślało zmęczony wyraz jej twarzy.

Mike zerknął na nią i od razu powiedział: - Wychodzimy.

- Dokąd?

Natknąłeś się na coś?

- Nie chodzi o Ros.

Musisz zrobić sobie przerwę.

- Ale nie możemy tak po prostu nic nie robić.

Nie, póki Ros się nie odnajdzie.

- I tak nic nie zdziałamy.

Poszedłem wczoraj wieczorem na policję i opowiedziałem im o wyciągu bankowym Ros.

Odniosłem wrażenie, że trochę się przejęli.

Teraz ich kolej, Maggie.

My wyczerpaliśmy wszystkie możliwości.

Wyczerpaliśmy to dobre słowo.

Jeśli nie zrobisz sobie przerwy i się nie zrelaksujesz, dostaniesz bzika.

Komu to pomoże?

Z pewnością nie Ros.

- Moglibyśmy wziąć jej fotografię i pokazywać ją ludziom.

- To nic nie da.

Ros nie jest jakąś nastolatką, która zaginęła, a teraz śpi gdzieś pod drzewem.

Nam potrzeba czegoś więcej...

Hej!

To jest pomysł!

Zastanawiam się, czy udałoby się nam zainteresować tym prasę?

Gdyby zamieścili jej zdjęcie razem z całą historią, może ktoś by się odezwał!

Zwłaszcza gdyby opublikował to jakiś dziennik ogólnokrajowy!

- Sądysz, że puściliby to?

- Nie wiem, ale wydaje mi się, że historia jest sensacyjna, zwłaszcza że ty przyjechałaś aż z Korfu, żeby odnaleźć siostrę.

Jedyny problem tkwi w tym...

- W czym?

- Jeżeli Ros wyjechała z kimś z własnej woli, wyjdziemy na skończonych głupców, przede wszystkim ja.

A Ros będzie wściekła.

- W takiej sytuacji będzie mogła winić jedynie siebie za to, że nic nam nie powiedziała.

Mnie nie przeszkadza, że wyjdę na idiotkę.

Wolę to, niż przekonać się, że miałam rację martwiąc się, nie sądzisz?

Och, Mike, proszę, zróbmy to!

Zróbmy to teraz!

Perspektywa działania orzeźwiła ją.

- Jest sobota - przypomniał Mike.

- Gazety są już pewnie przygotowane do druku.

- Na pewno ktoś jeszcze pracuje!

Muszą przecież przygotowywać poniedziałkowe wydanie?

- To prawda.

Ty zadzwonisz?

- W jego głosie nadal brzmiało zwątpienie.

Maggie zrozumiała, że ten krok dużo dla niego znaczy.

Kiedy tylko historia z Ros dostanie się do publicznej wiadomości, cała uwaga skupi się na nim.

Dla niej nie miało to znaczenia.

Jej koledzy, znajomi i przyjaciele nie zaczną roztrząsać jej życia prywatnego.

Ona nie chodzi do pracy, nie będzie słyszała insynuacji i spekulacji na swój temat.

Notatka w prasie zmieni zwyczajne życie Mikea w cyrk - i jeśli Ros rzeczywiście go rzuciła i z kimś odeszła, przysporzy mu to prawdziwego wstydu.

Ale Maggie zaczynała mieć obsesyjną pewność, że siostra nie uciekła z kochankiem - przynajmniej nie z własnej woli.

- Nie dzwońmy - powiedziała.

- Mogą nas zbyć.

Pójdziemy do redakcji.

Przynajmniej się ruszymy.

Ta niemożność zrobienia czegokolwiek mnie dobija.

Mike westchnął.

- Dobrze, Maggie, zawiozę cię - zgodził się.

"The Western Daily Press" wraz z siostrzaną gazetą "The Bristol Evening Post" zajmowały imponujące pomieszczenia przy Tempie Way w centrum Bristolu.

Jak zwykle w sobotę przed południem, na ulicach panował ruch i skrzyżowanie przy gmachu redakcji było zakorkowane.

Potwierdziły się słowa Mikea i biuro świeciło pustkami, ale zeszła do nich dyżurna reporterka, młoda kobieta, dobiegająca trzydziestki, która przedstawiła się jako Sheena Ross.

Wysłuchała ich opowieści, pracowicie pokrywając dziennikarski notatnik niezrozumiałymi znaczkami, pewnie stenografowała, po czym obejrzała przyniesione przez nich zdjęcie Ros.

Powiedziała im, że cała historia musi być dokładnie sprawdzona.

Porozmawia z wydawcą, co z tym zrobić, i skontaktuje się z nimi - prawdopodobnie w poniedziałek.

Po raz pierwszy Maggie odniosła wrażenie, że ktoś naprawdę ich wysłuchał i im uwierzył.

- Jeżeli gazeta to weźmie, to może policja wreszcie poczuje się w obowiązku podejść do sprawy poważniej - zwierzyła się Mikeowi po wyjściu.

- Myślę, że już się przejęli.

- Wziął ją za ramię, kierując w stronę parkingu.

- Przynajmniej nie wyglądało na to, że mają mnie za skończonego szaleńca.

Kiwnęła głową, ale wcale nie poczuła się lepiej.

Zainteresowanie policji nie oznaczało, że Ros jest bezpieczna; wręcz odwrotnie, potwierdzało tylko obawy.

- Na co miałabyś teraz ochotę?

- spytał Mike.

- Na nic.

Nie rozumiem, jak możesz w takich okolicznościach proponować rozrywki.

- Nie zapraszam cię na jakieś szalone przyjęcie.

Uważam jedynie, że nam obojgu przydałby się odpoczynek, jeśli nie chcemy do szczytu zwariować.

W ładny dzień zaprosiłbym cię na piknik do Ashton Court, skoro jest brzydko, pojedźmy do Watershed, chyba że masz lepszy pomysł.

- Wiesz, że nie mam!

- warknęła.

Zignorował jej naładowaną złością odpowiedź i dalej przedzierał się przez centrum miasta do malowniczego portu, gdzie rząd atrakcyjnych sklepików i restauracji oraz budynek, w którym organizowano święto wina, stykały się z nabrzeżem.

Kilkanaście małych stateczków stało przycumowanych do reki, razem ze statkiem wycieczkowym czekającym na pasażerów.

- Wyprawa w górę rzeki dla uspokojenia nadszarpniętych nerwów - zaproponował Mike.

- Może twoich.

Nie moich.

- Twoich i moich.

Maggie musiała jednak przyznać, że przejażdżka okazała się relaksująca.

Przy lepszej pogodzie i w innych okolicznościach byłaby nią zachwycona.

Kiedy tylko rozmowa schodziła na Ros, Mike mówił o swojej pracy albo o planach odrestaurowania ogromnego okrętu Brunela, "Wielkiej Brytanii", który minęli - o czymkolwiek, co trzymało z dala zatrwajający cień, który ich ścigał.

Po powrocie do portu poszli na kawę i ciastka do nabrzeżnej kawiarenki, po czym obejrzeni sklepiki.

Na jednym ze straganów z wyrobami rzemieślniczymi Maggie kupiła ametystową broszkę, która wpadła jej w oko, ale zaraz ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że poczyna sobie tak frywolnie, kiedy życie siostry jest w niebezpieczeństwie.

- Co z jedzeniem?

- spytał Mike.

Zbliżał się wieczór i tłum spacerowiczów rzedniał.

- Poszukamy w drodze powrotnej pubu z domową kuchnią?

- Nie, zjedźmy w domu.

- To znaczy, kupimy coś na wynos?

- Nie, ja coś ugotuję.

- Maggie poczuła nagle, że musi się czymś zająć.

- I może nie u Ros.

Wszystko tam przypomina mi, że jej nie ma.

Możemy iść do ciebie?

- Jeśli chcesz.

Ale tam jest lekki nieporządek...

- Przrzekam, że nawet nie spojrzę.

Zawiózł ją do Broadmead i podczas gdy ona robiła zakupy u Marksa and Spencera, on jeździł dokoła, czekając na jej powrót.

- Co będzie w menu?

- zażartował, kiedy wsiadła do samochodu.

- Zobaczysz.

- Sama o tym nie wiedząc, Maggie zaczęła dobrze się bawić.

Mike zajmował mieszkanie na parterze wysokiego, starego budynku, ustawionego frontem do rzeki, która tu wyglądała wyjątkowo brzydko.

Było zaskakująco duże i jasne i, biorąc pod uwagę jego ostrzeżenia, nie tak zabałaganione, jak się tego Maggie spodziewała.

Nie zmyte naczynia po śniadaniu i puste opakowanie po płatkach kukurydzianych leżały na zmywaku, gazety i harmonogram zajęć sportowych, nad którym pracował, zaścielały złocistodębowy stół

jadalny w stylu lat trzydziestych, dres i tenisówki leżały w małej łazience, ale w porównaniu z niechlujnym mieszkaniem Brendana to przypominało pałac.

- Dwa razy w tygodniu przychodzi tu sprzątaczką - powiedział tłumacząc się.

- Gdyby nie ona, zginąłbym w bałaganie.

- Nie wierzę ci - stwierdziła Maggie.

- A teraz pokaż, gdzie co jest, i zostaw wszystko mnie.

- Jesteś pewna...?

- Całkowicie.

- Wypijesz na dobry początek?

- A co masz?

- Niedużo.

Piwo, resztki whisky...

Możemy otworzyć wino, które kupiłeś, ale jeszcze się nie ochłodziło.

Czekaj, wydaje mi się, że zostało mi trochę czerwonego w kartonie.

Kupiłem je na wszelki wypadek i nie zdążyłem jeszcze wypić.

- To poproszę.

Mike wyciągnął karton z szafki kuchennej i nalał Maggie szklaneczkę wina, wyjął z kartonika w lodówce jedno z sześciu piw i nalał sobie.

- W takim razie, zostawiam cię.

Wrócił do pokoju; po kilku minutach, kiedy Maggie wysunęła głowę zza drzwi, by zapytać, gdzie znajdzie folię aluminiową, zobaczyła, że wyciągnął się na starej kanapie, też w stylu lat trzydziestych, i zajął się oglądaniem w telewizji wyścigów motorowych.

- "Sky" - powiedział, trochę się tłumacząc.

- Sport to jedyny program, jaki oglądam w telewizji, w ten sposób dostaję jego stałe porcje.

Uśmiechnęła się i wróciła do kuchni, myśląc o tym, jak bardzo go lubi.

Cechowała go solidność, ogromnie uspokajająca, daleka od bez troski i zarozumiałości, a przy tym łatwo się z nim rozmawiało; był pewny swej męskości, przez co nie musiał uciekać się do

agresywności czy chęci dominacji, by udowodnić siłę swej osobowości.

Nie potrafiła też wyobrazić sobie, żeby zależało mu na podporządkowaniu sobie kobiet.

Szczęśliwa, szczęśliwa Ros!

Kiedy jedzenie było już gotowe, Mike wstał z kanapy i złożył leżące na stole papiery, po czym wsunął je do i tak już przepelnionego stojaka na gazety.

Następnie położył na stole dwie małe wiklinowe maty, a przy nich nierdzewne sztucce z oszłamiającymi, czerwonymi trzonkami.

Otworzył butelkę Chablis.

- Czy teraz dostąpię tego zaszczytu i się dowiem, co będziemy jedli, czy mam czekać i przekonać się na własne oczy, czy zgadywać?

- spytał.

Wspominając egzotyczne dania Ros, Maggie roześmiała się.

- Nie wydaje mi się, żebyś miał jakieś trudności z rozpoznaniem, co przyrządziłam!

- przekomarzała się.

Jedzenie było proste, ale bardzo smaczne - dzwonki z łososia z małutkimi młodymi ziemniakami i inne młode warzywa, a po nich letni pudding, ociekający czerwonym sokiem z owoców i mlecznymi lodami.

- To jest jedyna rzecz, której mi naprawdę brakowało - stwierdziła Maggie, wycierając palcami resztki po soku z czarnej porzeczki z kącików ust.

Mike nie miał w domu serwetek.

- Letniego puddingu?

- Marksa and Spencera.

Nigdzie indziej nie dostaniesz kurczaka, który po upieczeniu tak smakuje.

A ich kanapki!

Nie z tego świata!

- Musisz ich przekonać, żeby otworzyli filię na Korfu.

Maggie roześmiała się.

Niezauważalnie dla niej samej rozluźniła się, napięcie ulatniało się z niej z każdym łykiem wina.

Mike miał rację - dzisiejszy dzień był tym, czego potrzebowała, oazą normalności, w której mogła naładować wyczerpane baterie.

- Jakoś nie wierzę, że to zrobią.

Ale z pewnością zaoszczędziłabym mnóstwo pieniędzy na przesyłkach, a już z pewnością Ros.

Kupuje u nich dla mnie bieliznę i przesyła pocztą...
przesyłała.

- Zagryzła usta, bo wspomnienie siostry przywołało falę bólu.

- Opowiedz mi o Korfu - szybko poprosił Mike, nalewając kawę z dzbanka.

- Nigdy tam nie byłem.

Uległa sugestii, bo wiedziała, że w ten sposób uniknie mówienia o siostrze, chociaż tępe uczucie niepokoju na nowo wróciło.

- Myślałam, że każdy widział Korfu.

W lecie wyspa oblegana jest przez Anglików, i oczywiście Niemców oraz Włochów.

- Jednak mieszkanie na stałe musi się różnić od spędzania tam wakacji.

Pewnie na początku czułaś się trochę dziwnie.

- Chyba nadal czasami się tak czuję.

Chodzi głównie o różnicę kultur.

Przyzwyczyłam się do tamtejszego jedzenia i słońca, i boutari, i sjesty.

Niestety, Ari nie zgadza się, żebym poszła do pracy, a ich związki rodzinne przyprawiają mnie o klaustrofobię.

Siedzą praktycznie jeden drugiemu na głowie.

- Ale twoje stosunki z nimi układają się dobrze?

- Raczej tak.

Choć, szczerze mówiąc, nie byli szczególnie zachwyceni z faktu, że Ari bierze sobie żonę z zagranicy, a poza tym nie wniosłam prika - posagu.

Dobra synowa musi mieć co najmniej kilka gajów oliwnych.

Ja nie miałam nic i z góry im podpadłam.

Nie po raz ostatni, niestety.

Mike uniósł brwi zdziwiony, a ona nieco zakłopotana kontynuowała: - Z żalem przyznaję, że chyba ich zawiodłam.

Jednak najbardziej mnie denerwuje fakt, że choć rodzinna solidarność jest u nich na pierwszym miejscu, liczy się jedynie jego rodzina.

Ros jest moją siostrą, ale kiedy postanowiłam przylecieć do Anglii, uznali, że przesadzam.

Ari nie mógł, albo nie chciał, zrozumieć, że po prostu muszę wyjechać i sprawdzić, co się z nią dzieje.

Naprawdę nie wykazał żadnego zrozumienia.

Mike nasypał sobie cukru do kawy.

- Nie jestem przekonany, czy należy go za to winić.

Gdybyś była moją żoną, nie wydaje mi się, żebym bez zastrzeżeń pogodził się z faktem, że będziesz samotnie przemierzała pół świata.

Maggie usłyszała w tych słowach coś, co przyprawiło ją o rumieniec.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zadźwięczał brzęczyk telefonu.

Mike podniósł się i wyszedł do przedpokoju.

Maggie została i obracając w dłoniach filiżankę po kawie tłumaczyła sobie, że to szaleństwo dopatrywać się czegoś w jego słowach; po prostu przesadzała, była zmęczona, przewrażliwiona, ponosiła ją wyobraźnia...

Usłyszała, że Mike wraca do pokoju, ale nie odwróciła się, obawiając się, że z jej twarzy wyczyta, o czym myślała.

- Wiesz - zaczął - to dziwne.

- Kto dzwonił?

- Nikt.

Same trzaski i piski, a potem cisza.

- Może ktoś się pomylił.

- Może.

Ale wyglądało to na połączenie z zagranicy.

Nie podawałaś swojemu mężowi mojego numeru, prawda?

- Oczywiście, że nie.

- Och, jeśli to coś istotnego, przypuszczam, że ten ktoś spróbuje jeszcze raz.

Zbierzmy to, a potem odpoczniemy.

Zanieśli brudne naczynia do kuchni.

Maggie zajęła się ich myciem, a Mike je wycierał i odstawiał na miejsce.

Jednak cały czas był zamyślony i na chwilę ich rozmowa urwała się.

- W ogóle się nie odzywasz - zauważyła Maggie, czyszcząc zlew trochę już zużytą ściereczką.

- Tylko myślałem.

- O czym?

- Och...

zastanawiałem się, czy to nie dzwoniła Ros.

Może naprawdę wymyśliłem sobie całą tę historię.

Może rzeczywiście wyjechała z kimś i teraz próbowała się ze mną skontaktować, żeby mi o tym powiedzieć.

W końcu Brendan twierdził, że widział ją z jakimś mężczyzną.

- Nie możesz wierzyć w to, co mówi Brendan.

To patologiczny kłamca, chorobliwie o nią zazdrosny.

Kiedy byli małżeństwem bez przerwy zarzucał jej, że romansuje z każdym mężczyzną, którego spotka.

- Może dawała mu powody.

- Mike opierał się o kuchenkę, próbując zachowywać się tak, jakby to, o czym mówi, nie bardzo go poruszało, ale jego oczy zmniejszyły się, a mięśnie twarzy stężały.

- Nie Ros!

- Maggie natychmiast stanęła w obronie siostry.

- Ona taka nie jest!

- A jednak.

Zaskoczył ją i zaszokował tym prostym stwierdzeniem, w którym nie było miejsca na wątpliwości.

- Ros...

miała romans?

Skąd to wiesz?

- Po prostu wiem.

Jej szef, wspaniały Van Kendrick we własnej osobie.

- Oni mieli romans?

- zdziwiła się Maggie, ale zaraz przypomniała sobie rozmowę z matką, która coś takiego sugerowała.

- Na pewno.

Gorący i szalony.

- Czy Dinah o tym wiedziała?

- Van znany był z tego, że miał kochanki.

Jeśli Dinah wiedziała, przymykała na to oko.

Tak czy inaczej, to już daleka przeszłość.

Van zginął w wypadku samolotowym albo dostał ataku serca za sterami, a potem się rozbił - nie stwierdzono tego na pewno.

Samolot się spalił i nie można było przeprowadzić sekcji zwłok.
Ale pozostaje faktem, że mieli romans.

- Rozumiem.

I teraz sądzisz, że...

- Nie wiem już, co myśleć.

- Poruszył się nagle, rzucając ręcznik do wycierania naczyń na blat kuchenny.

- Chodźmy usiąść.

- Powinam już iść...

- Ale wcale tego nie chciała.

Podobał jej się ten dzień i nie miała ochoty go kończyć.

Nawet ta niemiła rozmowa była lepsza niż żadna, lepsza niż znalezienie się w domku Ros, sam na sam z własnymi myślami, z gałęzią obijającą się o okno i powiewami wiatru, przy których Maggie wydawało się, że ktoś się skrada w ogrodzie.

- Nie musisz jeszcze wychodzić, prawda?

- raczej stwierdził, niż zapytał Mike.

- Nie, chyba nie.

- Łatwo ją było przekonać.

Wrócili do pokoju.

Mike włączył ekspres do kawy a Maggie zauważyła pod starym dębowym kredensem przedpotopowy gramofon.

- Moglibyśmy posłuchać muzyki?

- Naturalnie, jeśli masz ochotę.

Już wcześniej bym to zaproponował, ale nie pomyślałem o tym.

Lubię spokój i ciszę.

- Co masz?

- spytała, przeglądając zakurzone płyty i kilka kaset magnetofonowych.

- Niedużo.

Nie jestem wielkim fanem muzyki.

- Dołączył do niej, kucając obok na podłodze.

- Uwertura 1812 i Bolero Ravela.

Nie bardzo się to nadaje do popołudniowej kawy.

- A to?

Chris De Burgh?

- To płyta Ros.

- Znowu w jego głosie pojawiła się jakaś determinacja, a Maggie wyczuła, co miał na myśli.

Płyty Ros za bardzo ją przypominały.

Kobieta w czerwieni mogła być nawet piosenką o niej, często ubierała się na czerwono.

W obecnym nastroju Mike nie chciał takich wspomnień.

- O, mam to, czego nam potrzeba.

- Była to płyta Simona i Garfunkela.

Podąła ją Mikeowi, a on ją nastawił.

Dźwięki Bridge Over Troubled Water wypełniły pokój.

"Jestem obok ciebie...

Kiedy nadciąga wieczór"...

Nagle Maggie poczuła, że ogarnia ją rozrzewnienie.

Pochyliła się, by odkurzyć kasety, ale niechcący upuściła je na podłogę.

- Och, przepraszam...

- Nic nie szkodzi.

- Ukłęknął także i razem zaczęli zbierać kasety i wkładać je na miejsce.

- Powinienem je poukładać...

O mój Boże, Bay City Rollers - cienie mojej młodości!

Szkocka krata, pamiętasz?

Nie, pewnie nie pamiętasz.

Byłaś za młoda.

- Oglądałam ich w programach dla dzieci w sobotnie poranki w telewizji...

Śmiali się, znów rozluźnieni.

Mike wyciągnął do niej rękę, nagły, podświadomy odruch, a jej wydawało się, że patrzy na to w zwolnionym tempie.

Spojrzeli sobie prosto w oczy, a zaraz potem ich usta spotkały się i Maggie oddawała pocałunki z taką intensywnością, że samą ją to zdziwiło, zapadając się w fali pożądania, która nagle nią zawładnęła, zajmując cały jej umysł, wszystkie uczucia - zostało tylko jedno wielkie pożądanie tego mężczyzny.

Z przyjemnością uzmysławiała sobie dotyk jego ramion, pachniał słodko i zmysłowo, smak jego ust pobudzał w niej moc, o której zupełnie już zapomniała.

Już tak dawno nie pragnęła kogoś w ten sposób, aż do bólu.

Świat wokół niej zatrzymał się, a cała jego energia skumulowała się w niej, pulsując w środku, grożąc wybuchem.

Otoczona mocnymi ramionami, zamarła w bezruchu, czując, że dusza podchodzi jej do ust, a potem, z wolna, całe jej ciało zaczyna się poddawać, jakby Mike przyciągał ją do siebie za sprawą jakiejś magnetycznej siły.

Czuli to przyciąganie w samym środku wnętrzości, czuli ten elektryzujący prąd między sobą, który powodował, że Maggie drżały nie tylko ramiona i kolana, ale także palce u rąk i stóp.

Poruszyła się nieznacznie, jej biodra dotknęły jego i w tej sekundzie poczuła, jakby ciągnął ją do niego jakiś sznur słodkości i zmysłowości.

Najmniejszym nerwem rejestrowała to dotknięcie.

Oddech uwiązł jej w gardle, przycisnęła się mocniej, zachwycona tą chwilą.

Czy to możliwe, żeby odczuwać takie uniesienie i móc nadal się wspinać po drabinie rozkoszy?

Jej umysł ani o to nie pytał, ani nie dawał odpowiedzi, jednak instynktownie czuła, że przeżywa właśnie najwyższe seksualne uniesienie, które zazwyczaj osiąga się w chwili orgazmu.

Przycisnęła się do Mikea, zapadając się w świecie, w którym istniało tylko ich dwoje oraz poczucie, że nie robią nic złego, że to i tak musiało się wydarzyć.

Naraz, prawie bez ostrzeżenia, okiennice rozkoszy się zamknęły.

Mike już jej nie obejmował, jego usta już jej nie dotykały.

Poczuła, że się od niej odsunął, więc otworzyła oczy.

Nie mogła znieść tego wrażenia straty; to, że jej nie obejmował, sprawiało jej fizyczny ból.

Chciała głośno płakać.

Usiadła, czując się dziwnie słaba, a także oszukana.

- Przepraszam.

- Głos męczyzny brzmiał oschle.

- Nie powinienem tego robić.

- Chciałam tego - przyznała się cicho, pokornie.

To wyznanie jedynie powiększyło emocje, które ją w tej chwili opanowały, i wrażenie, że ją skrzywdzono.

- Ale nie powinnaś.

- Był chyba zły.

- Masz męża, na Boga.

Oboje o tym wiemy.

Twój mąż czeka na ciebie na Korfu.

Nic dziwnego, że nie chciał się zgodzić, żebyś sama wyjechała.

Wszystkie jesteście takie same.

Zabolały ją te niesprawiedliwe słowa; nagle znalazła się na pograniczu płaczu.

- Ty nic nie rozumiesz...

- Rozumiem doskonale.

Przynajmniej tyle, że nie zrobię tego, co zrobił mi jeden szmatławiec.

Chodź, odwiozę cię do domu.

Objęła go.

Drżała, łzy czały się w kącikach oczu.

- Mike, proszę, nie!

Ari...

no cóż, nie jest tak, jak ci się wydaje.

- To znaczy?

- No, w ogóle.

Och, wiem, że postąpilibyśmy źle, ale...

- Przerwała, wstydząc się własnych uczuć i tego, że niedużo brakowało, a zdradziłaby męża.

Nie chodziło jedynie o fizyczną zdradę!

Nie wiedziała, która ze zdrad jest gorsza.

- Masz rację - odezwała się cichym głosem.

- Pewnie jestem przemęczona i przewrażliwiona, i na dodatek za dużo wypiałam.

Przepraszam.

- Do cholery, Maggie, przestań się tłumaczyć!

- Nadal wydawał się zły, ale już jakoś inaczej, jakby nie na nią, tylko na siebie.

- To moja wina.

Napijmy się kawy i zapomnijmy o wszystkim.

Jednak oboje zdawali sobie sprawę, że to niemożliwe.

Na jakiś czas ciepło i bliskość odeszły, razem z falą pożądania, która niemal ich przygniotła, ale okruchy emocji wirowały wokół nich.

Maggie spojrzała na niego i nadal czuła tę nić przyciągania.

Pragnęła go.

Rozumiała to teraz.

Jej ciało to udowodniło, choć dotąd umysł nie chciał się do tego przyznać.

Pragnęła go bardziej niż kogokolwiek do tej pory.

Nic nie mogło jej powstrzymać, ani poczucie wstydu, ani tłumaczenie, że postępuje źle.

Dalej siedziała na podłodze, krzyżując ręce na ramionach i drżąc lekko, kiedy Mike poszedł do kuchni, by przygotować kawę.

Wrócił z filiżankami i jedną z nich postawił obok niej na podłodze.

Sam usiadł na kanapie.

Paul Simon śpiewał Scarborough Fair, a żalosne tony zdawały się wyrażać pustkę w sercu Maggie.

- Co miałaś na myśli mówiąc, że między tobą a Arim nie jest tak, jak mi się wydaje?

- zapytał.

Zrobił to niby od niechcienia, ale Maggie miała wrażenie, że zastanawiał się nad jej zwierzeniem podczas przyrządzania kawy.

Zagryzła usta.

- Właśnie to.

Ale nie powinnam tego mówić.

To nielojalne.

- Nielojalne?

- W stosunku do Ariego.

Nie powinnam opowiadać o naszym życiu.

Dotyczy nas dwojga.

- Rozumiem.

Czy to znaczy, że nie jesteś szczęśliwa?

- Mike...

- Znowu musiała stoczyć ze sobą walkę.

Tym razem chęć wytłumaczenia zwyciężyła.

- Niezupełnie - powiedziała.

- Mamy kilka problemów.

- Z powodu różnic kulturowych?

- Częściowo.

Ale nie tylko.

Są jeszcze...

inne rzeczy.

- Na przykład?

- Po prostu...

rzeczy.

Nie chcę o tym mówić.

- Inne kobiety?

Spojrzała na niego ostro.

- Skąd to wiesz?

Wzruszył ramionami.

- Nietrudno zgadnąć.

Ze względu na moje żalosne doświadczenie wyobrażam sobie, że to kobiety są niewierne, ale nie jestem tak naiwny, by nie wiedzieć, że mężczyźni także potrafią być podli, czasami gorsi od kobiet.

- Nalał kawę i postawił dzbanek na niskim stoliku obok niej.

- Przepraszam za to, co powiedziałem.

Wcale nie uważam, że jesteś łatwą kobietą.

Tak naprawdę, jestem przekonany, że jest zupełnie odwrotnie.

Byłem zły na siebie, że cię wykorzystałem.

Popatrzyła na niego, czując nowy przypływ pożądania.

- Mike, nie wykorzystałeś mnie, naprawdę.

Przypuszczalnie to co powiem źle zabrzmie, ale chyba czekałam na tę chwilę przez cały dzień...

może nawet już wcześniej.

- Zamilkła, wstydząc się swojego roztrzęsionego głosu.

- I chcę tego nadal.

- A więc opowiedz mi o Arim.

- Mówił szorstko.

Tym razem nie ominęła żadnego szczegółu.

Opowiadała, jak go poznała i jak się w nim zakochała.

Jak wyjechała na Korfu i tam wzięła z nim ślub, wbrew wszystkim radom, pełna nadziei i przekonana, że im się uda.

Opowiedziała, jak bardzo się starała zostać taką żoną, jakiej spodziewał się Ari i jego rodzina, jak pogodziła się z innym stylem życia, ponieważ kochała męża i sama na to się zdecydowała.

Mówiła o tym, że nie może zająć w ciążę i że Ari całą winą obarcza ją i nie zgadza się na żadną medyczną pomoc w obawie o swoją męską dumę.

Opisała, jak wszystko zaczęło się rozpadać, że stała się niesamowicie samotna, jakby życie toczyło się poza nią.

I kiedy nie pozostawało już nic więcej do powiedzenia oprócz tego, że Ari ma romans z Meliną, to także wyznała.

Choć dla Greków takie zachowanie jest naturalne, ona żywiła jakieś podejrzenia, tym bardziej że wyczuwała na ubraniach męża zapach perfum innej kobiety.

W końcu opowiedziała o ich rozmowie, kiedy to Ari wcale nie zaprzeczył, że spotyka się ze swoją sekretarką.

- Najśmieszniejsze jest to, że jemu byłoby o wiele lepiej z tamtą - stwierdziła, sama po raz pierwszy tak wyraźnie sobie tę prawdę uświadamiając.

- Miałaś rację mówiąc, że podstawą naszych problemów stały się różnice kulturowe.

Z Meliną takich kłopotów nie byłoby.

Wydaje mi się, że Ari żałuje, że się ze mną ożenił.

A Melina prawdopodobnie urodziłaby mu dziecko.

Kobiety na Korfu są niesłychanie płodne.

- Powiedziała to bez goryczy, ale mimo wszystko ze smutkiem.

- Rozumiem - odezwał się Mike.

- Nie przesadziłaś, kiedy mówiłaś, że nie jesteś szczęśliwa, prawda?

Napiła się kawy, która zdążyła już wystygnąć.

- A teraz ty opowiedz mi o sobie.

Te zwierzenia nie mogą być jednostronne.

- O sobie?

Nie ma o czym mówić.

- Jestem przekonana, że jest.

- W porządku.

Opowiedział o Judy i o tym, że zniszczyła jego zaufanie - a także jego życie - zostawiając go, a teraz bał się, że Ros zrobiła to samo.

- Męska duma to nasza pięta achillesowa - stwierdził gorzko.

- To znaczy, że najbardziej ucierpiałaby twoja duma, gdyby Ros odeszła?

- Zaczynam tak uważać, tak.

W trakcie rozmowy nawiązała się między nimi intymna nić, o wiele mocniejsza niż niedawny gwałtowny wybuch podniecenia.

- Chcesz jeszcze kawy?

- zapytał po chwili.

- Lepiej nie.

Nie będę mogła zasnąć.

Prawdopodobnie nie masz Perriera?

- Przykro mi.

Niestety, nie obracam się w towarzystwie, w którym pija się wodę Perrier.

Uśmiechnęła się.

Była to oczywista prawda - i to się jej podobało.

Atrakcyjność Mikea leżała w jego prostolinijności.

Steve prawdopodobnie ma całe skrzynki Perriera.

Ale nie dorastał Mikeowi do pięt.

Wstała.

- Naprawdę powinnam już pójść.

- Chcesz tego?

- W jego głosie wyczuwało się napięcie.

Wiedziała, o czym myśli.

Przedtem, kiedy zawładnęło nimi pożądanie, nie dopuścił do zbliżenia, ponieważ sądził, że jej małżeństwo układa się pomyślnie.

Teraz poznał już prawdę o Arim i gotowy był na nowo rozpocząć grę miłosną, a potem doprowadzić ją do logicznego finiszu.

Jednak rozmowa podziałała na Maggie zupełnie inaczej.

Chwila, kiedy chciała poddać się swoim fizycznym ciągotom, minęła.

Mike nadal ją pociągał, ale teraz już pamiętała, że zdwojoną siłą, o swoich zobowiązaniach.

Kiedy przedtem brał ją w ramiona i całował, nie miała czasu na zastanowienie.

Reagowała jedynie na bodziec fizyczny.

Teraz umysł odzyskał kontrolę nad ciałem i mówił jej, że jest żoną Ariego, a Mike jest chłopakiem Ros.

- Tak, myślę, że tak.

- Dobrze.

- Wziął jej płaszcz i pomógł się ubrać.

Przez sekundę dotykał jej ramienia ręką.

Poczuła nagłe osłabienie, tak mocno go pożądała, ale się nie poddała.

Może...

może, kiedy będzie już po wszystkim, sprawy przyjmą inny obrót.

Może, kiedy szczerze wyzna Ros, że zakochała się w jej chłopaku, może, kiedy rozwiedzie się z Arim, może kiedy wyprostuje swoje życie, przyjdzie taki moment, że Mike ją poprosi, by została, a ona mu nie odmówi.

Ale nie tego wieczoru.

A może nigdy...

Zeszli do samochodu.

Była piękna noc; świeciły gwiazdy.

Mike otworzył drzwi i Maggie wśliznęła się na miejsce dla pasażera.

Kiedy jechali przez miasto, towarzyszył im odległy dźwięk syren, i Maggie wydało się, że zauważyła gdzieś w oddali niebieskie pulsujące światełko.

Jednak tak bardzo pograżyła się we własnych myślach, że nie zwróciła na to uwagi.

Rozdział czternasty.

Sheena Ross, reporterka lokalnej gazety codziennej, zadzwoniła do Brendana około trzeciej po południu.

Była młoda i zdolna.

Kiedy odbywała praktykę na prowincji, marzyła, by dostać się do gazety ogólnokrajowej.

Po rozmowie z Mikeem i Maggie zrobiła sobie kawę, zapaliła papierosa i zasiadła w ogromnym opuszczonym biurze, by pomyśleć.

Miała nosa do dobrych historii i taką teraz wyczuwała.

To mogła być jej szansa - miała szczęście, że zdarzyło się to w sobotę, kiedy praktycznie sama opracowywała wiadomości.

Sprzyjał jej także fakt, że telefon pozostawał zadziwiająco cichy - żadnych pożarów, żadnych zaskakujących wydarzeń, nic, co mogłoby jej przeszkodzić.

Przeanalizowała swoje notatki, przepisując część, w razie gdyby zawiodła ją pamięć i jej raczej niechlujna stenografia.

Zaginiona kobieta - to mogło być nic albo naprawdę wiele.

Może się okazać, że doszło do morderstwa.

Najpierw Sheena chciała główny nacisk położyć na mężczyznę i kobietę, którzy zgłosili zaginięcie, potem obudzić zwykłą ludzką ciekawość, ale to nie było to.

Powinna to napisać inaczej.

Dawkować szczegóły, cóż za radość dla piszącego, a dla chciwego czytelnika próba cierpliwości - ofiara, pracująca w wielkim świecie mody, na dodatek w bardzo sławnym domu Vandina, jej chłopak, znany w okolicy, bo kilka dzieciaków z dzielnicy przewinęło się przez jego ręce, i siostra, żyjąca na Korfu.

I jeszcze były mąż zaginionej - Brendan Newman, znany sprawozdawca radiowy.

Historia stawała się na tyle interesująca, że mogła pozostawać na pierwszej stronie gazety przez wiele dni.

Sheena przyduśiła papierosa, już ciesząc się z nagłówek na stronach tytułowych.

Poszła do archiwum sprawdzić, co uda jej się zdobyć na temat Brendana Newmana.

Kiedy przedzierała się przez wycinki prasowe, kilkakrotnie dzwonił telefon.

Za każdym razem klęła, że jej przeszkadzają.

Żadna z wiadomości nie okazała się istotna - sekretarka lokalnej grupy dramatycznej starała się załatwić ogłoszenie o przyszłych występach, ktoś zadzwonił, żeby zawiadomić, iż zmarł dyrektor jakiegoś klubu piłkarskiego.

Sheena dokładnie, acz z niecierpliwością porobiła krótkie notatki i szybko wprowadziła je do komputera.

Chciała jak najprędzej wrócić do historii, która ją zafascynowała.

Na lunch zjadła kanapkę, nie przerywając pracy, a po odebraniu jeszcze kilku mało interesujących telefonów wzięła torebkę, płaszcz i kluczyki do samochodu, po czym wyszła z biura.

Wybierała się na poszukiwanie Brendana Newmana, w gruncie rzeczy głównego bohatera opowieści.

Co przytrafiło się Brendanowi Newmanowi?

- pomyślała, przedzierając się przez zatłoczone ulice i parafrazując słynny tytuł "Co przytrafiło się Baby Jane"?

Tego właśnie nie powiedziały jej archiwa.

Ale Sheena była zdecydowana się dowiedzieć.

Jak zwykle Brendan miał kaca.

Wyplął na powierzchnię dopiero koło południa, zaordynował sobie stałą dawkę Alka - Seltzer, a następnie kilka filiżanek mocnej kawy i papierosa.

Miał watę w ustach, papieros wywoływał zawroty głowy, ale i tak go palił.

Jednym okiem oglądał wiadomości sportowe w telewizji, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi.

Zgasił papierosa w przepelnionej popielniczce i podszedł do domofonu.

- Słucham?

- PC Nicholls, Redland Police Station.

Brendan zaklął.

Czyżby narozrabiał poprzedniego wieczora?

Jak zawsze w jego umyśle wydarzenia z poprzedniego dnia zbijały się w niejasną gmatwaninę.

- O co chodzi?

- O pańską żonę.

- Moją żonę?

Ros, znaczy się?

- Właśnie to powiedziałem, sir.

- Ona nie jest moją żoną.

Rozwiedliśmy się.

- Tak czy inaczej, chciałem z panem porozmawiać.

Brendan wahał się.

Nie zamierzał rozmawiać o Ros z nikim, zwłaszcza z policją.

Rzygać mu się chciało, gdy wypytywano go o nią.

Pragnął o niej zapomnieć i o bólu, jaki mu zafundowała.

Poza tym każda wzmianka o niej budziła w nim niepokój, niepokój niemalże graniczący ze strachem.

Jednak na nic się zda powiedzenie policjantowi, żeby się odwalił.

Tylko pogorszyłby sytuację.

Nacisnął przycisk zwalniający drzwi na dole, odpiął łańcuch i otworzył drzwi do mieszkania.

Po schodach wspinał się ten sam policjant, który go odwiedził poprzednim razem.

- O co znowu chodzi, do cholery?

- spytał nieuprzejmie.

- O zniknięcie pana żony, byłej żony.

Czy słyszał pan coś albo dowiedział się czegoś od naszej ostatniej rozmowy?

- Nie.

- Nie dzwoniła, nie pisała?

- Przecież powiedziałem, prawda?

Ale to nic zaskakującego.

Ros i ja nie utrzymujemy ze sobą kontaktu.

- I nie domyśla się pan, gdzie albo z kim ona może teraz być?

- Niech pan słucha, gadaliśmy już o tym.

Dlaczego nie zapyta pan jej siostry czy jej chłopaka?

- Rozmawialiśmy z nimi, sir.

Nikt o niej nic nie wie i nie kontaktowała się z żadnym ze swoich znajomych.

Szczerze mówiąc, zaczynamy poważnie traktować jej zaginięcie.

- Co pan ma na myśli, do cholery?

- A to, że cała historia wygląda bardzo podejrzanie i obawiamy się o bezpieczeństwo pani Newman.

Brendan zaczął się pocić.

- Jej bezpieczeństwo?

Co pan sugeruje?

- Myślę, że doskonale pan rozumie.

- Policjant miał twarz bez wyrazu i to, o dziwo, dodało powagi jego słowom.

- Zastanawiamy się, czy pani Newman żyje.

Pot ściekał po czole Brendana ciężkimi kroplami.

Starł je wierzchem dłoni.

- Naturalnie, że żyje!

To młoda kobieta, na Boga!

- To chyba nic nie znaczy, sir?

- Policjant zrobił krok do przodu.

- Czy pozwoli pan, że się tu nieco rozejrzę?

Brendan zagroził mu drogę.

- Nie, do diabła, nie pozwolę!

Co to ma znaczyć?

- Chcę tylko sprawdzić, że pani Newman tu nie mieszka.

Nie potrwa to długo.

- Oczywiście, że tu nie mieszka!

- Więc nie przeszkodzi, jeśli to sprawdzę.

- Och, proszę bardzo, jeśli pan musi.

Ale niech się pan pospieszy.

- Usunął się na bok, po czym poszedł do kuchni po papierosa.

Słyszał, jak policjant chodzi po mieszkaniu, otwierając i zamykając drzwi.

Roztrzęsioną dłonią zapalił papierosa.

Po kilku minutach funkcjonariusz pokazał się w drzwiach.

- Zadowolony?

- spytał Brendan.

- No cóż, z pewnością jej tu nie ma.

Na razie to wszystko, sir.

Jeśli pani Newman skontaktuje się z panem, powiadomi nas pan, prawda?

- Zatrzymał się po drodze, oglądając się za siebie.

- Chyba nie planuje pan żadnego wyjazdu?

- A co to pana obchodzi?

- Jeśli tak, proszę nas także poinformować.

Do widzenia, sir.

Po jego wyjściu Brendan kopnął drzwi i pozamykał wszystkie zamki.

Następnie, mimo łupania w głowie i protestów żołądka, nalał sobie dużą whisky i wypił jednym haustem.

Nie podobało mu się to wszystko - zupełnie mu się to nie podobało.

Przed całym światem udawał cwaniaczka, ale w środku był jak roztrzęsiona galareta.

Tak więc policja zaczęła uważać zniknięcie Ros za podejrzanę.

No cóż, w końcu musiało do tego dojść.

Mimo to ten nadęty policjant zaskoczył go niemile, kiedy tak stał w kuchni i wypytywał.

"Zaczynamy się zastanawiać, czy pani Newman żyje".

I na dodatek mówił to tak, jakby sądził, że on ma z tym coś wspólnego.

- Och, Ros, Ros - wymamrotał i samo wypowiedzenie jej imienia przyprawiło go o skurcz serca.

Co ona ma takiego w sobie?

Nigdy nie cierpiał na brak powodzenia.

Kiedy pracował w radiu, dziewczyny wręcz go zameęczały, a nawet teraz nie musiał się wysilać, żeby jakąś poderwać, jeśli tylko nasza go ochota; zaczynał czarować, wyciągał portfel, opowiadał o dniach sławy, a one się na to nabierały, przekonane, że zostały wybrane przez kogoś ważnego i znanego, chociaż jego gwiazda dawno już zniknęła za dalekim horyzontem.

Szedł z nimi do łóżka i zostawiał, pilnując, by się nie zaangażować, śmiał się kpiąco, czytając listy, które mu przysyłały.

"Jeśli to, co mówiłeś, Brendan, że jestem jedyna i niepowtarzalna, jest prawdą, nie ma szczęśliwszej dziewczyny na świecie ode mnie".

Albo "Zadzwoń do mnie na ten numer - mój mąż wyjechał na cały tydzień".

Natychmiast o nich zapominał.

Ale nie o Ros.

Ros była inna, choć za nic nie umiał powiedzieć dlaczego.

Sposób, w jaki potrzasała głową, w jaki chodziła, sprawiał, że głęboko wlaża mu za skórę.

Już przy pierwszym ich spotkaniu oczarowała go, i od tej pory nie zdarzyło się nic, co mogło to zmienić.

Z czasem ją znienawidził, zwłaszcza za powodzenie w pracy, kiedy jego kariera się waliła.

Był albo zły, albo zraniony, albo zazdrosny, a czasami targały nim wszystkie te uczucia naraz.

Nienawidził jej ciętego języka i arogancji zachowania i nienawidził siebie za swoją nieudolność w jej obecności...

Kiedy wzbierał w nim żal, pił, a potem stawał się agresywny, ponieważ tylko tak potrafił się odblokować.

Jednak nic nie zmieniło jego uczuć do Ros.

Nic nie mogło ich zmienić i nigdy nie zmieni.

Podniósł butelkę z whisky i napełnił szklanekę.

Alkohol to jego najlepszy przyjaciel.

Pomagał mu zapomnieć - a przecież właśnie tego pragnął.

Tyle tylko że nawet w chwilach, gdy jego mózg znajdował się w stanie zamroczenia, ciągle tkwił w nim ból oraz przeczucie jakiegoś nieszczęścia, choć nie pamiętał, skąd się brało.

Czasami wydawało mu się, że powinien sobie przypomnieć.

Naprawdę powinien pamiętać wszystko...

Kiedy o trzeciej ponownie odezwał się dzwonek u drzwi, pomyślał od razu, że wraca policjant.

Zastanawiał się, czy by go nie zignorować.

Ale ktoś uparcie dzwonił, i tylko po to, by pozbyć się nieprzyjemnego hałasu, Brendan podszedł do domofonu.

- Kto tam?

- zapytał ze złością.

- "Western Daily Press".

Czy mogę zamienić z panem słówko, panie Newman?

- Jeśli chodzi o moją żonę, to nie.

Nie mam nic do powiedzenia na jej temat.

Nastąpiła krótka cisza, po czym bezbarwny głos stwierdził: - Nie, nie chodzi o pana żonę.

Chciałam przeprowadzić z panem wywiad.

O pana pracy.

Brendan poczuł ulgę - i satysfakcję.

Mgła w jego mózgu z lekka się rozwiała.

Automatycznie zerknął w lustro - pomięte spodnie, koszula z poprzedniego wieczora, bo tylko tę miał pod ręką.

Nie taki wizerunek pragnął prezentować publicznie.

- To nie jest najlepszy moment.

Może pani przyjść później?

- Wolałabym teraz, panie Newman.

Gonią mnie terminy.

Terminy.

Chryste, nie może jej puścić!

Jeszcze zmieni zdanie i nie wróci.

- W porządku.

Proszę mi dać minutkę.

Poszedł do sypialni, wyjął z szuflady odpowiednie na taką okazję koszulę i spodnie, następnie uczesał włosy.

Nie miał czasu na golenie.

Na szczęście kilkudniowy zarost był teraz w modzie.

Wrócił do domofonu.

- Dobra, otwieram.

Widząc, jak reporterka wchodzi po schodach, stwierdził, że jest młoda i wcale niebrzydka.

Wprawnym okiem ocenił pociągłą, nieco dziecięcą twarz z kręconymi włosami, sięgającymi ramion; luźna, lniana marynarka i krótka spódniczka, spod której wyłaniały się zgrabne nogi.

Był zadowolony, że się przebrał.

Uśmiechnął się do dziewczyny, zupełnie zapominając o kacu.

Luz i profesjonalizm zajęły jego miejsce, a urok osobisty zaczął promieniować z Brendana.

- A więc znalazła mnie pani.

Większość moich gości rezygnuje na pierwszym piętrze.

Miło mi, Brendan Newman.

- Sheena Ross.

Dziękuję, że mnie pan wpuścił, i przepraszam, jeśli sprawiłam panu kłopot.

- Ależ wcale nie - zaprzeczył, nie pamiętając swoich poprzednich słów.

- Napije się pani kawy?

- Dziękuję, z ochotą.

- Rozglądała się z ciekawością wprawnym okiem.

- Ładne mieszkanie.

Wspaniały widok.

- Niezłe, prawda?

- Szukał filiżanek.

O dziwo, znalazł dwie, czyste, na zlewozmywaku.

- Cukier?

Mleko?

- Nie, dziękuję, tylko czarną.

- Porozmawiamy tutaj, czy może przejdziemy do pokoju?

- Tu będzie dobrze.

- Postawiła torebkę na stole kuchennym, wyjęła z niej notatnik i długopis, a także mały kieszonkowy magnetofon.

- O czym mamy rozmawiać?

- zainteresował się Brendan, stawiając przed nią filiżankę z kawą,

- Mam zamiar zrobić cykl o lokalnych osobistościach.

- Przeszło jej to gładko.

Kiedy się przebierał, obmyśliła plan.

- A dlaczego wybrała pani właśnie mnie?

- Jest pan ważną osobą w lokalnym radiu.

I, proszę wybaczyć śmiałość, jest pan bardzo interesującym człowiekiem.

- Zamilkła, rzucając mu porozumiewawcze spojrzenie.

- Tak wielu sławnych ludzi po głębszym poznaniu wychodzi na nudziarzy.

Roześmiał się, połechtany pochwałą.

- Tu ma pani rację, coś o tym wiem!

- A więc, nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że zadam panu kilka pytań?

Brendan usiadł naprzeciwko niej.

- Proszę strzelać.

- Jak znalazł się pan w radiu?

Był pan dziennikarzem?

- Ja?

Nie, brakowałoby mi cierpliwości.

Byłem muzykiem, grałem na saksofonie.

Stacja radiowa chciała zrobić seryjny program o jazzie.

Znałem producenta.

Zapytał mnie, czy nie chciałbym wystąpić w programie jako prezydent.

- I od razu odniósł pan sukces?

- Mniej więcej.

Łatwo przychodziło mi mówienie.

I słuchacze chyba mnie lubili.

Program został przedłużony, aż w końcu na stałe zagościł na antenie, i zanim się obejrzałem, dostałem własną audycję.

- Tak myślałam.

Zresztą w naszych archiwach mamy wiele dokumentów potwierdzających pański sukces, panie Newman.

- Proszę mówić mi Brendan.

- Brendan.

Musiałam jednak sprawdzić, czy wszystkie fakty się zgadzają.

A teraz, jeśli można, chciałabym zadać jeszcze kilka pytań.

Jak myślisz, co jeszcze przekonało do ciebie słuchaczy?

Brendan zaczął się zastanawiać.

- Że mówiłem to, co myślałem, tak przypuszczam.

Nawet jeśli wydawało się to nieco szokujące.

Lubię czasami obrażać świętości.

Ludzi bawi, kiedy się ich szokuje, prawda?

Mówią: "Lubię słuchać Brendana Newmana, bo nigdy nie wiadomo, co nowego wymyśli".

Roześmiała się, nie przestając szybko notować.

- Czy uważasz, że jesteś atrakcyjny?

Symbol seksu?

- Ja?

- Brendan oparł się na krzesło, przybierając pozę fałszywej skromności.

- A co we mnie atrakcyjnego?

- Powiedziałabym, że wiele, i z pewnością nie ja jedna tak uważam.

Czy naprawdę nie sądzisz, że jesteś przystojny?

- Nigdy nie zastanawiam się nad swoim wyglądem.

To sprawa powierzchowna, jak mawiała moja matka.

- Nie każdy potrafi dotrzeć głębiej.

Czy kobiety nie mówiły ci, że im się podobasz?

- No cóż, rzeczywiście.

Mógłbym ci opowiedzieć historyjkę albo dwie...

- Gładko przerzucił się na jedną ze swoich anegdot.

Dobrze się bawił.

W trakcie wspomniania wspaniałych, minionych dni zapomniał o niedawnym złym nastroju.

Tak się rozluźnił, że nie zauważył, kiedy Sheena skierowała rozmowę na prawdziwy cel swojej wizyty.

- Twojej żonie musiało być ciężko, biorąc pod uwagę te wszystkie zapatrzone w ciebie kobiety?

- Ros?

Dała sobie z tym radę.

- To znaczy, że jej to nie przeszkadzało?

- Uważała, że potwierdza to tylko jej dobry gust, który, oczywiście, miała.

- Mrugnął do reporterki żartobliwie.

- Więc nie z tego powodu rozbiło się wasze małżeństwo?

- Nie, nie z tego powodu.

- Natychmiast powrócił ból, niszcząc dobre samopoczucie.

- Nie musimy rozmawiać o Ros, prawda?

- Mam wrażenie, że nasi czytelnicy będą tym zainteresowani.

W końcu była szczęściarą, bo dostała ciebie na męża.

Z pewnością wiele dziewcząt jej zazdrościło.

- Ale nie ona.

- Nie rozumiem?

- Ona nie uważała, że jestem dla niej wystarczająco dobry - wyznał.

- Dlatego właśnie nie bardzo mam ochotę o niej mówić.

- Ależ to pokazuje inną stronę twojej osobowości.

A poza tym...

Słyszałam, że zaginęła.

Co o tym myślisz?

Brendon zaczął się mieć na baczności.

- Powiedziałem ci, nie chcę rozmawiać o Ros.

- Na pewno ci na niej zależy.

Nie ciekawi cię, co się z nią stało?

- Kto ci powiedział, że mi na niej zależy?

- Och, panie Newman.

Był pan jej mężem.

Nie da się tak łatwo wyrzucić kogoś ze swojego życia.

Zwłaszcza że mogło ją spotkać coś strasznego.

- Na przykład co?

- Założmy - zaczęła Sheena matowym głosem - że ktoś ją zamordował.

Obserwowała go; zauważyła, że jego twarz się zmienia, zobaczyła, jak w oczach pojawia się panika, pierwsze krople potu zbierają się na czole.

Przez sekundę Brendan nie panował nad wyrazem twarzy, odwrócił się, by sięgnąć po papierosa.

- Kto mówi, że została zamordowana?

- Tak sądzi jej siostra.

A także jej chłopak.

- Pieprzony Mike Thompson!

Rozmawiałś z nim?

- Szczerze mówiąc, tak...

- Szczerze mówiąc!

Chyba kpisz!

Po to tu przylazłaś, tak?

- Niezupełnie.

Ja...

- Oczywiście, do cholery!

Wcale nie robisz żadnego artykułu na mój temat, prawda?

Kto zresztą by robił?

Chcesz gadać o Ros, o cholernej Ros!

I pewnie myślisz na dodatek, że to ja ją zabiłem?

- Panie Newman...

Brendan...

- Była dziwką, pieprzoną kurwą!

- wrzeszczał.

Wstał, kompletnie wytracony z równowagi.

- Wiesz, o czym mówię?

Naturalnie, że wiesz.

No więc taka była Ros i jej kaprysy.

Uwierz, że sama się o to prosiła.

A teraz wynoś się stąd, zanim nie skończysz tak jak ona!

- Dobrze Brendan, nie trzeba się tak denerwować!

- Sheena starała się go ułagodzić, ale z jej twarzy odpłynęła cała krew.

Wsadziła do torby notatnik i długopis, w tym czasie mężczyzna pochwycił magnetofon.

- Zabieram go.

No już, wynocha!

- Z hukiem otworzył drzwi.

Starając się zachować przynajmniej pozory spokoju, Sheena wyciągnęła rękę.

- Proszę zwrócić mi moją własność!

- Jeszcze co!

Zjeżdżaj stąd, bo zaraz...

Wyszła.

Brała udział w wielu nieprzyjemnych rozmowach, ale nigdy w tak niesmacznej.

- Moja dyrekcja porozmawia z panem - zawołała ze schodów, kiedy znalazła się w bezpiecznej odległości.

- Niech pan nie myśli, że ujdzie to panu na sucho!

- Dziwka!

- krzyknął za nią.

- Głupia, wścibska dziwka!

Trzymaj ten swój ciekawski nos z daleka ode mnie.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi na dole i odgłos ostro ruszającego samochodu.

Wrócił do mieszkania i grzmotnął magnetofonem dziennikarki o ścianę.

Głupia cipa, nigdy nie użyje kasety, a jeśli coś o nim napisze, to zaskarzy tę śmierdzącą gazetę.

Napełnił szklankę czystą whisky i wypił, jakby to była woda.

Znowu bolała go głowa, a żołądek protestował.

Powoli mijало wzburzenie, a na jego miejscu pojawiła się ciemność, wielka kula strachu.

A więc nie tylko policja myśli, że Ros nie żyje.

Gazety też coś wywęchały.

I jaki wspaniały temat!

Ros Newman, była żona prezentera radiowego - przegranego prezentera radiowego.

Wszystko tam opiszą, każdy szczegół.

Nie oszczędzą mu niczego.
Już widział nagłówki, zdjęcia, całe cholerne wydanie.
Znowu nalał sobie whisky, ale zupełnie mu nie pomagała.
Wręcz pogłębiała depresję, napełniając go wstrętem i nienawiścią do samego siebie.
Był zerem, bezwartościowym śmieciem.
Właśnie tak go nazwali w radiu przed wyrzuceniem.
Teraz cały świat się dowie, jak skopał własne życie - i jeszcze zarzucą mu morderstwo.
Nie wiedział, co jest gorsze, zresztą i tak miał wszystkiego dosyć.
Ze szklanką w ręku przeniósł się do pokoju gościnnego, otworzył następną butelkę whisky i usiadł na kanapie, obejmując dłońmi czoło i zastanawiając się nad swoim parszywym życiem.
Miał wszystko - pieniądze, karierę, piękną żonę - i pozwolił, żeby przeleciało mu to między palcami.
Bogowie podarowali mu tak wiele, a on, co z tym zrobił?
Zmarnował, odrzucił.
Jego kariera skończyła się, a Ros nie żyła.
I natychmiast pojawiły się sępy.
Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć.
Gdyby tylko pamiętał, co się wydarzyło, kiedy ostatni raz widział Ros.
Ale nie pamiętał.
Zatrute alkoholem komórki mózgowe odmawiały współpracy.
Otaczała je szara chmura.
Może wcale nie chciał pamiętać.
Jednak z pewnością już niedługo będzie musiał sobie przypomnieć rzeczy, o których wolałby zapomnieć.
Popołudnie przeszło w wieczór, światło dnia uciekło w noc.
Czerń zaczynała oplatać miasto.
Nagle Brendan poczuł, że nie zniesie samotności.
Nie tej nocy - już nigdy.
Wstał, potrącając stopą butelkę.
Whisky rozlała się na dywan, ale nawet tego nie zauważył.
Założył kurtkę i wyszedł, nie dbając o zamknięcie za sobą drzwi.
Przygłuszone odgłosy miasta docierały do jego uszu, miękko i z daleka.

Szedł jak pogrążony we śnie, ale to nie był sen, ale koszmar, koszmar, który nigdy go nie opuści.

Przed nim pojawił się wiszący most, mistrzowskie dzieło inżynieryjne Brunela, nad rzeką Avon wpływającą do morza.

Most był oświetlony, wielki - roziskrzony łuk odcinający się od czarnego nieba.

Brendan wszedł na chodnik obok jezdni i dotarł prawie do przeciwległego brzegu, gdzie Leigh Woods schodziły do rzeki.

Potem zawrócił do Clifton i oparł się o balustradę.

Po jego prawej ręce światła reflektorów odbijały się w wodzie, pod sobą miał jedynie atramentową czerń.

Chyba był odpływ, bo rzeka wyglądała jak cieniutka strużka z połaciami błota po bokach.

Nieważne.

Nie potrzebował wody.

Upadek z takiej wysokości wystarczy.

Powoli, ale zdecydowanie wdrapał się na balustradę.

Czuł się prawie spokojny, przekonany, że robi to, co należy.

Nic trudnego.

Jeden krok, upadek, może krótkotrwały strach, kiedy powietrze przeleci mu koło uszu, a potem po wszystkim.

Nigdy więcej niepowodzeń, bólu i poczucia winy.

Gazety będą mogły pisać o nim, co im się będzie żywnie podobało.

Nieważne - przynajmniej dla niego.

Stał, wpatrując się w czarną otchłań.

Nagły krzyk wyrwał go z transu.

Spojrzał w stronę, z której dochodził krzyk, i zobaczył, że ktoś biegnie w jego stronę, coś wołając.

Nie rozumiał słów, ale wiedział, że nie może czekać, by się dowiedzieć.

Nikt go nie zatrzyma, nikt więcej nie pokrzyżuje jego planów.

Podjął decyzję i choć raz nie zmieni jej.

Zebrał się w sobie.

- Przepraszam, Ros - szepnął.

Potem skoczył.

Rozdział piętnasty.

Mike usłyszał wiadomość, kiedy przygotowywał sobie mleko z płatkami kukurydzianymi przed wyjściem do szkoły.

Nieznany mężczyzna rzucił się z mostu poprzedniej nocy.

Policja wyłowiła ciało, ale nie ustaliła jeszcze tożsamości topielca.

Mike jadł śniadanie, prawie nie rejestrując tego, co usłyszał.

Takie wypadki nie należały do rzadkości.

Ludzie skaczą z tego mostu z zadziwiającą regularnością.

Czasami przyjeżdżają tu w tym celu z daleka.

Pokręcił głową, nie rozumiejąc przyczyn, dla których ktoś chce odebrać sobie życie, a zwłaszcza w ten sposób.

Kiedyś, wspinając się po górach, spadł; ciągle jeszcze pamiętał straszliwy lot i świst powietrza w uszach, a potem twarde lądowanie, zatykające dech w piersiach.

Jego lot był krótki w porównaniu ze skokiem z wiszącego mostu.

Nigdy by tego nie zrobił.

Nie zawsze samobójcy umierają.

Czasami upadają w nadbrzeżne zarośla lub zaczepiają się o barierkę, czasami godzinami leżą na błotnistych mieliznach, zanim ktoś ich zauważy, czasami toną.

Gdybym miał się zabić, uderzyłbym z dużą prędkością w jakiś nieruchomy obiekt, pomyślał.

Ale, mimo starań, nie potrafił sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek znalazł się w takim stanie, by popełnić samobójstwo.

Nie potrafił identyfikować się z tymi nieszczęśnikami.

Biedni głupcy.

Kłopoty pieniężne, zranione serce, kobiety, nic nie jest warte ludzkiego życia.

Z czasem każdy problem jakoś się rozwiązuje.

Wydaje się, że sytuacja jest bez wyjścia, a za pięć lat nikt już nie pamięta, o co było tyle krzyku.

Wyłączył radio, po czym zajął się pakowaniem plecaka, do którego włożył chrupki, batoniki czekoladowe, pasztet - wyglądający na ubiegłoroczny - oraz termos z kawą.

Nie uśmiechała mu się perspektywa spędzenia całego dnia w towarzystwie dwunastoletnich wyrostków.

Taką miał pracę, zdawał sobie z tego sprawę, ale dzisiaj nie miał na to ochoty.

Tak naprawdę najbardziej chciał spędzić ten dzień z Maggie.

Maggie nie włączyła rano radia, tak więc nic nie wiedziała o mężczyźnie, który skoczył z mostu.

Obudziła się późno i właśnie zamierzała zwlec się z łóżka, kiedy uprzytomniła sobie, że nie ma po co.

Mike pojechał na szkolną wycieczkę, ona nie miała żadnych planów - nie wiedziała, co jeszcze może zrobić dla siostry.

Tym bardziej że sprawa odnalezienia Ros zepchnięta została na dalszy plan.

Od chwili, gdy Mike zadzwonił do niej na Korfu i powiadomił ją o zaginięciu siostry, nie myślała o niczym innym.

Nagle strach o Ros wypalił się, wyczerpał, za to myśli Maggie krążyły wokół Mikea, a jej ciało pamiętało z niezwykłą ostrością, jak się czuła poprzedniego wieczoru, kiedy całował ją.

Oczywiście, nadal miała poczucie winy i pamiętała, że ani ona, ani on nie są wolni.

Jednak mimo wszystko ta świadomość nie pomniejszała podniecenia i oczekiwań, które gdzieś się w niej tliły.

Pragnęła zobaczyć Mikea i nie mogła przestać wyobrażać sobie jego twarzy.

Przez wszystkie te lata, kiedy próbowała uratować swoje małżeństwo, zapomniała, co to znaczy być zakochaną.

Teraz całe jej ciało, każdy nerw dobitnie jej to przypominał.

I choć wiedziała, że nie mają przed sobą przyszłości, zupełnie bez sensu była szczęśliwa.

Leżała spokojnie, napawając się tym szczęściem i starając się nie myśleć o rzeczywistości, w której ona i Mike nie mają żadnych perspektyw.

W tej chwili Ari znajdował się wiele mil stąd, a cień siostry jakby się gdzieś schował.

Gdyby Mike był tu teraz z nią, gdyby miała spotkać go za kilka godzin, postąpiłaby tak samo jak poprzedniego wieczoru, zrezygnowałaby ze szczęścia.

Ale Mikea z nią nie było.

Przynajmniej przez chwilę może pomarzyć.

Zamknęła oczy, wspominając dotyk jego ust na swoich wargach, emocje targające jej ciałem.

Otuliła się ramionami, udając, że to ręce Mikea.

Wkrótce, mimo braku planów, będzie musiała wstać i porzucić słodkie złudzenie.

Może zadzwoni do Ariego, a przynajmniej spróbuje się do niego dodzwonić - jest niedziela, więc prawie na pewno jest w domu w Kassiope.

Żadna kobieta, nawet Melina, nie zdoła zmienić jego przyzwyczajień; nawet perspektywa potajemnej i gorącej miłości nie zrekompensuje niezadowolenia matki.

Jednak jeszcze nie była gotowa, by zadzwonić.

Niech słodki sen potrwa trochę dłużej...

Nareszcie zrelaksowana po tygodniu stresów i napięć, Maggie ponownie zaczęła zapadać w lekką drzemkę.

Śniła o Mikeu.

Stał na ścieżce, prowadzącej przez gęsty las.

Wyciągał do niej ramiona i uśmiechał się.

- Idę, kochanie - powiedziała.

Ale gałęzie drzew uderzały w nią, a jej stopy zapadały się w lotnym piasku.

Mimo starań, nie mogła do niego dotrzeć.

"Czy to nie wspaniałe, że wreszcie mamy piękny dzień?"

Zjemy lunch na powietrzu.

W zasadzie możemy pójść na całość i zrobić barbecue - zaproponowała Dinah.

- Jak myślisz, Don?

Don Kennedy uśmiechnął się pobłaźliwie.

Osobiście nie lubił jadać na zewnątrz.

Wolał porządny posiłek, konsumowany spokojnie i przy stole, z dobrym winem w wykwintnych kryształowych kieliszkach; nie lubił, gdy nagła bryza przeszkadza mu w rozkoszowaniu się cygarem, ale nie chcia zniechęcać Dinah, która potrafiła po dziecięcemu wpadać w entuzjazm, a on uważał to za czarujące.

- Jestem pewien, że będzie przyjemnie - zgodził się pogodnie.

- Decyzja należy do ciebie, Dinah, tylko nie każ mi pilnować grilla.

To, co przyrządę, zawsze okazuje się niejadalne, a nikt nie przepada za spalonymi kiełbaskami czy nie dopieczonym kurczakiem.

- Nie zrobimy ani kiełbasek, ani kurczaka, ale steki.

A Steve potrafi je doskonale przyprawić - rzuciła Dinah z radością.

- A więc ustalone.

Poproszę panią Burnt, żeby zajęła się przygotowaniami i zrobiła ciekawe sałatki.

Naprawdę uważam, że skoro mamy taką szansę, powinniśmy wykorzystać ten piękny dzień.

Poszła poszukać gospodyni, poruszając się zwinnie i szybko, w sposób, który zawsze niezmiernie mu się podobał.

Jak gazela, myślał, szczupła, jasna gazela, na którą patrzy się z przyjemnością, ale którą łatwo zranić.

Gdyby tylko potrafił obronić ją przed okrucieństwem życia!

Nigdy nie skrzywdziłby jej, tak jak to robił Van, nigdy nie zrobiłby niczego, co sprawiłoby jej ból.

I gołymi rękami udusiłby każdego, kto próbowałby to uczynić.

Ale nie do niego należała opieka nad nią, choć tego pragnął.

Wiedział, że go lubi, a po śmierci Vana coraz bardziej się na nim opierała.

Ale na tym się kończyło.

Nigdy nie zachęcała go do zbliżenia, a on nie naciskał w obawie, że przekroczy niewidzialną granicę i zniszczy ich przyjaźń.

Nie była ona ani tak zażyła, ani tak bliska, jak by chciał, ale i tak cenił ją sobie ogromnie.

Lepiej niech Dinah będzie jego drogą przyjaciółką, niż w ogóle miałoby jej nie być.

Na podjeździe zapiszczały opony.

Don wyjrzał przez okno i zobaczył samochód Stevea.

Wykrzywił twarz niezadowolony.

Miał nadzieję, że nieco dłużej zostaną z Dinah sami.

Steve pojechał po niedzielną prasę, ale ponieważ nie było go dość długo, Don pomyślał, że wybrał się dalej niż do najbliższego kiosku, i miał nadzieję, że ta nieobecność potrwa dłużej.

Towarzystwo Stevea zawsze wprawiało go w lekką irytację.

Dinah poświęcała synowi całą uwagę, zapominając o reszcie świata, a Don miał wrażenie, że jeszcze bardziej się od niego oddała.

Raczej nie lubił Stevea, ale był na tyle uczciwy, iż podejrzewał, że bierze się to z zazdrości.

Gdyby nie pojawił się tak szybko po śmierci Vana, Don miałby czas na utrwalenie swojej pozycji podpory i powiernika.

Mimo tych uczuć uważał za małoduszność, zabranianie Dinah być szczęśliwą z powodu odnalezienia syna, a zresztą jest jak jest i jego ukryte pragnienia nie zmieniają sytuacji.

Steve był tu, wrócił Dinah do życia, i to pod każdym względem - i w interesach, i prywatnie.

Żadne pobożne życzenia nie sprawią, że zniknie.

Don zastanawiał się właśnie nad rolą Stevea w wychodzeniu Dinah z żałoby po Vanie, kiedy weszła do pokoju z zaróżowionymi policzkami, radośnie ściskając zawinięty w celofan bukiet.

- Patrz, Don, czyż nie są piękne?

Steve kupił je dla mnie po drodze.

Czy to nie słodkie z jego strony?

- Bardzo - zgodził się, myśląc, że Steve doskonale wie, jak sprawić matce przyjemność.

W domu zawsze stało mnóstwo kwiatów, gotowych kompozycji dostarczanych przez najlepsze kwiaciarnie z najbliższej okolicy, i mało kto wpadłby na pomysł, żeby przy okazji tankowania samochodu kupić na stacji tani bukiet.

Ale Steve pomyślał o tym i Dinah wyraźnie się to spodobało.

- Czy możemy spędzić pięć minut sami?

- zapytał.

- Chciałbym porozmawiać na temat sprawy z Reubensem.

- Och, tak...

Tylko wstawię kwiaty do wody, żeby nie zwiędły.

Ułożę je później.

Na tych stacjach jest zawsze strasznie gorąco i pełno kurzu, to tak jakby Steve je uratował!

- Roześmiała się.

Za sekundkę wracam, Don.

355 Znowu zniknęła.

Słyszał, jak rozmawia z synem, szukając wazonu, jej głos ożywiony był specjalną radością, która niezmiennie się pojawiała w jego obecności.

Gorączkowo pragnął, żeby Steve nie przeszkodził im w krótkiej chwili sam na sam - wiedział, że na lunch zaproszeni są Jayne i Drew.

Ku jego uldze Dinah wróciła sama.

- W porządku, co chciałeś mi powiedzieć, Don?

- Zrobiłem pobieżny kosztorys.

Czeka nas sporo wydatków.

Oczywiście, przeanalizujemy to na walnym posiedzeniu, ale już teraz się martwię.

Przy takich kosztach nie możemy popełnić błędu.

Uważam, że dział marketingowy powinien najpierw dobrze rozeznaczyć rynek.

- Nie ma na to czasu, Don.

Musimy natychmiast zaczynać produkcję.

- Niepokoję się, że na półrocze wyjdziemy z kiepskim wynikiem finansowym.

Duże zamówienia niekoniecznie przekonają dyrekcję banku, że nie podejmujesz poważnego ryzyka.

Poza tym, czy jesteś pewna, że możemy tak szybko zwiększyć produkcję?

Należałoby skonsultować się z działem produkcji.

Rozmawiałaś z nimi?

- Jeszcze nie, ale dam sobie rękę uciąć, że zrobią wszystko, co w ich mocy.

- Musisz z nimi to ustalić, Dinah, i to szybko.

- Zrobię to jutro, przyrzekam.

Ale zależy mi też na zachowaniu tajemnicy.

Im mniej ludzi wie o moich planach, tym lepiej.

Nie chcę, by Reubens albo ktokolwiek inny zwęszył pismo nosem.

Jeśli w firmie jest szpieg, musimy wszystko przeprowadzać w jak najmniejszym gronie.

Kiedy mówiła "szpieg", jej twarz zachmurzyła się; Dinah była zmartwiona i zniesmaczona.

- Ciągle nie wiesz, kto to jest?

- spytał.

- Nie, ale Steve pracuje nad tym.

Jestem pewna, że wkrótce to odkryje.

- Steve już to odkrył.

Zajęci rozmową nie zauważyli, że stanął w drzwiach.

Wszedł do pokoju, ubrany jak zawsze z niewymuszoną elegancją.

Miał na sobie niebieską koszulę i drogie dżinsy.

Okulary Rayban wystawały mu z kieszeni koszuli i choć ostatnio pogoda nie sprzyjała opalaniu, był ogorzały i wypoczęty, a jasne włosy wskazywały na to, że niechybnie ostatni tydzień spędził gdzieś na słonecznej plaży.

- Dowiedziałeś się, kto przekazał dane o naszej kolekcji?

- zdziwił się Don.

- Tak mi się wydaje.

- W takim razie, kto to jest?

- Wolałbym w tej chwili tego nie zdradzać.

Muszę sprawdzić jeszcze kilka szczegółów.

- Czy nie możesz przynajmniej pobieżnie poinformować nas, czego się dowiedziałeś do tej pory?

- Wolałbym z tym poczekać.

- Steve zerknął na matkę.

- Nie spodoba ci się to.

Jeśli mam rację, to jest to bardzo niedobra wiadomość.

Dlatego właśnie chcę być pewny, zanim zacznę kogoś oskarżać.

Dinah zbladła.

- To znaczy...?

- Mówiła słabym głosem.

- Proszę, nie naciskajcie na mnie na razie.

- Ale, Steve, musimy to wiedzieć - upierał się Don.

- Czeka nas dyskusja na temat pomysłu Dinah i warto by wiedzieć, komu możemy zaufać, a komu nie.

Na podjeździe zatrzymał się samochód.

Cała trójka spojrzała w stronę okna i napięcie prysło.

Jayne i Drew zjawili się na drinka przed lunchem.

Steve ruszył do drzwi, w których zatrzymał się na moment, opierając rękę na framudze.

Jego błękitne oczy zwięzły się, na opalonej twarzy zagościł wyraz niemal tryumfu.

Po raz pierwszy udało mu się zaprowadzić ich tam, gdzie chciał.

Dinah, oczywiście, podchodziła do niego z otwartością, ale nawet ona stawała się ostrożna, kiedy w grę wchodziły sprawy firmy.

A Don Kennedy...

Don go nie lubił.

Steve to wyczuwał i starał się jak najbardziej spowolnić proces jego wchodzenia w interes.

Teraz zaczynał odczuwać potęgę władzy.

Uderzała mu do głowy.

- Nie sądzę, żebyś musiał się o to martwić, Don - rzucił gładko.

- Jeśli ja mam rację, plany Dinah są bezpieczne.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Powiedzmy, że wiem, i poprzestańmy na tym.

Wyszedł z pokoju, kierując się w stronę drzwi frontowych, by przywitać gości.

Dinah odwróciła się do Dona.

Drżała.

- Kogo on miał na myśli, Don?

Kogo...?

- Nie wiem.

Musimy czekać, aż zdecyduje się nam to wyjawić.

- Nie myślisz, że to...

Ros...?

- Była oszołomiona.

- Padła już taka sugestia, ale po prostu nie mogę uwierzyć, że ona byłaby zdolna do czegoś takiego.

I skąd Steve wie, że nasze plany nie przedostaną się do konkurencji, jeżeli szpieg nadal u nas pracuje?

Jedynie Ros jest nieobecna.

- Nie ma sensu spekulować.

- Don dotknął jej ramienia.

- Obawiam się, że nie pozostaje nam nic innego, jak zaufać twojemu synowi.

- Chyba masz rację.

- Dinah zastosowała swoją zwykłą taktykę odpychania od siebie nieprzyjemnych spraw.

Na zewnątrz Steve witał się z Jayne i Drewem.

Pocałował kobietę w policzek i wziął za ramię, nachylając się do niej, by coś powiedzieć.

- Nie uważasz, że...?

- zaczęła nagle Dinah.

- Że co?

- Że Steve i Jayne są...

- Zawahała się, lekko marszcząc czoło.

- Czasami wygląda na to, że są ze sobą bardzo blisko.

Don wzruszył ramionami, nadal rozważając sprawę szpiega.

- Na pewno nie.

Przecież ona ma męża.

- To nie zawsze powstrzymuje ludzi przed...

- Zdaję sobie z tego sprawę, Dinah - powiedział, lekko już zniecierpliwiony.

- Ale jestem przekonany, że taki młody i przystojny mężczyzna jak Steve nie musi uganiać się za kobietą zamężną.

Poza tym nie narażałby...

- Przerwał, nie chcąc dokończyć zdania.

- Nie narażałby czego?

Don poszedł po swoją filiżankę z kawą, by ukryć nagłe zażenowanie.

Miał zamiar powiedzieć, że Steve nie narażałby na szwank swojego wizerunku, bo przecież Dinah mogłoby się to nie spodobać.

Straciłby swoje notowania.

Dzięki Bogu w porę urwał i nie wypowiedział tej nietaktownej uwagi, choć uważał, że jest słuszna.

- Jeśli już, to odniosłem wrażenie, że jest zainteresowany Ros - stwierdził.

Dinah natychmiast wyjaśniała.

- Wiesz, ja tak samo myślałam!

Ale teraz Ros...

Och, Don, czasami czuję się taka bezradna, jakbym znalazła się w pokoju pełnym luster, gdzie nic nie jest prawdziwe!

Czy ja jestem głupia?

- Nie, Dinah, to jest życie!

- Dlaczego to wszystko musi być takie przygnębiające?

Naprawdę straciłam już rozeznanie, komu można zaufać, a komu nie.

Popatrzył na nią, taką wspaniałą, a zarazem tak bezbronną, i poczuł skurcz serca.

- Dinah, zawsze możesz na mnie polegać.

Nagły uśmiech rozjaśnił jej twarz.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

- Tak, Don - powiedziała.

- Wiem, że tobie mogę zaufać.

Maggie, kiedy w końcu wstała i zjadła lekkie śniadanie, doszła do wniosku, że nie może dłużej odkładać rozmowy z Arim.

Linia była zajęta, ale ostatecznie udało jej się uzyskać połączenie - jednak odebrała teściowa.

- Ari?

Nie, nie ma go.

Wyłynął na łódce.

Może później...

- Powtórzysz mi, że dzwoniłam?

- Powtórzę.

- Głos teściowej brzmiał bardzo oschle i Maggie zaczęła się zastanawiać, z kim Ari wyłynął łódką?

Czy z Meliną?

Pomimo wszystko takie podejrzenia nadal sprawiały jej ból.

Po wypiciu jeszcze jednej filiżanki kawy stwierdziła, że resztę poranka poświęci na sprzątanie.

Podczas nieobecności Ros na sprzętach osiadła gruba warstwa kurzu, a do tej pory Maggie nie miała czasu na więcej niż zasłanie po sobie łóżka i pozmywanie brudnych naczyń.

Teraz, mając przed sobą wiele godzin, przygnębiająco samotnych, uznała, że najlepszą terapią na podły nastrój będzie doprowadzenie mieszkania do jego zwykłego, nieskazitelnego stanu.

Przebrała się w dzinsy i wygodną bluzkę, złożyła odkurzacz, wyszukała ściereczkę do kurzu oraz środek do polerowania i zabrała się do pracy.

Po godzinie parter domku świecił czystością i Maggie ruszyła do sypialni na piętrze.

Niestety, terapia nie przyniosła oczekiwanych rezultatów.

Maggie czuła się nieprzyjemnie porządkując rzeczy Ros.

Przypominało to o zaginięciu siostry.

Przychodziło jej na myśl, że popełnia coś w rodzaju świętokradztwa.

Czy Ros będzie jeszcze miała okazję ustawić te przedmioty według własnego gustu?

Maggie ze zgrozą pomyślała, że chyba nie, i podwoiła starania, by nigdzie nie została nawet odrobina brudu, żaden kłęb kurzu.

Skończyła sprzątać i poszła po świeże kwiaty do ogrodu, ale dzwonek telefonu przywołał ją z powrotem.

Może to Ari, pomyślała z nadzieją.

Wrócił już i oddzwania.

Jednak ze słuchawki nie dochodziły znajome trzaski, a głos, bez wątpienia męski, nie należał do jej męża.

- Ros Newman?

- Nie.

Jestem jej siostrą, Maggie Veritos.

- Czy mógłbym rozmawiać z Ros Newman?

- Maggie odniosła wrażenie, że rozmawia z londyńczykiem.

- Przykro mi, ale wyjechała.

Może ja w czymś pomogę?

- Raczej nie.

Chciałem skontaktować się z Ros, a raczej to ona tego chciała.

Nazywam się Des Taylor.

Czy powtórzy jej pani, że dzwoniłem?

I że zostanę w Londynie przez tydzień?

Maggie zawahała się, nie wiedząc, czy powinna powiedzieć temu mężczyźnie, że Ros nie tyle wyjechała, co zaginęła, ale postanowiła tego nie robić.

Nie miała w tej chwili siły na tłumaczenie wszystkiego.

- Czy ona wie, jak się z panem skontaktować?

- upewniła się.

- Tak, chociaż może nie mieć mojego numeru telefonu.

Zapíše go pani?

- Maggie sięgnęła po ołówek i zapisała numer, jak sądziła, londyński.

- O czym chciała z panem porozmawiać?

- zapytała, nie chcąc tracić tego nowego kontaktu.

Jednak Des Taylor nie był rozmowny.

- To sprawy między mną a Ros - odpowiedział.

Maggie poczuła, jak włosy stają jej dęba.

- Proszę...

- zaczęła ponaglać, ale mężczyzna już się rozłączył.

Stała przez chwilę pogrążona w zadumie.

Oczywiście, ten telefon nie musiał mieć nic wspólnego ze zniknięciem Ros.

Ale też mógł...

No cóż, przynajmniej dostała numer telefonu.

Porozmawia z Mikeem i razem zadecydują, czy należy skontaktować się z tym Taylorem.

W Luscombe Manor zakończył się już lunch, ale całe towarzystwo pozostało na zewnątrz, korzystając z przyjemnej pogody.

Dinah i Don siedzieli na huśtawce, popijając mrożoną kawę i gawędząc, a Steve, Jayne i Drew przysiedli na leżakach, leniwie kartkując niedzielne gazety.

Po kilku minutach Steve, zmęczony bezczynnością, wstał.

- Idę popływać.

Na te słowa Jayne natychmiast się podniosła.

- Chyba pójde z tobą.

- Zerknęła na męża.

- Drew?

Ten ospale przekreślił się na brzuch.

- Idźcie.

Nie lubię wody.

Jayne uśmiechnęła się.

Dokładnie takiej odpowiedzi się spodziewała.

- Nikt nie mógłby posądzić cię o nadmiar energii, prawda?

- rzuciła z rozbawieniem w głosie.

- Albo o to, że cię krępuję - odgryzł się, nawet nie podnosząc powiek.

Znowu się roześmiała.

Ich związek naprawdę układał się znakomicie.

W gruncie rzeczy całe jej życie jest niczego sobie.

- Miłego odpoczynku.

Steve czekał na nią na dróżce.

Przywarła do niego ramieniem, kiedy tylko gęste krzewy zasłoniły ich przed wzrokiem Dinah.

Spojrzał na nią na wpół zdumiony, na wpół poirytowany, i spokojnie, ale stanowczo odsunął ją od siebie.

Jayne zaczerwieniła się, jednak milczała.

Zaczynała zdawać sobie sprawę, że choć ich romans jest bardzo namiętny, to nie może być pewna kochanka.

No cóż, niech i tak będzie.

Nie podobało jej się, że nie jest w stanie kontrolować ani jego, ani ich związku, ale właśnie to ją pociągało.

Gdyby wszystko układało się po jej myśli, nie czułaby wyzwania - a uwielbiała je.

Oprócz tego...

Nie wydaje mi się, żebym pragnęła kogoś tak bardzo, jak jego, pomyślała.

Biła od niego siła, którą czuła, choć szli oddaleni od siebie.

W końcu go dostanę, o tak!

- Jayne, muszę z tobą porozmawiać - odezwał się.

- Och?

O czym?

- Później - rzucił.

- Najpierw się wykąpię.

Ogromny basen był otoczony ośmiobocznym, kamiennym pawilonem, który mieścił w sobie nie tylko specjalne pomieszczenia z instalacją, ale także przebieralnię, prysznic i solarium.

Jayne zostawiała swój kostium w przebieralni - jako prawa ręka Dinah często gościła w tym domu, więc miało to swój sens.

Teraz w różowym pokoju dla pań zdjęła białą sukienkę bez ramiączek i sięgnęła po kostium.

Wisiał na suszarce, gdzie sama go powiesiła po ostatniej kąpieli.

Przechodząc spojrzała w lustro - ciało białe i zmysłowe, piersi pełne i jędrne, zachęcająco wycięte biodra, szczupła talia i nieco zbyt umięśnione uda.

Jayne obróciła się bokiem i spod przymkniętych powiek krytycznie oglądała zaokrąglony brzuch i umięśnione pośladki.

Czyżby przytyła?

Bardzo prawdopodobne.

Czas na dietę i trochę ćwiczeń.

Najmniej uśmiechało jej się powrócić do stanu z młodości, kiedy wyglądała jak śliwka w cieście.

Mężczyźni lubią trochę ciała, bez względu na to, co twierdzą dyktatorzy mody, ale co za dużo, to za dużo.

Założyła kostium, jasnoczerwony w żółte kwiaty i liście w kolorze szmaragdowej zieleni, i ponownie spojrzała w lustro.

Lepiej, o wiele lepiej.

Kostium miał wszystkie możliwe dodatki poprawiające figurę, ale tak wszyte, że były niezauważalne.

Stanik podnosił i dzielił piersi, elastyczny materiał wygładzał niepożądane waleczki tłuszczu i utrzymywał wystające pośladki na miejscu.

Jayne upięła włosy w kok na czubku głowy, po czym sięgnęła po żółty ręcznik kąpielowy.

Następnie wsunęła stopy w złote pantofle i wyszła na zewnątrz.

Steve już pływał, tnąc ramionami turkusową powierzchnię w bezbłędnym kraulu.

Przez moment stała, przyglądając mu się, podziwiając atletyczną zręczność i napięcie mięśni na jego barkach, skrywające wielką siłę.

Nie знаła nic bardziej seksownego niż wspaniale pływający mężczyzna.

Natychmiast poczuła rozlewającą się w jej wnętrzu znajomą słabość, niezmiennie towarzyszącą oczekiwaniu na rozkosz.

Rzuciła ręcznik na szarą płytę, która obramowywała basen, stała przez chwilę z ręką na biodrze, palcami niemal dotykając miejsca, w którym budziło się pożądanie, ale Steve zignorował ją, perfekcyjnie wykonując przewrót na końcu basenu i płynąc z powrotem.

Usiadła i zanurzyła stopy w wodzie, która, choć podgrzana do odpowiedniej temperatury, dla jej rozgrzanego słońcem ciała była zimna.

Steve nadal nie zwracał na nią uwagi, więc ześliznęła się do wody, prychając, kiedy zanurzyła się cała.

Zacząła leniwie pływać motylkiem, robiąc wielkie koła.

Wiedziała, że nie dorówna mu w stylu pływania, nawet nie będzie próbowała, i wiedziała także, że nie należy przerywać mu ćwiczeń, zapraszając do wodnych igraszek.

W końcu do niej podpłynął; jego pięknie wygięte ramiona, bezlitośnie cięły wodę.

- W porządku - powiedział.

Oddech miał tylko trochę przyspieszony.

Oddech człowieka, który się rozgrzał, ale nie przetrenował.

- Teraz porozmawiamy.

Jayne poczuła w gardle lekkie pulsowanie.

- Mówisz bardzo tajemniczo - rzuciła.

- Tak?

- Podciągnął się na brzeg basenu, napinając mięśnie, a krople wody zaśliznęły na jego szerokich plecach.

- Ja jeszcze nie wychodzę - powiedziała, starając się kontrolować sytuację, ale w jej głosie słychać było jedynie rozdrażnienie.

- Pływaj, ja poczekam.

Zrobiła jeszcze jedno koło, świadoma, że jej styl daleko odbiega od mistrzowskiego; ale on i tak na nią nie patrzył.

Rzucił się na jedno z plastikowych łóżek do opalania, rozłożywszy szeroko ramiona, by słońce szybciej go osuszyło.

Jayne powoli podpłynęła do brzegu basenu, wspięła się po drabince i ruszyła w jego stronę.

- Już jestem.

- Usiądź.

- Leniwie przyciągnął drugie łóżko do swojego.

Podniosła ręcznik i najpierw wytarła nim twarz, a następnie owinęła się nim i usiadła.

Drżała z lekka, choć nie była pewna, czy z zimna czy z innego powodu.

Steve leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczami, z twarzą nieco od niej odwróconą.

Zaczął mówić pozornie niedbałym głosem, ale to nie zmniejszyło wrażenia, jakie jego słowa wywarły.

- Jayne, ja wszystko wiem.

Zamarła, jakby każdy jej nerw zacisnął niewidzialny sznur.

- Co wiesz?

- zapytała, udając brak zainteresowania.

- O tobie, kochanie.

- Steve, o czym ty mówisz?

- Ale już się domyśliła.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią.

Uśmiechał się kącikami ust, ale oczy pozostały zimne.

- Nie zgrywaj niewiniątka.

Wiem, co robiłaś.

- Steve...

- Ty jesteś wtyczką w Vandinie, prawda?

Zostałaś główną projektantką Dinah, ale to tylko przykrywka.

W rzeczywistości, moja droga, jesteś szpiegiem przemysłowym.

Nie potrafiła powstrzymać wyraźnego już drżenia.

Napinała mięśnie, by tego nie zauważył.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Co nieco poszperałem.

I nie musiałem się namęczyć.

Zacząłem od spisania listy podejrzanych i bardzo szybko przekonałem się, że jest krótsza, niż się początkowo spodziewałem.

Po pierwsze osoba szpiegująca musiała mieć dostęp do informacji na temat przyszłych planów.

W ten sposób odrzuciłem większość pracowników.

Następnie uznałem, że jest to ktoś, kto w Vandinie pracuje od niedawna.

Oczywiście, mogło się też zdarzyć, że długoletni pracownik nagle postanawia zdradzić firmę, ale większość asystentów Dinah pracuje już bardzo długo i wielokrotnie dowiedli swojej lojalności.

Dinah wie, jak zagwarantować sobie tę lojalność.

Całują ziemię, po której ona stąpa.

Następnie pomyślałem, że szpieg musi mieć jakieś inne kontakty ze światem mody.

Ty najbardziej pasujesz do tego obrazka, Jayne.

- Naprawdę?

- rzuciła chłodno.

- I myślisz, że ryzykowałabym swoją dobrze płatną posadę w znanej firmie dla jakiejś dopiero wschodzącej, jak Reubens?

Steve usiadł na łóżku okrakiem.

Promienie słońca odbijały się od jego brązowego ciała, ale tym razem nie oblała ją fala pożądania, a jedynie zimny strach.

- To właśnie mnie zastanawiało, przyznaję.

Więc zacząłem kopać.

I co odkryłem?

Naprawdę, chyba nie muszę tego mówić na głos.

Sądzę, że wiesz, co powiem.

- Ależ proszę, mów dalej.

- Dobrze, jeśli nalegasz.

Odkryłem, że jedna z osób, które w znacznym stopniu finansują Reubensa, ma nazwisko bardzo przypominające twoje.

Lance Peters - Browne.

Zbieg okoliczności?

Ogromny.

Peters - Browne nie jest tak znowu powszechnym nazwiskiem, prawda?

Nie odpowiedziała.

Słyszała, że szczeka zębami.

- Ojciec Drewa - rzucił Steve.

- To on się za tym kryje?

Właśnie dlatego zdecydowałaś się na ryzyko utraty pracy w Vandinie.

Miałaś w perspektywie o wiele więcej niż lukratywną posadę, gdyby Reubensowi się powiodło.

A pieniędzy, tak czy inaczej, miałabyś mnóstwo.

Prawdopodobnie liczyłaś na to, że zajmiesz pozycję, jaką ma Dinah.

Musiało cię to bardzo pociągać.

Różana przyszłość, że tak powiem.

Jayne mocniej otuliła się ręcznikiem.

Nie było sensu mu zaprzeczać.

Za dużo wiedział.

- A więc - odezwała się.

- Kiedy powiesz o mnie Dinah?

Nikły uśmiech wykrzywił mu usta.

Przekręcił się tak, że patrzyli sobie prosto w oczy.

- Nie wiem.

Jeszcze się nie zdecydowałem.

- Rany boskie!

Zrób to, i niech będzie po wszystkim!

- Wstała, zamierzając odejść.

Złapał ją za rękę.

- No, nie wiem.

Nie chcę przygnębiać Dinah.

Ona bardzo cię polubiła.

I tak jest już załamana tym, że ktoś ją zdradził; będzie gorzej, kiedy się dowie, że to ty.

Muszę poczekać na odpowiedni moment.

A poza tym myślę, że nie będzie już więcej przecieków.

Spojrzała na niego.

- Dlaczego jesteś tego taki pewien?

- Ponieważ, Jayne, musiałabyś być całkowitą idiotką, gdybyś dalej zamierzała przeciągać strunę.

Reubens nie odniósł na razie sukcesu, może nigdy go nie osiągnie.

Jeśli przestaniesz przekazywać im nasze plany, utkną na mieliźnie.

A w równej walce nie mają szans, zdusimy ich w zarodku.

Vandina wyrobiła sobie niepodważalną pozycję i reputację.

Jeśli jesteś głupia, Jayne, możesz skończyć z pustymi kieszeniami.

Ale nie sądzę, żebyś była głupia, wręcz przeciwnie.

- Miło wiedzieć, że masz o mnie dobre zdanie.

- Och, naturalnie.

Bardzo cię cenię...

pod wieloma względami.

- Jego oczy prześliznęły się po niej i pomimo strachu, znowu zawładnęło nią pożądanie.

Natychmiast zwalczyła to w sobie.

Starając się zachować resztki godności, spojrzała zimno na jego dłoń, milcząco dając do zrozumienia, że chce, by ją zabrał.

- Jeśli skończyłeś, proponuję, byśmy dołączyli do reszty.

- Nie skończyłem.

Jeszcze nie.

Jak powiedziałem, kochanie, ogromnie cię cenię.

Jesteś niesamowitą kobietą.

Razem tworzylibyśmy doskonałą parę, gdybyś tylko pracowała dla mnie, zamiast przeciwko mnie.

- To znaczy?

- Już wspomniałem, że jestem prawie stuprocentowo pewny, że przecieki się nie powtórzą.

Jednak wyobrażam sobie sytuacje, w których taki przeciek działałby na naszą korzyść.

Czy wiesz, kto to jest podwójny agent?

- Oczywiście.

- Więc, przemyśl sobie, czy nie zechciałabyś wykorzystać swoich talentów w tym kierunku.

Przydałoby się, żeby u Reubensa nadal myśleli, że dla nich pracujesz.

Jeśli nagle zamilknie, zaczną coś podejrzewać.

Proponuję, byś nadal przekazywała im informacje, naturalnie te bezwartościowe, a w odpowiednim czasie podsuniesz im pomysł, który zaprowadzi ich na manowce.

Zaplanujemy to starannie i miłymi sposobami doprowadzimy do ich klęski.

- To znaczy, że proponujesz mi, bym przyczyniła się do zrujnowania ojca Drewa?

- Myślę, że nie tak łatwo go zrujnować.

Tak czy inaczej spójrzmy na sprawę konstruktywnie.

Ty i ja rządzący Vandiną.

Czy to cię nie rusza?

- Ale...

Dinah...

- Dinah nie będzie tutaj wiecznie.

Nie jest już taka młoda, na jaką wygląda.

Zresztą zostaw ją mnie.

Uśmiechnęła się.

Strach szybko minął, zastąpiło go podniecenie.

Jak to się działo, że Steve tak nią żonglował?

Kochanie go było jak chodzenie po linie.

Wzbudzał w niej nadzieje, burzył je, niszczył jej linie obrony, i zaraz, tak samo nagle, mamił ją przyszłością.

Tak bardzo ją podniecał.

- Jesteś wcielonym diabłem - rzuciła.

- Idę się ubrać.

Ruszyła w stronę pawilonu nie oglądając się, ale czuła na sobie jego wzrok.

W przebieralni zdjęła wilgotny kostium i weszła do pomieszczenia z prysznicami.

Stawiała stopę w baseniku, kiedy usłyszała kroki Steve'a w pokoju obok.

Zaczęło walić jej serce.

Nie zdradziła się, że wie, że tam jest.

Weszła pod prysznic, skierowała twarz pod strumień ciepłej wody i wygięła ramiona tak, że jej biust jeszcze bardziej, wystawał.

Podszedł od tyłu, objął jej piersi, przyciskając się do niej całym ciałem.

Poczuła, że słabnie, ale stała nieruchomo, poddając się jego pieścizotom.

Steve - siła i niebezpieczeństwo.

Steve - którego nienawidziła i pożądała.

Odwrócił ją do siebie, przywarł do jej mokrego ciała.

Wygięła się, a on w nią wszedł pod strumieniami wody.

Kiedy skończyli, wydała z siebie jęk, ale on szybko się od niej oderwał.

Zabolało ją to, ale zrozumiała.

Tym razem wziął ją nie tylko z pożądania, ale po to, by przypieczętować fakt, że od tej pory on nią rządzi.

- Ubierz się - rzucił.

- Już czas, żebyśmy do nich wrócili.

Stał tam, nagi, jednak wcale nie bezbronny.

Silny i pewny siebie mężczyzna, który dokładnie wie, czego chce, i osiągnie to.

Nagle ogarnęła ją złość.

- Nie myśl sobie, że zawsze będę robiła to, co mi powiesz.

Uśmiechnął się.

Nie był to przyjemny uśmiech.

- Och, sądzę, że jednak tak.

- Może tym razem mi to odpowiada.

Ale każdy z nas ma swoją piętę achillesową, Steve.

Nie ja jedna.

Nie wiedziała, dlaczego to powiedziała, po prostu starała się przywrócić między nimi równowagę, ale przez ułamek sekundy w jego oczach pojawiła się trwoga.

Twarz mu stwardniała kryjąc coś, ale Jayne już wiedziała, że coś takiego istnieje.

Podnieciło ją to; nieświadomie poruszyła drażliwy temat.

- Próbujesz ze mną wygrać?

- spytał ostro.

Natychmiast wykorzystwała chwilową przewagę.

Jedynym sposobem na odzyskanie jego szacunku była walka z nim.

- Nie, nie próbuję, po prostu stwierdzam fakt.

Każdy ma coś do ukrycia?

Tylko niektórzy strzegą swoich tajemnic lepiej, inni gorzej.

Znowu na jego twarzy pojawiło się coś podobnego do strachu.

Kryjesz coś, pomyślała z tryumfem.

Istnieje coś, o czym świat nie może się dowiedzieć, i myślisz, że ja to wiem.

Nagle złapał ją za ramiona, mocno wbijając palce w jej skórę.

Zatrzęsła się przerażona.

- Nie wtykaj nosa w rzeczy, których nie rozumiesz!

Rób po prostu to, co ci każę - powiedział.

Wydeła usta.

Nie czuła się już tak zupełnie bezbronna.

- Zgoda, ale tak długo jak długo ty będziesz się trzymał zasad gry, Steve.

Nie odezwał się, rzucił jej tylko ostre spojrzenie.

- Ubieraj się - warknął po chwili, następnie wyszedł z różowej przebieralni.

Jayne wytarła się do sucha, uczesała włosy i założyła białą sukienkę.

Odbicia palców Stevea nadal widniały na skórze, czerwone plamy, ale nic poza tym nie wskazywało na niedawne, gwałtowne zajście.

Przez chwilę, poprawiając makijaż, rozmawiała w myślach sama ze sobą.

A więc - rozszyfrował ją.

Sprawiło to jej niemal ulgę.

Ale przy okazji przekonała się, że on także ma coś do ukrycia.

Przypomniała sobie jego niejasną propozycję współpracy i uśmiechnęła się.

Och, to sto razy lepsze niż perspektywy w Reubensie.

Pozycja i władza w znanej i szanowanej firmie - i jeszcze Steve.

Mogło być dobrze, zwłaszcza jeśli się dowie, co on ukrywa.

Nieważne, że jeszcze tego nie wiedziała, on sądził, iż jest inaczej.

To powinno wystarczyć.

Wyszła z przebieralni, ale Stevea nie było w pobliżu.

Ruszyła przez ogród, by dołączyć do reszty.

Nadal siedzieli w tych samych miejscach, Dinah i Don na huśtawce ogrodowej, Drew drzemał na łóżku.

Steve stał u boku matki, coś do niej mówiąc.

To prawie symboliczne, pomyślała Jayne.

Steve trzymał Dinah w garści.
Przez niego również ona, Jayne, zyska władzę.

Rozdział szesnasty.

Mike wrócił do domu krótko po szóstej.

Przygotował sobie spaghetti z sosem bolońskim, który wyjął z zamrażarki.

Zaniósł talerz do pokoju, włączył telewizor i ustawił krzesło tak, żeby podczas jedzenia oglądać program.

O szóstej trzydzieści pięć rozpoczęły się wiadomości, ale nie przysłuchiwał się im uważnie.

Ku własnemu zaskoczeniu znowu myślał o Maggie.

Zastanawiał się, co, u diabła, się z nim dzieje.

Myślał o niej przez cały dzień i nie potrafił przestać.

Towarzyszyła mu wszędzie, czy chciał tego czy nie.

Kiedy to się zaczęło?

Nie znajdował odpowiedzi na to pytanie.

Naszło go to tak jakoś niepostrzeżenie.

Początkowo była tylko siostrą Ros, ale potem to się zmieniało.

Uświadomił sobie, że już od pewnego czasu miał wątpliwości dotyczące swojego związku z Ros.

Początkowo tłumaczył to obawami, że nie może jej do końca zaufać, bronił się przed głębszym zaangażowaniem, bo bał się, że Ros zrobi mu to samo co była żona, ale teraz zastanawiał się, czy nie tkwiło w tym coś więcej.

Gdyby rzeczywiście głęboko kochał Ros, miałby do niej zaufanie.

Gdyby bardzo pragnął z nią być, nie zastanawiałby się, czy ona go nie zrani.

Bardziej prawdopodobne, że zachowywał ostrożność, ponieważ instynktownie wiedział, że nie jest to kobieta dla niego, a strach przed ponownym odrzuceniem powodował, że kurczowo jej się trzymał.

Ros zaginęła, a on wcale nie tęsknił za nią tak, jak powinien zakochany mężczyzna.

Naturalnie przejmował się, ale Ros stawała się dla niego coraz mniej ważna - raczej poszukiwania jej dawały mu pretekst do spotykania się z Maggie.

Nie zdawał sobie sprawy, co do niej czuje, aż do zeszłego wieczora.

Wczoraj uświadomił to sobie wyraźnie i zrozumiał, jak bardzo jej pragnie.

Włożył widelec ze spaghetti do ust, jakby uważał, że jedzenie zaspokoi nie tylko głód fizyczny, ale również głód serca - głód za Maggie.

Ma na Korfu męża, któremu stara się dochować wierności, choć jej małżeństwo się nie układa.

Jasno mu to powiedziała.

Kiedy wszystko się skończy, Maggie wróci na Korfu, do męża i do swojego nieudanego małżeństwa, a jemu nie pozostanie nic innego, jak to zaakceptować.

Tylko że to nie było takie proste.

Wiadomości dobiegły końca i zaczęła się prognoza pogody.

Niż oddalał się na południowy zachód.

Na południowy zachód i do mnie, ponuro pomyślał Mike.

Znajoma twarz prezentera pojawiła się na ekranie.

Odczytywał streszczenie dziennika.

Mike nadal prawie nie słuchał, kiedy nagle dotarły do niego słowa dziennikarza.

Mężczyzna, który rzucił się z mostu poprzedniej nocy, to prezenter lokalnej stacji radiowej i muzyk, Brendan Newman.

Mike zamarł z widelcem w połowie drogi do ust.

Przez chwilę myślał, że się przesłyszał, ale nie, na ekranie pojawiła się fotografia Brendana.

Mike wpatrywał się w nią głupkowato, nadal nie rozumiejąc tego, co usłyszał.

Zdjęcie zniknęło, a prezenter przeszedł do następnej wiadomości.

Mike nadal gapił się w telewizor, w uszach brzmiały mu tamte słowa.

Brendan - nie żyje.

Brendan - mężczyzna, który spadł z mostu.

Nie, nie spadł - skoczył.

Nikt nie spada z mostu przypadkowo - przynajmniej on o tym nie słyszał.

Brendan zrobił to świadomie.

Ale, dlaczego, do diabła?

Chyba że...

Ros, pomyślał.

Brendan jednak miał coś wspólnego z jej zniknięciem i kiedy stwierdził, że go podejrzewamy, przestraszył się i popełnił samobójstwo.

Mike odłożył widelec.

Stracił ochotę na jedzenie.

Zastanawiał się, czy Maggie o tym wie.

Czy tak jak on słuchała dziennika?

Możliwe, ale też bardzo prawdopodobne, że nie oglądała telewizji.

Podszedł do telefonu, podniósł słuchawkę i zaraz ją odłożył.

Gdyby wiedziała, już by do niego zadzwoniła; jeśli nie wie, nie chciał mówić jej tego w ten sposób.

Z pewnością bardzo się przejmie.

Chciał być przy niej, kiedy powtórzy jej wiadomość.

Zaniósł talerz z resztkami do kuchni, wyrzucił je do kosza, a naczynia wstawił do zlewozmywaka.

Potem wziął kurtkę, kluczyki samochodowe i wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi.

Maggie nie słuchała wiadomości.

Kiedy w domu nie zostało już nic do zrobienia, wybrała się na długi spacer, a po powrocie włączyła radio, napełniając puste pomieszczenia muzyką i cichą, radiową rozmową.

Zrobiła sobie kanapkę i zjadła ją.

Pukanie do drzwi zaskoczyło ją i poirytowało.

Nie miała pojęcia, kim był gość - chyba że policja chciała przekazać jej jakieś wieści, które z pewnością nie będą pomyślne.

Spięta, otworzyła drzwi.

Za nimi stał Mike.

Jej pierwszą reakcją była ulga, ale zaraz zauważyła na jego twarzy pochmurny grymas, znak, że stało się coś złego.

Znowu ogarnął ją strach.

- Mike!

Co się stało?

O co chodzi?

- Wejdźmy do środka.

- Zaprowadził ją do kuchni.

- Usiądź, Maggie.

Nie posłuchała go.

- Dlaczego?

Po jej zachowaniu domyślił się, że nic jeszcze nie wie.

- Proszę, Maggie, usiądź.

Mam ci do powiedzenia coś, co może wprawić cię w przerażenie.

Zbladła.

- Ros?

- Nie, nie chodzi o Ros.

- Odsunął jedno z krzeseł i posadził ją na nim.

- To Brendan.

- Brendan?

Co z nim?

- Nie potrafię powiedzieć ci tego w delikatny sposób.

Zdarzyło się coś tragicznego.

- Co?

- Nie żyje.

- Brendan!

- Tak, usłyszałem o tym w wiadomościach.

Spadł z mostu zeszłej nocy.

- Och, mój Boże!

- Oczy Maggie wyrażały przerażenie.

- Nie myślisz chyba...

- Że popełnił samobójstwo?

No cóż, to oczywisty wniosek.

- Cholera!

- Milczała przez chwilę.

- Brendan!

Nie mogę uwierzyć.

Wiedziałam, że to nieobliczalny człowiek, ale samobójstwo!

Nigdy bym nie pomyślała...

Sądzisz, że był pijany?

- Zakładam taką możliwość.

- Musiał być pijany, inaczej nie zrobiłby czegoś takiego.

Zabrakłoby mu odwagi.

- Zadrzała.

- Och, Boże, straszne jest nawet o tym myśleć!

Jesteś pewny?

- Dzisiaj rano usłyszałem, że ktoś rzucił się z mostu, ale wtedy nie znali jeszcze nazwiska.

W wiadomościach o szóstej trzydziści powiedzieli, że to był Brendan.

Nie ma żadnych wątpliwości, Maggie.

- Biedny Brendan.

Mike popatrzył na nią z troską.

Nie dotarło do niej jeszcze wszystko, co łączyło się z tą wiadomością.

- Zrobię ci drinka.

- W dzbanku jest herbata...

- Poczujesz się lepiej po czymś mocniejszym, ja też.

Poszedł do pokoju gościnnego i wrócił z butelką whisky i dwiema szklaneczkami.

Maggie nie ruszyła się zza stołu; obgryzała paznokiec, podczas gdy on nalał spore porcje i wsypał kostki lodu, które znalazł w lodówce.

- Proszę, wypij to.

Wypiła i zakrztusiła się, bo alkohol palił jej przetyk.

- Mike, czy myślisz, że to możliwe, że Brendan...

zrobił coś strasznego Ros i nie mógł dłużej żyć z tą świadomością?

- zapytała po chwili.

A więc dotarło do niej.

- Myślałem o tym - przyznał z zakłopotaniem.

- Och, Boże.

- Jej głos nieco się podniósł.

- Jeśli tak...

nigdy się nie dowiemy, co jej zrobił.

Przykrył jej dłoń swoją, próbując ją pocieszyć.

- Nie wiemy, czy tak było.

Jego śmierć może nie mieć żadnego związku z Ros.

- Może nie.

Ale nie podoba mi się to, Mike.

Nie zdajesz sobie sprawy, jak gwałtowny był Brendan.

Widziałam go w akcji.

A także widziałam go, kiedy pogrążał się w rozpacz.

On ją kochał, rozumiesz, i to bardzo.

Ale nie potrafił się kontrolować, pod każdym względem.

Na tym polegał cały problem.

Mike wypił swoją whisky, po czym napełnił obydwie szklanki.

Pocieszenie z butelki - fatum Brendana.

Cóż za ironia losu.

- I co teraz?

- zapytała Maggie.

- To znaczy?

- Co teraz zrobimy?

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

Szczerze mówiąc, uważam, że zrobiliśmy już wszystko, co było można.

Musimy polegać na policji.

Po tym, co zrobił Brendan, z pewnością przejmą się sprawą Ros, prawda?

To znaczy, z każdym dniem nieobecność Ros oczywiście stanie się coraz bardziej...

no, podejrzana.

Może przeszukają mieszkanie Brendana i natkną się na...

coś.

- Zadrzała, najpierw nieznacznie, potem już całkiem wyraźnie.

Zapadał wieczór, cienie materializowały się.

- Zmarzłaś.

- Dotknął jej ramienia.

- Załóż coś.

Wstała, posłuszna jak dziecko, i poszła na górę po kamizelkę.

- Naprawdę nie jest zimno - powiedziała po powrocie.

- Trzęsę się, bo wszystko coraz bardziej przypomina koszmar, z którego nie mogę się obudzić.

Spojrzał na nią czule, chciał ją pocieszyć i ochraniać, przypominał sobie, jak trzymał ją w ramionach i jak chętnie oddawała mu pocałunki.

Co by zrobiła, gdyby teraz ją objął?

Możliwe, że wczoraj po prostu zaskoczył ją, później wyraźnie dała do zrozumienia, że chce tylko, by odwiózł ją do domu.

Jeśli teraz zrobi krok w jej kierunku, może zostać odtrącony.

Bardzo prawdopodobne, oczywiste, i w rezultacie dojdzie do kłopotliwej sceny, kończącej ich związek.

Wstał.

- Powiem ci, co myślę, Maggie.

Myślę, że powinienem dokądś cię zabrać.

- Dokąd?

- Nie wiem, gdziekolwiek.

Na przejażdżkę, na drinka.

Jest ładny wieczór i przyda nam się łyk świeżego powietrza.

Chodźmy.

- Dobrze.

Daj mi minutkę na przypudrowanie nosa.

- Wyglądasz dobrze.

- Nie, wyglądam strasznie.

Jeśli zatrzymamy się w jakimś pubie...

Podniósł ręce na znak kapitulacji.

- Dobrze, już dobrze, jeśli musisz.

Zniknęła na schodach, a on przechadzał się po kuchni.

Kuchni Ros.

Własności Ros.

Jednak było tu także coś z Maggie.

Trochę go to niepokoiło.

Wróciła po kilku minutach.

Założyła inne spodnie i nowy bawełniany sweter, ułożyła włosy i lekko się umalowała.

Na jej widok poczuł skurcz żołądka i ostrzegł sam siebie: nie bądź głupi.

Nie zrób niczego, nie mów niczego, czego później byś żałował.

- Gotowa?

- Gotowa.

Przeszła po domku, zamykając okna i tylne drzwi, sprawdzając, jak dla niego nieco za długo, czy wszystko jest w porządku.

Jest wykończona nerwowo, uświadomił sobie.

Kiedy otwierał przed nią drzwi samochodu, doszedł go zapach jej perfum - nawet nie perfum, raczej lekka woń kwiatów.

Na nowo jego zmysły zostały pobudzone.

- Jedziemy - powiedział nieco zachrypniętym głosem.

Wyjechał na główną drogę i skręcił w kierunku jezior Chew Valley.

Zastali tam jeszcze kilka samochodów, zaparkowanych na poboczu drogi, ciągnącej się przy jeziorze.

Zatrzymali się na parkingu pod drzewami.

Pary przechadzały się lub siedziały na ławkach, rozkoszując się przyjemnym wieczorem, jakaś rodzina grała w krykieta, a dwa psy bawiły się obok.

Wysiedli z wozu i poszli nad sam brzeg jeziora, gdzie usiedli na niskim murku.

Zachodziło słońce, ognista kula zanurzająca się w wodzie, która odbijała różany blask; kaczki pływały leniwie, ptaki nadlatywały, nurkowały i na nowo podrywały się do lotu.

Otaczała ich oaza spokoju i Mike wyczuł, że Maggie wreszcie się rozluźnia.

Dłuższą chwilę siedzieli nie rozmawiając, przyglądając się słońcu, które coraz bardziej chowało się za niską chmurą.

Zimny wiatr zaczął szeptać nad powierzchnią wody.

Mike wstał.

- Drinka?

- Może.

- Biedny Brendan - powiedziała, kiedy wrócili do samochodu.

- Musiał być strasznie nieszczęśliwy, jeśli zrobił coś tak potwornego.

Maggie chyba zupełnie zapomniała o swoich podejrzeniach, że to poczucie winy przywiodło Brendana do samobójstwa.

Mike postanowił jej o tym nie przypominać.

Znaleźli jakiś podmiejski pub i weszli do środka.

Tutaj także czuli się rozluźnieni, spokojni, daleko od ponurej atmosfery domku Ros.

Maggie wyjęła portmonetkę.

- Ja płacę.

Czego się napijesz?

- Lemoniady.

Wypiłem już swoją porcję whisky, nie chcę przekroczyć limitu.

Uśmiechnęła się.

- Ja nie prowadzę, więc mnie to nie dotyczy.

Zamówię sobie wino.

Zapłacili za drinki i przenieśli się do stolika w rogu sali.

- Jaki miałeś dzień?

- zainteresowała się, popijając wino.

Mike zrozumiał, że świadomie stara się omijać nieprzyjemny temat, który i tak zajmował ich umysły.

- Jak można się było spodziewać...

- Zasypał ją historyjkami i widział, że coraz bardziej się rozluźnia, smutek odchodzi w cień, a wino tylko jej w tym pomaga.

Kiedy właściciel poinformował, że zbiera ostatnie zamówienia, Maggie zachmurzyła się.

Wieczór i krótka ulga, którą przyniósł, dobiegały końca.

Teraz trzeba było wracać do rzeczywistości.

Zapadła noc, ciepła i zupełnie czarna, oprócz iskrzących się gwiazd.

Światła samochodu rozpraszały ciemność w powrotnej drodze do domu.

- Wejdiesz na herbatę?

- zaproponowała, kiedy zatrzymali się przed domkiem.

Mike zawahał się.

Obawiał się, że kiedy znajdą się sami, nie oprze się pokusie.

Mimo wcześniejszego postanowienia, że zachowa zimną krew, wcale nie był siebie pewien.

- Chyba nie - powiedział.

- Niektórzy muszą wstawać wcześniej rano i iść do pracy.

- Naturalnie.

- Zabrzmiało to lekko, ale wyczuł w jej głosie cień zawodu.

- Mike, coś sobie przypomniałam.

To może być nieważne, ale powiem ci.

Jakiś mężczyzna dzwonił dziś do Ros.

Mike w jednej chwili spoważniał.

- Mężczyzna?

Do Ros?

- Tak.

Zupełnie o nim zapomniałam.

Pewnie przez tą sprawę z Brendanem.

Powiedział, że nazywa się Des Taylor i że dzwoni, bo dzwoniła do niego Ros.

Nie...

poczekaj, nie mógł tego powiedzieć, bo przecież podał mi numer, pod którym może go złapać.

Gdyby do niego dzwoniła, musiałyby znać jego numer, prawda?

- Czy powiedział, o co chodzi?

- Nie.

Rozmawialiśmy krótko.

Numer jest londyński.

- Zapisłaś go?

- Tak.

- Dobrze.

- Głos Mikea brzmiał stanowczo.

- W takim razie zadzwonię do tego Taylora i zapytam, w czym rzecz.

Wysiadł z samochodu zły, choć nie umiał wytłumaczyć dlaczego, może to, że obcy mężczyzna dzwonił do Ros, poruszył go tak boleśnie.

Maggie złapała go za ramię.

- Nie teraz, Mike.

- Właśnie najlepiej teraz.

- Och, proszę!

Nie dzisiaj!

Naprawdę więcej już tego nie zniosę...

- Zdawało się, że zaraz zaczniesz płakać.

Złość Mikea natychmiast ustąpiła miejsca czułości.

Maggie miała dosyć, jak na jeden dzień; Brendan i jego śmierć w połączeniu ze starymi zmartwieniami zupełnie ją przygniotły.

Nie będzie jej już mężczyź.

Rozmowa z Desem Taylorem musi poczekać do jutra.

Objął ją i poczuł że jest spięta i lekko drży.

- W porządku, kochanie.

Nie martw się.

Chcesz, żebym cię odprowadził do drzwi?

Kiwnęła głową, potem nagle, bez ostrzeżenia, wtuliła się w jego ramię.

- Maggie?

- zdziwił się.

- Nie chcę zostać sama, Mike.

- Jej głos był przytłumiony.

- Och, Maggie...

- Wiem, że postępuję głupio, ale po prostu boję się zostać sama w tym domu...

O, Chryste, ile można znieść, pomyślał.

- Maggie, nie postępujesz głupio - zapewnił ją z czułością.

- Wiem, jak się czujesz.
Ale nie mogę z tobą zostać.
Musisz to zrozumieć.

Podniosła głowę.

Jej oczy wypełniała głęboka tęsknota; Mikeowi zdawało się, że mógłby się w nich utopić, a jej usta, lekko rozwarte, prosiły o pocałunek.

Nie mógł się już dalej bronić.

Do diabła z tym!

- powiedział sobie w myśli i pocałował ją.

Przez cały czas, i wtedy, kiedy siedzieli w samochodzie, i wtedy, gdy z niego wysiedli, wiedzieli, co się zdarzy.

Ale nie potrafili temu zaradzić.

Pragnęli tego obydwójce i było wspaniale, Maggie poczuła, że to, co ją dręczyło, nie ma już znaczenia.

Ari i Korfu znajdowali się daleko od nich, napięcie i stresy dnia odeszły gdzieś w najczarniejszą czeluść umysłu, jakby nieprawdziwe, nic nie znaczące.

W tej chwili kierowali się jedynie zmysłami, a każdy nerw drgał od słodkiej i gwałtownej ekstazy.

Maggie przytuliła się do Mikea, kiedy otwierał drzwi jej kluczem i zapalał światło, nie chcąc puścić go nawet na sekundę.

Mike.

To imię miało swoje bolesne miejsce w jej sercu, synonim gorącego, namiętnego pożądania.

Kocham go, pomyślała, i zachciało jej się to wykrzyknąć, tylko że jego usta przykrywały jej, więc musiała wyznać mu miłość swoim ciałem.

Objęła go, przytuliła się, czując jego gorącą odpowiedź.

Przesuwał ustami po jej podbródku, po szyi, a ona odczuwała mrowienie skóry pod jego dotykiem.

Szybko wziął ją na ręce, jak dziecko, zaniósł do pokoju gościnnego, posadził na kanapie i ukląkł przed nią.

Znowu się całowali, gorączkowo, tak jak ludzie, którzy nie pragną niczego innego od pierwszego dnia spotkania.

Przez jakiś czas sycili się swoimi ustami, ale wkrótce im to nie wystarczyło.

Ręce Mikea wśliznęły się pod luźny bawełniany sweter, dotknęły piersi.

Maggie poruszeniem ciała dała mu znać, że zgadza się, by ją rozebrał.

To było wspaniałe, czuć jego ręce na rozpalonej skórze, czuć pod palcami szerokie, muskularne plecy.

Kręciło jej się w głowie.

Nie myślała, cała skoncentrowała się na doznaniach, cała była nimi wypełniona.

Później, kiedy wspominała i rozkoszowała się wspaniałością tego pierwszego razu, rozpamiętując najdrobniejsze szczegóły, ze zdziwieniem stwierdziła, że zupełnie nie pamięta, jak i kiedy znalazła się na dywaniku, całkowicie naga.

Nie wiedziała, czy przeniósł ją tam, czy zrobiła to sama, choć z pewnością nawet na chwilę nie wypuszczał jej z objęć.

Natomiast z ogromną wyrazistością pamiętała ogarniający ich cudowny spokój; obraz, kiedy pochylał się nad nią - mocny, szczupły, wysportowany mężczyzna, opalony i ogorzały od częstego przebywania na powietrzu; i to uczucie, kiedy się zbliżyli, wygłodniali, bliżej i bliżej, aż stali się jednym.

Nigdy tego nie zapomni; będzie pamiętała zawsze.

Znalazła się w pułapce, przygwożdżona jego ciałem, a jednak była przedziwnie wolna.

Leżeli nieruchomo, bojąc się, że każdy ruch zakończy ten moment, a potem nagle zaczęli dziką miłość, bo nie mogli, nie potrafili już dłużej się wstrzymać.

Mimo starań wszystko skończyło się za szybko.

Gdyby Maggie miała umrzeć, nic by to nie znaczyło, bo miała teraz w rękach cały świat.

Przez jeden wspaniały moment płynęła wysoko ponad najwyższymi szczytami, potem łagodnie zsunęła się na ziemię, usatysfakcjonowana spełnieniem.

Zbliżała się rzeczywistość, ale jeszcze nie miała dla nich znaczenia.

Ari, Ros, Brendan znowu pojawili się obok nich, jednak na razie jako cienie.

Tylko Mike, trzymający ją w ramionach, był prawdziwy.

Przesunęła dłoń po jego ramieniu aż na klatkę piersiową, bawiła się ciemnymi włosami, przyciskała usta do opalonej skóry.

Przepełniona miłością, dotykała, próbowała, delectowała się.

- Maggie - odezwał się miękko.

- Nie odejdiesz, Mike?

Nie zostawisz mnie?

Odpowiedział jej chropowatym głosem, ale pełnym szczęścia.

- Nie, Maggie, nie zostawię cię.

Nie tej nocy, nigdy.

Rozdział siedemnasty.

Spali na wąskim łóżku w sypialni dla gości.

Nie było to najwygodniejsze.

Mike z powodu swojej postury zajmował prawie całe, ale nie chcieli i nie mogli położyć się w łóżku Ros.

Nie przyzwyczajeni do zasypiania w swoich ramionach, nie zmrużyli oka prawie przez całą noc, jednak nic to dla nich nie znaczyło.

Kochali się jeszcze dwa razy, pierwszy zaraz po północy, rozgrzani snem, ciepłi i senni, jednak gotowi do miłości, a potem o różanym świcie, przy chórze ptaków, dochodzącym z drzew i we wczesnym słońcu, przezierającym przez zasłony.

Później, po porannej kąpieli i śniadaniu, nadal czuli w sobie tę wyjątkową radość, która się budzi wraz z nową miłością.

Problemy nadal były, ale otaczała je teraz delikatna mgiełka.

- Żeby tak nie musiał iść do szkoły - zwierzył się Mike, popijając świeżo zaparzoną kawę z dużego, francuskiego w stylu, żaroodpornego kubka Ros.

- Ja też bym tego chciała.

- Wyrwę się najszybciej jak będę mógł i przyjadę po ciebie wieczorem.

- Podjęli już decyzję, że Maggie powinna przeprowadzić się do niego; jedna noc w wąskim łóżku była romantyczna, więcej takich nocy by ich wykończyło.

- Dasz sobie radę?

- Tak.

Spakuję się w tym czasie.

Kiedy patrzyła, jak się oddala jego samochód, doświadczyła przemożnego uczucia osamotnienia i na chwilę koszmarnie cienie znowu zawładnęły jej umysłem, wisząc nad nią jak miecz Damoklesa.

Odgłos silnika zanikł w oddali i wokół zapanowała niezmacona cisza, nie słychać było nawet zwykłych o tej porze dźwięków budzącej się wsi - nie śpiewały ptaki, nie muczały krowy, tylko czasami coś poruszało się w zaroślach na dowód, że nie jest jedyną żywą istotą w tym tajemniczo cichym świecie.

Wróciła do domu.

Widok naczyń pozostałych na stole po śniadaniu nieco ją pocieszył - widząc dwa kubki i talerze miała wrażenie, że Mike jest z nią nadal.

Zmyła je, po czym poszła do sypialni posprzątać.

Czuła, że miłosa aura ciągle jeszcze wypełniała ten mały, słoneczny pokoik.

Prześcieradła ciepłe od ich ciał, wgłębienie po głowie Mikea na poduszce.

Zalała ją gorąca fala; osłabła, czując ukłucie w dole brzucha.

Musiała usiąść na brzegu łóżka.

Zaczęła wspominać tę noc i przeżywać uniesienie na nowo.

Dlaczego jest taka wniebowzięta?

Przecież sądziła, że kiedy podda się emocjom, ogarną ją wyrzuty sumienia.

Jak mogła być tak bezgranicznie szczęśliwa, skoro właśnie zdradziła zarówno Ariego, jak i Ros?

A jednak była szczęśliwa.

Siostra i mąż nadal pozostawali w jakimś nierealnym świecie; tylko Mike jawił się jej wyraźnie, wypełniając cały horyzont.

Powiedziała sobie, że nie będzie się nad tym w tej chwili zastanawiała.

Nadejdzie odpowiedni czas i na wyrzuty sumienia, i na oskarżenia.

Ciesz się póki miłość trwa, zapamiętaj każdą chwilę uniesienia, nie dbając o to, co przyniesie przyszłość.

Zdjęła pościel, zwinęła ją w kłębek i zniosła na dół do pralki.

Nastawiła radio, podśpiewując do wtóru, ale kiedy nadeszła pora dziennika, wyłączyła je.

Nie chciała słyszeć o śmierci Brendana - a z pewnością by o nim mówiono.

Nie chciała, by cień rzeczywistości padł na jej kruche szczęście.

Potem spakowała rzeczy, które chciała wziąć ze sobą do Mikea, praktycznie wszystko, co ze sobą przywiozła, bo nie miała tego dużo: ubrania, przybory toaletowe, koszulę nocną - choć nie wyobrażała sobie, że będzie jej potrzebowała, jeśli wydarzenia ostatniej nocy miały się powtórzyć.

Znowu zalała ją fala ciepła.

Już teraz nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się w ramionach Mikea.

Prawie kończyła, gdy odezwał się telefon.

Szybko zbiegła po schodach, trochę z nadzieją, że to on, choć rozsądek mówił jej, że o tej porze musi mieć lekcje.

- Halo?

- Margaret?

To ja, matka.

Poczuła ucisk w sercu.

- O, cześć, mammo.

- Margaret, widziałaś gazety?

- Och.

- Nagły skok w rzeczywistość.

- Chodzi ci o...

- O Brendana.

Margaret, to straszne!

To znaczy, nigdy nie przepadałam za tym człowiekiem, ale coś takiego...

- Jej głos ścichł.

- Wszystko jest na pierwszej stronie "Western Daily Press".

I wspominają też o Rosalie.

- Co piszą?

- Że zaginęła.

Że nikt nie wie, gdzie ona jest.

A o tobie piszą, że martwisz się, co się z nią stało.

Wygląda nawet, że wiedzą, że specjalnie przyjechałaś z Korfu.

Skąd oni to wiedzą?

- To długa historia.

Pomyśleliśmy, Mike i ja...

- Tak, tak, o nim też wspominają.

Obecny partner Rosalie, tak go nazywają.

Naprawdę, to bardzo krepujące!

Mam nadzieję, że nie przeczytają tego nasi znajomi.

Oczywiście, większość z nich kupuje "Telegraph", ale może...

Jak zawsze Maggie złapała się na tym, że zaczyna ją irytować płytkie myślenie matki.

Ros zaginęła, Brendan nie żyje, a Dulcie martwi się o to, co pomyśla jej przyjaciele!

- Harry uważa, że ta sytuacja jest poniżająca - ciągnęła starsza pani.

- Podejrzewa, że Brendan jest w jakiś sposób powiązany z zaginięciem Ros.

Naturalnie, to zupełnie niedorzeczne, nie mówiąc już, że krzywdzące...

- Nie wydaje mi się, żeby można było skrzywdzić zmarłego - rzuciła Maggie trochę ostrzej, niż zamierzała.

- I jeśli prasa pomoże w odnalezieniu Ros, to trochę niesławy nie zaszkodzi.

Dulcie obruszyła się.

- Nie ma potrzeby przybierać takiego tonu, Margaret.

Nadal twierdzą, że to śmieszne sądzić, iż coś złego spotkało Rosalie.

Chciałabym, żebyś wreszcie wybiła to sobie z głowy.

- Mamo...

Dzwonek do drzwi.

Maggie aż podskoczyła z radości, że jest okazja zakończyć rozmowę.

- Ktoś dzwoni.

Muszę już iść.

Oddzwonię do ciebie.

- Wspaniale, chociaż nie będzie mnie po południu.

To mój dzień w Townswomen Guild.

- Jakoś cię złapię.

- Odłożyła słuchawkę i podeszła do drzwi.

- Chciałabym zamienić z panią słówko, pani Veritos.

- To była Sheena Ross, dziennikarka z "Western Daily Press".

- Naturalnie, proszę wejść.

Napije się pani kawy?

- Z wielką chęcią.

Proszę posłuchać, przykro mi, że panią nachodzę, ale wydaje mi się, że musimy porozmawiać.

- Też tak myślę.

- Maggie przyrządziła kawę, a Sheena usiadła przy stole i otworzyła notatnik.

- Zakładam, że słyszała pani o Brendanie Newmanie?

- Tak i domyślam się, że to pani artykuł wydrukowano na pierwszej stronie "Western Daily"?

- Czytała go pani?

- Nie, ale moja matka czytała.

Właśnie dzwoniła do mnie w tej sprawie.

Nie jest zbyt szczęśliwa.

- Przykro mi.

Zdawało mi się, że zależało pani na rozgłosie.

Zresztą śmierć Brendana Newmana to ważna wiadomość, choć nie był już osobą publiczną jak niegdyś.

Co pani myśli o jego śmierci?

- Byłam zaszokowana.

- To zrozumiałe.

Jak pani sądzi, co popchnęło go do tego kroku?

Zakładając, oczywiście, że było to samobójstwo.

Maggie poczuła dziwny niepokój.

W sobotę wydawało jej się, że zamieszczenie informacji o zaginięciu Ros to dobry pomysł; teraz nie była tego pewna.

- Naprawdę nie wiem.

- Nie sądzi pani, że to z powodu wyrzutów sumienia?

- Powiedziałam już, że nie wiem.

Szczerze mówiąc, nie dowie się pani ode mnie dużo więcej niż w sobotę.

- W takim razie może uzupełniłaby pani kilka szczegółów dotyczących pani siostry - poprosiła Sheena, zmieniając taktykę.

- Jaką jest osobą?

A jej praca, pracuje w Vandinie, jak rozumiem.

- To prawda.

- Proszę mi o tym opowiedzieć.

Możliwe, że niechęć matki do całej sytuacji przeszła na Maggie, bo nagle stała się ostrożna.

Co z tego, że w prasie pojawiają się różne szczegóły z życia Ros, czy to pomoże ją odnaleźć?

Ale skoro sama wpadła na pomysł zawiadomienia prasy, nie bardzo wypadało jej się teraz wycofać.

Dawała reporterce jak najmniej wyczerpujące odpowiedzi.

- A co z jej chłopakiem?

- zainteresowała się Sheena.

- Mikeem?

- Tak.

Czy ich związek jest udany?

- Och...

tak...

- Maggie lekko się zaczerwieniła.

- Z tego, co wiem...

Dziennikarka instynktownie wychwyciła wahanie w jej głosie.

- Były jakieś rozbieżności między obecnym partnerem siostry a jej byłym mężem?

Zazdrość, coś w tym stylu?

- Brendan nie przestawał być zazdrosny.

Wszyscy to wiedzieli.

Ale rozwiedli się.

Miała prawo nawiązać nową znajomość.

- Spojrzała na zegarek.

- Uczciwie mówiąc, nie rozumiem, dokąd mają nas zaprowadzić te pytania.

Czy dowiedziała się już pani wszystkiego, co panią interesowało?

- Na razie tak.

- Dziennikarka dość głośno zamknęła notes.

- Jadę teraz na komisariat policji.

Odezwę się, jeśli coś sobie przypomnę.

Mam nadzieję, że pani również się ze mną skontaktuje, jeśli znajdzie coś nowego?

- Dobrze.

- Maggie zastanawiała się, czy powiedzieć dziennikarce, że można ją będzie złapać u Mikea, ale postanowiła tego nie robić.

Nie chciała plotek na łamach prasy.

Jedna mała wzmianka mogłaby przynieść wiele szkody.

Dobrze jest mieć prasę po swojej stronie, ale to trochę tak, jakby trzymało się lwa za ogon.

Nigdy nie wiadomo, co im wpadnie do głowy, czy zachowają dyskrecję i czy nie przeinaczają faktów.

Skończyło się pranie, a ponieważ dzień był ciepły i wietrzny Maggie postanowiła wywiesić pościel na dworze, żeby przynajmniej częściowo wyschła przed jej wyjściem.

W gruncie rzeczy nie miała dokąd się spieszyć.
Mike zostanie w szkole przynajmniej do czwartej.
Rozwiesiła pranie na sznurze i zaczęła się krzątać po domku,
rozpamiętując niespodziewane zajścia ostatnich dni.
Tuż przed południem zadzwonił telefon.
Maggie pomyślała, że to znowu matka.
Ale okazało się, że dzwoni Mike.
- Jesteś w domu?
- Tak.
Sprzątałam i miałam wizytę dziennikarki z "Western Daily".
Śmierć Brendana wyraźnie wzbudziła duże zamieszanie.
- Widziałem nagłówki.
Dobrze się czujesz?
- Tak.
- Pomyślałem, że zadzwonię i się upewnię.
Aha, i jeszcze jedno.
Wydaje mi się, że warto w tej sytuacji przejść się do Vandiny i
zabrać stamtąd wszystkie rzeczy Ros.
Maggie poczuła ukłucie niepokoju.
- Nie rozumiem.
- Ros załatwiła w firmie wiele prywatnych spraw.
Korzystała z usług sekretarki.
Uznała, że są to uboczne zalety jej pracy.
Pomyślałem sobie, że skoro jej tam nie ma, należałoby zabrać jej
osobiste przedmioty.
Teraz, gdy prasa jest nią zainteresowana, nie wiadomo, co im
wpadnie do głowy.
- Nikt w Vandinie nie wyda prasie rzeczy Ros bez jej zgody.
- Może nie, ale dziennikarze potrafią być bardzo natarczywi, jeśli
mają swoje sztuczki.
Sądzę, że musimy znaleźć się tam przed nimi.
Czy masz czas, żeby się tym zająć?
- Chyba tak.
Ale naprawdę myślisz...
- Naprawdę.
- W porządku.
Pojadę od razu.
Nie mam nic innego do roboty.

- Dobra dziewczyna.

Do zobaczenia koło czwartej.

- Do zobaczenia.

- Odłożyła słuchawkę, ciepło zalało jej serce od samego dźwięku jego głosu, choć zastanawiała się, o co mu chodziło.

Nie przypuszczała, żeby Ros zostawiła coś poufnego w swoim biurze.

Oczywiście, gdyby było inaczej, Mike miałby rację.

Prasa nie powinna szperać w jej prywatnych rzeczach.

Jednak Maggie nie bardzo miała ochotę na wizytę w Vandinie i żądanie zwrotu rzeczy siostry.

Po pierwsze może sprawić im kłopot, po drugie obawiała się, że przypadkowo natknie się na Stevea.

Może dojść do krępującej sytuacji, pomyślała.

Lepiej zrobię, kiedy do nich zadzwonię i uprzedzę, że przyjeżdżam.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer Vandiny zastanawiając się, kogo ma prosić.

Może Dinah, skoro była niedawno jej gościem?

Ale może to zostać odebrane jako wykorzystywanie sytuacji.

Najlepiej porozmawiać z sekretarką Dinah.

Po chwili Maggie tłumaczyła Liz Christopher, że chce przyjechać po rzeczy siostry, i pytała o najbardziej dla niej wygodną porę.

Sekretarka była zaskoczona i zasmucona.

- Och, czy to znaczy, że myśli pani, że Ros tu już nie wróci?

- Nie, nie myślę tak - szybko wyjaśniła Maggie.

- Po prostu, ponieważ nie wiemy, gdzie jest, sądzimy, że dobrze by było mieć jej prywatne rzeczy tu, u niej w domu.

- Aha, rozumiem - skomentowała Liz, choć wyraźnie nie rozumiała.

- Proszę dać mi godzinę albo dwie, a zbiore wszystko, pani Veritos.

- Dzięki - rzuciła Maggie.

Miała nadzieję, że wyjedzie zaraz, bo chciała jak najszybciej pojechać do mieszkania Mikea.

Ale przecież mogła poczekać jeszcze godzinę.

Zerknęła na zegar, stwierdziła, że zbliża się pora lunchu, więc poszła do kuchni, zrobić sobie kanapkę.

Po kilku dniach braku apetytu nagle stała się szalenie głodna.

Czy to za sprawą miłości?

Jeśli tak, musi uważać, bo utyje.

Jednak na razie nie przejmowała się.

Liz Christopher odłożyła słuchawkę i spojrzała na Jayne Peters - Browne, która przysiadła na brzegu jej biurka.

- Dzwoniła siostra Ros, Maggie.

Chce zabrać osobiste rzeczy Ros.

Zupełnie nie rozumiem po co?

Jayne od niechcenia machała jedną nogą.

- Pewnie nam nie dowierza.

- Powiedziałam, że zbiorę wszystko, ale czy uważasz, że powinnam?

To znaczy, oczywiście, to jest jej siostra, ale Ros mogłaby nie chcieć, żeby jej rzeczy znalazły się w rękach Maggie.

Zresztą w ogóle mi się to nie podoba.

Szperać w cudzych rzeczach.

Jayne wybuchnęła śmiechem.

- Cóż za niezrozumiałe skrupuły!

Jeśli cię to mierzi, ja mogę to zrobić.

- Ale jesteś taka zajęta...

- Nie tak bardzo - rzuciła Jayne, w jej głosie dał się słyszeć gorzki ton.

- Dinah nadal nie chce zdradzić szczegółów swojej nowej wiosennej kolekcji.

Powinnam jej w tym pomagać.

To dobijające, że nie pozwala mi się wykonywać pracy, do której zostałam tu zatrudniona.

- Och, jestem przekonana, że wkrótce wprowadzi cię we wszystko - pocieszała Liz.

- Tak czy inaczej, do twoich zajęć nie należy babranie się w biurowych sprawach.

Nie chciałabym, żebyś...

- Bzdura!

- sprzeciwiła się Jayne.

- Zaoferowałam się, że uporządkuję rzeczy Ros, i zrobię to.

- Nie dodała, że jej propozycja pomocy nie wynika z czysto altruistycznych przesłanek.

W rzeczywistości cieszyła ją myśl, że zostanie *carte blanche* do poszperania w rzeczach Ros.

- Zrobię to teraz.

Masz klucz do jej biura?

- Jest otwarte.

Musimy mieć dostęp do dokumentów, nad którymi pracowała.

Jayne ześliznęła się z biurka, poprawiła spódnicę i poszła do pokoju Ros.

Zasłonięte okna, fotel równo ustawiony za biurkiem i starannie ułożone przybory do pisania sprawiały, że pomieszczenie wydawało się opuszczone i zapomniane.

Niektóre z dokumentów leżały na biurku - widać, ktoś z nich ostatnio korzystał - ale Jayne je zignorowała.

Natomiast otworzyła szuflady i zaczęła szukać między znajdującymi się tam przedmiotami tych, które można by uznać za osobiste.

Po kilku minutach poszukiwań ogarnęło ją lekkie zniecierpliwienie.

Korespondencja z elektrykiem, z którym Ros zawarła umowę na wykonanie jakichś napraw w domu, oraz list do importera orientalnych dywanów to nie były te rewelacje, jakich się spodziewała.

W drugiej szufladzie znalazła grube pismo i klaser z fotografiami - Jayne szybko je przejrzała, ale nie natknęła się na nic specjalnego.

W większości były to zdjęcia Ros i Mikea, zrobione w jakimś ogrodzie pełnym kwitnących rododendronów - może w Stourton albo Heavens Gate.

Dwa listy od przyjaciela ze Scarborough, pełne anegdotek z jego życia, pocztówka od kogoś spędzającego wakacje w Dordogne.

Nic fascynującego.

Jayne włożyła wszystko do dużej koperty i już bez większych złudzeń wysunęła najmniejszą szufladę, z której wyjęła różowe kartonowe pudełko.

W środku luzem leżały różne listy; Jayne podniosła je i zauważyła, że ten na samej górze - wysłany na prywatny adres Ros, miał nagłówek Excel Oil, korporacji z Aberdeen.

Natychmiast wzrosła jej czujność - czy to nie towarzystwo, w którym pracował Steve, zanim przeniósł się do Vandiny?

Pospiesznie przewertowała resztę dokumentów; kopie listów, które Ros sama najwyraźniej napisała na swojej przenośnej maszynie do pisania, i kartki z notatkami, napisane odręcznie, które czytało się prawie jak pamiętnik.

Jayne poczuła dreszczyk emocji.

Jeszcze raz, ale uważniej, przeczytała zapiski, bacznie zastanawiając się nad ich treścią.

Po zakończeniu z trudem opanowała podniecenie.

Kiedy zaproponowała pomoc w uporządkowaniu rzeczy Ros, kierowała nią jedynie ciekawość.

Jednak teraz trzymała w rękach informacje, których siła równała się sile laski dynamitu.

Oparła się na krzesło, uśmiech wypłynął na jej pełne usta, a przez jej głowę przebiegła refleksja nad złożonością i kapryсами losu.

Wczoraj Steve straszył ją, ponieważ odkrył jej tajemnicę, znalazła się w stanie zagrożenia, nie miała pewności co do swojej przyszłości.

Ale również wczoraj zrozumiała, że on również ma coś do ukrycia.

A teraz, jakby bogowie robili jej prezent, dowiedziała się, co to jest.

Nic konkretnego, niestety, tylko domysły, rodzące się z podejrzeń Ros.

Jednakże Jayne nie mogła się oprzeć wrażeniu, że nie są one bezpodstawne!

- No, no, Steve!

- powiedziała na głos; miękko, lecz z tryumfem.

Steve siedział w swoim biurze nad grafiką dostaw, ale nie mógł się skupić.

Zazwyczaj nie miał problemów ze skoncentrowaniem się na jednej sprawie - cecha bardzo przydatna w wielu sytuacjach i nieodzowna w pracy nurka - ale dzisiaj jego myśli nieustannie gdzieś uciekały, tak że nie było mowy o jakiejś ciągłości w pracy, którą się zajął.

Chodziło o Jayne Peters - Browne.

Kiedy odkrył, że to ona szpieguje w Vandinie dla Reubensa, nie tyle się zdenerwował, co go to rozbawiło.

Fakt, że zdobyła się na odwagę i działała na dwa fronty, sprawił, że jeszcze bardziej go pociągała, a poza tym cieszył się z przewagi, jaką nad nią uzyskał.

Romans z Jayne nieustannie przypominał grę; teraz doszedł nowy element, bardzo ożywiający ich znajomość.

Nie interesowało go zupełnie, że Jayne okazała się mniej niż wierna w stosunku do firmy.

Z Vandiną nie wiązały go żadne uczucia; nie czuł tego co Dinah, a mianowicie, że jej najukochańszemu dziecku stała się krzywda.

Pragnął odkryć zdrajcę i zlikwidować przecieki, ponieważ rozumiał, że jego interesy żywotnie zależą od dobrej sytuacji Vandiny.

Im firma lepiej prosperuje, tym więcej on zyskuje - jego finanse i status.

Mógł zażądać większej pensji, więcej wydawać, kupić sobie lepszy samochód na koszt firmy, a kiedyś w końcu stanie się spadkobiercą wielkiej fortuny.

Działalność szpiegowska mogła zniszczyć Vandinę.

Jednak, kiedy się przekonał, że osobą, której szukał, jest Jayne, przestał się martwić o swoją przyszłość.

Gdyby był to jakiś inny pracownik, z miejsca by go zwolnił.

Ale nie Jayne.

Wiedział, jak sobie z nią poradzić.

Robił to cały czas - i sprawiało mu to przyjemność.

Przecieki się już nie powtórzą, tego był pewien.

Jayne może być bardzo związana z Reubensem, ale jego propozycja jest warta wiele więcej.

Tylko jedno go trapiło - insynuacje Jayne.

Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że strzelała w ciemno, obrona przez atak.

Nie wierzył, że Jayne albo ktokolwiek znał całą prawdę o nim.

Zbyt dokładnie zatarł za sobą ślady i dokładnie przemyślał każdą sytuację, w której coś mogło potoczyć się nie po jego myśli.

Nie, na pewno tak tylko mówiła, ale kiedy pomyślał, że w jakiś sposób udało jej się go rozszyfrować, przeżył chwilowy koszmar.

Otworzyły się drzwi i Steve podniósł głowę, spodziewając się, że ujrzy Dinah, która jako jedyna mogła wejść nie zapowiedziana.

Ale to nie była Dinah.

- Jayne!

- O wilku mowa, pomyślał i jego głos zabrzmiał ostrzej, niżby chciał.

- Myślałem, że jasno ci wytłumaczyłem, że życzę sobie, byś przed wejściem puknęła.

Uśmiechnęła się i weszła pewnie do środka, zamykając za sobą drzwi i opierając się o nie.

- Nie bądź taki srogi, kochanie!

Wpadłam, żeby umówić się z tobą na lunch.

Mierzył ją chłodnym wzrokiem.

- Nie jemy dzisiaj razem lunchu.

Przerwę obiadową spędzę z matką.

- Ach, z matką!

- Jej głos brzmiał jedwabiście miękko, ale to były tylko pozory.

- Jestem pewna, że zrozumie, kiedy powiesz jej, że wypadło ci coś niespodziewanego.

Ona jest bardzo wyrozumiała, jeśli chodzi o twoją osobę.

- Nie zamierzam mówić jej niczego podobnego.

Dlaczego miałbym to zrobić?

- Ponieważ cię o to proszę, słoneczko.

Niemal wybuchnął śmiechem - ale coś go powstrzymało.

Dziwiło go pewne siebie zachowanie Jayne.

- Przykro mi, Jayne, ale to nie ty wydajesz tu rozporządzenia.

- Och, kochanie, myślę, że już teraz tak.

- Znowu się uśmiechnęła, podchodząc do niego i kładąc mu na ramieniu dłoń, która wydawała się dziwnie władcza.

Steve poczuł, że jego ręce zaczynają się pocić.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Jak wspomniałam wczoraj, każdy ma coś do ukrycia, prawda?

Ja jestem szpiegiem przemysłowym, a ty jesteś...

No cóż, oboje wiemy, kim jesteś.

Ale taka szkoda Dinah, kiedy się dowie.

Nie spodoba się jej, zupełnie jej się nie spodoba, że tak ją oszukałeś.

A więc, sam widzisz, kochanie, że nie możesz pozwolić sobie na odmówienie mi.

Przecież ty masz o wiele więcej do stracenia niż ja.

Stevea oblała lodowata fala.

Nie blefowała - wiedziała.

Nie miał pojęcia, jak do tego doszła, ale bez wątpienia znała prawdę.

Jak zawsze w krytycznych chwilach ogarnął go spokój, umysł zaczął działać na zdwojonych obrotach, każdy zmysł, każdy nerw napiął się jak u zwierzęcia, które walczy o przetrwanie.

- Czy to szantaż, Jayne?

- spytał, próbując grać na zwłokę.

Roześmiała się niskim, chropowatym śmiechem.

- Po co to tak nazywać!

Teraz tworzymy towarzystwo wzajemnej asekuracji.

Ty znasz moją tajemnicę, ja twoją.

Jednak sądzę, że powinniśmy porozmawiać przy butelce szampana i...

- Palcami przeciągnęła po jego karku, pociągając z lekka za włosy spadające na kołnierz koszuli - ...

jeszcze coś.

- Szampan!

- powtórzył, ignorując zmysłowe pieszczoty, które jeszcze kilka godzin wcześniej wzbudziłyby w nim dziką żądzę.

- No cóż, to propozycja, której nie mogę odrzucić.

- Wiedziała, że spojrzysz na to moimi oczami, kochanie.

Czy ja mam się zająć organizacją?

Masz jakieś szczególne życzenia, na przykład co do miejsca?

- Nie - rzucił gładko.

- Mam lepszy pomysł.

Czy Drew nie mówił wczoraj, że się wybiera do Londynu?

To oznacza, że u ciebie nie ma nikogo, a jedyne miejsce, gdzie się nie kochaliśmy, to twoje łóżko.

To może być zabawne?

Nie przejmuj się szampanem, mam butelkę dobrze zmrożonego.

Zawahała się.

Nie do końca takie były jej plany, jednak pomysł Stevea krył w sobie coś cudownie podniecającego.

- Pojedziemy razem?

- Lepiej nie.

Zwolnij się na resztę dnia i jedź do domu...

przygotuj wszystko.

Dołączę do ciebie, jak uporam się ze sprawami tutaj - i wytłumaczę Dinah.

- Dobrze.

- Usta wykrzywiał jej uśmiech.

- Cieszę się, że przyznałeś mi rację.

Ale z drugiej strony wiedziałam, że tak będzie.

- Ruszyła do drzwi, powabna jak dobrze odżywiona kotka.

- Do zobaczenia później, skarbie.

- Do zobaczenia.

- Udało mu się przywołać na twarz uśmiech, ale kiedy drzwi się za nią zamknęły, opadł z ust jak maska.

Steve wstał i podszedł do okna, opracowując plan, który wpadł mu do głowy niemal w tej samej chwili, gdy zrozumiał, że Jayne nie tylko zna prawdę, ale zamierza użyć jej przeciwko niemu.

To będzie łatwe, jeśli porządnie zatrze po sobie ślady.

Już zapoczątkował realizację planu, przekonując Jayne, że jest bezpieczna.

Ona naprawdę sądzi, ta głupia dziwka, że pozwoli jej, by miała na niego haczyk.

To tylko potwierdzało, że zupełnie go nie zna.

Po kilku minutach zadzwonił do biura Dinah.

- Dinah, posłuchaj, przykro mi, ale coś mi wyskoczyło i mogę się spóźnić na lunch.

Spotkamy się na miejscu, dobrze?

- Zgoda.

Ale jeśli to dla ciebie niewygodne, możemy w ogóle odłożyć spotkanie.

Naprawdę nie będę się gniewała.

- Nie, przyjdę - upierał się Steve.

- Możesz coś dla mnie zamówić.

Zjem befsztyk z polędwicy z wszystkimi dodatkami.

- Jeśli chcesz...

- Tak, na pewno.

Odłożył słuchawkę i podszedł do biurowej lodówki po szampana.

Zapakował go w dużą brązową kopertę, żeby nikt nie zauważył, co niesie.

Następnie przeszedł do małej przebieralni, połączonej z jego gabinetem, uczesał włosy, umył ręce, po czym przeszukał kieszenie marynarki, która tam wisiała.

Wyciągnął apaszkę i przyjrzał jej się uważnie.

Delikatna, jedwabna - doskonała.

Zacisnął ją wokół dłoni, a potem schował do kieszeni.

Oczywiście ryzykował, ale nie widział innego wyjścia, a poza tym nigdy nie uciekał przed ryzykiem.

Prowadził niebezpieczne życie i, jak do tej pory, opłacało mu się.

Od lat kierował się maksymą: Nie biorę jeńców.

Nigdy dotąd nie wydawała mu się tak słuszna.

- Nie biorę jeńców.

- Nigdy nie brał, i teraz też nie zamierzał.

Stawka była zbyt wysoka.

Dinah przeszła korytarzem do biura Dona Kennedyego.

Uśmiechnął się znad biurka na jej widok.

Niezmiennie odczuwał przyjemność, gdy niespodziewanie zjawiała się u niego, mimo upływu lat.

- Dobre wieści, Dinah.

Zdaje się, że znaleźliśmy fundusze na twoje nowe przedsięwzięcie.

- Wspaniale!

Wiedziałałam, że ci się uda.

Zawsze ci się udaje.

Ale nie z tego powodu tu przyszłam.

Chciałam cię zaprosić na lunch ze mną i Stevem...

no, przynajmniej ze mną.

Steve miał zabrać mnie do restauracji, ale powiedział, że się spóźni, a nie mam ochoty siedzieć tam sama.

Będiesz mi towarzyszył?

Lekki rumieniec wypłynął na gładkie jak u dziecka policzki mężczyzny.

Dobry Boże, pomyślał, kiedy tylko patrzy na mnie tymi pięknymi oczami, czuję się jak nastolatek.

Na głos powiedział: - Będę zaszczycony.

Uśmiechnęła się do niego.

- Wiem, Don.

To wspaniale, że na tym przewrotnym i okrutnym świecie jest ktoś, na kim mogę polegać.

Zawieziesz mnie?

- Daj mi dziesięć minut.

Wyszła z biura i zobaczyła plecy Stevea schodzącego po schodach.

Spieszył się, więc miał z pewnością coś ważnego do załatwienia.

Podniosła rękę, by mu pomachać, ale nie odwrócił się, nie zauważył jej.

Jayne była w sypialni, kiedy usłyszała samochód Stevea na podjeździe.

Wyjrzała przez okno.

Zaparkował w głębi, żeby nie widać go było z drogi, następnie poszedł do tylnych drzwi.

Uśmiech tryumfu rozkwitł na jej ustach.

Myślała, że zjawi się nieco później - chyba rzeczywiście rzucił wszystko i wyruszył prosto do niej.

Nieważne, dlaczego tak się spieszył.

Czy zależało mu, by jak najprędzej znaleźć się przy niej, wypić szampana i kochać się, czy chciał się przekonać, jak wiele wie?

W tej chwili to ona miała przewagę w grze, którą nieprzerwanie prowadziła, i nie zamierzała jej stracić.

Wiedza, którą posiadała, była zbyt wielka, zbyt ważna.

Jego obecność tutaj potwierdzała to - ale Jayne i tak nie miała co do tego wątpliwości.

Zatrzymała się na sekundę przed lustrem, poprawiała czarny negliż, układając go wdzięcznie na ramionach.

Pod spodem miała czarny gorset z fiszbinami, który podnosił jej biust, wyłaniający się zmysłowo spod koszulki.

Steve powiedział kiedyś, że lubi, kiedy ubiera się na czarno, a chciała mu się podobać.

Zdobyła władzę nad nim poprzez odkrycie jego tajemnicy, ale nie zamierzała stracić innej władzy, tej, którą sprawowała z takim profesjonalizmem - siły seksu.

Zadowolona ze swojego wyglądu, przeciągnęła usta ognistą szminką - przy czerni jej kremowa karnacja bladła - następnie zeszła na dół.

- Widzę, że przywiozłeś szampana.
- Patrzyła na butelkę, którą Steve już w samochodzie, wyjął z koperty.

- A ty, widzę, jesteś już gotowa.

Uśmiechnęła się tajemniczym, a zarazem znaczącym uśmiechem i podała mu dwa kieliszki.

- Myślę, że powinniśmy wznieść toast za nasz nowy układ.

- Może wypijemy go w łóżku.

- Niecierpliwy, tak?

- droczyła się.

- Dlaczego nie?

Życie jest zbyt krótkie, by tracić cenne chwile, zwłaszcza że wyglądasz tak smakowicie.

- Zgoda.

Tym razem zrobimy tak, jak ty tego chcesz.

Prowadziła po okrągłych schodach do swojej sypialni, wspaniałego, ekstrawagancko umeblowanego na biało pokoju: białe kokardy na czterech filarach w rogach łóżka, białe ściany, głęboki, biały dywan.

Podeszła do łóżka, ściągnęła piękną kapę i poprawiła poduszki, po czym położyła się, przybierając zalotną pozę.

Steve zdjął kurtkę i starannie powiesił ją na krześle stojącym przy łóżku, następnie otworzył butelkę szampana, nalał trochę do dwóch kieliszków i jeden z nich podał Jayne.

- Za nas, kochanie.

- Podniosła kieliszek, uśmiechając się do niego.

- Za sukcesy we wszystkich naszych poczynaniach.

- Jednak tylko umoczył usta.

Szybko się rozebrał i położył obok kochanki.

- Steve!

Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłam!

- wymamrotała, kiedy wyjął kieliszek z jej rąk i zaczął ją całować.

- Nie wiesz, kochanie?

- Opuszczał ramiączka, oczami przebiegając po białej szyi.

Ale Jayne nic nie zauważyła.

Za bardzo była podniecona, za mocno rozkoszowała się zwycięstwem.

W oczach Stevea widziała jedynie podziw i pożądanie.

Wziął ją szybko, nawet na chwilę nie pozwalając jej przejąć inicjatywy.

Potem oparł się na łokciu i popatrzył w dół.

- Jak się dowiedziałaś, Jayne?

Zaskoczył ją tym pytaniem; w gorączce ostatnich minut prawie zapomniała o jego sekrecie.

Przeciągnęła się zmysłowo i sięgnęła po kieliszek.

- Myślę, że zachowam to dla siebie.

Wystarczy, że się dowiedziałam.

I bardzo mnie to cieszy.

Sądzę, że stworzymy doskonałą parę.

To śmieszne, kiedy się pomyśli, że każde z nas kogoś udaje.

Może to nas do siebie pchnęło.

I jeszcze zamięłowanie do seksu...

- Wybuchnęła niskim śmiechem.

Dobrze się bawiła.

Steve nie odpowiadał.

Jayne odstawiła kieliszek i przywarła do jego ramienia.

- Rozmawiaj ze mną, kochanie.

- O czym?

- No cóż, wiem, że nie jesteś synem Dinah - zaczęła.

- Chciałabym wiedzieć, kim jesteś naprawdę.

Wyciągnął leniwie rękę po apaszkę, która tkwiła w kieszeni marynarki.

- Tego, moja słodka - powiedział miękko - nigdy się nie dowiesz.

Steve.

Steve urodził się w stanie Vermont, w Nowej Anglii, w małym miasteczku blisko granicy z Kanadą.

Był trzecim dzieckiem z sześciorga, jego ojciec pracował w fabryce jako pomocnik, a mieszkali przy przelotowej ulicy w jednym z wielu małych i zniszczonych domków, które zajmowali pracownicy fabryki.

Jako mały chłopiec nie był nieszczęśliwy z powodu swojej egzystencji.

Porastające obrzeże miasta lasy stały się jego placem zabaw, w lecie pływał nago w pobliskiej rzece; zimą, kiedy rzeka zamarzała,

ślizgał się na niej albo zjeżdżał na sankach ze stromych zboczy wzgórz, otaczających miasto.

Wtedy nie przeszkadzało mu, że ma na sobie o numer za duże spodnie po starszym bracie, do których jeszcze nie dorósł, albo że goła pięta wystaje mu z podartego buta.

Nie brakowało mu jedzenia, matka dobrze gotowała, choć prosto, i nie przejmował się, że jego rodzina jada kolację o wpół do szóstej, a nie o ósmej jak w bogatszych domach.

W tamtych odległych czasach, kiedy życie przypominało ciągle wakacje, robił, co mu się żywnie podobało, zamiast tak jak inne dzieci męczyć się w ponurej szkole podstawowej, mieszczącej się w budynku zbudowanym na początku stulecia.

Wtedy nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby zazdrościć innym rodzinom, zamieszkującym przy zadrzewionych ulicach, w bogatszej okolicy, w domach tak starannie pomalowanych na biało, że aż raziły w oczy.

Także te większe z czerwonej cegły, otoczone równo wystrzyżonymi trawnikami, domy miejscowej elity, nie kłuły go w oczy, jak dla niego, należeć do innego świata.

Wtedy nie wiedział, co znaczy ambicja, chyba że chodziło o przewożenie drużynie piłkarskiej czy prześcignięcie innych chłopców w zawodach pływackich, co przychodziło mu z łatwością.

Na swój wiek Steve był wysoki i dobrze zbudowany, cieszył się tężyzną, która pozwalała mu na uprawianie każdego sportu i odnoszenie sukcesów.

Jego zwinność budziła w kolegach zazdrość, ale i podziw.

Przypochlebiali się mu, a on traktował to jak ich powinność i zdwajał wysiłki, żeby ich jeszcze bardziej zadziwić.

Dopiero jako nastolatek uświadomił sobie, że istnieją inne rzeczy warte pożądanja.

W starszych klasach bardziej liczyła się zamożność - dobre buty, skórzana kurtka, marka samochodu rodziców - i Steve zaczął się złościć, że jego rodzina na nic nie może sobie pozwolić.

- Bądź zadowolony, że nie musimy chodzić po zapomogę - powiedziała matka, kiedy skarżył się, że już od miesiący potrzebna mu jest nowa para dżinsów.

- Bądź zadowolony z tego, co masz.

- Ale Steve nie był zadowolony, nawet z faktu, że jego dzinsy stały się tak opięte, iż dziewczęta z klasy mijając go, chichotały zdziwione i pełne podziwu.

Dzięki spodniom zyskał sobie ich zachwyt, ale zarazem świadczyły one o biedzie jego rodziny.

Nie stać go było na kupno nowych ubrań, nie mówiąc już o tych najmodniejszych.

Żeby zrekompensować sobie swoją niższą pozycję, Steve starał się osiągnąć jak najlepsze wyniki w sporcie, a także wziął się do nauki.

Był inteligentny i lotny, dzięki czemu bez większego wysiłku dawał sobie radę.

Potem odkrył, że jeśli się przyłoży, może uzyskać najlepsze wyniki z każdego z przedmiotów.

Sukcesy w szkole na krótko usatysfakcjonowały go.

W wieku piętnastu lat Steve doznał poniżenia, które wyraźnie mu uświadomiło, że w małym mieście, takim jak Vermont, nie liczy się, co się robi, lecz kim się jest.

Przykra sytuacja związana była z pewną dziewczyną.

Nazywała się Lisa - Marie Ford, najpiękniejsza dziewczyna w mieście, zdaniem wszystkich miejscowych chłopców - mała blondyneczka, ze zgrabnym, zadartym noskiem, z długimi włosami, kręcącymi się na końcach.

Była niezbyt wysoka, dobrze rozwinięta, z wąską talią i sterczącymi piersiami, na które chłopcy gapili się, wytrzeszczając oczy.

Steve jak inni napawał się jej widokiem i marzył, co by z nią zrobił, gdyby się znaleźli sam na sam.

Ale minęło trochę czasu, zanim zdobył się na odwagę, by poczynić jakieś kroki.

Piękna Lisa - Marie miała opinię zarozumiałej i odmawiała wszystkim chłopcom, którzy chcieli się z nią umówić.

Steve wiedział, że zarówno jego reputacja, jak i samopoczucie bardzo by ucierpiały, gdyby zaproponował dziewczynie randkę i został odrzucony.

Pewnego dnia poczuł na sobie jej wzrok i rozpoznał w oczach dziewczyny te same emocje, które ogarniały jego, kiedy patrzył na nią - rozmarzenie i pożądanie.

To dodało mu odwagi.

Był środek lata, pływali w jeziorze, całą czeredą wygłupiali się w wodzie, zawsze lodowatej, kładli się na kamienistej plaży, by wyschnąć.

Jak zwykle Steve ścigał się z kolegami do odległej o pół mili, starej przystani i z powrotem, i pobił ich.

Ociekając wodą, wyszedł na brzeg, z jasnymi włosami przylepionymi ściśle do głowy.

Odwrócił się sprawdzając, jak daleko są rywale.

Najmniej dwadzieścia metrów.

Wybuchnął śmiechem, stojąc tak z rękami opartymi na wąskich biodrach, a słońce zamieniało krople wody na jego opalonym torsie w maleńkie diamenty.

Następnie skierował się do grupy dziewcząt, przyglądających mu się z podziwem.

Tylko Lisa - Marie nie patrzyła, wcierając olejek do opalania w ramiona, udając, że go nie zauważa.

Ale kiedy do nich podszedł, spojrzała na niego, a wyrazu jej oczu nie trzeba było tłumaczyć.

Steve poczuł zmysłowy dreszcz, następnie falę uniesienia.

Odwzajemnił dziewczynie spojrzenie, nie spuszczać z niej oczu, aż na jej policzki wystąpił blady rumieniec i odwróciła głowę.

Położył się na kamieniach, ignorując ją.

Jednak wiedział już z całą pewnością, że gdyby teraz poprosił ją o spotkanie, nie odmówiłaby mu.

Po południu spakowali się i ruszyli w drogę powrotną do domu, Steve obok Lisy.

Spojrzała na niego na pół wstydliwie, na pół kokieteryjnie, więc walnął prosto z mostu.

- Co robisz jutro?

Jej zuchwałe, małe usteczka wydeły się.

- To samo, co dzisiaj, myślę.

Pływanie.

Opalanie.

- Ale nie musimy robić tego z resztą, prawda?

Moglibyśmy pójść gdzieś sami.

- Gdzie?

Oni będą na plaży.

Nie po raz pierwszy Steve zapragnął mieć samochód.

Ale go nie miał i raczej się na to nie zanosilo.

W weekendy pracował na stacji u Raya Mallalieu, mył auta, a ostatnio pomagał przy prostych naprawach, ale i tak nigdy by nie zaoszczędził na taki luksus.

Pewnego dnia...

pewnego dnia.

Na razie musi sobie jakoś radzić.

- Znam inną plażę.

Trochę dalej...

- Poczul ucisk w gardle.

Nie byl juz taki pewny siebie.

Kazala mu czekac na odpowiedz cale trzydzieci sekund.

Lisa - Marie moglaby, jak powiedziala swej najlepszej przyjaciolce, Helen Maybury, zakochać się, ale nie zamierza zdobyć opinii łatwej dziewczyny.

Nagle, kiedy juz miał wzruszyć ramionami i odejść, ratując resztki godności, zgodzila się.

Umowili się na Main Street przed bankiem, w polowie drogi między domkami pracowniczymi a dzielnicą, w której stal ładny biały dom Lisy - Marie, otoczony zielenią.

Ponieważ się spóźniala, czekał na nią pod wiazem, gdzie na drewnianej ławeczce odpoczywali staruszkowie, przyglądając się światu.

Właśnie zaczynał się zastanawiać, czy nie wystawila go do wiatru, kiedy ją zobaczył.

Szła ulicą, wymachując dużą, kolorową torbą.

Miała na sobie wciętą szkarłatną bluzeczkę i krótkie spodenki i wygladala niewyobrazalnie pięknie.

- Cześć.

- Cześć.

Ruszyli w kierunku jeziora, w górę wzgórza na granicy miasteczka, potem w dół, przez chłodny las, gdzie zeszloroczne igły opadły z sosen zaścielaly poszycie, tworząc na nim miękki dywan.

Kiedy wyszli na słońce, skrecili w stronę plaży, prawie zasloniętej od strony jeziora.

Choć nie widzieli kolegów, którzy zebrali się w starym miejscu, mogli słyszeć ich krzyki i śmiechy niesione z wiatrem przez gęsto zalesiony pagórek i po wodzie.

To był cudowny dzień - magiczny, taki, który pamięta się do końca życia i na zawsze związany jest z jakimś dźwiękiem, zapachem, melodią.

Dla Steve była to piosenka Beach Boysów And we have fun, fun, fun, TUI her daddy takes the T - Bird away!

Budziła w nim smutek i tęsknotę za wolnością.

Ojciec Lisy - Marie mógł mieć Thunderbirda (w rzeczywistości jeździł Buickiem); jego ojciec na pewno nie.

Ostatnie pół roku było gorsze pod względem finansowym, ponieważ najstarszy brat Stevea, Dean, który, odkąd zaczął pracę w fabryce, wspomagał budżet domowy, zrobił swojej dziewczynie dziecko i musiał się żenić.

W tym samym czasie ojciec, prawdopodobnie zmęczony nierówną walką o przetrwanie, zaczął więcej pić.

Mówiło się też, że w fabryce dojdzie do zwolnień i matka, biorąc pod uwagę wiek i reputację ojca, bardzo się obawiała, że może znaleźć się on na liście zwolnionych.

Tego dnia jednakże groźba jeszcze większego ubóstwa nie miała żadnego znaczenia.

On i Lisa pływali, opalali się i rozmawiali.

Rozmawiali również o przyszłości.

Lisa - Marie zamierzała uczyć się dalej; Steve wiedział, że choć zdolności pozwalają mu na to samo, oczekuje się od niego, by skończył szkołę, znalazł pracę i finansowo wspomagał rodzinę.

Na krótko ogarnął go ponury nastrój, ale ustąpił, gdy chłopak pomyślał o sukcesach, jakie odniesie, kiedy zostawi nędzną Mili Street daleko za swoimi plecami.

Później, dużo później, pocałował ją po raz pierwszy i z przyjemnością przytulił się do jędrnego, okrągłego ciała dziewczyny zakrytego jedynie bikini w grochy.

Zapomniał o swojej niskiej pozycji społecznej, zapomniał o wstydzie z powodu wypłowiałych kąpielówek, zapomniał nawet o wątpliwościach, czy potrafi uprawiać miłość jak prawdziwy mężczyzna.

Bo choć miał powodzenie i nieustannie przechwalał się w szatni chłopięcej, to jego doświadczenie nie wychodziło poza szybkie pocałunki i obściskiwanie koleżanek na tyłach sali gimnastycznej.

Czytał dużo magazynów porno, tych, co leżą w sklepach na najwyższych półkach, i czasami zastanawiał się, czy sprawdzi się, kiedy dojdzie co do czego, czy nie okaże się fajtłapą, sprawiając zawód dziewczynie i rozbijając swój wizerunek mocnego mężczyzny na tysiące haniebnych fragmentów.

Te wątpliwości rozwiały się, kiedy miał w ramionach Lisę - Marie.

Tego dnia tylko ją całował - trochę namiętniej niż inne dziewczęta na tyłach sali gimnastycznej - ale jego ciało reagowało tak, że był pewny, iż w kulminacyjnym momencie instynktownie zrobi to co należy.

Leżał na boku, twarzą do Lisy - Marie, wolno i zmysłowo gładząc rozgrzane słońcem plecy dziewczyny, a jego ciało w naturalny sposób domagało się dalszych pieszczot, więc w gruncie rzeczy bardziej musiał się skupić na powstrzymaniu się niż na zastanawianiu nad dalszymi poczynaniami.

Całował ją, gryzł lekko i trzymał blisko, blisko, ale tylko od talii w górę, nie pozwalając, by ich biodra się zetknęły, gdyż bał się, że nie potrafiłby się opanować.

Na wszystko przyjdzie czas, nie będzie się spieszył.

Oczekiwanie i pożądanie zrobiło swoje i Steve zapomniał o całym świecie oprócz Lisy - Marie i emocji, jakie w nim budziła.

Po tygodniu - codziennie chodzili nad jezioro - wziął ją, bo nie mógł już dłużej czekać.

Poświęcił część cennego kieszonkowego na zakup prezerwatyw, o które poprosił skrepowany, ale schował do kieszeni spodni z uczuciem rozsadzającej go dumy.

Ocierająca o udo paczuszka budziła w nim takie podniecenie, że ledwo co mógł oddychać, trochę się też bał, jak Lisa - Marie zareaguje na fakt, iż był na tyle pewny swego, że zabezpieczył się i nie wiedział, w jakim momencie powinien się z tym ujawnić.

Ostatecznie wszystko potoczyło się o wiele prościej, niż sobie wyobrażał.

Lisa - Marie pragnęła go niemal tak mocno jak on jej, przytulała się do niego całym ciałem, kiedy jednak ściągnął jej majtki od

kostiumu, a ona po raz pierwszy poczuła go na sobie, odsunęła się, szepcząc chrapliwie: - Nie, nie wolno nam!

A on tak samo zachrypniętym głosem odpowiedział: - W porządku, mam coś.

- Masz?

- Głos uwiązał jej w gardle, po części z podziwu, po części ze strachu.

- Tak.

Chcesz, żebym założył?

- No, nie wiem...

Przycisnął się do niej mocniej, a ona jęknęła: - Tak...

och, tak...

Odwrócił się i sięgnął po paczuszkę, z której wyjął jedną prezerwatywę.

Bał się, że nie będzie umiał zręcznie jej założyć, że zajmie mu to zbyt wiele czasu i Lisa się rozmyśli.

Ale nie trwało to długo i kiedy pochylił się nad dziewczyną, ona objęła go wilgotnymi ramionami i pociągnęła na siebie.

Była podniecona i wilgotna, więc bez trudu w nią wszedł i choć w tym momencie głośno jęknęła, był tak podekscytowany, że prawie tego nie zauważył.

Najgorsze przyszło później, kiedy on był po wszystkim i zastanawiał się, jak się pozbyć zużytej prezerwatywy, a Lisa - Marie chciała jeszcze.

Po chwili przestała się wiercić i leżała bardzo spokojnie, przytulając się do niego mocno, z uśmiechem szczęścia na twarzy.

Ukrył twarz w jej ramieniu, wdychając z przyjemnością nikły słony zapach jej wilgotnej skóry, a ona szeptała coś do niego, ale tak cicho, że nie usłyszał.

Podniósł głowę.

- Co mówiłaś?

Otworzyła oczy, przyglądając mu się leniwie.

Usta miała pełniejsze niż normalnie, linia policzków zaokrągliła się.

- Kochasz mnie?

Pytanie trochę go zaskoczyło.

Miłość?

Nie istniało takie słowo w jego słowniku.

Miłość?

Nigdy o niej nie myślał ani też nie mówił.

Ale jeśli pragnienie kogoś tak bardzo, jak on pożądał Lisy - Marie, jest miłością, to prawdopodobnie kochał tę dziewczynę.

- No jak?

- nalegała.

- Taak, chyba tak.

- Powiedz to.

Proszę!

Nie mógł.

Starał się, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło.

- Steve, powiedz to!

Błagam!

- Do diabła, Lisa, gdybym nie...

nie robiłbym tego...

no nie?

Wydeła usta.

Na razie ta pokrętna odpowiedź jej wystarczyła.

Leżała na plecach i bawiła się kosmykami jego włosów, bezmyślnie okręcając je na palcach.

Poczuł, że znowu jej pożąda.

Czując, że się wierci, zachichotała.

- Steve!

Jesteś niesamowity!

Nie chcesz chyba...

nie możesz!

Nie drugi raz!

Chciał powiedzieć, że ma jeszcze dwie gumki i że może, ale nie wiedział, czy jej się to spodoba, a bał się przeciągać strunę.

- Widzisz, co ty ze mną robisz, Lisa?

- powiedział, podnosząc się i sięgając po szorty.

- Chodź, popływamy.

Złapała go za biodro.

- Cały czas nie powiedziałaś tego.

- Czego?

- Że mnie kochasz.

- Powiedziałem.

- Nie.

Powiedziałeś tylko, że nie robiłbyś tego ze mną, gdybyś mnie nie kochał, ale nie jestem taka pewna.

Wszyscy chłopcy tylko o tym myślą.

Wcale nie znaczy, że...

- Lisa, daj spokój.

Chodź popływać.

- Nie, dopóki nie powiesz mi, że mnie kochasz.

Musisz, Steve, bo inaczej pomyślę, że masz mnie za łatwą dziewczynę.

Nie uważasz tak, tylko dlatego, że ci pozwoliłam, prawda?

- Nie, nie uważam tak.

- I kochasz mnie?

- Tak.

- I zawsze będziesz?

Zaczynała go męczyć.

Gdyby nie wyglądała tak smakowicie, gdyby nie pragnął jej znowu, gdyby była jedną z dziewcząt z domków pracowniczych, a nie Lisą - Marie Ford, powiedziałby jej, żeby się odczepiła.

Ale nie chciał wszystkiego psuć.

Jeszcze nie w tej chwili.

- Tak.

A teraz pozwolisz mi założyć kąpielówki?

Bo jeśli nie, to zrobię to znowu.

Palce dziewczyny mocniej zacisnęły się na jego biodrze.

- Och, tak, Steve!

- wyszeptała tylko.

Było dobrze, lepiej niż dobrze.

Było wspaniale.

Steve czuł się jak król.

Później poszli się kąpać, potem suszyli się na plaży, a z daleka dochodziły ich, jakby z innego świata, krzyki kolegów.

Nic nie zapowiadało momentu, kiedy nagle i brutalnie zostanie mu przypomniane, kim jest i skąd pochodzi.

Tego wieczoru, ponieważ tak chciała Lisa - Marie, odprowadził ją do samego domu, do zielonej dzielnicy, gdzie mieszkała z rodzicami.

Ojciec Lisy był głównym kasjerem w miejskim banku, matka nie pracowała, jeśli nie liczyć opieki nad domem i rodziną.

Lisa - Marie miała młodszą siostrę, Jodie, która wkrótce powinna się stać tak samo piękna i zmysłowa.

Kiedy dotarli do ładnej, porośniętej drzewami ulicy, gdzie wszystkie domy, białe, z zielonymi ogródkami, przypominały dom Lisy - Marie, zaczął czuć się trochę niepewnie, nie bardzo rozumiejąc dlaczego.

Zatrzymał się przy furtce.

Dostrzegł Jodie siedzącą na werandzie w towarzystwie przyjaciółki.

Piły lemoniadę z dużego dzbanka.

Steve był coraz bardziej skrepowany, jakby patrzył na inny świat, krańcowo różniący się od tego nędznego, który znał.

Czuł się jak przybysz z obcej planety.

Ale dlaczego?

Był tak samo dobry jak oni - lepszy!

Pewnego dnia będzie miał większy dom od tego i luksusowy samochód.

- Chcesz iść dzisiaj do kina?

- zapytał wyzywająco.

Nie zastanawiał się w tej chwili, że na dwa bilety wyda resztę kieszonkowego.

- Dobra - zgodziła się.

Chciał ją pocałować, ale miał świadomość dwóch par oczu, obserwujących ich z werandy.

- Przyjdę po ciebie - rzucił.

- Koło siódmej?

- Lepiej o wpół do ósmej.

Mama nie lubi, kiedy spieszę się przy kolacji.

Kolacja!

Chryste!

- W porządku - powiedział na głos.

Wrócił do domu.

Jego mały, zniszczony dom, ze ścianami, z których złaziła farba, z matką, siedzącą na zewnątrz i obierającą ziemniaki na zdeformowanym krześle, nigdy nie wydawał mu się tak nędzny.

Przebrał się i dopiero, kiedy wyjął z kieszeni opakowanie z prezerwatywami i przełożył je do dzinsów, poczuł się lepiej.

Stanął przed domem Lisy - Marie, ale nigdzie jej nie widział.

Nie chciał podchodzić do drzwi i pukać.

Starał się wyglądać nonszalancko, kiedy tak stał, czekając na chodniku.

Uchylone drzwi otworzyły się na całą szerokość.

Wyprostował się.

Ale to nie Lisa - Marie pojawiła się przed domem, a jej ojciec, niski, krępy i łysiejący mężczyzna, z krzaczastymi wąsami.

Miał na sobie kremowe spodnie i taką samą koszulę.

Był wyraźnie zdenerwowany.

Twarz mu poczerwieniała, pod pachami pojawiły się plamy potu.

- Hej, ty tam!

- zawołał do Stevea.

- Ja?

- Tak, ty!

- Podszedł bliżej.

Poruszał się gwałtownie.

- Nie masz po co tu sterczeć.

Steve przełknął ślinę.

- Czekam na Lisę - Marie.

- Właśnie o tym mówię.

Nie masz po co na nią czekać.

Ona nie wyjdzie.

- Ale...

my idziemy do kina.

- Nie z Lisą - Marie.

Ona zostanie w domu.

A ty więcej tu nie przyłaż i nie zawracaj jej głowy.

- Jego już i tak mocno czerwona twarz spurpurowiała jeszcze bardziej.

Chłopak poczuł, że też się rumieni.

- Nie zawracam jej głowy.

Lisa mnie lubi.

- Ale mnie się to nie podoba, synu.

- Ostatnie słowo zabrzmiało jak obelga.

- Ani mnie, ani jej matce.

Lisa jest za młoda na spotkanie się z chłopcami, zwłaszcza z takimi jak ty.

- Co to znaczy...

takimi jak ja?

- Wiem, chłopcze, gdzie mieszkasz, na Mili Street.

Nie chcę, żeby tacy uganiali się za moją córką.

Zrozumiałeś?

- Nie, proszę pana, nie zrozumiałem - zaperzył się Steve.

- Rzeczywiście, mieszkam przy Mili Street, ale nie widzę...

- Czy mam ci to przeliterować?

To porządna okolica.

Jesteśmy porządnymi ludźmi.

Lisa - Marie otrzymała dobre wychowanie.

Nie chcę, żeby się zmarnowała przy takich jak ty.

Krew zawrzała w żyłach chłopaka.

Był tak wściekły, tak urażony, że z wielką chęcią rozwaliliby mu szczękę.

- Zawsze wybiera pan córce znajomych?

- spytał.

- A co z Lisą?

Czy ona nie ma nic do powiedzenia?

Twarz kasjera wykrzywiła furia.

- Nie odszczekuj mi, synu.

Mówię, żebyś się trzymał z daleka od Lisy, i lepiej, żebyś posłuchał.

A ona ma się trzymać z dala od ciebie.

Moja córka nie będzie się zadawała z białą biedotą.

Nie ma więcej mowy o wałęsaniu się nad jeziorem, rozumiesz?

Resztę wakacji Lisa spędzi z kolegami ze swojej klasy.

Steve nie ustępował.

- Chcę porozmawiać z Lisą.

- Wykluczone.

I powiem ci coś jeszcze, synu.

Wiem, co z ciebie za gagatek.

Tylko jedno w głowie.

Jeśli dotknąłeś choćby palcem mojej córki albo próbowałeś, naśle na ciebie policję.

A teraz znikaj!

Steve odszedł.

Ostatnia uwaga kasjera przestraszyła go.

Ogarnęła go złość, przeradzająca się w poczucie winy.

Zaczerwienił się po korzonki włosów.

Kiedy się odwrócił, zauważył, że poruszyła się firanka w oknie.

Nie wiedział, czy to Lisa - Marie czyjej matka, ale nie chciał wiedzieć.

Paczka kondomów z dwoma brakującymi wypalała mu dziurę w kieszeni.

Miał piętnaście lat, a czuł się jak wtedy, kiedy miał pięć i przyłapano go na kradzieży jabłek.

Tyle że wtedy odczuwał strach, strach przed policją, strach przed karą, strach przed laniem, a teraz dołączyły do tego wyrzuty sumienia - i wstyd.

Zrozumiał, dlaczego ojciec dziewczyny tak na niego napadł, i nie miało to nic wspólnego z tym, że chodzili z Lisą sami nad jezioro.

Nawet by tego nie zauważył, gdyby uznał go za odpowiedniego chłopca dla swojej córki; oczywiście, mógłby się martwić, co robią, ale nie aż tak bardzo jak teraz, gdy w grę wchodził on, Steve.

Zabroniłby im chodzić sam na sam, kazałby dołączyć do grupy kolegów, ale nie powiedziałby, że nie wolno im się w ogóle spotykać.

Steve gotował się w środku z urazy i złości.

Nie mógł znieść poniżenia.

A jeśli Lisa - Marie opowie ojcu, co robili?

Nie wyobrażał sobie, żeby zwierzyła się z własnej woli, ale może ją do tego zmusić biciem.

To, że uważał siebie za lepszego od ludzi mieszkających przy Mili Street, nie znaczyło, że nie użyje skózanego paska.

Na myśl o płaczącej Lisie ogarnęła go jeszcze większa wściekłość.

Był zły.

I bezradny.

Następnego dnia poszedł nad jezioro.

Poszedł sam, bo z natury był samotnikiem, choć, jeśli była taka potrzeba, potrafił się zintegrować.

Nie miał ochoty zwierzyć się komukolwiek.

Zraniona duma bolała.

Koledzy już tam byli, a między nimi Lisa - Marie.

Serce zabiło mu mocniej, w gardle pojawiła się gruda.

Usiadł koło dziewczyny.

- Cześć, Lisa.

Odwróciła się, by na niego nie patrzeć.

- Lisa...

wszystko w porządku?

Kiwnęła głową, ale jej nie odwróciła.

Czuł się dziwnie, brakowało mu słów.

- Wczoraj...

- Przepraszam cię za to - odezwała się zduszonym głosem.

- Mój ojciec, kiedy chce, potrafi być...

bardzo niemiły.

- To prawda.

Odwróciła się, a jej oczy wydawały się zadziwiająco ożywione.

- Czy potraktował cię...

naprawdę ohydnie?

- Naprawdę ohydnie.

- Nie mógł powstrzymać oburzenia.

- Uważa, że nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry.

- Taak.

- Pauza.

- Mam z tobą nie rozmawiać.

- Ale rozmawiasz.

Nie powstrzyma nas, Lisa, prawda?

- Nie wiem.

- Przesypywała między palcami kamyczki.

- Zabije mnie, jeśli się dowie, że się spotykamy.

A jeśli dowie się, że...

- Ale nic jeszcze nie wie?

- spytał z nadzieją w głosie.

- Cholera, nie!

Gdyby wiedział...

- Kocham cię, Lisa - rzucił desperacko.

Wtedy gdy go o to prosiła, nie mógł tego z siebie wydusić, teraz powiedział to bez zastanowienia.

- A ty kochasz mnie.

Prawda?

- Myślę, że muszę...

teraz.

- I nadal będziemy się widywali?

- Tak sądzę, ale musimy uważać.

- Och, oczywiście.

Twój ojciec nic nie odkryje.

- Zgoda.

- Ale mówiła nerwowo i niepewnie.

- Idziesz na spacer?

- Nie.

Nie teraz.

Dobrze mi tutaj.

Położył się na ziemi.

Patrzył na Lisę, pożądanie mieszało się w jego sercu z innymi uczuciami.

- W takim razie jutro?

- Może.

Zrozumiał, że to już koniec.

Nie wiedział, co kasjer powiedział córce, ale mógł się domyślić - podobne bzdury do tych, które rzucił jemu w twarz.

Teraz Lisa - Marie będzie patrzyła na niego oczami ojca, choćby nie wiadomo jak się starała, żeby było inaczej.

Choć jeszcze kilkakrotnie zostawali ze sobą sami, już nigdy nie było tak, jak na początku.

Steve nie wiedział, co dokucza mu bardziej, serce czy zraniona duma.

Przez jakiś czas miał wrażenie, że boli go całe ciało.

Ale kiedy tygodnie przechodziły w miesiące, a drzewa dokoła zmieniły liście z zielonych na czerwonożółte, tak pięknie cieniowane, że patrząc na nie, człowiek czuł ból, jego serce zaczynało zdrowieć, a do czasu, gdy drzewa zupełnie pogubiły liście, wystawiając do szarego zimowego nieba gołe palce gałęzi, zaczął nienawidzić Lisy - Marie za to, że odrzuciła go z tego powodu, że był, kim był.

Czasami nocą leżał rozbudzony w łóżku i planował zemstę na Fordach.

Myślał o włożeniu im do skrzynki na listy nasączonych benzyną szmat i podpaleniu ich.

Wyobrażał sobie, jak stoją przed zgliszczami swojego wymuskanego białego domku i rzewnie łkają za dobytkiem, który strawił ogień.

Te marzenia podniecały go.

Pewnego razu posunął się tak daleko, że przyniósł do domu kanister benzyny ze stacji i w jedną z bezksiężycowych nocy poszedł pod dom Lisy, stanął tam i, ściskając w kieszeni pudełko zapalek, napawał się poczuciem władzy.

Wyobrażał sobie, że spaliłby nie tylko dom, ale także Lisę - Marie i całą jej rodzinę.

Jednak nie wiadomo dlaczego, nie podpalił szmat.

Nie chodziło o to, że przejął się, iż stary mężczyzna może zginąć, złapany w pułapkę płomieni; to było mu obojętne.

Jednak choć nienawidził Lisy - Marie, nie chciał narażać jej na niebezpieczeństwo.

I było coś jeszcze.

Gdyby Fordowie zginęli, wszystko by się skończyło, nie miałby po co dłużej planować słodkiej zemsty.

A on pragnął smakować ją ciągle i ciągle.

Pewnego dnia nadejdzie jego czas.

Dostanie starego, a przez niego ugodzi w Lisę - Marie.

To rozwiązanie o wiele bardziej mu odpowiadało.

Jednak obraźliwe słowa ojca dziewczyny zrodziły w nim coś więcej oprócz nienawiści i pragnienia zemsty.

Wzmocniły jego determinację, żeby zerwać z tym nędznym życiem, które dotychczas wiódł.

Przyrzekł sobie, że już wkrótce ucieknie z tego miejsca, gdzie znano go jako syna robotnika z fabryki, mieszkającego w najbiedniejszej dzielnicy miasta.

Już wkrótce kupi sobie drogi samochód, będzie się ubierał w jedwabne koszule i zamszowe buty, już niedługo w jego kieszeniach nigdy nie zabraknie pieniędzy, będzie jadał w najlepszych restauracjach, umawiał się z najbardziej wytwornymi kobietami.

I nikt nie będzie śmiał patrzeć na niego z góry, żaden ojciec nie powie mu więcej, żeby nie szwendał się koło jego córki - przynajmniej nie z tych powodów, którymi kierował się stary Ford.

Tego dnia, kiedy skończyła się szkoła, Steve wrócił do domu i spakował swoje rzeczy do zniszczonej torby.

Nie było tego dużo.

Następnego dnia autostopem udał się na południe.

Miał tylko nikłe pojęcie o tym, dokąd się wybiera, ale dla niego południe oznaczało bogactwo i nie kończące się lato.

Jechał na Florydę.

Po drodze wynajmował się do przygodnych prac, by zarobić na jedzenie i kąpiel do spania.

Już na Florydzie postanowił zatrzymać się w Keys.

W miasteczku nie brakowało pracy.

Na jakiś czas całkowicie zapomniał o swoich ambicjach.

Nic się nie liczyło - ważne, żeby w kieszeniach spodni brzęczało kilka monet.

Najważniejsze to żyć, a życie tam oznaczało słońce, morze i seks.

Steve doskonale pływał, był wysoki, dobrze zbudowany, przystojny i zadowolony, że przewyższa wszystkich o głowę.

Dziewczęta spędzające wakacje w Keys tłoczyły się wokół niego.

Szybko odkrył, że wystarczy tylko mrugnąć albo zrobić niewinną propozycję, a natychmiast zostawał sówicie wynagradzany.

Były złote lata osiemdziesiąte, prezydent Reagan rządzący w Białym Domu przyrzekał koniec ciężkich czasów, przyszłość zapowiadała się obiecująco, także dla Stevea.

Tutaj nie liczyło się, kim jest, nikt nie znał jego pochodzenia ani się nim nie interesował.

Tutaj mógł się stać, kim tylko zapragnął.

Pracował niewiele - jeśli w ogóle można było to nazwać pracą.

Pływał, opalał się, a kiedy zapadał wieczór, jadł, pił i flirtował z długowłosymi blondynkami, które za nim szalały.

Początkowo brakowało mu finezji i subtelności, ale szybko się uczył i wkrótce był równie dobry w tym, co robił, jak i w tym, co mówił.

Ćwiczenia prowadzą do doskonałości, a tu, na Florydzie, miał mnóstwo okazji do ćwiczeń.

Jego edukacja nie obejmowała jedynie miłosnych podbojów.

Większość dziewcząt, z którymi się spotykał, pochodziła z bogatych domów - Steve pilnował, żeby jego wybranki należały do wyższej sfery.

Ojcowie tych dziewcząt prowadzili rozległe interesy, byli politykami, którzy zrobili pieniądze na handlu nieruchomościami, tekstyliami, bronią i książkami, a swoje polityczne ambicje zaspokajali u boku gubernatorów i kongresmenów.

Niektórzy z nich sami byli gubernatorami i kongresmenami!

Steve promieniał; w porównaniu z nimi stary Ford jawił mu się jako mały, napuszony urzędas, nadęty i zarozumiały.

Przygodne znajome nauczyły Stevea, jak zachowywać się w towarzystwie.

Czasami popełniał błędy, ale wybaczano mu je.

Ogólnie biorąc, uczył się szybko i łatwo wysławiania się, zachowania, nazw drinków i egzotycznych dań, dobierania odpowiednich strojów na różne okazje.

Zarazem jednak pod tą powierzchowną ogładą czaiła się dawna szorstkość, pozostałość po dawnym życiu.

Ta kombinacja działała zabójczo - i Steve zdawał sobie z tego sprawę.

Ale w końcu takie życie zmęczyło go, choć początkowo wydawało się to niemożliwe.

Pewnego dnia na przystani zacumował oceaniczny jacht, należący do międzynarodowego potentata przemysłowego.

Poszła plotka, że kapitan poszukuje dodatkowej załogi.

Steve widział dwudziestoletnią córkę właściciela; dziewczyna mu się spodobała.

Postanowił zaciągnąć się i po tygodniu był już na morzu.

Pracował w maszynowni.

Upał i pot, ciężka harówka, ale rekompensatą była Mary Jane.

Piękna, lubiąca się bawić i do cna znudzona swoimi nienagannie ostrzyżonymi kolegami ze szkoły.

Wkrótce Steve odwiedzał ją w luksusowym apartamencie, który ona uparcie nazywała "kabiną".

Jeśli jej ojciec wiedział, co się dzieje, nie pokazywał tego po sobie.

Po dwóch miesiącach Mary Jane wróciła na studia, a wraz z jej odejściem minęło zainteresowanie Stevea morzem.

Doszedł do wniosku, że być może nastał czas, żeby zarobić jakieś poważne pieniądze, choć na razie nie wiedział, jak się do tego zabrać.

Pojechał do Nowego Jorku, znalazł mieszkanie, pracę w nocnym klubie, rozglądał się i robił plany.

Zaczynał wątpić, że uczciwie uda mu się zdobyć fortunę, ponieważ oprócz swojego wdzięku, lotnego umysłu, nie miał żadnych kwalifikacji ani pieniędzy do zainwestowania.

Rozmyślał więc o zyskach, osiąganym z pracy nie zawsze zgodnej z prawem.

Właśnie wtedy odezwało się przeznaczenie.

Od czasu wyjazdu, kiedy to spakował swoje rzeczy i zniknął, Steve ani razu nie odwiedził Vermont, ale utrzymywał kontakt z rodziną.

Pewnego dnia otrzymał wiadomość, że matka jest chora i nie przeżyje więcej niż kilka miesięcy.

Postanowił wrócić do domu i zobaczyć się z nią.

Była wymizerowana, wymęczona latami ciężkiej harówki, sama skóra i kości.

Jej widok wzmógł w nim pragnienie zrobienia prawdziwej fortuny.

Przyrzekł sobie, że bieda nigdy więcej nie dostanie go w swoje szpony.

Siostrę spytał o Fordów.

Powiedziała mu, że się przeprowadzili - stary dostał awans i został dyrektorem jednej z filii banku w jakimś małym miasteczku, czterdzieści mil na południe od Vermont.

Lisa - Marie wyjechała z rodziną, ale wcześniej wyszła za mąż.

- Wyobraź sobie tego starego capa jako dyrektora banku!

- śmiała się siostra Stevea.

- Awansowali go, żeby się go pozbyć.

Ale ma same kłopoty.

Słyszałam, że na jego bank były już dwa napady z bronią.

Przypuszczam, że złodzieje nie mieli większych trudności.

Steve nic nie odpowiedział, ale jego umysł pracował gorączkowo.

Obrabować bank to banał, ale zarobek z tego dobry - wystarczy, żeby otworzyć interes, na przykład handel narkotykami.

Poza tym podniecała go perspektywa obrabowania starego pana Forda.

Dowiedział się wszystkiego, czego tylko mógł, a wracając do Nowego Jorku, zboczył z drogi i pojechał, do małego miasteczka, w którym Ford kierował bankiem.

Chciał sprawdzić to, czego się dowiedział; zdawał sobie sprawę, że ktoś z Fordów może go rozpoznać, ale był przygotowany na to ryzyko.

Ostatecznie nie natknął się na nikogo znajomego, chociaż nie tylko oglądał bank, ale i dom Fordów.

Przygotował plan, który go bawił oraz zaspokajał potrzebę zemsty.

Rodzina Fordów mieszkała w małym, ślicznym domku na obrzeżach miasta, trochę na uboczu, ale za to intymnie.

Prawdopodobnie obie córki były nieobecne, bo kiedy Steve obserwował dom, zauważył tylko starego Forda i jego żonę, Joan.

Domyślił się, że Jodie wyjechała do szkoły, a Lisa - Marie prawdopodobnie mieszka gdzie indziej wraz z mężem.

Zdziwił się, że nadal irytuje go myśl, iż Lisa jest z innym mężczyzną, ale tym bardziej pragnął zemsty.

Wrócił do Nowego Jorku przemyśleć swój plan.

Po miesiącu był z powrotem.

Wczesnie rano stanął przed posesją Fordów i zapukał do drzwi.

Otworzyła Joan Ford, ubrana w szlafrok narzucony na koszulę nocną, bez makijażu, ukrywającego zmarszczki na twarzy, która kiedyś musiała wyglądać jak twarz Lisy - Marie.

Steve, w kasku na głowie, wpakował jej w żebra pistolet i kazał wejść do domu.

Stary Ford jadł śniadanie; kiedy zrozumiał, co się dzieje, zaczął się trząść i mamrotać coś niezrozumiale.

Steve natychmiast poczuł przyływ adrenaliny do krwi oraz niewiarygodną satysfakcję.

- Idź do banku i opróżnij sejfy - rozkazał.

- Przynieś pieniądze tutaj.

Jeśli to zrobisz, nic się nie zdarzy.

Inaczej dostanie się twojej żonie.

I pamiętaj: żadnych sztuczek!

- Jak to...

teraz?

- Nie, ty dupku, o normalnej porze.

Rób tak, żeby wszystko wyglądało naturalnie.

Jak ci się to uda, twojej żonie nic się nie stanie.

Tylko pamiętaj, że jestem tu i celuję do niej z pistoletu.

Spróbuj czegoś, a odstrzele jej głowę.

- Dobrze!

Dobrze!

Zgadzam się!

- Ford z trudem wymawiał słowa.

Steve nie czuł do niego nic oprócz wzgardy.

Był pewien, że Ford go nie rozpoznał - kask spełnił swoją rolę - a ponieważ starszy mężczyzna widział go tylko raz, i to dawno temu, wiedział, że nie połączy go z chłopcem, którego niegdyś poniżył.

O stałej porze Ford wyszedł do banku.

Steve martwił się jedynie o to, że ktoś zauważy, że coś jest nie tak.

- Jeśli ktoś cię będzie pytał, powiedz, że musisz wrócić do domu, ponieważ twoja żona nie czuje się dobrze - poinstruował.

- Będę patrzył, czy wracasz sam.

- Zobaczył, że oczy mężczyzny stają się małe i płochliwe, a twarz spocona.

Zupełnie jak tamtego dnia.

- Czy wtedy odejdziesz, zostawisz nas w spokoju?

- Zabiorę ze sobą twoją żonę i wysadzę ją na obrzeżach miasta - poinformował Steve.

- Dla upewnienia się, że nie wyślesz za mną policji.

Ford wyszedł, a Steve przechadzał się po pokoju, przyglądając się fotografiom Lisy - Marie i jej siostry z dzieciństwa i celując w panią Ford na wypadek, gdyby przyszło jej do głowy uciekać.

- Proszę zrobić kawę - powiedział po jakimś czasie.

Pani Ford wyszła do kuchni, on za nią, zerkając na zegarek.

Wcześniej dokładnie wyliczył czas, jaki zajmie jej mężowi droga do banku i z powrotem.

Zostało im co najmniej dziesięć minut.

Pił w kuchni kawę, nie zdejmując rękawiczek ani kasku, kiedy usłyszał, że otwierają się drzwi frontowe.

Natychmiast stał się czujny.

Odbezpieczył pistolet, rozkazał pani Ford zostać na miejscu i wyjrzał do holu.

Młoda kobieta zdejmowała apaszkę z szyi, jasne włosy spadały jej na ramiona.

- Hej, mammo!

- zawołała.

- To tylko ja!

To była Lisa - Marie.

Na zasłoniętej twarzy Stevea pojawiły się kropelki potu.

Co ona tu, do cholery, robi?

Nie przewidział tego w swoim planie.

Dokładnie w tym momencie podniosła wzrok i kobieta zobaczyła go i natychmiast rozpoznała, kask niewiele tu pomógł.

- Steve?

- zapytała zaskoczona.

Zobaczyła pistolet i oczy jej rozwarły się szerzej ze zdziwienia i przerażenia.

- Co ty robisz?

Zrozumiał, że jeśli nie chce wylądować w więzieniu, musi zabić Lisę - Marie i jej matkę, zabić obie, ponieważ pani Ford stała tuż za nim i wszystko słyszała.

- Właźcie tu, obydwie!

- rozkazał, wymachując przed nimi bronią.

Pani Ford podbiegła do córki, przywarła do jej ramienia, łkając żałośnie.

W szlafroku i długiej koszuli nocnej wyglądała patetycznie i komicznie zarazem.

To niemal przyjemność wpakować jej kulkę.

Ale Lisa - Marie wpatrywała się w niego z głową wysoko podniesioną.

- Oszalałeś!

- Jej głos nie zmienił się.

Nagle przypomniał sobie jej ciało pod swoim na kamiennej plaży i zrozumiał, że nic jej nie zrobi, tak jak nie mógł kiedyś podpalić jej domu, bo ona spała w środku.

Śmieszne, że ta dziewczyna miała na niego taki wpływ.

Nienawidził jej, a mimo to jakaś część jego duszy nadal ją kochała.

- Stój tam i nie ruszaj się!

- krzyknął.

Cofał się korytarzem nadal celując z pistoletu.

Nie pozostało mu nic innego, jak uciec.

Do diabła z pieniędzmi.

Kiedy dochodził do drzwi, usłyszał podjeżdżający samochód.

Stary Ford wrócił.

Może ta przygoda nie skończy się całkowitym fiaskiem!

Stanął na końcu korytarza i kiedy Ford otworzył drzwi, był już przygotowany.

Stary niósł czarną torbę, Steve domyślił się, że są w niej pieniądze.

Błyskawicznie chwycił ją i wybiegł.

- Nie próbujcie niczego robić - ostrzegł.

- Niech się ktoś ruszy, a go zastrzelę!

Pobiegł do samochodu, wsiadł i włączył silnik.

Oblewał go pot.

Miał pieniądze, ale oni wiedzieli, kim jest.

Jego jedyna szansa to uciec i zgubić się w milionowym mieście.

Śmierdząca sprawa!

Powinien był ją zabić - powinien!

Gdyby był to ktoś inny, a nie Lisa - Marie, zrobiłby to.

Teraz jego plan wziął w łeb, nici z zemsty, a on musiał uciekać.

Nie dotarł daleko.

Fordowie musieli chwycić za telefon zaraz, jak jego samochód zniknął za zakrętem, bo zdążył odjechać tylko kilka mil, gdy usłyszał syreny policyjne.

Jechał jak szalony.

Adrenalina wspomagała jego wrodzone i nabyte zdolności, ale kiedy zobaczył przed sobą blokadę, stracił nadzieję.

Nie warto tracić życia.

Zahamował z piskiem opon i kiedy policjant podszedł do jego wozu, otworzył drzwi, zdjął kask i buńczucznie zapytał: - W czym mogę pomóc, panie władzo?

Wysłano go do więzienia stanowego w Nowym Jorku i to stało się momentem zwrotnym w jego życiu.

W więzieniu stosowano programy reedukacyjne i Steve został wybrany do jednego z nich.

Ponieważ zawsze dobrze pływał oraz miał wszystkie wymagane zdolności fizyczne i umysłowe, przydzielono go do grupy nurków.

Kurs okazał się ciekawy i atrakcyjny pod wieloma względami.

Uczył nie tylko technik nurkowania, ale i inżynierii podwodnej.

Mógł to być sposób na zrobienie dużych pieniędzy i rozpoczęcie kariery, a zacząć można było w jakimś zapomnianym miejscu na ziemi, gdzie nikt nie znał jego przeszłości.

Nie miał wyrzutów sumienia z tego powodu, że próbował obrabować bank, denerwowało go tylko to, że mu się nie udało.

Po wyjściu z więzienia podpisał kontrakt z międzynarodowym towarzystwem naftowym Excel Oil, które miało swoje odwierty na Morzu Północnym.

Zawsze chciał pojechać do Europy.

Surowe warunki przerażyły go, ale nurkowanie nadal go pociągało, a nadzieja na duże pieniądze rekompensowała przenikliwie zimno, długie, wyczerpujące godziny pracy oraz brak wszelkich przyjemności - alkoholu, kobiet i miłości.

W więzieniu Steve ponownie wrócił do swoich ambitnych marzeń, więc dużo czasu spędzał na rozmyślaniu o przyszłości.

Los zawiódł go do Excel Oil i dał mu do ręki atutową kartę.

Tą kartą okazał się Mac Macllroy.

Mac Macllroy był jednym z płetwonurków w drużynie Stevea.

Steve został wyznaczony do pracy w tak zwanych długoterminowych zmianach.

Pracował nieprzerwanie przez dwa tygodnie, a potem miał dwa tygodnie odpoczynku.

Załoga składała się z trzech osób - dwóch nurków i jednego dyżurującego.

Przez dwa tygodnie doświadczał długich godzin męczarni - dwanaście godzin pod wodą, a po nich ciasne ściany kabiny dekompresyjnej.

Wolne dwa tygodnie spędzał na lądzie, odsypiając, bawiąc się, jednym słowem, wynagradzając sobie ciężkie życie na platformie.

W tych warunkach trudno było o przyjaciół, natomiast łatwo o wrogów.

Rzadko kiedy nurkowie pracujący razem w jednej drużynie na platformie utrzymywali ze sobą kontakt na lądzie.

Steve i Mac stanowili wyjątek od tej reguły, choć różnili się zainteresowaniami i celami, które chcieli w życiu osiągnąć.

Mac wychował się w Gloucestershire, gdzie jego ojciec był szanowanym adwokatem.

Chodził do prywatnej szkoły dla chłopców, ale opuścił ją w wieku osiemnastu lat i zamiast iść na studia, zaczął pracować.

Po kilku latach pracy dla towarzystwa inżynieryjnego Mac zaczął się niepokoić.

Nie widział przyszłości związanej z dotychczasowym zajęciem, a ponieważ zawsze chętnie nurkował, postanowił, że wykorzysta swoje zdolności zawodowo.

Zgłosił się i został przyjęty na kurs w Fort William i tam w lodowatych, ciemnych wodach Loch Linnhe, nauczył się między innymi, jak wykorzystać wiedzę inżynieryjną pod wodą.

Nauczył się ciąć stal termiczną laną, wymieniać olbrzymie uszczelki z brązu, sprawdzać urządzenia wiertnicze, naprawiać je i wymieniać, jeśli zachodziła taka konieczność.

Wyćwiczył się w detonowaniu podwodnych ładunków wybuchowych, zakładanych na dnie jeziora, 450 stóp pod powierzchnią.

Mac był szczupły, ale silny, każdy centymetr jego ciała wypełniały stalowe mięśnie.

Miał ciemne włosy i oczy jeszcze ciemniejsze.

Jak Steve był raczej samotnikiem.

Ale w przeciwieństwie do Steve'a nie krył się z tym, i był prawdziwie szczęśliwy tylko w swoim towarzystwie.

Nie potrafił na siłę podtrzymać znajomości, spotkania towarzyskie nudziły go i irytowały.

Wolał czytać, słuchać muzyki, wędrować po dzikich okolicach niż wysiadywać w hałaśliwych, zadymionych barach.

Jednak pod niemal delikatną powierzchownością krył się człowiek ognisty i ze stali.

Rzadko był zdenerwowany, ale kiedy wpadł w furję, jego gniew wybuchał z siłą wulkanu i ci, którzy byli świadkami takiego wybuchu, nigdy go nie zapominali.

Mac i Steve mieli tylko jedną rzecz wspólną, imię - choć Mac nie używał go od lat.

W szkole do chłopców zwracano się po nazwisku i szybko koledzy ukuli z jego nazwiska skrót Mac.

Podobało mu się to - podczas gdy Snottys, Fastos i Weedys nie mogli się doczekać, kiedy pozbędą się swoich przezwisk, Mac adoptował swoje i zabrał ze sobą w świat.

Tylko rodzice mówili do niego Stephen.

Dla wszystkich pozostałych był po prostu Macem.

Prawdopodobnie on i Steve nigdy by się nie zaprzyjaźnili, gdyby nie zdarzenie, do którego doszło pewnego dnia w trakcie nurkowania.

Sprawdzali urządzenia w ciemnej, lodowatej wodzie pod platformą, a trzeci z grupy, wesoły londyńczyk, Des Taylor, dyżurował w kabinie.

W pewnym momencie Steve natknął się na obłuzowaną śrubę przy jednym z zaworów.

Nie było to nic nadzwyczajnego, więc przykucnął z nogami opartymi na szerokiej rurze, żeby nie dać się zmyć prądowi wody, i zabrał się za dokręcenie śruby.

Robił to już wiele razy bez żadnych niespodzianek, ale tym razem coś wyszło nie tak.

Kiedy całym ciężarem oparł się na masywnym kluczu, ten nagle ześliznął się, wystrzelił do tyłu i uderzył w szybkę hełmu Maca.

Szybka pękła i lodowata woda natychmiast zaczęła wdzierać się przez szczelinę, oślepiając całkowicie zdezorientowanego nurka.

Bąbelki powietrza wymykały się ze zniszczonego hełmu, a Mac bezradnie machał rękami, zdając sobie sprawę, że musi szybko dojść do dzwonu ratowniczego, bo inaczej utonie.

Jednak nic nie widział, a z powodu szoku nie potrafił działać racjonalnie.

Steve zareagował natychmiast.

Złapał kolegę, podciągnął do liny dzwonu i, krztuszącego się, wepchnął do włazu.

Des wciągnął ich do środka, zamknął właz i dał sygnał, że muszą natychmiast wracać na powierzchnię.

W tym czasie Steve starał się zatamować krwawienie na twarzy Maca, rozharatanej od uderzenia.

Wypadek nie był specjalnie groźny i dość często się zdarzał, jednak wystarczyło to, by między mężczyznami zadzierzgnęły się więzy przyjaźni.

Kiedy Steve przyjechał do pracy na platformę, znalazł sobie mieszkanie w Aberdeen, podczas gdy Mac wynajmował dom.

Po tym wydarzeniu zaproponował, żeby kolega przeprowadził się do niego.

- Wiesz, co mówisz, stary?

- upewniał się Steve.
- Tak - przekonywał go Mac.
- Dom jest stanowczo za duży dla mnie jednego.
- Nie dodał, że zawsze wzdrygał się na myśl, iż miałby go dzielić z kolegami, którzy po surowym życiu na platformie dostawali wściekliczny i rozrabiali ile wlezie.

Ale znał Stevea na tyle dobrze, by wiedzieć, że on się tak nie zachowa - choć nie na tyle dobrze, by znać mroczne sekrety jego przeszłości.

Co ja, do cholery, robię w takiej dziurze?

- zapytał Steve z irytacją.

Nurkowali przez cały dzień, gorąca woda w kombinezonach zdążyła już wystygnać i obaj marzli na kość.

Nie pomagało nawet wstąpienie do komory ciśnieniowej.

Palce Stevea z trudem poruszały się przy zatraskach hełmu.

Upadł nieporadnie na pokład, kiedy starał się zdjąć kombinezon.

Podniósł się szybko i zaczął pięciominutową rozgrzewkę, by zapobiec urazom związanym ze złym krążeniem.

Nogi się pod nim uginały.

Przełamał się siłą woli i jakoś odzyskał równowagę, a krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach.

W ciągu kilku sekund dotarł do kabiny i kiedy ciśnienie rosnęło, wprawiając go w stan, w jakim pracował przez cały dzień, zaczął się zastanawiać, dlaczego w ogóle myślał, że spodoba mu się nurkowanie, i dlaczego uwiązał tu, w tych straszliwych warunkach.

Przypomniał sobie Keys, niemożliwie gorące słońce i własne opalone ciało, i pomyślał, że musiał postradać zmysły, dobrowolnie z tego wszystkiego rezygnując.

Ale przynajmniej dobrze teraz zarabiał i nie bał się, że wyląduje w więzieniu!

Jeszcze kilka lat i ustawi się na całe życie, i to bez łamania prawa.

Steve rozluźnił obolałe kończyny i czekając na koniec dekompresji, rozmyślał, jak wykorzysta oszczędności.

Jakiś ośrodek wypoczynkowy, może nawet luksusowy, z terapią wodną, w którym zatrudni dietetyków i masażystów i gdzie wszystkie potrzeby ciała zostaną zaspokojone.

Wyposażył ośrodek w siłownię, salę gimnastyczną, gabinety i, oczywiście, w basen, saunę oraz w solarium.

Ta wizja rozgrzała nieco jego zziębnięte ciało i roześmiał się myśląc o przewrotności losu.

Najwyższy komfort osiągnięty najwyższym cierpieniem.

Naturalnie może zdecydować się na coś innego.

Ale cokolwiek by to było, postanowił, że pieniądze zarobione na platformie nie zostaną utopione w alkoholu i nie będą tracone na kobiety.

Za ciężko na nie pracował.

Proces dekompresji dobiegł końca, Steve, Mac i Des wrócili do swoich kabin, przebrać się w ciepłe i suche ubrania - grube swetry i dzinsy nałożone na kalesony, co przypominało Steveowi ojca, który tak się ubierał zimą, kiedy śnieg zalegał na wzgórzach Vermont.

Jednak nadal było mu zimno, nawet gorący napój i syta kolacja, składająca się z gulaszu wołowego z kluskami, a po niej słodki deser nie potrafiły przegnać z jego wnętrza zimna.

Trzej mężczyźni odpoczywali w kantine, potajemnie racząc się przemyconą brandy - alkohol był zabroniony na platformie - i frustracja na nowo dała o sobie znać.

- Co ja, do cholery, robię w takiej dziurze?

- rzucił Steve w przestrzeń.

Mały, korpulentny mężczyzna, powszechnie znany jako Tygrys, siedzący obok przy następnym stole, usłyszał go i roześmiał się.

- Tam do diabła, ja doskonale wiem, co tu robię: zarabiam pieniądze, żeby zapewnić dwóm żonom i sześciorgu dzieciakom takie warunki, do jakich zdążyli się przyzwyczaić!

- powiedział z wyraźnym szkockim akcentem.

- Możesz winić tylko siebie, Tygrys - upomniał go skrzekliwie kolega, a zarazem ziomek Szkota.

- Nie macha się szabelką gdzie popadnie!

Tygrys skrzywił się ze złością - wszyscy wiedzieli, że dwie kolejne żony, dziewczyna w Aberdeen i cała gromada dzieciaków, poczętych podczas jego pobytów na lądzie, systematycznie ogołacali go z pieniędzy.

- A jeśli już się zdarzyło, powinienesz szybko się zwijać - ciągnął potężny Szkot, Derek Bradley.

- Tylko Pan Bóg wie, ile spłodziłem bachorów, ale mnie to nie interesuje.

Zawsze mówię, Kochaj się, a potem spadaj.

- A te kobiety?

Nie martwisz się, że im ciężko?

- zapytał Des.

- Dlaczego?

W większości to kurwy.

Czyhają na nasze pełne portfele i chcą się zabawić.

No więc, spełniamy ich życzenia, a jeśli przez nieuwagę dostaje im się to, czego nie chciały, trudno, ich wina!

- To jak ci się wydaje, Del, co się stało z twoimi dziećmiakami?

- zainteresował się Tygrys.

Szkot wzruszył ramionami.

Podobało mu się odgrywać rolę mocnego faceta bez serca.

- Skąd mam wiedzieć?

Wyją uwieszone spódnicy mamusi albo u jakichś obcych ludzi na tyle głupich, że zgodzili się je wziąć.

Albo podusiły się w czasie porodu.

Co mnie to obchodzi!

- Chryste!

- odezwał się Mac.

Mówił niezbyt głośno, ale głosem pełnym złości i obrzydzenia.

Steve zerknął na niego i zauważył, że napinają mu się mięśnie na twarzy.

- O co chodzi, MacIlroy?

- zapytał Szkot arogancko.

- O to, co mówisz.

To obrzydliwe.

- A kto tak uważa?

- Ja.

Masz dużą gębę, Bradley...

- Nie tylko gębę!

- ...i powinieneś nauczyć się trzymać ją zamkniętą na kłódkę.

- Ach, tak?

- Bradley skrzywił się.

- A ty mnie do tego zmusisz?

- Bardzo możliwe, jeśli wreszcie się nie zamkniesz.

Bradley z ponurym grymasem na twarzy odtrącił krzesło.

Kłótnie, a nawet bójkі nie należały do rzadkości na platformie - kiedy kilku pełnych wigoru mężczyzn zamknie się na małej powierzchni na całe tygodnie, starcia są nieuniknione.

Jednak Mac, zazwyczaj spokojny i ugodowy, rzadko brał w nich udział.

- Odpierdol się, Mac - wysyczał Bradley.

- Idź się powiesić.

- Jesteś skurwysynem, Bradley!

- Mac zerwał się na nogi, zanim Steve lub Des zdążyli go zatrzymać.

Jego pięść wystrzeliła, kończąc lot na szczęce Szkota, który wraz z krzesłem padł do tyłu.

- No, wstań i powtórz, co przed chwilą powiedziałeś!

- wezwał go Mac.

Przez chwilę Bradley leżał nieruchomo tam, gdzie upadł, potem nagle, wyjął, skoczył na równe nogi.

Z pękniętych ust ciekła krew, a jeden z przednich zębów wystawał na zewnątrz pod dziwnym kątem.

- Ty sukinsynu!

- Na wpół oszołomiony, ale silny jak wół, ruszył na Maca i zaczęli walczyć, przewracając meble w kantine.

Początkowo pozostali dopingowali ich, ale widząc, że walka jest zacięta i może się źle skończyć, Steve, Des i kilku innych mężczyzn rzucili się do rozdzielenia przeciwników.

Teraz i twarz Maca była zakrwawiona.

Z pękniętej brwi lała się krew, a zranione miejsce zaczynało sinieć i puchnąć.

Miał podrapane kostki rąk, sweter cały zbryzgany krwią, dzinsy podarte, ale w jego wzroku nadal płonęła ślepa furia.

- Pamiętaj, żebyś w przyszłości trzymał ten niewyparzony pysk zamknięty - krzyknął przez ramię, kiedy Steve i Des odciągali go na bok.

- Do cholery, Mac, co cię napadło?

- dziwił się Steve, kiedy razem z Desem wlekli go do ich wspólnej kabiny.

- Ten facet to znany krzykacz, nikt o zdrowych zmysłach nie zwraca na niego uwagi.

- No to czas, żeby ktoś zwrócił - powiedział Mac przez spuchnięte i zakrwawione usta.

Steve i Des wymienili spojrzenia.

Oni bardziej niż inni zdziwili się gwałtownym zachowaniem kolegi - zupełnie nie znali go od tej strony.

Jednak w tym momencie nie liczyły się powody, dla których wpadł w taką wściekłość.

Musieli najpierw udzielić mu pomocy.

Gdyby nie byli ekspertami w opatrywaniu poobijanych pięści, Mac mógłby z rana żałować swojego wyskoku.

Przykro mi, chłopaki - odezwał się Mac.

Uspokoił się już.

Z twarzą wysmarowaną gencjaną i w plastrach wyglądał żałośnie.

- Przykro?

Nie ma powodu, najlepszy ubaw od tygodni - pocieszał go Des.

- Ale skąd ta wściekłość?

- Facet mnie wnerwił.

- Mac siedział na swojej koi ze zwieszoną głową, w dłoniach trzymał kubek z herbatą z odrobiną brandy.

- Gadał i gadał, i wydawało mu się, że jest taki cholerny mądrała.

Po prostu mnie wnerwił, to wszystko.

- Ale dlaczego?

- nie rozumiał Steve.

- Wszyscy wiemy, że pieprzy głupoty.

Nigdy przedtem się tym nie przejmowałeś.

- To dlatego, że gadał o dzieciakach, które można zostawić jak jakieś śmiecie.

Naprawdę mnie wkurzył.

Rozumiecie, byłem adoptowany.

Głupie, że się wnerwiłem, zazwyczaj nie rusza mnie taka gadanina.

Ale nie powiem, że żałuję, że mu przyłożyłem.

Należało mu się.

- To prawda - skrzywił się Des.

- Tylko ty też trochę oberwałeś.

- A więc, jeśli zostałeś adoptowany, pewnie nie znasz swoich prawdziwych rodziców?

- zainteresował się Steve.

Zaciekawilo go to; sam przez większą część dorosłego życia starał się zgubić swoje pochodzenie.

- Szczerze mówiąc, to znam, a raczej wiem, kim jest moja matka
- wyjaśnił Mac.

- Chciałem się dowiedzieć, więc odnalazłem akt urodzenia.

- I?

Mac potrząsnął głową.

- To śmieszne, jak rzeczy się układają.

Zawsze miałem w głowie obraz jakiejś ubogiej dziewczyny, która była zbyt biedna, żeby mnie zatrzymać.

Tak to sobie tłumaczyłem.

Wymyśliłem sobie nawet cholernie romantyczną historię, że odnajdę moją matkę i wszystko jej wynagrodzę, kupię ładne rzeczy, wiecie, o czym mówię.

Ale rzeczywistość okazała się trochę inna niż moje oczekiwania.

Przerwał.

Zdawał sobie sprawę, że mówi za dużo, ale bójka i alkohol rozwiązały mu język; że zapragnął podzielić się z innymi historią, której nie zamierzał nigdy nikomu zdradzić.

- No?

- popędzał go Steve.

- I co się okazało?

Nurek pokręcił głową.

- Klapa.

Nastawiłem się, że moja matka to nędzarka, żyjąca gdzieś kątem w zmurszałym mieszkanku czy coś w tym stylu.

Ale prawda okazała się nieco szokująca.

Moja matka, moja prawdziwa matka, wcale nie potrzebuje pomocy.

Mogłaby kupić mnie i sprzedać kilka razy.

Steve pochylił się.

- Kim ona w takim razie jest, do cholery?

Mac upił drinka krzywiąc się, kiedy gorąca ciecz dotknęła przeciętej wargi, ale i tak nie dorównywało to bólowi w jego sercu, irracjonalnemu bólowi odrzucenia, który od lat tlił się w jego duszy, a przemienił się w ogień, kiedy w końcu dostał do rąk swój akt urodzenia.

Ból w tej chwili był tak samo świeży, tak samo żywy, jak wtedy, gdy odkrył, że matka zostawiła go, ale nie z powodu ubóstwa.

- Czy słyszeliście kiedyś o Vandinie?

- zapytał.

Des wyglądał na zdziwionego, ale Steve wiedział.

- Mówisz o tej firmie od "Blżej natury"?

- Właśnie.

W takim razie pewnie słyszałeś o kobiecie, kierującej tym wszystkim, Dinah Marshall?

- Trochę.

- Dinah Marshall jest moją matką.

Steve gwizdnął cicho.

- Dinah Marshall to twoja matka?

- Tak właśnie napisane jest w akcie urodzenia.

- A ojciec?

- Nie ma o nim wzmianki.

Zapewne jakiś sukinsyn pokroju Bradleya.

- Kim jest ta Dinah Marshall?

- dopytywał się Des.

Steve wyjaśnił mu.

- O cholera!

- Des przeciągnął ręką po rzadkich włosach.

- Zgrywasz się, Mac, no nie?

- Czy żartowałbym z takiej sprawy?

- Odstawił kubek, sięgnął do kieszeni, wyjął z niej portfel, a z niego kawałek papieru.

- Tu macie czarno na białym, jeśli mi nie wierzycie.

Podał dokument Desowi.

Steve zaglądał mu przez ramię.

- Kurcze blade!

- rzucił.

Mac włożył akt urodzenia z powrotem do portfela.

Trzej mężczyźni siedzieli w milczeniu.

W tym momencie nie potrafili zrobić nic innego.

Czy myślałeś kiedyś, żeby skontaktować się z matką?

- zapytał Steve.

Byli z Macem sami, rozciągnięci na swoich kojach.

Leniwie przerzucali kartki "Playboya" i "Diving News".

- Tak, przyszło mi to do głowy.
- Ale nic nie zrobiłeś?
- Nie.
- Dlaczego nie?
- Wydawało mi się, że może nie być zachwycona, gdybym tak stanął przed nią ni stąd, ni zowąd.

Nie chciała mnie wtedy, więc dlaczego miałaby chcieć teraz?

- Może sytuacja uległa zmianie.

Może żałuje, że to zrobiła.

Słyszy się o kobietach, które oddają dzieci do adopcji, a potem latami myślą o tym, co się z nimi dzieje - pragną je zobaczyć, i tak dalej.

Mac milczał, więc Steve ciągnął: - Ona nie jest w stanie cię odszukać, prawda?

Nie udziela jej informacji o tobie.

Nie powiedzą jej, kto cię adoptował, nawet gdyby pytała.

To ty musisz zrobić pierwszy ruch.

- Zgadza się.

- No więc, dlaczego tego nie robisz?

- Żeby mnie znowu odtrąciła?

- Na twoim miejscu podjąłbym takie ryzyko.

Nie mógłbym się oprzeć, by nie stanąć z nią twarzą w twarz, dowiedzieć się, jaka jest i co ma do powiedzenia na swoje wytłumaczenie.

Może prawda jest inna, niż się tobie wydaje.

Może miała poważny powód, żeby cię zostawić.

- Bardzo prawdopodobne, ale nic mi nie przychodzi do głowy, oprócz tego, że byłem dla niej ciężarem.

- Ale jeśli nie dasz jej szansy wytłumaczenia się, nigdy nie poznasz prawdy.

Może będzie chciała ci to stokrotnie wynagrodzić, nie byłoby źle biorąc pod uwagę, kim jest.

Gdyby cię przyjęła, nie musiałbyś pracować do końca życia.

Oczy Maca pociemniały.

- Nic od niej nie chcę...

teraz.

Nic mi nie jest winna, do cholery.

- Jesteś szalony.

Warto o to powalczyć.

- Nic mnie to nie obchodzi.

Nie chciała mnie kiedyś, a ja nie chcę jej pieniędzy teraz.

Udławiłbym się nimi.

Zawsze miałbym wrażenie, że ona odkupuje przeszłość.

- Ale jednak broniłeś jej, kiedy walczyłeś z Bradleyem.

- To nie tak.

On mnie po prostu wkurzył.

Steve, daj spokój.

Steve pokręcił głową uważając, że Mac robi duży błąd.

Po wyznaniu kolegi znalazł trochę informacji na temat Dinah Marshall.

Potwierdziły to co już wiedział - firma Dinah Marshall, Vandina, była jedną z lepiej prosperujących i sławniejszych w świecie.

Dowiedział się, że Dinah i jej mąż, Van Kendrick, nie mają dzieci.

Gdyby Mac dobrze rozegrał swoją kartę, mógłby dużo wygrać.

Ale ten jak zwykle wzdragał się przed wykorzystaniem sytuacji.

To dla niego typowe.

- Nie jesteś przynajmniej ciekawy?

- znowu dopytywał się Steve, próbując zająć kolegę od innej strony.

- Chyba tak.

- Sam widzisz!

Co masz do stracenia?

Idź i zobacz się z nią, a przynajmniej do niej napisz.

Wyjaw, że wiesz, kim jesteś.

- Nie wiem...

- Na Boga, Mac, ja sam jestem ciekawy!

Spotkaj się z nią, kiedy wyjdiesz na ląd.

Ja bym tak zrobił!

- Pomyślę o tym - skwitował kolega.

Rzeczywiście myślał o spotkaniu z matką, a nalegania Stevea, zdopingowały go, choć kierowały nim zupełnie inne pobudki.

Mac naprawdę niczego nie oczekiwał od Dinah, a już z pewnością nie myślał o korzyściach finansowych.

Gdyby zaproponowała mu pieniądze, potraktowałby ten gest jako obrazę, zadośćuczynienie jej sumieniu, łapówkę, chęć odkupienia tego, czego dopuściła się tyle lat temu.

Ale przede wszystkim pragnął, żeby, wbrew jego przeświadczeniu, Dinah miała jednak powód, by oddać go do adopcji.

Tylko to się dla niego liczyło.

Nie jej sukcesy, nie rzeczy, które mogłaby podarować mu teraz i w przyszłości.

Po prostu chciał poznać prawdę, i to już od momentu, kiedy, w wieku lat szesnastu, przybrani rodzice wyjawili mu, że nie jest ich naturalnym dzieckiem.

Często się zastanawiał, co by to zmieniło, gdyby zawsze wiedział.

Prawdopodobnie nic, jednak z zastraszającą wyrazistością pamiętał chwilę, kiedy rodzice poprosili go, żeby usiadł, i wyjawili prawdę.

To był wstrząs.

Oczywiście wiedzieli, że źle postąpili, wyjawiając tajemnicę tak późno.

Pracownicy socjalni tłumaczyli im, że dziecko winno od początku być o tym poinformowane, żeby nic przed nim nie ukrywać.

Jednak ci biedni ludzie nie mogli się na to zdobyć.

Uznali, że lepiej dla niego, jeśli nie będzie czuł się inny niż reszta dzieci.

Chcieli, by czuł się całkowicie bezpieczny.

Postąpili tak w gruncie rzeczy bardziej ze względu na siebie niż na dziecko.

Wkrótce po zaadoptowaniu Maca przenieśli się do innego miasta, gdzie nikt nie wiedział, że Mac nie jest ich synem, i usilnie strzegli tej tajemnicy, bo wydawało im się, że fakt, iż sami nie mogli spłodzić dziecka, w jakiś sposób pomniejsza ich wartość.

Czasami martwili się, że Mac nie zna prawdy, czasami zapominali o tym zupełnie, oszukując samych siebie.

Ale on rósł i zdawali sobie sprawę, że wcześniej czy później będzie potrzebował swojego aktu urodzenia, a wtedy przekona się, że coś z nim nie tak, i zażąda wyjaśnień.

Wybrali dzień jego szesnastych urodzin.

Kupili mu magnetofon, komputer i parę drogich adidasów, o których marzył, prezenty, które przekraczały ich i tak wielką szczodrość.

Czuli się winni i mieli nadzieję, że staną się one dowodem, jeśli w ogóle taki był potrzebny, jak bardzo go kochają.

Czekali aż je rozpakuje; ojciec mocno zaciągał się fajką, choć zwykle nie palił, matka nerwowo kręciła się po pokoju.

A potem mu powiedzieli.

Mac słuchał ich jękających się głosów i nie wierzył.

O nic nie pytał.

Nie powiedział nic ponad: - Och!

- Był za bardzo wstrząśnięty.

Początkowo czuł jedynie przerażenie, nic więcej, przedzierające się przez chmurę wirujących, oderwanych myśli.

Potem, niespodziewanie, poczuł się straszliwie zażenowany i chciał uciec do swojego pokoju, żeby zostać sam.

Podniósł magnetofon, nadal jeszcze w papierze pakowym.

- Czy ma baterię, czy potrzebuje kabla?

Matka i ojciec wymienili spojrzenia.

Potrzeba ucieczki stała się wręcz paląca.

Nie czekając na odpowiedź, porwał magnetofon, pobiegł, przeskakując po dwa stopnie schodów, do pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

W magnetofonie były baterie; puścił go na cały regulator i rzucił się na łóżko.

Poprzez mgłę niedowierzania zaczęły się przedzierać inne uczucia, ale nie potrafił ich nazwać ani nawet nie próbował.

Rozumiał tylko, że jego świat się rozpadł - nic już nie było takie jak wcześniej.

Otworzył oczy, rozejrzał się po swoim pokoju i nawet on wydał mu się zmieniony - czerwono - czarna narzuta i takie same zasłony, mahoniowe meble, które pozwolono mu samemu wybrać, kiedy stał się nastolatkiem, stalowoszary dywan na cały pokój, jego pokój, jego kryjówka, jego samotnia, a jednak już nie jego, ponieważ należał do syna pary siedzącej na dole, a on nie był tym synem.

Przekręcił się, uderzył pięścią w zagłębienie drugiej dłoni, próbując zahamować natłok myśli, ale nie potrafił.

To nie był jego dom.

Nigdy nie był.

Nie on jest Stephenem Maclloyem.

Więc, kim jest, do cholery?

Po jakimś czasie wstał i podszedł do lusterka, stojącego na komodzie.

Popatrzył na swoją twarz, ale nowymi oczami.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że w ogóle nie jest podobny do ludzi, których nazywał swoimi rodzicami; teraz wydało mu się, że z lustra patrzy na niego ktoś zupełnie obcy.

Jego twarz, obramowana jasnokasztanowymi włosami, ciemnobrązowe oczy, mały dołek w mocnym podbródku - po kim je ma?

Wiedział, że przez następne dni, tygodnie, to pytanie nie da mu spokoju.

Jednak w tej chwili była to jedynie oderwana myśl.

Jego świat się rozpadł, to było ważne, a nie to, co może go zastąpić.

Jak oni mogli tak długo ukrywać przed nim prawdę?

- zastanawiał się i czuł złość.

Powinni mu powiedzieć, miał prawo wiedzieć.

Ale nie powiedzieli.

Pozwolili, żeby żył w kłamstwie, a teraz, tymi kilkoma wyważonymi zdaniami, usunęli mu ziemię spod stóp.

Nienawidzę ich!

- pomyślał, ale wcale się przez to nie poczuł lepiej.

Zawsze byli dla niego dobrzy; miał wszystko, czego zapragnął.

Nie powinien ich nienawidzić, bo go przyjęli i dali mu dom.

Ale powinni mu powiedzieć.

Powinni powiedzieć!

Stale i stale szarpały nim sprzeczne emocje, wir szalonych, zwariowanych myśli, dezorientacja i poczucie straty, jakby został osierocony, wrażenie, że został pozbawiony wszelkich praw, że to nie jest jego miejsce - i w ogóle nigdzie go nie ma.

Pukanie do drzwi.

Mac prawie go nie usłyszał zza dudniących dźwięków heavy metalu, płynących z magnetofonu.

Odwrócił się z wściekłością, kiedy drzwi otworzyły się ostrożnie i wyjrzała zza nich matka - nie, nie matka, obca kobieta, która nazywała siebie jego matką.

- Stephenie...

- Miała przerażoną twarz i wyglądała tak, jakby przed chwilą przestała płakać.

- Stephen, czy dobrze się czujesz?

Nie!

- chciał krzyknąć.

Nie czuję się dobrze i nigdy nie będę!

Ale nie zrobił tego.

Kobieta weszła do środka, zamykając za sobą drzwi.

- Stephenie, proszę, nie bierz sobie tego tak do serca!

Wiem, że przeżyłeś wstrząs, ale...

- Dlaczego nie powiedzieliście mi wcześniej?

- Chcieliśmy ci tego oszczędzić.

I nigdy nie myśleliśmy o tobie inaczej jak o naszym synu.

Chciał powiedzieć, że jej nie wierzy, że nie uwierzy, iż potrafili zapomnieć, że nie jest ich naturalnym dzieckiem, ale milczał.

Matka była tak przybita, że mimo własnego bólu i złości, wzdragał się przed sprawianiem jej dalszego cierpienia.

Zerknął na swoje odbicie w lustrze, na masywną sylwetkę w koszulce do rugby i niebieskich džinsach.

- Więc - odezwał się - kim jestem?

Pokręciła głową, obejmując się ramionami, jakby było jej zimno, choć w pokoju było ciepło, nawet za ciepło.

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie wiem.

Kiedy adoptuje się dziecko, nie można wiedzieć, kim są jego naturalni rodzice.

To tajemnica.

Patrzył na nią, jakby jej nie wierzył, a ona tłumaczyła dalej roztrzęsionym głosem: - Daję ci tylko kilka wskazówek co do pochodzenia dziecka.

Twoja prawdziwa matka była studentką.

Zdaje się, że studiowała na akademii sztuk pięknych.

Była bardzo młoda i nie miała rodziny, która mogłaby jej pomóc.

Podejrzewam, że dlatego cię oddała - nie stać jej było na utrzymanie ciebie.

Ale ja ogromnie się z tego cieszę, Stephen.

Całe te lata jestem jej wdzięczna...

Zignorował te słowa.

- A mój ojciec?

- O nim nie wiem zupełnie nic.

Nie podano mi żadnych szczegółów.

Podejrzewam, że nie chciała ujawnić, kim był.

- Zamilkła.

Nie chciała zdradzić swego podejrzenia, że być może prawdziwa matka Stephena lekko traktowała życie - według niej studenci sztuk pięknych często byli na bakier z moralnością - i prawdopodobnie w ogóle nie wiedziała, kim był ojciec.

- Stephen - odezwała się, podchodząc do syna i wyciągając rękę, by go do siebie przytulić - nie musisz zadrećzać się tymi sprawami.

My jesteśmy twoją rodziną, jesteśmy nią od momentu, kiedy miałeś zaledwie kilka dni.

Dla nas jesteś naszym dzieckiem!

Nie odpowiedział.

Nie mógł.

Dławiły go łzy.

- To, że cię nie urodziłam, niczego nie zmienia...

I wtedy przełamał się, zawołał ostrym i zażawionym głosem: - O tak, zmienia!

Może nie dla was, wy zawsze wiedzieliście.

Ale ja nie wiedziałem.

Przez te wszystkie lata nic nie wiedziałem!

Dla mnie to ogromna różnica!

I rzeczywiście tak to czułem.

Nastąpił okres rebelii, rok, w którym sprzeciwiał się ich najdrobniejszemu prósbom, opuścił szkołę, wbrew ich pragnieniom, i poszedł do pracy.

Buntował się, ponieważ czuł się pokrzywdzony i paliła go złość, ponieważ stracił tożsamość i starał się na nowo ją odnaleźć.

Stary wizerunek był obecnie nie do przyjęcia, Stephen nie był tym, kim myślał, że jest.

Nawet nazwisko nie należało do niego.

Po raz pierwszy pragnął, żeby koledzy nie nazywali go Mac.

- Mac to skrót od Maclroy, a Maclroy to ich nazwisko, nazwisko, które oni mu nadali.

Zbolały i zagubiony nieustannie atakował rodziców.

Po jakimś czasie rany zaczęły się goić.

Czasami całe dni nie myślał o tym, potem tygodnie, aż w końcu odzyskał pewność siebie.

Tylko że teraz pojawiło się w nim coś, czego wcześniej w nim nie było.

Zawiesił broń i rodzice dziękowali Bogu, że jakoś zaakceptował tę sytuację, a oni nie muszą więcej kłamać i oszukiwać.

Uwierzyli, że wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

A ponieważ ich kochał i chciał oszczędzić im cierpień, nigdy nie pokazywał, że nadal czuje się dziwnie niepełny albo że czasami późno w nocy nachodzi go pragnienie, by poznać prawdziwą matkę i powody, dla których oddała go obcym ludziom.

W takich chwilach fantazjował na jej temat, wyobrażał sobie zabłąkaną dziewczynę, samotną, przerażoną i ciężarną.

A kiedy uzyskał pełnoletność zgłosił się po swój akt urodzenia.

Był to ogromnie ważny moment, kiedy dostał w ręce ten dokument.

Przeczytał go, a krew zaczęła pulsować mu w uszach.

Dinah Marshall.

Jego matką jest Dinah Marshall.

Powszechnie znane nazwisko, jak najślawniejszych wynalazców czy potentatów przemysłowych.

Mac nie interesował się modą; sławne nazwisko Marshall nic by nie znaczyło, gdyby kilka dni wcześniej nie czytał o Vandinie i ogromnych sukcesach finansowych tej firmy.

Nie wierzył własnym oczom.

Powtórnie przeczytał informację, potem jeszcze raz.

Dinah Marshall.

Czy to możliwe, że istnieją dwie kobiety o tym samym nazwisku?

Ale adres zamieszczony w akcie urodzenia zgadzał się z miejscem jej zamieszkania, zgadzał się także jej wiek.

Poza tym Dinah Marshall studiowała kiedyś sztuki piękne.

To więcej niż zbieg okoliczności.

To była prawda!

Kiedy początkowe zaskoczenie minęło, Mac od nowa zaczął odczuwać złość i ból, że został odrzucony.

Dinah Marshall nie była biedną dziewczyną.

A jednak, z jakichś powodów, z własnej woli oddała go obcym ludziom i poszła swoją drogą - drogą kariery - jakby on wcale nie istniał.

Choć wcześniej myślał, by się z nią spotkać, teraz porzucił te plany całkowicie.

Nie chciał poznać takiej kobiety.

Mógł obejść się bez życia, które ona prowadziła.

Teraz, po latach, leżąc na koi, na platformie wiertniczej, i bezmyślnie wertując "Mayfair", zastanawiał się ponownie nad słowami Stevea Lomaxa; rozważał, czy kolega nie miał racji.

Może powinien poznać Dinah Marshall, choćby tylko po to, by zaspokoić ciekawość i spróbować wyleczyć głęboką i jątrzącą się ranę.

Może następnym razem, kiedy wyjdzie na ląd, spotka się z nią.

A potem na zawsze wyrzuci ją z pamięci.

Ostatnią rzeczą, o której myślał, było po prostu pojawić się na stopniach domu Dinah i zaanonsować, że wrócił jej dawno zaginiony syn.

To byłby dla niej za duży szok, tłumaczył sobie, i oboje czuliby się nieswojo.

Napisał więc list, z wyjaśnieniem, kim jest, jak odkrył, że Dinah jest jego matką, i zapytał, czy może się z nią zobaczyć.

Odpowiedź wraz z inną pocztą została dostarczona helikopterem po tygodniu.

Treść listu zaskoczyła go.

W głębi serca liczył na jakieś wyrazy radości od kobiety, która go urodziła; patrząc bardziej realistycznie, przygotował się na całkowite odrzucenie.

Ani to, ani to.

List, napisany na maszynie na papierze listowym i podpisany nie przez Dinah, ale przez jej męża, Vana Kendricka, zwięźle i oficjalnie komunikował mu, że jeśli zechce skontaktować się z jego nadawcą pod podanym numerem telefonicznym, z przyjemnością zgodzi się on na ustalenie terminu spotkania.

Mac był zaskoczony i skonsternowany, ale przynajmniej rozwiął list jedną z najbardziej dokuczliwych obaw - że Dinah trzymała w tajemnicy przed swoją najbliższą rodziną fakt posiadania nieślubnego dziecka i że swoim ujawnieniem się przysporzył jej kłopotów.

Okazało się, że niepotrzebnie się przejmował.

Van Kendrick wiedział o jego istnieniu i co dziwniejsze, to on prosił o spotkanie.

Mac instynktownie wyczuwał, że coś jest nie tak.

Gdyby Dinah miała ochotę zobaczyć go, z pewnością sama odpisałaby na list.

Oczywiście, nie mógł wiedzieć wszystkiego - czytał gdzieś, że Dinah jest głównym projektantem, a całą firmą zarządza jej mąż.

Możliwe, że nie potrafiła przełamać wieloletnich nawyków.

Ale i tak nic go to nie obchodziło.

Przy następnym zejściu na ląd udało mu się załatwić przelot z Aberdeen do Bristolu samolotem, który pięć razy w tygodniu dostarczał na platformę pocztę.

Była ciężka zima, w Aberdeen padał gęsty śnieg, a na południu niebo przysłaniały czarne chmury.

Pilot, zajęty nawigacją w ciężkich warunkach, niewiele się odzywał, co bardzo Macowi odpowiadało.

Zaczynał się denerwować na myśl o spotkaniu i był wdzięczny losowi, że nie zmusza go do prowadzenia banalnych rozmów.

Dwusilnikowy samolot wylądował na lotnisku East Midland o jedenastej w nocy, by po dwóch godzinach przerwy ponownie wystartować.

O drugiej w nocy byli w Bristolu.

Mac wyskoczył na ziemię przed hangarem, gdzie samolot czekał na rozładunek, i po wymamrotaniu podziękowań, zaczął się zastanawiać, gdzie spędzi resztę nocy.

- Wiesz może, w jakim hotelu znajdę pokój o tej porze?

- zapytał.

- Przypuszczam, że w każdym z tych większych.

Sam nigdy z nich nie korzystam.

Jak zamierzasz się tam dostać?

- Taksówką.

- Zapomnij o tym.

- Pilot zaciągnął suwak torby lotniczej i zawiesił ją sobie na ramieniu.

- Lepiej chodź ze mną.

Będziesz się musiał przespać na kanapie, ale to lepsze niż nic.

No już, ruszajmy.

Zmarzłem na kość i zaraz zasnę na stojąco.

Życie na platformie nauczyło Maca przystosowania się do każdych warunków.

Kanapa okazała się tak krótka, że nie mógł wyprostować nóg, ale kiedy owinął się w gruby koc, poczuł się jak w niebie.

Zasnął, zanim skrzypienie schodów dało znać, że pilot udaje się na górę do sypialni, i spał nieprzerwanie do samego rana, aż żona pilota obudziła go filiżanką herbaty.

- Przykro mi pana budzić, ale muszę iść do pracy.

- Jej ton brzmiał nieco chłodno; była mniej niż zadowolona, znajdując obcego mężczyznę w swoim pokoju gościnnym.

Po wypiciu herbaty ubrał się i starannie złożył koc.

Żona pilota, już spokojniejsza, zaproponowała mu śniadanie, ale odmówił - nie chciał się jej narzucać, a kolega z pewnością odsypiał swój nocny lot.

Szybko się umył, ogolił i wyszedł; autobusem dojechał do miasta, gdzie zarejestrował się w pierwszym napotkanym hotelu.

Następnie, jedząc jajecznicę na boczku i popijając herbatę, zadzwonił do Vandiny i poprosił o rozmowę z Vanem Kendrickiem.

- Mówi Stephen MacIlroy - przedstawił się, kiedy recepcjonistka go połączyła.

- To ja pisałem i prosiłem o spotkanie z Dinah Marshall.

- Aha.

- Mężczyzna po drugiej stronie mówił głębokim i mało zachęcającym głosem.

- A więc przyjechał pan.

- Tak, jestem w Bristolu - potwierdził Mac.

- Zeszłej nocy przyleciałem z Aberdeen.

- Gdzie się pan zatrzymał?

- W Unicorn.

Prawie w samym centrum.

- Wiem, gdzie to jest.

Czy ma pan samochód?

- Nie, ale mogę wynająć.

- Bardzo dobrze.

Spotkamy się dzisiaj wieczorem.

Proszę zapisać adres.

To mieszkanie w Cotham.

Myśli pan, że da pan sobie radę ze znalezieniem go?

- Przypuszczam, że tak - rzucił Mac już trochę poirytowany.

- O której?

- Dziewiętnasta trzydzieści.

- Będę tam.

- Odłożył słuchawkę zły na siebie, że pozwolił tamtemu mężczyźnie tak się potraktować.

Jeśli nie chcieli go widzieć, wystarczyło powiedzieć, a nie musiałby odbywać długiej podróży z Aberdeen.

Ranek spędził na spacerowaniu po Bristolu, zjadł lunch w pubie, po czym wynajął samochód.

Następnie wrócił do hotelu i przespał się, by odrobić poprzednią noc.

Kiedy się obudził, było już ciemno, a gęsta mgła oplatała miasto.

Mac przez sekundę pomyślał o pilocie, dostarczającym pocztę do Aberdeen w tej swojej łupince.

Potem wziął długą kąpiel, w czasie której rozmyślał o nadchodzącym spotkaniu.

Zobaczenie matki po raz pierwszy w życiu to porażające doznanie.

Zaczął się zastanawiać, czy nie zrobiłby lepiej, gdyby pozostawił wszystko tak, jak było.

Ale już za późno na zmianę decyzji.

Zanim wyruszył do Cotham, zszedł do baru na drinka, ale i tak odnalazł adres kilka minut przed czasem.

Stał na chodniku i patrzył w górę na budynek - wysoki, klasyczny, imponujący na tyle, żeby stać się miejscem zamieszkania założycieli Vandiny, ale Van Kendrick mówił o mieszkaniu.

Mac sprawdził nazwiska przy dzwonekach i odnalazł Kendricka, ale tylko jego.

A więc nie tu mieszka cała rodzina.

To musi być coś w rodzaju garsoniery.

Zerknął na zegarek, przestąpił z nogi na nogę i znowu sprawdził, która godzina.

Potem, decydując się nie czekać, aż wybije równo siódma trzydzieści, nacisnął dzwonek.

Po chwili usłyszał głos Vana Kendricka.

- Kto tam?

- Stephen Macllroy.

Cisza, ale po chwili: - Wspaniale.

Proszę wejść.

Drzwi otworzyły się po przeciągłym dzwonku i Mac wszedł do środka.

Klatka utrzymana była w stylu wiktoriańskim: witrażowe okna, rzeźbione gzymsy, szerokie schody.

Myśląc, że wolałby teraz nurkować pięćset stóp pod wodą, niż znajdować się w tym miejscu, zaczął wspinać się po schodach.

Na piętrze otworzyły się przed nim drzwi i po raz pierwszy w życiu stanął twarzą w twarz z Vanem Kendrickiem.

Mac od razu wiedział, że ma przed sobą człowieka silnego i pewnego siebie.

Van nie był mężczyzną wysokim, ale ci, którzy na niego patrzyli, rzadko zwracali na to uwagę.

Mac także tego nie zauważył.

Miał w sobie coś takiego, że natychmiast czuło się przed nim respekt, a tym czymś, to była niesamowita pewność siebie.

Ku swemu zdziwieniu Mac nie przestraszył się, ale wykazał podobną pewność siebie, którą czerpał z rezerw własnej, wewnętrznej siły.

- Pan Macllroy - powiedział Van.

- Proszę wejść.

- Dziękuję.

- Wszedł do środka za gospodarzem.

Pokój okazał się zaskakująco duży i przestronny, z witrażowymi oknami, rzeźbami i wspaniałym kominkiem.

Zawierał mało mebli, za to gustowne; zasłony koloru wina i takie same narzuty, duży, barwny dywan pokrywał niemal całą, pomalowaną na czarno podłogę, lampy - wszystkie zapalone - złote i jasnoniebieskie, staroświecki obrotowy fotel z mahoniu lakierowanego na wysoki połysk z oliwkowym skórzanym obiciem.

Ogólnie pomieszczenie sprawiało wrażenie bardzo męskiego w stylu.

Nie było widać kobiecej ręki - a już na pewno nie ręki Dinah, znanej z upodobania do delikatnego, kobiecego stylu.

Mac rozejrzał się z nadzieją, że zaraz ją zobaczy, ale nie pojawiała się.

- Panie Macllroy.

- Van spojrzał na zegarek, dużego srebrnego Pateka.

- Mogę panu poświęcić piętnaście minut.

Może drinka?

- Nie, dziękuję - odmówił, obrażony oschłością tamtego.

- Prowadzę.

- Wspaniale.

A więc, proponuję, żebyśmy bez zwłoki przeszli do sprawy.

Czego dokładnie pan chce?

Mac poczuł, że znowu ogarnia go wściekłość, ale opanował się rozumiejąc, że nie powinien oczekiwać niczego innego.

- Jak pisałem w liście, ostatnio odebrałem swój akt urodzenia i pomyślałem o nawiązaniu kontaktu.

Ciemnogrnatowe oczy przenikały go na wskroś.

- Rozumiem.

- Przerwa.

- Nie owijajmy w bawełnę, Macllroy.

Wątpię, czy tak chętnie nawiązywałby pan kontakt, jak to pan określa, gdyby okazało się, że pańska matka jest nikim, że żyje w nędzy.

Z coraz większym trudem gość opanowywał gniew.

- To nie ma nic do rzeczy.

Po prostu chciałbym ją zobaczyć.

- Hm.

Ciekawe.

No cóż, pomińmy to i wróćmy do sedna sprawy, a mianowicie, mimo że pan tak gorliwie nalega na spotkanie z matką, muszę zapewnić, iż ona zupełnie nie ma na to ochoty.

Mac poczuł, jak żołądek mu się skręca.

- To znaczy, że przejechałem taki szmat drogi na próżno?

- Obawiam się, że tak.

Proszę spojrzeć na sytuację z jej strony, Macllroy.

To przykre, że życie układa się w ten sposób, ale to zdarzyło się dawno, kiedy Dinah była jeszcze prawie dzieckiem.

To najgorszy okres jej życia, ale już go ma za sobą.

Nie chce, żeby przeszłość wróciła, nie chce przypominać sobie własnych błędów.

Jestem pewny, że po zastanowieniu zrozumie pan to.

- Od samego początku przypuszczałem, że ona zajmie takie stanowisko - odezwał się Mac.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego kazał mi pan przemierzyć taki szmat drogi.

Van podszedł do stołu, na którym na srebrnej tacy stała karafka i szklanki.

- Panie Macllroy, proszę napić się szkockiej.

Ja także się napiję.

Uniósł karafkę i potrząsnął nią zachęcająco.

Mac, czując, że potrzebuje tego drinka, załamał się.

- Dobrze.

- Wspaniale.

- Gospodarz nalał drinki, dodał lodu i podał jedną szklankę Macowi.

- Nie chcę, by myślał pan, że jestem niegościnnie.

Po prostu jasno przedstawiam panu sprawy.

Właśnie dlatego prosiłem pana o przyjazd do Bristolu.

Wolałem spotkać się z panem osobiście i przekazać panu uczucia Dinah.

Mam nadzieję, że teraz pan rozumie, że ona naprawdę nie chce pana spotkać i przywracać do życia przeszłości.

Mac upił whisky.

Na razie fakt, że został odrzucony, jeszcze do niego nie dotarł; nie miał czasu na ocenienie sytuacji i przeżywanie rozgoryczenia i zawodu.

- Mam nadzieję, że po naszej rozmowie nie będzie pan więcej jej nachodził - spokojnie rzucił Van.

Mac wzdrygnął się.

- Nie wydaje mi się, panie Kendrick, żebym ją nachodził.

Jeden list to jeszcze nie nachalność.

I przypominam, że znalazłem się tutaj na pańskie zaproszenie.

Gospodarz kiwnął głową.

- To prawda.

Ale moim obowiązkiem jest dbanie o Dinah.

Nie jest mocna psychicznie, nigdy nie była.

Prawdopodobnie przeszłość pozostawiła swoje blizny, możliwe, że z natury jest taka nerwowa.

Nie wiem.

Ale pozostaje faktem, że Dinah nie umie sobie radzić ze stresem.

Choruje, zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

Nie może spać, nie może jeść, pracować, co w końcu prowadzi do całkowitego załamania nerwowego.

Nie mogę na to pozwolić.

Dlatego prosiłem, żeby przyjechał pan tutaj, żebym to ja wytłumaczył panu sytuację.

I dlatego też proszę pana, żeby wrócił pan do Szkocji i zapomniał o pomyśle zobaczenia się z nią.

- Czy to ona prosiła, żeby pan mi to powtórzył?

- Tak, mówię w jej imieniu.

- Rozumiem.

- Mac do końca wypił drinka.

- W takim razie nie będę panu zajmował więcej czasu.

- Ruszył do drzwi, ale odwrócił się i spojrzał na Van Kendricka.

- Jeszcze jedno chciałbym wiedzieć, panie Kendrick.

Kto jest moim ojcem?

Van zdrętwiał.

Odstawił szklankę na mały, ośmiokątny stół.

Kiedy jednak podniósł głowę, jego twarz, miała swój normalny, pragmatyczny wyraz.

- Obawiam się, że nie mogę tego panu powiedzieć.

Nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy.

A teraz przykro mi, ale musimy się już rozstać.

W tym właśnie momencie drzwi do apartamentu otworzyły się.

Żaden z nich nie słyszał kroków na schodach; w drzwiach stała młoda kobieta.

Przez krótką chwilę Mac zastanowił się, czy to nie jest Dinah - zmieniła zdanie i jednak postanowiła go zobaczyć.

Potem uzmysłowił sobie, że to niemożliwe.

Dinah musi mieć przynajmniej koło czterdziestki; ta kobieta była o wiele młodsza, może nawet w jego wieku.

Patrzył na ciemne włosy, trochę wilgotne od mgły, jasną, wyraźną twarz, szkarłatne usta, które całej twarzy dodawały witalności.

Miała na sobie jasnoczerwony płaszcz, a podniesiony kołnierz otaczał tę jasną, żywą i rozświetloną twarz.

- Och, przepraszam!

- powiedziała.

- Nie podejrzewałam, że kogoś tu zastanę.

- W porządku, Ros.

Mój gość właśnie wychodzi.

- Van podszedł do kobiety, wprowadził ją do środka, jego ręka władczo spoczywała na jej ramieniu.

- Moja asystentka, Ros Newman.

Mamy trochę zaległej pracy, sprawy na jutrzejsze zebranie i korespondencja, która nie może czekać.

Wyjaśniłem na początku spotkania, że mogę poświęcić panu tylko kilka minut.

Trele - morele, pomyślał Mac.

Już wierzę, że przyjechała tutaj, żeby pracować.

Nic dziwnego, że chciał się mnie pozbyć.

- Przepraszam za kłopot - powiedział chłodno.

- Nie musi się pan martwić, że to się powtórzy.

Jutro rano wyjadę pociągiem do Szkocji.

I może powtórzy pan matce, że w żadnym wypadku nie zamierzałem jej denerwować.

Może zainteresuje ją fakt, że dobrze sobie ułożyłem życie, bez jej pomocy.

Zobaczył, że mężczyzna krzywi się, a jego znajoma patrzy na niego z zaskoczeniem, i ogarnęło go poczucie tryumfu.

Nie powinien był tego powiedzieć, ale wydawało mu się, że należy im się ten pożegnalny gest.

Zszedł po schodach, słysząc za sobą trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Na zewnątrz zimna, gęsta mgła objęła jego ciało; zadrzał i dopiero teraz uświadomił sobie, że jest jak sparaliżowany.

A więc - to koniec historii.

Dinah nie chciała go widzieć i kto by ją za to winił?

Stanowił część jej życia, o której pragnęła zapomnieć i on też musi się o to postarać.

Postanowił wrócić do Aberdeen i nigdy więcej nie wracać do tej sprawy.

I jak?

- przywitał go Steve, kiedy pojawił się w domu w Aberdeen.

- Jak poszło?

- Nijak.

- Co to znaczy?

Jaka ona była?

- Nie spotkałem jej.

Van Kendrick, jej mąż, wezwał mnie do swojej garsoniery i niedwuznacznie dał mi do zrozumienia, żebym nie próbował kontaktować się z Dinah.

- Cholera!

- Właśnie: cholera!

Całkowicie niepotrzebna podróż.

Sądzę, że na tym koniec.

Steve milczał przez chwilę.

Potem powiedział: - Myślisz, że to były jej słowa?

- Nie rozumiem.

- No...

sądzisz, że wiedziała, że tam jesteś?

- Oczywiście.

Dlaczego miałyby nie wiedzieć?

- To jej stary do ciebie napisał, prawda?

Może ona nie widziała twojego listu.

Może jej mąż go przejął.

- Po co miałyby to robić?

- Nie mam pojęcia.

Ale ludzie robią różne dziwne rzeczy i mają ku temu swoje powody.

Może to on nie chce, żeby przeszłość odżyła.

- Przypuszczam, że to prawdopodobne.

Ale wyraźnie powiedział, że Dinah nie chce, by przypomniano jej przeszłość.

Bardzo mu na tym zależało.

- To oczywiste, jeśli nie chciał, żebyś się z nią skontaktował.

Mac potrząsnął głową.

Był przybity i dosyć miał całej sprawy.

- Steve, zapomnijmy o wszystkim.

Bez względu na powody, sytuacja jest jasna.

Ona nie chce o niczym wiedzieć.

A ja nie zamierzam pchać się tam, gdzie nie jestem mile widziany.

- Wyciągnął portfel, a z niego akt urodzenia i popatrzył na niego.

- Równie dobrze mogę go wyrzucić do śmieci.

- Nie bądź głupi!

- powstrzymał go Steve.

- Nie możesz tego zrobić!

- Dlaczego nie.

Co mi z tego przyjdzie?

- Możesz go pewnego dnia potrzebować.

- Nie wiem po jakiego diabła.

Ale może masz rację.

Nie zniszczę tego.

- Podniósł kopertę z listem Vana, wsadził do środka akt urodzenia, po czym wysunął szufladę i włożył do niej kopertę.

Zauważył talię kart.

- Okay - powiedział, starając się zmienić temat rozmowy.

- Co myślisz o partyjce remika?

Przeigrany stawia pierwszą kolejkę w pubie!

Kiedy kontrakt z Excel Oil dobiegł końca, Mac uznał, że musi zmienić otoczenie.

- Jadę do Ameryki Południowej - poinformował Stevea i Desa.

- Do Ameryki Południowej!

Jesteś walnięty!

Tam jest mnóstwo kowbojów!

- Nie kowbojów, a gauchos!

- warknął Mac.

Des popatrzył na niego głupio, a Steve wybuchnął śmiechem.

- To żart.

Nieważne, Des, zapomnij o tym.

Tak czy inaczej, wiem, o czym mówisz.

Bezpieczeństwo to ostatnia rzecz licząca się w takiej robocie.

Ale towarzystwo, dla którego będę pracował, jest amerykańskie, Tristar US, więc pewnie wiedzą, co robią, a przynajmniej tam jest trochę cieplej niż tutaj.

- No - ostrzegł go Des - szykujesz się na śmierć.

- Też prawda.

- Mac nie potrafił wytłumaczyć, jak się czuje.

Coś go gnało od czasu tej historii z Vanem Kendrickiem, kiedy to raz na zawsze przekonał się, że matka nie życzy sobie go widzieć, nie mówiąc już o jakichś kontaktach, które by zrekompensowały stracone lata.

Ta świadomość miała na niego o wiele większy wpływ, niż mógł się spodziewać.

Chociaż niby nie myślał o tym, ból tkwił głęboko w nim, ten sam, który się pojawił, kiedy przybrani rodzice wyjawili mu prawdę.

Nadal się z nimi kontaktował, nadal ich kochał, ale fakt, że przez tyle lat go okłamywali, oddalał go od nich i wbrew sobie ciągle żywił do nich za to urazę.

Nie byli jego rodziną, nie miał żadnej rodziny.

Zawładnęła nim obsesja, by stworzyć sobie nowe życie, by się przeistoczyć.

Tylko wtedy pogodzi się ze sobą - i z nimi.

Nie obchodziło go, skąd bierze się jego zniecierpliwienie, po prostu na nie reagował.

Chciał zobaczyć świat - i dlaczego miałby tego nie zrobić?

Południowa Ameryka zapraszała, dziki kraj, gdzie nikt go nie zna i nie wie nic o jego przeszłości.

Denerwowało go to, że Steve i Des tak wiele o nim wiedzą, choć o wizycie w Bristolu rozmawiali jeszcze najwyżej dwa razy.

W Ameryce Południowej zacznie wszystko od nowa, zapamięta się w nurkowaniu, które było jego całym życiem.

- Oni zatrudniają szumowiny z całego świata - skomentował Des wychodząc.

- Uważaj na tych sukinsynów.

- Nie martw się, będę uważał - pocieszył go Mac, nie wspominając, że słowo sukinsyn nabrało dla niego ostatnio nowego znaczenia.

Co, do cholery, z tą szufladą?

Dlaczego ona się nie zamyka?

- zapytał z irytacją Bili Tynan.

Bili, nurek, mieszkał teraz ze Steveem w domu, który przedtem Steve dzielił z Macem.

Próbował naprawić szufladę, żeby łatwo wychodziła.

- Nie wiedziałem, że jest zepsuta - zauważył Steve.

- Zacięła się.

- Bili mocno pociągnął do siebie szufladę i wsunął rękę do środka.

- Tu coś jest.

- Wyprostował się, trzymając w rękach kopertę.

- Zdaje się, że zostawił to poprzedni lokator.

Zaadresowane na jego nazwisko.

- Mówisz o Macu?

- Steve wziął kopertę; natychmiast ją rozpoznał.

Ze środka wyjął list od Vana Kendricka i złożony akt urodzenia.

Mac musiał o nich zapomnieć.

- Wezmę to - powiedział.

- Przechowam.

Myślę, że kiedyś się spotkamy.

- To był twój przyjaciel?

- zainteresował się Bili.

- Można tak powiedzieć - zgodził się Steve.

Sześć miesięcy później jeden z nurków wracający z Rio przywiózł ze sobą wiadomości o Macu.

- Słyszałem o paskudnym wypadku w Mar del Plata.

Facet, Mac jakiś tam, który podobno tu pracował, brał w nim udział.

- Może Macllroy?

- zapytał Steve.

- No właśnie, Macllroy.

On i jego kumpel byli na dnie, kiedy to się wydarzyło.

Facet na straży nie mógł nic zrobić, a załoga składała się z samych cudzoziemców, wiesz, zatrudniają w takich miejscach wszystkie narodowości.

Niemcy i Francuzi są w porządku, ale jeśli pracujesz z miejscowymi, zapomnij.

Ta załoga składała się z Argentyńczyków, jak słyszałem, i nie rozumieli ani jednego słowa albo udawali, że nie rozumieją.

Bóg wie, ile czasu minęło, zanim chłopak z kabiny zaalarmował ich, co się stało.

Choć przy nurkowaniu dochodzi do najróżniejszych wypadków, Steve był wstrząśnięty.

Gdyby chodziło o kogoś obcego, to co innego, ale tu mowa była o kimś tak bliskim jak Mac.

- Mówisz, że obaj utonęli?

- zapytał.

Nurek wzruszył ramionami.

- Bez powietrza, sześćset stóp pod powierzchnią?

Jak ci się wydaje?

Cholera, pomyślał.

Biedny Mac.

Jedno tylko stało się jasne.

Już nigdy nie przyda mu się jego akt urodzenia.

Minęło następnych sześć miesięcy.

Steve rzadziej już myślał o Macu, choć jeśli już mu się zdarzyło, czuł żal.

W swoim życiu zawarł tylko kilka prawdziwych przyjaźni i żałował, że Mac nie żyje.

Żałował - ale nic więcej.

Pierwszy wstrząs dawno już minął i Steve przyzwyczał się do myśli, że kolegi nie ma.

Puścił to w niepamięć i tylko czasami przypominał sobie ze zdziwieniem, że przyjaciel rzeczywiście nie żyje.

Jednak nie było to już tak obezwładniające jak wtedy, kiedy pierwszy raz usłyszał smutną nowinę.

Mac nie żył, i kropka.

Na Morzu Północnym znów zapanowała zima.

Huraganowe wiatry piętrzyły wody w olbrzymie bałwany, oblewające szkaradną konstrukcję platformy.

Przenikliwy chłód i wycie morza doprowadzało nurków do granic wytrzymałości.

Wielokrotnie, zziębnięty do szpiku kości i straszliwie zmęczony po powrocie z pracy, Steve zastanawiał się, czy się nie przenieść, ale jakoś nigdy tego nie zrobił i w końcu zrozumiał, że uważa platformę i dom w Aberdeen za najbliższe sercu miejsca na ziemi.

Pewnego dnia będzie musiał z tego zrezygnować, pewnego dnia wróci do swoich zamierzeń, ale jeszcze nie teraz.

Jego konto bankowe jeszcze nie zapełniło się wystarczająco, by wziąć się do interesów, które zaplanował.

Czy w ogóle kiedyś do tego dojdzie?

Z biegiem czasu okazywało się, że chce więcej i więcej.

Nurkowanie mogło mu to zapewnić, a oprócz tego stanowiło jego sposób na życie.

I Steve nie wątpił, że któregoś dnia zaspokoi swoją ambicję, choć nie bardzo wiedział, w jaki sposób.

Aż kiedyś przeczytał w gazecie o śmierci Vana Kendricka - i już wiedział.

Początkowo miał tylko ogólny zarys pomysłu, ale ciągle nad nim rozmyślał, a jego zapal rósł, odpędzając wszelkie zmęczenie, powodując, że zapominał o obolałych od zimna kościach i depresji, która często go nachodziła wraz z samotnością i świadomością, że gdzieś tam w świecie znany jest jako człowiek z przestępczą przeszłością.

Mac był synem Dinah, ale Mac nie żył.

Mac był synem Dinah, ale nikt oprócz niego i Desa o tym nie wiedział - a Des nie stanowił poważnego zagrożenia.

Nigdy nie czytał gazet i nie wiedział, że Steve ma akt urodzenia kolegi.

To była jego szansa.

Szansa na rozpoczęcie życia pod innym nazwiskiem - i to na dodatek takim!

Steve zawsze uważał, że Van nie mówił w imieniu Dinah, kiedy kazał Macowi odejść; teraz to przeświadczenie stanowiło podstawę jego planu.

Wszystko, co czytał na temat sławnego małżeństwa Kendricków, dowodziło, że Van całkowicie w nim dominował, on podejmował decyzje, kierował ich życiem i układał je.

Van był intrygantem i Steve domyślał się, że z jakiegoś powodu Mac padł ofiarą tamtego mężczyzny.

Tylko że Van nie żył, a Dinah została sama.

Czy nadarzy się lepszy moment na pojawienie się w jej życiu następnego mężczyzny, syna?

W czasie wizyty w Bristolu Mac spotkał się tylko z Vanem - nawet jeśli ten opowiedział komuś o jego pojawieniu się, i tak z pewnością nie opisał jego wyglądu.

A Steve miał akt urodzenia Maca - jedyną rzecz, której potrzebował, by udowodnić swoją tożsamość.

Istniała oczywiście możliwość, że Dinah go odtrąci.

Może nie chceć się z nim zobaczyć, nie mówiąc już o zaakceptowaniu go.

Ale może też przyjąć go z otwartymi rękami.

Była to gra, do której Steve z ochotą przystępował.

Zasiadł za stołem, napisał do Dinah wyważony, przemyślany list, a w czasie oczekiwania na odpowiedź pojechał do Aberdeen i zaopatrzył się w nowe ubrania, mocno nadwężając oszczędności, ale potraktował to jako inwestycję.

Nadeszła odpowiedź i okazała się wszystkim, na co liczył.

Na zaproszenie Dinah udał się do Bristolu, nie do bezosobowego apartamentu w mieście, w którym Van przyjmował Maca, ale do domu rodzinnego położonego na ogromnej, pięknej przestrzeni.

Zaschło mu w gardle, kiedy stanął na podjeździe, przyglądając się wszystkiemu, co może w przyszłości należeć do niego - jeśli tylko dobrze rozegra karty.

Potem nacisnął dzwonek.

Sama otworzyła drzwi, szczupła blondynka już nie pierwszej młodości, ale nadal piękna.

Była blada, była zdenerwowana i przez sekundę Steve nie wiedział, czy kobieta zacznie płakać, czy śmiać się.

- Stephen?

- zapytała.

Głos jej drżał.

- Tak - potwierdził.

A ona rozwarła ramiona i objęła go, tam gdzie stali, na schodach.

- Och, Stephen, Stephen!

- Łzy płynęły już bez skrępowania; czuł je na swoim policzku.

- To naprawdę ty?

Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę!

- Ale jestem - powiedział.

To było proste - dziecinnie proste.

Nie potrzebował nawet aktu urodzenia - nigdy o niego nie zapytała.

Szczęśliwa z połączenia z synem, którego oddała zaraz po urodzeniu, przyjęła go bez zastrzeżeń.

Oczywiście, później przyszedł czas na pytania, nawet wiele pytań, kiedy siadywali obok siebie, a Dinah mocno trzymała jego dłoń, jakby się bała, że jeśli ją puści, to on znowu zniknie.

Pytania, pytania, pytania - nie dlatego, że mu nie ufała, ale ponieważ pragnęła poznać najmniejszy szczegół z jego życia, które dla niej było stracone.

Więc dał jej to, czego potrzebowała.

Kłamanie nigdy nie sprawiało mu trudności.

Opowiedział jej, że para, która go zaadoptowała wyemigrowała do Kanady i że obydwójce zginęli w wypadku samochodowym, kiedy on miał piętnaście lat.

Usłyszawszy to, rozplakała się, zaczęła go tulić mówiąc, że, to musiało być dla niego straszne przeżycie, ale przynajmniej teraz ma ją - przynajmniej mają siebie nawzajem.

I błagała go, żeby został.

- Nie zostawiaj mnie znowu, proszę.

Nie zniosę tego!

Wahał się.

Nie zamierzał nigdzie odchodzić, ale nie chciał, żeby o tym wiedziała.

- Muszę pracować.

Nurkowanie to wszystko, na czym się znam.

- Nie potrzebujesz pracować.

Teraz już nie.

Posłuchaj, rozumiem, że masz swoją dumę i wcale nie chcę tobą kierować, ale wszystko, co mam, należy do ciebie.

- Nie mógłbym tego przyjąć.

To nie jest w porządku.

- W takim razie pracuj dla mnie!

Zdaję sobie sprawę z tego, co czujesz, i szanuję cię za to, tylko błagam, nie odchodź!

- Jestem nurkiem, a nie przedsiębiorcą.

- Ale możesz nim zostać, wiem, że możesz!

A nurkowanie jest takie niebezpieczne.

Gdyby coś ci się stało, umarłabym.

Z trudem powstrzymał ironiczny uśmiech.

Pozwalał jej, by go namawiała i namawiała, udając, że się sprzeciwia, a kiedy uznał, że zrobił wystarczająco dużo, by mu uwierzyła, skapitulował.

Przeprowadził się do Somerset, a wszystko toczyło się tak gładko, że chciało mu się śmiać.

Był synem Dinah, spadkobiercą firmy, która zapewni mu komfort do końca życia.

Miał wszystko, o czym kiedykolwiek marzył.

I był bezpieczny - a przynajmniej tak sądził.

A kiedy jego pozycja została zagrożona, w ogóle się nie wahał.

Bezlitosna strona jego natury, dobrze skrywana pod ujmującą powierzchownością, natychmiast wzięła górę.

Zależało mu jedynie na utrzymaniu swej pozycji.

Działał błyskawicznie, nie przejmując się potwornością zbrodni, którą popełnił.

Miał jeden cel - nie pozwolić, żeby coś albo ktoś pozbawił go nowego życia, które sobie wywalczył.

Rozdział osiemnasty.

Maggie była zła, choć nie potrafiła powiedzieć dlaczego.

Skończyła porządkować dom, zrobiła sobie kanapkę, a potem wyszła do ogrodu, sprawdzić, czy wyschła pościel, którą zawiesiła na sznurze.

Jeszcze była trochę wilgotna.

Wróciła do domu i spojrzała na zegarek.

Liz Christopher powiedziała, że rzeczy Ros będą gotowe za godzinę, czyli mniej więcej już.

Wynajętym samochodem pojechała do Vandiny, mijając po drodze zielone łąki.

Dziewczyna w recepcji natychmiast ją poznała.

- Przyszła pani po rzeczy Ros.

Liz powiedziała mi, że ich porządkowaniem zajęła się Jayne i że to ona mi je przyniesie, ale jeszcze tego nie zrobiła.

- Jayne.

Ona tu jest?

- Nie, wyszła na lunch.

Proszę poczekać.

Pójdę do biura i sprawdzę, czy paczka jest już przygotowana.

Maggie została w holu, a po kilku minutach dziewczyna wróciła, niosąc w ręku dużą kopertę, różowy segregator i apaszkę - jak Ros kochała apaszki!

- To są chyba jej rzeczy.

Stały na biurku Jayne.

Podejrzewam, że zapomniała mi je przekazać.

Ale jestem pewna, że może je pani zabrać.

Przesunęła rzeczy w stronę Maggie, która spojrzała na nią z lekkim rozczerowaniem.

- Dziękuję.

I proszę ode mnie podziękować Liz i Jayne, dobrze?

Wyniosła paczki do samochodu.

Parking był pusty - prawdopodobnie wszyscy udali się na lunch.

Maggie wycofała i ruszyła w drogę powrotną do domu.

Na miejscu odłożyła starannie złożoną apaszkę do szuflady, otworzyła kopertę i różowy segregator, rozkładając ich zawartość na stole kuchennym.

Wzięła się do czytania.

Steve z pośpiechem opuścił dom Jayne.

Był zdenerwowany.

Guziki koszuli nie były pozapinane, a krawat luźno zwisał mu na szyi.

Klucze tkwiły w stacyjce - zostawił wszystko przygotowane do natychmiastowego odjazdu.

Zapalił silnik i ruszył przed domu przerobionego z wiejskiej stodoły, ale nie pojechał do restauracji, gdzie czekała na niego Dinah, tylko wrócił do Vandiny.

Chryste, ale wszystko się pogmatwało, a myślał, że jest już bezpieczny, oszustwo nie wyszło na jaw, przyszłość jawiła się w różowych kolorach.

Jeszcze nawet przed godziną, kiedy przekonał się, że Jayne zna prawdę, wydawało się, że uda mu się uniknąć niebezpieczeństwa.

Nie miał skrupułów, wiedział, że musi ją zabić, by ją uciszyć, i choć zdawał sobie sprawę, że podejmuje niebezpieczną grę, był przekonany, że ujdzie mu to na sucho.

Z całkowitą pewnością siebie, charakterystyczną dla ludzi okrutnych, Steve wierzył, że wygra.

Kiedy znajdą Jayne, kto pomyśli o nim?

Powie, że jadł lunch z Dinah, a kiedy ona go poprze, nikt nie będzie wyliczał go z czasu.

Żałował, że nie miał go więcej na pozbycie się Jayne, wolałby usunąć jej zwłoki z domu i zatrzeć za sobą ślady, ale sytuacja wyglądała tak, że uznał, iż najlepiej zrobi, jeśli jak najszybciej uciszy tę dziewczynę, a przypuszczał, że policja nie będzie narzekała na brak podejrzanych.

Jayne miała wielu kochanków, o czym wiedział, nawet sam Drew, ze swoją bogatą przeszłością i narkotykowym nałogiem, doskonale się nadawał.

Fakt, że zareagował błyskawicznie, będzie działał na jego korzyść, myślał.

Ale rzeczy nie ułożyły się tak, jak się tego spodziewał.

Sięgnął po apaszkę, którą chciał ją udusić, tam w sypialni, a ona zauważyła jego ruch.

Już i tak zdziwiona jego odpowiedzią - "Tego, moja słodka, nigdy się nie dowiesz" - zaczęła się denerwować, szybko usiadła, odsuwając się od niego.

- Co ty, do cholery, robisz?

- Przykro mi, kochanie - rzucił niedbale - ale obawiam się, że nie mogę dopuścić, żebyś rozpowiadała o mnie brzydkie historyjki.

- Nawet jeśli tak się składa, że są prawdziwe?

- Zwłaszcza dlatego.

- Oszalałeś!

- Zmrużyła oczy.

- A może to nowa gra miłosna?

Niemalże wybuchnął śmiechem.

Naprawdę jest nienasycona!

Postanowił wykorzystać jej pomysł.

Jayne była dużą dziewczyną, mogła mieć sporo siły.

Jeśli zarzuci jej apaszkę na szyję, tak żeby nie zorientowała się, co robi, będzie mu łatwiej pokonać jej opór.

- Tak, to taka niewinna gra - przyznał spokojnie, choć krew pulsowała mu w skroniach.

- Lubisz takie zabawy, prawda?

Na jej policzki wypłynęły duże rumieńce, a oczy rozwarły się szeroko i zabłyśły.

- Dobrze wiesz, że tak.

Ale nie związywanie, to nie dla mnie.

To może się nie udać.

A to byłby pech, dla nas obydwójga.

Coś w tonie jej głosu zaniepokoiło go.

- Co masz na myśli?

- zapytał ostro.

- A to, że jeśli coś mi się stanie, wszyscy poznają twój mały sekrecik.

- Jak to?

- Ciągle trzymał apaszkę w spoconej dłoni.

- Ponieważ w moim biurze znajduje się dowód na to, że nie jesteś synem Dinah.

- Dowód?

Jaki dowód?

Roześmiała się.

Uwielbiała odzyskiwać nad nim przewagę.

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- A gdzie dokładnie w twoim biurze?

Potrząsnęła głową, patrząc na apaszkę, którą ścisnął.

- Naprawdę myślisz, że ci to powiem, a ty udusisz mnie tą chustką, po czym odjedziesz i pozbędziesz się tego dowodu?

Och, nie jestem aż tak głupia.

Nie, mój drogi, musisz mi uwierzyć na słowo.

A wracając do naszej małej umowy.

- Jakiej umowy?

- To niemożliwe, żebyś o niej tak szybko zapomniał.

Ty zachowujesz przy sobie moją tajemnicę, a ja twoją.

Nie puszczę pary, Steve.

Nawet o...

tym.

Ty i ja tworzymy doskonałą parę.

I będziemy jeszcze lepsi, teraz, kiedy wiem już to, co wiem.

Pot zalewał mu twarz.

- Jaką mam pewność, że w ogóle masz jakiś dowód?

- zapytał.

Jayne poruszała się leniwie, sięgając po szlafroczek i naciągając go na miękkie, jasne ramiona.

- Ubierz się, kochanie.

Wrócimy do biura i ci go pokażę.

Zrobił, jak powiedziała.

Jego mózg pracował na przyspieszonych obrotach.

Nadal nie był przekonany, czy ma jej wierzyć czy nie, ale bezdyskusyjnie Jayne znała prawdę i nie mógł ryzykować - jeśli w jej biurze rzeczywiście zostało coś, co wysadzi w powietrze jego całe życie.

- Chodźmy więc - rzucił ze złością.

- Ale, pośpiesz się, do cholery.

Dinah czeka, że dołączę do niej na lunch.

- W takim razie jedź na ten lunch, a ja pokażę ci to, kiedy wrócisz do biura.

- Nie, pojedziemy teraz.

- Nie mógł czekać ani minuty dłużej; musiał się dowiedzieć, co na niego ma, żeby móc skorygować swój plan.

Teraz, kiedy wracał do Vandiny, przerażony, że jego starannie opracowane plany zaczynają się walić, spojrzął na nią, siedzącą obok na fotelu pasażera, i poczuł, że nienawidzi tej zimnej, zakochanej w sobie kobiety, która grozi, że zniszczy wszystko, co osiągnął.

Och, mógłby ją zabić już w tej chwili i cieszyć się tym.

Kiedy tylko pokaże mu swój dowód, zrobi to, i zrobi to tak, że nikt nigdy nie będzie go o to podejrzewał.

Jednak na razie jej potrzebował - i ona o tym wiedziała.

Z piskiem opon zatrzymał się na parkingu przed Vandiną, poprawił ubranie i poszedł za Jayne w stronę budynku.

Dziewczyna w recepcji rozmawiała przez telefon; machnęła w ich kierunku, jakby chciała im coś powiedzieć, ale zignorowali ją i poszli prosto do biura Jayne.

- No, kochanie...

- Odwróciła się do niego, zadowolona z samej siebie, po czym otworzyła drzwi.

Kiedy weszli do biura, zobaczył, że jej twarz się zmienia.

Zrobiła krok do przodu, przesunęła dłońmi po prawie pustym biurku, jakby nie wierzyła w to, co widzi - a raczej nie widzi - potem odwróciła się.

W oczach miała przerażenie.

- No więc?

- powiedział szorstko.

- Gdzie ten dowód?

- Och, Jezu!

- jęknęła słabo.

Sięgnęła po słuchawkę wewnętrznego telefonu i nacisnęła przycisk łączący ją z recepcją.

Dziewczyna musiała już skończyć poprzednią rozmowę, bo odebrała niemal natychmiast.

- Te dokumenty, które leżały na moim biurku - warknęła Jayne.

- Wiesz może, co się z nimi stało?

Steve nie słyszał odpowiedzi sekretarki.

Jayne odłożyła słuchawkę i popatrzyła na niego.

- Wygląda na to, że mamy kłopoty, Steve - zaczęła, a w jej głosie dało się wyczuć panikę.

- Mojego dowodu tu nie ma.

Ktoś go zabrał.

- Kto?

- Siostra Ros, Maggie.

Nie rozumiał.

- Maggie?

Ale dlaczego?

- Teraz to nieważne.

- Jayne mówiła z najwyższym napięciem.

- Jeśli nie chcesz, żeby inni dowiedzieli się tego, co ja już wiem, radzę, byś odzyskał te dokumenty, i to szybko!

To dynamit, Steve.

A Maggie Veritos ma go w ręku.

Nie rozumiem, co wstrzymuje Stevea - dziwiła się Dinah, spoglądając na zegarek.

- Powinien tu być dawno temu.

Don uśmiechnął się do niej.

Cieszył się z szansy bycia z nią sam na sam.

Od pojawienia się Stevea takie okazje nie zdarzały się często.

- Nie martwiłbym się, Dinah - pocieszył ją.

- Pewnie wyskoczyło mu coś ważnego.

Jestem przekonany, że nie będzie zły, jeśli zaczniemy bez niego.

Dinah odwzajemniła mu uśmiech, ten precudowny uśmiech, który sprawiał, że zamierało mu serce.

- Chyba masz rację, Don - zgodziła się.

- Zazwyczaj ją masz.

Maggie usiadła przy stole i patrzyła przed siebie.

Dokumenty i listy leżały rozłożone dokoła niej.

Nadal nie mogła uwierzyć w to, co tam przeczytała, ale powoli jej zmęczony umysł zaczynał znajdować we wszystkim logikę i części układanki zaczęły do siebie pasować.

A więc to ta sprawa trapiła Ros przez ostatnie tygodnie - i nie miało to związku ze szpiegiem w Vandinie.

To była istotniejsza sprawa, poważniejsza i wiązała się nie tylko z firmą, ale z prywatnym życiem Dinah.

Nic dziwnego, że Ros była taka zajęta.

Steve - oszust!

Nigdy by jej to nie przyszło do głowy - niby dlaczego miałyby przyjść?

Ale Ros z jakiegoś powodu zaczęła coś podejrzewać i chciała to sprawdzić - listy i notatki potwierdzały to.

Ale dlaczego nikomu nic nie powiedziała?

I gdzie, do cholery, jest w tej chwili?

Maggie zadrżała.

Ponownie wszystkie lęki o bezpieczeństwo siostry wypłynęły na powierzchnię.

Myślała, że to Brendan odpowiadał za jej zniknięcie, ale teraz zaczęła się zastanawiać, czy się nie myliła?

Czy to możliwe, że krył się za tym Steve?

Czyżby odkrył, że Ros zna prawdę, i zadbał, by nie mogła przekazać jej innym?

Maggie zapaliła papierosa i mocno się zaciągnęła, ale po raz pierwszy nie uspokoiło to jej nerwów - a nawet poczuła zawrót głowy.

Zgasiła papierosa, zastanawiając się, co powinna zrobić, ale złapała się na tym, że jej myśli bezładnie przelewają się przez głowę.

Musi powiedzieć komuś o swoim odkryciu, ale komu najpierw?

Czy powinna zadzwonić na policję, a może do kogoś w Vandinie?

Odkrycie z pewnością załamał Dinah.

Mimo stanu, w jakim znajdowała się teraz, Maggie aż wzdrygnęła się na myśl, że ona pierwsza ma przekazać tę niemiłą wiadomość.

Gdyby tylko Mike tu był!

Wiedziałyby, co robić.

Ale Mike prowadzi zajęcia i minie jeszcze kilka godzin, zanim będzie mogła liczyć na jego pomoc.

Ale przynajmniej może zadzwonić i zostawić mu na automatycznej sekretarce informację, żeby jak tylko zjawi się w domu, natychmiast się z nią skontaktował.

Tak czy inaczej spodziewał się, że do niego przyjedzie, i będzie się zastanawiał, gdzie jest.

Wykręciła numer i słysząc jego nagrany głos, poczuła ulgę - nawet ten sztuczny kontakt podniósł ją na duchu.

Zostawiła mu wiadomość prosząc, żeby zadzwonił, jeśli nie będzie jej w jego mieszkaniu, kiedy wróci.

Potem poszła do kuchni i spakowała wszystkie dokumenty.

Postanowiła zawieźć je na policję.

Było jej przykro, że złą nowinę przekaże Dinah ktoś zupełnie obcy, ale nie mogła się wahać.

Jej głównym zadaniem jest odnalezienie Ros, a miała wrażenie, że tym razem dostały jej się w ręce istotne dowody.

Nie zwróciła uwagi na podjeżdżający samochód, tak więc słysząc dzwonek do drzwi, podskoczyła.

Poszła otworzyć, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie policja.

Ale kiedy drzwi stanęły otworem, na progu nie było funkcjonariusza.

To był Steve.

Serce Maggie w jednej sekundzie podskoczyło do gardła.

Zabrakło jej tchu, tak że przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Maggie.

- Głos mężczyzny był jak zawsze niski, ale za pozornym spokojem czaiło się napięcie.

A może jej się tylko wydawało?

Może to, co o nim wiedziała, sprawiło, że inaczej na niego patrzyła?

- Tak?

- W końcu udało jej się odezwać, ale i tak mówiła przyduszonym głosem.

- O co chodzi?

- Mogę wejść?

- Mówiąc to zrobił krok do przodu.

Zaskoczona, nie zdążyła mu przeszkodzić.

- Zdaje się, że zabrałaś z Vandiny pewne dokumenty.

Chciałbym je odebrać.

- No cóż, przykro mi, ale nie mogę ci ich dać.

Należą do Ros.

- Są własnością firmy.

Gdybyś pozwoliła, że...

- Był już w kuchni; zauważył segregator i sięgnął po niego.

- Chyba tego szukam.

Maggie błyskawicznie skoczyła, złapała dokumenty i przycisnęła do piersi.

- Steve, bardzo proszę, wyjdź.

Zamarł, cały w pogotowiu, jakby na coś czekał.

Na co?

Wbił w Maggie błękitne oczy, tak jakby chciał ją zahipnotyzować.

- Obawiam się, że nie mogę tego zrobić.

Nie bez tych dokumentów.

Oddaj mi je natychmiast.

- Za późno, Steve.

Nic ci nie pomoże, że je teraz zabierzesz.

Widzisz, ja je przeczytałam.

Wiem, co w nich jest, i dlaczego chcesz je odzyskać.

Jego zimne oczy zwęziły się.

- Naprawdę?

I powiedziałaś komuś o swoim odkryciu?

- Nie zdążyłam!

Dopiero co je przejrzałam...

W tym momencie zrozumiała, że nie powinna była tego mówić.

Usta mężczyzny wykrzywiły się w słabym uśmiechu satysfakcji, ale oczy pozostały lodowate, jak kawałki niebieskiego szkła.

- W takim razie, Maggie, nie pozostawiasz mi wyboru.

Przeszył ją straszliwy strach.

- Co to ma znaczyć?

Ale nie musiała pytać.

Niewiarygodne, by ten mężczyzna z doskonałą fryzurą, wyglądem amerykańskiego chłopca z dobrego domu, nieskazitelną elegancją i niedbałym urokiem był niebezpieczny, ale niezaprzeczalnie taka była prawda - wygląd często myli.

Ten człowiek nie cofał się przed niczym, byle tylko osiągnąć swój cel.

Wykorzystywał, manipulował, kłamał i oszukiwał tych, którzy stanęli mu na drodze do sukcesu.

Maggie pomyślała, że ma już na sumieniu morderstwo i była przeświadczona, iż nie cofnie się przed następnym.

Była jedyną osobą, która teraz zagrażała jego pozycji; bez zastanowienia, głupio, przyznała się do tego.

I była całkiem sama w domu, zdana na jego łaskę.

Prawdopodobnie Mike po powrocie do mieszkania wysłucha wiadomości na sekretarce i przyjedzie do niej, ale będzie już za późno.

Groziło jej prawdziwe niebezpieczeństwo i to w tej chwili.

Prawie zahipnotyzowana widziała, jak mężczyzna wyciąga z kieszeni jedwabną apaszkę i zawija ją wokół palców.

- Naprawdę, bardzo mi przykro, Maggie - powiedział spokojnym głosem, w którym tylko przez chwilę dało się słyszeć nerwową nutę.

- Ale przynajmniej nie znamy się dobrze.

- Jesteś szalony!

- Raczej nie.

Tylko po prostu bardzo, bardzo zdeterminowany.

No i jak, zrobimy to spokojnie, czy będziesz walczyć?

Wybór należy do ciebie.

- Ty jesteś szalony!

- Umysł Maggie pracował gorączkowo.

Chyba nie sądził, że da mu się zabić bez stawiania oporu?

Ale jakiego oporu?

W szufladzie szafki, w zasięgu ręki, leżały noże, ale co to jej da?

Nie wygra z nim, nawet z nożem w dłoni; z łatwością ją obezwładni i może nawet użyje noża przeciwko niej.

Pozostała tylko gra na zwłokę.

Musi za wszelką cenę zachować spokój i odwlec moment, kiedy obwinie jej szyję apaszką i mocno ją zaciągnie.

Ale co ma powiedzieć?

Instynktownie wpadła na pomysł.

Steve nie lubił, kiedy nazywało się go szaleńcem.

Możliwe, że próżność była jego piętą achillesową.

- Naprawdę przeprowadziłeś wszystko bardzo sprytnie - odezwała się.

- Jak ci się to udało?

Uśmiechnął się, a Maggie, czując niewielką ulgę, zrozumiała, że się nie pomyliła.

- Można powiedzieć, że było to proste.

Ale nie każdy podjąłby takie ryzyko.

- Więc opowiedz mi o tym.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak - potwierdziła.

- Naprawdę.

Znowu się uśmiechnął, nagle zapragnął opowiedzieć jej o wszystkim.

Jayne też chciała wiedzieć, ale odmówił jej, miał przecież ją zabić, a czasu brakowało.

Poza tym zależało mu na szybkim dotarciu do Dinah po alibi.

Teraz nie miało ono znaczenia.

Jayne zapewni mu alibi bez względu na to, jak dużo czasu tu spędzi.

Jayne.

Słaby uśmiech przeistoczył się w pełny i prawdziwy.

Cieszył się, że w końcu jej nie zabił.

Jayne była taka jak on - stworzą dobrą parę.

Na jakiś czas.

Do momentu, aż on zmieni zdanie.

Kiedy do tego dojdzie, pozbędzie się jej.

Steve, przechwalając się, opowiadał, a Maggie gorączkowo myślała, jak uciec.

Nie mogła tak po prostu wybiec, byłoby to tak samo bezsensowne, jak obrona nożem.

Steve stał między nią a drzwiami i nawet jeśli udałoby jej się go ominąć, nie miałyby dokąd uciec.

W pobliskich domach o tej porze nie ma nikogo, a Steve, wyglądający na mężczyznę wysportowanego, z pewnością złapałby ją, zanim zdążyłaby dobiec do głównej szosy.

Siedziała nieruchomo, nie odzywając się, nie przerywając niczym jego opowieści, analizując sytuację, zastanawiając się, w jaki sposób odwlec tragiczny moment.

Nagle przyszedł jej do głowy pomysł tak odrażający, że aż wzdrygnęła się z obrzydzenia, ale dawał jej cień nadziei.

Zdołała namówić go, by opowiedział, jak doszło do tego, że zaczął udawać syna Dinah; może uda jej się namówić go do czegoś więcej.

Steve był mężczyzną wybitnie zmysłowym, przekonała się już o tym, bo przecież próbował kiedyś ją poderwać.

Czy mogłaby - czy się odważy - zainteresować go seksualnie?

- Naprawdę cię podziwiam - powiedziała miękko.

Dla niej samej zabrzmiało to nieszczerze, ale odniosła wrażenie, że Steve tego nie zauważył.

Dalej ciągnął opowieść, dodając coraz to nowe szczegóły.

Odłożyła na stół dokumenty, które do tej pory przyciskała do siebie.

Potem, z największym wysiłkiem, zmusiła się, by do niego podejść; starała się wyglądać zalotnie, choć ledwo co trzymała się na nogach.

Steve był wyraźnie zaskoczony, ale już po chwili szeroko się uśmiechał i Maggie zrozumiała, że znowu się nie pomyliła.

Próżność była jego słabą stroną.

Miała tylko nadzieję, że uda jej się ją wykorzystać.

- W kimś tak sprytnym i bezlitosnym jest coś ogromnie atrakcyjnego - powiedziała.

Wyciągnęła w znaczącym geście rękę i położyła mu ją na ramieniu.

Przez sekundę czuła pod jedwabną koszulą napięte mięśnie, które zaraz się rozluźniły.

- Tak uważasz?

Ciesz się tym.

Ty też, Maggie, jesteś bardzo atrakcyjną kobietą.

- Naprawdę?

- Przesunęła dłoń po ramieniu, docierając do karku, wsunęła rozwarte palce we włosy, opadające na kołnierz.

Następnie, zbierając całą odwagę, pocałowała go.

Początkowo był jak marmurowa ściana, jego usta nie odpowiedziały na pocałunek, potem jego ciałem wstrząsnął dreszcz i w mgnieniu oka przejął inicjatywę.

Teraz to on ją całował, obejmował, ścisnął, jego ręce wślizgiwały się pod jej bluzkę.

Zrobiło jej się niedobrze, ale jakoś zwalczyła nudności, odpowiadając z największym entuzjazmem, na jaki mogła się zdobyć.

Przez jedwabną koszulę wyczuła, że plecy Stevea są złane potem - a może to jej dłonie były wilgotne i drżały?

- Maggie - wyszeptał zmysłowo.

- Och, Maggie, Maggie...

I wtedy usłyszeli dzwonek do drzwi.

Steve zeszywniał.

Maggie natychmiast się domyśliła jego następnego kroku.

Kiedy podniósł rękę, by zasłonić jej usta, wywinęła mu się i kopnęła go kilkakrotnie, najsilniej jak potrafiła.

Trafiła w jądra.

Zgiął się z bólu, w tym czasie ona resztkami sił odepchnęła go od siebie i pobiegła na miękkich nogach do drzwi.

Nieskończenie długo mocowała się z zamkiem, aż w końcu drzwi stały otworem.

Na schodach stały dwie osoby - mężczyzna i kobieta.

Maggie nie zauważyła nawet, że kobietą była dziennikarka z "Western Daily Press", a jej towarzysz na ramieniu miał przewieszoną kamerę.

Nic nie powiedziała, nawet na nich nie spojrzała.

W głowie miała tylko jedno, uciec...

uciec daleko...

Roztrąciła ich, a oni, zaszokowani jej zachowaniem, odwrócili się za nią, nic nie rozumiejąc.

Ale Maggie nie zatrzymała się.

Wypadła na drogę i biegła dalej.

Mike wrócił do domu trochę po czwartej.

Zdziwił się, ale nie zmartwił, nie widząc na parkingu samochodu Maggie.

Spóźni się albo gdzieś wyszła, pomyślał.

Wszedł do mieszkania, rzucił torbę i włączył automatyczną sekretarkę, której migające światelko docierało do niego ze stolika w maleńkim przedpokoju.

Pierwsze było nagranie od Maggie; prosiła, żeby przyjechał do niej - zdziwił się; potem Bryan Price, z którym czasami grywał w squasha, z zapytaniem, dlaczego Mike tak długo nie daje znaku życia i czy nie ma ochoty na mecz.

Wysłuchując wiadomości, rozsunał suwak kurtki, potem nastawił automat na nowe nagrania i wykreślił numer do domu Ros.

Nikt się nie zgłaszał.

Maggie musiała już wyjść i prawdopodobnie lada moment zjawi się u niego.

Poszedł do kuchni, postawił czajnik na gaz, następnie zaparzył herbatę, ale pijąc ją, patrzył na zegarek i zastanawiał się, gdzie jest Maggie.

Mike nie charakteryzował się najbujniejszą wyobraźnią, ale intuicyjnie czuł się niespokojny.

Nie rozumiał, co się stało z Maggie, i nagle zaczął myśleć o zaginięciu Ros.

Mój Boże, a jeśli Maggie spotka to samo?

Na samą myśl doznał głębokiego wstrząsu.

Zazwyczaj opanowany, zaczął się gorączkować, zdając sobie sprawę, że nie przeżyłby, gdyby miał już nigdy jej nie zobaczyć.

Martwił się o Ros - nawet więcej - ale na myśl, że Maggie zniknęłaby z jego życia, że czuł się jak znokautowany przez boksera, czuł ból gdzieś poniżej pasa, na czole pojawiły się krople potu.

Jezu, on ją kocha!

Miłość to słowo, którego rzadko używał; raczej o niej nie myślał, ale teraz zastanowił się i bez wątpienia uznał, że rzeczywiście zakochał się w Maggie.

Przesunął palcami po włosach, głęboko zadumany.

To naprawdę dziwne.

Wydawało mu się, że kocha Ros, na swój sposób i nie nazywając tego uczucia.

Ale teraz myślał, że było ono jak słabe odbicie emocji, które przeżywał w obecności Maggie.

Nagle odezwał się brzęczyk telefonu, wyrywając go z zamyślenia.

Chciał krzyknąć do słuchawki "Maggie", ale w ostatnim momencie powstrzymał się i dobrze zrobił.

Głos po drugiej stronie brzmiał energicznie i oficjalnie.

- Pan Thompson?

Nagłe przecucie czegoś złego ścisnęło go za gardło.

- Tak.

- Mówię z komisariatu, inspektor Dugdale.

Czy mógłby pan tu przyjechać?

- Dlaczego?

Co się stało?

- Wytłumaczymy to panu bardziej szczegółowo, kiedy już pan tu będzie, sir, ale na razie mamy tu panią Veritos - Maggie Veritos.

Jest bardzo przybita i prosiła nas o skontaktowanie się z panem.

- Czy miała wypadek?

- Niezupełnie, sir.

Ale myślę, że dobrze pan zrobi, pojawiając się u nas tak szybko, jak to tylko możliwe.

Mike czuł się jak sparaliżowany.

A więc słusznie podejrzewał, że stało się coś złego.

- Już jadę - powiedział.

Nie wierzę - zaczęła Maggie.

- Nie mogę w to uwierzyć.

To wszystko jest jak jakiś koszmar.

Siedziała w największym i najwygodniejszym krześle Mikea, owinięta, jak chora, kocami.

Wieczór był ciepły i duszny, ale ona nie przestawała się trząść.

W drżących dłoniach trzymała szklaneczkę z whisky.

Czterdziestoprocentowy alkohol nie był w stanie przełamać lodowatego zimna w jej wnętrzu.

Mike domyślał się, że przechodzi klasyczne objawy szoku - sam także nie czuł się najlepiej.

Jeszcze zanim policjant zdążył mu cokolwiek wyjaśnić, wiedział, że stało się coś strasznego, i kiedy usłyszał, co się naprawdę wydarzyło, doznał wstrząsu.

- To sukinsyn!

- mówił teraz.

- Chciałbym dostać go w swoje ręce!

Pożałowałby, że w ogóle się urodził.

- Ciekawe, gdzie on jest?

- zastanawiała się Maggie.

Wpatrywała się w przestrzeń przed sobą, ponownie przeżywając każdą chwilę od momentu, kiedy odkryła prawdę o Stevie, aż do chwili, gdy wpadła na zdumioną dziennikarkę i fotografa, a potem biegła przed siebie, nie wiedząc dokąd, pragnąc jedynie znaleźć się jak najdalej od mężczyzny, który jej zagrażał, który, bardzo możliwe, zamordował jej siostrę i z pewnością to samo chciał zrobić z nią.

- Złapią go - ostro rzucił Mike.

- A kiedy już to się stanie, mam nadzieję, że skazą go na dożywocie.

Dlaczego, do cholery, państwo zniosło karę śmierci?

Ale powieszenie go, to zbyt mała kara.

Już ja wiem, co bym mu zrobił, temu sukinsynowi!

- On jest szalony - cicho stwierdziła Maggie.

- Całkowicie szalony.

Powinieneś zobaczyć jego oczy, Mike.

- Zadrzała wstrząsana konwulsjami, przypomniała sobie tamtą przystojną twarz, zimne okrucieństwo zmieszane z wyrazem tryumfu i dumy z własnego sprytu.

- Oczywiście, że jest szalony, ale to nie znaczy, że może wywinąć się sianem.

- Mike nerwowo przemierzał pokój, wściekły na własną niemoc.

- Kiedy pomyślę, co on chciał ci zrobić...

- I co być może zrobił już Ros...

- Zamilkła, bo nowa fala przerażenia uderzyła w nią ze zdwojoną siłą.

- Obydwoje myśleliśmy, że przytrafiło jej się coś złego, ale nigdy nie przyszło mi do głowy...

I nadal mam nadzieję, że się mylę.

Nie mogę przestać myśleć, że to on odpowiada za zniknięcie Ros.

W jakiś sposób odkryła, że podszywa się pod syna Dinah, i mu o tym powiedziała.

A on...

zabił ją, żeby ją uciszyć.

Och, dlaczego wcześniej się tego nie domyśliliśmy?

Dlaczego go nie przejrzeliliśmy?

- Jeśli nie doszła do tego Dinah, dlaczego nam miało się to udać?

- tłumaczył Mike.

- Biedna Dinah.

Zastanawiam się, jak ona to przyjmie?

- Podejrzewam, że bardzo źle.

Ale nie możemy się o nią martwić.

- Powinnaś się była domyślić!

Przecież wiedziałam, że Ros mówiła, że coś dziwnego dzieje się w Vandinie.

Ale tak się przejęłam tym szpiegostwem, że nie myślałam o niczym innym.

Podejrzewałam o udział w zniknięciu Ros wszystkich, tylko nie Stevea - nawet biednego Brendana.

Mógłby jeszcze żyć, gdybym nie oskarżyła go o to, że zrobił coś strasznego Ros.

Teraz on nie żyje, i Ros nie żyje, i...

- Nie możesz winić siebie za śmierć Brendana.

- Ależ tak.

Właśnie tak!

- A więc nie wolno ci.

On też był sukinsynem.

- Ale nie zasługiwał na to, żeby umrzeć.

Potrzebował pomocy kogoś, kto by go kochał.

Każdy musi mieć kogoś takiego, Mike.

Nikt nie powinien wpadać w taką depresję, że nie pozostaje mu nic innego, tylko rzucić się z cholernego mostu...

- Po jej policzkach spływały łzy, słonym strumieniem zalewały całą twarz, jakby jakaś tama w jej wnętrzu została przerwana.

- Do diabła, Maggie!

- Mike podszedł do niej, uklęknął i przycisnął jej głowę do swojej piersi.

- Maggie, kochana Maggie, nie płacz.

Czułość, z jaką ją pocieszał, wywołała jeszcze większą łzawą kaskadę.

Łkała prawie bezgłośnie, wydając z siebie tylko ciche dźwięki, jej ciałem co jakiś czas wstrząsał dreszcz.

Trzymał ją w objęciach, aż się nieco uspokoiła, ale nie wiedział, jak ją pocieszyć; zdawał sobie sprawę, że cokolwiek powie, koszmar i tak nie odejdzie.

Mogła się tylko na nim oprzeć.

Po kilku minutach odsunął ją od siebie i chustką przetarł jej twarz.

- Zrobię ci jeszcze jednego drinka.

Wtuliła się w niego.

- Nie...

nie zostawiaj mnie Mike.

Trzymaj mnie!

Własna niemoc rozzłościła go.

- Dobrze, dobrze.

Nie zostawię cię.

Już cicho, uspokój się...

Jeszcze jakiś czas wstrząsały nią konwulsyjne drgania.

Potem następowały coraz rzadziej, aż tylko z rzadka wciągała głęboko powietrze.

- Lepiej?

- Uhm, trochę.

Nie uda mu się uciec, prawda, Mike?

Nie może uciec!

- Jestem pewny, że go złapią.

A teraz, kochana, myślę, że powinnaś spróbować się przespać.

- Och!

- Szeroko otworzyła oczy.

- Moje rzeczy, nic ze sobą nie przyniosłam!

Zostały w domu!

- Przecież ich nie potrzebujesz.

Możesz do snu założyć jedną z moich podkoszulek.

- Ton głosu, sposób, w jaki na nią patrzył, sugerowały, iż wolałby, żeby nic na siebie nie zakładała; bardzo pragnął znaleźć się blisko jej nagiego ciała.

- Ale, Mike, tam mam wszystko, bieliznę, szczoteczkę do zębów, kosmetyki.

Muszę strasznie wyglądać!

- Przetarła palcami czarne smugi po tuszu pod oczami.

- Może będę musiała jutro iść na policję, potrzebne mi jakieś ubrania.

- Chcesz, żebym pojechał po twoje rzeczy?

- O tak, proszę, zrobisz to?

- Czy są spakowane?

- Tak, ale pojedę z tobą.

- Nie sądzisz, że lepiej będzie, jeśli tu zostaniesz?

- zasugerował, myśląc, że powrót na miejsce koszmarnych wydarzeń może ją znowu przygnębić.

Ale dla Maggie w tej chwili nie istniało nic gorszego niż samotność.

- Nie, Mike, proszę, weź mnie ze sobą.

Przy tobie nic mi się nie stanie.

Nie chcę teraz zostać sama.

- No, jeśli tak uważasz...

- Tak.

Czuła się już spokojniejsza, przynajmniej w tej chwili, choć nadal czarny cień czał się gdzieś w jej wnętrzu, by ponownie zalać jej duszę i pochłonać ją.

Poszła do łazienki, umyła twarz i uczesała się.

Kiedy schodzili po schodach trzymała Mikea mocno za ramię, a w samochodzie usiadła przy nim tak blisko, jak tylko pozwalały pasy bezpieczeństwa.

Mike spojrzał na nią i zobaczył, jak bardzo jest spięta.

Kochał ją.

Słońce stało nisko na niebie i kiedy dotarli na miejsce, domek Ros skąpany był w różanej poświacie.

Aż trudno uwierzyć, że w tym bajkowym otoczeniu mogło zdarzyć się coś złego.

Jednak Maggie znowu zaczęła drzeć, prawie niezauważalnie, ale to wystarczyło, by uświadomić Mikeowi, że jej spokój jest pozorny.

Jeszcze raz zawładnął nim gniew; gdyby tylko dostał w ręce tego sukinsyna Lomaxa, rozdarłby go na kawałki!

Zaparkował przed bramą, wyłączył silnik i odpiął pasy.

- Zaczekaj w samochodzie.

- Nie.

Pójdę z tobą.

- Maggie, nie musisz.

Lepiej nie.

- Wolałabym pójść.

- Mocno zaciskała usta, żeby powstrzymać szczekanie zębów.

- Muszę się przełamać.

- Dlaczego?

Nie ma takiej potrzeby.

- Jest.

To jak jazda na koniu.

Mówią, że jeśli spadniesz, musisz natychmiast wsiąść na niego ponownie albo już nigdy tego nie zrobisz.

- Nie musisz nigdy więcej wracać do tego domu.

- Owszem, muszę.

To jest...

był...

dom mojej siostry.

- Głos jej się łamał.

- Nie chcę, by obcy ludzie rządili się jej rzeczami, Mike.

Kiedy przyjdzie do...

zrobienia tego, co trzeba będzie zrobić, ja powinnam się tym zająć.

I jeśli teraz tam nie wejść, nie wiem, czy kiedykolwiek się odważę.

Zabierz mnie ze sobą, Mike.

Tylko, proszę, trzymaj mnie za rękę...

Wziął ją za rękę, drugą szukając kluczy.

Otworzył drzwi.

Przywitała ich cisza, niezmacona jak spokojny letni wieczór na zewnątrz.

Wszystko wyglądało normalnie, oprócz przewróconego krzesła i śladu zabłoconego, policyjnego buta na jasnym dywanie.

W środku Maggie puściła dłoń towarzysza i zaczęła oglądać wszystkie pokoje.

Zachowywała się jak we śnie, a Mike zastanawiał się, czy powinien jej na to pozwolić, czy nie lepiej powstrzymać ją przed tymi oględzinami, które wyraźnie sprawiały jej ból.

W końcu powróciła z tej dziwnej wycieczki, podeszła do niego, objęła i położyła mu głowę na ramieniu.

- W porządku?

- wyszeptał.

- Tak.

Pójdziemy już, Mike?

- Dobrze.

Z holu dobiegło ich ciche skrobanie.

Obydwoje zamarli, przysłuchując się i wymieniając spojrzenia.

- Co, do diabła...?

- zapytał Mike.

- Zdaje się, że to drzwi.

Jakby ktoś wszedł...

- Czy jest tam ktoś?

- padło pytanie z korytarza.

Mike i Maggie ponownie popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

- Mój Boże...

Drzwi na korytarz otworzyły się.

Stała w nich młoda kobieta, młoda kobieta w pięknie skrojonych dżinsach i jedwabnej bluzce, młoda kobieta równie zaskoczona jak oni.

Maggie zrobiła krok do przodu, krew odpłynęła z jej policzków.

Przez sekundę myślała, że zaraz zemdleje.

Kiedy się odezwała, z jej ust wydobył się dźwięk tylko trochę głośniejszy od szeptu.

- Ros!

Rozdział dziewiętnasty.

Maggie!

- Głos Ros wyrażał podobne niedowierzenie.

- Maggie, co ty tutaj robisz?

Maggie zignorowała pytanie; chyba w ogóle go nie usłyszała.

Opanowały ją radość i ulga, przesywały jej ciało jak małe elektryczne wstrząsy.

Zaskoczenie odebrało jej dech.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz!

- Nie żyję?

- Bezmyślnie powtórzyła Ross.

- Dlaczego myśleliście, że nie żyję?

- Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś.

Pomyśleliśmy...

a on powiedział...

- Przerwała.

Niemożliwością było zrelacjonować w kilku zdaniach wszystkie niedawne wydarzenia.

Przez chwilę, patrząc na siostrę, żywą i zdrową, stojącą przed nią, Maggie pomyślała, że ostatnie dni jej się przyśniły albo sama je sobie wymyśliła.

Zaraz się obudzi w swoim domu na Korfu, obok chrapiącego u jej boku Ariego.

W końcu Mike przerwał ciszę i jego głos, zaskoczony i trochę zagniewany, przekonał ją, że nie śni.

- Gdzie, do cholery, byłaś?

- Jak to, gdzie byłam?

- zaperzyła się Ros, rejestrując jego poirytowany ton.

- Wyjechałam, to chyba oczywiste?

- I nie powiedziałaś nikomu, dokąd jedziesz?

Zamartwialiśmy się o ciebie, Ros.

- Nie rozumiem dlaczego?

Przecież nie muszę się spowiadać z każdego swojego kroku.

Zresztą, kiedy wyjeżdżałam, ciebie nie było w mieście.

Byłeś na obozie z tymi swoimi dziećmi ze szkoły.

Dzwoniłam do ciebie, kiedy tylko znalazłam budkę telefoniczną, ale międzynarodowa linia była tak przeciążona, że nie mogłam się połączyć.

- Jaka międzynarodowa linia?
- Z Południowej Ameryki.
- Ros rzuciła swoją torbę na krzesło.
- Boże, jak ja potrzebuję drinka.

Myślałam, że ta podróż nigdy się nie skończy.

I jeszcze nie mogłam znaleźć przy stacji swojego samochodu.

Jakiś strażnik powiedział mi, że został odholowany, pomyślcie tylko!

Nie można zostawić samochodu na parkingu, bo zaraz go ściągają!

Mike i Maggie popatrzyli na siebie.

Prawdopodobnie policja, wreszcie wykazawszy zainteresowanie, zabrała go do oględzin.

- Dzwoniłaś na policję?
- zapytał Mike.
- Nie!

Zrobię to rano.

Zależało mi, żeby jak najszybciej dotrzeć do domu i wreszcie się wykapać.

Ros otworzyła szafkę kuchenną i wyciągnęła z niej szklanki i butelkę.

- Napiję się wódki - rzuciła.
- Chcecie?

Potem Maggie powie mi, co robi w Anglii i co wy obydwójce robicie w moim domu.

- Myślę, Ros - zaczął Mike - że lepiej będzie, jak nalejesz sobie spory kieliszek.

Mam przeczucie, że ci się przyda.

Popatrzyła na niego, unosząc pięknie ukształtowane brwi.

- Tak?
- Uhm.

I nalej też Maggie.

Ale lepiej whisky, bo to już dzisiaj piła.

- A ty?
- Nie, dziękuję.

Ja prowadzę.

Zresztą rano muszę iść do pracy.

Jeżu, Ros, nie masz pojęcia, jaki bałagan spowodowałaś.

Ros naląła whisky, podała szklaneczkę siostrze, po czym podniosła swoją w nieco żartobliwym geście.

- Nie mam, ale podejrzewam, że mi powiesz.

- Ros, to nie żarty.

Nie wiem, gdzie byłaś i w jakim celu, ale dzisiaj twoja siostra o mało co nie została zamordowana.

Ros zamarła z kieliszkiem w dłoni.

- Maggie!

Przez kogo?

- Stevea Lomaxa.

I tak przy okazji, myśleliśmy, że ciebie także zamordował.

- Mnie!

- Tak, Ros, ciebie.

Posłuchaj, to cholernie długa historia, ale ustaliliśmy, że Steve jest oszustem i podszywa się pod syna Dinah.

Ty, oczywiście, już o tym wiesz, ale my odkryliśmy to dopiero dzisiaj.

- W jaki sposób?

- zapytała ostro.

Teraz Maggie zaczęła tłumaczyć.

- Z twoich zapisków, które trzymałaś w pracy.

A kiedy Steve dowiedział się, że odkryłam prawdę, postanowił mnie uciszyć.

Myślałam, że to samo zrobił z tobą, Ros.

Przypuszczałam, że powiedziałaś mu, co wiesz, a on...

- Jej głos załamał się.

- Czy on nie wiedział, że ty wiesz?

Ros pokręciła głową.

- Trzymałam wszystko w tajemnicy.

Musiałam mieć stuprocentową pewność.

Po pierwsze bałam się o Dinah i wątpiłam, że w ogóle mi uwierzy.

Jest tak obsesyjnie zakochana w Stevie, że mogła zarzucić mi kłamstwo.

Dlatego przeleciałam pół świata - starałam się połączyć różne wątki i sklecić coś sensownego.

Posłuchajcie, naprawdę mi przykro, że się tak martwiliście, ale uwierzcie mi, że nie planowałam zniknąć na tak długo.

Najpierw miałam jechać tylko do Londynu, ale tam zdobyłam następne informacje.

I, Mike, naprawdę starałam się z tobą skontaktować, słowo honoru.

Raz nawet uzyskałam połączenie, usłyszałam twój głos, ale zaraz coś nas rozłączyło.

Kiwnął głową.

- Rzeczywiście, coś takiego było.

Nawet, nie wiadomo dlaczego, myślałem, że to ty.

Ale potem uznałem, że oszukuję sam siebie.

Skąd dzwoniłaś?

- Mówiłam już.

Z Ameryki Południowej.

Dokładnie z Argentyny.

- Co, na Boga, robiłaś w Argentynie?

- Wydaje mi się, że się domyślam - powiedziała Maggie.

- Właśnie tam przed śmiercią pracował prawdziwy syn Dinah.

- Tak, tylko że...

- Ros zamilkła.

- Co się stało ze Steveem?

Gdzie on teraz jest?

- Nie wiemy - poinformował Mike.

- Maggie uciekła i ukryła się.

Może on zrobił to samo, zdając sobie sprawę, że gra się skończyła.

Z tego, co wiem, nikt go potem nie widział.

Ale założę się, że policja go poszukuje.

- Więc Dinah...

wie?

- Podejrzewam, że już się dowiedziała.

Szczerze mówiąc, najmniej się o nią martwię.

Ros odstawiła drinka.

- Och, biedna Dinah!

Muszę do niej pojechać!

- Rany Boskie!
- wybuchnął Mike.
- Dopiero co wróciłaś, narobiłaś zamieszania swoim wyjazdem, a myślisz tylko o Dinah!
- Muszę się z nią zobaczyć.
Mam jej coś do powiedzenia.
- Z pewnością to może poczekać.
Nie sądzisz, że najpierw powinnaś zainteresować się swoją siostrą?
Ros spiorunowała go wzrokiem.
- Wygląda na to, że wystarczasz jej ty.
- Ros, to nie tak jak myślisz...
- Z przestachem zaczęła Maggie, ale Mike nie zamierzał poddać się tak łatwo.
- Po tym, co przeszliśmy, Ros, uważam, że jesteś nam winna dokładne wyjaśnienie.
Zmarszczyła brwi.
- To właśnie w tobie lubię, Mike, jesteś taki ważny!
Zjawiam się w domu po wyczerpującej podróży, a jedno, co ty potrafisz, to wydawać rozkazy.
W porządku, napijmy się jeszcze jednego drinka i zaspokoję waszą ciekawość.
Ale ostrzegam, że to bardzo długa historia, i nie wiem, od czego zacząć.
- Może - odezwał się Mike, nadal spięty - od tego, skąd się wzięły twoje podejrzenia wobec Stevea Lomaxa.
A tak przy okazji, dlaczego nigdy nie powiedziałaś mi, że go podejrzewasz?
Ros patrzyła na niego gniewnymi oczami, potem spuściła wzrok i obracając w rękach pustą butelkę po alkoholu, szukała w myśli najlepszej odpowiedzi.
Jak miała mu powiedzieć, że nie chciała, by poznał prawdę - że w gruncie rzeczy było dwóch młodych ludzi podających się za synów Dinah - ponieważ wyznając to, musiała wyjawic fakty, które wolała utrzymać w tajemnicy, wyjawic, że pewnego zimowego wieczoru odwiedziła mieszkanie Vana i natknęła się tam na jednego z tych młodzieńców.

O dziwo, teraz nie bardzo rozumiała, dlaczego tak jej zależało, żeby tamten stary romans został jej tajemnicą.

Prawdopodobnie to nawyk z przeszłości, bo Van nieustannie nalegał, by zachowała dyskrecję.

- Nie chcę skrzywdzić Dinah - tłumaczył, kiedy pewnego razu zapytała go, dlaczego nie chodzą razem do restauracji, klubów, dlaczego zawsze muszą spotykać się u niego w mieszkaniu?

- Nigdy nie wiadomo, na kogo się wpadnie, a ludzie uwielbiają plotkować.

- Jeśli tak bardzo zależy ci na niej, dlaczego w ogóle się ze mną spotykasz?

- wybuchnęła Ros.

- Ponieważ, moja droga, jesteś młoda i, piękna i bardzo, bardzo zmysłowa.

- Ale mnie nie kochasz?

Van patrzył na nią swoim hipnotycznym wzrokiem, ale jego spojrzenie było dziwnie obojętne.

- Nigdy w całym moim życiu nikogo nie kochałem.

Nie zamierzam tego zmieniać.

- Ale chyba kochasz Dinah.

Przez sekundę w jego granatowych oczach płonęła iskierka, przypuszczalnie wspomnienie przeszłości zepchnięte w głąb pamięci na przestrzeni lat.

Ale Van nie miał zwyczaju przyznawać się do jakiegokolwiek słabości - a dla niego miłość była słabością.

Raz w życiu, dawno temu, pozwolił sercu pokierować rozumem, ale nie na długo.

Z czasem pojął, że popełnił błąd, i bezlitośnie zadbał, aby nie miał on wpływu na jego dalsze życie.

Jego obecny wizerunek - przeznaczony dla świata - to obraz mężczyzny mocnego, całkowicie pozbawionego skrupułów; wizerunek, w który sam prawie uwierzył.

- Dinah pracuje najlepiej wtedy, kiedy jest szczęśliwa - stwierdził sucho.

- Jeśli tylko coś ją dręczy, natychmiast traci wienę twórczą.

- Ty sukinsynu!

- zawołała Ros, wstrząśnięta jego bezduszością, ale zarazem zmuszona była przyznać, że właśnie ta strona jego charakteru tak bardzo jej imponowała.

Już sama praca dla takiego człowieka stanowiła swoisty afrodyzjak - wyzwania, które przed nią stawiał, wprawiały ją w nieustanną ekscytację.

Czasami gardziła Vanem, czasami gardziła samą sobą, ale i tak nic to nie zmieniało.

Oczarował ją tak, jak żaden mężczyzna.

Nie liczyło się, czy podoba jej się to, co on robi czy nie.

Ale nie była z siebie zadowolona.

Czasami, gdy myślała o tym, jak chętnie poszła do jego mieszkania, cała się skręcała i wzdragała przed powiedzeniem komukolwiek, zwłaszcza Mikeowi, że ona, chlubiąca się swoją niezależnością, w rękach Vana stała się miękka jak plastelina.

Ich romans zaczął się wkrótce po jej przyjeździe do Vandiny.

Już przy pierwszym spotkaniu ją oczarował i wykorzystywała każdą okazję, żeby tylko znaleźć się w jego pobliżu.

Początkowo myślała, że nawet jej nie zauważył, ale było inaczej.

Długo się z nią droczył, wabiąc uśmiechem, spojrzeniem lub rozmową, którą ona potem rozpamiętywała.

I kiedy już był gotowy, kiedy wiedział, że mu nie odmówi, zrobił kolejny krok, a ona poszła za nim z ochotą, odrzucając skrupuły, lojalność, przyciągana niesamowitą siłą bijącą od niego, szła w sieć, która mogła ją udusić, ale i tak szła.

Czasami czuła się winna w stosunku do osób, które zdradzała.

Brendan, jej mąż; Dinah, jej pracodawczyni i przyjaciółka - ale cóż z tego.

Kiedy Brendan zaczął zachowywać się w stosunku do niej agresywnie, niemal się z tego ucieszyła, bo wydawało jej się, że w ten sposób płaci za swoje szczęście.

Dinah odpłacała się ciężką pracą i opieką nad nią.

Poznała lepiej niż ktokolwiek - może oprócz Vana - dziecinną stronę jej charakteru, która domagała się podpory i ochrony.

Jak tylko mogła, Ros starała się jej to zapewnić, pragnąc w ten sposób, choć częściowo, zmazać winę.

Często spotykała się z Vanem w jego miejskim apartamencie - choć może nie tak często, jak tego pragnęła.

I tamtego wieczoru, kiedy pojawił się syn Dinah, wszystko działało się jak zazwyczaj, tylko Van prosił ją, żeby przyszła po ósmej.

- Jestem wcześniej umówiony - wytłumaczył, nie mówiąc słowa, z kim.

Ros, głosząca pochwałę niezależności i wolności jednostki, w sercu była głęboko zazdrosną osobą i natychmiast przestraszyła się, czy ten ktoś nie jest przypadkiem kobietą.

Myśl, że może mieć rywalkę, rozwścieczyła ją i postanowiła zjawić się u Vana na tyle wcześnie, by dowiedzieć się, kogo gościł.

Nadal pamięta, jak paliła ją twarz, kiedy wspinała się po schodach, częściowo od zimnego powietrza na zewnątrz, częściowo od niepokoju o to, co dzieje się na górze.

To dziwne, ale z tamtego wieczoru najlepiej zapamiętała właśnie tę scenę - to, oraz niewymowną ulgę, którą odczuła, kiedy otworzyła drzwi swoim kluczem i stanęła twarzą w twarz nie z kobietą, rywalką, ale z młodym mężczyzną.

Podsluchane strzępy rozmowy wzbudziły jej ciekawość, ale o nic nie pytała.

Zrobiła to później, jak już przespała się z Vanem.

Leżeli w łóżku, w czarnej jedwabnej pościeli.

Trzymała głowę na jego ramieniu, oplatała go nogami, a on palił cygaro, którego dym łaskotał ją w nos.

- Kim był ten facet, którego spotkałam, jak weszłam?

- spytała.

- Nie znasz go, cukiereczku.

Był w interesach.

Lekko pociągała srebrne włosy gęsto porastające jego pierś.

- Nie wyglądało to na interesy.

Raczej na sprawę bardzo osobistą.

"Powiedz mojej matce, że nie miałem zamiaru jej martwić...

że dobrze ułożyłem sobie życie bez jej pomocy".

Koledzy od interesów nie mówią takich rzeczy.

- Tak sądzisz, kochanie?

- Owszem.

Och, cóż, jeśli nie powiesz mi prawdy, popytam tu i tam, i sama się dowiem...

Zdrętwiał.

Poczuła, że ogarnia go gniew.

- Nikomu nie powiesz, że go widziałas.

Udała naiwną.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ ci nie pozwalałam.

Roześmiała się.

- Och, Van, nie jesteśmy w biurze i nie muszę słuchać twoich rozkazów!

Zrobię to, na co będę miała...

- Zgoda - przerwał jej nagle i z tonu głosu zrozumiała, że uważa tę sprawę za niezmiernie poważną.

- Powiem ci, Ros, ale musisz pamiętać, że to tajemnica.

- Umiem dotrzymać sekretu.

- Wiem.

W przeciwnym razie nie miałabyś pracy, którą wykonujesz, i nie byłoby cię tutaj.

- Usłyszała w jego głosie przestrożę, tak jakby mówił: złam tajemnicę, a ja złamię ciebie.

- Ten młody człowiek twierdzi, że jest synem Dinah.

- Co?

- Mimo strzępów rozmowy, które udało jej się usłyszeć, słowa Vana zaszokowały ją.

- Nie wiedziałam, że Dinah ma syna.

- Nikt nie wie.

Dlatego właśnie nie chcę, żebyś się wygadała.

Dinah urodziła nieślubne dziecko, kiedy była bardzo młoda.

W tamtych czasach to był ogromny wstyd.

Dziecko zaraz po urodzeniu oddano do adopcji.

Dinah i ja pobraliśmy się i ona wyrzuciła całą nieprzyjemną historię z pamięci.

Teraz, ni stąd, ni zowąd, zjawia się ten chłopak twierdząc, że jest jej dzieckiem.

- Zaciągnął się cygarem.

- Skąd wiesz, czy mówi prawdę?

- zainteresowała się Ros.

- Miał kopię swojego aktu urodzenia.

Teraz można je dostać, Bóg wie, dlaczego władze do tego dopuściły.

Lepiej było dawniej, kiedy wszystko trzymane było w tajemnicy.

Tak czy inaczej, kazałem mu nigdy więcej nie naprzykrzać się Dinah.

Wrócił do Szkocji, jest pletwonurkiem na jednej z tych platform wiertniczych na morzu, jeśli dobrze zrozumiałem, i myślę, że się tu więcej nie pojawi.

Więc proszę, Ros, nie mów nic nikomu, dobrze?

Oparła się wygodniej na jego ramieniu.

Z trudem wierzyła w to, co usłyszała; ta opanowana, wspaniała, nietykalna Dinah ma nieślubnego syna.

Jeszcze bardziej niewiarygodny wydawał jej się fakt, że on przyjechał i że go widziała.

Starła się przypomnieć sobie, jak wyglądał, i żałowała, że nie zwróciła na niego większej uwagi.

Nie był jakoś specjalnie podobny do Dinah, ale, z drugiej strony, czy musiał?

Wróciła do rozmowy, którą usłyszała.

- Więc Dinah nie chce go widzieć?

- zaciekawiała się.

- Nie.

- Rozumiem, że to smutna historia, ale na jej miejscu nie mogłabym się opanować, żeby nie zobaczyć syna.

Van usiadł gwałtownie, wgniatając cygaro w dno dużej kryształowej popielniczki, stojącej przy łóżku.

- Dinah nie ma pojęcia, że on tu przyjechał.

Byłbym ci wielce zobowiązany, gdybyś dopilnowała, żeby niczego się nie dowiedziała.

- Ona nic nie wie?

- Przechwyciłem jego list.

Sam mu odpisałem.

Nie chcę, żeby Dinah się tym denerwowała.

Nie pozwolę na to, rozumiesz?

Ros kiwnęła głową, nie wiedząc, czy powinna oburzyć się na samowolę Vana, czy raczej czuć się dumna - w końcu wiedziała coś, o czym jej szefowa nie miała pojęcia i prawdopodobnie nigdy się nie dowie.

Potem przestała się tak bardzo ekscytować sensacyjną wiadomością.

Wszystko z czasem blednie i wkrótce Ros zupełnie zapomniała o synu Dinah.

Miała mnóstwo pracy, spotkała Mikea i zaczęła się z nim umawiać, choć jej romans z Vanem nadal trwał.

Ciągle jeszcze ją fascynował, więc nie chciała z niego zrezygnować, nieważne czy dla Mikea, czy dla jakiegoś innego mężczyzny.

Pewnej nocy, kiedy się z Vanem kochali, wydarzyło się coś raczej strasznego.

Leżał na niej, z wigorem doprowadzając się do orgazmu, gdy nagle zsunął się i, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami, trzymał się za serce.

- Boże, Van, dobrze się czujesz?

- Ros podniosła się na łokciu, patrzyła na jego poszarzałą twarz, nagle starą, i oczy tak dziwnie odległe.

Nic nie odpowiedział, tylko leżał i starał się spokojnie oddychać.

Ros wstała, zarzuciła szlafrok, zastanawiając się, czy powinna wezwać lekarza.

Nie chciała tego robić, bała się krepującej sytuacji, ale nie mogła patrzeć na Vana.

Uklękła przy łóżku i wzięła go za rękę.

- Van?

Słyszysz mnie?

Mrugnął powiekami.

- Tak.

- Van, co się stało?

Coś cię boli?

Znowu słabe mrugnięcie.

Wyglądało na to, że największy kłopot sprawia mu oddychanie.

Klatka piersiowa zapadała się.

- Van, zadzwonię po pomoc.

- Nie!

- udało mu się wykrzyknąć i, pomimo krytycznego stanu jego głos jak zawsze świadczył o sile.

Czekała; oddech mężczyzny stopniowo wyrównał się, a twarz odzyskała normalny kolor.

W końcu usiadł, wyciągnął do niej rękę, a ona go objęła.

- Boże, Van, przestraszyłeś mnie na śmierć!

Co to było, serce?

- Możliwe.

- Możliwe?

Co to znaczy, możliwe?

Czy coś takiego zdarzało się już wcześniej?

- Kilka razy.

- I co na to lekarze?

- Nic, bo nic im nie powiedziałem.

- Van, musisz!

To wygląda na coś poważnego.

- Nie chcę, żeby ktoś o tym wiedział.

Jeśli stwierdzą, że coś mi jest, zabiorą mi licencję pilota.

Dostał tę licencję zaraz po otwarciu firmy, a teraz miał swój samolot i latał nim, kiedy miał na to ochotę.

- I tak się dowiedzą przy następnych badaniach - uprzedziła go

Ros.

- Musisz się chyba badać co rok?

- Tak, ale do tego czasu wszystko mi minie.

Jezu, Ros, przestań panikować.

Jestem trochę przeziębiony i zjadłem ciężki obiad, to wszystko.

Ros była przekonana, że to coś poważniejszego, ale wiedziała, że nie ma sensu się z nim sprzeczać.

Następnym razem, kiedy miał podobny atak, już mocniej nalegała, by zgłosił się do lekarza.

Byli w podróży związanej z interesami i kiedy wracali samochodem, Van nagle zamilkł.

Spojrzała na niego i na jego czole zobaczyła wielkie krople potu.

- Dobrze się czujesz?

- zapytała zdenerwowana.

- Tak.

- Ale mówił przez ściśnięte gardło, a po chwili ostro zahamował, po czym, oparłszy głowę na fotelu, głośno dyszał.

- Przesiądź się - rozkazała.

- Zawiozę cię do szpitala.

Usiadł na jej miejscu, a ona za kierownicą.

Jechała szybko, co raz kątem oka zerkając na niego z przestrawieniem.

Jednak kiedy zjechała z autostrady na wiejską drogę, zastanawiając się, gdzie najbliżej znajdzie szpital, Van wrócił do formy, a z nią typowa dla niego apodyktyczność.

- Już się dobrze czuję, Ros.

Jedźmy do domu.

Dojechali do Vandiny.

Ros zaparkowała i gniewnie popatrzyła mu w twarz.

- Van, musisz coś zrobić z tymi atakami.

Nie wolno ci tego tak zostawić.

- Nie mów mi, co mam robić, cukiereczku.

- Jesteś chory, Van.

- Za dużo wczoraj wypłem, to wszystko.

Jeśli uznam, że coś mi jest, zwrócę się do lekarza.

Zrozumiałaś?

Nie sprzeczała się.

Po co?

Zresztą to, co się zdarzyło, mogło rzeczywiście być wynikiem przepicia, ni mniej, ni więcej.

Poza tym, jak miała wytłumaczyć komuś poprzedni atak, do którego doszło u niego w mieszkaniu, bez ujawniania ich nielegalnego związku.

Martwiła się o Vana, ale nikomu nic nie powiedziała.

Kilka tygodni później gorzko żałowała tamtej decyzji.

Van rozbił się w swojej małej Cessnie.

Kiedy tylko usłyszała tragiczną wiadomość i zanim inni zaczęli dociekać przyczyn wypadku, ona wiedziała, co się stało i winiła za to siebie.

Bez względu na konsekwencje powinna przełamać strach i powiedzieć komuś o stanie jego zdrowia.

Nie zrobiła tego - i teraz on nie żył.

Zignorował sygnały choroby - ona także.

Gdyby zrobiła to, co powinna, pewnie ocaliłaby go.

Z przerażeniem Ros zastanawiała się, jak by się czuła, gdyby oprócz siebie Van zabił kogoś jeszcze; dziękowała Bogu, że leciał sam.

Płakała w poduszkę, wypłakiwała łzy za mężczyznę, na którego punkcie oszalała, oraz z powodu wyrzutów sumienia, że w porę mu nie pomogła.

Starala się też jak mogła podtrzymać na duchu Dinah, załamana śmiercią męża.

Ros przepadała za szefową.

Każdy, kto ją znał, kochał ją i chciał ją ochraniać.

Ros nie stanowiła wyjątku.

Czasami zastanawiała się, jak to jest możliwe, bo przecież żyła od długiego czasu z Vanem.

Mimo to kochała Dinah i wiedząc, jak jest bezbronna, starała się oszczędzić jej cierpień.

Po śmierci Vana to pragnienie było jeszcze silniejsze.

Choć sama rozpaczała, widząc całkowity upadek Dinah, stawała się silniejsza i opiekowała się nią, wspomagała, jak to czynił Van.

- Robię to dla niego, powiedziała sobie, i mając przed sobą cel, łatwiej znosiła ból po stracie ukochanego mężczyzny.

Dawno już zapomniała o młodym chłopaku, którego spotkała u niego w mieszkaniu.

Przypomniała go sobie dopiero, gdy pewnego dnia weszła do biura i zastała tam Dinah z rozświetlonymi oczami, drżącą z emocji.

Ta nagła przemiana zdziwiła Ros, więc nie mogąc wydobyć słowa, wpatrywała się w nią zaskoczona.

I wtedy Dinah powiedziała jej, że dostała list od syna, którego jako niemowlaka oddała do adopcji, i którego nie spodziewała się nigdy w życiu ponownie zobaczyć.

Ros musiała udać zdumienie.

Nie mogła pokazać po sobie, że wie już o jego istnieniu, a tym bardziej że go spotkała.

Ale radość Dinah zastanowiła ją.

Van trzymał pojawienie się chłopca w sekrecie, ponieważ nie chciał przygnębić żony - ale teraz wyglądało na to, że list od syna wzbudził w niej zupełnie odmienne emocje.

- Nie mogę w to uwierzyć!

- wyszeptała do Ros.

Twarz jej promieniała, jak dziecko przyciskała ręce do policzków.

- Nie przypuszczałam, że jeszcze go zobaczę i teraz...

Och, gdybyś wiedziała, jak za nim tęskniłam, Ros, jak winiłam się za to, że go oddałam jakimś obcym ludziom, pragnęłam...

go zobaczyć, choć na sekundę, żeby dowiedzieć się, jak wygląda!

I patrz, nagle on napisał do mnie, pyta, czy możemy się spotkać!
Czy los nie jest przewrotny?

Mówią, że kiedy Bóg zamyka drzwi, zaraz otwiera okno.

Straciłam Vana, ale wrócił mój syn.

To naprawdę niewiarygodne!

Nie aż tak bardzo, myślała Ros cynicznie.

Został odesłany przez Vana, ale kiedy przeczytał o jego śmierci, wrócił, ponownie próbując nawiązać kontakt.

Jednak mając na względzie ogromną radość Dinah, nie widziała w tym nic złego.

W końcu poznała Stevea osobiście i nic nie rozumiała.

Owszem, wtedy, w apartamencie Vana, tylko przez chwilę przyglądała się rzekomemu synowi Dinah, ale ten młody mężczyzna, grzecznie podtrzymujący ramię matki, zupełnie go nie przypominał.

Początkowo uznała, że zawodzi ją pamięć.

Tak jak i ona, tamten mężczyzna ubrany był w zimowy płaszcz - przypominała sobie obszerne palto, deformujące sylwetkę - i doszła do wniosku, że przez lata jego twarz zlała się w jej pamięci z twarzą kogoś innego.

Przecież nawet nie potrafiła dokładnie opisać wyglądu tamtego chłopaka, tylko że nie wydawał jej się podobny do Stevea.

I nie chodziło jedynie o twarz, ale i o głos.

Słyszała tamtego wypowiadającego jedno zdanie, jednak mogła przysiąc, że mówił z typowym angielskim akcentem, a Steve raczej z amerykańskim.

Wyjaśnił Dinah, że rodzina, która go adoptowała przeniosła się do Kanady i tam się wychował.

Dinah uwierzyła mu na słowo.

Ale Ros męczyły wątpliwości.

Zacząła więc, bardzo ostrożnie, podpytywać Stevea.

Odpowiadał gładko i bez wahania, ale to tym bardziej wzmagало jej podejrzliwość.

Pewnego dnia umyślnie wspomniała o apartamencie Vana.

- Miał szczęście, że mieścił się na parterze - rzuciła, niemalże wstrzymując oddech.

- Gdyby musiał biegać po schodach w górę i w dół, pewnie serce wysiadłoby mu o wiele wcześniej.

A Steve bez mrugnienia okiem odpowiedział: - To prawda.

Choć gdyby miał jakieś sygnały, mógłby jeszcze żyć.

W tym momencie Ros przekonała się, że ma rację - Steve nigdy nie był w mieszkaniu Vana.

A więc - jeden z tych młodzieńców podszywał się pod syna Dinah.

Ale który?

Ros z całego serca pragnęła, żeby nie był to Steve.

Takie oszustwo złamałoby Dinah serce.

Ros zamartwiała się i rozmyślała.

Biorąc pod uwagę bogactwo Dinah, nic dziwnego, że jakiś pozbawiony skrupułów łowca fortuny stara się podszyć pod jej syna.

Ale to nie takie proste.

Istnienie nieślubnego dziecka Dinah było pilnie strzeżoną tajemnicą, a szczegóły o rodzicach udostępniane są jedynie właściwej osobie po dokładnym sprawdzeniu jej tożsamości.

Nic nie trzymało się kupy, zupełnie nic.

Kiedy stało się jasne, że Dinah uznaje Stevea za swojego spadkobiercę, Ros zaczęła się martwić nie na żarty.

Była przekonana, że dzieje się coś naprawdę złego, ale nie mogła się zdecydować, żeby powiedzieć o tym Dinah.

Jeśli Steve jest oszustem, nie wolno dopuścić, żeby wykorzystał Dinah.

Jednak ta wiadomość stanowiłaby dla niej niewyobrażalny szok, złamałaby jej serce.

Ros tygodniami zamęczała się rozmyślając.

Zgodziła się nawet kilka razy pójść ze Steveem do restauracji, żeby tylko wyciągnąć z niego prawdę.

Ale nie potrafiła przejrzyć tego człowieka i w końcu podjęła decyzję.

W jakiś sposób musi się dowiedzieć, co się tak naprawdę stało.

Wtedy i tylko wtedy zacznie działać.

Teraz, obracając w dłoniach butelkę po wódce i rozmawiając z Maggie i Mikeem, przeżywała ten sam dylemat.

Żeby wytłumaczyć, dlaczego zaczęła podejrzewać Stevea, musiała przyznać się do romansu z Vanem.

Skryta i uczuciowa z natury, nadal nie chciała wyjawić całej prawdy.

Jednak tylko ona ją znała i będzie musiała wyjaśnić im przynajmniej jej część.

- Nie powiedziałam ci, ponieważ sama nie byłam tego pewna - wytłumaczyła.

- Nie rozumiesz, Mike, że rzucałabym straszliwe oszczerstwo.

- Nie mogłaś mi zaufać?

- denerwował się.

- Pewnie powinnam.

Ale wydawało mi się, że lepiej, żebym swoje podejrzenia zatrzymała przy sobie, dopóki się nie upewnię.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego wyjechałaś bez słowa.

Nie przyszło ci do głowy, że będziemy się o ciebie martwili?

Ros westchnęła, potrząsając głową.

- Mike, proszę, spójrz na to z mojego punktu widzenia.

Pomyślałam sobie, że skoro jesteś na obozie, ja mam doskonałą okazję na przeprowadzenie śledztwa, a ty nie będziesz zadawał mi żadnych pytań.

Nie zamierzałam wyjechać na tak długo.

- Nie mogłaś przecież naiwnie sądzić, że podróż do Argentyny zajmie ci tyle samo czasu co wyjazd do Bournemouth.

- Powtarzam, wcale nie wybierałam się do Argentyny.

Planowałam tylko pojechać do Londynu.

Skontaktowałam się z Excel Oil, towarzystwem, dla którego pracował Steve.

Podali mi adres mężczyzny z jego zmiany, londyńczyka, Desa Taylora.

Postanowiłam go odwiedzić.

Maggie i Mike wymienili spojrzenia.

Des Taylor - mężczyzna, który dzwonił i pytał o Ros.

- Więc co się wydarzyło?

- Ten Des Taylor wyjechał.

Moja wina, bo powinnam wcześniej sprawdzić, czy zastanę go w domu.

Ale spotkałam jego rodziców.

Pokazali mi fotografię - syna i dwóch innych pletwonurków z jego drużyny.

Jednym z nich był Steve.

Ten drugi to mężczyzna, którego widziałam w mieszkaniu Vana.

- Co to znaczy...

widziałaś?

- zdziwił się Mike.

Ros lekko się zaczerwieniła.

- Pewnego wieczoru pojechałam tam, mieliśmy pracować, i ten mężczyzna tam był.

Van odesłał go, mówiąc, że Dinah nie chce, żeby przypomniano jej przeszłość.

Tak czy inaczej, natychmiast rozpoznałam mężczyznę na zdjęciu.

Rodzice Desa Taylora powiedzieli, że znają go pod przydomkiem "Mac", i że wyjechał do Argentyny, pracować dla innego towarzystwa naftowego.

Powiedzieli także, że wkrótce po jego wyjeździe w Excel Oil rozeszła się wiadomość, że zginął w jakimś wypadku podczas nurkowania.

Podejrzewam, że właśnie wtedy Steve zdecydował się przejąć jego tożsamość.

- Sukinsyn!

- wybuchnął Mike.

W oczach Maggie niespodziewanie pojawiły się łzy.

Wydarzenia dnia odcisnęły na niej swoje piętno, poza tym żal jej było kobiety, która została tak straszliwie wykorzystana.

- Biedna, biedna Dinah.

- Tak, biedna Dinah - ponuro zawtórowała Ros.

- Życie jej nie rozpieszcza.

Wielu ludzi jej zazdrości, ale nie mają pojęcia o jej tragedii.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego wyjechałaś do Argentyny i nie zawiadomiłaś nas o tym - upierał się Mike twardym głosem.

Jemu także wypadki dnia dały się we znaki.

- Znasz mnie, Mike - powiedziała Ros.

- Wierzę, że należy kuć żelazo póki gorące i, szczerze, nawet przez sekundę nie pomyślałam, że przyczynię się do takich kłopotów.

Skąd ten pomysł, że nie żyję, na Boga?

- Z różnych powodów!

- rzuciła Maggie zirytowanym głosem.

Po odprężeniu nadszedł czas złości na Ros; przysporzyła im tylu zmartwień i najwyraźniej zupełnie nie czuła się temu winna.

- Po pierwsze twój wyciąg bankowy.

Nie podjęłaś żadnych pieniędzy.

Jak pojechałaś do Argentyny bez pieniędzy?

- Użyłam mojej nowej karty American Express.

Dlaczego, do diabła, miałabym tego nie zrobić?

- A twój samochód, siedzenie kierowcy było nienaturalnie odsunięte.

Czy ktoś zawiózł cię na stację?

- Naturalnie, że nie!

Mówisz, że siedzenie było odsunięte?

Nie rozumiem, z jakiego powodu...

Och, już wiem, upadł mi kolczyk.

Przypuszczam, że odsunęłam fotel, żeby go podnieść.

Ale po co grzebaliście w moich dokumentach bankowych i w moim samochodzie?

- Gdybyś tylko wcześniej trochę pomyślała, Ros, nie musielibyśmy tego robić.

Zamierzała się już odszczeknąć, ale zmieniła zdanie.

- Jadę do Dinah.

- Teraz?

- Teraz.

Jest coś, co muszę jej powiedzieć, a co może złagodzić wstrząs.

Zamierzałam poczekać z tym do jutra, ale ze względu na sytuację, myślę, że powinnam pojechać od razu.

Mike, czy mogę wziąć twój wóz?

- Teraz, w nocy?

Ros, ja...

- Jeśli się nie zgodzisz, nie pozostanie mi nic innego, jak wezwać taksówkę.

- Po co chcesz jechać do Dinah?

Nie podejrzewam, żeby znajdowała się w nastroju do przyjmowania gości.

Po tych rewelacjach, co możesz powiedzieć, żeby jej ulżyć?

- Jest coś, co, myślę, podniesie ją na duchu.

- To znaczy?

Ale Ros pokręciła głową.

- Szczerze mówiąc, uważam, że Dinah powinna się dowiedzieć o tym pierwsza.

Ale uwierzcie, że to ważne.

Maggie i Mike nie odezwali się.

Mike sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął kluczyki i podał je Ros.

Mam nadzieję, że Ros nie będzie tam długo - powiedział Mike, kiedy wyjechała.

- Wyglądasz na zmordowaną, Maggie.

Chcę cię zabrać do domu, wsadzić do łóżka i napić gorącą herbatą.

Maggie spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Ależ, Mike, przecież chyba zdajesz sobie sprawę, muszę zostać tutaj.

- Jak to?

- No, dokładnie.

- Po wypadkach ostatnich dni i godzin nie miała już sił na odczuwanie czegokolwiek.

Ogarnęła ją wielka ulga, kiedy okazało się, że Ros żyje, oraz złość na jej bezmyślne zachowanie, a także ogromny żal.

Jeszcze go nie przeanalizowała, ale wiedziała, że dotyczy jej i Mikea.

- Muszę zostać tu z Ros.

Nie mogę jechać do ciebie, nie sądzisz?

- Dlaczego nie?

- Och, Mike, wszystko się zmieniło.

Ros wróciła i cieszę się...

oczywiście, że się cieszę!

Tylko...

- Wykonała bezradny gest ręką.

Dotknął jej, więc szybko cofnęła dłoń i odwróciła się, żeby nie zobaczyć łez zbierających się w oczach.

- Proszę, nie pogarszaj sytuacji.

To koniec.

Na pewno to rozumiesz.

- Rozumiem, że wszystko się skomplikowało.

Ale to nie znaczy, że my nie możemy...

- Nie mogłabym zrobić tego Ros.

Nie mogłabym pozwolić, żeby myślała, że ja...

że kiedy jej się coś stało, ty i ja...

Nie mogę!

Przepelniał ją wstyd i zakłopotanie.

Ostatnie dni były jak koszmar i jak obłąd.

Jakby świat wywrócił się do góry nogami i gdy siostra stanęła w drzwiach, wrócił na swoje miejsce, ale niezupełnie.

- Ros wyjechała bez słowa, bez oglądania się na kogokolwiek - ostro przypomniał Mike.

- Ale nam to wytłumaczyła.

- Maggie czuła, że musi stanąć w obronie siostry.

- Uważała, że musi oszczędzić Dinah cierpienia.

Och, Mike, nie patrz na mnie z taką naganą.

Rozumiem ją, choć ty nie.

- Widać, że jesteś bardziej wyrozumiała ode mnie.

- Nie wolno ci jej tak winić.

Ros jest...

Ros.

Sam wiesz.

I ona cię kocha, Mike.

Załamaby się, gdyby wiedziała, że ty i ja...

no, zrobiliśmy, co zrobiliśmy.

Jej życie też nie było usłane różami.

Nie chcę, żeby znowu się męczyła.

- Sama się do tego przyczynia.

- Zresztą - ciągnęła Maggie - nie chodzi tylko o Ros.

Jest jeszcze Ari.

- Wydawało mi się, że nie jesteś z nim zbyt szczęśliwa.

- On jest moim mężem, Mike.

Coś mu się ode mnie należy.

Zdradziłam go, ale nie mogę po prostu uznać, że nie istnieje, bo tak mi wygodnie.

Te ostatnie dni były...

cóż, nierzeczywiste.

Ale, kiedy przekonałam się, że Ros jest bezpieczna, znowu zaczęłam widzieć wszystko jasno.

I sądzę, że musisz wybaczyć jej ten wyjazd bez słowa uprzedzenia, a ja muszę wrócić do domu na Korfu i wynagrodzić Ariemu to, co mu zrobiłam.

- Jej głos zginął w ataku szłochu.

Mike zrobił krok w jej stronę, ale zatrzymał się.

- W porządku, Maggie, rób, jak chcesz.

Szczerze mówiąc, uważam, że jesteś przewrażliwiona i nie patrzysz na sprawy z odpowiedniej perspektywy.

- Nie, Mike.

Widzę je tak jak należy.

Po raz pierwszy od wielu dni postrzegam wszystko tak, jak rzeczywiście to wygląda.

- W porządku - rzucił zmęczonym głosem.

- Nie chcę się z tobą sprzeczać.

Mam dosyć jak na jeden dzień.

- Ty masz dosyć?

- Tak, ja.

Ja także mam uczucia.

I mam po uszy kobiet i ich bezmyślności.

Jadę do domu.

- Nie możesz...

Ros ma twój samochód.

- Do cholery z nią.

Maggie, jeśli upierasz się tu zostać, radzę ci położyć się do łóżka, a ja poczekam na powrót twojej siostry.

Sam.

Mówił chłodno i stanowczo.

Maggie poczuła, że zbiera jej się na płacz.

Tak łatwo byłoby, tak łatwo objąć go i powiedzieć, co tkwi w jej sercu - że kocha go straszliwie i niczego bardziej nie pragnie, jak zostać z nim tej nocy i do końca życia.

Ale to by nic nie zmieniło.

Kochała go - ale spotkała go za późno.

Żeby zostać z nim, musiałaby skrzywdzić dwoje ludzi, na których jej zależało, i instynktownie czuła, że szczęście okupione cierpieniem innych nie byłoby już takie bez skazy.

Lepiej pozostawić rzeczy w obecnym stanie, wyjść, póki jest zły i póki ona miała tyle siły, żeby to uczynić.

- Dobranoc, Mike - powiedziała, odwróciła się i poszła na górę.

Rozdział dwudziesty.

Don Kennedy przechadzał się nerwowo przed drzwiami byłego biura Vana.

Na jego gładkiej różowej twarzy malowało się zmartwienie, a w oczach napięcie.

To był straszny dzień i jeszcze się nie skończył.

Zatrzymał się, przysłuchując się dźwiękom zza drzwi, ale nic do niego nie docierało.

- Dinah!

- zawołał z niepokojem.

- Dinah, to ja, Don.

Czy dobrze się czujesz?

Nadal żadnej odpowiedzi.

Minęła prawie godzina od telefonu pani Brunt, gospodyni Dinah, która poprosiła, żeby natychmiast przyjechał, a trzy godziny od powrotu Dinah z fabryki, po którym zamknęła się w gabinecie Vana.

- Boję się o nią, panie Kennedy - powiedziała gospodyni, kiedy Don przyjechał, byle jak zaparkował swoje BMW na podjeździe i pospieszył do domu.

- Nie wiem, o co chodzi, ale coś się stało, i to coś bardzo poważnego.

Nigdy nie widziałam jej w takim stanie, przynajmniej od czasu śmierci pana Vana.

- Tak, też myślę, że to coś poważnego - zgodził się Don.

Po lunchu z Dinah nie wrócił do swojego biura, ale pojechał do miasta na serię spotkań w interesach i kiedy pani Brunt zadzwoniła na jego numer w samochodzie, właśnie znajdował się w drodze do domu.

Natychmiast zjechał na pobocze - nigdy nie rozmawiał przez telefon w trakcie jazdy - i zadzwonił do Vandiny, żeby się dowiedzieć, co się wydarzyło.

Zdezorientowana Liz opowiedziała mu o ostatnich wypadkach, więc od razu skierował się do Luscombe Manor, jadąc niebezpiecznie szybko, co nie zgadzało się z jego ostrożną naturą, i przeklinając samego siebie za to, że nie było go przy Dinah w chwili, w której najbardziej go potrzebowała.

Do diabła, cały czas coś nie podobało mu się w Stevie - dlaczego nie posłuchał głosu intuicji i nie sprawdził tego faceta?

Ale łatwo jest być mądrym po szkodzie - aż do teraz wydawało mu się, że jego niechęć bierze się z zazdrości o mężczyznę, który pojawił się i zmonopolizował uczucia Dinah.

Don wstydził się swoich reakcji.

Nienawidził egoizmu u siebie i u innych i nie cieszył go fakt, że nie przepada za człowiekiem, dzięki któremu Dinah była szczęśliwa.

Między innymi z tego powodu trzymał się na uboczu i nie podejmował żadnych kroków.

Nie chciał zniszczyć jej szczęścia.

Teraz, w obliczu tragedii, z całego serca żałował, że zachował taką powściągliwość.

I co teraz?

- zastanawiał się, naciskając na gaz, żeby szybciej znaleźć się przy Dinah.

Jej cały świat, tak już ustabilizowany, na nowo padł w gruzy.

Najpierw śmierć Vana, potem zniknięcie Ros, szpieg - sprawa nadal nie rozwiązana - a teraz to.

Totalna ruina, wystarczy, by załamać słabą psychikę Dinah.

- Proszę mnie wprowadzić, pani Brunt - powiedział do gospodyni, nerwowo wykręcającej palce.

- Gdzie jest pani Marshall?

- Nadal w gabinecie.

Przyszła do domu i wyglądała jak duch, biała jak prześcieradło.

Spytałam ją, co się stało, ale mi nie odpowiedziała.

Była jak pogrążona we śnie - jej oczy były jakieś takie... martwe.

Nie wiem nawet, czy mnie usłyszała, panie Kennedy.

Potem powiedziała: Idę do Vana.

Zapytałam ją, co to znaczy.

Przestraszyła mnie tym, co powiedziała.

Ale ona ciągle nie zwracała na mnie uwagi.

Minęła mnie, jakby mnie tam w ogóle nie było, poszła prosto do gabinetu i została tam.

O co tu chodzi, panie Kennedy?

Co ją tak zdenerwowało?

- To ma coś wspólnego ze Steveem - wyjaśnił Don.

- Wkrótce wszystkiego się dowiesz.

Teraz jak najszybciej muszę się zająć panią Marshall.

Idę z nią porozmawiać.

- Och, tak, panie Kennedy.

Po to do pana zadzwoniłam.

Pan jest jedyną osobą, z którą może zechcieć rozmawiać.

Oprócz Stevea, oczywiście, ale kiedy zadzwoniłam do fabryki, powiedzieli, że go tam nie ma...

Szła przez korytarz, cały czas mówiąc, z wyraźną nadzieją, że czegoś się dowie.

Don z niczym się nie zdradzał.

Ostatnia rzecz, na którą miał w tej chwili ochotę, to przeżywać całą historię na nowo - zresztą nie był przekonany, czy zna wszystkie fakty.

Liz chaotycznie opowiedziała mu, że Steve zaatakował siostrę Ros, a potem zniknął, ale mówiła coś też o oszustwie.

Steve podszywa się pod syna Dinah.

No cóż, na razie ciekawość jego i pani Brunt nie zostanie zaspokojona.

Najważniejsze, jak wcześniej powiedział, to zająć się teraz Dinah.

Zapukał do drzwi, zawołał ją po imieniu, odczekał moment i zapukał ponownie.

Niepokój sprawiał, że czuł klucie w żołądku, i z niechęcią przypomniał sobie słowa pani Brunt, powtarzającej za Dinah: - "Idę do Vana".

Nie, nie, na pewno nie zrobiła nic nierozsądnego.

Czy wydarzenia tego dnia ostatecznie zachwiały jej równowagę psychiczną?

Wiedział, że wzięła środki uspokajające - lekarz przepisał jej je po śmierci Vana - bo nie potrafiła się bez nich tak do końca obejść, nawet w bardziej radosnym okresie po pojawieniu się Stevea.

Powiedziała, że idzie do Vana po prostu dlatego, że tam najmocniej czuje jego obecność - a może chodziło jej o coś zupełnie innego?

Don poczuł, że na skroni zbierają mu się krople potu.

Zdjął rękawiczkę, by je zetrzeć, i mocno walnął w drzwi.

- Dinah, na Boga, odezwij się!

W gabinecie nadal panowała cisza.

- Dinah!

- zawołał znowu.

- Jeśli nie otworzysz, wyważę drzwi!

- Nie!

- Głos ze środka był tak cichy, tak słaby, że nie wiedział, czy się przesłyszał.

Przycisnął ucho do drzwi i usłyszał: - Proszę...

po prostu zostaw mnie samą.

Ogarnęła go ulga, a potem znowu strach.

Żyła, ale jej głos był taki przytłumiony.

Płacze?

A może traci przytomność?

- Nie możesz tam ciągle siedzieć, zawołał, starając się mówić stanowczo, a zarazem pocieszająco.

- Dinah, otwórz drzwi.

Bądź mądrą dziewczynką.

Czekał, ścierając z czoła pot.

- Może pan wybić okno - odezwała się zza jego pleców pani Brunt.

- To łatwiejsze niż wyważanie drzwi.

Zignorował ją.

- Dinah, słyszysz mnie?

- krzyknął.

- Jeśli nie wyjdiesz z własnej woli, wejdem tam i cię wyciągnę.

Poczuł ulgę, kiedy usłyszał dźwięk przekręcanego w zamku klucza.

- W porządku, pani Brunt, dam sobie radę - rzucił pospiesznie wiedząc, że Dinah nie spodoba się, kiedy oboje zaczną ją wypytywać i się nad nią użalać.

Gospodyni niechętnie cofnęła się o parę kroków, i stała tam, z założonymi rękami, głową wysuniętą, żeby niczego nie przeoczyć.

Don czekał, aż Dinah otworzy drzwi.

W końcu sam nacisnął klamkę i wszedł.

Dinah stała w końcu pokoju, pod portretem Vana, nieruchomo w niego wpatrzona.

Wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

Po chwili Dinah odwróciła się i choć spodziewał się ją ujrzeć w podobnym stanie, widok go przeraził.

Postarzała się o dziesięć lat.

Piękna twarz była blada i spięta, oczy wielkie i wystraszone.

Ta kobieta była tak nieprawdopodobnie delikatna, czarna sukienka podkreślała jej wiotkość.

- Och, Don - na wpół westchnęła, na wpół wyszlochała.

- Słyszałeś zapewne, co się stało?

- Tylko to, że Steve zniknął.

Reszta jest dla mnie mało zrozumiała.

- Zniknął, bo szuka go policja.

Wygląda na to, że napadł na siostrę Ros, i policja sądzi, że miał także coś wspólnego z zaginięciem Ros.

A wiesz, co się za tym kryje?

Ros odkryła, że nas wszystkich oszukiwał.

Cały ten czas.

Nie jest moim synem.

To Amerykanin, który znał mojego syna, mojego prawdziwego syna.

Razem pracowali na platformie wiertniczej na Morzu Północnym.

A kiedy mój syn zginął...

- Jej głos załamał się.

- ...zabrał jego akt urodzenia.

To straszne, nie mogę w to uwierzyć.

A ty?

- Kochana, moja kochana...

- Czułe słowa wyrwały mu się mimowolnie, bo teraz, kiedy dostał się wreszcie do tego gabinetu, zupełnie nie wiedział, co powiedzieć, żeby nie brzmiało to fałszywie albo pokrętnie.

- Dinah, tak mi przykro!

- Boże, przecież to nie twoja wina.

Zaczynała wpadać w histerię.

- Mogę winić tylko siebie.

Co ze mnie za idiotka!

Co za straszna idiotka!

- Skąd mogłaś wiedzieć, Dinah - miękko odezwał się Don.

- Wszyscy daliśmy się zwieść.

On był taki przekonujący.

Kobieta zamykała i otwierała dłonie.

- Tak bardzo pragnęłam, żeby był moim synem!

Tyle lat za nim tak okropnie tęskniłam!

Ale powinnam przeczuć, że to nie on.

Tak, tak, powinnam to była wiedzieć!

- Zamilkła.

Don szukał w myśli słów pocieszenia, ale zanim się odezwał, ona znowu tym samym przybitym, odległym głosem ciągnęła: - Najśmieszniejsze, że coś przeczuwałam.

Jakiś głos mówił mi, że to za dobre, żeby było prawdziwe.

I nie mogłam dostrzec w nim żadnego podobieństwa do mnie, choć bardzo się starałam.

Nic ze mnie i nic z Vana.

Tego właśnie nie potrafiłam zrozumieć.

Wydawało mi się, że musiał odziedziczyć coś po Vanie.

Mężczyzna taki jak on, taki żywotny, taki...

mocny...

z pewnością przekazałby część swoich cech synowi.

Dobry Boże, ona postradała zmysły, pomyślał Don.

- Dinah - powiedział głośno.

- Wydaje mi się, że dajesz się ponieść wyobraźni.

- Nie - zaprzeczyła - teraz nie, już nie.

To stało się wtedy, kiedy on się zjawił.

To nie tylko wrócił mój syn, moje ukochane dziecko, którego miałam nigdy w życiu nie zobaczyć.

Z nim wrócił Van, a przynajmniej tak chciałam myśleć.

A teraz wiem, że się okłamywałam.

Van nie żyje i nasz syn także, i nie zobaczę więcej żadnego z nich.

Oparła się o ścianę, kołyszając się na boki jak oszalała.

- Dinah...

- Don czuł się bezradny w obliczu tak wielkiego bólu.

- Kochanie, błagam, przestań.

- On mnie do tego zmusił, wiesz - łkała.

- On zmusił mnie do oddania dziecka i udawania, że urodziło się martwe.

Nie chciał się mną z nikim dzielić.

Kochał mnie tak bardzo, - a ja kochałam jego.

Ale nie powinien mnie do tego zmuszać!

Jak mógł mi to zrobić, i swojemu własnemu dziecku?

Dopiero teraz Don z przerażeniem zrozumiał, jak dalece Dinah mamiła siebie.

Kiedy zaczęła wierzyć, że Steve nie jest jedynie jej synem, ale częścią Vana, który do niej powrócił?

- Dinah, Van nie był ojcem twojego dziecka - powiedział łagodnie.

- Wiesz o tym doskonale.

On podjął tylko decyzję, którą uznał za najlepsze wyjście dla was obojga.

Patrzyła na niego pustym, pytającym wzrokiem.

- Tak?

- Oczywiście.

Wiem, że rzeczy nie ułożyły się tak, jak pragnęłaś, ale musisz się pogodzić z faktami.

Nadal masz swoją pracę i przyjaciół, którym bardzo na tobie zależy.

Jeszcze chwilę patrzyła na niego, jakby nic nie rozumiała, aż nagle odrzuciła głowę do tyłu, usta ułożyły się do bezgłośnego krzyku, wyrzuciła przed siebie ramiona.

- Nie chcę tej pracy!

- łkała.

- Nie chcę przyjaciół.

Czy nie rozumiesz...

chcę mojego syna!

Czekał, patrząc bezradnie na jej płacz.

- Och, Don, Don, nikt nigdy nie zrozumie, jak to jest.

To ciągle jest we mnie, wszyscy dokoła myślą, że zapomniałam, ale to nieprawda - o nie.

Tkwi tam, w środku.

Kiedy on wrócił, myślałam...

myślałam...

- Jej głos przeszedł w szept.

- Nie chcę dalej żyć.

Och, Don, co mam robić?

Jej cierpienie rozdzierało mu serce i bez zastanowienia uczynił to, czego pragnął od lat.

Podszedł do niej, objął, przytulił do siebie, a ona wyplakiwała na jego ramieniu swój ból, swój żal, swoją tęsknotę.

- Dinah, droga moja, pozwól mi się tobą zaopiekować.

I ku jego niedowierzaniu, wielkiej radości i kompletnemu zaskoczeniu, usłyszał jej szept: - Och, tak, Don, proszę.

Światła samochodu Mikea przecinały czerń bezksiężycowej nocy, kiedy Ros zjeżdżała na drogę do Luscombe Manor.

Gdy jednak podjechała pod sam dom, uderzyła ją feeria świateł, bo zapomniano o zaciągnięciu zasłon.

Ros pomyślała, że wygląda to jak pusta scena w teatrze, na której za chwilę staną aktorzy.

Strach przed nadchodzącą rozmową, spotęgowany zmęczeniem po podróży, ścisnął jej serce.

Miała wrażenie, że jej wędrówka nie ma końca.

Najpierw odwiedziła w miasteczku pletwonurków, potem lot małym samolotem na liniach krajowych, a wreszcie linie międzynarodowe i następnie przejazd pociągiem z Heathrow i taksówka do Bristolu.

Wyczerpujące zarówno fizycznie, jak psychicznie.

Marzyła o powrocie do domu, wypiciu czegoś gorącego, długiej kąpieli z przynajmniej jedną buteleczką zapachowego olejku - och, luksus po tygodniu spartańskiego życia!

- i własnym, wygodnym łóżku.

Ale kiedy zobaczyła Mikea i Maggie - co w ogóle Mike sobie myślał, żeby ściągać Maggie z Korfu?

- zrozumiała, że może zapomnieć o swoich marzeniach.

Naprawdę to złośliwość, że szum powstał wtedy, gdy starała się załatwić wszystko po cichu.

Teraz musi wyjaśnić całą sytuację, mimo że nie czuje się winna zamieszaniu, jakie powstało.

Bo przecież, gdyby nie ona, nikt nie odkryłby, że Steve jest oszustem, jeśli nie kimś gorszym.

Domyślając się tego, nie mogła siedzieć bezczynnie.

Ale gdyby nic nie wiedziała, gdyby nie była tamtego wieczoru w mieszkaniu Vana i nie zobaczyła prawdziwego syna, czy to by coś zmieniło?

Prawdopodobnie dla Dinah niewiedza byłaby zbawieniem, a tak musi przeżywać straszliwe męczarnie.

Ros wysiadła z samochodu, obcasy skrzypiały na żwirze.

Drzwi otworzyła pani Brunt.

- Ros, prawda?

- zapytała, wpatrując się w mrok.

- Myślałam, że pani wyjechała.

- Zgadza się, ale wróciłam i chcę się zobaczyć z Dinah.

- Jest teraz z panem Kennedym, tam.

- Wskazała na bibliotekę.

- Była w strasznym stanie, ale zdaje się, że już się nieco uspokoiła.

Ros zapukała do drzwi i weszła.

Don i Dinah stali pod oknem, obejmowali się.

Kiedy otworzyły się drzwi, mężczyzna podniósł wzrok, lekko się rumieniąc, ale nie opuścił rąk, natomiast na jego twarzy odmalowało się całkowite zaskoczenie, kiedy zobaczył, kto jest gościem.

- Ros!

Co ty tu robisz?

I gdzie się podziewałaś?

Dinah oderwała twarz od jego ramienia.

Ros zauważyła ślady po płaczu.

- Ros!

Och, Ros, wybacz...

ale nie masz pojęcia, jakie straszne rzeczy tu zaszły...

- Czy twoja wizyta jest niezbędna?

- grzecznie zapytał Don.

Ros zignorowała go.

- Dinah, mam ci coś do powiedzenia - rzekła łagodnie.

- Wiem, co się tu wydarzyło, i wiem, że przeżyłaś ogromny wstrząs.

Ale nie jest do końca tak, jak myślisz.

Steve podszył się pod twojego syna, ponieważ sądził, że on zginął podczas nurkowania w Ameryce Południowej.

Taka wersja dotarła do Anglii, ale została nieco zniekształcona.

Rzeczywiście doszło do wypadku i zginął w nim człowiek.

Ale to nie był twój syn.

To jego kolega.

Twój syn jest cały i zdrowy i pracuje na platformie na wybrzeżu Argentyny.

Tam właśnie byłam przez ostatni tydzień.

Udało mi się go wyśledzić.

I przyrzekł mi, że jeśli zechcesz się z nim zobaczyć, wróci do Anglii, kiedy tylko wygaśnie kontrakt.

Dinah zakryła usta rękami.

- Co ty mówisz?

Nie wierzę ci!

To nie jest prawda!

- To prawda, Dinah.

Z tego powodu byłam nieobecna w pracy.

Przepraszam za to, ale sprawy wymknęły mi się trochę spod kontroli.

Posłuchaj, wiem, że musisz czuć się straszliwie skrzywdzona, i prawdopodobnie po takich doświadczeniach nie będziesz chciała się z nim widzieć...

- Nie będę chciała go widzieć?

Nie chcesz widzieć własnego syna?

To idiotyczne!

Och, Ros, jaki on jest?

Ros uśmiechnęła się.

Nawet w tej sytuacji nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Z przyjemnością wspominała mężczyznę, którego spotkała w Argentynie - prawdziwego syna Dinah.

Polubiła go z miejsca, a w trakcie długich rozmów, które prowadzili, to uczucie pogłębiło się.

Może nawet bardziej niż polubiłam, pomyślała, wspominając ciepło i sympatię, jakie zrodziły się między nimi.

Wtedy odniosła wrażenie, że Mac jest kimś wyjątkowym, i to samo czuła teraz, słodkie podniecenie.

Nie było czasu ani okazji, by się przekonać, czy to zauroczenie może przerodzić się w głębsze uczucie, ale złapała się na tym, że ma nadzieję, iż jeszcze nadarzy się szansa, by się upewnić.

Brendan był jej pierwszą miłością, dziką i destrukcyjną, z Vanem to była obsesja - co takiego miał w sobie, że tak pociągał kobiety?

- a z Mikeem łączył ją związek, w którym mogła żyć, ale który nie opierał się na głębokim uczuciu.

Mac natomiast obudził w niej uczucia, o których prawie już zapomniiała i których z pewnością, po swoich doświadczeniach, nie szukała.

Miał w sobie pewien rodzaj siły, dzięki której budził zaufanie; przy nim Ros odrzucała tarczę ochronną, którą odgradzała się od świata.

Tego mężczyznę mogła szczerze pokochać.

- Zupełnie nie przypomina Stevea - zaczęła.
- Jest spokojniejszy, ale i o wiele bardziej prostolinijny.
- Och, rozumiem.
- Dinah stała z dłońmi przytkniętymi do ust.
- Jakiego koloru ma oczy?
- zapytała.
- Oczy?
- Ros była skonsternowana.
- Chyba brązowe.
- Brązowe.

Tak, oczywiście.

- Obydwoje spojrzeli na nią zdziwieni, ale jasne było, że Dinah przypomina sobie coś, czego oni nie mogli wiedzieć.

Don wziął ją za rękę.

- Dinah, bardzo się cieszę, ale mówię ci tu i teraz, że tym razem nie będę stał na uboczu.

Zbyt długo tak postępowałem.

Zerknął na Ros i coś w jego wzroku powiedziało jej, że wie - że zawsze wiedział - o niej i Vanie.

Poruszyła się niecierpliwie.

- Chciałam jak najszybciej przynieść ci wiadomość o twoim synu, Dinah, ale myślę, że ze szczegółami lepiej wstrzymać się do jutra.

Ale ona pokręciła głową, łzy radości mieszały się w jej oczach ze łzami żalu.

- Och, nie, Ros, błagam!

Chcę się dowiedzieć wszystkiego teraz!

Ros westchnęła.

Zdaje się, że miała przed sobą długą noc.

Tak się zastanawiam, kochanie - odezwała się Jayne do Drewa.

- Zamierzam porzucić Vandinę i pracować wyłącznie dla Reubensa.

Jeśli mnie zechcą.

- Jeśli cię zechcą!

Sama doskonale wiesz, jak bardzo cię potrzebują!

- Drew leniwie położył się na skórzanej kanapie, zaciągając się skrętem.

Jayne uśmiechnęła się.

Mąż zupełnie nie domyślał się, jaką odgrywała rolę; wszystko ustalone zostało między nią a jego ojcem i nie uważała za konieczne dopuszczać go do tajemnicy.

Kiedy za dużo wypił, paplał, co mu ślina na język przyniosła.

- Dasz sobie doskonale radę u Reubensa - przekonywał ją.

- Nie będziesz więcej w cieniu tej przeklętej kobiety.

- To prawda.

Też tak sądziła.

Okradanie kogoś z pomysłów oznaczało brak wyobraźni u złodzieja.

Jayne zaczynała wierzyć, że stać ją na więcej.

A poza tym nie chciała nigdy więcej widzieć Stevea.

Po tym, jak się z nim rozstała, jeszcze przez godzinę cała się trzęsła.

To wspaniałe móc udawać osobę opanowaną, ale Jayne nie miała zdolności aktorskich i dzisiaj dała przedstawienie swojego życia.

Wielokrotnie igrałam z ogniem, myślała, ale dzisiaj mogłam spłonąć.

Uzmysłowiła sobie powagę sytuacji.

Steve był gotów zrobić wszystko, by ukryć swoją tajemnicę, a ona zdradziła się, że zna jego sekret, i to go zaalarmowało.

Tym razem miała szczęście, tym razem uratowała się przed niebezpieczeństwem, ale nie wiedziała, jak długo jeszcze los będzie jej sprzyjał.

Wcześniej czy później Steve uznałby, że nie może ryzykować, a Jayne nie przypuszczała, żeby chciało mu się ją powiadomić, kiedy dojdzie do takiego wniosku.

Musiała zniknąć, i, całkiem szczerze, nie widziała powodu, by się wahać.

Czas zostawić Vandinę, czas iść do Reubensa, nie tylko z pomysłami ukradzionymi Dinah, ale też z własnymi.

Jayne zwolniła się na popołudnie, chcąc odzyskać spokój, ale nie zmarnowała tego czasu.

Kiedy wreszcie przestała drzeć, zaczęła snuć plany - a teraz przekazała je Drewowi.

- A więc zgadzasz się ze mną?

- Oczywiście, dziecinko.

Byliśmy tu długo, jestem gotowy na przeprowadzkę.

Jayne zawahała się.

Czy Drew zapuści korzenie gdziekolwiek indziej?

Ale to problem przyszłości i zajmie się nim, kiedy nadejdzie odpowiednia pora.

- To szczęście, że tylko wynajmujemy ten dom - stwierdziła.

- Z rana porozmawiam z agentem i wypowiem umowę.

Potem wezmę sobie kilka dni urlopu, który mi się należy, i pojedę poszukać czegoś odpowiedniego w okolicy Reubensa.

Zgoda?

- Zgoda.

Uśmiechnęła się.

Prawie całkowicie się uspokoiła, wróciła jej dawna pewność siebie.

- Drew, całkiem zgrana z nas para, ty i ja.

Niekonwencjonalna, ale dobrana.

Zaciągnął się skrzemem i uśmiechnął się leniwie.

Steve jechał autostradą i kierował się na północ, choć nie wiedział, dokąd właściwie jedzie i co ma zamiar zrobić.

Ale fiasko!

Taka okazja więcej mu się nie trafi!

Ale nie warto płakać nad czymś, czego nie da się zmienić.

To było jego najlepsze posunięcie, ale nic z tego nie wyszło.

Teraz mógł jedynie wycofać się i zacząć od nowa gdzie indziej.

Kiedy ludzie z prasy zjawili się w domu Ros i Maggie uciekła, on zrobił to samo, zdając sobie sprawę, że jeśli zostanie, złapie go policja.

Jak szalony pojechał do Luscombe Manor, spakował swoje rzeczy oraz małe przedmioty, które miały jakąś wartość, a znajdowały się pod ręką - biżuterię Dinah, złoty zegarek Vana, kilka oryginalnych

miniatur oraz parę innych drobiazgów, o których Dinah mówiła, że są cenne.

Przypuszczał, że nie tak szybko zorientuje się, że zginęły, a jeśli nawet, nie będzie oskarżała o to jego.

Tak, naprawdę uważał, że Dinah nie da wiary historiom opowiadanych o nim, tak bardzo był przekonany, że całkowicie nią zawładnął.

Ale wołał tego nie wystawiać na próbę.

Musi stąd zniknąć, przycząć się gdzieś na kilka dni i zastanowić się, co dalej.

Coś zawsze wymyśli.

Przynajmniej wiedział już, że jest dobry jako oszust.

Prawdopodobnie na tym powinien się skupić.

Ale cokolwiek postanowi, musi to być rzecz duża.

Rozsmakował się w życiu, które teraz prowadził, i nie miał zamiaru zamieniać go na gorsze.

Zjechał na pas szybkiego ruchu i nacisnął pedał gazu.

Najpierw odjedzie jak najdalej od Somerset, a potem znajdzie sobie jakieś lokum na noc.

Widział przed sobą światła stopu, samochody zmieniały się w rozpoznawalne kształty i znikaly za nim, kiedy je mijał; światła z naprzeciwka tworzyły nieskończony potok oślepiających błysków.

Nagle zauważył w lusterku wstecznym niebieskie, pulsujące światełko.

Za późno, pomyślał.

Nie powinien zjeżdżać na szybki pas.

W ten sposób ściągnął na siebie uwagę.

Policja ścigała go za przekroczenie prędkości, ale jeśli go zatrzymają, mogą bardzo szybko się zorientować - jeśli rozprowadzono już rysopis - że jest poszukiwany.

Jego samochód wyróżniał się, on się wyróżniał.

Umysł Stevea pracował niemal tak szybko jak obroty silnika.

Przypomniawsobiesobie inny pościg, wiele lat temu i tysiące mil stąd.

Auto policyjne zapewne miało krótkofalówkę, może już wezwali pomoc, może przygotowują już zaporę na drodze.

Jego jedyna szansa to zjechać z autostrady.

Naciskał gaz, póki nie zauważył znaku zjazdu; z piskiem opon wepchnął się na środkowy pas, potem na lewy.

Za szybko zbliżał się do zjazdu.

Zahamował gwałtownie, ale i tak stracił kontrolę nad pojazdem.

Samochód zjechał z drogi i przekoziółkował.

Steve poczuł, że świat obraca się do góry nogami i znowu wraca na miejsce i jeszcze raz to samo, światła tworzą szalone wzory, do uszu dochodzi przejmujący zgrzyt metalu.

Wóz zatrzymał się w końcu na dachu.

Przez chwilę Steve był zbyt zaskoczony, by myśleć, potem z desperacją próbował się uwolnić.

Bez skutku.

Nie był ranny, ale nie mogąc odpiąć pasów, znalazł się w pułapce i bezsilnie patrzył na zbliżające się niebieskie światło policyjnego wozu.

Epilog.

Maggie siedziała na niskim murku nad brzegiem morza, oglądając słońce, zachodzące w mrocznych wodach.

Na horyzoncie zlewało się z morzem w niebieską łunę, wyznaczającą brzeg Albanii.

Ciszę przerywało odległe szczekanie psa i pierwsze żałosne pohukiwanie sowy, dochodzące z gajów oliwnych.

Spokój, doskonały spokój - koniec jeszcze jednego dnia na Korfu.

Gdyby tylko część tego spokoju udało jej się przenieść do serca.

Ale nie potrafiła.

Wróciła do domu i wszystko było takie samo jak przedtem, a jednak nieco inne.

To, co kiedyś akceptowała, dzisiaj wywoływało jej sprzeciw.

Wyjechała z Anglii w dzień po pojawieniu się Ros.

Siostra błagała ją, żeby została dłużej, ale Maggie odmówiła.

Nie chciała spotkać Mikea, nie chciała być silna ani minuty dłużej, niż to było absolutnie konieczne.

Zarezerwowała sobie miejsce w samolocie i odleciała bez zobaczenia się z nim, towarzyszył jej tylko straszliwy ból, ostry i silny, przepelniony brakiem nadziei.

Myślała, że kiedy znajdzie się na Korfu, wspomnienie o Mikeu stępieje nieco, rozplynie się w codziennym życiu, ale tęsknota za tym, co mogło być, nie ustępowała.

Pomyślała, że może uda jej się spożytkować część energii, która obudziła się w niej w Anglii, na poprawę stosunków z Arim.

Musiała to zrobić!

Musiała się poświęcić, zawsze to robiła, bo w tym tkwiła jej przyszłość.

Ale rzeczywistość nie okazała się tak łatwa.

- A więc zdecydowałaś się wreszcie wrócić do domu?

- zimno i sarkastycznie skomentował jej powrót Ari.

- Cóż takiego zrobiłem, by na to zasłużyć?

Co zrobiłeś?

- chciała zapytać.

Czy kiedy mnie nie było, spędzałeś noce z Meliną?

Ale nie powiedziała nic.

Jakie miała prawo kwestionować jego wierność?

- Ari, proszę, czy nie możemy się postarać?

- błagała.

Ale jego odpowiedź nie brzmiała zachęcająco.

- Zawsze się starałem, Maggie.

Nadal to czynię.

Co robisz ty, zależy tylko od ciebie.

Ich ozięble stosunki sprawiały jej przykrość i łapała się na tym, że wspomina ciepło, jakie odczuwała w towarzystwie Mikea, ale natychmiast obwiniała się o zdradę.

Życie szybko wróciło do utartego schematu, dni, w czasie których bez celu błąkała się po pustym domu, wieczory, kiedy Ari długo nie wracał, i sieć, którą zastawiła na nią jego rodzina.

Czasami Maggie zauważała, że czeka, że czeka na coś, i choć nie potrafiła tego nazwać, zastanawiała się, czy podświadomie nie czeka na jakiś znak od Mikea.

Naturalnie nie skontaktuje się z nią.

Była o tym przekonana.

Jasno przedstawiła mu swoje stanowisko, a on był zbyt dumny, żeby namawiać ją do zmiany decyzji - nawet jeśli tego pragnął, w co wątpiła.

Ros napisała do niej i z jej słów wynikało, że spotyka się z Mikeem.

Wzmianki o nim sprawiały jej ból, ale czytała te listy wielokrotnie z sadystyczną przyjemnością.

W pewnym sensie sprawiało jej to przyjemność.

Z listów od siostry dowiedziała się też innych rzeczy.

Steve został aresztowany - rozbił się na autostradzie i okazało się, że miał przy sobie przedmioty skradzione z Luscombe Manor.

Gdyby Maggie wróciła do Anglii, mogłaby go również zaskarżyć.

Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Nie chciała tam jechać i składać zeznań na temat wydarzeń tamtego dnia.

Następnie dowiedziała się, że Dinah czuje się dobrze i zamierza wyjść za mąż za Dona Kennedygo.

Ros miała nadzieję, że kiedy Mac wróci z Ameryki Południowej i spotka się z matką, ta na zawsze pozbedzie się przynajmniej części koszmarów z przeszłości.

Och, tak, i Jayne Peters - Browne nagle zdecydowała się opuścić Vandinę i przeszła do pracy do konkurencyjnego Reubensa.

"Podejrzewam, że miała coś wspólnego z przeciekami informacji z naszej firmy - pisała Ros.

- Ale ogólnie przysłużyła się nam.

Nowa kolekcja zdobyła olbrzymie uznanie i dzięki temu Dinah ma mnóstwo pracy, a brakuje jej czasu na rozmyślanie".

Maggie cieszyła się z powodu Dinah, ale to nie pomogło przezwyciężyć własnego smutku.

Teraz siedząc nad morzem i oglądając zachód słońca, nie potrafiła zdobyć się na żadną decyzję.

Gdyby tylko mogła zapalić papierosa!

Bardzo ją ciągnęło, ale wiedziała, że nie może się poddać nałogowi.

Przez lata starała się z nim zerwać i teraz musi go zwalczyć - nie chodziło tylko o jej zdrowie.

Okazało się, że jest w ciąży.

Było to dla niej całkowite zaskoczenie.

W ferworze wydarzeń nie zwróciła uwagi, że okres się spóźnia, aż któregoś dnia obudziła się z bólem w podbrzuszu i przypomniała sobie.

Od czasu wyjazdu do Anglii nie miała miesiączki!

Wstała i sprawdziła w kalendarzu.

Tak, definitywnie powinna się zacząć dziesięć dni temu.

Opóźnienie zaalarmowało ją.

Zazwyczaj okresy pojawiały się bardzo regularnie.

Może to przeżycia ostatnich tygodni przyczyniły się do opóźnienia - słyszała, że latanie samolotem może zakłócić działanie hormonów, a poza tym tyle wydarzyło się w tym miesiącu.

Jednak, mimo że starała się myśleć racjonalnie, nurtowało ją podejrzenie, które potwierdziła wizyta u lekarza.

Opóźnienie miesiączki to nie sprawa hormonów.

Maggie była po prostu w ciąży.

Początkowo nie mogła w to uwierzyć.

Od tak dawna sądziła, że jest bezpłodna, że prawie przestała o tym myśleć.

Teraz zawładnęły nią mieszane uczucia, radość i coś w rodzaju paniki.

Instynktownie przeczuwała, że to dziecko nie Ariego, ale Mikea.

Co, do diabła, mam teraz zrobić?

- pytała siebie, siedząc na nadmorskim murku.

Na razie nic Ariemu nie mówiła, w ogóle nie wiedziała, czy się na to zdobędzie.

Byłby szczęśliwy, tak jak i jego rodzina.

Czyż nie pragnęli tego od dawna?

Ale nie mogła myśleć o ich gratulacjach; udawanie, że dziecko jest Ariego, byłoby oszustwem, na które nie mogła się zdobyć.

Jednak jeśli powie prawdę, będzie to koniec małżeństwa.

Maggie nie potrafiła znaleźć rozwiązania i przypomniawszy sobie Dinah, która latami zmagająca się z podobnym problemem.

Dinah postanowiła oddać dziecko do adopcji, a Maggie może zdecydować się na aborcję.

Ale nawet przez sekundę nie brała takiej ewentualności pod uwagę.

Pragnęła tego dziecka, pragnęła straszliwie, nie tylko ze względu na siebie, ale także dlatego, że było częścią Mikea.

Od morza powiała bryza i Maggie zadrżała.

Podniosła się z murku i ruszyła do domu; w połowie drogi usłyszała dzwonek telefonu.

Deja vu.

Miała wrażenie, że już to kiedyś przeżyła; przypomniała sobie ten wieczór, kiedy zadzwonił Mike, żeby powiedzieć jej o zaginięciu Ros, i kiedy wszystko się zaczęło.

Czy możliwe...?

Czy kiedy podniesie słuchawkę, usłyszy po drugiej stronie głos Mikea?

Tęsknota ją zżerała.

Pobiegła do domu, chwyciła słuchawkę i kiedy usłyszała trzaski, znamionujące rozmowę zamiejscową, zaczęła drzeć.

- Halo?

- Maggie?

To ty?

Słyszysz mnie?

Nie Mike, tylko Ros.

Poczuła rozczarowanie, zupełnie jakby dostała obuchem w głowę.

- Ros!

Cześć!

Co za niespodzianka!

- Niespodzianką jest to, że się połączyłam!

- rzuciła Ros.

- Co u ciebie?

- Dobrze - skłamała.

- A u ciebie?

- Też.

Maggie, posłuchaj, nie możemy teraz tracić czasu na grzecznościowe rozmówki, bo mogą nas rozłączyć.

Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że rozeszliśmy się z Mikeem.

Maggie poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

- Ty i Mike?

Dlaczego?

- Z wielu powodów.

Po pierwsze, wydaje mi się, że kocham kogoś innego.

- Kogo?

- Syna Dinah, jej prawdziwego syna, Maca.

Nie mogę go sobie wybić z głowy, Maggie.

Nie mogę przestać o nim myśleć.

- Pomimo słabego połączenia Maggie usłyszała w głosie siostry radość.

- Rozumiem.

A co z Mikeem?

- No cóż, szczerze mówiąc, z tego powodu dzwonię.

Myślę, że Mike też jest zakochany.

W tobie.

Serce Maggie zaczęło nagle walić mocno i nieregularnie.

- Jak to?

Mówił coś?

- Nie chodzi o to, co powiedział, ale o to, jak wygląda, kiedy w rozmowie pada twoje imię.

Co ty mu zrobiłaś, chciałabym wiedzieć?

- Nic.

Jestem pewna, że się mylisz...

- Jestem pewna, że mam rację!

Nie udawaj, że nic się nie zdarzyło podczas twojego pobytu w Anglii.

Nie uwierzę ci.

Od lat jesteś nieszczęśliwa z Arim, przyznaj to.

A do Mikea czujesz to samo co ja do Maca i musisz coś z tym zrobić.

Nie kontaktował się z tobą?

- Nie.

- To podobne do niego.

Zabieranie komuś żony nie jest w jego stylu.

No cóż, kochana, myślę, że musisz działać.

Nie pozwól mu się wyśliznąć, Maggie, jeśli to tak poważne, jak mi się wydaje.

Takie rzeczy zdarzają się raz albo dwa w życiu, uwierz mi.

- Na linii pojawiły się trzaski.

- Słuchaj, muszę już kończyć.

Może wkrótce się zobaczymy.

- Tak...

dzięki za telefon, Ros.

- Nie ma za co.

- I telefon zamilkł.

Maggie odwiesiła słuchawkę i stała nieruchomo z dłońmi przy ustach.

Targało nią tysiące emocji - zaskoczenie, że Ros i Mike ze sobą zerwali, radość, że Ros w końcu znalazła prawdziwą miłość, i szalona fala podniecającej nadziei, że teraz, kiedy nie musi martwić się o siostrę, może dojść do czegoś między nią i Mikeem.

Ale euforia, którą wzbudził telefon Ros, nie trwała długo - szybko zwyciężyła rzeczywistość.

Nie dało się zaprzeczyć, że dzwoniła Ros - Mike nie starał się nawiązać kontaktu i nie próbował namówić jej do powrotu do Anglii i wcale się tego nie spodziewała.

Zresztą nawet gdyby zadzwonił, musiała jeszcze pomyśleć o Arim.

Może ich małżeństwo nie należało do najbardziej udanych, ale Maggie nadal czuła, że jest mu coś winna.

Tam do diabła, myślała, zapalę sobie.

Jeden mi nie zaszkodzi.

Zapaliła zabronionego papierosa i wyszła, by usiąść na werandzie.

Nadal tam siedziała, kiedy godzinę później usłyszała wóz Ariego na podjeździe.

Szedł chwiejnym krokiem i Maggie natychmiast poznała, że pił.

Zobaczył ją i widać było, że stara się wyglądać normalnie.

- Co ty tu robisz?

Dlaczego nie jesteś już w łóżku?

- Dlaczego nie miałabym siedzieć tak długo, jak mi się podoba?
- odgryzła się.

- A skoro już o tym mowa, gdzie byłeś do tej pory?

Jeśli za późno na moje siedzenie na werandzie, z pewnością ty także zbyt późno pojawiaasz się w domu.

- Maggie, mam nadzieję, że nie będziemy się znowu sprzeczać.

Co się z tobą dzieje?

Ciągle narzekasz!

Przeszedł obok niej i wtedy doleciała do niej woń znajomych perfum.

- Byłeś z nią, prawda?

Z Meliną!

Nie zaprzeczaj, Ari.

Czuję stąd jej zapach.

- No i co z tego?

Przynajmniej nie narzeka tak jak ty.

- Przypuszczam, że nie, nie jest twoją żoną!

- I szkoda - wymamrotał pod nosem, ale usłyszała go.

- Co powiedziałaś?!

- Powiedziałem, że żałuję - rzucił wyzywająco.

- Kłopot z tobą, Maggie, polega na tym, że jesteś tak cholernie angielska.

Greckie kobiety wiedzą, jak należy traktować mężów.

Nie narzekają bez ustanku i nie znikają z domu na całe tygodnie bez słowa.

Moja rodzina ostrzegła mnie, wiesz?

Chcieli, żebym ożenił się z dziewczyną taką jak Melina.

Ale nie, ja wiedziałem lepiej.

Wydawało mi się, że jestem nowoczesny, że będziemy nowoczesnym małżeństwem.

- Ale nie jesteśmy, tak?

- spytała Maggie.

Nagle przestała się denerwować.

Pozostał tylko smutek.

- To nie jest nowoczesne małżeństwo, tylko typowo greckie.

Tradycja jest zbyt silna, żebyś z nią zerwał.

A ja chyba nie potrafię jej zaakceptować.

Wzruszył ramionami.

- Och, przestań, donikąd to nas nie doprowadzi.

Chodźmy do łóżka.

- Nie - oświadczyła.

- Nie będziemy któryś raz z kolei wmiatać śmieci pod dywan.

Powiedz mi prawdę, wolałbyś mieć za żonę Melinę?

- Co to za pytanie?

- Szczere.

Zadaję ci proste pytanie i żądam uczciwej odpowiedzi.

Czy byłbyś szczęśliwszy z Meliną?

- Skąd mam wiedzieć?

- wybuchnął.

- Ty jesteś moją żoną.

- Ale gdyby tak nie było, czy poszedłbyś do niej?

Twojej rodzinie podobałoby się to, prawda?

Miła dziewczyna z Korfu, zachowująca się zgodnie z ich oczekiwaniami.

Czy wniosłaby ci posag, Ari?

Kilka gajów oliwnych?

I jestem przekonana, że dałaby ci także...

- Zamilkła, jej ręce automatycznie dotknęły brzucha.

Ari zawsze upierał się, że to przez nią nie mają dziecka, ale oczywiście, nieprawda.

Tylko raz kochała się z Mikeem i zaszła w ciążę.

To oznaczało, że nie ona była bezpłodna.

Zawahała się, niezdecydowana, co robić w takiej sytuacji.

Ale kiedy ona się zastanawiała, ciemne oczy Ariego rozpały się gniewem.

Zauważył jej gest i zrozumiał go opacznie.

- Tak - zazgrzytał zębami.

- Jeśli zamierzałaś powiedzieć, że ona urodziłaby mi syna, jestem pewny, że tak by się stało.

Nie wiem, co się z tobą dzieje, Maggie?

Czy nie zrobiłem wszystkiego, żebyś zaszła w ciążę?

Ale nic nie wychodzi.

Wiesz, co myślę.

Myślę, że jesteś bezpłodna!

Nigdy nie urodzisz dziecka.

Wstydzę się przed swoimi rodzicami.

Zawiodłaś mnie, Maggie, a to gorsze niż twoje jęczenie, gorsze niż twoje angielskie przyzwyczajenia.

Jestem mężczyzną i zasługuję na syna.

I tak, owszem, myślę, że Melina mogłaby mi go dać, jeśli już pytasz.

A moi rodzice byliby szczęśliwi, gdyby ich wnuczek miał czystą grecką krew!

Ten wybuch wstrząsnął Maggie do głębi serca.

Miała zamiar powiedzieć mu, że powinien zgłosić się do lekarza, ale nagle zrozumiała, jak jest zaślepiony, i ogarnęła ją wściekłość.

Jak śmie oskarżać ją o bezpłodność?

Jak śmie traktować ją w ten sposób?

Tak się nią brzydzić?

Był Grekiem, ale w Anglii spędził wystarczająco dużo czasu, by ją zrozumieć.

Lecz nic na to nie wskazywało.

- Cóż, jeśli pragniesz mieć dziecko z Meliną, proponuję, żebyś się o to postarał!

Zauważyła zaskoczenie na jego twarzy.

- Maggie...

- Tak, naprawdę tak myślę - oświadczyła.

- Wyraźnie żałujesz swojej pochopnej decyzji poślubienia mnie.

I, szczerze mówiąc, ja także tego żałuję.

Staralam się, z całej mocy się starałam, żeby to małżeństwo układało się dobrze, ponieważ nie chciałam się przyznać do porażki, nie chciałam, żeby okazało się, że rację mieli ci, którzy mi ten związek odradzali.

Ale, niestety, mówili prawdę.

To nigdy się nie uda, Ari, nigdy nie zaznamy razem szczęścia.

Proponuję, byśmy się rozstali, zanim skrzywdzimy się jeszcze bardziej.

- Maggie, idę do łóżka - powiedział, niecierpliwie gestykułując rękami.

- Porozmawiamy o tym jutro rano.

- Dobrze - zgodziła się.

- Ale już teraz wiem, jaki będzie wynik tej rozmowy.

Zerknął na nią ponuro i wszedł do domu.

Gdy po jakimś czasie zrobiła to samo, był już w sypialni.

Minęła pokój gościnny i rozglądając się, dziwiła się, dlaczego dom, który był jej domem od momentu przyjazdu na Korfu, teraz wydawał się taki obcy.

Nic tu tak naprawdę nie było jej; tak bardzo starała się przyzwyczaić do greckiego stylu życia, ale nie udało się.

Teraz stało się to prawie nieistotne, jedno z wielu życiowych doświadczeń.

Nagle zaczęło się liczyć to, czy będzie z Mikeem.

Podeszła do telefonu, podniosła słuchawkę i wykręciła numer kierunkowy do Anglii.

- Po drugiej stronie długo nikt się nie zgłaszał i Maggie zaczęła myśleć, że Mikea nie ma w domu.

Ale pełna desperackiego optymizmu czekała i czekała, modląc się, by połączenie nie urwało się, błagając Mikea, by odebrał telefon.

Kiedy usłyszała jego głos, nogi się pod nią ugięły.

Dobry Boże, jak go kochała!

- Mike? - zapytała.

- Mike, to ja, Maggie.

Zdecydowałam.

Wracam do domu.

Wstrzymała oddech, na wpół przerażona tym, co usłyszy.

Kiedy się odezwał, zrobił to z właściwą sobie flegmatycznością i mimo dzielącej ich odległości, usłyszała w jego głosie niekłamane wzruszenie.

- Dzięki Bogu, Maggie.

Będę czekał.

Koniec.